

Jedyny polski kryminał, który mówi coś więcej. O wyborach moralnych, ludzkiej odpowiedzialności i wyborach serca.

BOGUSŁAW LINDA



Igor Brejdygant
Paradoks

MARGINESY



Igor Brejdygant
Paradoks

MARGINESY

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

I

Czat

Szpion

Wolność

Tajemnica spowiedzi

Miłość

II

Rachunki

Kokaina

Paradoks

Przypisy

Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA
Redakcja EWA PENKSYK-KLUCZKOWSKA
Korekta BEATA WÓJCIK, JAN JAROSZUK
Projekt okładki i stron tytułowych, opracowanie typograficzne PIOTR ZDANOWICZ
Zdjęcia na okładce © Producent
Łamanie **manufaktura** | manufaktu-ar.com

Copyright © by Igor Brejdygant
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2016

Wydawnictwo Marginesy dziękuje Piotrowi Dzięciołowi, prezesowi Opus Film, za wszelką pomoc

Warszawa 2016
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65586-46-9

Wydawnictwo Marginesy
ul. Forteczna 1a,
01-540 Warszawa
tel. 48 22 839 91 27
e-mail: redakcja@marginesy.com.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Wymyśliliśmy słowo „chaos”
na oznaczenie porządku,
którego nie rozumiemy.*

Henry Miller



Marek

Jakiego koloru była ta granada? Dlaczego pojechaliśmy przez Bukowinę, przecież przez Cyrłę mieliśmy dużo bliżej? Pewne detale się zacierają, ale całą resztę pamiętam w najdrobniejszych szczegółach. Niestety. Przez Bukowinę pojechaliśmy chyba dlatego, że była piękna pogoda, a ja chciałem im pokazać widok z Głodówki. Z kolorem gorzej, bo sny są czarno-białe. Co w zasadzie nie przeszkadza, bo i tak wszędzie był głównie śnieg, poprzedniego dnia znów dopadało. No i to słońce, mnóstwo światła, jakbyśmy jechali do nieba. Nie, nie jestem wierzący, ale niebo jakoś tak mi się wtedy chyba skojarzyło albo może później, kiedy wszystko nabrało innego znaczenia. To jest właściwie straszne, bo we wspomnieniach tak naprawdę niczego nie możesz być pewien. Czy to się zdarzyło, czy to pomyślałem wtedy, czy dopiero kiedyś później, czy się przyśniło, a może ktoś inny to powiedział gdzieś w ciągu tych wszystkich lat? Ile to już? Nie pamiętam, jakiego była koloru, ale była wspaniała, wersja Ghia z opuszczanymi szybami i światłem w komorze silnika, kiedy się otwierało maskę. Chyba do tej pory w żadnym innym samochodzie nie zainstalowali takiego gadżetu. Automatyczne światło w komorze silnika? Pomyślałby kto.

Kupiłem ją jakieś pół roku wcześniej, dwunastoletnia granada z ostatniego roku produkcji, tylny napęd, prowadziła się jak bajka, szczególnie po małym fiacie, którego mieliśmy wcześniej. Marzenie. Nie wiem, jakiego była koloru, ale wiem, że była ostatnim marzeniem, jakie kiedykolwiek miałem. Potem o niczym już tak nie marzyłem. Nigdy się nie dowiem, ile miałem we krwi, ale coś na pewno. Poprzedniego wieczora w pensjonacie wypiliśmy chyba minimum po połowce na głowę. Skończyliśmy o czwartej nad ranem, o ósmej obudziła mnie Ewunia. Obudziła mnie, bo sam ją o to poprosiłem, bo miała obiecaną tę wycieczkę, bo zawsze, kurwa, człowiek ma taki nadmierny optymizm w sobie, kiedy pije. Gdy ona się kładła, my dopiero zaczynaliśmy, była dziesiąta, za dwie godziny się położę, myślałem, nie wypijemy więcej niż po te dwa, trzy piwka i o ósmej nie będę nawet pamiętał. Zawsze ten sam debilny optymizm, za każdym razem korygowany przez rzeczywistość. Mogłem nie wstać. Tak, myślę, że gdyby obudziła mnie o dziewiątej, to zamiast być pijany, miałbym już pewnie początki kaca i wtedy na pewno bym nie wstał. Tylko że dlaczego właściwie miała mnie obudzić o dziewiątej, skoro umówiliśmy się na ósmą, a ona tak bardzo chciała pojechać do tej cholernej Czechosłowacji? Tato, nigdy nie byłem jeszcze za granicą, naprawdę pojedziemy? Pewnie, obudź mnie koniecznie o ósmej. Koniecznie o ósmej. Do Bukowiny za bardzo nie pamiętam, potem mi się przeciera. Na Głodówce jest już całkiem dobrze. Ten śnieg i światło. Szkoda, że wszystko czarno-białe. Zobaczcie, co za widok, dwie trzecie tych gór jest na Słowacji, ale widok to my mamy najlepszy. Otoczenie Morskiego. Mięszowickie, po lewej Rysy, granica, a tam dalej Gerlach. Jakie te Rysy małe w porównaniu z nim. Wszystko białe, pełno światła, niebo. Tam zwolniłem, żeby pokazać, żeby trochę im zaimponować, żeby się napatrzyły, szczególnie Ewa, Agnieszce już imponowałem wcześniej, zresztą znała te rejony lepiej ode mnie. Wjechaliśmy w las. Śnieg padał ostatni raz chyba dwa dni wcześniej, droga była już raczej czarna, chwilami na zakrętach tył uciekał, ale czy jest coś wspanialszego od uciekającego lekko tyłu w granadzie? Nigdy się nie dowiem, ile miałem we krwi. Jak przyjechali, zamiast dokumentów pokazałem im odznakę. Może nie miałem dokumentów, a może zadziałał instynkt samozachowawczy, nie wiem, nie mogę sobie

przypomnieć. W ogóle obrazki, rozmowy, trasę, tak, ale myśli się nie pamięta, ja nie pamiętam. A chciałbym, bo to jednak strasznie ważne. Czy pokazałem odznakę, bo nie miałem innych dokumentów, czy pokazałem odznakę, żeby ratować dupę. Tę samą dupę, którą potem przez piętnaście lat próbowałem sobie urwać. Nie pamiętam, jakiego koloru była granada, ale krew była czerwona, a ja umarłem i tylko zupełnie bez sensu wciąż żyję.

– A pani jak zwykle na czas.

Inspektor Andrzej Zieliński był mężczyzną przystojnym, ale rozmowa z nim nigdy nie należała do przyjemności, ponieważ nie miał ani krztyny wdzięku. Joanna popatrzyła na niego i nie wiedząc, co odpowiedzieć, po chwili po prostu kiwnęła głową.

– Wiem skądinąd, że bardzo zależy pani na podjęciu pracy w terenie. – Zieliński zawiesił głos, tak jakby od razu postanowił włączyć do rozmowy klimat pewnej warunkowości.

– Tak, biuro mi nie służy – odpowiedziała po namyśle, patrząc za okno.

Zieliński się uśmiechnął, a w każdym razie na jego twarzy pojawił się grymas, który w zamyśle miał uchodzić za uśmiech. Znała tego człowieka od prawie dwóch lat, więc wiedziała już mniej więcej, które grymasy odpowiadają danym emocjom. To znaczy emocje u inspektora Zielińskiego zdaje się nie występowały w ogóle, a jedynie do pewnych okoliczności dobierał on określony wyraz twarzy, który miał owe emocje odzwierciedlać. Jeśli odczytywało się je odpowiednio, można było uznać, że zna się inspektora na tyle, na ile powinien go znać podwładny.

– Nie mogę powiedzieć, że bym pani nie rozumiał. Może trudno w to uwierzyć, ale ja też kiedyś unikałem zbyt długiego przebywania przy biurku. – Spojrzał na nią tak, jakby sprawdzał, czy pomimo trudności uwierzyła, a może zresztą sprawdzał zupełnie coś innego.

Rozmowy z Zielińskim nigdy nie należały do łatwych, bo właściwie po każdym dłuższym czy krótszym zdaniu inspektor zawieszał się, sprawdzając, jaki efekt wywarło na rozmówcy to, co właśnie powiedział. Teraz to ona się uśmiechnęła, bo uznała, że nadszedł dobry moment, żeby to zrobić, a poza

tym cała ta sytuacja i sposób bycia Zielińskiego, zawsze taki sam, lekko ją rozbawił.

– Mam dla pani bardzo poważne i odpowiedzialne zadanie. Nie ukrywam, że zastanawiałem się dość długo nad tym, komu je powierzyć. Pewnie nie jest pani tego świadoma, ale przyglądam się pani od jakiegoś czasu. Zresztą nie tylko ja się przyglądam, również moi przełożeni... – Żeby zobrazować, jak wszyscy jej się przyglądają, wbił w nią przenikliwy wzrok.

Joanna pomyślała, że to w sumie mocna rzecz, skoro jego przełożeni to chyba tylko główny naczelnik policji Kostylewicz, koordynator służb specjalnych, minister spraw wewnętrznych, premier, może prezydent? Czyżby przyglądał mi się prezydent? – uśmiechnęła się do własnych myśli.

– To panią bawi?

– Raczej lekko przeraża.

– Dziwnie się u pani objawia przerażenie. Człowiek nazywa się Marek Kaszowski i jest komisarzem w Wydziale Zabójstw i Terroru Kryminalnego Komendy Stołecznej. – Zieliński znów się zawiesił, a Joanna kiwnęła głową, żeby go odblokować. – Pani zadaniem będzie przejrzeć prowadzone przez niego na przestrzeni ostatnich kilku lat sprawy o zabójstwo. Część z tych spraw pozostaje niewyjaśniona, inne zostały wyjaśnione, ale nie jesteśmy pewni, po pierwsze, czy zostały wyjaśnione w sposób właściwy, a po drugie, czy w przebiegu czynności dochodzeniowych nie doszło do jakichś...

Żeby nie tracić czasu, Joanna sięgnęła do rezerwuaru swojej pamięci. Nazwisko Kaszowski wydało jej się znajome, ale za nic nie mogła go w tym momencie przypisać do konkretnej sprawy ani do konkretnej twarzy.

– ...powiedzmy przekroczeń.

– Rozumiem.

– Zostanie pani oficjalnie oddelegowana, z prawem do wglądu we wszystkie akta podręczne spraw. Jeśli któraś wyda się pani podejrzana, wystąpimy również o dostęp do akt sądowych. Raportuje pani bezpośrednio do mnie. Spotykamy się raz w tygodniu, jeśli zaistnieje potrzeba, częściej. Jakies pytania? – Zieliński spojrzał na Joannę bardzo poważnie

i przenikliwie, a na jego twarzy pojawił się grymas jak dotąd jej nieznan.

Pokręciła głową bardziej zdecydowanie niż do tej pory, bo uznała, że sytuacja jest poważniejsza niż wcześniej.

– Gdyby jakieś się pojawiły, proszę się ze mną kontaktować od razu i bez wahania.

Zieliński otworzył szufladę ogromnego biurka, przy którym siedział. Joannie przez moment nie wiedzieć czemu przemknęło przez głowę, że wyciągnie z niej teraz jakiś masywny pistolet. Nic takiego się nie wydarzyło, ale inspektor musiał zauważyć niepokój na jej twarzy, bo podając wizytówkę, znów uśmiechnął się delikatnie, tym razem jednak był to uśmiech z gatunku porozumiewawczych. Joanna odniosła wrażenie, że oto została włączona w swego rodzaju pakt. Z kim ani w jakiej sprawie ów pakt zawiera – tego na razie nie wiedziała.

– Na odwrocie jest mój numer prywatny. Proszę korzystać... w każdej chwili.

– Dlaczego on? – zapytała i natychmiast pożałowała swojego pytania. – W sensie dlaczego akurat tego Kaszowskiego mam sprawdzać... Zresztą nie muszę wiedzieć.

– Dobrze, że pani pyta. – Inspektor pozornie się ucieszył, a w głębi duszy lekko rozszerzyła go jej ciekawość. – Komisarz Kaszowski to, jak się pani sama już wkrótce przekona, postać dosyć kontrowersyjna. Wprawdzie ma bardzo dobre wyniki, jest doskonałym śledczym, i tu nie ma żadnych co do tego wątpliwości, ale metodologia, a przede wszystkim instrumentalne traktowanie litery prawa nie zjednuje mu zwolenników wśród zwierzchników. Ale mi się zrymowało.

Zaczął się śmiać, a Joanna postanowiła już wyjść.

– Wydaje mi się, że wszystko rozumiem. Od kiedy mam zacząć?

– Kiedy tylko będzie pani mogła, najlepiej natychmiast. Pilniejsze sprawy, które pani prowadzi, proszę przekazać komisarz Ziętek, do mniej pilnych wróci pani po zakończeniu tej operacji.

– Dobrze. – Joanna wstała z fotela, na którym siedząc, cały czas

zastanawiała się, czy fotel inspektora jest jakoś specjalnie podwyższany. Przecież nie pierwszy raz go widziała i nigdy nie był aż o tyle od niej wyższy. – To do widzenia, panie inspektorze.

Zieliński pokiwał głową i zajął się swoimi sprawami. Joanna ruszyła przez nieproporcjonalnie długi gabinet w kierunku drzwi, które z każdym krokiem wydawały się oddalać, zamiast zbliżać. Pod mijanymi ścianami stały regały z segregatorami, dziesiątki regałów z setkami segregatorów i tysiącami teczek. Czy wśród tych teczek jest też taka, na której napisane jest „Joanna Majewska”, a jeśli tak, to ciekawe, co znajduje się w środku.

– Pani Joanno! – Głos Zielińskiego trafił ją jakieś trzy kroki od drzwi. Przeszła jeszcze przez nie, złapała za klamkę i dopiero wtedy się odwróciła, z przyjemnym uśmiechem na twarzy. – I proszę pamiętać o zachowaniu ostrożności.

– Oczywiście, panie inspektorze.

– Ale pani chyba jest ogólnie dość ostrożna. Tak w życiu, w sensie.

– Chyba tak. Do widzenia, panie inspektorze.

– Do widzenia, pani Joanno. Trzymam za panią kciuki. To bardzo dla nas ważna misja. I proszę koniecznie unikać niebezpieczeństw.

Joanna wyszła na bardzo długi korytarz i spojrzała na ciąg drzwi prowadzących do bardzo wielu pokoi, w których nigdy nie była. Przeszła kilka kroków i zaczęła się zastanawiać.

Joanna

A co on z tym bezpieczeństwem, niebezpieczeństwem? Proszę unikać, zachować ostrożność. O co mu chodzi? Czyżby...? Waldek! Waldek wyszedł? Nie, to niemożliwe, miał siedzieć jeszcze pół roku. Który dzisiaj? Siedemnasty kwietnia, a on miał siedzieć do października. Apelację mu odrzucili. Zresztą czemu Zieliński... skąd on miałby to wiedzieć? On wie wszystko, ale czemu miałby akurat...? Telefon. Gdzie jest cholerny telefon?

– Halo, dzień dobry, Majewska, komisarz Joanna Majewska, czy ja mogę z prokuratorem Śliwińskim? Tak, poczekam.

Piotrek, gdzie jest Piotrek? W szkole, chyba jeszcze w szkole. Muszę zadzwonić. Gdzie ten Śliwiński? I czemu mi się tak od razu trzęsą ręce, czemu ja tego kompletnie nie kontroluję, tyle razy ćwiczyłam. Oddechy, liczenie, raz, dwa...

– A tak, dzień dobry, panie prokuratorze, Joanna Majewska. Chciałam zapytać, czy Waldek... to znaczy Waldemar Miernik, on miał wyjść na koniec września... ale coś mnie tknęło, czy...?

Czy Piotrek ma komórkę, pani Ela, zaraz trzeba zadzwonić do pani Eli.

– Ale dlaczego już? Dlaczego ja nic nie wiem, przecież... Ja rozumiem, że nie macie obowiązku, ale przecież pan wie, co on mi, co on nam... Dlaczego mnie nie zawiadomiliście? Tak, rozumiem, oczywiście, nie ma przepisu, ochrona danych, a ochrona ofiar? Do widzenia panu.

Jak ja zapisałam ten telefon? Pani Ela... Nie, Ela, po prostu Ela. Wybierz. Odbierz, Elu, odbierz.

– Halo? Pani Elu, czy pani idzie już może po Piotrka do szkoły? Już odebrany... W domu... Tak... to dobrze, to bardzo dobrze. Nie, nie, nic się nie stało... tak chciałam się tylko upewnić... to znaczy stało się, ale to już w domu powiem może, proszę z nim dzisiaj już nie wychodzić. Tak, będę przed siódmą.

Na chwilę siądę. Na chwilę. Dosłownie. Na chwilę. Znowu pada.

CZAT

Tamtego wieczora też strasznie lało. Kaszowski, żeby nie utonąć, przechodząc kilkadziesiąt metrów przez parking komendy, pożyczył nawet, rzecz jasna bez pytania, parasolkę od kogoś z wydziału. To i tak na niewiele się zdało, bo zanim wszedł do swojego volva w kolorze mgły, był przemoczony do suchej nitki. Włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił go, a silnik zagadał najpierw z pewnym trudem trzema cylindrami, czwarty dołączył dopiero po chwili. Wtedy komisarz włączył radio, między stekiem mrożących krew w żyłach wiadomości i idiotycznych reklam wyszukał w końcu kawałek w miarę spokojnej muzyki, następnie uruchomił wycieraczki w najszybszym możliwym trybie działania i rozsiadł się wygodnie w fotelu, patrząc w nicość załamanej deszczem nocy. Zawsze tak robił, zanim ruszył z parkingu. Po pierwsze, wymagał tego silnik auta, który w innym wypadku gasł zaraz po ruszeniu, po drugie, wymagał tego Kaszowski, który w ten sposób chociaż przez kilkadziesiąt sekund mógł nie myśleć o niczym. Po upływie minuty silnik pracował już w miarę równo, komisarz wrzucił jedynkę i powoli ruszył w kierunku szlabanu, który w tej ulewie odgrywał rolę boi wyznaczającej miejsce łączenia parkingu z ulicą. Przejechał zaledwie kilka metrów, gdy nagle przed maskę samochodu wyskoczył młody człowiek w zupełnie przemoczonej koszulce z krótkim rękawem. Kaszowski wcisnął hamulec, samochód stanął z szarpnięciem. Młody człowiek, w którym komisarz rozpoznał teraz swojego asystenta Jacka Czerwińskiego, podbiegł do bocznej szyby od strony kierowcy. Kaszowski patrzył na niego chwilę i dopiero kiedy uznał, że tamten zaraz utonie w strugach deszczu, opuścił szybę o kilka centymetrów.

– Co jest?

– Dzwonił Marcin z cyberwydziału, że na jakimś czacie już trzeci raz dzisiaj pojawił się dziwny typ.

– I?

- I prosił, żeby zajść tam do niego w miarę możliwości.
- W miarę możliwości skończyłem na dzisiaj.
- Ale ten... ten dziwny na erotycznym się pojawił i chodzi o czas, w sensie, żeby nie zniknął.
- Na erotycznym wszyscy są dziwni, jutro się zobaczy, niech zarchiwizuje.

Siedząca przy biurku, na miejscu na co dzień przynależnym Kaszowskiemu, Joanna uśmiechem zachęciła siedzącego po drugiej stronie starszego aspiranta Jacka Czerwińskiego do kontynuowania opowieści. Uśmiech przyszedł jej o tyle łatwo, że chłopak właściwie jej się podobał, a jeszcze bardziej podobał jej się układ, w którym przynajmniej na razie miała nad nim wyraźną i bezapelacyjną przewagę wynikającą z zależności służbowej.

– Kaszowski zamknął okno, pomachał mi jeszcze i ruszył w kierunku wyjazdu z parkingu.

– I co było dalej? – Joanna zgrabnie obróciła między palcami długopis Kaszowskiego, a Czerwiński pomyślał, że jeszcze do tego ma ładne dłonie.

– Miałem kartkę w kieszeni i flamaster, napisałem szybko na kartce „Ene due”, dogoniłem go już przy samym szlabanie i przykleiłem kartkę na szybę. Kaszu zaklął, wrzucił wsteczny i wrócił na miejsce, z którego przed momentem wyjechał.

– Ene due...? – Joanna odłożyła długopis.

– Taka wyliczanka.

Patrzyła na Jacka wyczekująco.

– Nie wiem... Wydaje mi się, że dalej to już szef powinien pani opowiedzieć. – Jacek uciekł wzrokiem od utkwionego weń spojrzenia piwnych oczu przystojnej pani komisarz.

– Z przyjemnością, tyle tylko, że jest... – Joanna zerknęła na wyświetlacz telefonu, który chwilę wcześniej położyła na biurku wśród szpargałów Kaszowskiego – za piętnaście dwunasta, a szefa wciąż z nami nie ma.

– Czasem przychodzi później, pracujemy też w terenie, wie pani.

– Wiem, dlatego proszę kontynuować, szefa posłucham, jak wróci

z terenu. – Nie odpuszczała.

Jacek nadal milczał, teraz jednak wpatrywał się w nią hardo.

– Panie aspirancie, wydawało mi się, że naczelnik Talak wyraził się jasno. Pełna współpraca.

Wahał się jeszcze przez chwilę, po czym zaczął mówić dalej, czując się przy tym lekko upokorzony.

Pracownia Marcina, współpracującego z nimi młodego i nieco szalonego informatyka z działu do zwalczania cyberprzestępczości, mieściła się w podziemiach komendy. Wystrojem odpowiadała trochę wyobrażeniom o centrum dowodzenia współczesnych sił zbrojnych. W pokoju dwa na dwa metry stało więcej komputerów niż na takiej samej przestrzeni w którymś ze znanych i lubianych sieciowych sklepów z elektroniką. We wnętrzu nie paliło się światło, ale już sam poblask monitorów dawał go tyle, że robiło się jasno jak w dzień, tyle że był to dzień na Marsie albo Saturnie, bo światło miało dosyć nieprzyjemną dla oka chłodną, błękitną barwę. Kaszowski wyjątkowo nie lubił tu przebywać z dwóch powodów. Po pierwsze, światło na Marsie męczyło go jeszcze bardziej niż innych, po drugie, miał problem z tym, że rzeczywistość zero-jedynkowa tak naprawdę jest dla niego kompletnie niezrozumiała. On zaś jako klasyczny samiec alfa szczególnie źle znosił sytuacje, które uświadamiały mu, że w pewnych obszarach świata, choćby nie wiedzieć jak się starał, nie uda mu się już uzyskać dominacji nad innymi, młodszymi męskimi osobnikami tego samego gatunku. W związku z tym, gdy pytał Marcina o to, co udało mu się ustalić, od razu przybrał postawę nieco defensywną. Na szczęście informatyk w ogóle nie miał zapędów do dominacji, a poza tym bardzo absorbowało go to, co przed chwilą zobaczył.

– Pierwszy raz pojawił się po południu, był jakiś taki dziwnie zaczepny, inaczej niż inni, bardziej wulgarny, czy ja wiem, no i ten dziwny nick Airam29, potem zniknął z tamtego czatu i przed godziną pojawił się na tym. Najpierw znów zaczepki, ale nikt za bardzo nie reagował, no i wtedy ta rymowanka... Jak tylko się pojawiła, zacząłem robić zrzuty ekranu. – Marcin pokazał na jeden z umieszczonych przed nim monitorów, gdzie wśród innych

wpisów uczestników widać było napisane wersalikami ENE DUE LIKE FAKE... Zjechał w dół ekranu do miejsca, gdzie kilkanaście linijek niżej ktoś z nickiem ONA_90 również wersalikami dokończył frazę rymowanki TORBA BORBA ÓSME SMAKE.

Kaszowski przybliżył twarz do ekranu, jakby chciał go powąchać, jego źrenice i nozdrza rozszerzyły się, oddech lekko przyspieszył.

– Próbowałem ich przytrzymać, włączyć się jakoś do rozmowy, ale on mnie olewał i tylko ją ciągnął na priva. – Marcin zerknął na Jacka, potem na Kaszowskiego. – Priv to taka sytuacja, jak dwoje czatowców oddziela się od grupy i idzie do takiego jakby wirtualnego...

– Wiem, co to jest priv. – Kaszowski najwyraźniej został trafiony w czułe miejsce. – Co możemy zrobić?

– Próbowałem wejść za nimi, ale mają tam za mocne zabezpieczenia i...

– Co teraz możemy zrobić?! – ociekający wciąż wodą komisarz stracił nagle cierpliwość. To miejsce, światło i jego niepewność na gruncie wirtualnym powodowały, że chciał już za wszelką cenę przejść do kolejnej fazy, najlepiej w nieco bardziej zrozumiałej dla niego rzeczywistości.

Marcin namyślał się chwilę, czując na sobie karcący nie wiadomo za co wzrok Kaszowskiego.

– Teraz...? Teraz trzeba by od właściciela portalu zdobyć dostęp do archiwum czatu i na tej podstawie ustalić numery IP komputerów, które brały udział w tej wymianie, dalej już sobie poradzę. Tylko że oni nie dadzą nam dostępu do tego archiwum bez nakazu.

– To już nie twoje zmartwienie. Młody – Kaszowski nawet nie zerknął na Jacka – ustal, kto tym zawiaduje, numer telefonu i adres.

Jacek, który zdążył tymczasem przysiąść na fotelu obok Marcina, kiwnął głową. Dopiero wtedy Kaszowski spojrzał na niego.

– Teraz! Ustal to teraz. – Komisarz naprawdę bardzo chciał już wyjść z tej komputerowej nory.

Jacek znów zawiesił się w opowiadaniu. Joanna spojrzała na niego

i rozumiała, że więcej nie uda jej się z niego wyciągnąć, przynajmniej na razie.

– A dlaczego ksywka „Młody”? – zaczęła od innej strony.

– A wyglądam na starego? – Jacek się zjeżył i od razu przeszedł do obrony.

– Czy ja wiem... Młody brzmi trochę może deprecjonująco.

W tym momencie do pokoju wszedł Kaszowski. Miał na sobie ten sam płaszcz co wtedy, choć od historii, którą opowiadał Młody, upłynęły ponad trzy lata. Komisarz spojrzał najpierw zdziwiony na siedzącą na jego miejscu, za jego biurkiem, wśród jego papierów Joannę, a potem zerknął na siedzącego naprzeciwko niej na miejscu dla interesanta Czerwińskiego, który wyraźnie się spłoszył i od razu zerwał na równe nogi.

– Szefie, to jest właśnie pani komisarz Joanna Majewska z Biura Spraw Wewnętrznych, naczelnik kazał...

Kaszowski już jednak go nie słuchał, oddalił się w bliżej nieokreślonym kierunku w celu, jak łatwo było się domyślić, wyjaśnienia powodu, dla którego pani Joanna siedziała na jego fotelu, za jego biurkiem i bawiła się jego własnym, choć kupionym za służbowe pieniądze długopisem.

– No więc dlaczego Młody?

Młody

Dlaczego Młody? No właśnie, mam dwadzieścia sześć lat, a wszyscy wciąż traktują mnie, jakbym miał szesnaście. A może ja sam traktuję siebie, jakbym miał szesnaście lat, może to tu jest pies pogrzebany, może nie chodzi nawet o to, że mieszkam wciąż z rodzicami, że nie skończyłem studiów, które powinienem był skończyć dwa lata temu. Może to jest jakaś forma obrony, może dzięki temu udaje mi się wciąż nie wejść w konfrontację z odpowiedzialnością za innych i za siebie. Oczywiście reszta układu też temu sprzyja. Synku, co byś chciał dziś na obiad, zrobię, żebyś miał, jak wrócisz z pracy. Wolisz pierogi czy mielone? Dwadzieścia sześć lat i mielone. Tylko jak się z tego wyrwać? Kobieta? Była już niejedna, tylko że

zawsze i tak kończy się powrotem do mamy na mielone. Może oni mnie za bardzo kochają, może za bardzo mnie chronili przez całe dzieciństwo, prowadzili za rękę. Kochający się rodzice i ich ukochany jedynak. Jak z tego wyskoczyć, żeby w wieku sześćdziesięciu lat nie być wciąż Młodym u mamy na mielonych?

Kaszowski trafił prosto do gabinetu naczelnika Talaka, u którego trwała akurat narada szefów wydziałów zabójstw i terroru kryminalnego z całego województwa. Sekretarka naczelnika zrobiła wprawdzie co w jej mocy, żeby zatrzymać szarżującego Kaszowskiego, ale na nic się to zdało. Kiedy wtargnął do sali konferencyjnej, wszystkie spojrzenia ubranych w wyjściowe niebieskie mundury policjantów skierowały się wprost na niego.

– Kto to jest?!

– Słucham? – Korpulentny, na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna o sympatycznym i dobrodusznym wyrazie twarzy, naczelnik wydziału Henryk Talak od razu zorientował się, o kogo chodzi. Swoim „słucham” chciał jedynie zyskać na czasie i nieco zatuszować istotę skomplikowanego statusu ich relacji służbowej przed zebranymi w pomieszczeniu wysokimi rangą kolegami po fachu.

– Kim jest ta pani?

– A, ta pani... – Teraz Talak z rozbajającym i nieco usprawiedliwiającym uśmiechem spojrzął po zebranych. – Przepraszam państwa na moment, sprawa niecierpiąca zwłoki.

Wstał od stołu, podszedł do Kaszowskiego, delikatnie ujął go pod ramię i zdecydowanie wyprowadził z sali. Weszli do sekretariatu, który stanowił łącznik pomiędzy salą konferencyjną a gabinetem naczelnika. Przy biurku wśród zieleni doniczkowej stała wciąż lekko zdenerwowana wtargnięciem Kaszowskiego przystojna, mniej więcej czterdziestopięcioletnia sekretarka Talaka.

– Pani Bożenko, proszę nas na moment zostawić, dobrze?

Pani Bożenka wyszła z sekretariatu delikatnie urażona.

– Marek, co ty, kurwa, odpierdalasz? Tam – Talak wskazał na drzwi prowadzące do konferencyjnej – siedzą szefowie wydziałów z całego województwa. Rozumiesz?

– Wszyscy na niebiesko? Co to? Doroczny bal przebierańców?

– Nie wkurwiał mnie. – Talak spojrzał na Kaszowskiego i zebrał się w sobie. – Ta pani nazywa się Joanna Majewska, ma stopień komisarza i pracuje w naszym ulubionym Biurze Spraw Wewnętrznych.

– Proszę cię.

– Pani ma dwa fakultety, doktorat z kryminalistyki i odbyła dwuletni kurs doszkalający w Quantico.

– Miałaś egzamin z wiedzy o pani komisarz?

– Nie, sprawdziłem ją przez Google'a. Będziesz dla niej miły?

– Nie.

– To wylecisz.

– Ty mnie wylecisz?

– Nie. – Talak pokręcił głową i odczekał chwilę dla wzmocnienia efektu. – Oni. Wylecą nas obu.

Kaszowski zgodnie z zamysłem Talaka poczuł nagły przypływ moralnego niepokoju o dalsze losy kariery zawodowej przyjaciela. Uśmiechnął się.

– Ktoś ją przysłał czy sama przysłała?

– Inspektor Andrzej Zieliński. Dzwonił też nawet do mnie z prośbą o wsparcie jej działań. Poczułem się zaszczycony.

W tym momencie Talak zauważył na twarzy Kaszowskiego grymas, który mógłby umknąć postronnemu obserwatorowi, ale nie jemu, bo go znał od przeszło dwudziestu lat.

– Znasz gościa? – spytał.

Marek i Andrzej

Andrzej zawsze chodził wtedy w amerykańskiej kurtce wojskowej, taki był sznyt, to mu zostało jeszcze z czasów opozycyjnej burzy i naporu, wtedy

nosiliśmy je trochę w ramach kontestacji ustroju. Co ciekawe, kontestowaliśmy ten ustrój, pracując w organach ścigania opresyjnego państwa. Taki polski paradoks, jeden z wielu zresztą, milicjanci kryminalni kontestujący ustrój polityczny. Inna rzecz, że w końcu PRL-u, kiedy mniej więcej w tym samym czasie trafiliśmy do milicji, ustrój kontestowali już prawie wszyscy, a my jako nic nieznaczący szeregowi mogliśmy sobie na to pozwalać bez przeszkód, bo nikt tak naprawdę nie zwracał na nas wtedy uwagi. Kontestowanie pomogło natomiast przy weryfikacji, wielu wyższych oficerów wtedy poleciało, a my obaj, młodzi gniewni, zostaliśmy zweryfikowani właściwie od ręki. Potem rozpoczęliśmy szybką wędrówkę w górę po drabinie policyjnej już kariery. Andrzej często bywał u nas w domu, lubiła go i Agnieszka, i mała Ewa, zawsze przynosił jakieś prezenty. Wypiliśmy razem morze wódki, były plany... Nie wiem, kiedy i dlaczego aż tak bardzo się rozjechaliśmy. To znaczy wiem, w jakich okolicznościach rozjechaliśmy się zupełnie, ale przecież to się musiało zacząć dużo wcześniej. Jakoś kompletnie nie dostrzegłem, że Andrzej odpływał już od jakiegoś czasu od naszych wódczanych światów idealnych wyobrażeń ku magmie układów. Totalnie umknął mi moment, kiedy sięgnął bruku.

– Nazwisko coś mi mówi, ale nie wiem co, może kiedyś go spotkałem.

Talak od razu się zorientował, że Kaszowski czegoś mu nie mówi, ale przywykł, że ten od zawsze tkwi zagłębiony w świecie swoich tajemnic, i nie zamierzał drążyć.

– No więc ten cały Zieliński, jakaś szycha z BSW, w niespecjalnie zawołowany sposób przedstawił nam dwie opcje: albo przyjmujemy tę panią na swego rodzaju, powiedzmy, doskonalenie zawodowe, albo wetknie nam tu kontrolę pełną parą, a wtedy leżymy i kwiczymy. Możemy sobie wybrać, czy się rzucamy, czy pani trochę się pokręci i wszystko rozejdzie się po kościach.

– Co się rozejdzie po kościach?

– Marek... – Referowanie oczywistości przychodziło jednak czasem Talakowi z dużym trudem. – Na wypadek gdybyś nie wiedział, na balach przebierańców, takich jak ten teraz u mnie w konferencyjnej, nie jesteś

postrzegany jako najbardziej ułożony funkcjonariusz, a ja jako twój szef nie jestem postrzegany jako najbardziej ułożony szef. Kapewu?

Naczelnik zmierzył Kaszowskiego spojrzeniem, które miało być przenikliwe, a było przyjazne.

– Dobra, wracam na bal, a ty postaraj się nie świrować.

Przykleił do twarzy ciepły, serdeczny uśmiech i ruszył do drzwi konferencyjnej. Marek został z niezbyt budującym poczuciem, że Talak tak dokładnie go rozbroił, że właściwie nie wiedział, co ma dalej ze sobą zrobić.

– Kapewu? – Swoją drogą, już dawno nie słyszał tego powiedzonka rodem z podstawówki.

Joanna od dobrych dwóch godzin siedziała w pomieszczeniu na co dzień przeznaczonym do przesłuchań i okazań. Przed nią leżało kilka teczek, które razem stanowiły wedle pani Bożenki całość akt podręcznych sprawy o numerze 154/11/2013. W pewnym momencie w otwartych drzwiach pomieszczenia stanęła mniej więcej czterdziestoletnia kobieta.

– Czat?

Joanna odwróciła się i przez moment próbowała zlokalizować się we właściwym miejscu i czasie. Niebrzydka ciemna blondynka o kręconych włosach, nieprzerwanie żującą gumę, podeszła bliżej.

– Słucham?

– Czat. Taki kryptonim roboczy nadaliśmy wtedy sprawie, którą pani bada.

Joanna kiwnęła głową i czekała na dalszy rozwój wypadków. Blondynka się uśmiechnęła i wyciągnęła rękę w przyjaznym geście.

– Podkomisarz Monika Malisz, pracowałam kiedyś z Kaszowskim. – Usta kobiety wykrzywił lekko ironiczny uśmiech. – Wielka przygoda.

– Komisarz Joanna Majewska. – Joanna wstała i też wyciągnęła rękę. – Jestem z...

– Wiem, skąd pani jest. – Monika uśmiechnęła się tym razem bez ironii.

– Szybko się roznosi.

– Wiadomość o wizytacji z BSW? Natychmiast. – Uśmiech zniknął.

Rozmowa na moment utknęła w martwym punkcie.

– Już pani nie pracuje?

Monika przechyliła lekko głowę, nie do końca rozumiejąc pytanie.

– Czy już pani nie współpracuje... z Kaszowskim – doprecyzowała Joanna.

– Już nie, na własne życzenie przeniosłam się do innego zespołu, Kaszowski jest... – Monika zaczęła szukać odpowiedniego słowa, co zajęło jej tyle czasu, że Joannie przemknęło przez głowę pytanie, czy przypadkiem pani podkomisarz nie poznała Kaszowskiego również od innej, nie tylko zawodowej strony – ...jest dosyć trudny, powiedzmy.

– Zauważyłam.

– Nie, jeszcze pani nic nie zauważyła... – Ostatnie zdanie Monika wypowiedziała nagle z żalem.

Joanna popatrzyła na Monikę trochę nieufnie i zaczęła się zastanawiać, czy ta kobieta ma potencjał, by stać się w przyszłości jej sprzymierzeńcem, czy może wręcz przeciwnie. Teraz była już pewna, że kiedy Monika mówi o Kaszowskim, to między słowami snuje się jakiś dodatkowy, nieczytelny dla niej na razie kontekst.

– Ale trzeba mu oddać, że w tym wydziale, a może nawet w całej stołecznej nie ma nikogo, kto mógłby się z nim równać. – Monika przebudziła się z zamyślenia.

– Pod jakim względem? – Joanna przysiadła na blacie biurka.

– Pod względem profesjonalizmu, inteligencji i jeszcze tego czegoś, co trudno nazwać, a co bardzo się przydaje w pracy śledczego.

– Czegoś jeszcze?

Monika uśmiechnęła się trochę tajemniczo, ale zarazem serdecznie, tak jakby zachęcała Joannę do wejścia w świat jakiejś gry, której reguł ani celu Joanna jeszcze nie знаła.

– Przepraszam panią. Muszę lecieć, ale pewnie do zobaczenia wkrótce... jeśli oczywiście zechce pani zostać z nami na dłużej. – Monika najwyraźniej uznała, że taka ilość informacji musi pani komisarz na razie wystarczyć, obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu.

Joanna zastanawiała się przez chwilę, o co tak naprawdę jej chodziło, po czym usiadła z powrotem do stołu i wyciągnęła z teczki kolejny druczek. W nagłówku tego dokumentu ktoś odręcznie napisał: „Notatka służbowa dotycząca interwencji na wezwanie u Adama Pisarczyka, właściciela portalu internetowego E-czat”.

Cały czas lało jak z cebra. Kiedy Kaszowski w towarzystwie Marcina i Jacka podszedł do masywnej bramy, z głębi ogrodu otaczającego okazały dom prosto w oczy wypalił im silny halogen. Komisarz, osłaniając się dłonią, podszedł do wideofonu znajdującego się na słupku między masywną bramą a nie mniej masywną furtką z kutych żeliwnych prętów. Dwaj mężczyźni podeszli za nim. Marcin jako jedyny miał ze sobą parasol, którym teraz bezskutecznie próbował osłonić głowy całej trójki. Kaszowski nacisnął guzik na wideofonie, po chwili po drugiej stronie odezwał się męski głos, który już samym swoim brzmieniem zdradzał brak lotności umysłu mówiącego:

– Ochrona?

– Dobry wieczór, komisarz Marek Kaszowski, komenda stołeczna policji, chciałbym rozmawiać z panem Adamem Pisarczykiem.

– O tej porze pan śpi. Proszę przyjść jutro.

Usłyszeli kliknięcie odkładanej słuchawki. Kaszowski zadzwonił raz jeszcze, zamiast swojej twarzy do oka kamery wystawiając od razu policyjną odznakę. Mało lotny rozmówca zgłosił się tym razem dopiero po trzecim naciśnięciu.

– Co jest?

– Jajco. Widzisz to, co widzisz? – Deszcz lał się strumieniami po twarzy coraz bardziej wściekłego komisarza.

– Widzę.

– No to spisz sobie numer z tej odznaki, bo począwszy od jutra jej właściciel, czyli ja, będzie się zajmował wyłącznie masakrowaniem ci życia. Zacznę od tego, że „pan” jutro zapozna się z całą twoją kartą karalności, później zapozna się z nią szef twojej zaszranego firmy ochroniarskiej...

Przez chwilę z drugiej strony nie dobiegał żaden dźwięk, ochroniarz zapewne musiał przetrwać to, co usłyszał.

– A jaka sprawa jest?

– Ważna sprawa jest, inaczej bym tu nie sterczał. Otwieraj i budź pana. – Komisarz schował odznakę z powrotem do kieszeni płaszcza i podszedł do bramy.

Upłynęło kolejne kilka sekund, w trakcie których deszcz wlewał im się z rantu parasola trzymanego przez Marcina prosto za kołnierze. W końcu usłyszeli brzęczenie. Kaszowski popchnął furtkę kolanem i weszli na teren obiektu.

We wnętrzu willi, a właściwie gipsowej podróbki neoklasycystycznego pałacyku, panował dosyć specyficzny klimat. W salonie, do którego policjantów wprowadził wyraźnie podenerwowany ochroniarz, stały meble à la Ludwik XIV, białe z czerwonymi obiciami. Pod ścianą, w specjalnie na ten cel stworzonej wnęce raził pretensjonalnością sporych rozmiarów biały fortepian, na ścianach wisiały portrety nie wiadomo czyich przodków, całości dopełniała stojąca w rogu niewielka komoda w stylu bouille ze złotymi intarsjami. Skąpe światło rozchodziło się po mrocznym salonie z wiszącymi na ścianach kinkietów, wszystko tu było pretensjonalne ponad miarę kiczu. Marcin i Młody usiedli na stojącym po jednej stronie stolika szezlongu, Kaszowski na jednym z biało-czerwonych foteli. Po chwili u szczytu schodów prowadzących na piętro pojawił się na oko czterdziestoletni Adam Pisarczyk w wełnianych spodniach, mokasynach włożonych na gołe stopy i w haftowanej złotą nicią bonżurce. Przez chwilę przyglądał się całej trójce, po czym niespiesznie ruszył po schodach w ich kierunku. Kiedy znalazł się przy fotelach i szezlongu, z których policjanci wstali już, by się przywitać, grymas na jego twarzy wyrażał idealnie skomponowaną mieszaninę niechęci i protekcjonalności.

– Mają panowie świadomość, że to jest najście, i to w środku nocy? – zaczął, celowo patrząc nie na najstarszego wiekiem i zapewne stopniem Kaszowskiego, tylko na Marcina.

Komisarz zerknął na niego z podszytą sarkazmem ciekawością.

– Mamy świadomość i bardzo nam przykro – rzekł. – Proszę nam wybaczyć formę i późną porę, ale próbujemy właśnie uratować komuś życie.
– Kaszowski skończył w poczuciu dobrze sformułowanej puenty.

Adam Pisarczyk usiadł, nie komentując już nijak wypowiedzi komisarza. Policjanci popatrzyli po sobie i także usiedli na fotelach i szeszlunku. Gospodarz spojrział na Kaszowskiego wyczekująco, ten kiwnął głową w stronę Marcina, który, jakby tylko na to czekał, natychmiast zaczął referować.

– Dziś około dwudziestej trzydzieści na należącym do pana portalu E-czat pojawił się człowiek, który, jak możemy domniemywać na podstawie wielu przesłanek, jest ściganym przez nas od miesiący wielokrotnym gwałcicielem i mordercą nieletnich kobiet... dziewcząt właściwie.

Kiedy Marcin mówił, Kaszowski gestem polecił Jackowi, żeby ten podał mu trzymaną do tej pory na kolanach teczkę. Wziął ją do ręki, niespiesznie rozwiązał kokardę, wyciągnął harmonijkę sklejoną ze sobą kartonów w formacie A4, na które naklejono zdjęcia opatrzone pod spodem opisami. Zdjęcia te przedstawiały ofiary morderstw, a właściwie fragmenty ich ciał wraz z obrażeniami. Na zasiniałej i podbiegniętej plamami opadowymi skórze ofiar widoczne były przecięcia, zmiażdżenia, przekłucia. W kilku przypadkach dłonie ofiar odcięto od rąk, w każdym zaś od prawej odcięto mały palec. Wszystkie te fotografie Kaszowski rozłożył tak, żeby mężczyzna mógł je zobaczyć. On jednak nie wydawał się tym przesadnie zainteresowany. Marcin, który przerwał na moment swoją wypowiedź, żeby umożliwić Kaszowskiemu rozłożenie zdjęć, teraz, w reakcji na jego spojrzenie, szybko do niej powrócił.

– No więc dziś wieczorem na zaczepki podejrzanego na pańskim czacie odpowiedziała, jak sądzimy, młoda dziewczyna, która, zanim zdołaliśmy ją ostrzec, zniknęła wraz z nim w jednym z prywatnych pokoi, jak to się u państwa nazywa.

– Wszędzie tak to się nazywa, proszę pana. – Pisarczyk zerknął na zdjęcia bardzo pobieżnie.

Szybkość, z jaką wbił igłę komentarza, zaskoczyła Marcina i na moment

zbiła go nieco z tropu.

– Tak, oczywiście, nie chciałem pana urazić. – Marcin uśmiechnął się pojednawczo.

– Nie uraził pan. No dobrze, to wszystko jest bardzo interesujące, ale co to ma wspólnego z panów najściem na mój dom?

Kaszowski już od dobrej chwili zastanawiał się, czy w sposobie bycia Pisarczyka więcej jest lekceważenia, niechęci, zblazowania, czy może jednak jakiejś formy wtórnego skretynienia. Marcin podjął próbę kontynuowania wątku.

– Administrator portalu...

– Zechce pan zerknąć – przerwał mu prawie natychmiast Kaszowski, któremu ewidentnie zaczynały puszczać nerwy. – To są zdjęcia jego ofiar.

Komisarz podsunął gospodarzowi rozłożoną harmonijkę ze zdjęciami. Zrobił to, choć wiedział, że nic w ten sposób nie osiągnie. Zrobił to raczej po to, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie: lekceważenie, niechęć, zblazowanie czy kretynizm? Pisarczyk ponownie przesunął oczami po zdjęciach i poprawił opadające mu na czoło, starannie wymodelowane włosy. Kaszowski uznał, że chyba jednak wszystko naraz.

– No właśnie – Marcin przeszedł do sedna – administrator, czyli pański pracownik, powiedział, że ujawni nam numery IP komputerów, z których prowadzona była rozmowa między podejrzanym a prawdopodobnie jego kolejną ofiarą, tylko pod warunkiem otrzymania zgody od pana. Doskonale go rozumiemy i stąd właśnie...

– Macie nakaz? – Pisarczyk znów był szybki, ale tym razem stał się też dodatkowo opryskliwie bezpośredni.

A może on chce po prostu dostać w mordę? Może to jakaś forma ukrytego sado-maso? – Kaszowski za wszelką cenę, choćby tylko dla zabicia nudy, próbował rozgryźć osobowość interlokutora.

– Nie mamy jeszcze nakazu, gdyż jest noc i ciężko nam go teraz uzyskać, ale mamy silne przekonanie, poparte wyraźnymi przesłankami, które mówi nam, że to jest ten człowiek. – Kaszowski jeszcze raz odniósł się do leżących

przed nimi na blacie stolika zdjęć.

– Przykro mi, ale nie będę mógł panom pomóc, przynajmniej na obecnym etapie... – Pisarczyk ewidentnie zaczerpnął teraz pełną garścią z rogu satysfakcji. A Kaszowskiego olśniło, że ten wycackany goguś musi po prostu mieć małego.

Jacek i Marcin natychmiast spojrzeli na Kaszowskiego, tak jakby spodziewali się teraz z jego strony absolutnie nieuniknionej eksplozji wściekłości. Nic takiego jednak nie nastąpiło, komisarz popatrzył jeszcze przez chwilę spokojnie na Pisarczyka, po czym zabrał się do zwijania rozłożonej na stoliku zdjęciowej harmonijki grozy. Jacek odniósł nawet wrażenie, że Pisarczyka taki obrót sprawy niemile zaskoczył, może nawet w pewnym sensie go zawiódł.

– No cóż... – Teraz dopiero Kaszowski spojrzął na swoich współpracowników. – W tej sytuacji chyba nic tu po nas. Idziemy.

Joanna skończyła lekturę raportu, który urywał się nagle w połowie kartki papieru podaniowego w kratkę. W tym momencie poczuła, że ktoś jej się przygląda. Odwróciła się gwałtownie. Instynkt jej nie zawiódł. Oto za jej plecami stał, popijając kawę z kubka, nie kto inny jak komisarz Kaszowski.

– Adam Pisarczyk odmówił udzielenia informacji, a jednak jakoś ją zdobyliście? – Joanna odczekała chwilę, ale właściwie zgodnie z jej oczekiwaniami nic się nie wydarzyło. – Poza tym on miał rację. To było najście.

Kaszowski nie zareagował nijak, wypił tylko łyk kawy, uśmiechnął się w ledwie widoczny sposób – a może tylko jej się wydało, że się uśmiechnął – następnie obrócił się na pięcie i zniknął za ścianą.

– Chce mi pan powiedzieć, że Pisarczyk nagle zmienił zdanie?! – Joanna wstała od stołu i ruszyła za komisarzem.

– Nic nie chcę pani powiedzieć. – Kaszowski burknął bardziej do siebie niż do niej, ale jednak na tyle głośno, żeby ona to usłyszała.

Joanna wróciła do sali, pochyliła się nad teczką z aktami podręcznymi,

podniosła kolejną kartę. Ta jednak była pusta.

Kaszowski tymczasem dotarł do swojego gabinetu i usiadł za biurkiem, na którym panował bałagan tak wielki, że nawet najlepsi agenci z najlepszego Biura Spraw Wewnętrznych nie byliby w stanie znaleźć na nim nic, co miałyby jakikolwiek sens. Upił jeszcze łyk z kubka, na którym widniał nadruk „I Love Marek”, przy czym serce, w zamierzeniu wyrażające uczucie, którym ktoś darzył „Marka”, zostało przekreślone dwoma maźnięciami wodoodpornego granatowego mazaka, a następnie odstawił kubek i uśmiechnął się do swoich myśli. Teraz jego uśmiech był już wyraźny ponad wszelką wątpliwość.

Na zewnątrz wciąż lało. Jacek i Marcin poszli przodem, Kaszowski wychodził jako ostatni. Kiedy odprowadzany przez ochroniarza już miał przekroczyć próg domu Pisarczyka, który przypominał bardziej dekorację zbudowaną na potrzeby teatru telewizji niż dom jako taki, nagle się zatrzymał.

– Cholera, zapomniałem szalika. – Zrobił krok wstecz i znów znalazł się w skąpo oświetlonym nieprzyjemnym jarzeniowym światłem holu.

– Ale pan nie miał szalika. – Ochroniarz próbował oponować, niestety na próżno, bo Kaszowski wraził mu w policzek czubek lufy służbowego glocka.

– Ty jednak bystry jesteś. – Uśmiech na twarzy komisarza nie wyrażał sympatii.

Kaszowski odsunął oniemiałego ochroniarza, ustawił go pod ścianą przy grzejniku i ruszył w kierunku zamarłego przy schodach Pisarczyka w bonzurce. Podszedł do niego z tym samym uśmiechem, którym przed chwilą obdarzył ochroniarza, co prawdopodobnie odrobinę zmyliło czujność Adama. Gdyby nawet jednak czujność właściciela portalu E-czat pozostała niezmylona, niewiele pewnie by to zmieniło. Kaszowski, może między innymi dzięki temu, że tak długo zwlekał z wyrażeniem swoich emocji, w tej chwili uzyskał tak potężny ładunek siły przekonywania, że Pisarczykowi nie pozostawało nic innego, jak tylko stać i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Ten zaś nastąpił teraz lawinowo. Kaszowski złapał go za ucho i z ogromną

siłą przygiął jego głowę w bok aż do momentu, kiedy oparła się ona o stojak na donicę, na którym nie było donicy. Następnie komisarz raz jeszcze rozwinął przed oczami pana Adama harmonijkę ze zdjęciami.

– A teraz przyjrzyj się tym zdjęciom dokładnie! Widzisz?!

Pytanie było o tyle retoryczne, że Pisarczyk w zaistniałych okolicznościach i tak nie bardzo miał jak na nie odpowiedzieć. Bezradnie dał tylko znak oczami. Ochroniarz ruszył spod grzejnika, ale w tym momencie od tyłu złapał go za włosy Jacek. Ochroniarz znieruchomiał.

– No właśnie. A teraz, gnoju, wykonasz dla mnie pewien proces myślowy. Uzmysłowisz sobie mianowicie, że to, co widzisz, to ludzie, młode szesnastoletnie dziewczyny, kawałki dziewczyn, a nie jakaś zaszracona gra komputerowa. Uzmysłowiłeś to sobie?!

Kaszowski przycisnął twarz Pisarczyka jeszcze mocniej, uniemożliwiając mu tym samym jakąkolwiek formę aktywności. Motywacja pana Adama wzrosła jednak najwyraźniej do tego stopnia, że pomimo trudności zdołał wydobyć z ust coś na kształt słowa „tak”.

– Doskonale. A teraz wynikanie logiczne. Jeśli natychmiast nie podejmiemy działań, to jutro rano pojawią się następne kawałki. Dlatego musimy działać. Będziemy, kurwa, działać?!

Komisarz zwolnił uścisk na tyle, żeby Pisarczyk z większą swobodą mógł wyrazić swoją opinię, co uczynił niezwłocznie, kiwając głową nieomal z entuzjazmem.

– Wiedziałem, że jesteś równy gość. – Kaszowski uniósł głowę Pisarczyka, zwolnił uścisk i poprawił jego zmierzwiłone nieco włosy, które wcześniej wyglądały na traktowane z dużą pieczołowitością.

– Słodzi pani? – Naczelnik wydziału Henryk Talak trzymał w ręku cukiernicę, gotów przekazać ją w pierwszej kolejności Joannie.

– Biała śmierć. – Pani komisarz pokręciła głową, a na jej twarzy gościł przez moment delikatny uśmiech.

Talak zastygł z cukiernicą w dłoni. Nie na długo, po chwili nawyk

i asertywność wzięły górę nad przelotnym skrępowaniem.

– Mamy tu tyle do czynienia z jej czarną odmianą, że musimy równoważyć – skwitował zagadnienie z uśmiechem na ustach i zabrał się do sypania cukru. – A swoją drogą, jak się pani podoba?

– Jak co mi się podoba, panie naczelniku?

– No, jak się pani podoba u nas? Jak układają się stosunki z komisarzem Kaszowskim, jak inni koledzy, metody pracy? – Każdemu z wymienionych elementów towarzyszyło wsypanie jednej łyżeczki cukru do filiżanki z herbatą. Joanna przyglądała się temu z mieszaniną podziwu i odrazy. W końcu Talak odstawił cukiernicę. – No wie pani...

– Macie rzeczywiście dużą wykrywalność, ale odnoszę wrażenie, że koszty mogą być za wysokie.

– Koszty? – Czyżby chodziło jednak o aspekty finansowe? Temu akurat Talak nigdy nie przyglądał się zbyt wnikliwie, i pewnie to był błąd. Kiedy nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze przecież chodzi o pieniądze.

W tym momencie wygłuszane pikowaną materią jeszcze prawdopodobnie w czasach mrocznego PRL-u drzwi do gabinetu Talaka otworzyły się i stanął w nich Kaszowski. Naczelnik uśmiechnął się z pewną ulgą.

– O, jesteś nareszcie. Właśnie rozmawiamy z panią komisarz o jej pierwszych wrażeniach z pobytu u nas. – Mówiąc to, Talak cały czas nerwowo popatrywał to na Kaszowskiego, to na Joannę. – Państwo już się wstępnie poznali, jak rozumiem.

– Raczej zaocznie.

Z odpowiedzi Joanny Talak wysnuł to, co i tak już wiedział, czyli że nie będzie lekko. Kaszowski tymczasem, nie spoglądając na Joannę nawet przez moment, wszedł w głąb gabinetu, usadowił się na krześle pod ścianą, wyciągnął telefon i oddał się odczytywaniu elektronicznych treści.

– Tak, no więc o to spotkanie poprosiła pani komisarz... – Henryk próbował udroźnić jakoś sytuację, która najwyraźniej utknęła w martwym punkcie i raczej nie zapowiadało się na poprawę.

– Owszem. – Joanna kiwnęła głową i spojrzała w kierunku Kaszowskiego, który jednak nie odwzajemnił zainteresowania. – Zależało mi wprawdzie, żeby w spotkaniu uczestniczył również pan prokurator Sobecki, ale rozumiem, że nie można wymagać zbyt wiele. – Przeniosła wzrok na Talaka, który rozłożył ręce w geście bezradności. – Jak panowie wiedzą, polecono mi przyjrzeć się waszym metodom pracy pod kątem kilku spraw, które budzą u moich zwierzchników pewne, powiedzmy, wątpliwości.

– A coś konkretniej? – Talak odstawił filiżankę z herbatą.

– Przeglądając akta jednej ze spraw, natknęłam się na nieścisłości, które wydają mi się niestety poważne... – Joanna zastanawiała się przez moment, co tak niezwykle absorbującego znalazł Kaszowski w swoim telefonie, a może właściwie nic tam nie znalazł, może ogląda czarny martwy ekran tylko po to, by okazać jej maksymalny brak zainteresowania. – Sądzę, że przy rozwiązywaniu tej sprawy doszło między innymi do złamania procedur dotyczących pozyskiwania informacji.

– Sporo się pani wydaje i do tego jeszcze pani sądzi – podsumował Kaszowski, nie odrywając wzroku od ekranu.

– No dobrze, nie chodzi o to, żeby zaognić, Mareczku. – Talak postanowił ratować sytuację, póki jeszcze było to możliwe. – Może po prostu wyjaśnisz pani komisarz, jak przebiegała ta sprawa?

– Nie pamiętam, jak przebiegała ta sprawa, ale wszystko jest w papierach. – Kaszowski schował telefon do kieszeni płaszcza, spojrzał na Talaka, wstał i skierował się prosto do pikowanych drzwi. Zanim je otworzył, po raz pierwszy w czasie tego spotkania zerknął na Joannę i rzucił do przełożonego: – Lecę, mordercy grasują.

Wprawnym ruchem otworzył drzwi i zniknął równie szybko, jak wcześniej się pojawił.

– Oczywiście, skoro musisz. – Talak wypowiedział to zdanie bardziej do siebie niż do Kaszowskiego, który i tak nie mógł go już słyszeć, a następnie spojrzał na Joannę. – Nigdy nie był przesadnie kulturalny... kiedyś może bardziej, ale to w zamierzonych czasach. Nie żebym chciał go usprawiedliwiać, ale sporo przeszedł i...

– Wbrew temu, co mówi komisarz Kaszowski – przerwała mu Joanna bezpardonowo – w papierach nie ma wszystkiego. W papierach tak naprawdę nie ma prawie nic. Zupełnie nie da się z nich na przykład wyczytać, co sprawiło, że po wizycie u Pisarczyka, który nic nie powiedział, dochodzenie posunęło się naprzód.

– Posunęło się. – Talak pokiwał głową, próbując sobie jednocześnie przypomnieć, co się wydarzyło po wizycie u Pisarczyka. Dotarło bowiem właśnie do niego z całą mocą, że jeśli on nie pomoże komisarz Majewskiej w przebrnięciu przez meandry tamtej sprawy, to nie zrobi tego nikt inny, a wtedy... – No cóż, może ja w takim razie spróbuję uzupełnić brakujące informacje.

– Chyba nie mamy innego wyjścia.

Talak uznał, że to właściwie miło z jej strony, że zastosowała formę pierwszej osoby liczby mnogiej, bo przecież tak naprawdę, o ile ona miała prawdopodobnie jeszcze inne wyjścia, o tyle on nie miał już żadnego. Biuro Spraw Wewnętrznych Policji Państwowej było bardzo groźną instytucją posiadającą mnóstwo nienależnych mu z punktu widzenia właściwie każdego przeciętnego policjanta prerogatyw.

– Skoro nie mamy... – Naczelnik z wysiłkiem sięgnął w zakamarki swojej pamięci: – Marcinowi, to znaczy aspirantowi Hajdukowi, współpracującemu z nami specjalście od informatyki, dość szybko udało się zlokalizować jeden z komputerów, które brały udział w tej wymianie na czacie internetowym.

– Jeden?

– Tak, z drugim był większy kłopot, zdaje się, że miał oszukany ten swój cały numer IP czy jak to się tam nazywa.

– Jak, jeśli można wiedzieć, aspirant Hajduk zdołał poczynić te ustalenia?
– Joanna spojrzała Talakowi prosto w oczy.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, nie znam się na komputerach. A jakie to ma znaczenie? – Inspektor wytrzymał jej spojrzenie.

Oczywiście Talak wiedział już w tym momencie, do czego pije Joanna, a ona wiedziała, że on wie. Gra szła o to, że ona czerpała swoją życiową

wiedzę i światopogląd z podręcznika, a on z kilkudziesięciu lat policyjnej praktyki. Niestety to ona pociągała w tym momencie za sznurki.

– Choćby takie, że włamywanie się do systemów i śledzenie komputerów, podobnie jak śledzenie osób fizycznych, jest, o czym doskonale pan wie, bez odpowiednich nakazów nielegalne.

Inspektor Talak był od zawsze postrzegany jako człowiek kompromisów, nigdy jednak owe kompromisy nie przekraczały cienkiej granicy, za którą zaczynał się oportunizm. Poza tym nawet jeśli w jego wydziale zdarzało się, że ktoś naginał procedury, to po pierwsze, Talak był tego doskonale świadomy, a po drugie, dopuszczał do tego tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne. Dlatego właśnie w tym momencie puściły mu nerwy i uśmiechnął się do Joanny.

– Być może zatem zrobił to w sposób częściowo nielegalny. Nielegalne jest też, na pewno się pani ze mną zgodzi, łamanie ludziom żeber, a jednak co druga osoba po resuscytacji ma połamane żebra. – Talak po raz pierwszy spojrział Joannie w oczy na tyle długo, że pani komisarz musiała spuścić wzrok. – Czy pani rozumie moją metaforę?

– Rozumiem, ale nie uważam jej za przekonującą.

Dopiero teraz zebrała w sobie tyle siły, żeby ponownie skrzyżować spojrzenie z Talakiem. On jednak już na nią nie patrzył, sięgnął po filiżankę, wypił łyk herbaty i wyjrzał za okno, najwyraźniej kompletnie przestało mu się spieszyć. Wątek podjął dopiero po upływie kilkunastu sekund, w czasie których Joanna nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić.

– Dzięki temu dowiedzieliśmy się w każdym razie, że ten cały Airam i jego rozmówczyni z czatu mają się spotkać jeszcze tej samej nocy. Tak wynikało z rozmowy, którą przeprowadzili na privie i którą udało się odczytać Marcinowi. Priv to takie miejsce, gdzie dwójka uczestników...

– Wiem, co to jest priv, panie naczelniku.

– Naprawdę? – Talak ponownie spojrział na Joannę i uśmiechnął się trochę ironicznie. – Ja nie miałem pojęcia, ale ja jestem starszej daty.

– Ustalił, że mają się spotkać i...

Talak znów skierował wzrok za okno. Teraz przypomniał sobie już wszystko z najdrobniejszymi szczegółami i pokiwał głową.

W policyjnym vanie, który pędził przez puste o tej porze miasto, oprócz kierowcy siedzieli Kaszowski, Jacek i naczelnik. Na razie nikt nic nie mówił, wszyscy obserwowali mijane ulice, rytmicznie rozświetlane niebieskim światłem koguta znajdującego się na dachu policyjnego samochodu. Jacek, który siedział na tylnej kanapie i cały czas przeglądał jakieś notatki, w pewnym momencie wyciągnął też laptopa i rozłożył sobie na kolanach. Kaszowski zerknął na kartkę, na której ktoś wypisał adres, następnie spojrzał na numer mijanej właśnie kamienicy i odwrócił się w stronę prowadzącego policjanta w mundurze antyterrorysty:

– Dobra, zwolnij i wyłącz dyskotekę, dojeżdżamy.

Samochód przyhamował, a ze ścian mijanych budynków zniknęła niebieskawa poświata. W tym momencie ożywił się nagle siedzący z tyłu Czerwiński.

– Wiem, skąd jest ten nick! – Młody podał siedzącemu na fotelu przed nim Talakowi zdjęcie mniej więcej siedemnastoletniej uśmiechniętej dziewczyny.

– No? – Naczelnik skupiony był bardziej na tym, co ma się wydarzyć za chwilę, niż na tym, co wydarzyło się wcześniej, i wykazał się umiarkowanym zainteresowaniem. Kaszowski natomiast bardziej był skupiony na odczytywaniu kolejnych numerów mijanych posesji.

– To jego poprzednia ofiara. Miała na imię Marysia... Maria. – Czerwiński nie zważał na ich brak zainteresowania. – Maria od tyłu to Airam, do tego dziewczyna urodziła się w dziewięćdziesiątym drugim, a to od tyłu daje dwadzieścia dziewięć, Airam dwadzieścia dziewięć. Skurwiel zrobił sobie nick z anagramu swojej ostatniej ofiary.

Puenta poruszyła na moment i naczelnika, i Kaszowskiego, który zerknął nawet na zdjęcie podane przez Młodego. Samochód zatrzymał się pod budynkiem, pod którym stały już dwie inne nieoznakowane furgonetki. Z ciemnych samochodów o przyciemnianych szybach wysiadali akurat ubrani na czarno antyterrorysty. Kaszowski wyskoczył z auta jako pierwszy

i od razu spojrział w górę na okno mieszkania na trzecim piętrze, gdzie paliło się ledwie widoczne światło.

Tymczasem we wnętrzu sypialni, oświetlonej niskowatową żarówką lampki nocnej, na sporych rozmiarów łóżku leżała młoda, na oko dwudziestoletnia blondynka o delikatnych rysach twarzy. Jej nagość częściowo przykryta była czarną pościelą. Dziewczyna patrzyła na leżącego obok, również nagiego, przystojnego, mniej więcej trzydziestopięcioletniego, krótko ostrzyżonego i lekko łysiejącego bruneta. Mężczyzna delikatnie gładził ją po włosach. Dziewczyna uśmiechnęła się, patrząc mu prosto w oczy. Przez delikatność jej uśmiechu przezierала odrobina lęku, obawy, a może po prostu skrępowania. Mężczyzna to zauważył, też się uśmiechnął, ujął jej dłoń w swoją i delikatnie musnął ustami. Na palcu wskazującym prawej dłoni miał sygnet z rubinowym oczkiem. Kiedy ich dłonie się splotyły, ona delikatnie przejechała palcem po sygnecie.

Pluton antyterrorystów w absolutnej ciszy wszedł na podwórze budynku. Policjanci przemieszczali się gęsiego, pozostając cały czas blisko fasady budynku. Tuż za nimi szli Kaszowski, Jacek, a pochód zamykał naczelnik. Pod wejściem na klatkę schodową dowodzący plutonem przywołał jednego z idących za nim policjantów, ten zbliżył się, wyjął z kieszeni munduru nóż, wcisnął go pomiędzy drzwi a ościeżnicę i odblokował rygiel zamka. Kiedy drzwi zostały otwarte, cała grupa weszła po kolei na klatkę schodową. Ostatni policjant z plutonu niósł ciężki stalowy taran. Kaszowski przytrzymał drzwi, po czym sam wszedł do środka.

Męska dłoń z sygnetem na palcu otworzyła niewielkie skórzane etui, w którego specjalnie do tego celu stworzonych przegródkach leżały różnych rozmiarów skalpele, ampułki i szklana strzykawka wielorazowa z wielorazową stalową igłą. Mężczyzna znajdował się teraz w małej łazience; na rozciągniętych nad wanną sznurkach suszyły się ręczniki, ubrania, a także elementy damskiej bielizny. Wyciągnął ampułkę, przebił gumową zatyczkę i nabrał płynu do strzykawki, następnie wypuścił z niej powietrze i spojrział

na swoje odbicie w lustrze. Wydawał się zadowolony, choć przez ułamek sekundy coś go zaniepokoiło, zawahał się, ale po chwili uśmiechnął się do swojego odbicia i ruszył w stronę wyjścia z łazienki.

Pluton antyterrorystów dotarł już pod drzwi mieszkania, dowódca przywołał do siebie tego, który niósł taran.

Mężczyzna wszedł z powrotem do sypialni, naga dziewczyna wstała z łóżka i powoli do niego podeszła. On ścisnął w prawej ręce schowaną za przegubem dłoni strzykawkę. Ona zbliżyła się z niewinnym uśmiechem osoby kompletnie nieświadomej tego, co ją za chwilę czeka, oddech miała lekko przyspieszony, wargi delikatnie rozchylone, jędrne piersi wydały się mężczyźnie w tej chwili jeszcze jędrniejsze. Podniósł w górę rękę ze strzykawką.

Dowódca plutonu zerknął na Kaszowskiego, który razem z Młodym i naczelnikiem stał kilka stopni poniżej drzwi do mieszkania. Komisarz kiwnął głową, dowódca wskazał gestem drzwi policjantowi z taranem, ten zamachnął się i drzwi wpadły do środka razem z fragmentami wyrwanej futryny. Cała grupa mężczyzn w czarnych moro i czarnych hełmach jeden za drugim wpadła do mieszkania.

Talak przerwał opowieść i popadł w zamyślenie. Joanna odczekała chwilę w nadziei, że naczelnik podejmie przerwany wątek. Nic takiego jednak nie nastąpiło.

– I co? – W końcu zdecydowała się przerwać milczenie.

Popatrzył na nią, jakby nie był pewny, o co go pyta. Dopiero po chwili wrócił do rzeczywistości.

– I nic.

Joanna spojrzała na niego zaskoczona.

Kaszowski przechadzał się po mieszkaniu, w którym oprócz kręcących się

antyterrorystów nie było nikogo ani nic. W ostatnim z pokoi rozlokowanych w amfiladzie na podłodze stał tylko router wi-fi podłączony jednym kablem do wychodzącego ze ściany białego przewodu koncentrycznego, a drugim do gniazdka sieciowego. Obok urządzenia stała jeszcze lampka nocna przypięta do timera włączającego. Na frontowym panelu routera migały na zmianę zielone diody. Po chwili do komisarza dołączyli naczelnik i Młody. Stali, wpatrując się tępo w migające lampki.

– Cholera, czyli co jest? – Młody spojrział na Kaszowskiego, następnie na Talaka. Odpowiedź nie nadeszła, więc spróbował wysnuć własne hipotezy. – Albo już po ptakach, albo coś się popierdoliło z tym adresem.

Talak wypił łyk kawy. Teraz to on przyglądał się Joannie. Zastanawiało go, czy mu wierzy, czy uważa, że wszystko, co jej opowiada, jest jego wymysłem, czy może coś pomiędzy. Po chwili uznał, że właściwie jest mu to obojętne.

– Okazało się, że router nie był chroniony hasłem, więc właściwie każdy mógł przez niego wejść do sieci, choćby z samochodu zaparkowanego pod blokiem. W tej sytuacji nie pozostawało nam już nic innego, jak czekać, aż gdzieś znowu wypłyną zwłoki.

– I wypłynęły – Joanna odpowiedziała tak szybko, jakby chciała przygwoździć Talaka do ściany.

Inspektor jednak za długo już pracował w tym zawodzie, zbyt wiele razy był przygważdżany i zbyt wiele razy sam przygważdżał, żeby ta stosunkowo młoda stażem dziewczyna mogła w jakikolwiek sposób zbić go z pantałyku.

– Tak. Wypłynęły w tej samej okolicy co poprzednie, czyli w pobliżu tamy na Wiśle we Włocławku... znanej tamy we Włocławku. – Talak zerknął na Joannę, upewniając się, czy pomimo młodego wieku kojarzy miejsce, w którym wyłowiono zwłoki zamordowanego przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa księdza Popiełuszki. Joanna wiedziała, ale z przekory udała, że nie wie. Talak wydawał się zadowolony, a ona pomyślała, że przekora czasem popłaca. Inspektor spuwentował: – Tyle że były to nie te zwłoki, których się spodziewaliśmy, no i nie były poćwiartowane, ale to już pani

zapewne wie.

Popatrzyła na Talaka, a jej spojrzenie wyrażało, że rzeczywiście wie, ale doprasza się o doinformowanie. Inspektor pokiwał głową.

Nurkowie wydobyli właśnie ciało, które zaczepiło się o zatopiony w przybrzeżnym mule konar, i ściągali je teraz w pobliże trawiastego brzegu, gdzie czekali już Kaszowski, naczelnik i towarzysząca im przystojna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w obcisłych dżinsach i skórzanej kurtce, która ładnie podkreślała jej wąską talię. Cała trójka miała już na dłoniach gumowe rękawiczki. Dwóch nurków wyciągnęło na brzeg oplątane wodorostami ciało. Kaszowski ruszył do przodu, ale powstrzymała go kobieta w obcisłych dżinsach. To ona podeszła do ciała jako pierwsza, najpierw przyjrzała się plecom, a dopiero po chwili obróciła zwłoki twarzą do góry i odgarnęła wodorosty. Ich oczom ukazała się opuchnięta głowa ze zniekształconą przez wodę i czas twarzą. Z całą pewnością nie była to jednak twarz kobiety. Kaszowski odetchnął z ulgą.

– I co było dalej?

– Dalej rozpoczęła się mozolna identyfikacja zwłok, najpierw na sekcji, a potem w laboratorium u podkomisarz Batke.

– A próba ustalenia przyczyny śmierci? – Joanna ruszyła wreszcie w stronę, w którą chciała ruszyć od początku rozmowy.

– To akurat udało się ustalić dosyć szybko, o ile mnie pamięć nie myli. Wydaje mi się, że dane dotyczące ustaleń laboratoryjnych muszą się znajdować w teczce akt podręcznych. Ja w takich szczegółach nie będę już raczej mógł być pani pomocny.

– Nie będzie pan mógł czy nie będzie pan chciał? – Joanna jeszcze raz spróbowała być twarda.

– Pani komisarz, znam prerogatywy, w które została pani wyposażona. Nie wydaje mi się, żeby insynuacje zaliczały się w ich poczet. – Talak tym razem wcale się nie uśmiechnął.

Joanna chyba zrozumiała, że posunęła się o krok za daleko, bo

podziękowała tylko zdawkowo, pożegnała się i wyszła z gabinetu naczelnika, a on w spokoju mógł wreszcie dopić kawę i nakarmić rybki w stojącym pod oknem akwarium.

Basia i Marek

Basia wiedziała od zawsze, że Kaszowski jest kompletnie nieprzewidywalny i że właściwie nie powinna wiązać z nim żadnych planów życiowych. Spora wada, ale też nie miała zaleta, kiedy tak naprawdę nie chce się z nikim wiązać planów, bo kiedy raz się je z kimś związało, to ten ktoś tak boleśnie zawiódł. Marek był specyficzny, ale miał też w sobie dużo ciepła, którego za nic nie chciał okazywać ani ujawniać. Dla młodej dziewczyny ktoś taki byłby koszmarem, ale dla Basi, która już trochę w życiu widziała, trochę wiedziała i nabyła zdolność czytania w człowieku wykraczającą poza granicę pozorów, takie znajdowanie czegoś, co skrzętnie ukryte, stanowiło interesującą odmianę i było na swój sposób ekscytujące. Może zresztą kiedyś to dzikie i strasznie poranione zwierzę w końcu da się oswoić, może wtedy ona, nie mniej dzika i poraniona, oswoi się z nim. Na razie żadnego przymusu, żadnego zobowiązania, spełniania czyichś oczekiwań ani oczekiwania na spełnienie własnych. Na razie inteligentna gra z inteligentnym człowiekiem. W co? Trochę w chowanego, w ślepca, w berka, no i oczywiście w łamigłówki. Do tego ostatniego akurat Marek nadawał się jak mało kto.

Doktor Barbara Batke stała przy ciągnącym się przez nieomal całą długość pomieszczenia szarym blacie, na którym znajdował się mikroskop, dalej lodówka do przechowywania próbek, separator, podświetlarka do slajdów i zestaw specjalnych lamp do wykonywania makrofotografii. Trzymała w rękach plik zdjęć, na których uwiecznione zostały fragmenty zwłok wydobytych przy tamie we Włocławku. Na jednym z ujęć widać było dłoń z charakterystycznym sygnetem na palcu. Zaabsorbowana oglądaniem fotografii, nie zauważyła Kaszowskiego, który od dobrych kilkunastu sekund stał w drzwiach wejściowych do laboratorium, przyglądając się temu, co robi, a może bardziej po prostu przyglądając się jej samej.

– Boże, jak ty tu kompletnie nie pasujesz – przemówił w końcu, a ona obróciła się do niego z miękkim uśmiechem.

– Co zrobisz? Tak wybrała, tak ma.

Podowała mu plik zdjęć, on obejrzał je z raczej umiarkowanym zainteresowaniem.

– Mężczyzna około czterdziestu lat, przyczyna śmierci zmiżdżenie tchawicy, prawdopodobnie przez uderzenie tępym narzędziem, niewykluczone, że pięścią...

– Pięścią? – zainteresował się Kaszowski.

Basia wyjęła z jego rąk zdjęcie, na którym uwieczniono fragment szyi.

– Tu tak dobrze nie widać, ale przy autopsji wyszło, że na gardle były cztery mocniejsze wybroczyny, tak jakby odcisnęły się kości zaciśniętej dłoni. – Basia oddała mu zdjęcie i zaczęła zdejmować laboratoryjny fartuch.

– Kiedy?

– Nie da się dokładnie określić momentu zgonu, ale ciało w wodzie znalazło się prawdopodobnie o szóstej dwanaście rano dziewiątego listopada.

– Basia uśmiechnęła się tajemniczo.

– Aż tak dokładnie? – Kaszowski spojrzał na nią zdziwiony.

Przeszukała plik zdjęć, aż w końcu znalazła to, na którym uwieczniony został zegarek ze wskazówkami i datownikiem na tle czarnej tarczy.

– Facet miał w kieszeni zegarek tradycyjny, na baterie. Zegarek był wodoodporny, ale prawdopodobnie pękł, kiedy ciało wpadło do wody. Zatrzymał się od razu, kiedy do wnętrza dostała się woda, a to nastąpiło o szóstej dwanaście dziewiątego. Na podstawie autopsji stwierdziliśmy, że ciało znajdowało się w wodzie przez mniej więcej miesiąc, stąd wychodzi mi, że musiał to być dziewiąty listopada.

– Jaka ty jesteś przebiegła. – Kaszowski uśmiechnął się do Basi, a przy okazji spojrzał na jej odsłoniętą teraz po zdjęciu białego kitla szczupłą i niezwykle ponętą figurę.

– No co ty... – Basia poczuła na sobie jego przyjemnie taksujące spojrzenie. – Mogę jeszcze dodać, że jeśli to rzeczywiście była pięść, to

sprawca ma małe dłonie i najprawdopodobniej jest leworęczny.

Kaszowski nieco się zafrasował, co nie umknęło uwadze Basi. Przyjrzała mu się w oczekiwaniu na coś, co zaraz niechybnie jej powie. On zauważył, że ona zauważyła, przez moment się zawahał, ale zdał sobie sprawę, że ona i tak już wie więcej, niż mu się wydaje.

– Będę miał prośbę.

– Widzę. – Riposta przyszła tak szybko, że Kaszowski już się dłużej nie wahał.

– Gdybyś mogła tego nie ujawniać. Przynajmniej na razie. – W jego wzroku, głęboko pod zwałami męskości, doświadczeń, zarozumiałości, pychy i zblazowania, ukrywały się oczy chłopca, który właśnie przed chwilą narozrabiał i teraz trochę obawia się konsekwencji.

Basi pomimo wrodzonej przenikliwości bardzo rzadko zdarzało się wypatrzyć u Kaszowskiego coś takiego, a bardzo lubiła te momenty. Uśmiechnęła się.

– Mogę spróbować. Przynajmniej na razie. – Przedrzeźniła go, bo tylko tak mogła się odnieść do swojego spostrzeżenia sprzed chwili. – Idziemy do mnie?

– Miałem nadzieję, że o to spytasz.

Jak to dobrze, że inni ludzie są tak mało spostrzegawczy, jak to dobrze, że większość kobiet jest zbyt roztrzepana, żeby zauważyć, jaki niesamowity urok ma ten mężczyzna. Basia wzięła wiszącą na oparciu krzesła torebkę i wyszła, spowijając po drodze Marka smugą swoich feromonów wymieszanych z delikatnie uwolnioną nutą zapachu Immortal Beloved.

To samo miejsce, inny czas. Teraz z kartką opisaną jako wyniki badania laboratoryjnego w rękę stała Joanna, Basia w drugim końcu sali przygotowywała próbki do badania mikroskopowego.

– „Przyczyna śmierci: zmiążdżenie tchawicy, które zablokowało dostęp powietrza do płuc i w efekcie spowodowało uduszenie...” – Joanna przerwała lekturę i spojrzała w kierunku Basi, która ostentacyjnie nie zwracała na nią

uwagi. – Tylko tyle udało się ustalić?

– W kwestii bezpośredniej przyczyny zgonu tak – odpowiedziała Basia, nie przerywając swoich zajęć i nie spoglądając nawet w stronę Joanny.

– Skąd wiedzieliście, że to było jego ciało?

– Nie od razu wiedzieliśmy, ale jeśli ktoś zgwałcił i zamordował osiem dziewczyn, to choćby był nie wiem jak ostrożny, musiał gdzieś zostawić jakieś swoje śmieci. – Basia podeszła z wypreparowaną już próbką do mikroskopu, położyła ją na stoliku pod obiektywem, przycisnęła łąpkami i spojrzała na Joannę. – Swoją drogą to ciekawe. Szanowany obywatel, pracownik agencji reklamowej, żadnej przeszłości kryminalnej, ułożone życie osobiste, pan Piotr Pawlak... w życiu byśmy go nie namierzyli.

– A tak ktoś was wyręczył.

Basia nie odpowiedziała, tylko zajrzała w oko mikroskopu.

– Rozumiem, że przy zwłokach Piotra Pawlaka nie znalazła pani żadnych śmieci, które pomogłyby w identyfikacji jego zabójcy? – drążyła Joanna.

Basia podniosła głowę znad mikroskopu, ale nie spojrzała na Joannę, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że męczy ją zestaw przygotowanych pytań.

– Nie.

– A w jego mieszkaniu?

– W jego mieszkaniu, w ukrytych w piwnicy słoikach z formaliną znaleźliśmy palce, osiem małych palców prawych dziewczęcych dłoni. Tych palców brakowało za każdym razem przy zwłokach, czasem brakowało więcej, bo zwłoki były obgryzione przez drapieżniki, ale tych małych palców brakowało zawsze. Widać miał taki fetysz.

– Tak, i rozumiem, że z niekłamana przyjemnością uznaliście sprawę za zamkniętą.

Basia teraz już zupełnie straciła zainteresowanie rozmową i wróciła do oglądania próbki pod mikroskopem.

– Sprawę o bestialskie zgwałcenie, okaleczenie i zamordowanie ośmiu dziewcząt w wieku od szesnastu do osiemnastu lat tak. Ale oczywiście, bo pewnie to panią bardziej interesuje, nadal pracowaliśmy nad wyjaśnieniem

okoliczności zamordowania mordercy.

– Niestety bezskutecznie.

Sarkazm Joanny nie speszył Basi, uśmiechnęła się tylko lekko, nie podnosząc oczu znad okularu mikroskopu.

– Zabójca nie pozostawił śladów.

– A może zabójczyni?

– Może. – Basia skończyła oglądanie próbki, wyciągnęła ją spod obiektywu i nagle podeszła bardzo blisko do Joanny. – A to by coś zmieniło?

Inspektor Zieliński już od kilku dni nagabywał Joannę o spotkanie. Ona jednak wymawiała się brakiem czasu, bo po pierwsze, wciągnęła ją praca, której podjęła się na jego zlecenie, po drugie, tak naprawdę nie lubiła przebywać w ciężkim od betonu i biurokracji gmachu siedziby BSW, po trzecie wreszcie, choć uznawała Zielińskiego za doskonałego specjalistę i szanowała go jako przełożonego, to spędzanie czasu w jego towarzystwie było akurat ostatnią z rzeczy, które zdefiniowałaby jako kuszące. W końcu jednak w poniedziałek rano zjawiała się w jego biurze i stanęła przed nim gotowa do złożenia pierwszego raportu w sprawie.

– Proszę usiąść, pani Joanno.

Zieliński jak zawsze był pełnym wdzięku dżentelmenem, kłopot był tylko taki, że ów wdzięk kompletnie nie przekonywał Joanny. Z uśmiechem usiadła po drugiej stronie biurka i żeby zademonstrować swoje zdystansowanie, spojrzała na sufit, który znajdował się wysoko ponad jej głową. Ogólnie wystrój i proporcje architektoniczne tego gabinetu przywodziły jej na myśl dziwne i mroczne pomieszczenie biblioteczne, w którym za rzędami szaf spotykają się dziwni ludzie, żeby uzgadniać detale swoich niejasnych przedsięwzięć.

– Mamy coś, pani Joanno?

Bezpośredniość pytania i to, że zostało ono zadane właściwie natychmiast po rozpoczęciu spotkania, zaskoczyły ją. Zieliński wydawał się zadowolony,

bo przecież właśnie o to mu chodziło.

– Na razie niewiele – odparła, wolno dobierając słowa. – W papierach bałagan, nikt za bardzo nie chce rozmawiać, a sam komisarz Kaszowski jest...

– Chamem. – Zieliński przerwał jej bezceremonialnie. – Tak, to wiemy. Niech pani podraży temat niejkiej Agnieszki Piotrowskiej. W papierach pani tego nie znajdzie, ale my wiemy skądinąd, że pani Piotrowska była siostrą ostatniej z zamordowanych dziewczyn i zdaje się jako jedyna znała treść wierszyka... tego, którym jako swoim podpisem posługiwał się morderca.

– Skądinąd? – Joanna wydobyła z kontekstu słowo, które najbardziej ją zafrapowało.

– Pani Joanno... – Zieliński niestety znów się uśmiechnął. – W tej sprawie prowadzimy szeroko zakrojone działania, pani stanowi, powiedziałbym, ogniwo zasadnicze, ale nie jedyne.

– A jakie inne ogniwa i w jakich miejscach mamy jeszcze rozlokowane? – Joanna postanowiła dopytać, bo mętne wyjaśnienie Zielińskiego pogłębiło jedynie mętność sprawy, zamiast ją wyklarować.

– W terenie pracuje wielu naszych ludzi i tyle. Dobrze? – ostatnie słowo Zieliński wypowiedział po pauzie i bardzo wyraźnie. Nie czekając na odpowiedź Joanny, podsunął jej teczkę. – Tutaj znajdzie pani trochę bardziej szczegółowe informacje na temat dziewczyny, o której mówiłem.

Wnioskując z rytmu, którym Zieliński zakończył zdanie, Joanna z pewną ulgą skonstatowała, że spotkanie niniejszym zbliża się do końca. Już chciała wstać, gdy inspektor zwrócił się do niej z jeszcze jedną sprawą.

– Pani Joanno, proszę oczywiście skupić się na razie na rozwikłaniu tej kwestii, a kiedy ją pani zamknie, podrzucimy kolejne, ale chciałbym, żeby już teraz wiedziała pani, że nie bez kozery posłałem panią właśnie do Kaszowskiego. – Nieco teatralnie zawiesił głos i wbił w nią wzrok, upewniając się, czy to, co teraz powie, zostanie potraktowane z należytą uwagą.

Joanna, choć wyraźnie wbrew sobie, bo jej główną intencją było opuścić ten mroczny tramwaj, z którym teraz dla odmiany skojarzył jej się gabinet

inspektora, zastygła w oczekiwaniu.

– W każdym wydziale, w każdej komendzie policji w dowolnym momencie możemy znaleźć błędy, uchybienia proceduralne, naciągane dowody i tak dalej, ale z Kaszowskim chodzi o coś znacznie poważniejszego. – Zieliński najwyraźniej szykował się do dłuższej przemowy. – Mniej więcej pół roku temu z centralnego magazynu dowodowego zniknęło w przybliżeniu pół tony kokainy przejętej rok wcześniej w ramach wspólnej akcji CBS i FBI w porcie gdyńskim. Sprawa wyszła dopiero dwa tygodnie temu w czasie rutynowej kontroli. Wcześniej przez minimum pół roku na półkach w workach identycznych jak te, w których składowane były narkotyki, leżała mieszanka mąki i kredy. Co ciekawe, człowiek, który pracował w tamtym okresie jako magazynier, zdążył odejść z policji i jak się teraz okazało, wyjechał najprawdopodobniej z kraju. – Zieliński znów zawiesił głos, żeby puenta wybrzmiała jak najlepiej. – Mamy poważne przesłanki, by sądzić, że w sprawę zaangażowany był Kaszowski.

– Rozumiem. – Joannę natychmiast zastanowiło, dlaczego Zieliński nie powiedział jej o tym od razu, a skoro nie powiedział od razu, to dlaczego mówi jej o tym w tej chwili.

– Ostatnio prosiłem panią o zachowanie ostrożności, ale nie ujawniłem powodów. Teraz ujawniam, bo uznałem, że lepiej, by pani wiedziała zawczasu, z kim i z czym ma tak naprawdę do czynienia.

– Dziękuję, panie inspektorze. – Joanny nie przekonał ten naprędce uszyty argument. – Czy mam szukać też w tym kierunku?

– Na razie spokojnie, ma pani dosyć innej roboty, ale jeśli przy okazji, gdzieś na boku coś pani usłyszy, zobaczy, to oczywiście proszę mnie natychmiast informować.

Ojciec

W tej chorobie wszystko się wymyka, choć najczęściej osobom przez nią dotkniętym wydaje się, że wszystko jest w najlepszym porządku. Z tatą Joanny było dokładnie tak samo. Najpierw wydawało mu się, że jest

normalnie, bo przecież wszyscy piją, każdy kolega, część koleżanek, rodzina, sąsiedzi, generalnie wszyscy przecież co rusz się upijają. Z czasem zaczęło bywać trochę nie do końca normalnie, zdarzały się różnego rodzaju potknięcia, a to o płotek na podwórku, a to o własną córkę, która notorycznie prosiła, żeby przestał to robić. Przystawał, jakiś czas był potulny, na samo wspomnienie ostatniego incydentu odechciewało mu się nawet zbliżyć do alkoholu. Niestety, pamięć złych rzeczy wietrzeje najszybciej. Kiedy robiło się już znów normalnie, przychodził czas na uczestnictwo w tym wydumanym świecie, w którym wszyscy przecież są pod wpływem alkoholu, przychodził czas, żeby się napić. Po tygodniu, czasem dwóch, kiedy nie miał już siły dojść do sklepu czy toalety, nagle robiło się znów cholernie nienormalnie, znów było piekło.

Telefon dzwonił już po raz trzeci w ciągu dwóch minut i Joanna nie miała wątpliwości, czyj głos usłyszy po drugiej stronie, gdy już odbierze. Na razie jednak nie miała jak tego zrobić, bo z ciężkimi siatkami w rękach gramoliła się po drewnianych schodach na drugie piętro. Na domiar złego na klatce w tym momencie zgasło światło i wokoło zapanowały takie ciemności, że Joanna musiała po omacku stopami wyczuwać kolejne stopnie. Na szczęście Piotrek zawsze wypatrywał jej przyjazdu i zawczasu wychodził na ostatnie półpiętro, żeby się przywitać. Zrobiło się jaśniej. Kiedy weszli do mieszkania, Joanna odstawiła siatki na kuchenny blat, wyciągnęła telefon z torebki i odebrała, nie spoglądając nawet na wyświetlacz.

– Cześć, tato. Nie odbierałam, bo niosłam zakupy, a mam tylko dwie ręce. Dyszę, bo niosłam zakupy, mieszkamy na drugim piętrze, pamiętasz? Tak, wszystko w jak najlepszym, Piotruś jest koło mnie, chcesz pogadać? Wiem, tato, że Waldek jest na wolności, bo sama ci o tym powiedziałam. Nie, nic nam nie grozi. Pracuję w policji, mam broń, kolegów z prewencji. Dobrze, tato, zadzwonię jeszcze później, jak trochę tu ogarnę.

Odłożyła komórkę na blat. Wreszcie mogła się przywitać z mężczyzną swojego życia, który już plądrował siatki w poszukiwaniu czegoś niespodziewanego.

– Cześć, bohaterze. Przywitasz się najpierw z mamą czy z siatkami?

Dziewięcioletni przystojniak o blond włosach do ramion dał mamie całusa, po czym natychmiast wrócił do porzuconej czynności.

– Wszystko okej? – Joanna domagała się rozmowy.

– Pewnie.

– W szkole?

– Mamo! – Piotrek wszedł całkiem niedawno w fazę rozwoju, w której nadmierny kontakt z rodzicami staje się czymś nienaturalnym, a nadmierny kontakt z mamą czymś jeszcze bardziej nienaturalnym.

– No co? Zaraz będę oddzwaniać do dziadka i zdawać mu pełne sprawozdanie, więc muszę być dobrze poinformowana. Dziadek się o nas strasznie martwi.

W tym momencie z sypialni wyszła pani Ela, która oprócz tego, że opiekowała się Piotrkem pod jej nieobecność i była jego najbliższą po mamie i oczywiście dziadku osobą, to zajmowała się też trochę domem. Teraz skończyła prasowanie.

– Chyba że go akurat nie ma.

Ela trafiła w sedno. Prostolinijność i bezpośredniość należały do jej głównych zalet. Niektórzy pewnie uznaliby to za wadę, ale Joanna do takich ludzi nie należała. Tym razem jednak głównie ze względu na obecność Piotrka nie chciała drążyć tematu i skwitowała tylko trafną refleksję delikatnym uśmiechem.

– Jadł? – Joanna spojrzała w kierunku Piotrka, który właśnie znalazł w jednej z siatek coś, czego szukał z taką intensywnością, a był to czekoladowy baton.

– Oczywiście. Zrobiłam ogórkową, a w piecyku są zrazy, mogę pani odgrzać.

– Pani Elu, będę miała jeszcze prośbę... – Kobieta spojrzała na Joannę wyczekująco. – Gdyby pani miała jeszcze godzinkę, chciałabym wyskoczyć, dosłownie na moment.

Ela jeszcze przez chwilę czujnie taksowała Joannę spojrzeniem, po czym

upewniwszy się, że Piotrek zdążył już zniknąć z batonem w czeluściach swojego pokoju, zapytała konfidencjonalnym tonem:

– Mężczyzna?

– Niestety nie – odpowiedziała z żalem Joanna, bo tego w jej odczuciu wymagała sytuacja, zresztą tak naprawdę nie musiała wcale tego żalu specjalnie udawać. – Praca.

Ela pokręciła głową z niezadowoleniem.

– Gdyby to był mężczyzna, dałabym pani nawet trzy godziny...

– Postaram się obrócić w trzy kwadranse.

Po wejściu do pogrążonego w ciemności laboratorium Joanna zawahała się przez moment, czy nie byłoby rozsądniej po prostu zapalić światła i zrobić to, co zamierzała zrobić, bez ukrywania się. Miała przecież do tego oficjalne prerogatywy. W końcu jednak z przyczyn nie do końca dla siebie na tym etapie zrozumiałych światła nie zapaliła i ruszyła do wysuwanych półek z segregatorami, oświetlając sobie drogę jedynie poblaskiem z ekranu telefonu komórkowego. Spośród kilkunastu szuflad stalowej szafy wybrała tę, w której miały się znajdować nazwiska mieszczące się w alfabetycznym przedziale od „Ora” do „Rut”. Kiedy wyciągała teczkę z nazwiskiem Pawlak, z nieprzyjemnym zgrzytnięciem włączyła się stojąca tuż obok szafy laboratoryjna lodówka i Joanna aż podskoczyła, omal nie wypuszczając akt z ręki. Po chwili doszła do siebie i nadal nie rozumiejąc, dlaczego robi to wszystko w trybie tajnym, zajrzała do wnętrza teczki. Przejrzała pobieżnie jej zawartość przy świetle z telefonu i szybko doszła do wniosku, że znajdują się tam jedynie informacje, które i tak udało jej się już zebrać. Teczka była oficjalna, a ona szukała czegoś, co znalazło się poza głównym nurtem sprawy, szukała drugiego dna. Odłożyła akta do szuflady, zamknęła ją najciszej, jak się dało, i rozejrzała się wokoło. Pod oknem stało biurko, które oświetlał poblask wpadającego przez niedomknięte stalowe żaluzje sodowego światła ulicznej latarni. Joanna podeszła do biurka i otworzyła najniższą ze znajdujących się po jego prawej stronie szuflad. Wypełniały ją nieomal po brzeg różnego rodzaju papiery. Na wierzchu leżały głównie

czyste formularze i protokoły. Trzymając w jednym ręku komórkę, która wciąż stanowiła jej główne źródło oświetlenia, drugą wprawnym ruchem przerzuciła kilkanaście kartek. W końcu znalazła kilka szepionych zszywką stron, które wzbudziły jej zainteresowanie. W nagłówku pierwszej przeczytała „Protokół sekcji zwłok Piotra Pawlaka”, nerwowo przerzuciła kolejne kartki, w końcu znalazła dokładnie to, czego szukała. „Wyniki badań śladów ujawnionych na ciele denata”. Szybko przebiegła tekst wzrokiem, skupiając się głównie na fragmentach, które ktoś zaznaczył jaskrawym flamastrem, następnie przejrzała jeszcze kolejne strony protokołu, ale nie znalazła już na nich niczego interesującego. W końcu włożyła go dokładnie w to samo miejsce sterty papierów, z którego wcześniej go wyjęła. Cały plik wsunęła do szuflady, zgasła ekran telefonu i wyszła.

Następnego ranka Kaszowski był w wyjątkowo dobrym nastroju z dwóch powodów. Pierwszym był fakt, iż poprzedni wieczór spędzony w towarzystwie pani doktor Batke okazał się pod każdym względem udany, drugim była pewna nadwiedza, w którą wyposażył go wieloletni serdeczny kolega, podkomisarz Błaziak, pełniący minionej nocy funkcję oficera dyżurnego komendy. Od mniej więcej kwadransa u Kaszowskiego gościł z poranną wizytą Jacek – oficjalnie panowie planowali rozkład obowiązków na nadchodzący dzień, a tak naprawdę dyskutowali na temat układu w tabelach i na boiskach Ligi Mistrzów, której kolejny mecz miał zostać rozegrany tego wieczora. Omawiali właśnie możliwe rozstrzygnięcia w meczu Arsenalu z Realem, kiedy do gabinetu Kaszowskiego bez pukania weszła pani komisarz Majewska. Napotkawszy wzrok stojącego w rogu gabinetu, łuskającego słonecznik aspiranta Czerwińskiego, straciła na moment rezon. Gdy chcąc ukryć zakłopotanie, sięgnęła do torebki po notes, na podłogę wypadł jej długopis. Schyliła się po niego, jednak Jacek był szybszy i gdy oboje kucnęli, ich spojrzenia ponownie się spotkały, tyle że tym razem odległość między nimi była znacząco mniejsza. Kaszowski przyglądał się całej sytuacji z lekkim rozbawieniem. Tymczasem Joanna i Jacek podnieśli się, wciąż na siebie popatrując.

– Może pani usiądzie, pani komisarz? Jakaś pani taka dzisiaj niespokojna.

W propozycji Kaszowskiego zawierało się tyle ironii, że nawet gdyby Joanna planowała wcześniej skorzystać z krzesła, teraz z całą pewnością nie mogła już tego zrobić. Odłożyła więc tylko na biurko długopis, który zdawał się jej zawadzać, i otworzyła notes.

– Z akt podręcznych sprawy 154/11/2013 właściwie nic nie wynika. Nie ma żadnych protokołów z przesłuchań w sprawie zabójstwa?

– Jakiego zabójstwa? – Kaszowski wiedział doskonale, że to, o czym mówi w tej chwili Joanna, to zaledwie przygrywka do jakiegoś dalszego ciągu, i bawiąc się nieco sytuacją, wydłużał ją ponad miarę.

– Zabójstwa Piotra Pawlaka. Kojarzy pan takie wydarzenie sprzed lat? – Joanna starała się nie pozostawać dłużna. – Czy przesłuchał pan na przykład członków rodzin zamordowanych dziewcząt?

– Pani komisarz, to nie jest szkoła w Szczytnie ani nawet gabinet woskowych figur BSW. – Kaszowski lekko się zeźlił, co zdenerwowało go tym bardziej, że obiecywał sobie, że nie da się sprowokować.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie. – Joanna wyczuła irytację w głosie komisarza i postanowiła iść za ciosem. – A czy w toku intensywnego śledztwa udało się panom na przykład ustalić – po raz drugi zerknęła w stronę Jacka, tym razem zrobiła to jednak odważniej i bardziej służbowo – że jedna z zamordowanych miała starszą siostrę, która była mistrzynią Europy w karate?

– Owszem, ustaliliśmy też, że pani Agnieszka Piotrowska, bo o niej pani mówi, jako jedyna znała wierszyk. – Kaszowski przeszedł do kontrnatarcia. – Wypadł pani chyba as z rękawa.

Joannie chwilę zajęło przegrupowanie sił.

– A przesłuchał ją pan? – W tym ostatnim pytaniu nie było już sarkazmu, raczej zwykła ciekawość.

Kaszowski spoglądał tylko na nią, nic więcej nie mówiąc. Trwające o kilka sekund zbyt długo milczenie przerwał w końcu Młody.

– Tak, pan komisarz pojechał do niej wtedy osobiście.

– I co wynikło z tych odwiedzin, panie komisarzu?

– Że w dniu zabójstwa pana Pawlaka nie było jej w mieście. – Czerwiński ponownie udzielił odpowiedzi za Kaszowskiego.

Tymczasem komisarz, który najwyraźniej uznał rozmowę za definitywnie skończoną, przystąpił do przeglądania rubryki sportowej w leżącej na biurku gazecie. Joanna popatrzyła chwilę na niego, następnie zerknęła na Jacka, który tym razem był zażenowany postawą przełożonego, i ruszyła do wyjścia z gabinetu.

– Długopis. – Słowo wypowiedziane przez Kaszowskiego zatrzymało ją w pół kroku. Joanna wróciła do biurka i szybkim ruchem wzięła swoją własność. – I do tego jest pani leworęczna. – Dopiero po wypowiedzeniu tego zdania komisarz podniósł głowę znad gazety i uśmiechnął się do Joanny.

Nie odwzajemniła jego serdeczności. Właśnie dotarło do niej, że oto Kaszowski wytrącił jej kolejnego asa, którego nawet przed nim nie ujawniła. Zerknęła jeszcze na niego i wyszła, tym razem definitywnie, z gabinetu. Jacek patrzył chwilę za nią, po czym obrócił się do szefa, a w jego wzroku zawierało się pytanie i lekki niepokój. Kaszowski nie mógł jednak nijak rozbroić obaw swojego asystenta, jego spojrzenie zapadło się w pustkę, a myśli powędrowały w czasie.

Kaszowski siedział w swoim volvie nieomal tak starym jak szwedzka motoryzacja, zaparkowanym przy pustej o tej porze ulicy Stalowej. Przeglądał gazetę, odrywając wzrok co pewien czas, by zerknąć we wsteczne lustro. Musiało być wtedy bardzo słonecznie, bo kiedy w końcu zobaczył wychodzącą z bramy Agnieszkę, w śnieżnobiałej sukience i opadających miękko na ramiona blond włosach wyglądała jak świetlna zjawą, a może nawet jak anioł. Dziewczyna szła chodnikiem i żywo rozmawiała z kimś przez telefon. Kiedy zrównała się z tyłem samochodu, Kaszowski sięgnął przez siedzenie pasażera, otworzył boczne drzwi, blokując nimi nieomal całą szerokość chodnika, i wychylił się w jej stronę.

– Pani Agnieszka Piotrowska?

W oczach anioła natychmiast pojawił się lęk. Skinęła głową.

– Komisarz Marek Kaszowski z komendy stołecznej. – Kaszowski pokazał zawieszoną na szyi odznakę. – Wsiądzie pani na chwilę?

– Muszę kończyć, zadzwonię później. – Agnieszka przerwała połączenie, włożyła telefon do torebki, spojrzała już teraz nieco spokojniej na policjanta i uśmiechnęła się. Z jej uśmiechu przebijał smutek. – A mam inne wyjście?

Kaszowski nie odpowiedział, dziewczyna zaś wsiadła do auta i zamknęła drzwi. Przez chwilę nikt nic nie mówił, ona patrzyła przed siebie, a on patrzył na nią i za nic nie mógł posklejać faktów w logiczną całość.

– Czy będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę? – W końcu to ona przerwała przedłużające się milczenie.

– Nie, a jeśli może mnie pani poczęstować, to właściwie też chętnie bym zapalił. – Zastanawiał się, czy ta sytuacja jest trudniejsza dla niej czy dla niego.

Nerwy robiły swoje i Agnieszce zajęło dobrą chwilę wyszukanie w torbie paczki cienkich mentolowych. Poczęstowała policjanta, sama wyjęła zapalniczkę. Kaszowski przyglądał się jej pięknym, smukłym dłoniom. Fakt, iż wszystkie czynności wykonywała lewą ręką, właściwie wydawał mu się w tej chwili bez znaczenia, dużo bardziej zajmowało go chłonięcie jej delikatności, niewinności i świetlistości, która nie gasła, mimo że słońce skryło się na moment za chmurami, a ona siedziała w zamkniętym samochodzie z gnuśnym policjantem. Kiedy wyciągnęła do niego rękę z zapalniczką, Kaszowski delikatnie wyjął ją z jej dłoni. Najpierw podał ogień jej, a potem przypalił sobie. Palili chwilę w milczeniu.

– Jest pani leworęczna. – Bardziej skonstatował, niż zapytał.

– Tak. A to coś złego? – spytała trochę zaczepnie.

– Nic złego. – Kaszowski się uśmiechnął. – To nawet lepiej, pewnie jest pani zdolniejsza na przykład ode mnie.

– Zdolniejsza w czym?

– Może do czego. – Kaszowski ukłął i natychmiast tego pożałował. – Po prostu jest pani zdolniejsza.

Znów chwilę palili w milczeniu, ona o dziwo wydawała się trochę

spokojniejsza, może uspokoił ją papieros, może zachowanie policjanta, a może po prostu powoli przyzwyczajała się do nowej sytuacji i do myśli o tym, co może się teraz wydarzyć.

– Czy pamięta pani, gdzie była w nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada zeszłego roku?

– Nie, chyba nie, a jaki to był dzień tygodnia?

– Z piątku na sobotę. – Kaszowski nie patrzył teraz na nią, nie chciał widzieć jej twarzy, kiedy kłamała.

– A, to pewnie byłam u rodziców, na weekendy jeżdżę czasem do nich... to znaczy właściwie nawet często jeżdżę.

– Rozumiem. – Kaszowski wyjął z kieszeni portfel i zaczął czegoś w nim szukać. – Pani Agnieszko, chciałbym panią zapytać o coś, co może dotknąć pani sfery osobistej... może nawet bardzo dotknąć pani sfery osobistej.

Spojrzał znów na nią, ona delikatnie pokiwała głową, jej oddech nieco przyspieszył. Przyszło mu do głowy, że przypomina teraz trochę ptaka, którego ktoś nagle i nieoczekiwanie zamknął w stalowej klatce albo złapał w dłoń.

– Akurat przy ciele pani siostry nie znaleźliśmy żadnych konkretnych śladów świadczących bezpośrednio o tym, że za jej zabójstwem stał człowiek, którego ciało wyłowiliśmy niedawno z Wisły. – Kaszowski pokazał Agnieszce zdjęcie Pawlaka, które w końcu wydłubał z portfela.

Dziewczyna na widok twarzy mordercy na moment kompletnie zdrętwiała.

– Czy ma pani jakiś powód, żeby sądzić, że ona też była jego ofiarą? – dokończył.

Agnieszka na dobre kilkanaście sekund zapadła się głęboko w siebie. Kaszowski nie ponaglał, czekał cierpliwie.

– Powiedziała mi, że umówiła się na dyskotecę z tym od wierszyków. – Mówiła teraz bardzo szybko, tak jakby chciała zdążyć, zanim kompletnie się rozpadnie. – Poszłyśmy razem, ale ona błagała, żebym się nie ujawniała. Może się bała, że starsza siostra wyrwie jej chłopaka, nie wiem. Widziałam ich, widziałam, jak tańczyli i jak potem razem wyszli, i to był ostatni raz...

ostatni raz w życiu, kiedy ją widziałam, moją ukochaną siostrzyczkę, której nie potrafiłam ochronić... Rozumie pan?!

Dziewczyną wstrząsnęły najpierw nieme spazmy, potem z jej oczu popłynęły wielkie jak grochy łzy. Kaszowski tego nie widział, bo patrzył już w tym momencie na swoje kolana. Nie miał siły na nią spojrzeć. Mimo wielu lat w policji, mimo lawiny własnych nieszczęść nie był w stanie tego udźwignąć. Znow przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło, ciszę przerywały tylko jej ciche pociąganie nosem. W końcu Kaszowski zdobył się na odwagę.

– Pani Agnieszko, nie będę już pani więcej niepokoił. Proszę się tylko upewnić, że tamtego dnia była pani u rodziców, może widziała się pani z kimś jeszcze... z kimś zaufanym.

– Ale ja byłam... byłam wtedy u rodziców... na sto procent... teraz już pamiętam... – Dziewczyna wyciągnęła z torby chusteczki, wytarła oczy.

– To dobrze, pani Agnieszko, to bardzo dobrze. – Kaszowski pokiwał głową.

– Czy ja mogę już teraz... – Z jednej strony wiedziała, że człowiek, z którym właśnie skończyła rozmowę, jest jej wielkim sprzymierzeńcem, z drugiej bardzo chciała już móc wylecieć ze stalowej klatki. Chciała z niej wylecieć tym bardziej, że jeszcze przed momentem myślała, że nie wyleci z niej przez długie lata.

– Oczywiście, proszę bardzo. – Komisarz poczuł nagle wielkie zmęczenie.

Kobieta otworzyła drzwi i szybko wysiadła z samochodu, a kiedy Kaszowski był już przekonany, że nic więcej się nie zdarzy, schyliła się raz jeszcze i spojrzała na niego, a w jej oczach była wdzięczność, jakiej nie widział chyba nawet na obrazach świętych, kiedy jeszcze zdarzało mu się je widywać.

– Dziękuję.

Zamknęła delikatnie drzwi, a komisarz jeszcze przez moment patrzył, jak oddala się w promieniach wiosennego słońca, które z jakiegoś prawdopodobnie zupełnie niezwiązanego ze sprawą powodu znow przebiło

się przez pędzone wiatrem nad praską ulicą chmury. Ona szła, a on wiedział już teraz ponad wszelką wątpliwość, że nigdy nie zdoła zrozumieć, jak to wszystko w ogóle było możliwe.

Joanna wchodziła po skrzypiących drewnianych schodach, które przywodziły jej na myśl schody do jej własnego mieszkania, z tą różnicą, że tutaj inaczej niż u niej oprócz skrzypiących połamanych gdzieś stopni zniszczona była cała klatka schodowa. Na ścianach łuszczyła się farba, w kątach walały się śmieci, a na domiar złego wszędzie unosiła się gryząca woń uryny. Dopiero na piętrze, na którym znajdowały się oznaczone numerem osiem drzwi do mieszkania, sytuacja wyglądała nieco inaczej. Nie tylko same drzwi, ale i cały fragment klatki był odmalowany, i to w gamie ładnie łączących się zieleni. Joanna zapukała. Po chwili dał się słyszeć dźwięk zaczepianego o framugę łańcucha, po kolejnej drzwi uchyliły się nieznacznie i w wąskiej szparze pojawiła się twarz starszej teraz nieco Agnieszki.

– Dzień dobry. – Twarz dziewczyny rozluźniła się na widok zadbanej kobiety o srogich rysach i ciepłych oczach.

– Dzień dobry. Nazywam się Joanna Majewska, jestem z policji, chciałabym z panią chwilę porozmawiać. Można?

Agnieszka zablokowała się na moment zaskoczona, po chwili odczepiła łańcuch i zaprosiła gościa do środka.

– Oczywiście, proszę bardzo.

Idąc za Agnieszką w kierunku małej, urządzonej w stylistyce nowoczesnej rustykalności kuchni, Joanna przez uchylone drzwi zauważyła zasłane równo brązową satynową tkaniną łóżko i fragment stolika nocnego w sypialni. Była to ta sama sypialnia, w której dziewczyna spotkała się tamtej nocy z mordercą. O tym jednak ani Joanna, ani nikt inny oprócz samej Agnieszki na całym Bożym świecie nie miał pojęcia.

– Napije się pani kawy? A może herbaty?... Mam też yerbę?

– Nie, dziękuję bardzo, ja tylko na chwilę, chciałabym pani zadać kilka pytań.

Agnieszka odstawiła czajnik elektryczny, do którego już zamierzała nalać wody. Spojrzała na stojącą obok stołu komisarz.

– Ale usiądzie pani?

– Tak, tak, oczywiście.

Joanna usiadła na białym krześle pomalowanym w kwiaty, Agnieszka po drugiej stronie stołu na niemal identycznym, pomalowanym na czerwono.

– Pani Agnieszko, na początek chciałabym zapytać, czy pamięta pani, co robiła w nocy z dziewiątego na dziesiątego listopada dwa tysiące trzynastego roku. Wiem, że to było dawno i być może...

– Pamiętam doskonale – przerwała Agnieszka – już kiedyś mnie o to pytano... Jakiś pan też chyba z policji pytał, ale to ze dwa lata temu. No więc dziewiątego był piątek i prosto z zajęć na uczelni pojechałam na dworzec i do Olsztyna. Z dworca odebrał mnie samochodem tata i pojechaliśmy do domu rodziców.

– Rozumiem. – Joanna nie zamierzała łatwo odpuścić. – A czy poza rodzicami jest może ktoś jeszcze, kto mógłby to potwierdzić?

– Że przyjechałam do rodziców?

– Że była pani w Olsztynie tamtej nocy.

Agnieszka zastanowiła się chwilę, Joanna przez cały czas nie spuszczała z niej wzroku, tak jakby prawda kryła się nie w słowach, ale w mimice twarzy, w oczach, w kącikach ust, w delikatnie drgających nozdrzach dziewczyny.

– A tak, moja przyjaciółka. Przyszła do rodziców pod wieczór i poszliśmy na długi spacer. Tam wokół domu są ogromne tereny, lasy, sporo pagórków. Dom jest właściwie pod Olsztynem, wieś Wołowno, zna pani te okolice?

Joanna pokręciła głową, widać było, że powoli traci argumenty.

– Szkoda, tam jest bardzo pięknie. – Agnieszka przyjrzała się przez moment Joannie. – Może jednak zrobię tej yerby?

– Nie, nie, zaraz będę szła.

– A może chce pani numery telefonów? – Agnieszka się ożywiła.

– Jakie numery?

– No, do moich rodziców i do Dominiki, do mojej przyjaciółki. Tamten pan chciał.

– Nie, dziękuję bardzo... – Nagle Joannie przyszło coś do głowy. – Chociaż może tak, nie będę musiała szukać w aktach. Jakby pani mogła mi zapisać.

Wyciągnęła z torebki notes i długopis i podała Agnieszce. Dziewczyna otworzyła notes lewą ręką, w prawą ujęła długopis, a Joanna straciła w tym momencie wszelką nadzieję. Ostatnie z pytań, które w jej pierwotnym zamierzeniu miało zwieńczyć dzieło zniszczenia, być ciosem nokautującym Agnieszkę, Joanna zadała już raczej automatycznie, może z czystej prywatnej ciekawości.

– Była pani mistrzynią Europy w karate?

– Juniorów, stare dzieje. To ma jakieś znaczenie? – Dopiero teraz Agnieszka skończyła wpisywać numery, podniosła głowę znad kartki i spojrzała na Joannę.

– A pani siostra, ona też ćwiczyła?

Po tym pytaniu Agnieszka zachwiała się po raz pierwszy w czasie tego spotkania, trwało to wprawdzie krócej niż mgnienie oka, ale nie umknęło uwagi Joanny.

– Nie, Marysia nie ćwiczyła... i dlatego nie miała jak się obronić. – Na twarzy dziewczyny pojawił się bardzo delikatny i bezdennie smutny uśmiech.

Joanna poczuła, że jeśli teraz zada jeszcze jedno pytanie, to osiągnie to, po co tu przyszła, i dziewczyna się podda.

– Dziękuję, pani Agnieszko, to wszystko, o co chciałam panią zapytać.

Agnieszka uśmiechnęła się do Joanny, ale w głębi jej duszy nie było radości.

Pawlak był już znów w sypialni, naga Agnieszka wstała z łóżka i ruszyła powoli w jego stronę. On ścisnął w prawej ręce schowaną za przegubem dłoni strzykawkę. Ona podeszła do niego powoli, delikatnie się uśmiechając,

oddech miała trochę przyspieszony, wargi lekko rozchylone, niewielkie piersi wydały mu się jeszcze jędrniejsze. Nagle zaczęło się z nią dziać coś niepokojącego, wyraz jej twarzy się zmienił, usta zacisnęły, w oczach pojawiły się łzy. Zorientował się, że coś jest nie tak, opuścił strzykawkę w dłoni i podniósł rękę w górę do ciosu. Dokładnie w tym momencie otrzymał potężne uderzenie w krtań. Strzykawka wypadła mu z ręki. Kiedy lekko się pochylił, dosięgnął go kolejny cios, tym razem kopnięcie w okolice uda. Upadł na kolana, schylił głowę, ręką złapał się za gardło. Agnieszka uniosła ramię, żeby zadać ostateczny cios w kark, ale nie zadała, bo już nie było takiej potrzeby. Pawlak przewrócił się na bok, jego twarz podbiegła krwią, nie był już w stanie złapać oddechu. Po chwili dotarło do niego, że już nigdy go nie złapie.

Prokurator Sobecki

„Składniki zawarte w occie jabłkowym przyspieszają rozszczepianie się tłuszczów i są pomocne w procesie odchudzania...” Do cholery, co ja czytam? Czy ja już zwariowałem od tego bycia sam na sam ze sobą? Czy odchudzanie się może być receptą na kontakt z ludźmi? Jak będę chudy, to otoczę się gronem znajomych, będę rozchwytywany, zapraszany? Co za idiotyzmy mi przychodzą do głowy w ogóle? Z drugiej strony, co człowiek ma zrobić? Nic? Siedzieć tylko całe życie i zastanawiać się, jak przecześć kolejną godzinę, jak po przyjsciu do pracy nie sprawiać wrazenia dzikusa? Ile to już lat będzie od rozvodu? Dwanaście w lipcu. Przez dwanaście lat nie udało mi się na tyle podnieść, żeby nawiązać z kimś relację. Serwisy randkowe, chyba już ze sześć, w kółko te same pytania, te same odpowiedzi, to samo w opisach, od razu się wydaje, że będzie nudno, choć przecież w rzeczywistości mogłoby nie być. No i to popijanie w samotności. Co może człowiek robić, jeśli poza pracą właściwie cały czas spędza we własnym towarzystwie? Może tylko tak zmieniać swoją świadomość, żeby mu się wydawało, że czasem obcuje z kimś innym. Muszę kupić ten ocet, może jednak to coś pomoże. Sobecki spojrzał w kierunku drzwi.

Kiedy tym razem Kaszowski wszedł z typowym dla siebie rozmachem do

gabinetu naczelnika, miejsce, na którym spodziewał się zastać komisarz Majewską, zajmował na oko czterdziestopięcioletni, niewysoki, lekko łysejący mężczyzna z wąsem. Choć w pomieszczeniu było dwadzieścia kilka stopni, miał na sobie jasny, zapięty na wszystkie guziki płaszcz. Na jego kolanach spoczywał skajowy neseser w najbrzydszym z możliwych odcieni brązu oraz plastikowa torba, która sprawiała wrażenie użytej o kilkadziesiąt razy za dużo. Kaszowskiemu w pierwszej kolejności przeszło przez głowę pytanie, czy bardziej wygnieciona jest owa reklamówka, odzież mężczyzny czy wreszcie on sam jako taki. Spoglądającym na niego mężczyzną był prokurator Sobecki.

– Cześć, Witek, a co ty taki jakby wczorajszy troszkę? – Kaszowski podszedł do mężczyzny i podał mu rękę.

– Andrzeja było – skłamał Sobecki. Następnie od razu umknął wzrokiem w kierunku siedzącego za biurkiem i karmiącego rybki w stojącym pod oknem akwarium Talaka.

– Tak, tym razem, jak widzisz, Mareczku, skład nam się nieco zmienił. Jest nasz Witek, o którego obecność tak zabiegała pani komisarz, a jej nie ma. I to pomimo że to spotkanie też ona zamówiła.

– Bo?

– Nie wiem, niezbadane są wyroki Biura Spraw Wewnętrznych. Pani komisarz była na tyle kulturalna, że zadzwoniła przed chwilą, zgłaszając niedyspozycję, i to jest dobra wiadomość. – Talak odczekał chwilę dla wzmocnienia efektu puenty. – Ale jest też druga, gorsza.

– Że? – Kaszowski słynął z rzeczowości swoich pytań.

– Że pani komisarz obiecała jutro do nas wrócić. – Talaka ubiegł tym razem Sobecki.

Kaszowski przyjrzał się prokuratorowi. Jego uwagę przyciągnęła pomięta torba foliowa, którą prokurator trzymał kurczowo na kolanach i która sprawiała wrażenie, jakby nic albo prawie nic w niej nie było.

– Witek, co tam masz w tej torbie?

– Zakupy, a co? – Sobecki wyraźnie się spieszył, komisarz zaś pomyślał, że

ten, kto zna tajemnicę zawartości tej pomiętej plastikowej torby, ten wie o Sobeckim na pewno więcej niż on. Znał prokuratora od ponad dwudziestu lat, ale tak naprawdę nie wiedział o nim zbyt wiele.

Kiedy Marek wrócił w końcu do domu, było już po ósmej wieczorem. Pierwsze kroki skierował do lodówki. Otworzył ją, ale nic w niej nie znalazł i od razu pożałował, że odmówił Basi, która proponowała, by spędził u niej także i ten wieczór. Z zasady unikał sytuacji, w których po jednym wspólnie spędzonym dniu następowałyby kolejne. Wymyślił sobie, że gdyby złamał tę zasadę, to po jakimś czasie mogłoby się okazać, że spędzają już razem całe życie. W swojej zarozumiałości zakładał bowiem, że nie dość, że Basi taki układ by nie przeszkadzał, to wręcz skrycie do niego dąży. Dziś jednak, może po raz pierwszy od początku ich relacji, Marek wolałby złamać zasadę. Psychiczny mozół ponownego wejścia w sprawę, która już kiedyś kosztowała go tak wiele, teraz tylko się spotęgował. Na dodatek pojawienie się nazwiska Zielińskiego sprowokowało go znów do powrotu w czasy minione, a tego w życiu bał się najbardziej, bo to tam tkwiły ukryte jego mroczne demony. Zdjął płaszcz i rzucił go na niegdyś elegancką, a obecnie mocno już spękaną skórzaną kanapę. Podeszedł do biurka i włączył komputer, po czym opadł ciężko na fotel, który stanowił komplet ze skórzaną kanapą i który tak jak ona czasy swojej świetności miał dawno za sobą. Po upływie mniej więcej minuty, którą komisarz spędził na wpatrywaniu się w wiszący na przeciwległej ścianie obraz olejny przedstawiający zimowy krajobraz gdzieś na Podlasiu, komputer brzdęknięciem oznajmił gotowość do współpracy. Marek przesunął się wraz z fotelem do biurka, włączył przeglądarkę internetową, w okienku wyszukiwania wpisał „Andrzej Zieliński” i wcisnął enter.

SZPION

Z pokoju hotelowego wyszło dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w elegancki garnitur i niebieską koszulę z bawełny najwyższej jakości, zwieńczoną doskonale dobranym krawatem w wiśniowe prążki. Mężczyzna na nogach miał dziurkowane buty typu oksford, w ręku trzymał teczkę z miękkiej cielecej skóry. Tuż za nim szedł dwumetrowy kolos z bardzo krótko ostrzyżonymi włosami. On też był w garniturze, ale elegancją nie mógł się równać z tym, którego ochraniał. Panowie po taśmie wiśniowego dywanu doszli do miejsca, w którym korytarz stawał się szerszy. Ochroniarz zerknął na ochranianego i dopiero gdy ten kiwnął głową, nacisnął przycisk przywołujący windę. Przez chwilę stali w oczekiwaniu na jej przyjazd i wyłączywszy ową krótką wymianę spojrzeń, przez cały ten czas nie mieli ze sobą właściwie żadnego kontaktu. Kiedy drzwi od windy się otworzyły, wyższy mężczyzna przepuścił niższego, rozejrzał się jeszcze na boki, po czym sam wsiadł. Winda ruszyła w dół, panowie stali obok siebie, niższy silniej zacisnął dłoń na ręczce z miękkiej skóry.

W holu hotelowym, w którym znaleźli się po wyjściu z windy, panował umiarkowany tłok. Ochroniarz szybko zlustrował mężczyznę stojącego przy recepcji, kilka dziewcząt siedzących na hokerach w barze po lewej i jeszcze jednego mężczyznę, który choć czytał gazetę, w momencie ich pojawienia się zerknął w stronę niższego. Panowie ruszyli w kierunku szklanych automatycznych drzwi, które prowadziły z holu na ulicę. Stojący przy drzwiach boy hotelowy w brązowym uniformie ze złotymi wykończeniami uklonił się przed nimi, uchylając brązowej czapki. W tym momencie sytuacja nabrała dynamiki, której nic wcześniej nie zwiastowało. Przed wejściem do budynku zatrzymał się nagle z piskiem motocykl krosowy, z którego zeskoczył mężczyzna w kasku z krótkim karabinkiem typu uzi w rękach, drzwi się otworzyły i rozpętało się piekło. Mężczyzna w kasku przeciągnął serią po całym wnętrzu, szczęśliwie ponad głowami recepcjonisty

i mężczyzny, który stał akurat przy kontuarze. Kolejną serię skierował już w tych, którzy byli jego celem od samego początku, czyli w mężczyznę z teczką z miękkiej cielej skóry i w jego ochroniarza. Ochroniarz próbował jeszcze sięgnąć za połę marynarki, pod którą miał ukrytą broń, ale nie zdążył, bo dwie, jak się później miało okazać, kule trafiły go w nogi i rzuciły na podłogę. Jego podopieczny miał mniej szczęścia, bo kule trafiły go w korpus i mężczyzna padł, tracąc przytomność. Wtedy ten w kasku podbiegł do niego, wyrwał teczkę i wybiegł z hotelu. Nagle zrobiło się bardzo cicho. Po chwili z fotela, w który wcisnął się na czas wydarzeń, wstał mężczyzna z gazetą, szybkim krokiem podszedł do leżących, spojrzał na mężczyznę, który wcześniej niósł teczkę, i wyszedł z hotelu. Dopiero po upływie kilkunastu sekund z za kontuaru wychylił się recepcjonista i mężczyzna, który tam się schronił. Jako ostatni wyszedł z bocznych drzwi służbowych boy hotelowy. Cały hol zasypany był szkłem z rozbitych szyb i luster, drewnianą boazerią stanowiącą tło recepcji podziurawiły kule. Jeszcze przez dłuższą chwilę nikt się nie ruszał, dopiero po jej upływie recepcjonista sięgnął po telefon, a boy podszedł wystraszony do jęczącego z bólu ochroniarza.

Przed tą samą recepcją, choć z boazerią wymienioną na jaśniejszą, z teczką w jednej ręce i z wyciągniętą z niej przed chwilą kartką w drugiej stała teraz Joanna. Na owej kartce ktoś, kto był tu zaraz po wydarzeniach, sporządził plan sytuacyjny. Teraz, dwa lata po tamtej strzelaninie, Joanna próbowała umiejscowić to, co widziała przed sobą, z tym, co miała na planie trzymanym w ręku. Po chwili zauważyła stojącego przy drzwiach boya, z teczki wyciągnęła kolejną kartkę, zerknęła na nią i podeszła do mężczyzny.

– Pan się nazywa Andrzej Wiśniewski?

– Kto pyta? – Boy spojrzał na nią niewzruszony.

– A tak, oczywiście, przepraszam. – Joanna przełożyła teczkę i kartki do jednej ręki, drugą z bocznej kieszeni wyciągnęła swoją legitymację. – Joanna Majewska, jestem z Biura Spraw Wewnętrznych Policji.

– Okej. A o co chodzi?

– Pan Wiśniewski? – Joanna ponowiła pytanie.

Boy kiwnął głową.

– Chciałabym zadać panu kilka pytań.

– Odnośnie? – Mężczyzna nie zdradził żadnych emocji, przez cały czas był bardziej skupiony na wchodzących gościach, którym co rusz kłaniał się z uśmiechem, niż na stojącej przed nim policjantce.

– Odnośnie do pierwszego sierpnia dwa lata temu. – Joannie wyraźnie nie podobał się jego demonstracyjny brak poważania, dlatego ostatnie zdanie powiedziała nieco głośniej, wolniej i zdecydowanie wyraźniej.

Skutkiem tego Wiśniewski utrzymał na niej swoją uwagę przez kolejne dziesięć sekund, ale nie sprawiał przy tym wrażenia, jakby wiedział, o co konkretnie chodzi Joannie.

– Często zdarzają się u państwa zamachy?

– A... Boże, to już dwa lata minęły? – Wiśniewski wreszcie sobie przypomniał, co zasygnalizował Joannie szerokim uśmiechem ukazującym wyraźne braki w tylnej części uzębienia.

Joanna przytaknęła ruchem głowy, nie dzielając jednak jego entuzjazmu. Była przekonana, że Wiśniewski bawi się z nią w kotka i myszkę.

– Niewiele pamiętam, zresztą wtedy wszystko opowiedziałem. – Mężczyzna spoważniał.

– Może jednak nie wszystko? – Joanna nie odpuszczała.

– Wszystko.

– O okolicznościach zajścia może opowiedział pan wszystko, ale mnie bardziej interesuje zachowanie policjantów.

Boy spojrzał na nią zaskoczony.

– Jak się zachowywali, co robili, jaka była ich postawa? – wyjaśniła.

– Jak to „ich”? A pani nie jest policjantką?

Bezpośredniość i oczywista logika pytania na moment wybiły ją z rytmu.

– Jestem... policjantką. – Problem ze zdefiniowaniem swojej roli przed boyem hotelowym zirytował w końcu ją samą. – Jestem policjantką i jako

policjantka pytam pana, jak zachowywali się moi koledzy!

Ostatnie zdanie komisarz Majewska wypowiedziała tak stanowczo, że Wiśniewski stracił dotychczasową pewność siebie.

– Jak się zachowywali? No, chyba normalnie... Najpierw zjawili się cywilni, tacy w garniturach, potem się okazało, że to w ogóle nie była policja, tylko jacyś z wywiadu czy skądś, wolę nie wiedzieć... – Zerknął na rozmówczynię, która wydawała się nieugięta. – Oni mają tu siedzibę dwa budynki dalej. – Joanna kiwnęła głową; w ten delikatnie zawoalowany sposób udało jej się przynajmniej dowiedzieć, jakie mianowicie służby zjawily się na miejscu przed Kaszowskim. – No, a potem przyjechali pani koledzy. – Wiśniewski uśmiechnął się z przekąsem.

Przed wejściem do hotelu stała karetka, kilka cywilnych opli i dwa oznakowane radiowozy. Z holu w kierunku karetki wyjechały nosze – prowadzący je pielęgniarz jedną ręką pchał wózek, a w drugiej trzymał uniesioną w górę kroplówkę. Na noszach leżał nieprzytomny, podpięty do aparatury medycznej ochroniarz. Na brzuchu miał defibrylator, który monitorował funkcje życiowe. Obok noszy siedł jeszcze jeden mężczyzna w garniturze z identyfikatorem zawieszonym na kulkowym łańcuszku na szyi. Przed wejściem stało kolejnych dwóch mężczyzn, którzy wyglądali jak klony tego przy noszach.

W tym momencie na hotelowy parking zajechało volvo Kaszowskiego. Z komisarzem przyjechała też Monika Malisz. Wysiadła pierwsza i pierwsza ruszyła w kierunku wejścia do hotelu. Marek siedział jeszcze chwilę i przyglądał się sytuacji przez częściowo zaparowaną boczną szybę, tak jakby próbował zebrać jak najwięcej informacji o zastanej rzeczywistości, zanim wysiadzie i konfrontując się z nią, natychmiast straci wszelki obiektywizm. W końcu ruszył w ślad za Moniką. Kiedy dotarli do drzwi, drogę zagroził im mężczyzna, który przed chwilą towarzyszył mężczyźnie na noszach, a teraz, po odjeździe karetki, wracał do hotelowego holu. Kaszowski, instynktownie przewidując dalszy przebieg wydarzeń, wyprzedził Monikę o dwa kroki i jako pierwszy podszedł do wejścia.

– Komisarz Marek Kaszowski, komenda stołeczna – powiedział, próbując znaleźć w jednej z rozlicznych kieszeni swojego płaszcza legitymację służbową. – Wydział Zabójstw i Terroru Kryminalnego, a to jest podkomisarz Monika Malisz...

Zanim zdążył dokończyć, Monika pokazała swoją legitymację. Ona nigdy nie miała problemu z jej znalezieniem.

– No właśnie... – Kaszowski uznał, że formalnościom stało się zadość i ruszył w kierunku holu, ale mężczyzna w garniturze zagroził mu przejście wyciągniętą ręką.

– Na razie nie można – powiedział znudzonym tonem wyzbytym wszelkich emocji.

Monika jakby nie dosłyszała tej informacji, ruszyła dalej przed siebie, omijając wyciągniętą rękę tego w garniturze. Mężczyzna złapał ją odrobinę mocniej, niż gdyby chciał ją jedynie zatrzymać.

– Powiedziałem, że nie można.

Kaszowski nie bez złości skonstatował, iż poziom emocji u mężczyzny w garniturze z plakietką na kulkowym łańcuszku spadał wprost proporcjonalnie do wzrostu napięcia sytuacyjnego. Postanowił poeksperymentować, poza tym choć sam nie był szczególnie szarmancki wobec kobiet, nadużywanie siły fizycznej wobec płci słabszej zawsze budziło u niego zdecydowany sprzeciw. Złapał mężczyznę za dłoń i wykręcił mu nadgarstek z taką siłą, że tamten klęknął, a na jego twarzy wreszcie pojawiła się mieszanka zdziwienia, wściekłości i lekkiego przestraszenia.

– Już można?

Kaszowski popatrzył na klęczącego, który wyglądał teraz trochę jak paralityk zrzucony z wózka. Mężczyźni po chwili na odsiecz ruszyło dwóch pozostałych, stojących w pobliżu wejścia klonów.

– A już się bałem, że jesteś robotem.

Kaszowski puścił nadgarstek tego w garniturze, obrócił się do zbliżających się mężczyzn i wyciągnął w ich kierunku odznakę, którą wreszcie udało mu się wygrzebać gdzieś z kieszeni.

– Policja państwowa – powiedział bardzo powoli i wyraźnie.

Tamci stanęli, a Kaszowski wziął Monikę delikatnie pod ramię i oboje weszli do hotelowego holu.

Jedyną rzeczą, która świadczyła o niedawnych wydarzeniach, były plamy krwi na podłodze i rozrzucone wszędzie pozostałości po medycznej interwencji w postaci zakrwawionych opatrunków, ampułek i strzykawek. Kaszowski rozejrzał się wkoło po zniszczonym wnętrzu, spojrzał na podłogę, po której wiele rodzajów obuwia rozniosło krwiste ślady. W tym momencie podszedł do nich kolejny mężczyzna z identyfikatorem. Kaszowski szybko ocenił, że ten musiał być wyższy rangą. Jego garnitur był w lepszym gatunku.

– Dobry wieczór. Na razie muszę państwa przeprosić, teren został objęty naszą jurysdykcją.

Kaszowski, zmęczony już trochę monotonną powtarzalnością komunikatu, nie spojrzał w ogóle na mężczyznę, tylko od razu na jego identyfikator, pokręcił głową i przeczytał na głos:

– Służba Kontrwywiadu Wojskowego, major Roman Nowaczyk. Czyli wiemy już przynajmniej, panie majorze, że nie nazywa się pan Nowaczyk... – Komisarz dopiero teraz spojrzał na mężczyznę. – Mówi pan, że teren jest objęty waszą jurysdykcją? A co, konstytucję zmieniliście? Stan wojenny jest?

Tymczasem Monika, korzystając z tego, że panowie zajęci byli rozmową, zbliżyła się do miejsca oznaczonego plamami krwi.

– Za chwilę będzie stosowna decyzja z ministerstwa. – Major Nowaczyk próbował bronić straconej pozycji.

– Ciekawe, z którego, bo chyba podlegamy pod różne? Jak będzie, to będzie, panie majorze, ale na razie nie ma, więc pozwoli pan... – Kaszowski podjął próbę ominięcia Nowaczyka, ale za nim stanęło kolejnych dwóch, roślejszych tym razem panów w garniturach.

– Ranni zostali nasi ludzie i my się tym zajmiemy. – Nowaczyk wydawał się mocno zdeterminowany.

– Ranni zostali ludzie, a jak strzelają w tym mieście do ludzi – Kaszowski zerknął na ścianę za recepcją podziurawioną serią z broni maszynowej – to ja

się tym zajmuję.

Komisarz zamierzał przejść, tamci stali, zagradzając mu drogę, sytuacja robiła się coraz bardziej napięta. Nagle od strony drzwi hotelowych dobiegły odgłosy szarpaniny i do holu, przepychając się między stojącymi przy wejściu panami z SKW, wszedł prokurator Sobecki ze swoją nieodłączną teczką i torbą foliową oraz w swoim charakterystycznym jasnym prochowcu drugiej świeżości. Widząc Kaszowskiego otoczonego przez trzech panów w garniturach, Sobecki ruszył prosto w jego stronę.

– Dzień dobry, Witold Sobecki, Prokuratura Rejonowa Warszawa-Śródmieście. – Ruchem głowy wskazał grupę garniturowców, po czym zerknął na Kaszowskiego. – O co chodzi?

– Pan major sugeruje, że lepiej będzie, jak oni sami we własnym zakresie zatuszują sprawę... – wyjaśnił Kaszowski.

– Nie mówiłem nic o tuszowaniu. – Nowaczyk wydawał się szczerze oburzony poczynioną insynuacją.

– Zatuszować potem, najpierw zdeptać. – Kaszowski spojrzał wymownie na podłogę.

– No dobrze, dobrze, panowie, nie ma co się unosić, sprawa jest prosta, to jest teren podlegający pod komendę stołeczną, zdarzenie wypełnia znamiona aktu terroru kryminalnego, więc dopóki nie mamy innych wytycznych, komisarz Kaszowski podejmie czynności śledcze, a panowie za moim i jego przyzwoleniem będą mogli mu towarzyszyć.

Sobecki zerknął na Nowaczyka w oczekiwaniu na jego reakcję, po czym uśmiechnął się do niego sympatycznie, ponieważ doskonale wiedział, że nie może się po nim spodziewać żadnego gestu pojednania.

– Panie prokuratorze, pan chyba nie zdaje sobie sprawy, jakie konsekwencje mogą panu...

– Niech pan nie kończy, panie majorze, bo wdepnie pan w coś, w czym może pan ugrzęznąć na dłużej. – Sobecki nie spodziewał się jednak aż takiej impertynencji. – Zmieniłem zdanie, zrobimy inaczej. Komisarz Kaszowski podejmie teraz działania śledcze, a panowie opuszczą to miejsce. W innym

wypadku w ciągu godziny zawiadomię moich przełożonych o próbie utrudniania śledztwa, a idę o zakład, że dowiedzą się też o tym natychmiast media... więc sam pan rozumie. Komu w drogę...

Kaszowski pomyślał, że gdyby wzrok mógł zabijać, Nowaczyka dałoby się już w tym momencie prawdopodobnie oskarżyć o podwójne zabójstwo, ale że szczęśliwie wzrok zabijać nie mógł, to major postał jeszcze chwilę, udając, że za chwilę coś powie, po czym nie mówiąc jednak nic, zebrał swoich ludzi i opuścił hotel. Tymczasem na miejscu zjawili się technicy z Basią Batke na czele. Kaszowski wreszcie podszedł w okolice miejsca, w którym zostali postrzeleni ochroniarz i mężczyzna z teczką, a Monika ruszyła w stronę stojącego w kącie, cały czas roztrzęsionego hotelowego boya Andrzeja Wiśniewskiego.

Zgodnie z poleceniem Talaka, który w ramach działań dyplomatycznych postanowił jednak wyjść przynajmniej w pewnym stopniu naprzeciw oczekiwaniom, Joannie przydzielono pomieszczenie, z którego uprzednio chwilowo wykwaterowano dwóch funkcjonariuszy działu administracyjnego. Ku przerażeniu większości pracowników wydziału Joanna zaczęła zagospodarowywać przydzielony gabinet tak, jakby zamierzała zostać w nim co najmniej przez kilka miesięcy. Na opróżnionym przez poprzedników regale pojawiły się książki z dziedziny kryminalistyki oraz prawa, i to zarówno w języku polskim, jak i angielskim. Na ścianach zawisły plakaty z przedrukowanych okładek PRL-owskiego *Kapitana Żbika*, na oknie i pod nim pojawiły się kwiaty w wazonach i rośliny doniczkowe, na biurku oprócz idealnie rozłokowanych przyborów do pisania i ładnie kompozycyjnie rozłożonych notesów, kalendarzy oraz notatników znalazły się dwa zdjęcia osobiste – na jednym był Piotruś, na drugim mniej więcej sześćdziesięcioletnia przystojna kobieta o pociągłej twarzy, siwych włosach i ładnym, ciepłym uśmiechu. Joanna była właśnie zajęta wypakowywaniem kolejnego kartonu z rzeczami, które przekładała metodycznie do szuflady w biurku, kiedy usłyszała:

– Kaszowski szybko się pani nie pozbędzie.

Joanna uniosła głowę znad kartonu i uśmiechnęła się przyjaźnie do Moniki.

– To zależy.

– Od czego?

– Od niego. Jeśli będzie współpracował, to długo się nie zejdzie.

– Myśli pani, że tylko od niego? – Monika uśmiechnęła się też sympatycznie, ale Joanna zauważyła, że w tym jednym pytaniu zawierało się jeszcze drugie, którego jednak na razie nie zrozumiała.

– A od kogo jeszcze? – Postanowiła podrażnić.

– Od pani chyba też. – Monika sprytnie wybrnęła, ale Joanna wiedziała, że nie to miała ma myśli, zadając wcześniejsze pytanie. – Wzywała mnie pani?

– Nie, nie wzywałam pani, tylko poprosiłam, żeby przekazali, że chciałabym z panią porozmawiać. – Joannie bardzo zależało na skróceniu dystansu. – Proszę usiąść. – Wskazała na stylowy fotel, okaz PRL-owskiego projektantstwa lat sześćdziesiątych, który stał przy trójkątnym stoliku na trzech smukłych nóżkach.

– A tego zestawu chyba tu wcześniej nie było. – Monika usiadła i przejechała dłonią po ładnej, obłej formie podłokietnika.

– Nie było. Wynałazłam go sobie w jakimś magazynie w gmachu BSW, wzięłam do gabinetu tam, teraz przywlokłam tu.

– Naprawdę się pani u nas zadomowiła, i to z dobrym skutkiem, bo jakoś tu u pani przytulniej. Chyba będą przychodzili posiedzieć, jak już się trochę oswoją. To znaczy Marka raczej się nie spodziewam, ale inni, kto wie.

– Pani też się go boi?

Monika

To od zawsze był mój kłopot. Jeśli kobieta nie postawi barier, nie pokaże charakteru, to mężczyzna, szczególnie taki mężczyzna jak Kaszowski, szybko straci zainteresowanie. Z drugiej strony, jeśli nie zależy mu wystarczająco mocno, a zacznie mu się rzucać kłody pod nogi, to pójdzie, bo

nie będzie mu się chciało przez nie przechodzić. Najgorsze jest to, że nawet nie wiem, jak było w moim przypadku, czy poszedł znużony tym, że miał za łatwo, czy zniechęcony trudnościami. Tak czy owak poszedł, a ja zostałam. Oczywiście oficjalnie rozstaliśmy się za obopólną zgodą, uzgodniliśmy, że to nie ma sensu, może nawet przy uzgadnianiu ja byłam stroną aktywniejszą w wynajdywaniu powodów, dla których powinniśmy byli się rozstać. Tyle że robiłam to tylko po to, by uniknąć blamażu, by nie pogłębiać swojego upokorzenia. Złamał mi serce. Nie on pierwszy i nie ostatni pewnie, co zrobisz? Jaki on jest? Trudny, nieprzewidywalny, czasem szarmancki, a czasem zupełnie bez powodu gburowaty, nigdy nie znasz dnia ani godziny. Poza tym zawsze kiedy już mi się wydawało, że coś o nim wiem, że odsłoniłam jakąś kotarę skrywającą jego prawdziwe wnętrze, po chwili okazywało się, że tak naprawdę nic nie wiem i że to, co wydawało mi się prawdą o nim, jest jedynie kolejną kotarą. Dużo emocji, ciekawość i po kilku miesiącach ogromne zmęczenie, taki jest Marek. A ja? Szukam. Dlaczego to ja szukam, a nie mnie szukają? Pewnie kwestia wychowania, a potem program produkujący kolejne klisze sytuacji, zachowań i relacji z innymi ludźmi. Zawsze przesadnie miła, zawsze zbyt chcąca, zbyt podległa. Szukam, ale z dnia na dzień coraz bardziej wydaje mi się, że to jest błędne koło, że z tego nie ma wyjścia, chyba że coś się nagle zmieni, chyba że ja się nagle zmienię.

Monika spojrzała na Joannę zdziwiona.

– Też?

– No tak jak na przykład aspirant Czerwiński, naczelnik...?

– Nie, oni się go nie boją, raczej szanują. Jest za co.

Joanna zorientowała się, że Monika, choć być może ma swoje powody, żeby niekoniecznie lubić Kaszowskiego, to jednak na pewno nie pozwoli sobie na jakąkolwiek wobec niego nielojalność. Właściwie dosyć jej się to w niej spodobało, najbardziej u ludzi nie lubiła postaw oportunistycznych, szybkich zmian frontu, koniunkturalizmu. Monika koniunkturalna chyba nie była.

– Pracowała pani z nim trzy lata.

Bardziej stwierdziła, niż zapytała. Nie chciała już więcej sprawiać na podkomisarz Malisz wrażenia, że próbuje ją ciągnąć za język w jego sprawie.

– Dwa lata, siedem miesięcy i dwanaście dni. – Monika zawahała się przez chwilę, czy nie powiedzieć więcej i trochę się nie odsłonić.

– Aż tak dokładnie? – Joanna uśmiechnęła się w nadziei na kontynuację, ale Monika nagle jednak zmieniła zdanie i postanowiła nie ciągnąć tematu, pokiwała tylko głową i uśmiechnęła się. – W tym okresie, to znaczy w okresie waszej współpracy, doszło do tajemniczego zabójstwa w hotelu...

– ...w hotelu Dublin, pierwszy sierpnia dwa tysiące dwunastego.

– Zapadło w pamięć?

– Gorąco było.

– W sensie okoliczności czy upału?

– W obu sensach.

Joanna się uśmiechnęła. Zrobiła to szczerze, bo ta kobieta zaczynała jej się coraz bardziej podobać – była inteligentna, miała fajne poczucie humoru, ale pod tym wszystkim kryło się coś jeszcze ciekawszego. Gdzieś na drugim planie, pod spodem był w niej smutek, który intrygował.

– Opowie mi pani coś o tym wieczorze? To znaczy w hotelu już byłam, więc mniej więcej wiem, co tam się wydarzyło, ale co było potem?

– Potem... – Monika sięgnęła w odmęty pamięci. – Potem pojechaliśmy do szpitala wojskowego na Szaserów. Jak pani wie – uśmiechnęła się, nie patrząc nawet na Joannę – wokół sprawy od początku kręciło się wojsko, to znaczy służby wojskowe.

Monika stała przy okienku na izbie przyjęć, jej policyjna legitymacja leżała na kontuarze, na wypadek gdyby pielęgniarka po drugiej stronie zapomniała, jaką instytucję reprezentuje podkomisarz Malisz. Tymczasem policjantka od dobrych kilku minut usiłowała wytłumaczyć, że choć nie zna nazwiska tego, kogo szuka, to jednak ustalenie jego tożsamości nie powinno przedstawiać problemu. Kaszowski siedział na krześle vis-à-vis okienka i przysłuchiwał się

rozmowie z pozorną obojętnością.

– Piąty raz pani powtarzam, że nazwiska nie mają tu znaczenia, bo ci panowie wczoraj nazywali się inaczej, a jutro będą się nazywali jeszcze inaczej.

– Ja rozumiem, tylko jeśli pani nie ma nazwisk, to jak ja mam pani cokolwiek ustalić?

– A ile osób dziennie przywozi się tu z ranami postrzałowymi?

– Proszę pani, po pierwsze, to jest szpital wojskowy. – Pielęgniarka zerknęła zniesmaczona w stronę Kaszowskiego, który na jej ostatnią wypowiedź zareagował krótkim paroksyzmem śmiechu. – A poza tym pani myśli, że ja wiem, z czym przywożą?

W tym momencie Kaszowski nie wytrzymał, wstał z krzesła i podszedł do okienka. Pielęgniarka zdążyła zauważyć, że policjantowi nie jest już do śmiechu.

– Czy pani sobie z nas żarty stroi, z policji państwowej?! – Kaszowski ostatnie dwa słowa wypowiedział tonem na tyle podniesionym, że pielęgniarka aż odsunęła się od okienka.

– Ja... nie stroję sobie żadnych żartów. – Zepchnięta na chwilę do linii obrony postanowiła odzyskać utraconą pozycję. – A pan co krzyczy, jak pan z policji, to myśli pan, że wszystko wolno?

Kaszowski już jej jednak nie słuchał, bo chwilę wcześniej obrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi wahadłowych prowadzących na Szpitalny Oddział Ratunkowy. Kiedy je przekroczył, a Monika w ślad za nim, z krzeselka podniósł się na oko osiemdziesięcioletni ochroniarz, który najwyraźniej chciał się dobrze wywiązać z powierzonych mu obowiązków. Wystarczyło jednak, że Kaszowski zerknął w jego stronę, a mężczyzna usiadł z powrotem. Tymczasem zdenerwowana pielęgniarka sięgnęła po słuchawkę szarego telefonu wewnętrznego, wcisnęła czerwony guzik i wybrała numer.

Kaszowski szedł mrocznym korytarzem oświetlonym jedynie wątym jarzeniowym światłem, po drodze otwierał kolejne drzwi do sal zabiegowych, nigdzie jednak nikogo nie było. Po otwarciu piątych z kolei zarówno jego,

jak i Monikę zaskoczył widok salowej, która z mopem zmywała krew z podłogi, rozmazując ją przy tym na wszystkie strony. Kaszowski stał chwilę w drzwiach i przyglądał się tej dziwnej sytuacji. W końcu przerwał milczenie.

– Gdzie go zawieźli?

Salowa spojrzała najpierw na Kaszowskiego, a potem na mop i na krwawą wodę, która z niego ściekała wprost na podłogę. Po chwili wróciła do zmywania.

– Jak gdzie? Na blok, a gdzie go mieli zawieźć?

– A blok gdzie?

– Gdzie blok? Jak gdzie? Na końcu korytarza jest wejście. Gdzie go zawieźli, się pyta.

Salowa raczej prowadziła już teraz rozmowę ze sobą niż z Kaszowskim, który zdążył ruszyć dalej. Monika cały czas szła tuż za nim. Nagle otworzyły się drzwi na końcu korytarza i wyszedł z nich kościsty mężczyzna w białym, poplamionym krwią fartuchu i w przekrzywionym zielonkawym czepku na głowie. Towarzyszył mu znany już im major Nowaczyk, który na swój elegancki garnitur miał teraz narzucony fizelinowy fartuch ochronny. Mężczyzna w czepku zaczął do nich mówić już z pewnej odległości.

– Niestety, dalej nie mogą państwo przejść – dokończył, kiedy spotkali się pośrodku długiego ciemnego korytarza. – Tam jest blok operacyjny, pełna aseptyka, osoby postronne nie mają wstępu.

Kaszowski zerknął na Nowaczyka.

– A pan major, rozumiem, z ramienia Czerwonego Krzyża?

– Nie, pan major też na blok nie wchodził. – Wyglądało na to, że mężczyzna z twarzą przyobleczoną na stałe w ironiczny uśmiešek ma na każde pytanie gotową odpowiedź.

– Jakieś pół godziny temu przywieziono do państwa dwie osoby z ranami postrzałowymi, pan major na pewno wie, o kim mówię. Co się z nimi stało? – Monika mimo wszystko spróbowała pocisnąć.

Mężczyzna w czepku spojrzał na Nowaczyka, tak jakby musiał od niego

dostać pozwolenie na ujawnienie tajemnicy państwowej. Major kiwnął głową.

– Jeden z mężczyzn jest w tej chwili operowany, ma rany postrzałowe nóg, ale jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

– A drugi? – spytał Kaszowski.

– Jeśli chodzi o drugiego, to po półtoragodzinnej reanimacji musieliśmy stwierdzić zgon.

Kaszowski pokiwał głową, jakby z góry spodziewał się takiej odpowiedzi. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– A czy ci pacjenci mają jakieś dane osobowe? – Monika pierwsza przerwała ciszę, która zapanowała po słowach lekarza.

– Zapewne, ja ich jednak nie znam, nie sprawdzam papierów ludzi, którym ratuję życie. – Medyk był nieugięty.

– To chwalebne. – Kaszowski zerknął na Nowaczyka. – A może pan je zna, czy pan również nie sprawdza papierów ludzi, którzy dla pana pracują?

– Na razie nie mam państwu nic do dodania, oprócz tego, że to są, właściwie częściowo byli – Nowaczyk trochę się pogubił w kwestii rozróżnienia żywych i umarłych – agenci pracujący pod przykrywką i ich dane pozostają utajnione.

W tonie jego wypowiedzi Kaszowski wyczuł nutę satysfakcji. Nowaczyk rewanżował się za wcześniejszą porażkę w hotelu.

– Nawet po śmierci?

– Nie mam nic do dodania.

– A kiedy będziemy mogli porozmawiać z panem, który wprowadził się nie nazywa, ale wciąż żyje? – Kaszowski nie rozmawiał już z Nowaczykiem, demonstracyjnie skierował swoją uwagę na lekarza.

– Może już za kilka dni, czas pokaże.

– A ciało tamtego? Możemy je obejrzeć?

Lekarz po raz drugi zerknął na Nowaczyka, ten po chwili wahania z wysokości swego autorytetu kiwnął głową przyzwalająco.

Joanna siedziała na wygodnym skórzanym fotelu w urządzonym w stylu kolonialnym gabinecie obwieszonym zdjęciami z egzotycznych krajów przeplatany portretami ważnych osób, wśród których mieszały się postaci reprezentujące różne kręgi światopoglądowe. Byli tu i papież Jan Paweł II, i generał Wojciech Jaruzelski, Czesław Kiszczak i Jarosław Kaczyński. Na wszystkich tych zdjęciach jednak osobą numer jeden był lekarz, który towarzyszył Nowaczykowi podczas spotkania z Kaszowskim i Moniką na szpitalnym korytarzu. Na ścianach oprócz zdjęć wisiała też mnogość wielojęzycznych dyplomów, na których widniało nazwisko profesora Zenona Kalinowskiego. Profesor Kalinowski nie miał teraz na sobie ani czepka, ani białego kitla, na jego ogorzałej narciarską opalenizną twarzy co rusz w czasie rozmowy pojawiał się za to uśmiech, który nic nie wyrażał.

– Wyjątkowo namolny i niekulturalny człowiek, proszę pani. Jak pamiętam czasy minione, to nawet w komunie policja tak się nie zachowywała.

– Milicja. – Joanna przywróciła profesora do realiów historycznych.

– Nie o nazwy chodzi, proszę pani, tylko zawsze o stosunek do innych, on nawet do ciała po śmierci nie miał szacunku, proszę pani.

Joanna spojrzała na zdjęcie z papieżem i zaczęła się zastanawiać, kiedy ten związany przez całe życie z Ludowym Wojskiem Polskim profesor pułkownik stał się religijny. A może zawsze był, jak wszyscy w tym kraju, tylko na jakiś czas musiał się stać tajnie religijny? Profesor pułkownik kontynuował opowieść.

Kaszowski z Moniką weszli do pomieszczenia, w którym było jeszcze mniej światła niż na korytarzu, poza tym światło tutaj miało zielonkawą poświatę, co dodatkowo czyniło je trudnym do wytrzymania na dłuższą metę. Na jednej ze ścian znajdowały się srebrne klapy włazów prowadzących do zaświatów, czyli do ogromnych lodówek, w których przechowywano zwłoki. Oprócz Kaszowskiego i Moniki byli tu jeszcze profesor Kalinowski w wersji w czepku, kapitan Nowaczyk oraz mężczyzna w wyświechtanym kitlu

z opuchniętą twarzą i obfitym wąsem. Kalinowski kiwnął głową w kierunku mężczyzny, ten zerknął do zeszytu leżącego na stoliku ze sklejki, nie wiedzieć czemu Kaszowskiemu stolik skojarzył się ze szkolną ławką. Następnie mężczyzna z obfitym wąsem podszedł do ściany z włazami, otworzył jeden z nich, włożył rękę do wnętrza lodówki i wyciągnął z niej łoże na stalowych szynach. Na łożu leżały przykryte folią zwłoki. Kalinowski odsłonił folię, ukazując twarz mężczyzny, który w hotelu niósł teczkę.

Kaszowski

Tamtego wieczora po wypadku było jakoś inaczej. Mimo zimy w kostnicy panował straszny gorąc. Co za paradoks, a może tylko mi się wydaje, może to mnie było gorąco, potwornie gorąco. Ale chyba nie, bo zdaje się, że mieli też do tego jakąś awarię chłodzenia czy coś z prądem, bo strasznie się ze wszystkim spieszyli. Nie wiem, jak się tam w ogóle znalazłem, czy mnie przywieźli, czy sam przyjechałem taksówką, czy samochodem, czy od razu może z miejsca zdarzenia. W każdym razie kiedy lekarz odsłonił prześcieradło, coś we mnie zrozumiało, że jedynym, co może mnie uchronić przed odstrzeleniem sobie głowy, jest obłąd. Spojrzałem na bladą twarz Ewy, która wyglądała, jakby spała, ale przecież nie spała, pokiwałem głową, wyszedłem na piwniczny korytarz szpitala, wyciągnąłem z kieszeni płaszcz półlitrowkę, wypilem duszkiem, usiadłem na ławce i czekałem na moment, w którym zapomnę, że istnieję.

Teraz mężczyzna nie miał teczki, jego twarz była podsiniąta, w tym świetle nawet zielonkawa. Oczy miał zamknięte, na szyi i na policzku widać było ślady zaschniętej krwi. Kaszowski sięgnął ręką, odsłonił folię jeszcze kawałek, na prawym boku tuż pod żebrami znajdował się otwór wlotowy kuli; teraz była to lekko obeschnięta niewielkich rozmiarów okrągła rana.

– Są jeszcze dwie rany, jedna w okolicach pachwiny, druga na udzie, ale ta była śmiertelna. Kula rozniosła wątrobę, nastąpił krwotok wewnętrzny, wykrwawił się bardzo szybko. – Doktor Kalinowski spojrzał na Kaszowskiego, ten pokiwał głową. Lekarz zakrył ciało i dał znak temu

z wąsem, by wsunął je z powrotem do zimnego Hadesu.

– Zawodowcy. – Nowaczyk najwyraźniej chciał mieć swój udział w rozważaniach.

– Chyba nie do końca. – Kaszowski zdecydował się polemizować. – Drugi przeżył.

– Drugi jest bez znaczenia. – Nowaczyk za wszelką cenę chciał, żeby jego było na wierzchu, ale widząc oburzone spojrzenie Moniki, sprostował: – Mam na myśli wartość wywiadowczą, nie ludzką.

– Wartość wywiadowcza, muszę sobie zapisać. – Monikę najwyraźniej rozbawiło jego sprostowanie.

– A kule z tego, co miał znaczenie, dostaniemy? – Kaszowski wrócił do tematu.

– Nie widzę przeszkód. – Nowaczyk zdecydował się w końcu na współpracę, co zaskoczyło Kaszowskiego na tyle, że od razu zaczął w tym węszyć jakiś spisek.

Profesor Kalinowski zakończył swoją opowieść o nocnej wizycie policjanta gorszego od milicjantów i spojrzał na zegarek, co niechybnie miało oznaczać, że czas, który zaplanował poświęcić gościowi, właśnie się kończył. Joanna udała, że nie domyśla się jego subtelnej jak pancierz czołgu aluzji.

– Rozumiem. A jeśli chodzi już o samą sprawę, to pamięta pan może coś jeszcze? Na przykład dlaczego przez cały czas obecni byli oficerowie kontrwywiadu wojskowego?

– No cóż, nie pamiętam zbyt wiele, ale to jest, wie pani, szpital wojskowy, ja na przykład oprócz tego, że jestem profesorem medycyny, mam też stopień pułkownika. – Kalinowski spojrzał na Joannę, jakby sprawdzał, czy wywarło to na niej jakieś wrażenie, ona w porę się zorientowała i zdążyła udąć, że wywarło. – Także wie pani, tu są trochę inne reguły gry, że tak powiem, my nie zadajemy zbędnych pytań na przykład.

– Rozumiem, oczywiście. Tylko że dla mnie to nie są zbędne pytania, bo tylko jeśli znajdę na nie odpowiedzi, dojdę do tego, o co w tym wszystkim

chodziło.

– A ja miałem wrażenie, że policja umorzyła już to śledztwo.

– Miał pan wrażenie?

– No, tak mi się wydawało.

– Tak się panu wydawało czy takie informacje otrzymał pan od tych, którym nie zadawał pan zbędnych pytań?

– No, tak to, proszę pani, nie będziemy rozmawiać – obruszył się były członek PZPR, obecnie wojujący katolik, pułkownik rezerwy, profesor Kalinowski.

– Dobrze. W takim razie pozwolę sobie wezwać pana profesora do nas na komendę.

– Ale w jakiej sprawie i w jakim charakterze?

– W sprawie morderstwa, na razie w charakterze świadka.

Pułkownik wyraźnie się zafrasował, chwilę trwało milczenie, okazało się nagle, że nikomu nigdzie się nie spieszy. Joanna, korzystając z okazji, lustrowała kolejne zdjęcia rozwieszane na ścianach i rozstawione na regałach z literaturą specjalistyczną.

– Co pani chce wiedzieć? – spytał pułkownik już bardziej skłonny do współpracy i bardziej obrażony.

– Na przykład co było dalej z tymi kulami? – Joanna oderwała się od zdjęć, udała zaskoczenie, żeby dać pułkownikowi choć odrobinę satysfakcji, i uśmiechnęła się do niego.

– Z jakimi kulami?

– Tymi, które wydobyliście z denata i które pan z kontrwywiadu obiecał Kaszowskiemu?

– Z kulami to nie wiem, ciało przekazaliśmy prokuraturze wojskowej... ale za to ten pani Kaszewski... z nim to jeszcze oczywiście nie był koniec. Potem się dopiero bałagan zrobił.

Joanna nie mogła się doczekać kolejnej odsłony wspomnień pułkownika.

W sali na końcu korytarza stało kilka łóżek, ale zajęte było tylko jedno, pod oknem. Kiedy wszedł Kaszowski, leżący na nim ochroniarz początkowo nijak nie zareagował. Dopiero kiedy komisarz zbliżył się do jego łóżka, mężczyzna zaczął mu się baczniej przyglądać. Kaszowski przyciągnął stojący przy łóżku obok biały stołek z okrągłym siedziskiem i usiadł tuż przy głowie mężczyzny, wciąż jednak nic do niego nie mówiąc.

– O co chodzi? – Zadając pytanie, mężczyzna zerknął kątem oka w stronę wiszącego na kablu przy ścianie przycisku służącego do przywoływania pielęgniarek.

– Dzień dobry. – Kaszowski uśmiechnął się ciepło i serdecznie, tak jakby był członkiem rodziny chorego.

– Dzień dobry. – Mężczyzna cały czas pozostawał czujny. – Czy my...?

– Nie. – Kaszowski sięgnął pod połę płaszcza, żeby z wewnętrznej kieszeni wydobyć odznakę, ale zupełnie nieprzypadkowo odsłonił przy tym zawieszoną w skórzanej kaburze pod pachą glocka. – Nazywam się Marek Kaszowski i jestem komisarzem policji, do tej pory nie mieliśmy okazji, bo o to zdaje się chciał pan zapytać.

Komisarz, który cały czas uważnie przyglądał się reakcjom mężczyzny, zauważył przestrach w jego oczach w momencie, kiedy ten dojrzał glocka, a następnie wyraźną ulgę, kiedy okazało się, że jego rozmówca jest komisarzem.

– Ale jak pan tu wszedł?

– Przez drzwi. – Kaszowski, udając szczere zdziwienie, obejrzał się na wejście do sali.

– Bo tu w zasadzie nie wolno wchodzić.

– Policjantowi? – spytał komisarz, nadal zdziwiony.

Mężczyzna wzruszył ramionami, cały czas zastanawiając się, co musi zrobić, żeby zjawili się tu ci, którzy mieli za zadanie uchronić go przed wszelkimi wizytami, włącznie z wizytami wścibskich policjantów.

– Chciałbym pana zapytać o kilka rzeczy związanych z wydarzeniami tamtego dnia. – Kaszowski wiedział doskonale, że nie ma zbyt wiele czasu,

więc od razu przeszedł do rzeczy. – Dnia w hotelu.

– No tak... To znaczy może pan pytać, ale ja właściwie nic nie pamiętam. – Ochroniarz mówił, wolno cedząc słowa, tak jakby z pomocą każdego z nich próbował się doczołgać do momentu, w którym zjawi się odsiecz. – Lekarze powiedzieli, że to szok i utrata krwi, że może kiedyś pamięć wróci, ale nie wiadomo.

– Nie wiadomo, często w mojej pracy spotykam się z takimi sytuacjami, czasem ludzie nic nie pamiętają, kiedy indziej pamiętają raz tak, raz siak, wie pan.

Kaszowski próbował się upewnić, czy do mężczyzny dotarł aluzyjny sarkazm jego wypowiedzi. Ochroniarz pokiwał głową i nic z tego nie wynikało.

– Ale na szczęście mnie bardziej interesują wydarzenia, które poprzedziły to, czego pan nie pamięta. Chciałbym na przykład, żeby mi pan powiedział, co robiliście tamtego dnia w tym hotelu. Po co się tam znaleźliście, co miało się wydarzyć później, gdyby, powiedzmy, nie wydarzyło się to, co się wydarzyło?

Mężczyzna zerknął w stronę drzwi, tym razem już bardziej nerwowo.

– Czy pan mnie przesłuchuje?

– Nic podobnego, prowadzę sprawę o zabójstwo i usiłowanie zabójstwa, zbieram informacje. Próbuję się dowiedzieć czegoś, co pomoże mi znaleźć tych, którzy pana pozbawili pamięci, a pańskiego szefa życia. – Kaszowski wiedział, że jego czas powoli się kończy.

– Skąd pan wie, że to był mój szef? – Mężczyzna po raz pierwszy spojrzał na Kaszowskiego przenikliwie.

– Nie wiem, zgadłem i zdaje się trafiłem. – Kaszowski się uśmiechnął. – Swoją drogą, proszę mi coś o nim opowiedzieć.

W tym momencie do sali wkroczył profesor Kalinowski, a ochroniarz odetchnął z wyraźną ulgą.

– Przepraszam, a co pan tu robi?!

Pytanie, które Kalinowski zadał, było retoryczne w sposób tak oczywisty,

że Kaszowski nie kwapił się nawet, żeby mu na nie odpowiedzieć. Kontynuował tylko rozmowę z ochroniarzem.

– No więc opowie mi pan coś?

Ochroniarz wpatrywał się w Kalinowskiego, wyczekując pomocy z jego strony. Kalinowski nie zawiódł.

– Teraz to już pan naprawdę przesadził, panie komisarzu. – Kaszowski miał wrażenie, że doktor dla dodania sobie powagi obniżył nawet nieco tembr głosu. – Jeśli natychmiast nie opuści pan tego pomieszczenia, zgłoszę to pańskim przełożonym.

– Ale co mianowicie pan zgłosi, doktorze? – Kaszowski zrozumiał, że jego rozmowa z ochroniarzem tak czy owak na razie się zakończyła, i żeby się czymś zająć, podjął idiotyczny dialog z doktorem, który wypełniał rozkazy.

– Zgłoszę naruszenie regulaminu szpitala i nękanie pacjenta. Proszę natychmiast opuścić salę! – Kalinowski mówił coraz głośniejszym głosem i co chwila zerkał w stronę drzwi. Najwyraźniej teraz to on czekał na odsiecz.

– Zaraz będą – uspokoił go Kaszowski. – Nie musi pan tak krzyczeć, nęka pan pacjenta i narusza regulamin... O, już są, Bogu dziękować.

W tym momencie w drzwiach stanęli dwaj rośli mężczyźni, których Kaszowski do tej pory nie miał okazji poznać, i major Nowaczyk, którego poznał już całkiem dobrze.

– Co tu się dzieje?

– Pan komisarz wszedł do sali, nie pytając nikogo o zgodę.

Kaszowski zastanawiał się, czy doktor ma jakieś brudy w papierach i teraz próbuje się zasłużyć, żeby ktoś mu te brudy z papierów usunął, czy działa, jak działał całe życie, próbując się przypodobać na zapas, bo tak nauczyła go władza ludowa, a może nawet wyniósł to z domu. Komisarz przeniósł spojrzenie na Nowaczyka.

– A pan to tu chyba już zamieszkał, panie majorze. Nie macie tam jakichś poważniejszych spraw w tym waszym archeo?

– Panie komisarzu, proszę nie narażać pacjenta na dodatkowe nerwy, on już dość przeszedł. Nie uważa pan?

– A prosi mnie pan jako rodzina pacjenta czy jako kto właściwie?

Mężczyźni zmierzyli się spojrzeniami, po czym Nowaczyk zerknął w stronę stojących za nim dwóch dużych w garniturach. Mężczyźni jak na zawołanie ruszyli w kierunku komisarza.

– Nie radzę. – Kaszowski pokręcił głową, tamci stanęli, a on po chwili wstał i wyszedł z sali.

Piotrek

Tata. Podobno wyjechał i za jakiś czas wróci. Oni wszyscy chyba naprawdę myślą, że ja w to wierzę. Nie chcę, żeby było im przykro, więc udaję, że wierzę. Ciekawe, czy jak oni byli mali, to wierzyli w takie rzeczy, czy po prostu niewiele pamiętają i muszą sobie teraz wymyślać, jakie jest dziecko i w co wierzy. Trochę tęsknię, ale nie wiem nawet za kim, bo tata „wyjechał”, kiedy byłem zbyt mały, żeby pamiętać, jak wygląda i jaki jest. Czasem mi trochę ciężko w szkole, ale mama z dziadkiem i z panią Elą starają mi się to wynagrodzić. Ogólnie nie jest najgorzej, a tata? Jak wróci, to będzie. A może mama powinna sobie znaleźć jakiegoś innego tatę. No bo ja to ja, ale przecież mamy też chyba potrzebują, żeby pomagał im jakiś mężczyzna oprócz dziadka, ale to zupełnie co innego.

Joanna wprowadziła Piotrka na korytarz szatni. Nie lubiła tego miejsca, kojarzyło jej się bardziej z więzieniem niż ze szkołą. Każda klasa miała do dyspozycji boks, którego ściany wykonano z pomalowanej na zielono siatki ogrodzeniowej. Boksy były jednak tak małe, że kiedy do jednego wchodziło więcej niż troje dzieci, w środku robił się straszny tłok, a ponieważ przeważnie do środka chciało wejść naraz dwadzieścioro dzieci, to zawsze bezpośrednio przed lekcjami i po nich w szatni rozgrywały się dantejskie sceny.

– Mamo, możesz już iść. – Piotrek spoglądał na Joannę wzrokiem wyrażającym prośbę, a jednocześnie delikatną pretensję. Joanna w mig pojęła aluzję, ale matczyne uczucia jak zawsze były silniejsze od zdrowego

rozsądku. Tym bardziej że owe uczucia podszyte były permanentnym lękiem, który teraz, odkąd Waldek był na wolności, stał się jeszcze bardziej uzasadniony.

– Ale ja cię potem cały dzień nie widzę. – Próbowała się usprawiedliwiać.

– Ale ja mam dziewięć lat. – Chłopiec nie odpuszczał.

Joanna rozejrzała się po szatni, przy schodach prowadzących do głównego holu szkoły zauważyła mniej więcej dwudziestopięcioletnią blondynkę, która kiwnęła jej głową, upewniając tym samym, że jest na miejscu, kontroluje sytuację i przejmie Piotrka.

– No dobrze, to lecę.

– To pa.

– A całus? – Joanna znów zagubiła się w realiach.

– Mamo, proszę cię. – Piotrek rozejrzał się wokoło, upewniając się, czy aby któryś z kolegów, albo co gorsza koleżanek, tego nie słyszał.

– No wiem, już dobrze, idę. – Joanna uśmiechnęła się do syna, zmierzwiła mu czuprynę i ruszyła w kierunku wyjścia. Już przy drzwiach raz jeszcze się odwróciła, żeby sprawdzić, czy sytuacja rozwija się wedle jej oczekiwań. Wyszła dopiero, gdy zobaczyła, że Piotrek podchodzi do wychowawczynie o blond włosach.

Gabinet Kaszowskiego wyglądał tym razem nieco lepiej, niż gdy Joanna była tu po raz ostatni. Zaraz po wejściu przemknęło jej przez głowę, że może ma to jakiś związek z jej bytnością tutaj, może niereformowalny gbur, za jakiego uważała komisarza, miał jednak jakąś wrażliwość i istniał cień nadziei, że z czasem da się go choć trochę ucywilizować.

– A pani wciąż tutaj? – Tym jednym pytaniem komisarz sprowadził Joannę z powrotem na ziemię.

– Można? – Joanna puściła jego słowa mimo uszu i uśmiechnęła się do komisarza.

– Jeśli trzeba...

Kaszowski był nieugięty, a ona, siadając po drugiej stronie biurka,

pomyślała, że może komisarz najzwyczajniej w świecie jest mizoginem.

– Co odsmażamy tym razem? – zadał pytanie, okazując jednocześnie maksimum braku zainteresowania odpowiedzią.

– Przecież pan wie.

– Chciałem pani zrobić lepsze wejście.

Jego cynizm był tak bezbrzeżny, że właściwie w pewnym sensie interesujący. Joanna przyglądała się Kaszowskiemu na tyle długo, że wywołała u niego pewien dyskomfort. Dopiero wtedy postanowiła przejść do rzeczy.

– Po sekcji mieli przekazać wyniki i kule. Przekazali?

Kaszowski pokręcił głową.

– A sekcja się w ogóle odbyła?

– Nie wiem.

Ta odpowiedź wyraźnie zaskoczyła Joannę.

– I nie interesował się pan?

Kaszowski znów pokręcił głową, teraz jednak przekornie spojrzał najpierw Joannie w oczy.

– Nie wierzę. A balistyka, ślady pobrane na miejscu, daktyloskopia, DNA...?

– Wszystko przejęła prokuratura wojskowa, która prowadziła śledztwo samodzielnie. Nas nie zaproszono.

– Do tej pory nie odnosiłam wrażenia, że trzeba było pana zapraszać.

Nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko jakby z odrobiną satysfakcji, co dodatkowo dało Joannie do myślenia..

– A jak on się w ogóle nazywał? – nie dawała za wygraną.

– Różnie.

– Jak to „różnie”?

– Miał kilka paszportów, z dziesięć tożsamości, był chyba nawet przez jakiś czas Izraelczykiem, o ile mnie pamięć nie myli.

– Nie udało się ustalić jakiejś jego pierwotnej tożsamości? – Joanna starała

się maksymalnie wykorzystać fakt, że Kaszowski w ogóle zaczął z nią rozmawiać.

– A po co? Co za różnica, czy urodził się w Malmö czy w Radomiu?

– Co za różnica? Doskonałe motto w pracy policjanta. – Komisarz pokręciła głową z niedowierzaniem. – Jakaś rodzina? Gdzie on w ogóle jest pochowany?

Kaszowski przyjrzał się Joannie.

– Właściwie to oni byli trochę podobni do pani.

– Jacy oni? – Joanna zrozumiała, że część merytoryczna ich spotkania właśnie dobiegła końca.

– No, ci chłopcy w gajerkach... chłopcy od tuszowania. Podobni do pani, tylko groźniejsi.

Kaszowskiemu wydało się, że jego ostatnia wypowiedź nieco uraziła Joannę, co sprawiło mu pewną satysfakcję.

– Co ma pan na myśli?

– Z nimi nie ma żartów, sama się pani przekona. Odpuści pani.

Z bliżej niewyjaśnionych przyczyn Kaszowski nagle z cynicznego detektywa przedzierzgnął się w dobrego wujka. To rozsierdziło Joannę.

– Tak jak pan odpuścił?

Nie chcąc zostać ugodzona kolejną celną ripostą komisarza, po zadaniu pytania Joanna wstała i wyszła z jego gabinetu. Kaszowski przez chwilę próbował czytać gazetę, ale najwyraźniej nie mógł się skupić. Po przeczytaniu bez zrozumienia po raz trzeci tego samego akapitu przerwał i się zamyślił.

Kaszowski wszedł do sali oświetlonej błękitem bijącym z ekranów komputerów. Od ponad dwóch godzin czekał tu na niego technik Marcin.

– No co tam masz, że takie pilne? – Kaszowski od razu przeszedł do swojej ulubionej taktyki, którą była obrona przez atak.

Marcin przez moment wahał się, czy podjąć wyzwanie wymiany nieuprzejmości z komisarzem, czy od razu przejść do rzeczy. Zdecydował się

na to drugie, bo wydało mu się ciekawsze.

– Proszę spojrzeć. – Marcin uruchomił odtwarzacz w komputerze i na ekranie ukazał się film z kamery hotelowego monitoringu, na którym pod wejście podjeżdżał motor krosowy z dwójką ubranych w czarne skafandry i czarne kaski mężczyzn. Pasażer natychmiast zeskakiwał, z torby na ramieniu wyciągał krótki karabinek typu rak i zniknął gdzieś poza kadrem. Przez chwilę nic się nie działo.

– Widziałem to osiemdziesiąt razy. Rozumiem, że czekamy, aż w końcu któryś zdejmie kask i się przedstawi?

Marcin pokręcił głową, zatrzymał odtwarzanie, po czym włączył plug-in, który sukcesywnie zbliżał obraz, jednocześnie filtrując go tak, że z obrazu znikwały szумы i piksele.

– Nie ma rejestracji.

– Marcin, nie denerwuj mnie, to ustaliliśmy tydzień temu trzy minuty po otrzymaniu tego materiału. Masz jakieś zmiany miażdżycowe? W twoim wieku?!

Marcin niezrażony czekał, aż program przeliczy obrazek w największym możliwym zbliżeniu. Teraz nieomal cały kadr zajmował fragment baku przykryty częściowo udem kierującego.

– Ale ma za to nazwę i do tego miał niedawno lakierowany bak.

– I co, mam sprawdzić wszystkie motory o tej nazwie w Polsce, żeby dowiedzieć się, czy miały lakierowane baki?

– W sumie tak, tyle że to jest bardzo nietypowy i drogi motocykl krosowy. Sprawdziłem. W Polsce jest zarejestrowanych takich sześć. Tego dnia trzy były na zawodach za granicą, na jednym jakiś kolo trenował pod Jelenią Górą, jeden jest po wypadku i nie jeździ, a jeden... należy do faceta spod Łomianek. – Marcin uśmiechnął się i zadowolony z siebie spojrzał na komisarza.

– No – Kaszowski pokiwał głową z zadowoleniem, po czym na jego twarzy pojawił się delikatnie szelmowski uśmiech – a wcześniej mi nie mogłeś tego powiedzieć?

Ładna bryła zbudowanego z drewna, szkła i zieleni nowoczesnego ekodomu była widoczna już ze sporej odległości, gdyż stała na sztucznie usypanym mniej więcej pośrodku obszernego parku wzniesieniu porośniętym równo przyszyżoną, soczyście zieloną trawą. Samochód Kaszowskiego minął drewnianą bramę i z chrzęstem kół przypominającym rozgryzanie cukierków gryłażowych toczył się po białym jak kreda szutrze w kierunku domu. Kiedy koła w końcu się zatrzymały, jako pierwsza wysiadła Monika, a tuż po niej Kaszowski. Chwilę później przed dom wyszedł wysoki, barczysty mężczyzna ze zdrowo ogorzałym licem. Miał na sobie skórzane spodnie do motokrosu i wysokie buty pod kolano. Mimo chłodu jego tors okrywała jedynie śnieżnobiała bawełniana koszulka. Monika, która wyprzedziła Kaszowskiego o kilka kroków, wyciągnęła z kieszeni legitymację służbową i pokazała ją nadchodzącemu goliatowi w skórach.

– Dzień dobry panu, Monika Malisz, Komenda Stołeczna Policji – obróciła się w kierunku nadchodzącego szefa – a to komisarz Marek Kaszowski...

– Piękna policjantka z rana u mych drzwi, a jaki wydział, jeśli można wiedzieć?

– Zabójstw i Terroru Kryminalnego. – Kaszowski tym razem uprzedził Monikę. – Chcielibyśmy rozmawiać z panem Romanem Dworskim.

– To ja, a o co chodzi? – Mężczyzna nie wydawał się ani przesadnie zaskoczony, ani przejęty.

– Poszukujemy pewnego motocykla, którego wedle naszych informacji jest pan właścicielem. – Monika starała się być aktywna, poza tym obawiała się, że jeśli do rozmowy zbyt intensywnie włączy się Marek, to z takim rozmówcą jak Dworski sytuacja może się szybko zaognić.

– Jestem właścicielem wielu motocykli i każdym z nich mogę panią przewieźć. – Dworski nie tracił nic ze swojej osiedlowej szarmanckości.

– Interesuje nas pewien rzadko spotykany model, to jest... – Monika sięgnęła do kieszeni po notes.

– Tak, ten rzadki model też mam – uprzedził ją szarmancki Roman.

– A może pamięta pan, gdzie był pański rzadki motor pierwszego sierpnia tego roku? – Kaszowski, który wcześniej oddalił się, żeby zlustrować otoczenie domu, włączył się do rozmowy.

– Motocykl, panie komisarzu, motocykl. – Dworski wypowiedział ostatnie słowo wolno i wyraźnie.

Kaszowski przyglądał się przez chwilę jego ustom, po czym kiwnął głową.

– No więc?

– No więc był tutaj, bo jest uszkodzony i od miesiąca czekam na części do niego.

– Możemy obejrzeć? – Monika postanowiła przyspieszyć trochę bieg wydarzeń.

– Chce go pani kupić? Dla pani zrobię ładną cenę. – Roman nie odpuszczał.

– Możemy? – Monika miała już trochę dosyć.

Warsztat, który mieścił się na końcu rozległego terenu należącego do Dworskiego, był nie mniej elegancki od domu stojącego na pagórku. Tyle że, o ile w architekturze domu pojawiała się głównie drewno w postaci grubych ciemnych bali, o tyle tutaj górował goły i gładki jak szkło beton. Panował tu tak niezwykły porządek, że miejsce to bardziej przypominało laboratorium naukowe niż serwis motocyklowy. W środku kręciło się dwóch mężczyzn w białych kombinezonach, które nie nosiły śladów żadnych zabrudzeń. Dworski jako pierwszą wprowadził Monikę i czujnie śledził, jakie wrażenie wywarło na niej wewnątrz. Na Kaszowskiego właściwie w ogóle nie zwracał uwagi.

Na stalowych krzyżakach znajdowały się trzy motory krosowe, w których dokonywano drobnych napraw, z boku stał jeszcze jeden, mocno zdekompletowany, między innymi brakowało przy nim baku. Dworski podszedł do tej właśnie maszyny.

– Przypuszczam, że o ten pani chodzi?

– Będziemy chcieli dokonać oględzin tego motocykla.

– Czyli jednak będzie kupowany?

- A gdzie są pozostałe części od niego?
- Po ludziach, w lakierni, w regeneracji, w spawaniu.
- Strasznie się panu coś popsuł ten motor. – Kaszowski nie mógł sobie odpuścić kąśliwej uwagi.

W sporych rozmiarów otwartej przestrzeni biurowej Joanna podeszła do biurka, przy którym siedział aspirant Czerwiński, i położyła przed nim teczkę z aktami podręcznymi sprawy. Jacek rozmawiał akurat przez telefon z kobietą, z którą prowadził się od trzech miesięcy, a która od dwóch tygodni już tylko i wyłącznie grała mu na nerwach. Teraz skinął Joannie głową i pokazał na migi, że zaraz kończy.

– Dobrze, piękna, przyjdę, dobrze, najpierw zadzwonię, teraz muszę kończyć, pa. – Odłożył słuchawkę i odniósł wrażenie, że na twarzy pani komisarz pojawił się delikatny grymas zawodu. – Siostra – skłamał i się uśmiechnął. Ona kiwnęła głową i też się uśmiechnęła, a on nie był pewien, czy ten uśmiech wyrażał zadowolenie, czy może kompletny brak zainteresowania. Na razie tylko Joanna wiedziała, że wiadomość o siostrze przyjęła z wyraźną ulgą.

Po chwili zerknęła na teczkę, którą dopiero co położyła na biurku, i zaczęła ją rozwiązywać.

– Sporo już tu widziałam dziwnych rzeczy, ale muszę przyznać, że to mnie lekko zaskoczyło.

Otworzyła teczkę, wyjęła leżącą na wierzchu kartkę wypełnioną jedynie jakimiś formalnymi rubryczkami. Okazało się, że pod tą jedną jedyną zapisaną kartką kryło się kilkadziesiąt pożółkłych już nieco arkuszy papieru podaniowego, na których nie było nic. Młody pokiwał głową.

– Czasem się tak wkłada, żeby było na zapas. – Spojrzał na Joannę, która najwyraźniej czekała na coś mniej nedorzecznego. – Tak... ja wtedy jeszcze nie pracowałem z komisarzem, ale słyszałem, że to była dosyć dziwna sprawa.

– W przeciwieństwie do innych? – Joanna tym razem nie była złośliwa,

raczej rozweselona. – Może wie pan coś o tym, co się stało z resztą, bo zgaduję, że jednak jakieś dokumenty kiedyś tu się znajdowały.

Jacek wahał się przez moment, ale szybko doszedł do wniosku, że Joanna i tak nie odpuści.

– To się chyba nazywa SKW.

– Służby wojskowe skonfiskowały akta podręczne cywilnej sprawy? – Joanna nie kryła zdziwienia.

– Oficjalnie chyba nie, ale kiedy akta podręczne zostały przekazane do prokuratury, po prostu zniknęły. Służby od początku starały się Kaszowskiego odwieść od prowadzenia tej sprawy. Słyszałem, że dopóki on wokół tego chodził, to coś z tych zaginionych akt próbował jeszcze odtwarzać, a potem... – Jacek zawiesił głos, bo nie bardzo przechodziło mu przez gardło to, co miał teraz powiedzieć.

– A potem? – Joanna nie odpuszczała.

– Potem przestał odtwarzać.

– Złamali go?

– Myśli pani?

Żadne z nich nie było przekonane do tej koncepcji.

Przy podłużnym stole w gabinecie naczelnika siedziała już Monika, Joanna, Kaszowski i Talak. Nikt z nikim na razie nie rozmawiał, bo wszyscy czekali na nadejście prokuratora Sobeckiego, a ten pojawił się dopiero po chwili. Los chciał, że w tym właśnie momencie otworzyła mu się teczka, w której zamek szwankował już od jakiegoś czasu, i na podłogę wysypała się cała masa kartek. W związku z tym milczenie przedłużyło się jeszcze o kilkadziesiąt sekund, w trakcie których Sobecki zbierał kartki z pomocą Moniki zajmującej miejsce najbliżej drzwi. W końcu kartki zostały pozbierane, Monika i Sobecki usiedli za stołem, a Talak uznał, że może zacząć.

– Witam państwa na kolejnym spotkaniu, o które poprosiła mnie pani komisarz Majewska. Pani komisarz zajmuje się obecnie sprawą zabójstwa

w hotelu Dublin. – Naczelnik zerknął na Sobeckiego, który zdawał się nie mieć pojęcia, do jakiej sprawy odnosi się Talak. – Dla tych z państwa, którzy nie pamiętają: chodzi tu o wydarzenia z sierpnia dwa tysiące dwunastego roku, sprawa była związana ze służbami wojskowymi...

Sobeckiemu na hasło „służby wojskowe” wszystko się przypomniało, co potwierdził skinieniem głowy.

– Tak. – Naczelnik uznał swoją rolę za zakończoną. – To w takim razie chciałbym przekazać głos pani komisarz Majewskiej, która podzieli się z nami swoimi wątpliwościami.

Joanna rozejrzała się po zebranych i odniosła wrażenie, że cały skądinąd kulturalny wstęp Talaka był podszyty nutką sarkazmu, a przynajmniej protekcjonalności.

– Mam w zasadzie tylko dwie wątpliwości, a właściwie pytania. – Joanna ustawiła się w związku z tym do sytuacji defensywnie. – Po pierwsze, gdzie są akta sprawy o zabójstwo, bo w teczce znalazłam jedną kartkę i w dodatku nie dotyczącą tej sprawy, a po drugie, dlaczego rozwojowe dochodzenie najpierw utknęło w martwym punkcie, potem zaś zostało umorzone?

Joanna znów rozejrzała się po zebranych, teraz jednak miała wrażenie, że zyskała nad nimi przewagę. Przez chwilę rzeczywiście wszyscy wydawali się unikać jej wzroku. Naczelnik spojrzał na Monikę, potem na Kaszowskiego i widząc, że żadne z nich raczej nie kwapi się do wyjaśnień, sam podjął temat.

– Pani Joanno, powinna pani wiedzieć, że w naszej pracy zdarza się czasami i tak, że musimy z pewnych rzeczy rezygnować. – Talak zerknął na Sobeckiego, jakby szukał u niego wsparcia, prokurator zaś, czując na sobie jego spojrzenie, pokiwał głową. – Dzieje się tak z jednej prostej przyczyny. Otóż funkcjonujemy w świecie pewnych zależności... Formalnie rzecz ujmując, nadzorująca sprawę prokuratura wojskowa przejęła ją do samodzielnego prowadzenia.

– A nieformalnie rzecz ujmując? – Joanna górowała, a przynajmniej tak jej się wydawało.

– Mieliśmy bardzo silne naciski ze strony służb i naszego ministerstwa. –

Do rozmowy włączył się wreszcie Sobecki, co Talak przyjął z wyraźną ulgą. – I tak dość długo ciągnęliśmy tę sprawę, ale w pewnym momencie stało się to niemożliwe.

– Wtedy, kiedy ukradli wam akta zebrane w sprawie? – W Joannie zaczęło nagle narastać oburzenie. – Przecież to jest jawny skandal.

– Rzecz w tym, pani komisarz, że właśnie nie jawny, tylko tajny. – Kaszowski jak zwykle wszedł dokładnie w to miejsce, w które chciał.

– A co było dalej z tym całym Dworskim? – to pytanie Joanna skierowała wprost do Moniki.

Monika uśmiechnięta, pełna życia i wigoru weszła do gabinetu Kaszowskiego, który zajęty był akurat przeglądaniem archiwalnego wydania dwumiesięcznika „Modelarstwo Okrętowe”.

– Cześć, nie przeszkadzam?

Marek podniósł wzrok znad magazynu i odwzajemnił powitalny uśmiech. Przy czym jego uśmiech nie był aż tak dwuznaczny.

– Nie przeszkadzasz.

– Udało mi się ustalić co nieco na temat naszego amanta rajdowca – oznajmiła z zadowoleniem. – Pan Roman Dworski jest biznesmenem z branży tekstylnej. Handluje odzieżą z Chin, Wietnamu i innych dziwnych miejsc. Jest bardzo zamożny, ale co ciekawe... jeszcze osiem lat temu był zupełnie niezamożny. Jego kondycja finansowa poprawiła się raptownie w dwa tysiące siódmym, fiskus próbował to nawet wyjaśniać, ale zdaje się z marnym skutkiem.

– Komuś pewnie skutek się nie opłacał.

– Dotarłam też do czegoś ciekawszego. Osiem lat temu pan Roman w ogóle jeszcze nie istniał. Nie figuruje w żadnych rejestrach, spisach, urzędach, nigdzie. Urodził się osiem lat temu, a teraz ma lat czterdzieści.

– Benjamin Button?

– Tak jakby. – Monika przeszła do puenty. – Człowiek nazywa się tak naprawdę Bohdan Rostkiewicz, był oficerem służb wywiadowczych PRL,

został zweryfikowany do służby w nowej Polsce, a następnie zniknął w trakcie wykonywania jakiejś misji w Afganistanie w dwa tysiące drugim roku. Pięć lat później objawił się jako zamożny Roman Dworski, reemigrant z Chile.

– No to wpadniemy jeszcze raz do rajdowca, teraz trochę mniej kurtuazyjnie.

– To nie koniec. – Monika była coraz bardziej podekscytowana, co czyniło ją w oczach Kaszowskiego coraz bardziej atrakcyjną. – Na monitoringu, który dostaliśmy z banku za rogiem, widać, jak motor, uciekając, zawadza o latarnię. Myślę, że dlatego nie ma teraz kilku kawałków.

Kaszowski pokiwał głową, co z jednej strony wyrażało zadowolenie z rozwoju wydarzeń, a z drugiej – i to było znacznie ważniejsze z punktu widzenia Moniki – wyrażało aprobatę dla jej skuteczności.

– Możesz uruchamiać Witka po nakaz rewizji.

W gabinecie Talaka niewiele się zmieniło, teraz tylko naczelnik stał pochylony nad akwarium, do którego sypał małe wijące się stworzonka. Monika, która skończyła właśnie opowiadać, przyglądała się działaniom naczelnika z odrazą, Kaszowski sprawdzał coś w komórce, a Sobecki wciąż starał się przywrócić ład w papierach. Jediną osobą nadal zainteresowaną meritum spotkania wydawała się komisarz Majewska. Reszta uczestników odpłynęła jakby w inne, bardziej prywatne rewiry. Joanna zastanawiała się, czy nie skupiają się na sprawie, dlatego że jest stara i z ich punktu widzenia dawno odrobiona, czy może nie mają ochoty podejmować tego tematu na nowo, bo wszyscy wiedzą o czymś, czego ona nie wie i o czym ma, przynajmniej na razie, marne szanse się dowiedzieć.

– Rozumiem, że protokołu z tej drugiej wizyty u Dworskiego też nie mamy – zaczęła zaczepnie.

Monika odwróciła się od akwarium i pokręciła głową, a wyraz jej twarzy miał, przynajmniej tak się wydawało Joannie, świadczyć o tym, że jej przykro.

– Cóż, skoro wywiad był zainteresowany tą sprawą na tyle, żeby ukraść

akta policyjne, to prawdopodobnie prowadził też jakąś własną dokumentację w sprawie.

– Nie obiecywałbym sobie za dużo, pani komisarz. – Sobecki skończył porządkowanie papierów, zamknął teczkę na zatrask i upewnił się, czy tym razem zamek nie puści.

– A to dlaczego?

– Bo nawet jeśli coś mają, to bardzo głęboko i pod klauzulą „ściśle tajne”. – Sobecki patrzył już wprost na Joannę, a ona zauważyła nagle w jego twarzy coś bardzo ujmującego.

– Ale to jest sprawa o zabójstwo, więc spokojnie możemy wystąpić o wgląd.

– Wtedy powiedzą, że im zaginęło albo że zutylizowali. – Naczelnik skończył karmienie ryb i usiadł z powrotem do stołu.

– A ja jednak spróbuję.

W deklaracji Joanny było coś tak młodzieńczo narwanego, że Kaszowski przestał na moment przeglądać wiadomości w telefonie, spojrzął na nią i pomyślał, że przecież też taki kiedyś był, na przykład wtedy, gdy próbował rozpracować swojego przyjaciela, obecnie zwierzchnika tej młodej pani komisarz.

– Oczywiście, proszę próbować, w końcu to wolny kraj – skwitował naczelnik.

– Tak właśnie lubię myśleć, panie inspektorze. – Joanna znów zareagowała nieco buńczucznie, a Kaszowski uśmiechnął się delikatnie.

W tym momencie zabrzączał telefon, Joanna sięgnęła do kieszeni, wyjęła komórkę, zerknęła na ekran i przeczytała: „Zapraszam do mnie”. Esemes przyszedł z numeru opisanego jako „Zielony”.

W drodze do siedziby BSW, której tak bardzo nie lubiła odwiedzać, Joanna zastanawiała się, czy Zieliński ma takie przełożenie, żeby wymóc na ludziach z kontrwywiadu zgodę na dostęp do zgromadzonych dokumentów. Była święcie przekonana, że gdzieś wśród tych zapisów albo znajdzie odpowiedź

na pytanie, kto i po co zabił tamtego człowieka, albo chociaż uda jej się znaleźć jakiś punkt zaczepienia dla dalszego śledztwa, które poprowadzi sama i w ten sposób udowodni wszystkim tym konformistom od Talaka, że robotę policyjną można wykonywać na różne sposoby. Kiedy weszła do gabinetu szefa, była tak naładowana energią, że od razu chciała usiąść i zreferować mu sytuację oraz swoje dotychczasowe ustalenia.

– Proszę nie siadać, pani Joanno, mam mnóstwo pilnych spraw, więc to nie potrwa długo. – Zieliński zablokował ją w momencie, kiedy już miała odsunąć krzesło.

– Oczywiście. – Natychmiast straciła wszelki entuzjazm.

Zieliński jeszcze przez chwilę przeglądał jakieś papiery, które miał przed sobą na biurku, a Joanna zastanawiała się, czy to rzeczywiście coś tak pilnego, czy po prostu inspektor próbuje w ten sposób przypomnieć, gdzie jest jej miejsce w szeregu. W końcu zamknął teczkę z papierami i spojrzał na nią.

– Tak, pani komisarz, chciałem zapytać, kto dał pani upoważnienie do zajmowania się sprawą zabójstwa w hotelu Dublin? – Chociaż Zieliński zapytał retorycznie, to najwyraźniej czekał na odpowiedź.

– Nikt, ale wydawało mi się...

– Pracuje pani wyłącznie nad sprawami, które pani wskażemy, a nie nad tym, co się pani wydaje – przerwał jej bezpardonowo, jakby jednak nie był ciekaw odpowiedzi.

– Ale ja przecież dokładnie... – Joanna próbowała się bronić.

– Nie będziemy o tym dyskutować, rozumie pani? – Zieliński tym razem rzeczywiście zapytał, Joanna po chwili kiwnęła głową, a on uśmiechnął się, jakby w ogóle nic się nie wydarzyło. – No i doskonale, a czy w tamtej sprawie... tej naszej głównej sprawie coś może udało się pani rozeznaczyć, że tak powiem?

Joanna wyjątkowo nie lubiła tej całej magmy słów, którą Zieliński oblepiał nieomal każdą swoją wypowiedź, wszystkie te „że tak powiem”, „coś może”, „tej naszej” doprowadzały ją do szału, którego oczywiście nie mogła okazać.

– Nie, bo muszę najpierw trochę wejść w to środowisko, oswoić ich ze sobą, jego oswoić – wydukała w końcu, kiedy udało jej się opanować lęk i niechęć zarazem.

– No, to świetnie. – Słowa Zielińskiego znów jej miały uzmysłwić, że nie zwracał uwagi na to, co mówiła, taki rodzaj psychologicznej relacji między pracownikiem a podwładnym. – Czekam na rychłe postępy.

Joanna kiwnęła głową, ale stała wciąż przed nim, tak jakby chciała coś jeszcze dodać.

– Dziękuję, pani Joanno, może pani odejść. – Spojrzał na nią zdziwiony nieco, że wciąż jeszcze widzi ją przed sobą.

Odwróciła się i ruszyła do drzwi, a idąc, cały czas czekała na puentę, bez której nie może się obejść żadna wizyta u inspektora Zielińskiego. Ostatnia mądrość jak zwykle złapała ją w chwili, kiedy już miała przekroczyć próg gabinetu i zamknąć za sobą drzwi.

– I proszę nie zapominać, o co idzie gra, pani komisarz.

Kiwnęła głową, ale już bardziej do siebie niż do niego. Po jej wyjściu Zieliński przez moment zastanawiał się nad tym, czy fakt, że się nie odwróciła, może świadczyć już o jakimś przejawie niesubordynacji, czy może po prostu go nie dosłyszała. W końcu zapomniał o sprawie i wrócił do swoich papierów.

Mimo że Joanna siedziała w swoim gabinecie już dobry kwadrans, wciąż miała na sobie kurtkę, w której była u Zielińskiego, nie zdjęła też torebki z ramienia. W gabinecie było ciemno, jedyne źródło oświetlenia stanowił jarzący się wygaszacz ekranu, z którego patrzyła na nią ona sama i siedzący na jej kolanach Piotrek. Przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie jest to ostatnie takie zdjęcie, bo choć zrobione było całkiem niedawno, to ani teraz, ani już pewnie nigdy Piotrek nie usiądzie na jej kolanach. Po chwili spojrzenie Joanny zawisło w pustce. Miała naprawdę poważną zagwozdkę. Z jednej strony wiedziała, ile profesjonalnej i ważnej roboty wykonał dla policji jej przełożony, darzyła go za to ogromnym szacunkiem, a z drugiej wzbudzał w niej najszczerzą antypatię. Może tak musiało być. W końcu

chyba mało kto miał w życiu dobre relacje ze swoim szefem. Dzwonek telefonu stacjonarnego przerwał jej rozważania, które zresztą i tak nie mogły doprowadzić do żadnych wiążących wniosków. Rozejrzała się, ale dopiero po chwili zlokalizowała wśród rozłożonych na biurku papierów słuchawkę tego archaicznego urządzenia. Gdy odebrała, usłyszała charakterystyczny dźwięk nadchodzącego faksu. Odłożyła słuchawkę i spojrzała na stojące w rogu pokoju kombo, będące kserokopiarką, skanerem i faksem jednocześnie, które Talak kazał wstawić do jej gabinetu chyba po to, żeby poczuła się ważniejsza. Po chwili na panelu zaczęła migać zielona lampka, odezwał się charakterystyczny dźwięk i kombo z głębi swoich trzewi wyrzuciło jedną po drugiej kilka kartek papieru. Joanna wstała, wyciągnęła kartki, zapaliła lampkę na biurku i spojrzała na pierwszą stronę, na której ktoś skreślił odręcznym pismem NOTATKA SŁUŻBOWA DOT. ZATRZYMANIA ROMANA DWORSKIEGO W DNIU 08.08.2013. Zaskoczona usiadła z powrotem przy biurku i zaczęła czytać.

Był pogodny letni wieczór, kiedy pod dom Dworskiego zajęchały trzy wozy policyjne, dwa oznakowane fordami transyty oraz volvo Kaszowskiego. Z samochodów oznakowanych wysiadło sześciu policjantów z prewencji, z volva wygramoliła się najpierw z przedniego siedzenia pasażerka Monika, po chwili dołączył do niej Kaszowski i siedzący z tyłu Sobiecki ze swoją nieodłączną teczką z zepsutym zatraskiem i plastikową torbą z tajemniczą zawartością. Ta trójka w towarzystwie jeszcze jednego, wyższego rangą policjanta z prewencji podeszła pod drzwi domu, pozostali funkcjonariusze zajęli pozycje w pobliżu. Monika podeszła do drzwi jako pierwsza, zadzwoniła. Przez chwilę nic się nie działo, Kaszowski rozglądał się po okolicy.

– Nieźle się urządził jak na dziesięciolatek. – Sobiecki próbował zajrzeć w zasłonięte okno od frontu, ale nie dosięgał parapetu.

– Ośmiolatek – sprostował Kaszowski, nie przerywając kontemplacji krajobrazu.

– Jeszcze lepiej, młodzi wiele teraz potrafią...

Sobecki zamierzał głębiej rozważyć tę kwestię, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich atrakcyjna, bardzo młoda dziewczyna w seksownej bieliźnie okrytej, umownie w zasadzie, jedynie przezroczyście tiulem. Oprócz tego, że była prawie naga, znajdowała się też pod wyraźnie widocznym wpływem silnych środków zmieniających świadomość.

– Pizza? – spytała odrobinę nieadekwatnie do sytuacji.

– Nie, policja. – Monika wyjęła odznakę i pokazała ją dziewczynie, która i tak jej nie zobaczyła, bo ledwie widziała na oczy. – Czy zastaliśmy pana Romana Dworskiego?

Dziewczyna przez moment się zastanawiała, tak jakby zaświtało jej, że na tak zadane pytanie powinna odpowiedzieć coś konkretnego, ale nie od razu zdołała sobie przypomnieć, co to miało być.

– Nie, Roman wyjechał – wypaliła w końcu z radością i wyraźną ulgą.

W tym momencie przed Monikę wyszedł Sobecki, który wy dobył z teczki z uszkodzonym zatrzaskiem nakaz rewizji i pokazał go nic niewidzącej dziewczynie.

– To jest nakaz przeszukania – streścił zawartość dokumentu, żeby wyręczyć ją w lekturze.

Dziewczyna kiwnęła głową i uśmiechnęła się niezbyt mądrze. Wyglądało na to, że od momentu, kiedy zorientowała się, że nie są pizzą, było jej najzupełniej obojętne, co widnieje na dokumencie i jaki jest powód ich wizyty. Nagle odezwał się głos z krótkofalówki, którą Monika miała w kieszeni: „Z tyłu budynku ktoś wyskoczył przez okno, kieruje się w stronę parkanu”.

Kaszowski wyciągnął radio z kurtki Moniki.

– To go zatrzymajcie – polecił, po czym spojrział na dziewczynę. – Wygląda na to, że chyba jakoś niedawno musiał wyjechać.

Dziewczyna wzruszyła ramionami, a Kaszowski, nie chcąc tracić więcej czasu, przesunął ją delikatnie i ruszył do środka. W tym momencie zza budynku dał się słyszeć huk wystrzału. Kaszowski cofnął się od drzwi i spojrział na Monikę.

Joanna skończyła lekturę dokumentów, po czym spojrzała na identyfikator numeru, z którego wysłano faks. Był to jeden z numerów wewnętrznych komendy. Podniosła słuchawkę i wybrała ten właśnie numer, po drugiej stronie nikt się jednak nie zgłosił. Wtedy wyjęła spis wewnętrznych, prześledziła go wzrokiem raz, następnie w większym skupieniu drugi raz, w końcu znalazła numer, który ku jej zaskoczeniu okazał się numerem gabinetu komisarza Marka Kaszowskiego. Wzięła w rękę przefaksowane kartki, wstała i wyszła z pokoju.

Kiedy chwilę później zapukała do gabinetu Kaszowskiego, niedomknięte drzwi uchylły się. W środku nie było nikogo. Na biurku paliła się lampka, co mogło świadczyć o tym, że jeszcze przed chwilą ktoś tu przebywał, ale równie dobrze mogło przemawiać za tym, że Kaszowski jest abnegatem i po prostu nie zgasił światła, wychodząc. Joanna wahała się chwilę, po czym weszła do środka. Rozejrzała się. W rogu pokoju stało faksowo-kserograficzne kombo, podobne do tego, które znajdowało się w jej gabinecie, ale jakby mniejsze i chyba starsze. Joanna uśmiechnęła się do swoich myśli – Talak przydzielił jej lepszy sprzęt od komba Kaszowskiego. Stała chwilę, zastanawiając się, co właściwie mogłaby tu jeszcze zrobić, po czym wiedzioną jakimś nie do końca kontrolowanym odruchem podeszła do biurka i zaczęła przeglądać leżące na nim papiery. Kiedy nie znalazła nic ciekawego, usiadła na miejscu Kaszowskiego i otworzyła jedną z szuflad biurka, następnie kolejną, przewertowała dokumenty, nie wiedząc nawet za bardzo, czego szuka. Już miała zamknąć szufladę, kiedy na samym spodzie pod stertą papierów zauważyła niewielkich rozmiarów foliową torebkę. Wewnątrz torebki znajdowało się na oko kilka gramów lekko żółtawego, częściowo zbrylonego proszku. Joanna się rozejrzała, wstała, z faksokserokopiarki wyjęła czystą kartkę, zwinęła ją w rożek, przesypała do niego odrobinę proszku, odłożyła torebkę do szuflady, a rożek schowała do małej kieszonki w dżinsach. Na koniec rozejrzała się jeszcze po pokoju, upewniając się, że wszystko wygląda dokładnie tak, jak w chwili jej przyjścia, po czym wyszła, pozostawiając przymknięte drzwi. Kiedy się odwróciła, żeby ruszyć z powrotem do siebie, omal nie zemdląła. W mroku

korytarza oparta o ścianę przy pracowniczym kawomacie stała Monika z kubkiem kawy w ręku i uśmiechała się do niej. Joanna po opanowaniu pierwszego atawistycznego odruchu lęku przeszła do fazy zażenowania sytuacją, którą od razu postanowiła pokryć potoczystym objaśnieniem okoliczności.

– Przed chwilą przyszedł do mnie faks... okazało się, że to z numeru wewnętrznego, od Kaszowskiego. Przyszłam zobaczyć, czy jest... weszłam zobaczyć, czy może nie zostawił jeszcze jakichś innych... nie wiem... informacji czy wskazówek...

Zamilkła, bo zauważyła, że Monika kiwa głową ze zrozumieniem, a jednocześnie uśmiecha się do niej uspokajająco. Przez chwilę obie milczały, w końcu Joanna zdecydowała się przekierować rozmowę na inny tor.

– A co było z tym Dworskim już po zatrzymaniu?

Monika wypięła łyk kawy, najwyraźniej podobała jej się sytuacja, w której zyskała pewną psychologiczną przewagę nad komisarz Majewską.

– Przeszukania, przesłuchania, właściwie prawie standard...

Joanna czekała na więcej, szczególnie interesowało ją wszystko, co kryło się za słowem „prawie”.

Z perspektywy pomieszczenia znajdującego się obok pokoju przesłuchań, oddzielonego od niego lustrem fenickim, widać było Romana Dworskiego, który siedział na krześle przy niewielkich rozmiarów kwadratowym stole. Nie wydawał się przesadnie przejęty sytuacją, żuł gumę, nawet wtedy, kiedy do pokoju wszedł Kaszowski z papierosem w ustach i dokumentami w ręku.

– Może pan to zgasić? Dym mi przeszkadza. – Dworski, który teraz rozsiadł się na krześle jeszcze wygodniej, spojrział lekceważąco na policjanta.

– Wali mnie to. – W normalnych warunkach Kaszowski na taką odzywkę jak ta o dymie prawdopodobnie w ogóle by nie zareagował, ale ten typ wyjątkowo grał mu na nerwach.

Kaszowski usiadł i rozłożył przed sobą papiery, które przyniósł. Dworski

nie tracił pewności siebie.

- Ciekawe, czy będzie cię walić, jak cię wywalą, staruszk.
- Komu wypożyczyłeś motor pierwszego sierpnia tego roku?
- Tobie.

Dworski uśmiechnął się zadowolony z żartu, a Kaszowski przez moment zastanawiał się, jak to możliwe, że w służbach kontrwywiadowczych tego kraju pracują ludzie opóźnieni w rozwoju.

- Cieciu – dokończył Dworski zupełnie niepotrzebnie.

Kaszowski przerwał rozkładanie papierów, po czym wstał z krzesła, podszedł do mężczyzny od tyłu i spojrzął w stronę lustra.

- Monika, weź no tam zobacz, co z tym komputerem jest...

Obserwująca zza szyby sytuację Monika uśmiechnęła się, podeszła do konsoli znajdującej się w rogu pomieszczenia, z laptopa rejestrującego obraz z kamery w pokoju przesłuchań wyciągnęła kabel sieciowy. Sięgnęła do interkomu i wcisnęła czerwony guzik.

– No, nie wiem, co tu jest z tym... coś się wyłączyło, zaraz zawołam Marcina.

W tym momencie Kaszowski wykopał krzesło spod siedzącego Romana, a ten w ćwierć sekundy później zlądował pośladkami na betonowej posadzce. Po chwili zebrał się, odnalazł gumę, która zapadła się gdzieś w głębi jamy ustnej, podniósł krzesło i usiadł z powrotem.

– Bekniesz za to, śmieciu. – Z nieco zmierzwioną fryzurą, nie tracąc rezonu, poprawił się na siedzeniu.

Kaszowski, który nie odszedł daleko, wrócił, chwycił oparcie i wykopał krzesło spod Dworskiego po raz drugi. Mężczyzna upadł, po czym szybko wstał i ruszył w kierunku komisarza, wyprowadzając od razu prawy sierpowy. Kaszowski sparował cios ramieniem, obrócił Romana wokoło i zacisnął mu na szyi swoje ramię z taką siłą, że twarz mężczyzny natychmiast podbiegła fioletem. Po chwili Kaszowski puścił Dworskiego, który z trudem łapał oddech, i podszedł do leżącego krzesła, wyniósł je z pomieszczenia, sam zaś usiadł na drugim. Dworski stanął naprzeciwko

niego podparty o blat stołu. Wciąż z trudem łapał oddech.

– A teraz się dobrze namyśl, tłuaku. Albo sobie przypomnisz, komu wypożyczyłeś motor, którym posłużyli się zamachowcy, albo od razu wpierdolę ci współudział.

W tym momencie drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się gwałtownie i stanął w nich major Nowaczyk w innym tym razem, choć nie mniej eleganckim garniturze w towarzystwie drugiego, znacznie większego od siebie mężczyzny w ciemnym płaszczu. Za nimi do sali wszedł jeszcze zdenerwowany wyraźnie policjant w mundurze.

– Panowie nie macie prawa tu wchodzić!

Mundurowy próbował walczyć. Niestety, kiedy złapał większego za ramię, ten wyswobodził się zwinnym ruchem i spojrzał na niego z mieszaniną protekcyjności i sarkazmu podszytego wyrzutem.

– Cicho.

Tymczasem major Nowaczyk wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki zwinięty papier i pokazał go Kaszowskiemu.

– To jest nakaz prokuratorski do przejęcia zatrzymanego. – Zerknął w stronę Dworskiego. – Zbieraj się, idziemy.

Zatrzymany obszedł stół, by podejść do Nowaczyka, drogę zagroził mu jednak Kaszowski, który stanął między nim a majorem, twarzą do tego ostatniego.

– Nigdzie nie idziecie. – Na twarzy komisarza nie pojawiły się żadne emocje.

– Nie idziemy? To patrz, co się teraz dzieje.

Nagle znowu uaktywnił się ten większy; jedną ręką wyciągnął broń z kabury pod pachą, a drugą złapał Dworskiego i przyciągnął go do siebie.

Kaszowski zareagował bezwarunkowo, momentalnie wyciągnął pistolet z kabury stojącego obok przerażonego mundurowego, okręcił Nowaczyka wokół osi, przycisnął go do siebie, przeładował glocka i przystawił broń do skroni majora. Sytuacja zrobiła się do tego stopnia napięta, że na czole mundurowego w pół sekundy pojawiły się krople potu.

– Nie będzie żadnego przejęcia niczego, bo jak dla mnie jest to zuchwała próba odbicia zatrzymanego, której będę zapobiegał za pomocą wszystkich dostępnych środków. Schowaj tę kławkę i wypierdalajcie stąd.

Nowaczyk sprawiał wrażenie zagubionego, spojrzął na swojego rosłego kolegę i kiwnął głową, ten schował pistolet. Kaszowski puścił zdyszanego Nowaczyka.

– Przegiąłeś, Kaszowski, jesteś pojebem i tym razem totalnie przegiąłeś. – Nowaczyk próbował odzyskać równowagę psychiczną.

Komisarz nic nie odpowiedział, czekał z bronią w dłoni, aż wyjdą z pokoju, pod którym, jak się okazało, zebrał się już spory tłumek zaalarmowanych krzykami pracowników komendy. Następnie podał zabezpieczonego na powrót glocka przerażonemu mundurowemu.

Monika skończyła swoją opowieść, upiła łyk kawy i spojrzała na Joannę.

– Może pani też się napije, chętnie zrobię. Cappuccino z serduszkami na piance?

Joanna pokręciła głową.

– Nie, dzięki bardzo, trochę późno na kawę. Ale może byśmy przestały sobie paniować?

– Z przyjemnością. – Podkomisarz wyciągnęła rękę. – Monika.

– Joanna.

Stały chwilę, jakby nie wiedziały, co począć z tą nowo otwartą kartą swojej znajomości.

– A co było potem? Mam na myśli dalsze śledztwo.

– Potem? – Monika nie tyle próbowała sobie przypomnieć, bo wszystko doskonale pamiętała, ile raczej starała się ułożyć to sobie w głowie w najbardziej skróconej formie. – Potem się zrobiło dziwnie.

Joanna czekała na ciąg dalszy, zastanawiając się, co może oznaczać „dziwnie” w realiach tego wydziału, w którym wszystko jest właściwie dziwne, przynajmniej z jej punktu widzenia.

– Następnego dnia Kaszowski odpuścił temat i nigdy już do sprawy nie

wrócił. Może rzeczywiście przegiął i nie miał wyjścia... – Monika najwyraźniej również się zastanawiała nad wyjaśnieniem tej zagadki, którego do tej pory nie uzyskała. – Chociaż wkrótce się okazało, że oni wtedy nie mieli żadnego legalnego kwitu na to przejęcie, więc racja była po jego stronie... może złamali go jakoś inaczej.

– Ale przecież dokumenty zniknęły dopiero później, a Młody... – Joanna zatrzymała się na mgnienie oka, a Monika odniosła wrażenie, że na jej twarzy pojawił się delikatny rumieniec – ...to znaczy aspirant Czerwiński, mówił mi, że Kaszowski próbował je jeszcze odtwarzać.

– Nie Kaszowski. – Monika pokręciła głową. – To ja próbowałam je odtworzyć, ale Marek przyszedł któregoś dnia i powiedział, żebym tego nie robiła, że nie może mi powiedzieć dlaczego, ale żebym mu zaufała.

– I co, zaufałaś mu?

– Tak, wtedy bardzo mu ufałam. – Monika spojrzała na Joannę i uśmiechnęła się delikatnie. Był remis, teraz już obie wiedziały co nieco o swoich słabościach.

– Rozumiem. – Joanna kiwnęła głową. – A jak to się rozegrało, w sensie po kolei?

Monika raz jeszcze sięgnęła w czeluści pamięci.

Cela na dołku komendy przypominała wnętrze wielkiej, odlanej z betonu mydelnicy. Dworski leżał na sienniku rozłożonym na betonowej pryczy stanowiącej jedność ze ścianą i sufitem celi. Nagle usłyszał dźwięk rygła, a po chwili w drzwiach stanął Kaszowski z foliową torbą w ręku. Przez moment przyglądał się Dworskiemu, po czym rzucił foliówkę w jego kierunku, odwrócił się i zniknął w mroku korytarza, zostawiając za sobą otwarte drzwi od celi. Dworski zajrzał do torby, okazało się, że w środku znajdują się jego prywatne rzeczy, które odebrano mu, kiedy trafił do aresztu. Podniósł głowę.

– Mówiłem ci, że możesz mi skoczyć, ciulu, za cienki w uszach jesteś! – krzyknął, po czym zajął się wyciąganiem z torby sznurówek.

Po chwili poczuł, że nie jest w celi sam, spojrzał w stronę wejścia. Kaszowski szedł prosto na niego. Dworski osłonił się rękami, komisarz złapał go za ucho i ściągnął z pryczy na podłogę.

– Powiesz jeszcze słowo, my zamkniemy tamtą sprawę, a ty zostaniesz z nami za posiadanie narkotyków, nieletnią, próbę ucieczki i obrazę munduru. Trzy lata ci załatwię po znajomości do odsiadki, wyjdiesz z dupą jak szafa gdańska. Rozumiesz mnie?

– Obrazę jakiego munduru?

– Strażackiego, kurwa! Rozumiesz mnie?! – Kaszowski docisnął Dworskiego nogą do betonu, ten w końcu kiwnął głową. – To spierdalaj stąd.

Kaszowski puścił opalonego macho i wyszedł z celi, Dworski powoli się podniósł, przez moment chciał coś jeszcze dorzucić, ale w końcu zrezygnował i nic już więcej nie powiedział.

Kiedy Joanna wreszcie podjechała pod dom, był późny wieczór. Wsiadła z auta i rozejrzała się czujnie wokoło. Jej uwagę zwrócił mężczyzna palący papierosa pod drzewem po drugiej stronie ulicy. Po chwili rozpoznała w nim sąsiada z klatki obok i dopiero wtedy ruszyła w kierunku wejścia do budynku.

W mieszkaniu najpierw zajrzała do pokoju Piotrka, gdzie paliła się lampka na nocnej szafce, a chłopiec spał w najlepsze z uśmiechem na twarzy. Spokojna, wróciła pod drzwi wejściowe, z wieszaka zdjęła zieloną, podszytą sztucznym futrem męską kurtkę i ruszyła z nią do salonu. Tutaj zgodnie z jej oczekiwaniami przed telewizorem siedział siwy, mniej więcej siedemdziesięcioletni mężczyzna o mocno zniszczonej fizjonomii. Tak był skupiony na oglądanym programie, że w ogóle nie zauważył, gdy córka stanęła tuż obok niego.

– Cześć, tato.

Roman Majewski aż podskoczył w fotelu.

– Cześć, kochanie. Boże, co ten wiek robi z człowiekiem, w ogóle nie zauważyłem, jak weszłaś.

– Cicho weszłam. – Joanna stała z kurtką w ręku i badawczo przyglądała się ojcu. – Jak było?

Czujne spojrzenie córki w połączeniu z kurtką w jej rękach układały się w trochę niekomfortową dla niego sytuację. Roman wstał z fotela.

– Jeśli o to pytasz, to możesz być spokojna. Nic nie było.

– Nie pytam o to, tylko pytam, jak było z Piotrkiem?

Joanna skłamała, bo tak naprawdę o to też pytała, przynajmniej po części. Cały czas, nawet teraz, gdy stała obok ojca, próbowała się zorientować, czy w jego oddechu nie czuć choćby śladowych ilości oparów alkoholowych. Tak miała mniej więcej od dwudziestu lat, właściwie odkąd zmarła mama, z czasem stało się to już nawykiem, który bardzo trudno byłoby wyrugować.

– Z Piotrkiem fantastycznie, zrobił lekcje, potem graliśmy w monopol, opowiadał mi nawet o jakiejś koleżance z klasy... chyba Ani.

Ojciec spojrzał na córkę z niejaką satysfakcją, bo zorientował się właśnie z wyrazu jej twarzy, że Ania to ktoś, o kim nie miała pojęcia.

– Potem zrobiłem mu kolację, parówki, wiem, że nie lubisz, ale nic innego za bardzo nie umiem... po tych wszystkich latach.

Urwał nagle i znów zaczął zapadać się w siebie. Joanna to zauważyła, ale nie pospieszyła ze słowami otuchy, na które ojciec tak bardzo liczył. Podała mu tylko kurtkę. Roman odebrał ją bez słowa, włożył i skierował się do przedpokoju. Kiedy Joanna odprowadziła go do drzwi, odwrócił się i zapytał:

– U ciebie wszystko w porządku, radzisz sobie?

Kiwnęła głową.

– Ten gnojek cię nie nachodzi?

– Nie, wszystko jest w porządku i ze wszystkim sobie doskonale radzę, w przeciwieństwie do ciebie, tato.

Patrzyła na ojca wymownie, on przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie, ale w końcu zmiękł, opuścił wzrok i wyszedł na klatkę, znów przygnieciony poczuciem winy. Kiedy był już na półpiętrze, Joanna po raz tysięczny w życiu nie wytrzymała.

– Tato...

Roman stanął, a ona wiedziała, że za chwilę powoli się obróci, ze wzrokiem pełnym skruchy i błagania o wybaczenie. Wszystko według tego samego schematu, nieomal odkąd była w stanie sięgnąć pamięcią.

– Tak?

– On i tak najbardziej lubi te twoje parówki.

Powiedziała prawdę, którą nie powinna się była teraz z nim dzielić, ale nic nie mogła na to poradzić.

W zmęczonych oczach ojca po raz pierwszy pojawił się błysk radości.

– Mój chłopak.

Joanna pokiwała głową, zamknęła drzwi, oparła się o nie od strony mieszkania, stała tak jakiś czas, w końcu zdjęła kurtkę i odwiesiła ją na haczyk. Z torby, którą wcześniej rzuciła pod wieszak, wyciągnęła teczkę sprawy, weszła z nią do kuchni i nie zapalając światła, usiadła na krześle przy zastawionym brudnymi talerzami stole. Chwilę siedziała w bezruchu, w końcu wstała, zapaliła górne światło, następnie rozwiązała tasiemkę i wyjęła zdjęcie zamordowanego w hotelu Dublin mężczyzny. Przyglądała się fotografii, jakby z oczu ofiary próbowała wyczytać jakąś wiedzę na temat kata, a może katów.

– Panie Marku... dlaczego pan odpuścił?

Marek

Zacęła do mnie przychodzić, chyba jeszcze jak byłem w szpitalu, czyli rok, może półtora po tym, kiedy to się stało. W psychuszkach to było normalne, właściwie jak ktoś do ciebie przychodził, to było ci rażniej, do wszystkich ktoś przychodził, tyle że do większości przychodzili źli ludzie, a do mnie Agnieszka, która czasem przyprowadzała też Ewunię. Nigdy nic nie mówiły, przeważnie się uśmiechały, a że rodzajów uśmiechów jest mniej więcej tyle, ile słów w słowniku, to tymi uśmiechami mówiły do mnie pełnymi zdaniem. Myślę, że wtedy przychodziły do mnie, żeby mnie uratować przed obłędem, może też żeby ze sobą nie skończyły, bo mam jeszcze na tym świecie sprawy do załatwienia. No więc wtedy przychodziły, żeby żyły, a teraz...

czemu przychodzą teraz? Może teraz niczym nie różni się od wtedy ani od potem, zawsze jest w jakimś sensie teraz i to zresztą od lat trzyma mnie przy życiu. Dobrze, że przychodzą.

Był środek nocy. Kaszowski siedział na krześle i wpatrywał się z uśmiechem w stojący pod ścianą fotel. Komisarz był ubrany tak jak prawdopodobnie kilka godzin wcześniej, gdy przyszedł. Miał na sobie swój nieodłączny płaszcz, który zdążył już prawie wyschnąć. W pewnym momencie z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi. Rozejrzał się po wnętrzu pokoju, próbując sobie przypomnieć kontekst rzeczywistości, który porzucił prawdopodobnie długie minuty temu. Po chwili pukanie się powtórzyło. Kaszowski podciągnął rękaw płaszcza i spojrział na zegarek: była czwarta dziesięć nad ranem. Kiedy pukanie powtórzyło się po raz trzeci, komisarz wstał, sięgnął pod pachę, wyjął broń, cicho i delikatnie ją przeładował, podszedł do drzwi wejściowych i wyjrzał przez wizjer. Po chwili oddalił twarz od wizjera, przetarł zmęczone oczy i wyjrzał raz jeszcze, ale niestety, znów zobaczył to samo. Nie spojrział w wizjer po raz trzeci, odczekał chwilę i uchylił drzwi. Przed nim w skąpym i zimnym świetle energooszczędnej żarówki stał mężczyzna, który zginął w hotelu Dublin. Chwilę patrzyli na siebie i żaden z nich nic nie mówił. Kaszowski próbował zrozumieć, co ta wizyta może znaczyć, a mężczyzna cierpliwie czekał. W końcu to on odezwał się jako pierwszy.

– Wiem, że prowadzi pan dochodzenie w sprawie mojego zabójstwa.

Kaszowski nic nie odpowiedział.

– Jeśli będzie pan je nadal prowadził, to w końcu zabiją mnie naprawdę.

Komisarz przyjrzał mu się badawczo.

– Przecież pan nie żył?

– Spowolnienie przez narkozę, potem pavulon w małej dawce, wychłodzenie w lodówce... Było ryzyko, ale musiało wyglądać wiarygodnie, nie tylko pan mnie tam oglądał.

– A ślady po kulach?

– Już jak byłem w narkozie, czymś mnie podziurawili, nie głęboko, ale blizny są, chce pan zobaczyć?

Kaszowski kiwnął głową. Mężczyzna odsłonił koszulę, rzeczywiście tam, gdzie wcześniej komisarz widział przestrzeliny, teraz widniały wyraźne blizny.

– Po co to wszystko?

– Pracowałem nad sprawą, która się wysypała. W hotelu już byli ci, którzy mieli mnie zabić naprawdę. Gdyby nie ten wybieg, dawno bym nie żył, a tak jako nieboszczyk jeszcze jakiś czas pochodzę po bożym świecie... Więcej nie mogę panu powiedzieć.

– I tak już wiem za dużo.

Mężczyzna po raz pierwszy uśmiechnął się do Kaszowskiego.

– Taka skromna rekompensata.

Kaszowski kiwnął głową, mężczyzna wyciągnął rękę, komisarz ją uściskał, po czym jego gość odwrócił się i ruszył schodami w dół. Kaszowski stał jeszcze przez chwilę, próbując oddzielić to, co zwykliśmy uważać za rzeczywistość, od tego, co mogłoby nią być, po czym spojrzał jeszcze na swoją dłoń, która przed momentem ścisnęła dłoń „nieboszczyka”, i zamknął drzwi od mieszkania.

WOLNOŚĆ

Długi szpitalny korytarz oświetlała tylko jedna, paląca się mniej więcej w połowie jego długości jarzeniówka. Na obu ścianach przeciętych w poziomie ostrą krawędzią olejnej lamperii w bliżej nieokreślonym kolorze ciągnęły się rzędy zamkniętych drzwi. W pewnym momencie jedne z nich otworzyły się i na korytarz wyszedł krępy mężczyzna w piżamie i na bosaka. Wolnym krokiem ruszył w stronę jedynych uchylonych drzwi, z których na ułożoną w jodełkę klepkę korytarza padała wąska smuga światła o innej niż ta na korytarzu, żółtej barwie. Dobiegał zza nich delikatny szum wody ściekającej z nieszczelnej spłuczki do muszli klozetowej. Posuwając się noga za nogą, mężczyzna w końcu dotarł do tych drzwi, otworzył je szerzej i wszedł do środka. Chwilę później z innego pomieszczenia na korytarz wyszedł kolejny mężczyzna, ten jednak był znacznie roślejszy i oprócz piżamy miał na sobie szlafrok i kapcie. Rosły mężczyzna, u którego pomimo panującego mroku na głowie dała się zauważyć czupryna bujnych, od dawna nieprzycinanych włosów, również ruszył w stronę łazienki. Jego ruchy cechowała dla odmiany większa dynamika, ale też jakiś katatoniczny automatyzm, szedł tak, jakby każdy krok był osobno realizowanym, a właściwie w kółko kopiowanym przez jego mózg projektem. Po chwili dotarł do łazienki, wszedł do środka i przymknął za sobą drzwi. Nagle ciszę nocy przerwał zwierzęcy krzyk, po którym nastąpiło głucho tąpnięcie, jakby padającego na podłogę ciała. Po kilkudziesięciu sekundach od strony dyżurki nadbiegł potężnie zbudowany sanitariusz, a zaraz za nim pielęgniarzka. Przez chwilę oboje próbowali zlokalizować miejsce, z którego dobiegły krzyki. Sprawa się wyjaśniła, kiedy nagle drzwi od łazienki otworzyły się z takim rozmachem, że uderzyły o ścianę, a w smudze żółtego światła stanął mężczyzna z bujną czupryną. Jego szlafrok, kapcie i piżama powalane były krwią, podobnie jak długi kuchenny nóż, który trzymał w ręku.

Kaszowski przypatrywał się Joannie, jakby upewniał się, czy skończyła już swoją relację, po czym nieco znudzony wyjrzał przez okno.

– O ile wiem, ten facet siedzi tam nieprzypadkowo. – Joanna próbowała ściągnąć na siebie jego uwagę. – Wcześniej w podobnie bestialski sposób zamordował swoją żonę i syna.

– Kazimierz – powiedział Kaszowski, spoglądając wciąż za okno.

– Słucham?

Joanna domyślała się, o czym mówi komisarz, a udając, że nie rozumie, próbowała go jedynie sprowokować do dalszej rozmowy.

– Kazimierz Kołodziej, tak nazywa się ten facet.

– Możliwe. W każdym razie nie rozumiem, dlaczego ta sprawa po upływie pół roku wciąż pozostaje niezamknięta? Dlaczego do tej pory nie skierował jej pan do prokuratury?

– Brak jednoznacznego dowodu, świadków i motywu.

Kaszowski po raz pierwszy spojrzął na Joannę, widocznie to, co powiedział teraz, miało dlań większy ciężar gatunkowy.

– Znalezienie motywu działania katatonika rzeczywiście może być trudne. A znany jest motyw, którym kierował się pan Kazimierz, kiedy porąbał na kawałki swoją żonę i syna? – Joanna starała się utrzymać temperaturę dyskursu na nieco podwyższonym poziomie.

– Nie wiem.

Nie udało jej się, bo Kaszowski znów wyjrzał za okno.

– Nie prowadziłem tamtej sprawy. Ma pani coś jeszcze, bo muszę tu...

Kaszowski wymownie popatrzył na ekran stojącego przed nim komputera. Sunęły po nim klocki tetrisa, ale tego już Joanna nie widziała, a przynajmniej tak się wydawało komisarzowi.

– Lubi go pan? – podjęła jeszcze jedną, rozpaczliwą już nieco próbę sprowokowania komisarza.

– Nie lubię przypisywać winy, kiedy nie jestem co do niej przekonany.

– Na to samo wychodzi.

– Nie, jedno jest rodem ze spotkania koleżanek w kawiarni po pracy, a drugie z policyjnej praktyki.

– W takim razie pora się przekonać o winie pana Kazimierza, żeby podatnicy nie musieli opłacać pańskiego kursu gry w tetrisa, a w każdym razie, żeby nie musieli płacić wyłącznie za to.

Przez moment Kaszowski nie był w stanie ukryć zaskoczenia, ale chwilę później, podążając za wzrokiem Joanny, zorientował się, że ekran komputera odbija się w szybie lekko uchylonego okna.

– Tetris wyrabia refleks, umiejętności przewidywania, zimną krew, szybkość w podejmowaniu decyzji...

– Powinni włączyć go do programu nauczania szkoły w Szczytnie.

– Nie muszą. – Spojrzał na nią z rozbijającym uśmiechem. – I tak pewnie wszyscy grają.

– Jedzie pan za mną do Tworek?

Zadała to pytanie właściwie pro forma, bo i tak znała odpowiedź, może tylko była ciekawa, jak Kaszowski umotywuje swoją odmowę.

– Gdzie diabeł nie może...

Joanna pokręciła głową lekko rozbawiona, po czym wstała i wyszła z gabinetu.

Szpital dla nerwowo i psychicznie chorych w Tworkach dla nikogo nie był szczególnie przyjaznym miejscem. Ilekroć Joanna tu przyjeżdżała, a w przeszłości często się to zdarzało z racji wykonywanych przez nią czynności śledczych, zastanawiała się, jakim cudem w miejscu przypominającym jako żywo scenografię z horroru ktokolwiek mógł się pozbyć dolegliwości natury psychicznej. Od początku swojej bytności w szpitalu, czyli od trzech i pół, roku pan Kazimierz przebywał na oddziale psychiatrii sądowej o wzmocnionym rygorze bezpieczeństwa. Jak pokazała historia sprzed kilku miesięcy rygor ów był jednak niewystarczający I dlatego zapewne w ostatnim czasie dyrekcja oddziału wprowadziła więcej obostrzeń, co uczyniło to miejsce jeszcze bardziej przygnębiającym. Joanna,

żeby dotrzeć do pomieszczenia ochrony, gdzie znajdowały się urządzenia z monitoringiem, musiała przejść więcej śluz, krat i kontroli niż w najbardziej strzeżonym więzieniu. Samo pomieszczenie nie różniło się specjalnie od kantorka informatyka Marcina w Komendzie Stołecznej. Niestety, zawiadujący monitoringiem ochroniarz intelektem nie dorastał Marcinowi do pięt.

Joanna od dobrej chwili przyglądała się stojącemu w rogu białej jak kreda sali separatki roslemu mężczyźnie z bujną czupryną. Początkowo miała nadzieję, że ten w końcu wykona jakiś ruch, ale po upływie trzech minut zrozumiała, że jej nadzieje są płonne.

– Mógłby pan dojechać tą kamerą bliżej?

– Po co? Przecież on stoi tyłem. – Ochroniarz błysnął refleksją, a Joannie przyszło do głowy, że u ludzi o nieszczególnie rozwiniętej korze przedczołowej niewielka ilość intelektu przeważnie służy do usprawiedliwiania totalnej pasywności w działaniu.

– Mógłby pan?

Lekko urażony mężczyzna popchnął dżojstik sterujący kamerą. Po chwili ogromna czupryna wypełniła kadr nieomal w stu procentach, nagle drgnęła i mężczyzna obrócił głowę w stronę obiektywu, a spojrzenie jego oczu zmroziło Joannę.

– Co to jest? Parapsychologia?

Ochroniarz wzruszył ramionami, a Joanna nie odrywała wzroku od wpatrujących się w nią błękitnoszarych oczu pana Kazimierza.

– Chciałabym wejść do izolatki – powiedziała.

– A to już nie ja decyduję, to ordynator albo dyżurny pielęgniarz.

– Gdzie go znajdę?

– Kogo?

– Kogokolwiek.

Dopiero teraz Joanna spojrzała na ochroniarza, bo nie umiała sobie wyobrazić, jaki musi być wyraz jego twarzy, a trochę ją to nurtowało. Twarz ochroniarza nie miała żadnego wyrazu.

Po pół godziny Joanna weszła do izolatki w towarzystwie tego samego pielęgniarza, który jako pierwszy zjawiał się pod toaletą tamtej nocy. Człowiek ten był tak ogromny, że Joannie przyszło nagle do głowy, że nawet gdyby pan Kazimierz, który też nie był ułomkiem, wziął ją na barana, to i tak byliby wciąż niżsi od niego. Pan Kazimierz tymczasem znów stał odwrócony plecami do wejścia, do kamery i do nich i raczej nie zanosilo się na to, żeby miał ją wziąć na barana. Joanna spoglądała na niego z zawodową ciekawością. Jego monumentalność, katatoniczny bezruch i może jeszcze bujna czupryna czarnych, gdzieś tam tylko przenicowanych siwizną włosów powodowały, że skojarzył jej się z wielkim drzewem.

– Dzień dobry, nazywam się Joanna Majewska, jestem z policji i chciałabym zadać panu kilka pytań – wyrecytowała w plecy pacjenta i zerknęła na pielęgniarza, upewniając się, czy zachowuje się właściwie. Pielęgniarz Wyrwidąb wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że to, jak będzie się zachowywała Joanna, nie ma większego znaczenia.

– Odkąd tu jest, czyli od ponad trzech lat, nie powiedział ani słowa.

Pielęgniarz najwyraźniej się nie przejmował, że ten, o którym mówi, stoi metr przed nimi.

– Panie Kazimierzu, a może porozmawiamy o tym, co się wtedy stało, o pańskiej żonie?

Joannie przyszło do głowy, że ten temat jako bardziej osobisty z większym prawdopodobieństwem uruchomi emocje Kazimierza i w efekcie zmusi go do mówienia

– A może o synu?

Teraz ku zaskoczeniu Joanny i stojącego tuż za nią pielęgniarza Kazimierz na moment odwrócił głowę, spojrzał na policjantkę, a potem chwilę dłużej na pielęgniarza. Następnie wrócił do wpatrywania się w pustą białą ścianę przed sobą. Ze spojrzenia skierowanego na pielęgniarza Joanna wysnuła odważną tezę, że pacjent otworzy się przed nią, pod warunkiem że Wyrwidąb zniknie z izolatki.

– Mogłabym na moment zostać sama z panem Kazimierzem?

– Nie radzę.

Wytrzymała spojrzenie.

– Dobrze. Będę za drzwiami i nie dłużej niż pięć minut.

Joanna skwapliwie kiwnęła głową, choć nie wydawało jej się, że obecność pielęgniarka za drzwiami może się okazać potrzebna. Pielęgniarka wyszedł, zostawiając ją sam na sam z człowiekiem, który zaszlachtował już wprawdzie wedle naprędce przeprowadzonych przez nią obliczeń trzy osoby, ale teraz wydawał jej się nie mniej groźny od drzewa, z którym wcześniej jej się skojarzył.

– Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego zabił pan tego człowieka w łazience, dlaczego pan zabił pana Darka?

Mówiła spokojnie i rzeczowo, cały czas czujnie wypatrując jakiegokolwiek reakcji, choćby drgnięcia mięśni na plecach mężczyzny. Jego twarzy nie widziała, bo mężczyzna wciąż zwrócony był do ściany.

– Coś panu zrobił... coś powiedział... coś zabrał?

Joanna z każdym słowem miała wrażenie, że dystans między nią a Kazimierzem zamiast maleć, tylko się zwiększa, dlatego w końcu bardziej z przekory niż z wiary w ewentualny efekt postanowiła użyć argumentów większego kalibru.

– A może zrobił to pan tak samo bez sensu i bez powodu, jak zamordował pan swojego synka i...?

Reakcja nastąpiła tak nagle, że Joanna nie zdążyła nawet pomyśleć, co zrobić, nie mówiąc już o podjęciu jakichkolwiek kroków. Tym razem Kazimierz obrócił już nie tylko głowę, obrócił się cały, a swoją potężną dłonią złapał Joannę za gardło i w ułamku sekundy uniósł ją w górę. Joanna zaczęła się dusić, trzepocząc rękami, próbowała złapać Kazimierza, on jednak trzymał ją na wyciągniętej ręce i był przez to zbyt daleko, żeby mogła go dosięgnąć. Po chwili przybliżył ją do siebie i spojrzał jej w oczy z odległości kilkunastu centymetrów. Joanna nie dostrzegła w jego oczach ani odrobiny zła. Następnie człowiek drzewo odstawił ją z powrotem na podłogę i puścił. Do sali wpadł tymczasem Wyrwidąb z paralizatorem

w rękę. Joanna, która jedną ręką trzymała się za szyję, drugą spróbowała złapać pielęgniarza za rękaw fartucha.

– Pan zostawi... – spróbowała krzyknąć, ale z jej wciąż ściśniętego gardła wydobył się jedynie chrapliwy szept.

Pielęgniarz usłyszał, bo nawet obrócił się do niej, ale nic to nie dało. Wstrząśnięty skurczem wywołanym kilkudziesięcioma tysiącami woltów mężczyzna obił się o ścianę i upadł zemdłony na podłogę. Joanna spojrzała na leżącego, następnie z wyrzutem na pielęgniarza.

– Po co?

– Muszą wiedzieć, co ich czeka za niesubordynację. Zwłaszcza on musi wiedzieć.

– Taka koncepcja chyba do tej pory nie przyniosła spodziewanych efektów terapeutycznych?

Pielęgniarz wyłączył paralizator i schował go do kieszeni.

– Nie wiem, ja tu nie jestem od koncepcji.

– A kto jest?

– Lekarze. – Pielęgniarz uśmiechnął się dwuznacznie.

Kaszowski siedział w niewielkich rozmiarów kantorku, który odgrywał rolę pokoju lekarza dyżurnego, a na nim sprawiał wrażenie, jakby został naprędce wyodrębniony z fragmentu korytarza. Ściany miały tu ten sam żółtozielonkawy kolor i w tym samym miejscu złamane były olejną lamperią w kolorze kłocznego brązu. Kaszowski popatrywał na otyłego mężczyznę z przeredzonymi włosami i sporych rozmiarów łysiną przesłoniętą wiechciem przetłuszczonych włosów zarzuconym znad jednego ucha. Zamiast słuchać nużącego nieco wywodu doktora, komisarz zastanawiał się, jak człowiek tej postury może się zmieścić na stojącej pod ścianą wąziutkiej kozetce przykrytej pocerowanym kocem w kratę. Chyba wyłącznie na boku. Pytanie tylko na którym. Twarzą do wnętrza, do którego wpadało przez okno światło latarni oświetlającej podwórko, czy twarzą do wydrapanej lamperii w kolorze kłocznego brązu? Doktor Biernacki, bo tak nazywał się siedzący

przed nim lekarz, przedstawiony mu jako ten, który pełnił dyżur feralnej nocy, zamyślił się właśnie i na chwilę przerwał słowotok. Ta przerwa przywróciła Kaszowskiego do rzeczywistości. Doktor jakby tylko na to czekał, bo kiedy się zorientował, że policjant skupił na nim swoją uwagę, podjął snucie refleksji.

– Niestety, teraz, gdy myślę o tym z perspektywy, to można było już wcześniej rozpoznać pewne sygnały. Kiedy przyszedłem na dyżur o ósmej, on już był taki trochę pobudzony...

Biernacki pokiwał głową, potwierdzając w ten sposób sam przed sobą słuszność własnego spostrzeżenia.

– U niego to rzadkie, bo tak to przeważnie w głębinach katatonii gdzieś jest i raczej spokojny. Pewnie trzeba było mu włączyć jakiś trankwilizator...

– Trankwi...?

Komisarz zapytał bardziej po to, żeby potwierdzić swoje zainteresowanie, niż po to, żeby dowiedzieć się, co Biernacki miał na myśli, mówiąc o trankwilizatorze.

– Lek uspokajający. Staramy się ich nie podawać profilaktycznie, bo jednak na dłuższą metę nie są obojętne dla organizmu i dla psychiki, ale czasem trzeba.

Kaszowski pokiwał głową, że się zgadza, choć tak naprawdę nie miał pojęcia, jakie znaczenie ma podawanie trankwilizatorów profilaktycznie, nie bardzo go to zresztą w ogóle interesowało.

– Oprócz tego, że był pan wtedy na dyżurze, to pan Kazimierz jest też, zdaje się, pańskim pacjentem. – To interesowało Kaszowskiego znacznie bardziej.

– Owszem. – Biernacki wyraźnie się zafrasował. – Tym bardziej nie wiem, jak to się stało, że nie przewidziałem... Może to zresztą właśnie dlatego. Czasem jak ktoś jest za blisko i zbyt jest skupiony na konkretnej rzeczy, na konkretnych objawach, to coś umyka z szerszego obrazu. Z nim były różne problemy, ale akurat nigdy żadnej agresji.

– Ma pan jakiś pomysł, dlaczego to zrobił?

Biernacki na moment się zamyślił.

– Od wczoraj nad niczym innym się nie zastanawiam. Nic jednoznacznego nie przychodzi mi do głowy. Była u niego ostatnio córka, po każdej takiej wizycie Kazio przez jakiś czas jest trochę niespokojny. Może Darek coś mu przygadał odnośnie do córki właśnie, a on był bardzo wyczulony na jej punkcie.

– Darek?

Kaszowski zaczął mieć kłopoty z ogarnięciem wszystkich postaci dramatu.

– No, Dariusz Ziętara, ten zamordowany.

– A tak, oczywiście.

Teraz Kaszowski sobie przypomniał, albo raczej skojarzył Darka z Dariuszem.

– Słyszałem od pańskich kolegów, że Dariusz był na wylocie.

– Owszem, ostatnio mu się poprawiło i konsylium zdecydowało, żeby puścić go na próbną przepustkę. Ja akurat byłem temu przeciwny.

– Dlaczego?

Kaszowski tym razem nie udawał zainteresowania, a pytanie zadał tak szybko, żeby Biernacki poczuł się przez moment dociśnięty. Komisarz postąpił tak rutynowo. Przez lata policyjnej praktyki wyrobił sobie nawyk, żeby w pewnym momencie rozmowy zawsze zrywać jej rytm, a potem obserwować reakcję rozmówcy. Takie nagłe zerwanie potrafiło przynieść czasem dosyć zaskakujące rezultaty.

– To jest, wie pan, w zasadzie oddział dożywotni.

Biernacki odpowiadał spokojnie, a zarazem z zaangażowaniem, co dla komisarza oznaczało, że test nie wykazał żadnych oboczności.

– Tu są ludzie naprawdę niebezpieczni dla otoczenia.

– A co właściwie dolegało panu Darkowi, zanim mu się polepszyło? – drążył Kaszowski.

– O ile wiem, ostra schizofrenia paranoidalna w fazie objawów

pozytywnych, wytwórczych. – Widząc kompletny brak zrozumienia u słuchacza, Biernacki uściślił, czy raczej rozwinął: – Omamy, halucynacje słuchowe, wzrokowe, manie prześladowcze, momentami potrafił być bardzo obcesowy, czasem agresywny.

– To rzeczywiście pozytywne objawy. A to polepszenie ostatnio na czym polegało?

– Ostatnio nie wiem, bo rzadko bywałem w szpitalu. Doktoryzuję się na Harvardzie i mam sporo pracy naukowej, wziąłem urlop i w domu pracowałem. Z czego mogło wynikać? No cóż, leczymy ich tutaj, czasem to przynosi efekty.

Ostatnie zdanie Biernacki wypowiedział z odrobiną zarozumiałej satysfakcji.

Joanna po lekturze raportu z rozmowy z Biernackim, o dziwo, nadzwyczaj szczegółowego, przeszła do załączonych do akt w dalszej kolejności wyników badań sekcyjnych. Znalazła tam coś, co odrobinę ją zaskoczyło, więc prosto ze swojego gabinetu udała się dwa piętra niżej do laboratorium doktor Batke. Basia tym razem przyjęła ją z obojętną uprzejmością, a nie jak poprzednio – z ostentacyjną niechęcią.

– Zmiany zwyrodnieniowe nerek?

– Tak, zmiany były na tyle poważne, że lada moment wymagałyby dializowania. Stąd zresztą te częste wizyty w toalecie. – Basia spojrzała na Joannę. – On, zdaje się, został zamordowany w toalecie?

Komisarz pokiwała głową i pomyślała, że właściwie nie jest najgorzej, skoro nawet doktor Batke zaczynała się z nią powoli oswajać. Jakby na potwierdzenie jej spostrzeżenia, Basia podeszła do Joanny na tyle blisko, że zajrzała w dokumenty, które ta wertowała.

– Ale skąd te zmiany? – Joanna starała się kuć żelazo póki gorące.

– Być może jakaś choroba genetyczna, może uszkodzenia odlewkowe, przecież on tam już od piętnastu lat siedział naszprycowany lekami. Poza tym stwierdziliśmy w osoczu śladowe ilości substancji o nazwie glicyna.

Basia zatrzymała rękę Joanny, która chciała przerzucić kolejną stronę raportu, i wskazała na pozycję w tabeli z wynikami toksykologii.

– Tutaj. Śladowe ilości nie uszkadzają nerek, ale skoro wtedy były śladowe, to może kiedy indziej były duże, a duże dawki glicyny mogą uszkadzać nerki.

– Czyli facetowi poprawiło się pod sufitem, ale za to siadły mu nerki.

– Na to wygląda.

– Tylko skąd ta glicyna?

– Nie mam pojęcia. Może niech pani zapyta kogoś, kto prowadził tę sprawę.

Basia po raz pierwszy uśmiechnęła się do Joanny, a ona zrozumiała, dlaczego Kaszowski spędził z tą kobietą ostatnie kilka lat. Uśmiech pani doktor był bardzo ciepły, a zarazem intensywnie intrygowy, nawet ją, choć nie miała, przynajmniej do tej pory, żadnych homoerotycznych skłonności.

Gabinet profesora Moskala, ordynatora oddziału psychiatrii sądowej, oddziału o podniesionym rygorze bezpieczeństwa, prezentował się zupełnie inaczej niż gabinet podległego mu doktora Biernackiego. Przede wszystkim był znacznie obszerniejszy i dzięki temu mogły się w nim pomieścić stylowe meble gdańskie, które ładnie komponowały się z ciemną boazerią pokrywającą ściany mniej więcej do dwóch trzecich wysokości. Pozostała część ścian była śnieżnobiała, dzięki czemu ładnie odcinały się na niej portrety znanych i lubianych tuzów psychologii. Był tu i Kępiński, i Fromm, Jung i oczywiście Freud. Profesor Moskal siedział za biurkiem zanurzonym w bujnej i zadbanej roślinności. Kaszowskiemu od razu po wejściu przyszło do głowy, że w tym entourage'u profesor sprawia wrażenie gotowego do sportretowania i umieszczenia w ciemnobrązowej ramce obok wielkich poprzedników.

– Dzień dobry, zapraszam, proszę siadać.

Moskal, prawdopodobnie, żeby lepiej widzieć mikrozmiany na twarzy gościa, zmienił okulary z tych, których używał do czytania, na te, których

używał do lustrowania ludzkich obliczy.

– Dzień dobry.

Kaszowski usiadł i uśmiechnął się do swoich myśli.

– Pan pierwszy raz u nas? – Moskał przystąpił do zbierania wywiadu, a do Kaszowskiego dotarło, że został wzięty za pacjenta, co zważywszy na jego wygląd, nie było dlań szczególnym zaskoczeniem, więcej, korzystając z okazji, postanowił na razie nie wyprowadzać profesora z błędu i zamiast odpowiedzieć, zaczął się rozglądać po gabinecie.

– Co dolega?

– Nic w zasadzie.

Kaszowski grał dalej, a Moskał uśmiechnął się z wyrozumiałością.

– Jak mogę zatem pomóc?

– Ktoś mi powiedział, że pan wprowadza nowatorską metodę leczenia glicyną.

Komisarza coraz bardziej bawiła dwuznaczność sytuacji, jednocześnie miał świadomość, że lada moment grę trzeba będzie prawdopodobnie zakończyć. Tymczasem odniósł wrażenie, że Moskał nagle stał się bardzo czujny, rozejrzał się nawet, jakby upewniając się, czy nie ma z nimi przypadkiem w pokoju jeszcze kogoś.

– W takim razie ktoś pana wprowadził w błąd.

Zapadło milczenie, w końcu Moskał postanowił pociągnąć temat dalej.

– Schizofrenia?

– Nie, policja. – Kaszowski się uśmiechnął i sięgnął do kieszeni po odznakę. – Komisarz Marek Kaszowski, prowadzę dochodzenie w sprawie...

– W sprawie zamordowania jednego z moich pacjentów przez drugiego. – Mimo zaskoczenia profesor dość szybko odzyskał orientację w sytuacji i teraz za wszelką cenę starał się pokryć zmieszanie. – Słyszałem o panu. Jak mogę pomóc?

Ostatnie zdanie Moskał wypowiedział dość chłodno, widać było, że czuje się lekko zażenowany, a może nawet upokorzony tym, że Kaszowski, na jego

własne zresztą życzenie, zdołał wciągnąć go w sytuację z gatunku ukryta kamera. Komisarz zszedł tymczasem nieco poniżej swoich zdolności asocjacyjnych i udawał, że w ogóle nie zauważył zmieszania profesora, sprawiał nawet wrażenie, jakby to on został wprowadzony w błąd żartem profesora, a nie na odwrót.

– Dariusz Ziętara był pańskim pacjentem? Leczył go pan preparatem zawierającym glicynę?

– Staram się w mojej praktyce nie wychodzić poza ramy sprawdzonych i zatwierdzonych terapii.

– Stara się pan?

Kaszowski pomyślał, że ofiara z własnej inteligencji na nic się nie zdała, profesor był dotknięty i ich relacja nie rokowała dobrze na przyszłość.

– Panie komisarzu, proszę mnie nie łapać za słowa. W czasie mojej kilkudziesięcioletniej praktyki lekarskiej nie wychodziłem poza te ramy.

– To dlaczego we krwi pacjenta, którego pan prowadził i któremu, jak rozumiem, pan ordynował leki, stwierdziliśmy obecność tej substancji?

Kaszowski nie odpuszczał. Z każdą chwilą ten człowiek coraz mniej mu się podobał. Początkowo jego sztywność tłumaczył tym, że profesor poczuł się ośmieszony, ale teraz stwierdził, że pewien rodzaj nadęcia i protekcyjności musiał w nim tkwić bez względu na okoliczności. Tych zaś cech komisarz wyjątkowo nie lubił.

– Nie wiem, nie potrafię tak szybko odpowiedzieć. Musiałbym sprawdzić, zastanowić się, być może któryś z leków, które mu podawaliśmy, zawierał jakieś śladowe ilości tej substancji.

Moskał zaczynał powoli wypadać ze swojej mentorskiej roli.

– Z tego, co mi wiadomo, w czasie gdy doszło do tragicznych wydarzeń, pan również był obecny na oddziale?

Kaszowski dozował napięcie, wybierał odpowiedni moment i uderzał coraz celniej, a Moskał wyglądał na coraz bardziej zagubionego.

– Skąd pan wie?

– A co za różnica? Był pan?

– Owszem.

– A po co, jeśli można wiedzieć?

– Jestem ordynatorem oddziału, panie komisarzu, i pewnie, podobnie jak pan, poza prowadzeniem działań praktycznych muszę codziennie przedzierać się przez zwały papierów. To się nazywa biurokracja.

Kaszowski pokiwał głową, ale nie wydawał się przekonany. Nie wiedział wprawdzie, dlaczego profesor Moskał miałby kłamać, ale instynktownie przeczuwał, że nie mówi prawdy albo w każdym razie nie mówi całej prawdy.

W pokoju pielęgniarek na białym stoliku przy ścianie stało pudło, w którym zebrano wszystkie rzeczy osobiste należące do pana Kazimierza. Wcześniej miał do nich nieograniczony dostęp, teraz zostały mu odebrane w ramach dodatkowej kary za to, co zrobił. Pielęgniarz, który przyniósł karton z magazynu, objaśnił wprawdzie Kaszowskiemu, że rzeczy te zostały odebrane Kazikowi ze względów bezpieczeństwa, ale komisarz i tak wiedział swoje. W kartonie nie było wiele, jakieś długopisy, stary zegarek, książeczka do nabożeństwa, a w niej jako zakładka zdjęcie, na którym widać było przystojną, mniej więcej pięćdziesięcioletnią kobietę, dziesięcioletniego chłopca i dziewczynę około dwudziestki. Z centralnego miejsca zdjęcia ktoś wydarł jeszcze jedną postać. Kaszowski nie musiał szczególnie wysilać intelektu, żeby stwierdzić, że ten, kto wyrывał i kto został wyrwany, to jedna i ta sama osoba. Komisarz wciąż przyglądał się zdjęciu, choć wszystko, co na nim było, już zobaczył.

Kaszowski

Białe miś z Krupówek. Ciekawe, czy wciąż tam jest. Nie byłem w górach dwadzieścia lat, w żadnych górach, nie zbliżam się do gór, kiedy pada śnieg, nie wychodzę z domu, nie wyglądam nawet przez okna. Miś, Agnieszka, Ewa i ja. Nie wiem, gdzie jest to zdjęcie. Kiedy po tym wszystkim trafiłem do domu, na pierwszy ogień poszły zdjęcia, potem ubrania, szczotki do włosów,

do zębów, wszystko w kartony, wszystko zlikwidowałem, nic nie wyrzuciłem. Oczywiście, że wiem, gdzie jest to zdjęcie, ono przyszło pocztą później, kiedy nie było już szminek, butów na szpilce, książek, kredek. Wiem, gdzie jest to zdjęcie, i nigdy go stamtąd nie wyjmę, a i tak mam je cały czas w głowie, jak te wszystkie inne momenty, zapachy i uśmiechy. Panie Kazimierzu, na nic się zdaje wyrwanie siebie ze zdjęcia, ono i tak jest w panu, a pan na nim.

– Coś pan mówił?

Pielęgniarka stała i od kilku sekund przyglądała się bladej i nieruchomej twarzy Kaszowskiego. Ten pokręcił głową, co oznaczało, że powrócił do rzeczywistości. Na jego twarzy pojawiły się na powrót barwy i mimika, a pielęgniarka odetchnęła z ulgą.

– Ma pani jakiś pomysł, skąd wziął nóż?

– Kto? Kazio?

Kaszowski kiwnął głową.

– Pytanie za sto punktów. Miał dyżury w kuchni, przywoził obiady, akurat do tego z jakiegoś powodu się nadawał. Może stamtąd miał nóż, może był tak przebiegły, żeby pokazać, że do tego się nadaje, a potem stamtąd wziąć nóż. Chociaż z drugiej strony, nie chcę mi się wierzyć w coś takiego. Zapytał pan, to mówię.

Komisarz kiwnął głową i zanurkował z powrotem w kartonie, z którego po chwili ku swemu zaskoczeniu wydobył telefon komórkowy starego typu.

– Po co katatonikowi, który od trzech lat nic nie powiedział, telefon komórkowy?

W tym momencie do pokoju wszedł pielęgniarz, który wcześniej przyniósł Kaszowskiemu karton.

– Czasem odwiedza go córka, ta, której nie zamordował, bo nie było jej akurat w domu. – Mężczyzna spojrzał na pielęgniarkę, której ewidentnie nie podobał się ton, jakim wyrażał się o Kazimierzu. – Ona mu przyniosła, Moskał się zgodził, więc ma, córka czasem mu doładowuje, żeby numer nie

wygasł. Po co on ma ten telefon? Tego nikt nie wie. Może córka liczy, że facet, który nie mówi, w końcu zadzwoni i jej wyjaśni, po jaką cholerę pociął jej matkę i brata na kawałki. A on co wieczór przynosi ten telefon do ładowania, taki widać ma trip, wydaje mu się może dzięki temu, że jest w kontakcie.

– Może dzięki temu żyje. – Kaszowski powiedział to jakoś tak, że pielęgniarka się uśmiechnęła, a pielęgniarzowi odechciało się nagle dalszego najeżdżania na Kazia.

Komisarz zajrzał do listy kontaktów w telefonie – same numery do operatora sieci wbite przez salon, w połączeniach wybieranych i w połączeniach odbieranych nic, nie było też żadnych esemesów. Wystukał na klawiaturze numer. Po chwili odezwał się telefon w jego kieszeni. Kaszowski przerwał połączenie.

– Dziwne.

– Najdziwniejsze, jak dla mnie, jest to, że ta córka mu ten telefon dała, i w ogóle to, że ona tu przychodzi po czymś takim. Nie rozumiem ludzi.

Pielęgniarka wyszła, bo nie mogła dłużej słuchać wielkiego jak dąb człowieka z małym rozumem. Kaszowski tymczasem myślami był już gdzie indziej. Intrygowało go to, że komórka jest wyczyszczona z wszelkich informacji. Jeśli córka zostawiła mu telefon, to musiała na niego zadzwonić choćby na próbę, a w telefonie nie było śladu po jakimkolwiek kontakcie.

Kiedy Basia weszła do sypialni w mieszkaniu Kaszowskiego, miała na sobie rozchylony szlafrok, a pod nim krótką jedwabną koszulkę nocną. W rękach trzymała dwa kieliszki czerwonego wina. Jeden z nich podała Kaszowskiemu leżącemu w szarej satynowej pościeli, którą dostał od niej miesiąc wcześniej z okazji bez okazji. Gdy z drugiego wypila mały łyk, on wbił wzrok w jej usta, które stały się jeszcze ponętniejsze.

– Była dzisiaj u mnie ta wasza nowa pani.

– Nasza nowa pani. – Kaszowski uśmiechnął się i pokiwał głową. – Nie mogłaś tego lepiej ująć. Czego chciała nasza pani od mojej pani?

– Pogmerać w Tworkach. Powiedziałam jej o tej glicynie.

– Żadna tajemnica. O telefonie też?

– Nie moja działka.

– I tak sama się zaraz dowie. – Kaszowski się zamyślił. – Trochę pokpiłem sprawę.

Basia rozejrzała się po pokoju. Na półkach zajmującego całą jedną ścianę regału z książkami stały odkurzone i z pietyzmem poustawiane ramki na zdjęcia, w których nie było żadnych zdjęć. Ramki ziały dojmującą pustką, brakiem i wyrzutem.

– Długo będziesz sobie to jeszcze robił, Marek?

Wyrwany z zamyślenia Kaszowski podążył za jej wzrokiem.

– Aż przestanę.

Kiedy Joanna wbiegała zdyszana do szkoły, właśnie rozległ się dzwonek na lekcję. Wychowawczyni czekała na nią w szatni, tak jak się umówiły, kiedy zatelefonowała pół godziny wcześniej z enigmatycznie sformułowaną prośbą, żeby Joanna zjawiła się w szkole jak najszybciej. Przez całą drogę wyobrażała sobie różne fatalne scenariusze, a spośród nich najbardziej przerażający był ten, według którego Piotrka porwał ze szkoły Waldemar.

– Przepraszam, pani Weroniko, że to tyle trwało, pędziłam, ale to kawał drogi – wydyszała. – Co się stało?!

– Piotrek poszedł już na lekcje. Na szczęście okazało się, że to tylko krew z nosa...

– Ale jaka krew, dlaczego?! – Joanna przerwała zbyt gwałtownie, a wychowawczyni popatrzyła na nią zdziwiona.

– Chłopcy się pobili. No i teraz... mamy tak przyjęte, że w takich sytuacjach rodzic powinien zjawić się, o ile to możliwe, jak najszybciej u pani dyrektor, żeby sprawę od razu...

– Ale jak to się pobili, kto kogo?! Dlaczego?

– Pobili się we dwóch, jak to przy bójkach. Wojtek, to znaczy ten drugi chłopiec, twierdzi, że Piotrek zaczął, ale to tak naprawdę... wie pani, jak to

jest.

Joanna próbowała zebrać myśli. Fakt, że Piotrek mógł się z kimkolwiek pobić, wydawał jej się niedorzeczny. Taki, jakiego znała, był zbyt na to wrażliwy, pokojowo nastawiony do świata, empatyczny, skłonny do wybaczenia, niechowania uraz.

– Piotrek ostatnio trochę się zmienił, zamknął się w sobie, sama nie wiem, co o tym myśleć, może to już dojrzewanie...

Joanna zdała sobie sprawę, że wychowawczyni od początku starała się być bardzo delikatna, a ona dla odmiany zachowywała się kompulsywnie i właściwie impertynencko.

– Pani Weroniko, przepraszam, strasznie się zdenerwowałam, kiedy jechałam tu do pani, chodzi o to, że...

– Wiem, o co chodzi, proszę się nie przejmować, jeśli nie chce pani iść teraz do dyrektorki, jakoś panią wytłumaczę.

Joanna uśmiechnęła się z wdzięcznością i pomyślała przez moment, że może lepiej było zostać nauczycielką albo w ogóle kimkolwiek innym, zamiast wchodzić prosto w buty własnego ojca. Może nie trafiła w swoje powołanie, wzięła to, co było z brzegu, to, co podłożył jej apodyktyczny rodziciel, a teraz za to płaci.

Jacek czuł się teraz w towarzystwie Joanny znacznie swobodniej niż na początku. W tej chwili ona siedziała przy swoim biurku, a on mówił, przechadzając się po gabinecie, w mówieniu zaś uzyskał nawet po raz pierwszy pewną swadę. Joanna popatrywała na niego i oprócz tego, że słuchała go z uwagą, to przy okazji gdzieś w drugim myślowym obiegu zastanawiała się, ile ten przystojny, rzutki chłopak może mieć lat.

– Z tego telefonu nikt nigdy nie zadzwonił, ale kiedy sprawdziliśmy u operatora rozmowy przychodzące, to ku naszemu zaskoczeniu okazało się, że tu już był całkiem spory ruch. Kilkanaście połączeń w ciągu ostatnich tygodni, zawsze z tego samego numeru, krótkie kilkusekundowe rozmowy, i to gdzieś najprawdopodobniej z terenu szpitala. Precyzyjniej nie byli w stanie określić.

– Córka?

Joanna taką opcję potraktowała za w miarę oczywistą. Pozostawało jednak wciąż pytanie o to, jak można przeprowadzić nawet kilkusekundową rozmowę z człowiekiem, który nie mówi.

– Nie. – Jacek stopniował napięcie. – Pytaliśmy ją. Okazało się, że kupiła telefon ojcu w nadziei, że to on kiedyś do niej zadzwoni, sama do niego nie zadzwoniła ani razu.

Joanna nie kryła zdziwienia.

– No i najważniejsze. – Jacek przeszedł do misternie zbudowanego punktu kulminacyjnego. – Ostatnie połączenie zarejestrowano na kilka minut przed zabójstwem Ziętary.

Kiedy puenta już wybrzmiała, ku zaskoczeniu Jacka Joanna nagle wstała i energicznie wyszła ze swojego gabinetu, pozostawiając Młodego sam na sam z wiszącym na ścianie vis-à-vis dyplomem ukończenia szkolenia FBI w Quantico.

Jacek

W ogóle to miało być inaczej. Rodzina prawnicza, ojciec ma kancelarię, wcześniej miał ją dziadek, który za komuny bronił opozycjonistów i nie tylko. Nawet w najgorszych czasach podobno były pieniądze, dom, a właściwie dwa na warszawskim Żoliborzu oficerskim, znajomi z najwyższych kręgów. Miałem skończyć prawo, potem aplikacja adwokacka, asystowanie w kancelarii ojca, partner, w końcu przejęcie firmy. Nikt nawet nie brał pod uwagę, że może być inaczej, i do pewnego momentu wszystko szło zgodnie z wytyczonym planem. Studia może bez szczególnie spektakularnych sukcesów, ale jakoś przechodziły. To zdarzyło się na czwartym roku. Może gdybym był już na piątym, to chociaż też pewnie by mną to wstrząsnęło, na tyle zdążyłbym okrzepnąć w koncepcji, na tyle czułbym się bliski realizacji pierwszego etapu planu, że jakoś bym przecierpiał, potem zapomniał, a potem wszedł w kierat i wszystko potoczyłoby się zgodnie z założeniami. A tak wszystko się ryło i teraz stoję

przed tym dyplomem, którego jako mecenas Czerwiński pewnie w ogóle bym nie zauważył, ba, w ogóle nie miałbym ku temu okazji, bo nigdy nie znalazłbym się na tej komendzie i w tym gabinecie jako aspirant, a przede wszystkim nigdy nikt nie nazwałby mnie Młodym. Czy żałuję? Żałujesz?... Nie.

Joanna stała przed biurkiem prokuratora Witolda Sobeckiego, totalnie zabałaganionym papierami i kubkami po kawie i z kawą. Stała, chociaż prokurator próbował ją nakłonić do tego, żeby usiadła, stała, bo była na niego i nie tylko na niego naprawdę wściekła.

– Proszę mi wytłumaczyć, jak to jest możliwe, że tego nie ma w aktach podręcznych. Przecież w ten sposób ja wychodzę na kretynkę. Ta informacja kompletnie zmienia postać rzeczy.

Sobecki słuchał Joanny z należytą uwagą, ale jednocześnie popatrywał co rusz w kierunku białego pudełka pełnego pączków, które właśnie był rozpakowywał, kiedy pani komisarz wpadła do pokoju jak burza gradowa i uderzyła jak piorun z jasnego nieba.

– Wydaje mi się, że rozumiem pani zdenerwowanie i uważam je za w pełni uzasadnione, pani Joanno. – Sobecki pokiwał głową, a jego koncyliacyjność na moment wybiła ją z rytmu natarcia. – Spróbuję pani wszystko wyjaśnić, ale proszę usiąść. – Zauważył, że policjantka się zawahała. – Naprawdę, nalegam.

Joanna usiadła, Sobecki znów spojrzał w kierunku pudełka, odczekał chwilę.

– Pączka?

– Słucham?

Zorientował się, że zrozumiała pytanie, ale uznała je za tak niedorzeczne, że kontynuowanie tego tematu przynajmniej na razie wydało mu się bezcelowe. Białe opakowanie na bezchmurnym niebie musiało poczekać, a to było prokuratorowi zdecydowanie nie na rękę.

– No więc to oczywiście trafi do akt podręcznych. – Sobecki zerknął na

Joannę i zorientował się, że temperatura na powierzchni jej półkul mózgowych znów zaczęła niebezpiecznie rosnąć. – To znaczy tak naprawdę już powinno tam być, ale sprawa jest świeża i Marek, to znaczy komisarz Kaszowski, jeszcze prawdopodobnie uzupełnia... Na jego usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że ja o wszystkim wiedziałem, byłem informowany na bieżąco o każdym działaniu. Zresztą to oczywiste, musiałem występować do operatorów sieci komórkowych, przesłuchiwałem świadków, uczestniczyłem...

– Doskonale, tylko ja wchodzę w sprawę, angażuję się, jeżdżę do Tworek, ale cały czas bazuję na jakimś strzępku wiedzy, która tak naprawdę jest już na tym etapie nieaktualna. Zarzucam Kaszowskiemu, że nie zamknął sprawy, a on zamiast mi powiedzieć o tym, do czego teraz doszłam, robi jakieś enigmatyczne miny i wali umoralniające gadki.

Sobecki pokiwał głową w poczuciu winy, przez moment zastanawiał się, czy może już ponowić propozycję poczęstunku. W końcu uznał, że pora jeszcze nie nadeszła.

– Sprawdziliśmy numer, z którego dzwonił do pana Kazimierza. Oczywiście prepaidowy, oczywiście nie wiadomo czyj, karta kupiona w jakimś kiosku, aparat pewnie na bazarze, telefon nigdy nie logował się do innej stacji bazowej niż ta przy szpitalu... Czyli ktoś musiał go włączać jedynie tam i tam też od razu po wykonaniu połączenia wyłączać. Może też gdzieś w szpitalu trzymał ten aparat, ale tego już nie wiem.

Sobecki zerknął na Joannę, sprawdzając, czy choć trochę udało mu się ją udobruchać, wiedział przecież, że tak naprawdę ona ma świętą rację. Tylko czemu akurat na niego musiało spadać całe odium winy?

– Ktoś był czujny. Po ostatnim telefonie, tym przed zabójstwem, telefon w ogóle zniknął i nigdy więcej się nie pojawił.

Joanna pokiwała głową, nie miała już siły na dalsze dociekanie, dlatego nikt jej wcześniej nie poinformował. Sobecki bezbłędnie odczytał jej myśli.

– To co, może jednak... – Zerknął już teraz zupełnie otwarcie w kierunku białej paczki, z której przed przyjściem Joanny zdążył zdjąć brązową tasiemkę. – Skusi się pani na jednego?

– Nie mogę. – Pokręciła głową. – Jestem na diecie.

– No, to coś nas w końcu łączy – ucieszył się Sobecki, sięgnął po pudełko, otworzył kartonowe wieczko i podsunął pani komisarz.

Joanna zaczynała się czuć na korytarzach oddziału psychiatrii sądowej jak w domu. Po przejściu kontroli i potrójnej służby z kratami ruszyła prosto do gabinetu Moskala. Profesor też wydawał się traktować ją teraz mniej oficjalnie, a kiedy szli już w kierunku gabinetu pielęgniarek, jeden z przechadzających się pacjentów pozdrowił ją, uchylając czapki, której nie miał na głowie.

– Nie pani pierwsza pyta mnie o tę glicynę.

– Domyślam się.

– Po tym jak kilka miesięcy temu poprosił mnie pani kolega...

– To nie jest mój kolega – przerwała mu i zaraz pożałowała, bo co tak naprawdę mogło obchodzić ordynatora psychiatrii, czy ktoś jest, czy nie jest jej kolegą.

– Rozumiem. – Moskał zareagował z uśmiechem, który nie wiadomo, co oznaczał, więc Joanna pożałowała jeszcze bardziej. – Zastanawiałem się, konsultowałem z kolegami i wyszło mi, że żadna z rzeczy, które podawaliśmy Ziętarze, nie powinna podnieść poziomu glicyny w jego osoczu. Zresztą zaraz pani pokażę wszystkie leki, które brał, część z nich na stałe, część tylko doraźnie.

Zastanowił się chwilę, poczym kontynuował, mówiąc jakby bardziej do siebie niż do policjantki.

– On nie dostawał dużo, bardziej ostatnio próbowaliśmy psychoterapii, doktor Biernacki pracował też z nim na hipnozie, a wtedy wszelkie psychotropki staramy się wycofywać. Pacjent nie może być nadmiernie...

– Zamulony.

– Ujmując rzecz nieco kolokwialnie.

Profesor przepuścił Joannę w wejściu do pokoju pielęgniarzkiego. W rogu pod oknem siedziała tleniona blondynka z wyraźnymi odrostami i oglądała

telewizję.

– Pani Grażynko, poproszę klucz.

Moskał stanął przed szklaną szafką z lekami, próbując w ten sposób uniknąć dalszych pytań i ułatwić zadanie pani Grażynce.

– Do czego?

Na nic się zdały wysiłki profesora. Pani Grażynka tak się wciągnęła w osiemsetny odcinek swojego ulubionego quasi-dokumentalnego serialu kryminalnego, w którym grali ludzie zupełnie niepotrafiący tego robić, że pozostawała absolutnie poza kontaktem z rzeczywistością.

– Pani Grażyno!

Dopiero teraz pielęgniarka spojrzała na profesora wzrokiem osoby głęboko dotkniętej tonem, jakim się do niej zwrócono. Po chwili wstała i podeszła do szafki z pękiem kluczy na dużym metalowym kółku, wybrała jeden z nich i podała Moskałowi. Wykonując wszystkie te czynności, przez cały czas kątem oka pozostawała połączona z narracją serialu.

– Zabił ten gładko ogolony. – Joanna też patrzyła w ekran telewizora stojącego na półeczce nad grzejnikiem.

– Kuzyn? – zdziwiła się pani Grażyna. – Skąd pani wie?

– Wygląda najmniej podejrzanie.

Pielęgniarka pokiwała głową z szacunkiem dla takiej przemyślności i wróciła na stojący pod oknem fotel. Profesor otworzył szafkę, a Joanna zauważyła, że on też jest bardzo gładko ogolony, i lekko ją to rozbawiło.

– Czemu pani się uśmiecha?

– Po prostu coś mi się przypomniało. A wracając do meritum, co w takim razie rozniosło mu nerki, bo z badań post mortem wynika, że gdyby żył, to właściwie lada moment musiałby być dializowany.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, może był jakiś stan zapalny. Z nimi niestety jest przeważnie taki kłopot, że nie mają kontaktu z własnym ciałem, jak coś ich boli, to tego nie czują, jak nie boli, to czują, różne takie...

– Zerknęłam w jego ostatnie badania, zrobione trzy miesiące przed śmiercią. Jest tam też mocz, obraz prawidłowy. Nie znam się na tym, ale

trudno mi sobie wyobrazić, żeby choroba nerek przebiegała w takim tempie.

– Tak, to mało prawdopodobne. – Moskał w końcu zanurkował w głąb szklanej szafki i wyjął z niej kilka pudełek. – Proszę, to jest to, co on brał. Właściwie te trzy rzeczy tylko. Lorazepam, żeby nie szalał i trochę przeciwlękowo, zyprexa i diazepam już stricte na schizofrenię, żaden nie powinien rozwalić nerek, żaden nie zawiera glicyny. Nie wiem, naprawdę nie mam pojęcia, skąd ta glicyna i te nerki.

Tak naprawdę po dzisiejszym incydencie w szkole wyjście do kina powinno zostać odwołane, ale Piotrek miał je obiecać od dwóch tygodni, więc Joanna, żeby nie okazać się niekonsekwentna we własnych oczach, zastosowała wybieg i uznała, że na razie oprze się na domniemaniu niewinności. Ewentualne kary przyjdą po wyjaśnieniu sprawy, gdy już Piotrek zostanie osądzony przez niezawisły sąd reprezentowany oczywiście przez nią samą. Na parking w centrum handlowym przyjechali lekko spóźnieni, na szczęście seanse nigdy nie zaczynają się tak naprawdę o podanej godzinie, bo za każdym razem najpierw trzeba odsiedzieć przymusowe dwa kwadransy, oglądając mało porywające reklamy i niewiele bardziej porywające zwiastuny. Piotrek mimo tej świadomości był już nieco podenerwowany, bo po pierwsze, lubił cały rytuał, nie wyłączając reklam, a po drugie, stałym elementem tego rytuału był popcorn, który najpierw należało nabyć. Kiedy Joanna zatrzymała auto i wyłączyła silnik, mimo wszystko na jaw wyszedł tropiący ją niepokój wychowawczy i by uspokoić sumienie musiała raz jeszcze odnieść się do sytuacji sprzed kilku godzin.

– Obiecuj mi, że nie będziesz się więcej bił.

Piotrek nie odpowiedział, bo to naruszyłoby jego podstawowe prawo, czyli prawo do obrony. Nie umiałby tego precyzyjnie nazwać, ale instynktownie wiedział, że tej obietnicy nie może złożyć.

– Nie damy sobie rady, Piotrek, jeśli nie będziesz ze mną współpracował. Rozumiesz?

Do Joanny najwyraźniej dotarło, że z obietnicy będą nici, co więcej, prośba o nią była nedorzecznnością, musiała jednak jakoś wybrnąć z tej

zagmatwanej sytuacji. Na szczęście Piotrek, który chciał już przede wszystkim pójść do kina, kiwnął głową i mogli w końcu wysiąść z samochodu.

– Jaki popcorn?

– Duży.

– Duży nie, bo ci zostaje.

– Nic mi nie zostaje, a poza tym cały czas i tak mi podjadasz.

– Niemożliwe, nie znoszę popcornu.

– No co ty?

– Okulary wzięłeś?

Dochodzili już do szklanych drzwi prowadzących z parkingu do ruchomych schodów, które miały ich wynieść na górne pokłady świątyni dobrobytu, kiedy Joanna się zatrzymała, bo sprawa okularów do oglądania w 3D wydała jej się nagle kluczowa.

– Wziąłem.

Piotrek sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwie pary okularów. Jedne, większe, podał Joannie, która od razu je założyła, rozejrzała się wokoło, żeby zobaczyć, jak wygląda rzeczywiste 3D w okularach do 3D. Po chwili zdjęła okulary tak gwałtownie, że upadły na ziemię.

Zobaczyła go na drugim końcu parkingu. Od razu widziała, że jego obecność tutaj nie może być przypadkowa, tym bardziej że pomimo odległości i okularów przeciwsłonecznych, które nie wiadomo po co miał na sobie, Waldemar bacznie im się przyglądał. Chłopiec schylił się, żeby podnieść okulary.

– Piotrek...

– Tak, mamo? – Chłopiec od razu się zorientował, że coś jest nie tak.

– Wiesz co, strasznie mi się w głowie zakręciło, może od tych okularów.

– I co, nici z kina?

Piotrek oprócz wielu innych niewątpliwych zalet miał jedną niezwykle przydatną w kontaktach międzyludzkich, był mianowicie spostrzegawczy

i empatyczny.

– No, chyba tak, jutro przyjdziemy.

Joanna rozejrzała się nerwowo, planując najkrótszą drogę powrotną do samochodu, złapała syna za rękę i ruszyła do auta.

– Ale będzie duży popcorn?

– Będzie.

W miarę jak zbliżali się do samochodu, Joanna szła coraz szybciej. Zrobiło się tak nerwowo, że Piotrek wolał nie pytać, o co tak naprawdę chodzi. W tym momencie na ich drodze jak spod ziemi wyrósł aspirant Czerwiński. Joanna w pierwszym odruchu aż odskoczyła.

– Dzień dobry, pani komisarz.

– O, dzień dobry, to pan, przepraszam, ale nie byłam pewna. – Płacząc się, próbowała usprawiedliwić swoją pierwszą paniczną reakcję.

– A państwo... – Jacek uśmiechnął się do Piotrka, a w jego głowie pojawiło się nagle pytanie, czy Joanna kogoś ma – ...już po?

– Nie... – Komisarz Majewska znów rozejrzała się nerwowo. – Ale musimy dzisiaj zrezygnować, niestety.

– Rozumiem. – Jacek nic nie rozumiał, bo jeszcze nigdy nie widział Joanny tak zdenerwowanej, do tej pory jawiła mu się raczej jako uosobienie spokoju i opanowania.

– To do zobaczenia jutro na zakładzie. – Joanna zdobyła się na żart, którym miała nadzieję rozładować atmosferę, ale jej się to nie udało, bo nie czekając nawet na odpowiedź, otworzyła samochód i trzy sekundy później ruszyła z piskiem opon.

Jacek został. Próbując zrozumieć to, czego właśnie był świadkiem, rozejrzał się po parkingu. I wtedy w miejscu, w które chwilę temu wpatrywała się komisarz Majewska, zobaczył mniej więcej trzydziestoletniego, ogolonego na łyso mężczyznę w skórzanej kurtce i służących nie wiadomo czemu na mrocznym parkingu przyciemnianych okularach. Jacek ruszył w stronę mężczyzny, a ten, zorientowawszy się, że młody człowiek, z którym przed chwilą rozmawiała Joanna, idzie ku niemu,

wsiadł do zaparkowanego obok bmw i ruszył w stronę bramy wyjazdowej. Aspirant Czerwiński zerknął na rejestrację, wyjął telefon i zapisał w notatkach zapamiętany numer.

W izolatce na krześle przyśrubowanym do podłogi przy niewielkim przyśrubowanym do podłogi stoliku siedział pan Kazimierz. Joanna weszła ostrożnie, starając się nie naruszyć panującej w pomieszczeniu ciszy, postawiła na podłodze drugie krzesło i wolno usiadła naprzeciwko pana Kazimierza. Za nią przy ścianie zajął miejsce pielęgniarz, który tym razem mimo próśb nie zgodził się pozostawić jej w pomieszczeniu sam na sam z pacjentem. Joanna przez chwilę przyglądała się Kazimierzowi, zastanawiając się, czy od ostatniego razu coś się zmieniło. Różnica była na tyle nieznaczna, że przygodny obserwator albo ktoś o mniej wyostrozonym zmyśle obserwacji nie zdołałby jej dostrzec, ale Joanna widziała ją wyraźnie. W mniej więcej regularnych odstępach czasu pan Kazimierz przełączał się z trybu zapatrzenia w pustkę na tryb zerkania w oczy policjantki. Joanna odczytała to jako bardzo dobry znak.

– Dzień dobry, panie Kazimierzu – powiedziała z łagodnością, która zaskoczyła nawet ją samą. – Chciałabym panu pomóc, ale musi mi pan zaufać.

Teraz wzrok pana Kazimierza zatrzymał się na jej oczach na chwilę dłużej.

– Kto do pana dzwonił tamtego wieczora?

Pan Kazimierz nie odpowiedział, ale Joanna zauważyła, że jego oddech trochę przyspieszył, a spokojne do tej pory spojrzenie weszło w rytm pobudzenia. Zdecydowała się pocisnąć.

– Wydaje mi się, że albo to nie pan go zabił, a nawet jeśli, to ktoś pana do tego nakłonił. – Mimo lęku, który pozostał w niej po tamtym incydencie z milczącym pacjentem, nachyliła się do niego przez blat stolika. – Wystarczy mi jedno słowo, imię, cokolwiek, panie Kazimierzu.

Usta mężczyzny nieznacznie się poruszyły. W tym momencie w torbie Joanny zadzwonił telefon i cała misternie utkana psychologiczna konstrukcja runęła, pan Kazimierz najpierw zdrętwiał, a następnie odwrócił głowę

w kierunku okna i w takiej pozycji pozostał. Wściekła głównie na siebie, Joanna zaczęła szukać komórki, a kiedy ją wreszcie wyciągnęła i wcisnęła właściwy guzik, telefon dzwonił nadal, bo okazało się, że w torbie był jeszcze drugi aparat i to na tamten właśnie ktoś próbował się dodzwonić. Pielęgniarka uśmiechnęła się pod nosem, ale tego siedząca plecami do niego Joanna nie mogła zauważyć. Kiedy w końcu odszukała właściwy aparat, spojrzała na ekran, zerknęła na zegarek i odebrała.

– Tak, tato? Coś się stało?

Okazało się, że ojciec wie już o incydencie z Waldemarem.

– Tak, to prawda. Piotrek ci powiedział?

Mimo wszystko była trochę zaskoczona, bo naiwnie sądziła, że syn nie zauważył powodu jej zdenerwowania na parkingu. Co więcej, liczyła na to, że w ogóle nie zauważył jej zdenerwowania. Tak to jest, kiedy nie docenia się spostrzegawczości własnego dziecka.

– Tak, to był on. Nic na razie nie zamierzam, a w ogóle nie bardzo mogę teraz z tobą rozmawiać.

Joanna od zawsze miała problem z namolnością taty, często nawet odnosiła wrażenie, że jeśli wyczuwa, że ona nie ma warunków do prowadzenia rozmowy, tym bardziej stara się ją przedłużyć, jakby na przekór.

– Jestem w pracy i nie mogę teraz z tobą za bardzo rozmawiać.

Rozejrzała się wokoło, jej wzrok zatrzymał się na panu Kazimierzu, który w tym momencie wziął do ręki telefon wyjęty przez nią jako pierwszy z torebki w trakcie poszukiwań tego właściwego. Joanna odniosła wrażenie, że mężczyzna, trzymając aparat w dłoni, bardzo delikatnie się uśmiechnął.

– Konkretnie w izolatce w zakładzie psychiatrycznym o zastrzonym rygorze. Pa, tato.

Joanna rozłączyła się i z ciekawością przyjrzała się panu Kazimierzowi, który zdążył już jej aparat schować do kieszeni szlafroka.

– Panie Kazimierzu, telefon, który pan zabrał, jest mój.

Gestem powstrzymała pielęgniarkę, bo zdążył już ruszyć zza jej pleców, żeby zrobić to, co lubił robić najbardziej, czyli zastosować przemoc. Jej gest

nie umknął uwadze Kazimierza.

– Ale jeśli mi go pan odda, to obiecuję, że postaram się załatwić, żeby trafił do pana pański telefon, ten od córki. – Ostatnie słowa Joanna wypowiedziała bardzo powoli.

Pan Kazimierz zerknął na nią, ale telefonu najwyraźniej na razie oddawać nie zamierzał. Joanna nie naciskała, tylko wychodząc już z pokoju, zatrzymała się przy pielęgniarzu.

– Chciałabym odzyskać telefon, ale nie życzę sobie żadnej przemocy, może pan go zabrać, jak pacjent pójdzie spać, nie spieszy mi się.

Pielęgniarz, który był cały czas zwrócony w kierunku wnętrza izolatki, uśmiechnął się.

– Nie będę musiał.

Telefon leżał z powrotem na stoliku, i to w miejscu, w którym wcześniej siedziała Joanna, a Kazimierz spoglądał w okno, jakby chciał pokazać, że z całą sprawą nie miał nic wspólnego. Dla Joanny był to jednak kolejny dowód, że nawiązała z nim kontakt.

Po wyjściu z izolatki oddzwoniła do ojca, niestety, po drugiej stronie od razu odezwała się poczta głosowa. Pierwotnie Joanna zamierzała jechać prosto do siedziby BSW, ale kiedy kolejne próby połączenia nie przynosiły efektu, w jej myśli wkradł się niepokój i będąc już w centrum, zamiast dotrzeć Alejami Jerozolimskimi do Jana Pawła, wjechała na Trasę Łazienkowską i skierowała się na Pragę. Pod domem jej niepokój sięgał już zenitu, a przez głowę przemykały najczarniejsze scenariusze. Wyskoczyła z auta i ruszyła w kierunku klatki schodowej na tyle szybko, że nie miała szans zauważyć zatrzymującego się kilkadziesiąt metrów dalej czarnego bmw, w którym za kierownicą siedział w swoich nieodłącznych przyciemnianych okularach Waldemar. On z kolei był na tyle zaabsorbowany przyglądaniem się Joannie, że nie dostrzegł stojącego po drugiej stronie ulicy bmw, z którego z zaciekawieniem przypatrywał mu się aspirant Jacek Czerwiński.

Drzwi od mieszkania były niedomknięte. Joanna wyjęła broń, odbezpieczyła ją, najciszej, jak się dało, uchyliła drzwi i weszła do środka.

W kuchni i w pokoju Piotrka nie było nikogo, z salonu dochodził dźwięk włączonego telewizora. Komisarz weszła do pokoju i schowała broń do kabury. Na kanapie przed telewizorem spał ojciec, a na dywanie przed nim Piotrek bawił się w najlepsze samochodami, które pomykały na rozstawionym przed nim torze wyścigowym. Joanna odetchnęła, podeszła do kanapy, Piotrek skoczył i rzucił jej się w ramiona. Ona przywitała się z nim i z ulgą opadła na kanapę obok ojca, który dopiero w tym momencie się obudził. Niestety jego oczy były mocno przekrwione.

Zieliński był tym razem w lepszej formie niż dotychczas. Kiedy Joanna usiadła, zaproponował jej nawet cygaretkę z inkrustowanego kością słoniową mahoniowego pudełka. Odmówiła, bo nie paliła, nie lubiła inkrustowanych pudełek ani cygaretek, a przede wszystkim po prostu nie lubiła Zielińskiego.

– Jak tam sprawa z psychiatryką? – Inspektor buchnął kłębem dymu, który rozszedł się wolno w promieniach popołudniowego słońca. – Wykazała już pani indolencję naszego komisarza?

– Nie za bardzo, na razie.

Czuła dyskomfort, który wynikał z jednej strony z faktu, że nie miała właściwie żadnych nowych wieści w sprawie, którą jej powierzono, z drugiej strony męczyło ją, że Zieliński wywiera na nią niespecjalnie zawołowaną presję.

– Ten psychiatryk to chyba rzeczywiście jest nieco bardziej skomplikowana sprawa, niż się na początku wydawało.

– Rzeczywiście? – Zieliński był jak zawsze czujny ponad miarę.

– Rzeczywiście... bo tak twierdził Kaszowski, kiedy z nim pierwszy raz o tym rozmawiałam.

Inspektor przygwoździł Joannę wzrokiem w taki sposób, że dokończenie wyводу było z jej strony aktem nie lada odwagi.

– Mógł mieć rację, nie zamykając tej sprawy.

– Słucham?

– Nie ma wystarczających dowodów na to, że ten człowiek to zrobił.

– Jaki człowiek?

– Kazimierz Kołodziej, główny podejrzany w sprawie o zabójstwo w Tworkach.

– Wiem gdzie, pani Joanno, także proszę raczej bez sarkazmu mi tutaj.

– Nie ośmieliłabym się.

Joanna od jakiegoś już czasu zastanawiała się, czy bardziej boi się tego człowieka, czy bardziej ją ten człowiek drażni.

– Nie ma dowodów, powiada pani? A czy wie pani, że jeśli chcielibyśmy podejść do sprawy z poziomu wyższej ogólności, z poziomu filozoficznego, powiedzmy, to właściwie w żadnej sprawie nie ma wystarczających dowodów? Podważyć da się wszystko. Rzecz w tym, że czasem trzeba przestać, bo tak przecież nikogo nigdy byśmy nie zamknęli.

– Wiem, panie inspektorze...

Joanna wiedziała o dwóch rzeczach, które niestety znosiły się nawzajem. Z jednej strony racjonalność podpowiadała jej, że powinna odpuścić, z drugiej znajomość samej siebie przypominała jej, że to nie ma prawa się udać, bo choć starała się to już w sobie parokrotnie w życiu przewalczyć, to właściwie nigdy nie zdarzyło jej się odpuścić niczego, czego nie uznałaby za rozwiązane albo nierozwiązywalne.

– Tylko że w tej sprawie nie można przestać, przynajmniej nie na tym etapie.

– Skoro pani tak mówi... – Zieliński nagle zupełnie zmienił swoje nastawienie do podwładnej, uśmiechnął się nawet i znowu zaciągnął swoją kubańską cygaretką. – No dobrze, a jak wyglądają postępy w naszej sprawie priorytetowej?

Do Joanny dotarło właśnie, że to, co jeszcze dwa spotkania temu było wisienką na torcie jej podstawowej działalności, czyli przeglądanie spraw zaniebanych przez wydział, w którym zatrudniony był Kaszowski, teraz powoli urastało do rangi sprawy podstawowej, priorytetowej, dla której tamte miały prawdopodobnie stanowić jedynie swoistą zasłonę dymną. Tylko czy zasłona ta miała na celu skrywać coś przed Kaszowskim i jego otoczeniem,

czy może przed nią? Nagle przypomniała sobie o białym proszku znalezionym w szufladzie biurka komisarza, do tej pory spoczywającym na dnie sterty pudełek po butach w szafie jej mieszkania. Nadal zastanawiała się, gdzie go oddać do analizy, żeby z jednej strony nie dowiedział się o tym Kaszowski, a z drugiej Zieliński. Do tego ostatniego chciała przyjść z gotową hipotezą, a nie z byle poszlaką, tego pierwszego nie chciała spłoszyć.

– Nie mam jeszcze żadnych konkretnych informacji, ale wydaje mi się, że zbliżam się na tyle do Kaszowskiego, że niedługo będę już mogła znacznie więcej.

– „Niedługo będę już mogła znacznie więcej”? Przecież to jakiś bełkot, pani Joanno. Siedzi pani tam od miesiąca i niedługo będzie pani mogła?

Od razu pomyślała, że ten wybuch to raczej rewanż za jej poprzednią wypowiedź niweczącą jego filozoficzny wywód niż reprimenda za sprawę priorytetową, jak ją eufemistycznie nazywał.

– Czy pani ma w ogóle świadomość, jakiej rangi jest sprawa, nad którą pracujemy, jakie podejrzenie ciąży na Kaszowskim?

– Udało mi się do tej pory ustalić z innych źródeł, że Kaszowski ma kupione na matkę dwie działki w Magdalence. Źródło finansowania pozostaje nieznane.

– Źródło finansowania to spadek po wuju, który miał jakiś biznes w Stanach.

Zieliński lubił podkreślać swoją przewagę. Joanna pokiwała głową, bo wydawało jej się, że to najlepsze, co może w tej sytuacji zrobić. On tymczasem nabierał rozpędu.

– Wkrótce otrzymamy dane z jego billingów z okresu, kiedy z depozytu zniknęły narkotyki, razem z personaliami osób, z którymi rozmawiał, a które nam wydają się podejrzane. Do pani będzie należało zorientowanie się, co łączy go z tymi osobami, na poziomie, powiedzmy, towarzyskim. Może wśród nich znajdziemy kogoś, kto zajął się upłynnieniem tego towaru, bo że trafił już na rynek, to wiemy skądinąd.

– Rozumiem.

Joanna tak naprawdę bardzo chciała już wyjść, ale nie mogła, bo miała do Zielińskiego jeszcze jedną, tym razem osobistą sprawę.

– On znowu się pojawił.

– Kto?

Zieliński domyślał się, o kim mówi Joanna, ale nie miał ochoty podejmować teraz tego tematu.

– Waldek, to znaczy Waldemar. I szczerze mówiąc, trochę się obawiam, nie tyle nawet o siebie, ile o syna.

– Oczywiście, zajmiemy się tym.

– Dziękuję.

– Pani Joanno, jest pani pracownikiem Biura Spraw Wewnętrznych Policji i z całą pewnością nikt ani nic nie będzie pani zagrażać, przynajmniej dopóki ja tu pracuję. O swoich ludzi dbamy.

Inspektor popatrzył na nią uważniej, kąciaki jego ust na chwilę wykrzywił uśmiech, który nawet jak na niego wydał się Joannie dziwny.

Dlaczego jechali w jednym samochodzie? I to jeszcze w jego samochodzie? Ona powiedziała, że wybiera się porozmawiać z doktorem Biernackim, który miał dziś dyżur, Kaszowski chciał pobrać odciski palców od wszystkich pracowników i zaproponował jej, żeby pojechali razem. Zaproponował, ale dlaczego właściwie się zgodziła? Może ją zaskoczył, poza tym miała przecież wchodzić z nim w bliższą relację. Takie było wyraźne zalecenie od Zielińskiego. Tylko że gdyby nie miała na to ochoty, to żadne zalecenie nie byłoby w stanie jej do tego nakłonić. Co zatem? Ponad wszelką wątpliwość ten człowiek ją frapował; czy tylko jako człowiek, czy może też jako mężczyzna? Wolą tego, przynajmniej na razie, nie roztrząsać.

Wystukała na klawiaturze numer ojca. Miała go wprowadzić w pamięci telefonu, ale zawsze wolała wybrać numer. Po pierwsze, było szybciej, a przy okazji mózg wykonywał przynajmniej jakąś czynność oprócz obsługiwanego impulsami wprost z rdzenia naciśnięcia jednego guzika. Gdy usłyszała sygnał łączenia, odruchowo obniżyła osłonę przeciwsłoneczną i spojrzała w lusterko

umieszczone po jej drugiej stronie. Joanna patrzyła jednak wcale nie na siebie, tylko ponad swoją głowę starała się obserwować drogę za nimi.

– To w końcu pani śledzi czy panią śledzą?

Kaszowski, chociaż na moment nawet nie oderwał wzroku od drogi przed samochodem, nie mógł przeoczyć czegoś tak frapującego.

– Ani mnie, ani ja.

Joanna pomyślała, że jedyne, co mogłaby zrobić, żeby ten człowiek nie wszedł jej do mózgu, to się zahibernować. Po drugiej stronie w końcu zgłosił się ojciec.

– Cześć, tato. Mam prośbę, żebyś dzisiaj poszedł po Piotrka razem z panią Elą.

Ojciec był bardzo chętny, ale odpowiedział rzeczowo i odrobinę zbyt starannie i Joanna już wiedziała, że znowu się zaczęło.

– Tato, czy ty coś znowu...? – Wymijająca odpowiedź okraszona żartem utwierdziła ją w przekonaniu, że ojciec jest pijany. – Kurczę, no i właśnie o to chodzi! O to właśnie z tobą chodzi, cholera!

Gwałtownie przerwała rozmowę, telefon wrzuciła do torebki. Nie wiedziała, czego tak naprawdę chciał od niej Zieliński, ale czuła, że w tle rozgrywa ją szantażem dotyczącym Waldemara. Kaszowski i cała reszta jego otoczenia była nastawiona do niej wrogo, Piotrek nie mógł sam wracać ze szkoły, a najbezpieczniej byłoby, gdyby w ogóle przestał do niej chodzić. Do tego jeszcze ojciec, który jak teraz ruszył, to zatrzyma się pewnie najwcześniej za dwa tygodnie na detoksie, a może już w ogóle na tamtym świecie. Joanna była bliska łez. Wsparcie nadeszło z najbardziej nieoczekiwanej strony.

– Niech się pani nie martwi, w jakimkolwiek byłby stanie, to i tak jeden z najlepszych ludzi, jakich dorobiła się policja w tym kraju.

Z punktu widzenia Joanny słowa Kaszowskiego stanowiły raczej marną pociechę, ale liczył się sam fakt, a właściwie przynajmniej dwa fakty. Po pierwsze, Kaszowski zachował się empatycznie, a po drugie, wiedział o Joannie więcej, niż mogła się tego spodziewać.

– Pan go zna?

Kiwnął głową i lekko się uśmiechnął, a przynajmniej tak wydało się Joannie.

– A pani mama była piękną, wspaniałą i bardzo odważną kobietą.

Teraz Kaszowski już się nie uśmiechał, a Joannę złapał za gardło skurcz.

Joanna

Mamo. Ile bym dała, żebyś była wciąż z nami. Od twojej śmierci wszystko zaczęło się sypać, a najbardziej posypał się ojciec. Wcześniej lubił wypić, w końcu był policjantem, a dawniej też milicjantem, kryminalnym, co zawsze lubił podkreślać, ale kryminalni też nie wylewali za kołnierz, a może nawet nie wylewali bardziej niż inni, bo właśnie byli kryminalni i najczęściej nie chcieli być kojarzeni z milicją, a jednak byli, więc wewnętrzne konflikty nie ułatwiały sprawy. Tata lubił wypić, ale pił dzień, a częściej noc, potem trzeźwiał, miał kaca i przez jakiś czas nie tykał, bo przy tobie nigdy nie mógłby pozwolić sobie na więcej, a zresztą przy tobie nie chciał pozwalać sobie na więcej. Odkąd cię nie ma, mamo, wszystko się posypało.

Kiedy Joanna z Kaszowskim przechodziła przez kolejne śluzy i kraty prowadzące na oddział, cały czas nie dawało jej spokoju jedno pytanie. Jak w kontekście wszystkich tych środków bezpieczeństwa na oddziale mógł się znaleźć z nożem w ręku pacjent, który wcześniej zamordował w stanie niepoczytalności swoją rodzinę?

– Jak pani wie, nie mamy zabezpieczonych żadnych odcisków, więc to, co zaraz będziemy tu robić, to czysty błąf. Ale po tym błąfie ja osobiście sporo sobie obiecuję, proszę im się bacznie przyglądać, czytałem w pani dossier, że otarła się pani też o psychologię, więc liczę dzisiaj na pani spostrzegawczość.

Joanna pomyślała, że wbrew temu, co jej się do tej pory wydawało, Kaszowski jednak dość wnikliwie jej się przyglądał.

– Jak tu skończymy, to chciałbym porozmawiać jeszcze raz z tym całym Moskalem. Nie podoba mi się ten facet. Dowiedzieliśmy się w ministerstwie

zdrowia, że na oddziale prowadzone były trzy programy badania leków. Rozmawiałem z nim kilka razy, nigdy nic mi o tym nie wspominał.

– A mnie znacznie bardziej nie podoba się ten Biernacki.

Joanna rzeczywiście nie zapałała sympatią do doktora Biernackiego, ale teraz głównie chodziło jej o zachowanie odrębności własnego zdania, była w tym przekora, którą zresztą ona sama nie do końca sobie uświadamiała.

– Tylko że on nie miał styczności z Ziętara, a mnie osobiście najbardziej teraz zastanawia ta glicyna i zniszczone nerki pana Dariusza.

– Dlaczego nie miał styczności?

– Bo on pracuje głównie w domu, doktoryzuje się na jakimś Harvardzie czy innym Oksfordzie. Na oddziale pełni tylko dyżury, a to też rzadko.

Joanna pokiwała głową, nie miała w tej chwili żadnych argumentów, które mogłaby przeciwstawić argumentom Kaszowskiego, ale czuła, że to ona ma rację. Tak w każdym razie podpowiadała jej intuicja, a ta stanowi ważną składową myślenia każdego policjanta kryminalnego, a policjantki w szczególności.

W trakcie pobierania odcisków na przekór oczekiwaniom Kaszowskiego nie wydarzyło się nic szczególnego. Cały personel, nie wyłączając Moskala i Biernackiego, zachowywał się raczej biernie. Nikt nie sprawiał wrażenia bardziej pobudzonego od innych, nikt się nie denerwował, nikt się nie pocił, nikt nie umykał wzrokiem. Niektórzy z pracowników przejawiali lekkie zdziwienie, ale to nie mogło świadczyć o niczym oprócz tego, że sytuacja była rzeczywiście nieco nietypowa. Jedyne, co zwróciło na moment uwagę Joanny, choć rychło o tym zapomniała, to dziwnie wyglądająca pacjentka, która przez cały czas trwania procedury przyglądała się tym czynnościom z zaciekawieniem, ale też wyraźnym niepokojem. Po godzinie wszystkie niepotrzebne tak naprawdę odciski palców zostały zebrane, cały personel miał dłonie powalane tuszem, a oni nie byli bogatsi o żadną wiedzę.

Kiedy pół godziny później Kaszowski wszedł do gabinetu Moskala, odniósł wrażenie, że profesor jest jeszcze szerzej uśmiechnięty niż w czasie spotkania przed tygodniem.

– O, jak miło widzieć pana komisarza. Dziś policja czy schizofrenia?

Moskał znów próbował rozbroić wspomnienie swojego zażenowania po tym, jak pomylił Kaszowskiego z pacjentem.

– Dziś policja ze schizofrenią. – Komisarz odbił piłeczkę, ale się nie uśmiechał.

– Dzień jak co dzień?

– Bez przesady, bywa, że wszystko układa się w logiczną całość i nie wykręca nam głów na drugą stronę.

– A tym razem?

Kaszowski zmierzył Moskala nagle dosyć nieprzyjemnym wzrokiem, uprzedzając go w ten sposób, że od tego momentu ton ich rozmowy będzie się musiał zmienić. Zrobił tak w nadziei, że strasząc profesora na dwa takty, zdoła bardziej rozbroić jego zbudowaną na głupekowatych żartach strategię obrony.

– Tym razem chciałem zapytać pana profesora, dlaczego utajnił przede mną to, że na oddziale prowadzone są trzy programy badań klinicznych?

Zapadło milczenie, profesor Moskał najwyraźniej na takie pytanie nie był przygotowany i nie miał w zanadrzu żadnego żartu. Przez chwilę zbierał myśli.

– Nie wydawało mi się to ważne dla śledztwa, które pan prowadzi – odpowiedział nieprzekonująco, a komisarz odniósł wrażenie, że intonacja wypowiedzi bardziej wskazuje na tryb pytający niż orzekający. Kaszowski pokręcił głową. To nie była dobra odpowiedź i Moskał doskonale o tym wiedział.

– Panie profesorze, a mnie się wydawało, że ustaliliśmy już za pierwszym razem, że nie jestem jednym z pańskich pacjentów, więc proszę mnie tak nie traktować. – Komisarz nieznacznie podniósł głos.

Teraz milczenie trwało dłużej, a Kaszowskiemu przez moment przemknęło przez głowę, że może to, co po nim nastąpi, będzie wyznaniem winy. Nie miał jednak racji, Moskał ani myślał do czegokolwiek się przyznawać.

– Badania są objęte klauzulą poufności, tylko dlatego pacjenci się na nie

zgadzają.

– Panie profesorze... – Kaszowski mową ciała przypomniał Moskalowi to, co już wcześniej zwerbalizował. – Wie pan, że usilnie szukamy czegoś, co mogło spowodować uszkodzenie nerek u pacjenta, szukamy glicyny, a pan mi opowiada jakieś farmazony o poufności programu?

– Nie mówiłem panu o programach, ale proszę mi wierzyć, że sprawdziłem te leki pod kątem...

– Dobrze – przerwał mu gwałtownie Kaszowski. – Dziękuję, panie profesorze, na razie to wszystko, o co chciałem pana zapytać.

Wstał i wyszedł z gabinetu, nie spoglądając już nawet w kierunku Moskala. To też był element jego strategii.

Toaleta była koedukacyjna, bo druga, która wcześniej obsługiwała tylko mężczyzn, została wyłączona na czas remontu. Joanna od dobrej minuty stała przy umywalce i pod bieżącą wodą usiłowała zmyć z rąk plamy tuszu. Efekty osiągała mierne, bo po pierwsze, w kranie mimo dwóch kurków, z których jeden oznaczony był niebieskim, a drugi czerwonym guzikiem, leciała wyłącznie zimna woda, a po drugie, nie było tu mydła. Komisarz zastanawiała się właśnie nad tym, ile jeszcze wody w kranach będzie musiało upłynąć, nim szpitalne toalety w tym kraju zaczną wyglądać tak jak szpitalne toalety w krajach rozwiniętych, kiedy nagle poczuła dym papierosa. Zakręciła wodę, dłonie wytarła o spodnie, bo nie było tu też żadnych ręczników, i zaczęła nasłuchiwać. Po chwili z sąsiedniego pomieszczenia, w którym mieściły się kabiny toaletowe, dobiegło ciche kasłanie. Komisarz jak najciszej przeszła kilka kroków po wybrakowanych kafelkach. Większość kabin była otwarta, jedna tylko miała na wpół przymknięte drzwi. Joanna podeszła i uchyliła je szerzej. W środku na klapie muszli klozetowej siedziała w kucki kobieta, która wcześniej przyglądała się, kiedy pobierali z Kaszowskim odciski palców od pracowników. Kobieta nie wydawała się zdziwiona widokiem Joanny, w jednej dłoni między poźółkłymi palcami trzymała peta wypalonego już prawie do filtra, drugą wyciągnęła przed siebie, wskazując na coś w dole za plecami Joanny. Komisarz spojrzała za

siebie, na podłogę w znajdującym się w prześwicie pomieszczeniu umywalni. Nagle dotarło do niej, że na zdjęciach wykonanych po zabójstwie widziała dokładnie to miejsce. Odwróciła się do kobiety.

– Widziała pani?

Kobieta z papierosem między palcami, który teraz musiał ją już parzyć, ale ona tego nie czuła, pokiwała głową.

Przez wąską szparę pomiędzy drzwiami kabiny a framugą widać było fragment podłogi, na którym leżało wstrząsane przedśmiertnymi konwulsjami ciało Dariusza Ziętary. Z każdą chwilą rozlewała się wokół niego coraz rozleglejsza plama ciemnej i gęstej krwi. Jakiś mężczyzna powoli odsuwał się od ciała, unikając w ten sposób pobrudzenia swoich białych chodaków. Nie był to jednak Kazimierz, który nie chodził w białym kitlu ani w białych spodniach. Mężczyzna trzymał przy uchu telefon komórkowy, czekał. Po chwili powiedział coś cicho do słuchawki, rozłączył się, schował telefon do kieszeni i podszedł do umywalki. Odkręcił kurek, najpierw ze spokojem splukał krew z gumowych rękawiczek, następnie z dużą pieczołowitością umył z niej samą umywalkę. Przerażona kobieta siedziała w kucki na misce klozetowej, w jednym ręku trzymała papierosa, w drugim zapalniczkę. Ręce trzęsły jej się tak, że w każdej chwili zapalniczka mogła wypaść na podłogę. Tymczasem do sali z umywalkami dopiero teraz wszedł pan Kazimierz w piżamie i kapciach, a mężczyzna w kitlu, którego twarzy nie było widać, bo zasłaniała ją framuga, podał mu nóż, sam zdjął gumowe rękawiczki i wszedł do pomieszczenia z kabinami. Na chwilę kobieta stężała w przerażeniu, mężczyzna minął jednak jej kabinę i wszedł do jednej z kolejnych. Kobieta usłyszała dźwięk zamykanych drzwi. Pan Kazimierz tymczasem przypatrywał się leżącemu na podłodze Darkowi, a bardziej nawet rozlewającej się wokół jego ciała plamie krwi, bo przywodziła mu ona na myśl plamę krwi rozlaną wokół ciała jego żony, kiedy stało się tamto. Następnie spojrzał na trzymany w rękach nóż, kiedy zaś połączył ze sobą w głowie te dwa wątki, jego twarz wykrzywiło przerażenie, zaczął straszliwie krzyczeć. Wreszcie ruszył, żeby uciec z łazienki, ale poślizgnął się w kałuży

krwi i padł jak długi na podłogę. Po chwili, kiedy się pozbierał, wypadł na korytarz, cały czas trzymając w ręku długi, zakrwawiony nóż.

Narada zwołana w trybie pilnym przez Talaka zgromadziła w jego gabinecie sporą grupę osób. Był i Kaszowski, i Sobecki, był Młody i Monika, oczywiście była też Joanna, bo to ona referowała zebranych nowe, przełomowe dla śledztwa informacje. Kiedy skończyła mówić, dotarło do niej, że po raz pierwszy od miesiąca znalazła się w sytuacji, w której nie czuła się wyobcowana, słuchano jej, potakiwano, Talak uśmiechnął się nawet raz czy drugi. Głos zabrał Sobecki, który nie zdezawuował wprowadzić jej informacji, ale przypomniał zebranych, że nawet jeśli kobieta, od której pochodziło zeznanie, złoży je w obecności prokuratora i potwierdzi podpisem, co ze względu na jej stan wydawało się mało prawdopodobne, to i tak w dalszej kolejności zostanie ono zakwestionowane przez sąd czy adwokata jako przyjęte od osoby o ograniczonej poczytalności.

– Mamy jeszcze jedno. – Oczy wszystkich zwróciły się na Kaszowskiego.
– Tego dnia ktoś zawęził pole widzenia kamery monitoringu na korytarzu tak, żeby nie było widać części korytarza i wejścia do łazienki. Na nagraniu nie ma właściwie nic oprócz kawałka ściany, przy którym nic się nie dzieje. Powiedział mi to dziś technik w czasie przyjacielskiej rozmowy.

– Dlaczego dopiero dziś? – zainteresowała się Joanna.

– Nie wiem, może wcześniej się bał, może myślał, że śledztwo jest zamknięte.

– No dobrze, te dwie rzeczy w połączeniu powinny wystarczyć do wystawienia nakazu przeszukania. – Sobecki zamyślił się na moment. – Tylko kogo mamy właściwie przeszukiwać?

– Moim zdaniem tego całego Biernackiego, miał tamtego wieczora dyżur, poza tym płacze się w zeznaniach. – Joanna ujawniła swojego faworyta.

– Dla mnie najbardziej podejrzany jest Moskal. – Kaszowski wszedł jej w słowo. – Zataił przede mną badania kliniczne prowadzone na oddziale, poza tym jest ordynatorem i też był tamtego wieczora na miejscu.

Talak i cała reszta popatrywali to na Joannę, to na Kaszowskiego.

– Dobra, dobra, jakby się dało – naczelnik zerknął na Sobeckiego – to wejdźmy do obu.

– I pielęgniarz, on bardzo nie lubi tych pacjentów. – Joanna spuściła wzrok, bo wiedziała, że być może niebezpiecznie zbliżyła się do granicy wytrzymałości prokuratora. Sobecki spojrzał na nią groźnie, ale po chwili się uśmiechnął.

– Spróbujemy wejść w trzy miejsca równolegle, lepiej by tylko było dla nas wszystkich, gdybyśmy jednak gdzieś coś znaleźli.

Prokurator Sobecki doskonale wiedział, że kiedy będzie składał wniosek o nakaz rewizji, to usłyszy od sędziego Małkowskiego dokładnie te same słowa, które wypowiedział przed momentem. Wiedział też, że choć bardzo wierzy w zespół Talaka, z którym współpracował od lat, a powoli zaczyna też wierzyć w potencjał komisarz Majewskiej, niestety rzeczywistość mogła się okazać niesprzyjająca, a wtedy w zeszycie Małkowskiego przy jego nazwisku pojawi się mały minus, który nie będzie pierwszym z małych minusów. Cóż, wiedział to wszystko, ale asekuranctwo w takim momencie nie leżało w jego naturze, bo Sobecki najbardziej na świecie zawsze bał się jednej rzeczy – mianowicie sytuacji, w której jakiś podejrzany został uznany za winnego, a winny nie był. I nie miało dla niego najmniejszego znaczenia, czy ten podejrzany byłby luminarzem, normalnym obywatelem, wielokrotnym recydywistą czy skazanym na dożywotni pobyt w zakładzie psychiatrycznym mordercą własnej rodziny. Sobecki miał wiele wad, kilka zalet, a wśród nich tę jedną, która czyniła zeń właściwego człowieka na właściwym miejscu. Był prawym człowiekiem.

Policjanci weszli w trzy miejsca dokładnie w tym samym momencie, czyli o dwudziestej pierwszej następnego dnia po naradzie. Poszczególnymi grupami przeprowadzającymi przeszukania u Moskala, Biernackiego i pielęgniarza o nazwisku Opara dowodzili Kaszowski, Joanna i Monika.

Kiedy Kaszowski wszedł do domu Moskala, profesor nie pytał go już z żartobliwym uśmiechem, w jakim charakterze się pojawił. Był wściekły, co wydawało się w pierwszej chwili potwierdzać podejrzenia Kaszowskiego.

Rychło się jednak okazało, że wściekłość profesora nie ma związku ze sprawą. Pod nieobecność żony, która wyjechała do chorej matki, w mieszkaniu profesora zjawiała się jego trzydziestoletnia sekretarka i kochanka, a interweniujący policjanci zastali ją w sypialni profesora w niepełnym stroju. Ale nie o posiadanie kochanki podejrzewano Moskala w tej konkretnej sprawie, żadnych zaś dowodów jego ewentualnego zaangażowania w zabójstwo nie udało się odnaleźć. Sobecki, który był informowany o wszystkim na bieżąco, poczuł, jak grunt powoli usuwa mu się spod nóg. Nie myślał już, że dobrze by było, gdyby policjanci gdzieś coś znaleźli. Teraz, ze względu na autorytet i poważanie, jakim cieszył się profesor, znalezienie czegoś u kogoś stawało się sprawą absolutnie kluczową.

Niestety, grupa Moniki, która wkroczyła do mieszkania pielęgniarza Opary, też nie znalazła w nim nic, na czym można by oprzeć jakąkolwiek hipotezę. Sytuacja robiła się coraz bardziej patowa, i to nie tylko z punktu widzenia Sobeckiego.

Mieszkanie Biernackiego, w którym policjanci nikogo nie zastali, otworzył administrator budynku. Na prośbę Joanny uczestniczył też jako świadek w przeszukaniu. Po trzech godzinach wnikliwej pracy policjanci nie mieli nic, a Joanna, która wiedziała już od Moniki i od Jacka towarzyszącego Kaszowskiemu, że w pozostałych miejscach też nie udało się nic znaleźć, bała się zadzwonić do Sobeckiego z hiobowymi wieściami. Kiedy policjanci zbierali się już do opuszczenia mieszkania, administrator, który nie był zdaje się wielbicielem swojego lokatora, przypomniał sobie o piwnicy. Joanna odpuściła i postanowiła czekać na podwórku, nie robiąc już sobie specjalnych nadziei. Mieszkanie było wynajmowane i prawdopodobnie Biernacki nawet nie wiedział, że ma piwnicę, a jeśli wiedział, to zapewne z niej nie korzystał. Trzydziestoletni kawalerzy z reguły nie trzymają w piwnicach weków, a rower, jak zdążyli zauważyć, stał w korytarzu mieszkania. Dlatego, gdy mniej więcej pół godziny później wyszedł do niej jeden z techników kryminalistyki uczestniczących w czynnościach i przekazał jej zeszyt, który jak na warunki piwniczne, zwłaszcza w odniesieniu do piwnicy od lat nieużywanej, wyglądał na całkiem świeży, Joanna była bardzo zaskoczona.

Otworzyła notes od razu na ostatniej zapisanej stronie – w nagłówku widniała data sprzed pół roku. Na stronie pod datą znajdowała się tylko jedna krótka notatka: „Nerki siadają”. Na poprzednich stronach, które szybko przewertowała, znajdowały się daty, godziny i dawki podawanej glicyny, a jak się później dowiedziała od biegłego psychiatry, przekraczały one wielokrotnie dopuszczalne ilości. Po chwili z piwnicy wyłonił się kolejny policjant, który przyniósł pudełko z płytami DVD opisanymi jako sesje hipnotyczne Dariusza Ziętary i Kazimierza Kołodzieja, przeprowadzone od lutego zeszłego roku. Nagranie z ostatniej płyty poprzedzało zabójstwo o dwa dni.

– W mieszkaniu był odtwarzacz DVD? – Joanna zapytała policjanta, który przyniósł płytę. Kiedy kiwnął głową, spojrzała na administratora. – Wracamy.

Dariusz Ziętara nie wyglądał najlepiej. Od kilku dni miał opuchniętą twarz i mocno podsinione oczy. Do słabego wyglądu dochodziło jeszcze nie najlepsze samopoczucie. Bóle głowy, które wcześniej zdarzały się sporadycznie, od tygodnia stały się chroniczne i trudne do zniesienia, pojawiły się też kłopoty z koncentracją i na przemian długie okresy nieoddawania moczu oraz takie, gdy Darek musiał chodzić do toalety dosłownie co dziesięć minut. Generalnie, siedzący teraz przed kamerą, z brązową zasłoną za plecami Ziętara miał już serdecznie dość. Dał się namówić na ten seans hipnotyczny tylko dlatego, że doktor Biernacki wmówił mu, że zdoła mu w ten sposób pomóc. Od razu jednak zaznaczył, że będzie to seans bezwarunkowo ostatni.

– Twoje powieki stają się ciężkie... – Ziętara próbował poddać się bezwolnie głosowi, bo miał nadzieję, że w stanie hipnozy chociaż przez chwilę poczuje się lepiej, a kiedy z niej wyjdzie, może przynajmniej opuści go ten trudny do zniesienia ból, który ulokował się gdzieś nad czołem.

– Za chwilę zaśniesz... kiedy policzę do trzech, obudzisz się.

– Chuja zasnę!

Ziętara otworzył oczy tak gwałtownie, że Biernacki musiał się

prawdopodobnie z wrażenia odsunąć, bo obraz z kamery zatrzęsł się przez chwilę.

– Bania tak mnie napierdala, że nie mogę nawet utrzymać zamkniętych gał, rozumiesz?

– Darku, uspokój się, skupmy się na seansie, a wszystko będzie dobrze, zaufaj mi – głos Biernackiego był aksamitnie stonowany.

– Wali mnie już ta twoja hipnoza, rozumiesz? Wali mnie, szczam krwią, nie wiem, co się dzieje dookoła, mam gębę jak balon. – Darek patrzył w tym momencie już gdzieś za kamerę. – Za kilka dni stąd wychodzę i myślę, że cały ten twój pierdolony eksperyment zainteresuje kilka osób, doktora.

Darek

Z Ziętarą ogólnie było trochę dziwnie, bo choć objawy schizofrenii w sposób zaskakujący wycofywały się od pierwszych tygodni kuracji, to zastępowały je chwilowe kompulsywne napady gniewu, które z reguły pojawiały się w towarzystwie Biernackiego. Dlatego komisja zajmująca się przypadkiem, nie będąc ich świadoma, zgodziła się na to, by Ziętara wyszedł na kilkudniową przepustkę. W zamyśle chodziło o to, żeby sprawdzić stopień przystosowania do warunków panujących na wolności, a docelowo być może pozwolić na całkowite zwolnienie. Pacjentowi nie było to już jednak dane.

Obraz na ekranie telewizora podłączonego do DVD po ostatnim zdaniu wypowiedzianym przez Ziętarę zniknął, ale Joanna i tak wiedziała już wszystko.

Wyrowadzenie Biernackiego z oddziału przez mundurowych policjantów wzbudziło pewną sensację wśród kręcących się po korytarzu pacjentów. Niektórzy z nich wydawali się tym faktem ucieszeni, inni w przestachu chowali się do sal. Całej sytuacji przyglądali się z dystansu Joanna i towarzyszący jej Młody, po chwili dołączył też do nich Kaszowski. Komisarz zakończył właśnie przesłuchiwanie pielęgniarza, który nie lubił pacjentów.

– Przyznał się, że za drobne wynagrodzenie pod nieobecność Biernackiego podawał Ziętarze jakiś lek, który dostarczał mu doktor w dosyć dużych ilościach.

– Swoją drogą, skąd on tyle tego nabrał, w piwnicy znaleźliśmy trzy kartony ampulek z glicyną.

– Dojdziemy i do tego, ale to już ma mniejsze znaczenie. Myślę, że pielęgniarza nie będziemy zwijać, ma żonę i małe dziecko, niech odpowiada z wolnej stopy. Zresztą za podawanie leku, który przekazywał mu lekarz, może najwyżej dostać zawiasy.

– Zastanawiam się tylko, po co Biernackiemu była ta cała hipnoza. – Do rozmowy Joanny i Kaszowskiego włączył się Jacek.

– Inne oblicze zbyt ambitnego lekarza. – Komisarz Majewska też się nad tym zastanawiała, odkąd obejrzała film na DVD. – Trochę medycyny zachodniej, trochę wschodniej, lekarz holistyczny. Tak bardziej serio, to myślę, że po prostu nimi manipulował, szczególnie panem Kazimierzem, musiał mu w hipnozie wgrać jakiś program i potem go uruchamiać, dzwoniąc do niego na telefon od córki.

W tym momencie Joanna się zorientowała, że coś jest nie tak, bo obaj panowie nie patrzyli już na nią, tylko na coś, co znajdowało się za jej plecami i ponad. Joanna odwróciła się powoli i odsunęła przestraszona. W odległości kilku centymetrów stał wyższy od niej o głowę pan Kazimierz i patrzył na nią uporczywie. Młody chciał od razu ruszyć na odsiecz, ale powstrzymał go Kaszowski. Joanna dostrzegła też kątem oka, że od strony dyżurki zbliża się dwóch pielęgniarzy, z których jeden trzymał już w ręku gotowy do interwencji paralizator. Na chwilę wszyscy zamarli, patrzyli na pana Kazimierza, a on patrzył tylko na nią. Kiedy po upływie kilku długich jak wieczność sekund wielki jak tur mężczyzna z długą brodą powiedział „dziękuję”, wszyscy oniemieli. Joanna patrzyła na niego chwilę i powoli docierało do niej, że oto przydarzył jej się właśnie jeden z tych momentów, dla których warto było zostać policjantką. Tym razem to ona wzięła na siebie rolę katatoniczki i zamiast odpowiedzieć, bo i tak brakło jej słów, pokiwała tylko głową, a pan Kazimierz wyciągnął do niej zaciśniętą dłoń, którą nagle

otworzył. Na dłoni leżała mała pognieciona karteczka. Joanna rozprostowała ją i odczytała na głos:

– „Sąd Grodzki w Krakowie, wezwanie, godzina jedenasta, ósmy lutego dwa tysiące jedenastego roku”. Co to znaczy, panie Kazimierzu?

– Byłem. – Pan Kazimierz powiedział to jedno słowo i jego oczy wypełniły się łzami.

– O ile mnie pamięć nie myli... – Kaszowski podszedł od tyłu do Joanny i spojrzął na poźółkłą już nieco, opatrzoną stemplem urzędu formatkę wezwania – tego dnia na drugim końcu Polski zginęła żona i syn pana Kazimierza.

Joanna podała karteczkę Kaszowskiemu, a sama podeszła do ogromnego, płaczącego jak dziecko brodacza i ku zaskoczeniu wszystkich, zwłaszcza stojących obok pielęgniarzy, przytuliła go do siebie bardzo mocno.

Joanna stawiała się w sekretariacie szkoły na kwadrans przed umówioną godziną. Przychodząc wcześniej, chciała zatrzeć złe wrażenie po swojej wcześniejszej rejteradzie. Poza tym zależało jej na tym, żeby pracownicy szkoły nie mieli wątpliwości co do tego, że Piotrek jest dla niej najważniejszy w życiu. Przekonana, że reprezentuje stronę winną zejść sprzed kilku dni, uważała dodatkowo, że byłoby wyjątkowo niekulturalnie, gdyby to na nią musiano w tej sytuacji czekać. Wychowawczyni jej syna, z którą od początku Joanna miała bardzo dobre relacje, zjawiła się z Piotrkim dziesięć minut później i wprowadziła ich do gabinetu dyrektorki, gdzie czekały już na nich dzbanki z kawą i herbatą, a nawet rozłożone na talerzyku w wachlarz delicje szampańskie. Po upływie kolejnych pięciu minut w gabinecie zjawili się rodzice Wojtka i on sam. Pani dyrektor mogła rozpocząć spotkanie.

– Pani Joanno, domyśla się pani, dlaczego zaprosiliśmy państwa do nas? – Dyrektorka nie wydawała się szczególnie źle nastawiona ani do niej, ani do Piotrka, co Joanna odczytała jako dobry i wart wykorzystania omen.

– Oczywiście, i chciałam w imieniu Piotrka i własnym bardzo państwa przeprosić...

– Nie, nie, przepraszam, że wchodzę w słowo – dyrektorka przerwała

Joannie z uśmiechem, ale stanowczo – ale proszę pozwolić najpierw rodzicom Wojtka wyrazić swoje zdanie o sprawie.

– Oczywiście.

Rodzice Wojtka popatrzyli po sobie, jakby dopiero teraz decydowali, kto z nich będzie reprezentował grupę.

– Tak... no więc... – Przystojny, mniej więcej czterdziestoletni, lekko szpakowaty tata wyraźnie miał problemy z rozpoczęciem wypowiedzi. – Otóż chcielibyśmy bardzo panią i oczywiście też Piotra przeprosić za zachowanie naszego syna. Rozmawialiśmy z nim i mamy obietnicę z jego strony, że coś takiego więcej się nie powtórzy.

Ojciec spojrział na syna srogo, ale z miłością. Joannie zrobiło się na moment odrobinę smutno, że nie ma przy jej boku kogoś takiego, kto spoglądałby na Piotra czasem srogo i z miłością. Tymczasem krótko ostrzyżony blondyn zbierał się w sobie, aż w końcu spojrział na Piotrka.

– Przepraszam.

Wtedy Joanna zrozumiała, jak bardzo była niesprawiedliwa w swoim apriorycznym osądzie. Chwilę później pomyślała o panu Kazimierzu i o Kaszowskim, który spoglądał na sprawy tego świata srogo, ale chyba jednak właśnie z miłością.

– Tak, wydawało mi się, to znaczy myślałam, bez sensu myślałam... – Joanna próbowała ściągnąć na siebie uwagę Piotrka i dokończyła dopiero, kiedy jej się to udało. – Ja też cię przepraszam, synku.

Jej wypowiedź i wynikający w znacznej mierze ze zmęczenia nagły przypływ szczerości, zaskoczył obecnych, ale tylko na chwilę, która skończyła się w momencie, gdy Piotrek wyciągnął rękę do Wojtka. Joanna poczuła wtedy leciutkie ukłucie dumy, że jednak mimo braku srogiego i patrzącego z miłością mężczyzny u jej boku, jakoś udaje jej się, przynajmniej na razie, wyprowadzać Piotrka na ludzi.

Tym razem na miejsce spotkania inspektor Zieliński wyznaczył nie biuro, lecz taras otaczający podniebny basen w jednym z droższych stołecznych

hoteli. Gdyby zaprosił tu Joannę, ta prawdopodobnie nie potrafiłaby się odnaleźć, ale nie była ona jego gościem w tym ekskluzywnym zakątku. Była tematem toczącej się tu rozmowy. Przy balustradzie tarasu oprócz Zielińskiego stał jeszcze jeden, mniej więcej pięćdziesięcioletni mężczyzna, charakteryzujący się nonszalancją w ubiorze i sposobie bycia.

– Także wygląda na to, że nasz Kaszowski, ku memu zaskoczeniu, nie ukrywam, zaczął przekonywać do siebie naszą panią komisarz. Na szczęście jej rola sprowadza się głównie do tego, żeby odwracać jego uwagę od spraw ważniejszych, a to akurat robi w moim przekonaniu doskonale. A pan co uważa na ten temat, panie Waldku?

Na tarasie oprócz tamtych dwóch znajdował się jeszcze jeden mężczyzna w nieodłącznych przyciemnianych okularach i to do niego skierował teraz swoje pytanie Zieliński. Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Wydaje mi się, że tak.

– Że co tak? – Do rozmowy włączył się nagle i niespodziewanie ekskluzywnie nonszalancki, który jednak nawet nie spojrzał w kierunku Waldemara, nadal podziwiając podniebną panoramę miasta.

– Że... – Waldemar szybko zrozumiał, że będzie musiał rozbudować swoją refleksję – że świetnie odwraca uwagę. Mają tam przez nią niezły bałagan w tym swoim archeo.

Mężczyzna odwrócił się w końcu w stronę Waldemara i chwilę mu się przyglądał.

– A czemu pan właściwie ciągle nosi te okulary, ma pan coś z oczami czy coś? – zapytał wyraźnie zaciekawiony.

Waldemar, zamiast odpowiedzieć, zdjął okulary.

– O, i od razu lepiej – ucieszył się tamten.

Panowie stali przez chwilę, mierząc się wzrokiem.

– Żeby tylko kiedyś nie narobiła nam bałaganu. – Elegancki wrócił do porzuconego tematu. – Swoją drogą, nawiązał z nami kontakt pewien celnik z portu w Gdyni... Facet jest powiązany z mafią ze Wschodu, zdaje się, że

nałapał ostatnio u tamtych sporo punktów karnych i chciałby uratować życie, a wydaje mu się, że możemy mu w tym pomóc... Ma dla nas jakieś cenne informacje.

Zieliński uśmiechnął się do swoich myśli.

Młody wszedł do gabinetu z dwoma kubkami, jeden postawił przed siedzącym przy komputerze Kaszowskim, z drugiego sam pociągnął łyk. Komisarz spojrzął na stojący przed nim biały kubek.

– Ale to nie mój?

– Pański jest w zmywarce.

Kaszowski pokiwał głową, choć ewidentnie nie był ukontentowany. Jako człowiek o usposobieniu introwertycznym, lubił, żeby wszystko i zawsze mieściło się w wypracowanych przez lata ramach. Każdy szczegół jego funkcjonowania był najpierw bardzo długo testowany w odniesieniu do potrzeb, wszystkie czynności i zwyczaje były obrabiane na tyle długo, żeby w końcu jak kamienie toczne przez wiatr i wodę zyskać właściwą obłość, dzięki której można łatwo i przyjemnie ująć je w dłoń. Kubek z przekreślonym wodoodpornym flamastrem napisem „I love Marek” stanowił jeden z filarów tego misternie oswojonego świata. Komisarz ujął w dłoń kubek przyniesiony przez Jacka, przymierzył się do niego, po czym nie upijając zeń nic, odstawił go z powrotem na biurko.

– No i?

– Na razie nie wiem za dużo. – Młody przyglądał się kubkowi. – Jest facet, który jeździ na numerach niefigurujących w centralnym rejestrze. Nie wiem, kto to, ale wiem, że pani Joanna się go obawia.

Kaszowski przemógł się w końcu i wypił łyk kawy, co aspirant Czerwiński przyjął z wyraźną ulgą.

– Wygląda na to, że nasza pani komisarz ciągnie za sobą jakiś ogon z przeszłości. Obserwuj. Jak się czegoś dowiesz, dawaj znać.

Chwilę milczeli, a Kaszowski się zastanawiał, czy bezpiecznie będzie zadać kolejne pytanie. Rozejrzał się po ścianach i suficie, w końcu

zdecydował, że na razie jeszcze tak.

- Dzwoniłeś do celnika na Wybrzeże?
- Już dwa dni temu.
- Co powiedział?
- Że zada im temat, ale potem będzie się musiał spotkać.

Komisarz pokiwał głową, po czym obaj już w milczeniu wypili po kolejnym łyku kawy.

Sędzina w kilku słowach uzasadnienia wyjaśniła, iż w związku z zaistnieniem nowego materiału dowodowego oraz po przeprowadzeniu przez zespół biegłych psychiatrów dodatkowych badań, które ponad wszelką wątpliwość stwierdzały, że obecny stan psychiki pacjenta nie stanowi zagrożenia ani dla niego, ani dla otoczenia, sąd uznał dalsze przetrzymywanie pana Kazimierza Kołodzieja za bezcelowe oraz najzupełniej nieuzasadnione.

Joanna odebrała pana Kazimierza razem z córką, która zazwyczaj na każde widzenie z ojcem jechała najpierw pociągiem z Suraża do Łap, potem pociągiem do Warszawy, wreszcie kolejką WKD, żeby po ponad sześciu godzinach podróży wysiąść pod samą bramą zakładu psychiatrycznego w Tworkach. Dziś bardzo jej jednak zależało, żeby tata mógł od razu pojechać na grób, i komisarz Majewska zaofiarowała się, że zabierze ją z Dworca Centralnego, a potem zawiezie ich oboje na cmentarz pod Górą Kalwarią.

Kiedy weszli na cmentarz, Joanna została przy bramie. Nie chciała zakłócać swoją obecnością intymności chwili. Ten urokliwy, znajdujący się na wzniesieniu, przykościelny cmentarzyk, który nie wiedzieć czemu przywodził jej na myśl podobny, widziany niegdyś w pewnej tokańskiej wiosce, był jednak tak mały, że Joanna przez cały czas i tak widziała zmagania ojca i prowadzącej go do grobu córki. Widziała, że na płycie nagrobka, do którego podeszli, wypisano jedno nazwisko i dwa imiona. Maria przeżyła lat trzydzieści pięć, Roberta świat oglądał jedynie przez lat siedem. Joanna widziała, jak pan Kazimierz wyjął znicz i zapałki z plastikowej torby, z którą córka wsiadła do jej samochodu kilka godzin

wcześniej, a ona wtedy zastanawiała się nad tym, jak bardzo ludzie są skupieni na naprawdę ważnych dla nich rzeczach, i zadawała sobie pytanie, czy ta młoda, piękna dziewczyna wiozła torbę ze zniczami aż z domu. Teraz, choć było przecież bardzo ciepło, Joanna widziała, jak Kazimierz trzęsącymi się rękami, próbując przenieść płomień, zapalił najpierw jedną, potem kolejne zapalki, aż wreszcie córka zaproponowała, że go wyręczy, on zaś delikatnie odmówił, po czym zapalał kolejne zapalki i kolejne zapalki gasły gdzieś w drodze od pudełka do lampki. W końcu Joanna zobaczyła, że się udało, a potem jeszcze, że kolejny znicz zapłonął już znacznie szybciej. Kiedy na płycie stały już oba i leżała na niej nowa wiązanka plastikowych kwiatów, kiedy córka podeszła i otuliła się ramieniem ojca, kiedy on odczytał raz jeszcze imiona ludzi, których kochał najbardziej na świecie, wtedy właśnie Joanna zobaczyła, że pan Kazimierz zapłakał. Chwilę później wyszła za bramę, żeby patrzeć na okolicę, która nie wiedzieć czemu przypominała jej wiejski pejzaż Toskanii.

TAJEMNICA SPOWIEDZI

Kaszowski od dobrej półgodziny błędził po leśnych duktach. GPS, który leżał na podszybiu, już dawno przestał się orientować, gdzie jest, i nie wskazywał dróg, po których z prędkością wędrującego piechura turlało się dwudziestoletnie volvo. W pewnym momencie auto zaczęło się dławić, komisarz nauczone doświadczeniem zatrzymał się i kilkakrotnie przegazował. Niestety, tym razem inaczej, niż uczyło doświadczenie, podjęte przezeń czynności nie przyniosły spodziewanego rezultatu i po kolejnych kilku sekundach auto zgasło. Kaszowski przekręcił kluczyk, rozrusznik działał, ale silnik nie chciał zaskoczyć, i to pomimo ponawianych prób. Kaszowski popatrzył za okno i skonstatował, że na domiar las, samochód i on w samochodzie, słowem wszystko, tonie w gęstej mgle. Sięgnął po telefon, wykręcił numer, ale nic nie nastąpiło. Gdy zerknął na wyświetlacz, stwierdził, że nie mogło nastąpić, ponieważ na wskaźniku zasięgu nie ma ani jednej kreski.

Joanna była umówiona na spotkanie z Kaszowskim, podczas którego mieli podsumować trzy ostatnie sprawy, ale chociaż obeszła już większość miejsc, w których miał w zwyczaju przebywać, nigdzie nie mogła go znaleźć, a jego telefon odpowiadał jedynie nagraniem smętnej poczty głosowej. Kiedy weszła po raz trzeci tego ranka do jego gabinetu, zastała w nim tylko aspiranta Czerwińskiego, który przeglądał jakieś papiery w jednej z szuflad biurka komisarza.

– Pan to za wiedzą komisarza tak tutaj gmera?

Jacek uniósł głowę znad papierów, uśmiechnął się i przytaknął.

– A gdzie on właściwie jest? Umawiał się ze mną wczoraj, że będzie od dziesiątej – Joanna nie kryła lekkiej pretensji w głosie.

Młody już miał wystartować z jakimś dyżurnym, niekoniecznie prawdziwym wyjaśnieniem, ale powstrzymał się, a właściwie powstrzymał

go karcący wzrok Joanny.

– Panie Jacku?

Postanowiła po raz pierwszy użyć kobiecego wdzięku. Tak naprawdę zresztą wydawało jej się tylko, że cokolwiek w tej sprawie postanowiła, bo użyła kobiecego wdzięku, ponieważ już od dość dawna miała wielką ochotę to zrobić wobec tego młodszego od siebie o jakieś cztery lata, dobrze zbudowanego, nieco nieokrzesanego, urokliwego blondyna.

– Tak?

„Tak” nie oznaczało w tej sytuacji zbyt wiele, więc Joanna czekała na więcej, a Jacek był już właściwie w tym momencie bezwolny.

– Tak, ze mną też się umówił, ale wystąpiły pewne okoliczności.

– Natury? – Joanna nie przestawała się uśmiechać.

– Obiektywnej.

– A coś więcej, panie Jacku?

– Jest pewna sprawa, która nie podlega wprawdzie bezpośrednio naszej jurysdykcji, ale mieliśmy z nią styczność.

– Brzmi niezwykle interesująco. – Joanna szła cały czas torem wytyczonym przez feromony. – Mogę pojechać z panem?

– A skąd pani wie, że zamierzałem gdziekolwiek jechać?

– Nie wiem, ale wydaje mi się, że może warto, skoro, jak ustaliliśmy, sprawa jest tak interesująca.

Młody nic już wprawdzie nie powiedział, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że znów został pokonany, i co więcej – w ogóle mu to nie przeszkadzało. Joanna wyszła z gabinetu, w drzwiach mijając się z naczelnikiem. Sądząc po dwuznacznym uśmiechu, jakim obdarował wychodzącą, przysłuchiwał się ich rozmowie już od dobrych kilku chwil.

– Inteligentna, wykształcona, rzutka i do tego kobieta. Wygląda na to, że już na starcie ma nad nami sporą przewagę, co, panie Jacku?

Młody pokiwał głową, bo na nic innego nie wpadł, i czekał na puentę, która musiała nieuchronnie nadejść.

– Tylko nie wiem, co Marek na to wszystko powie...

– Ja też nie wiem, panie inspektorze, ale co zrobię?

Naczelnik się roześmiał, co zdarzało mu się niezwykle rzadko. Jacek nie był pewien, czego powinien się teraz spodziewać.

– Nic pan oczywiście nie robi, żaden z nas jeszcze nigdy nic z tym nie zdołał zrobić. – Naczelnik na chwilę zamilkł, jakby zastanawiał się nad głębokim sensem zdania, które właśnie wypowiedział. – Dobrze, jedźcie, ja spróbuję załatwić z wojewódzką, żebyśmy przejęli to śledztwo. Jak się zgodzą, wyślę do was Basię z techniką.

Tymczasem w drzwiach pojawiła się Joanna, która miała już na sobie kurtkę, a w ręku trzymała torebkę. Naczelnik spojrzął na nią i pomyślał, że wszystko zawsze sprowadzało się właśnie do tego, o czym powiedział przed chwilą, i że właściwie całe szczęście, że jeszcze żaden z nich nigdy nie zdołał nic z tym zrobić.

– No właśnie – skwitował i ruszył do swojego gabinetu.

Kaszowski błąkał się po lesie i już dwa razy trafił na swój samochód, choć był przekonany, że posuwa się wciąż w jednym kierunku. Mgła na szczęście zaczęła opadać, co dawało pewną nadzieję na znalezienie jakichś punktów na tyle charakterystycznych, żeby przynajmniej przestać się kręcić wokół własnego ogona. Wyjął z kieszeni telefon, ale zasięgu nadal nie było. Na szczęście przypomniał sobie, że ktoś kiedyś pokazał mu, że w aparacie wśród tych wszystkich kolorowych, niepotrzebnych do niczego obrazków ma też kompas. Chwilę trwało rozgryzanie ikonek, wobec których z zasady czuł się nieswojo. W końcu znalazł coś, co przypominało mu instrument, którego używał jeszcze w harcerstwie, i z jego wsparciem ruszył na północ, bo gdzieś ruszyć musiał. Po mniej więcej piętnastu minutach spoza kolejnej ściany gęstych chaszczy dojrzał w oddali samotnie stojące zabudowanie. Podeszedł bliżej. Przed chylącą się ku upadkowi drewnianą chałupą pamiętającą prawdopodobnie czasy cara Mikołaja obierała ziemniaki kobieta, która pamiętała czasy, gdy tej chałupy jeszcze nie było. Kaszowski wszedł na podwórko i przyglądał się staruszce.

– Czego chciał?

– Dzień dobry pani. – Kaszowskiego przez chwilę kusilo, by nauczyć kobietę dobrych manier, ale szybko odrzucił ten absurdalny pomysł. – Nie wie pani, jak dojść do Tatarów? Samochód mi wysiadł w lesie, trochę się pogubiłem.

– Wszystkie się gubią – odparła staruszka, nie przerywając obierania ziemniaków.

Kaszowski odczekał chwilę.

– A do Tatarów jak?

– A do Tatarów prosto tam, oj. – Ręką zbrojną w kozik wskazała kierunek, z którego przed chwilą nadszedł Kaszowski.

– Ale ja stamtąd przyszedłem właśnie.

– No i tam, oj, som Tatary, tylko dali, jakiś z dwie wiorsty będzie.

– Jak dwie wiorsty, to mi się zejdzie chwilę, ale co zrobić. Dziękuję pani bardzo.

Kaszowski skinął głową i ruszył w stronę, z której dopiero co przybył. Z kieszeni wyjął telefon, sprawdził kierunek i schował telefon z powrotem do kieszeni.

– Sie zejdzi – Kaszowski był już na obrzeżu podwórka, kiedy staruszka postanowiła dokończyć myśl – ale zdązycie, jemu i tak już niespieszno.

Kaszowski, kiwając głową, wszedł w głąb chaszczy, a przez myśl przemknęło mu tylko, że dwie wiorsty to jednak nie może być zbyt daleko, skoro wieść o samobójstwie księdza, które zdarzyło się ostatniej nocy, już zdążyła tu dotrzeć.

– Przy zagajniku niech sie przeżegna, straszy czasami!

Ostatnie zdanie wykrzyczane skrzekliwym głosem stuletniej staruszki dobiegło komisarza już z oddali.

Za oknami lało, a tuningowane, bardzo twarde i bardzo głośne bmw Jacka było wyposażone w jedną zaledwie wycieraczkę, która teraz z mozołem przecierała wodę sprzed oczu kierowcy. W związku z tym zapięta

sześciopunktowym pasem Joanna czuła się, jakby we wnętrzu akwarium wystrzelono ją w przestrzeń kosmiczną.

– Musimy tak gnać? Jedziemy ponad sto na godzinę, a ja do tego nic nie widzę.

– To jest licznik z wersji amerykańskiej.

– Czyli?

Zamiast odpowiedzieć, Młody tylko się uśmiechnął. Do Joanny dopiero po chwili dotarło, że jadą bez wycieraczki w strugach deszczu po drodze piątej kolejności odsnieżania z prędkością ponad stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Pan chyba zwariował! Proszę natychmiast zwolnić!

Czerwiński zdjął nogę z gazu, ale nie hamował, rozpedzone auto powoli wytracało prędkość, a Joanna cały czas spoglądała na licznik i uspokoiła się dopiero, gdy wskazówka znalazła się w okolicach sześćdziesiątki.

– I tak za szybko.

– Kiedyś musimy dojechać.

– No dobrze, niech mi pan powie, co to za historia?

– Historia?

Młody, bez względu na to, czy jechał sto czy pięćdziesiąt mil na godzinę, cały czas koncentrował się na prowadzeniu samochodu, bo bardzo tę czynność lubił. To zresztą również się w nim Joannie podobało.

– No z tym księdzem.

Chcąc nie chcąc, Jacek musiał w końcu odrobinę się oderwać od swojej ulubionej czynności i sięgnąć w otchłań wspomnień.

Kaszowski zbierał się, żeby iść do domu, i tak zresztą było już mocno po godzinach. Na koniec dnia puścił jeszcze z komputera *Satisfaction* Stonesów. Często tak robił; po pierwsze, zrzucał z siebie w ten sposób brzemień spraw, z którymi musiał się borykać w ciągu dnia, po drugie, uzupełniał ładunek energii potrzebny do tego, żeby się zebrać, zejść do auta i dojechać do domu. Kiedy już spakował rzeczy do plecaka, do pokoju wszedł Młody, a wraz

z nim ubrany wprawdzie po cywilnemu, ale z rzucającą się w oczy koloratką, mniej więcej siedemdziesięcioletni ksiądz z siwą czupryną i nieco przenoszonym kilkudniowym zarostem.

– To jest właśnie ksiądz Janusz. – Młody szybko się zorientował, że Kaszowski nie pamięta ich wcześniejszej rozmowy. Może też po prostu, jak często bywało, wcześniej go nie słuchał. – Mówiłem panu wcześniej, że ksiądz Janusz nas odwiedzi.

– A, ksiądz Janusz, oczywiście. – Wyraz twarzy Kaszowskiego potwierdzał obawę Młodego co do tego, że w wizycie księdza Janusza nie ma dla komisarza nic oczywistego. Ksiądz, który wyglądał na wylęknionego i pełnego rezerwy, zauważył to i w pierwszym odruchu chciał się wycofać, ale aspirant przytrzymał go delikatnie, a uśmiechem dodał mu sił i wiary.

Tymczasem Kaszowski uznał, że dobywający się z głośników utwór nie sprzyja rozwojowi konwersacji, sięgnął do klawiatury i wyłączył muzykę.

– Proszę, ksiądz spocznie.

Pomyślał, że strasznie dużo w języku kurtuazji, kiedy przychodzi do rozmowy z klerem. Tą konstatacją się z księdzem nie podzielił, zerknął natomiast na Młodego.

– Zaproponowałeś księdzu herbatę albo kawę?

– Nie, nie, dziękuję bardzo, ja tylko na moment, wiem, że jest późno, powinienem przyjść w ciągu dnia, ale nie było jak, obowiązki w parafii.

Ksiądz Janusz cały czas był wyraźnie zdenerwowany, Kaszowski zauważył nawet, że pocą mu się dłonie, w których coraz mocniej miał czarny beret. Wreszcie przysiadł na krawędzi krzesła. Teraz jednak czuł się skrępowany obecnością Czerwińskiego za plecami, więc Kaszowski pokazał Młodemu skinieniem głowy, żeby usiadł obok.

– Jak możemy pomóc?

– No właśnie, właśnie, nie wiem, nie wiem nawet, czy to się da pomóc, czy panowie mają taką możliwość. – Ksiądz zamilkł, jakby wyczerpał temat.

– Może mamy możliwość, ale musimy się najpierw od księdza dowiedzieć, o co chodzi. – Kaszowski starał się być spokojny, rzeczowy i uprzejmy, co

dziwiło nawet jego samego, bo zasadniczo nie był wielbicielem duchowieństwa. Ksiądz zerknął w stronę uchylonych drzwi gabinetu, więc Młody, nienapominany już nawet przez Kaszowskiego, wstał i je domknął. Duchowny wyjął jeszcze z kieszeni marynarki chustkę i przetarł nią zroszone kroplami potu czoło. Kaszowski i Jacek czekali, starając się nie okazywać niecierpliwości.

– Jestem spowiednikiem... w piątki spowiadam. – Ksiądz skupił się i podjął próbę zebrania myśli w dłuższy ciąg. – Był u mnie człowiek w ten... w tamten piątek, był i wyznał straszne rzeczy, potworne rzeczy wyznał Bogu za moim pośrednictwem.

Ksiądz przerwał, przełknął ślinę i raz jeszcze przetarł czoło chusteczką.

– Boję się tego człowieka, tego zła i może tego, co jeszcze może zrobić...

Kaszowski popatrzył teraz księdzu prosto w oczy, ale on pokręcił głową.

– Nie mogę więcej powiedzieć.

– Rozumiem, a może odrobinę konkretniej. Czy on księdzu groził?

Ksiądz pokręcił głową.

– Nie, ale te rzeczy... to, co mówił...

– Paragraf sto siedemdziesiąt osiem kk, tajemnica spowiedzi.

Młody chciał chyba błysnąć, ale od razu pożałował, bo Kaszowski spiorunował go wzrokiem.

– Dziękujemy bardzo, panie aspirancie.

Ksiądz nagle się ożywił, jakby coś sobie przypomniał.

– Niech Bóg mu wybaczy, muszę już jechać.

– Jeśli zdarzy się cokolwiek niepokojącego, o czym ksiądz będzie nam już mógł powiedzieć, to proszę – Kaszowski sięgnął do szuflady, z której wyjął swoją wizytówkę – od razu nas informować. Uczulimy też lokalną komendę, żeby w razie czego byli gotowi do szybkiej interwencji.

– Nie, nie, broń Boże. – Słowa Kaszowskiego przeraziły księdza jeszcze bardziej. – Proszę nikogo nie uczulać, ja nie powinienem nawet tutaj tego, tylko że... – urwał w pół słowa, wyglądało na to, że nie jest w stanie

wyjaśnić, co go tak naprawdę skłoniło do wizyty.

Kaszowski sprawiał wrażenie, jakby tego wyjaśnienia nie potrzebował.

– Rozumiem.

Ksiądz zerwał się z krzesła tak gwałtownie, że przez moment istniała uzasadniona obawa, iż straci równowagę. Młody poderwał się, żeby go podtrzymać, ale ksiądz poradził sobie sam.

– Muszę jechać. Jeszcze msza wieczorna, muszę zdążyć.

– Może księdza podwiozę? – zaoferował Młody. – Chociaż kawałek.

– Nie, nie, ja już sam dam radę, wszystko dam radę.

Młody ruszył, żeby odprowadzić księdza do wyjścia. Kaszowskiemu przyszło nagle do głowy, że coś w tym wszystkim nie gra. Miał dojmujące wrażenie, że chodziło o coś zupełnie innego, o coś, o czym ksiądz mógł im powiedzieć, ale tego z jakiegoś powodu nie zrobił.

– Do widzenia, panie komisarzu. – Ksiądz starał się jak najszybciej wyjść.

– Proszę księdza... jeszcze tylko jedno pytanie. – Kaszowski zatrzymał go w pół kroku. – Dlaczego właściwie ksiądz przyszedł akurat do nas?

– Czytałem kiedyś, że pan komisarz rozwiązuje takie różne nietypowe sprawy. Szczęść Boże.

Ksiądz wyszedł, Kaszowski jeszcze przez chwilę zastanawiał się, o co chodzi w tej całej sprawie, po czym skończył się pakować, zgasił światło i ruszył do domu. Energia nabita Stonesami dawno uleciała i droga, którą miał do pokonania, wydawała mu się nieskończenie długa.

Deszcz przeszedł w gęstą mżawkę, co niewiele zmieniło z punktu widzenia Joanny, która nadal nic nie widziała przez swoją część przedniej szyby.

– I co było potem?

Młody zwolnił, bo z nawigacji wynikało, że wkrótce powinien skrócić w las, a przed nimi nie było widać żadnej drogi.

– Potem? Potem już nic nie było, ksiądz się już nie odezwał, a dziś rano zadzwonili z powiatowej, że ksiądz się powiesił.

– Czemu do was?

– Bo wcześniej zawiadomiłem ich, żeby mieli na oku jego otoczenie.

W końcu Młody wypatrył wąską leśną przecinkę i skręcił w lewo. Samochodem zatrzęśło na wertepach.

– Jakaś straszna dziura te Tatary, skoro tylko taka droga tam prowadzi.

Teraz, kiedy jechał już wolniej, Joannie przyszło nagle do głowy, że właściwie mogłaby z tym człowiekiem pojechać gdzieś dalej, a może nawet przejechać z nim kawałek życia.

Kaszowski wyszedł z lasu na polanę, nad którą wciąż jeszcze nisko wisiała mgła, ale w oddali ponad nią górowała wieża drewnianego kościoła. Wszystko wskazywało na to, że pomimo trudności w końcu zlokalizował Tatary. Kiedy po pięciu minutach znalazł się na dziedzińcu przed kościołem, który pełnił też chyba funkcję głównego placu wioski, przede wszystkim zaskoczyła go panująca tu cisza i brak jakichkolwiek oznak życia. Na to, że jednak ktoś w Tatarach mieszka, wskazywały tylko dymy unoszące się z kominów kilku okolicznych domów. Ludzi nie było jednak widać żadnych. Na drzwiach wejściowych zabytkowego kościółka komisarz zauważył ciężką stalową sztabę przytwierdzoną do skobla ogromnych rozmiarów kłódką. Próbował sobie wyobrazić, jak co rano ktoś, może ksiądz, a może kościelny zdejmował całe to zabezpieczenie, żeby wieczorem na powrót je założyć. Jeśli rzeczywiście coś takiego miało miejsce, to pozostawało pytanie, po co zadawać sobie tyle trudu, przecież we wnętrzu kościoła zapewne oprócz tabernakulum nie ma nic szczególnie cennego.

Komisarz ruszył w stronę zabudowań na tyłach kościoła, przy których stała karetka i oznakowany terenowy radiowóz. Mijając domy, które wcześniej wydawały mu się wymarłe, w oknach zauważył twarze spoglądające na niego zza firan i zazdrostek. Ilekroć jednak na którąś spojrział, ta natychmiast chowała się w mroku wnętrza. Dziwna ta wieś, z jednej strony sprawiała wrażenie wymarłej, a z drugiej zewsząd czuło się tu jakąś ukrytą obecność. Jak opustoszałe miasto pełne ludzi, a może wymarłe miasto pełne... – Kaszowski tej myśli nie dokończył, bo z założenia nie wchodził na grząski

w jego mniemaniu grunt eschatologii. Tymczasem z radiowozu wysiadł mundurowy policjant i ruszył mu na spotkanie.

– Pan komisarz Kaszowski?

Kiwnął głową i wyciągnął rękę na powitanie. Policjant, który przedstawił się jako aspirant Mieczysław Rachoń, miał orli nos, ospowatą cerę i dziwnie chropowaty, zapewne z przepicia i przepalenia głos. Ogólnie wydał się komisarzowi idealnym uzupełnieniem krajobrazu i atmosfery miejsca, do którego dotarł po kilkugodzinnych poszukiwaniach we mgle.

– Ciężko tu do was dotrzeć. Samochód mi utknął, nawet nie bardzo wiem gdzie, trochę się pogubiłem.

– Tu się wielu gubi, nawet ja czasem mam problemy, ale znajdziemy wóz.

– Rachoń uśmiechnął się trochę dziwnie, choć sympatycznie, jakby chciał tym uśmiechem zapewnić, że wprawdzie Kaszowski trafił w zaświaty, ale w jego towarzystwie nic mu tu nie grozi. – Czekaliśmy na pana. Lekarz stwierdził, że zgon musiał nastąpić od sześciu do ośmiu godzin temu. Idziemy?

Nie czekając na odpowiedź Kaszowskiego, aspirant zamknął drzwi radiowozu i ruszył w kierunku plebanii. Kiedy weszli na małą drewnianą kładkę prowadzącą do obejścia, nagle nie wiedzieć skąd pojawił się przy nich ogromny czarny pies.

– Cerber?

Rachoń, nie zatrzymując się, odwrócił się do Kaszowskiego.

– Słucham?

– O psa pytałem.

Aspirant kiwnął głową, ale jego uwaga skupiona była na czymś, co znajdowało się za Kaszowskim. Komisarz powoli się odwrócił. W odległości kilkudziesięciu metrów, po drugiej stronie kładki, zebrała się kilkunastoosobowa grupka mieszkańców, którzy przyglądali im się w milczeniu.

– Tak, to jest trochę dziwne miejsce – powiedział Rachoń, a Kaszowski pomyślał, że może jednak aspirant nie do końca stanowi spójny element tego

krajobrazu.

Po wąskich drewnianych schodach wspięli się na strych plebanii. Widać było już na pierwszy rzut oka, że ani schody, ani prawdopodobnie strych nie były dotąd użytkowane zbyt często. Towarzyszyła im trzydziestoparoletnia kobieta, gosposia księdza Janusza. Gdy tylko Rachoń ich sobie przedstawił, Kaszowski zauważył, że kobieta różni się od ludzi, których widział wcześniej ukrytych za firankami, a potem na placu pod kościołem. Miała inteligentną twarz, niezniszczoną zbyt długim przebywaniem wśród lokalnej mgły, w jej oczach dało się dostrzec myśl, chwilami nawet pogoń myśli. Długie blond włosy nosiła schludnie uczesane w kok, a okulary w ładnych szylkretowych oprawkach definitywnie dyskwalifikowały ją w konkursie na najbardziej typową mieszkankę wsi Tatary.

– To właśnie pani Łucja znalazła księdza, to znaczy zwłoki znalazła o siódmej rano i od razu zadzwoniła do nas.

Schody kończyły się mrocznym korytarzem, który wśród starych mebli i od kilkadziesiąt lat nieodkurzanych, poustawianych w równe stosy książek wiódł w kierunku jasnej werandy. Przodem szedł Rachoń, za nim pani Łucja, dalej Kaszowski, który po drodze starał się wśród rzeczy, mebli i książek wypatrzeć coś podejrzanego. Nic takiego wprawdzie nie znalazł, ale zastanawiało go, po co ktoś zgromadził tu tyle woluminów, począwszy od starych szkolnych czytanek, przez encyklopedie, a skończywszy na zbiorach literatury pięknej, przeważnie polskiej. W stosach piętrzyły się dzieła zebrane Sienkiewicza, Żeromskiego, Reymonta, Mickiewicza i innych klasyków.

– A ksiądz to jakiś antykwariat prowadził? – zapytał Kaszowski panią Łucję, kiedy dochodzili już do werandy, na której śródkiem, na haku nie wiadomo jak przyczepionym do powały, wisiał ksiądz Janusz w sutannie.

– Nie, to tak jakoś przez lata się zebrało chyba, sama nie wiem, jak przyszłam, to te książki już tu były. – Pani Łucja mówiła ściszym głosem, bo prawdopodobnie uważała, że przy zwłokach należy zachować spokój i nabożne skupienie.

Kaszowski pokiwał głową. Odpowiedź nie wydała mu się satysfakcjonująca, teraz jednak musiał się zająć czym innym. Na krzeselku

ustawionym nieopodal wiszących zwłok siedział mężczyzna w białym kitlu i palił papierosa.

– Nie zdejmowaliśmy, żeby pan mógł zobaczyć, a doktor Malewski – Rachoń spojrzął na palącego – specjalnie czekał, gdyby pan miał jakieś pytania.

Kaszowski skinął głową w stronę lekarza, następnie wyjął z kieszeni gumowe rękawiczki, włożył je i podszedł do wisielca. Najpierw obejrzał jego zasiniałe dłonie; na końcach palców zaczęły się już pojawiać plamy opadowe.

Marek

Tyle tych zwłok, dziesiątki lat, setki sinych twarzy, które nie wyrażają już nic, puste oczy, sztywne dłonie. Nigdy nie widziałem ich za życia, należeli niejako do innej kategorii, nie byli ludźmi, tylko denatami, zwłokami, trupami, przypadkami, jakąś pozostałością po ludziach. Z księdzem Januszem jest inaczej, poznałem go, wprawdzie tylko przelotnie, nawet nie podałem mu ręki, ale jednak do mnie mówił, pulsował nerwowością, słowem był, a teraz go nie ma, teraz jest przypadkiem. Miałem już kiedyś do czynienia z taką sytuacją. Tamte dwie osoby znałem wyjątkowo dobrze, o ile oczywiście w ogóle można kogoś znać jakkolwiek. One były dla mnie wszystkim. A ksiądz?

– Co pan sądzi, panie doktorze? – odezwał się w końcu Kaszowski do lekarza, który czekał na uzasadnienie, dlaczego musiał tu spędzić pięć godzin, z których trzy ostatnie były już godzinami po jego dyżurze. – Zauważył pan coś, powiedzmy, nietypowego?

– Raczej nie, wszystko wskazuje na to, że przyczyną śmierci było powieszenie. – Doktor zamilkł na moment, jakby nie był pewien, czy nie zabrzmiało to głupio. – To znaczy żył jeszcze, kiedy się wieszał. Nie zauważyłem też żadnych oznak, które mogłyby świadczyć o udziale osób trzecich. Oczywiście to ostatecznie potwierdzi dopiero autopsja.

Kaszowski, który słuchając doktora, obejrzał jeszcze kostki i łydki księdza, teraz zerknął za okno, bo kątem oka zauważył, że wśród kilkunastoosobowego zgromadzenia mieszkańców jeden mężczyzna wyróżnia się wyglądem i zachowaniem. Ów mężczyzna wprawdzie podobnie jak inni cały czas popatrywał w kierunku plebanii, ale robił to inaczej niż inni, zza drzewa, starając się w ten sposób, najwyraźniej mało skutecznie, pozostać niezauważonym. Kaszowski zerknął na Rachonia i ruchem głowy wskazał mężczyznę. Tamten zauważył, że jest obserwowany, i najpierw ukrył się za drzewem jeszcze bardziej, a po chwili ruszył szybkim krokiem w stronę mostka prowadzącego na plebanie. Wyraźnie utykał na jedną nogę. Kilka metrów za nim podążał czarny pies.

– A to kto?

– Nie mam pojęcia, nigdy go tu nie widziałem, ale też ja tu za często nie bywam.

W tym momencie obaj spojrzeli na gospozię. Kobieta, która do tej pory stała nieruchomo w rogu, najpierw pokręciła głową i wzruszyła ramionami, a kiedy Kaszowski nie odrywał od niej wzroku, nie wytrzymała i wybiegła z werandy.

– No to kuternoga i gosposia idą na pierwszy ogień.

Rachoń kiwnął głową, ale nic poza tym nie zrobił. Kaszowski po chwili zerknął na niego zdziwiony.

– W sensie teraz, panie aspirancie, nie po tym, jak uzgodnią zeznania.

– Jasne!

Rachoń się zreflektował i ruszył w kierunku schodów, na których zniknęła gosposia. Kaszowski wrócił do oględzin denata.

– A skąd pan wie, że od sześciu do ośmiu godzin temu?

– Po plamach opadowych, po stopniu zasinienia paznokci...

– Czyli między trzecią a piątą nad ranem?

Lekarz zerknął na zegarek, który miał na przegubie prawej dłoni.

– Tak by wychodziło.

– A pan leworęczny.

– Tak, a to ma jakieś znaczenie?

Kaszowski zaśmiał się ubawiony skojarzeniem, które przemknęło mu przez myśl. Doktor lekko się spłoszył, zaskoczony.

– Nie, żadnego. Tak tylko też chciałem przed panem czymś zabłysnąć.

Samochód z Joanną i Jackiem dojechał do miejsca, w którym swoje auto musiał porzucić Kaszowski. Młody podjechał do niego jak najbliżej, zatrzymał się i popatrzył na Joannę, która próbowała właśnie znaleźć jakąś stację w radiu. Po raz kolejny złapała tylko Radio Maryja.

– Oni są wszędzie?

– Taki kraj. A my za to jesteśmy chyba w Tatarach. – Młody wskazał na stojące przed nimi volvo Kaszowskiego.

Joanna wzięła z deski rozdzielczej telefon, w którym miała uruchomioną nawigację, spojrzała na ekran.

– Chyba nie, tu jest napisane, że jeszcze dwa kilometry.

– W takim razie Kaszowski widocznie postanowił ich podejść na piechotę.

– Albo mu coś wysiadło.

Młody się uśmiechnął i pomyślał, że teraz nastąpi odpowiedni moment, żeby zadać pytanie, które chciał zadać od początku ich wspólnej podróży, a nawet jeszcze wcześniej, ale wciąż nie nadarzała się właściwa okazja.

– I to nawet jest bardziej prawdopodobne. Nie chcę myśleć, jaki jest wściekły. – Joanna wyraźnie weszła na poziom kumpelski.

Młody ruszył, powoli wyminął volvo, zaglądając przy okazji przez szybę do środka.

– Pani komisarz, proszę wybaczyć, oczywiście może pani nie odpowiadać, ale nurtuje mnie jedno pytanie.

– Dziękuję za możliwość odmowy zeznań. – Joanna domyśliła się, co nurtuje aspiranta Czerwińskiego, ale była ciekawa, czy zadając pytanie, będzie oficjalny, czy może zada je bardziej w tonie prywatnym, a przede wszystkim czy będzie nim sam skrępowany. – Proszę pytać.

– Kim jest człowiek, którego widziałem na parkingu? – Wypowiadając

słowa, których się spodziewała, nie spojrział na nią ani przez moment, czyli był skrępowany, a to bardzo jej się spodobało.

– Jaki człowiek?

Jacek oderwał wzrok od przedniej szyby i spojrział na nią. To też jej się właściwie spodobało.

– Długa i skomplikowana sprawa. Może kiedyś...

– Poczekam. – Teraz wprawdzie znowu patrzył na drogę przed sobą, ale uśmiechnął się do niej.

Piotrek siedział na ławce w szatni i kończył właśnie wiązanie butów, kiedy usłyszał tuż nad sobą głos Wojtka.

– No i co, maminsynku, naskarzyłeś mamusi?

W pierwszym odruchu Piotrek przestraszył się trochę, ale kiedy zaczął mówić, głos mu nie drżał, a tego obawiał się najbardziej. Wojtek stał rozkraczony pół kroku przed nim i wyglądał tak, jakby szykował się do kolejnej bitki.

– Nikomu nie skarżyłem. – Piotrek wstał z ławki, gotowy po raz kolejny przyjąć wyzwanie. W tym momencie jednak jak spod ziemi wyrósł między nimi mężczyzna w przyciemnianych okularach.

– Cześć, Piotrek. – Waldemar stanął pomiędzy chłopcami, ostentacyjnie lekceważąc obecność Wojtka.

Piotrek nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową z lekkim przestraczem, który nie umknął drugiemu chłopcu, stojącemu za plecami mężczyzny.

– No jak tam, już po lekcjach? – Waldemar zadał pytanie, choć odpowiedź wcale go nie interesowała, bo ściągnął okulary i od razu podjął: – Mama mnie przysłała, żebym cię dzisiaj odebrał. Późno wróci, a dziadek i pani Ela nie mogą.

Wojtek, który teraz już nie miał wątpliwości, że coś tu nie gra, odwrócił się cicho i zniknął za załomem muru, w korytarzu prowadzącym do głównego holu. Piotrek został sam na sam z mężczyzną, którego nie lubił i którego mama się bała, choć wydawało się jej inaczej.

– Ale mama nic nie mówiła... – Chłopiec starał się zyskać na czasie, a jednocześnie obejrzał się za siebie w poszukiwaniu drogi ucieczki. Waldemar uśmiechnął się nieprzyjemnie i z powrotem założył okulary.

– A bo to tak nagle, wiesz, wynikło, mama nie miała kiedy cię uprzedzić. – Waldemar podszedł bliżej, chłopiec zaś próbował się wycofać, ale nie było już dokąd, za plecami miał ścianę szatni. – Chyba się mnie nie boisz, co?

Piotrek pokręcił głową przecząco; starał się robić dobrą minę do złej gry, starał się nie pękać.

Piotrek

Mama policjantka, tylko co z tego, to zawsze tylko mama, tylko kobieta. Przydałby się tata, wciąż są te sytuacje, kiedy przydałby się tata, ale taty nie ma, może kiedyś wróci, na razie nie może. Tylko co mi po tacie, który może wróci, jak przychodzi potem taki typ w tych okularach i w skórzanej kurtce?

– No to dawaj katankę i spadamy. – Waldemar przybrał zupełnie nieprzekonujący kumpelski ton.

Chłopiec obrócił się w kierunku wieszaka i zaczął szukać swojej kurtki, która wisiała dokładnie przed nim.

– Raz-dwa, bo musimy lecieć. – Waldemar zerknął na zegarek, jakby dla potwierdzenia tych słów.

– Nigdzie nie musicie lecieć!

Nagle jak spod ziemi pojawiła się pani Weronika. Mężczyzna obrócił się nieco zaskoczony, a Piotrek pomyślał, że tak już widocznie musi być, że w świecie jego sprzymierzeńców istnieją wyłącznie kobiety. No, może prawie wyłącznie, bo za plecami wychowawczyni ukrył się Wojtek, który teraz uśmiechał się do niego porozumiewawczo.

– Joanna, to znaczy mama Piotrka, prosiła mnie właśnie, żebym po niego wpadł... – Waldemar nie był przygotowany na okoliczność dodatkowych wyjaśnień, a skoro znalazł się twarzą w twarz z tak atrakcyjną kobietą, wymyślanie czegoś ad hoc było nie lada wyzwaniem.

– Mam listę osób upoważnionych do odbierania Piotrka ze szkoły i pan na tej liście nie figuruje. – Pani Weronika była równie stanowcza jak urodziwa.
– Nawet na pewno.

– To niech mnie pani dopisze. – Waldemar wreszcie odzyskał rezon.

– Jako...? – Pytanie wychowawczyni zionęło sarkazmem.

– Jako...? Może jako tatę... czy ja wiem?

Przez moment mierzył się wzrokiem z nauczycielką, nie dość, że piękną, to jeszcze nieco od niego wyższą, co dodatkowo utrudniało sprawę.

– Dobra, Piotrek, nie ma czasu, bierz tę kurtkę i idziemy.

Waldemar złapał chłopca za ramię lekko, ale stanowczo, i sytuacja zrobiła się napięta. Nagle od strony holu nadeszło dwóch rośłych mężczyzn, z których jeden, pan Marcin, był nauczycielem wuefu i bardzo lubił panią Weronikę, a drugi, pan Mirek, jako szatniarz, był tak naprawdę wujkiem Mirkiem. Ten ostatni miał misję, która polegała na zapewnianiu uczniom bezpieczeństwa. Pani Weronika odetchnęła z ulgą.

– O, dobrze, że panowie są, bo tu właśnie pan, którego nie znamy, próbuje wyprowadzić ze szkoły naszego ucznia wbrew jego woli.

Waldemar zmiarkował najwyraźniej, że może nie dać rady, tym bardziej że merytorycznie racja nie była po jego stronie, więc puścił Piotrka i ruszył w stronę wyjścia. Sprawa zakończyłaby się najprawdopodobniej polubownie, gdyby nie uroda pani Weroniki, która sprawiła, że mijając ją, mężczyzna szepnął do jej ucha ukrytego pod puklem blond włosów:

– Jeszcze tu wrócę, ślicznotko.

Na swoje nieszczęście Waldemar nie wiedział, że pani Weronika podoba się nie tylko jemu. Nagle poczuł, że ktoś łapie go za klapę kurtki i szarpie z dosyć dużą siłą. Tym kimś był wuefista Marcin, który przyciągnął Waldemara do siebie, a następnie pochylił się nad nim, ponieważ był od niego sporo wyższy.

– Wypad stąd, leszczu. – Pan Marcin starał się mówić na tyle wyraźnie, żeby słyszała go też pani Weronika. – Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, to będą cię musieli poskładać. Rozumiesz?

Waldemar nie potwierdził, że rozumie, ale też niewiele było do rozumienia, więc Marcin uznał sprawę za uzgodnioną, pchnął intruza w kierunku wyjścia i obrócił się plecami do niego. Niestety, okazało się, że Waldemar, chcąc zawalczyć o względy pani Weroniki, postanowił posunąć się o krok za daleko i sięgnął za połę marynarki. Wujek Mirek zrozumiał w mgnieniu, że sytuacja zaraz wymknie się spod kontroli, rzucił się na Waldemara i ściągnął mu marynarkę do wysokości łokci, tym samym blokując możliwość wykonania jakiegokolwiek ruchu. W tym momencie do Waldemara doskoczył z powrotem pan Marcin, który uderzył go z grzywki z taką siłą, że tamten padł na podłogę jak kłoda. Kiedy Waldemar leżał już prawie bez przytomności, wujek Mirek sięgnął mu za połę marynarki i wyciągnął to, co wcześniej zamierzał wyjąć Waldemar, czyli glocka.

– Panie Mirku, proszę wezwać policję. – Wuefista ukląkł jednym kolaniem na klacie Waldemara, który w tym momencie zrozumiał, że nie ma już szans na poderwanie pięknej nauczycielki. Tymczasem Wojtek doskoczył do Piotrka i razem ukryli się za plecami wychowawczyni. Piotrek spojrzał na kolegę z wdzięcznością.

– Dzięki.

Kiedy pani Weronika wyprowadziła ich już z szatni, w której trzech mężczyzn czekało na przybycie policji, Piotrek raz jeszcze zapewnił Wojtkę, że na niego nie naskarzył, na co Wojtek kiwnął tylko głową i stwierdził, że teraz już jest o tym przekonany.

Tymczasem na plebanii zjawili się technicy podesłani przez Talaka, na czele z Basią. Zwłoki księdza Janusza zostały odcięte i spakowane do plastikowego worka, który teraz wynosili z poddasza pracownicy lokalnego zakładu pogrzebowego. Uwagę Kaszowskiego zwróciły naszywki na kieszonkach ich marynarek, na których widoczne było logo zakładu „Lewiatan”. Na górę wszedł tymczasem zasapany Rachoń.

– Nie możemy na razie ustalić personaliów tego kulawego – aspirant dopchał się do Kaszowskiego – w ogóle mam problem z dogadaniem się tutaj z kimkolwiek, wszyscy, z którymi rozmawiam, udają chyba opóźnionych

w rozwoju. Nikt nic nie wie, nikt nic nie rozumie...

– Co z gosposią? – Kaszowski nie miał czasu na słuchanie zbyt długich wywodów.

– Z gosposią? – Rachoń chwilę się zastanowił. – No, z gosposią można gadać, tylko też nie wiem, bo ona jakby coś z facetami ma chyba, jakoś strasznie dziwnie na mnie patrzyła, więc nie wiem.

– To może ja porozmawiam. – Na poddasze weszła Joanna, a tuż za nią Czerwiński, który od razu zerknął na szefa w nieco wylęknionym oczekiwaniu na jego reakcję. Kaszowski nie ukrywał zaskoczenia, ale też nie wydawał się szczególnie zły, co Młody przyjął z wyraźną ulgą.

– Myślałem, że pani to już raczej w tych archiwaliach będzie gmerać?

– W zasadzie będę gmerać, ale byliśmy dziś umówieni, pana nie było, pan Jacek... – Joanna odwróciła się w kierunku Czerwińskiego, uświadamiając sobie przy okazji, że potraktowała go trochę przedmiotowo – pan Jacek jechał, nie chciał mi nic powiedzieć, ale go przymusiłam, i jestem, jak panowie to nazywacie, w terenie.

– Przymusiła pani Jacka? – Kaszowski uśmiechnął się trochę ironicznie, ale bardziej z ubawieniem. – Zgaduję w takim razie, że zna pani też już tło sprawy.

– Z grubsza. – Joanna za nic nie chciała pogarszać sytuacji Młodego.

– Czyli tak jak my wszyscy. Dobrze, niech pani spróbuje z nią porozmawiać. Wygląda na to, że jeśli ktoś w ogóle może nam tu coś powiedzieć, to tylko ona.

Rachoń już miał zabrać Joannę do kuchni, w której umieścił roztrzęsioną panią Łucję, kiedy pojawiła się Basia. Panie przywitały się skinieniem głowy, dało się zauważyć, że ich relacje są poprawne, ale nieszczególnie ciepłe.

– Będziemy się zwijać – zakomunikowała Basia Kaszowskiemu.

– Macie coś?

– Na razie na podstawie wstępnych oględzin nie stwierdziłam udziału osób trzecich, zobaczymy, co wykaże sekcja. Jedyne, co trochę mnie dziwi, to to pomieszczenie, ta weranda.

Kaszowski nigdy nie lekcewał intuicji Basi, a właściwie kiedyś raz ją zlekcewał i przez to ujeli pewnego mordercę miesiąc później, niż mogli. Niestety, w ciągu tego miesiąca mężczyzna zdążył zabić jeszcze jedną kobietę. Od tego czasu Kaszowski słuchał Basi nawet wtedy, gdy jej pomysły i przeczucia wydawały się całkowicie z kosmosu. Z drugiej strony wszystko przecież było kosmosem, a fakt, że niektóre kobiety pozostawały z tym kosmosem w lepszym kontakcie, trzeba było po prostu zaakceptować. Wielu mężczyzn miało z tym problem, Kaszowski też kiedyś do nich należał, ale życie uczy, a uczyć się warto, szczególnie jeśli za pomocą tej nauki można skuteczniej ratować ludziom życie. Z wiekiem, a przede wszystkim wraz z pojawianiem się nowych doświadczeń Kaszowski w ogóle pokorniał, przy czym nie polegało to na akceptowaniu zarzucanych mu przewin, a raczej na powolnym wygaszaniu w sobie zarozumiałości i próżności pojmowanej głównie jako poczucie wszechwiedzy i wszechmocy.

– Co ta weranda?

– Czy ja wiem... Całe poddasze jest jednym wielkim śmietniskiem, wszędzie brud, kurz i bałagan, a ta weranda nagle jakaś taka wyglancowana, że z podłogi można jeść. Jedyne ślady na podłodze należą do ciebie, lekarza i tego całego Rachonia. Nie ma śladów butów księdza, który chyba musiał jakoś tu dojść, żeby się powiesić.

Joanna weszła do kuchni, do której doprowadził ją aspirant Rachoń. Pani Łucja stała tyłem do wejścia i wpatrywała się w okno, za którym nie działo się nic ciekawego. Mieszkańcy czekający na rozwój wypadków znajdowali się po drugiej stronie plebanii, na placyku przed wejściem. Tutaj był tylko las i może ptaki, ale ptaków przeważnie nie widać, szczególnie gdy ktoś wypatruje ich spojrzeniem niewidzących oczu.

– Pani Łucjo... – Gospośia odwróciła się od okna głównie dlatego, że zaskoczył ją kobiecy głos. Do tej pory, odkąd przyjechali pierwsi policjanci, odzywali się do niej wyłącznie mężczyźni, a ona, zgodnie z tym, co powiedział Rachoń, mężczyźni nie darzyła zaufaniem. – Nazywam się Joanna Majewska, jestem komisarzem policji i chciałabym z panią zamienić kilka

słów.

Kiedy tylko Łucja się do niej odwróciła, Joanna wiedziała, że ta kobieta zna odpowiedź na wszystkie pytania, które chciałaby jej zadać, i prawdopodobnie również na wiele innych, których nigdy jej nie zada. Wiedziała też, że wydobyć z niej owych odpowiedzi będzie niezwykle trudnym zadaniem.

– Napije się pani kawy?

Joanna się uśmiechnęła, bo przyszło jej do głowy, że zdecydowanie najlepszym sposobem na to, żeby nie odpowiadać na pytania, jest zadawanie własnych. Kiwnęła głową, a Łucja podeszła do pieca kaflowego, zdjęła kilka fajerek i ustawiła na ogniu czajnik. Woda musiała być niedawno grzana, bo z czajnika dobył się niemal natychmiast charakterystyczny dźwięk ni to syczenia, ni to bulgotania.

– Tylko że u mnie tylko zalewajka, kawa po turecku, espresso pani nie zrobię.

Gospoia księdza, o wyglądzie doktorantki i dziewczyny z dobrego domu, w siole wielkości znaczka pocztowego, w którym mieszkają dziwni milczący ludzie i w którym ksiądz powiesił się na wysprzątej na glanc werandzie, z żalem poinformowała ją, że nie robi jej espresso, wyraźnie przy tym podkreślając podwójne „s”. Wszystko to było bardzo, bardzo dziwne.

– Przeżyję jakoś. – Joanna przyglądała się pięknym dłoniom pianistki, które teraz sypały jej kawę z blaszanego pudełka do szklanki w plastikowym koszyczku. – Długo pani pracowała u księdza Janusza?

– Jakiś czas.

Z czajnika zaczęła się wydobywać para.

– A skąd pani się tu w ogóle wzięła? – Joanna postanowiła zaryzykować.

– Długo by opowiadać.

Łucja zalała napar i przyglądała się teraz bezwiednie, jak na powierzchni powstają kawowe gejzery. Joanna zastanawiała się, o czym myśli ta kobieta, czy o kawie, czy o tym, skąd się tu wzięła, czy może o czymś jeszcze zupełnie innym.

– Mam czas.

– Ale ja nie mam siły. – Łucja przeniosła kawę na stolik, przy którym zdążyła już usiąść Joanna, i spojrzała jej nagle prosto w oczy.

– Rozumiem. – Joanna tak naprawdę z każdą chwilą rozumiała coraz mniej, ale czuła, że jeśli naciśnie choćby odrobinę mocniej, to Łucja zasklepi się tak bardzo, że już nigdy nie uda jej się nic z niej wycisnąć. – A ma pani może jakieś... nie wiem... podejrzenie, przypuszczenie, co tu zaszło ostatniej nocy?

– Co zaszło? – Łucja nagle przybrała inny, jakby bardziej impertynencki ton, który zupełnie do niej nie pasował. – A co miało zajść? Ksiądz się powiesił, tyle zaszło.

Joanna nie spieszyła się z kolejnymi pytaniami, wiedziała, że Łucja zaczyna wchodzić na poziom bardziej emocjonalny i za chwilę być może pięknie i powie coś, co rzuci nowe światło na sprawę. Wypiła łyk kawy, parząc sobie przy tym usta i podniebienie.

– A dlaczego się powiesił?

Łucja wróciła do pieca, zdjęła czajnik, założyła z powrotem fajerki i odpowiedziała, odwrócona plecami do policjantki:

– To jest straszne miejsce.

Joanna nie naciskała, po chwili gospościa wróciła do stolika, usiadła naprzeciwko i ciągnęła, wciąż nie patrząc jej w oczy:

– Zanim tu przyjechałam, kilka lat temu, ćpałam, byłam na wykończeniu, było strasznie, ale jak sobie teraz o tym wszystkim myślę, to wydaje mi się, że lepiej było tam zostać.

Łucja zamilkła, tak jakby chciała zaczerpnąć powietrza, a Joannie, która pracowała kiedyś z narkomanami, ta wypowiedź uświadomiła, że skoro Łucja wolała tamto, to to musiało być rzeczywiście o wiele gorsze.

– Wiemy, że ksiądz ostatnio kogoś spowiadał. – Joanna postanowiła pchnąć rozmowę w kierunku, z którego miała nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej. – Domyślamy się, kto to mógł być, ale potrzebujemy potwierdzenia.

Joanna blefowała, ponieważ na tym etapie śledztwa nie mieli oczywiście

pojęcia, kto to mógł być. Blefowanie było jednym z elementów jej pracy, w tych okolicznościach być może najodpowiedniejszym, ale to już zupełnie inna sprawa.

– On.

– On?

Joanna zrozumiała, że jest o krok od wyjaśnienia sprawy, wystarczyła tylko jeszcze chwila cierpliwości. W tym momencie usłyszała głośny brzęk tłuczonego szkła i do kuchni wpadł sporych rozmiarów kamień. Przez moment obie z Łucją wpatrywały się w toczącą się po podłodze bryłę, po czym Joanna poderwała się z krzesła, odruchowo sięgnęła do kabury i doskoczyła do okna. Zobaczyła uciekającego kuśtykającym truchtem mężczyznę w ciemnej bluzie z kapturem. Do kuchni wpadł Kaszowski, a po chwili też Młody.

– Co się stało?!

Joanna wskazała na leżący na podłodze kamień, następnie zarośła za oknem.

– Kuternoga.

Mężczyźni wybiegli z kuchni i po chwili pojawili się za oknem, biegnąc w kierunku, w którym oddalił się mężczyzna w bluzie. Joanna obserwowała ich jeszcze chwilę, po czym schowała broń z powrotem do kabury przypiętej do paska.

– Nigdy nie spowiadał. – Łucja rzuciła jakby z zaświatów.

– Słucham?

– Ksiądz Janusz. Nie spowiadał.

Kaszowski jako pierwszy wpadł na teren gospodarstwa znajdującego się za zagajnikiem, w którym znikł kuternoga. Po chwili nadbiegli Młody i aspirant Rachoń. Na obojgu składały się trzy zabudowania, dwa gospodarcze i jedno wyglądające na dom mieszkalny. Kaszowski ruszył w stronę tego ostatniego, tamtych wskazał, żeby sprawdzili pozostałe. W pierwszym odruchu chciał od razu wejść do środka, ale zmitygował się i zapukał. Po upływie kilkunastu

sekund drzwi się otworzyły i stanęła w nich piękna młoda wiejska blondynka, która nie wiedzieć czemu skojarzyła mu się z Marusią z *Czterech pancernych*.

– Dzień dobry, policja, szukam mężczyzny w czarnej bluzie, kulejącego, przed chwilą zniknął gdzieś tutaj... – Kaszowski zorientował się, że może mówić długo, a to i tak nie przyniesie żadnego efektu, bo klasyczna Słowianka nic mu nie powie. – Mogę wejść, żeby się rozejrzeć?

Dziewczyna w milczeniu odsunęła się na bok, przepuszczając Kaszowskiego. Ten, mijając ją bardzo blisko, pomyślał przez chwilę o czymś zupełnie innym niż szukanie za szafami wiejskiego kuternogi.

Wnętrze domu wyglądało jak ze skansenu ziemi mazowieckiej albo innej, może kurpiowskiej. Na pobielonych ścianach wisiało wiele ozdób, w kuchni, podobnie jak na plebanii, stał kafłowy piec, w sypialni na wielkim łóżku z rzeźbionym wezłowiem leżała ogromnych rozmiarów pierzyna przykryta kolorowym kilimem. Wszędzie panował porządek i nigdzie nie było widać kuternogi. Po chwili do Kaszowskiego dołączył Rachoń. Tymczasem aspirant Czerwiński próbował za wszelką cenę wydobyć jakieś informacje od dziewczyny, która postanowiła przeczekać najście w kuchni. Młody nie ustawał w wysiłkach, nawet wtedy, gdy już zupełnie stracił złudzenia, że uda mu się czegoś dowiedzieć. W końcu do kuchni dotarł też Kaszowski i Rachoń, którzy nie znaleźli w domu niczego podejrzanego. Wszyscy policjanci spojrzeli po sobie. Tamci dwaj ruszyli do wyjścia, Młody próbował jeszcze przez chwilę mówić coś do pięknej Słowianki, ale w końcu też wyszedł, wywołany przez Kaszowskiego.

– No i co? – zagaił Rachoń raczej pro forma, bo znał odpowiedź.

– I nic?

– Nie do końca nic – powiedział Kaszowski, a pozostali spojrzeli na niego.

– Byliście kiedykolwiek w wiejskim obejściu, w którym nie byłoby ani jednego świętego obrazka, ani krzyża, ani nic?

– Rzeczywiście. – Rachonia olśniło.

– Niech pan zajrzy do innych chałup. – Kaszowski powoli tracił cierpliwość dla nieudolności Rachonia. – I niech pan w końcu znajdzie tego

kuternogę. On jest stąd, a nie z księżyca.

Od strony zagajnika, za którym znajdowała się plebania, nadeszła tymczasem Joanna. Jacek od razu zwrócił uwagę, że jest podenerwowana.

– Macie go?

Młody pokręcił głową.

– Muszę jechać do Warszawy. Tu nie ma zasięgu, ale dostałam powiadomienie, że dzwonił do mnie kilkakrotnie ojciec i opiekunka Piotrka. Niepokoję się.

– Oczywiście, zaraz jedziemy.

Młody najwyraźniej ze zwyczajnego kolegi przedzierzgnął się w kolegę opiekuńczego. Kaszowski musiał to zauważyć i, niestety, musiał to również skomentować.

– Oczywiście. Przywieź mnie, odwieź mnie.

Komisarz był święcie przekonany, że jego uszczypliwość wypływa z wciąż nie do końca opanowanej niechęci do Joanny. Tymczasem tak naprawdę w ten sposób przejawiało się u niego zainteresowanie jej osobą, a do tego delikatna zazdrość samca alfa. Spośród wszystkich osób uczestniczących w tej psychodramie tylko jedna zinterpretowała jego zachowanie poprawnie. Była to rzecz jasna sama Joanna – skwitowała docinek Kaszowskiego delikatnym uśmiechem, który nie umknął nikomu.

Waldemar opuścił komisariat osiem godzin od zatrzymania. Był wściekły, bo, po pierwsze, został upokorzony, a po drugie, odebrano mu broń, którą posiadał nielegalnie, co dla osoby na zwolnieniu warunkowym mogło się źle skończyć. Miał jednak nadzieję, że skoro w ogóle został wypuszczony bez sankcji prokuratorskiej, to najpewniej ktoś mu to wypuszczenie załatwił, więc może uda się jakoś wyślizgać z tej prawnie mocno wątpliwej sytuacji. Gdy mijał parkującą przy chodniku skodę superb, otworzyły się drzwi i sprawa się wyjaśniła.

– Wsiadaj.

Waldemar zajrzał do wnętrza auta i z przykrością skonstatował, że wpatrujący się w niego inspektor Zieliński wygląda groźniej od prokuratora, który wysyłałby go właśnie teraz na Białołękę. Waldemar wszedł i zamknął za sobą drzwi. Auto ruszyło.

– Złamał ci nos? – Zieliński uśmiechnął się z troską.

– Dzięki, że mnie pan stamtąd wyciągnął. – Waldemar też się uśmiechnął, próbując na szybko zbudować kumpelską relację.

– Złamał ci?

– Nie. – Waldemar pokręcił głową szczęśliwy, że może się podzielić dobrą nowiną.

Uderzenie nadeszło tak szybko, że nie był nawet pewien, którą ręką zadano cios. Nieodłączne ray-bany przeleciały do przodu aż na siedzenie obok kierowcy, głowa uderzyła w boczną szybę z taką siłą, że przez moment czekał na brzęk tłuczonego szkła. Sekundę później złapał się za nos, z którego krew siknęła prosto na skórzaną kurtkę i znoszony jasny T-shirt.

– No to ja ci złamałem. – Zieliński już się nie uśmiechał. – Jesteś debilem?

Uświadomiwszy sobie, że na tak zadane pytanie są tylko dwie odpowiedzi, z których niestety obie są złe, Waldemar postanowił milczeć.

– Po co tam polazłeś?

– Mówił pan, że trzeba ją trochę ustawić, bo się ociąga, poza tym, żeby z czymś nam nie wyskoczyła... – Waldek mówił, ściskając nos, żeby nie zafajdać ubrania, a co ważniejsze, tapicerki służbowej skody inspektora. – Chciałem go przytrzymać kilka godzin, wziąć na lody, potem bym odstawił. Myślałem, że...

– Nie myśl. – Zieliński popatrzył chwilę z politowaniem na Waldemara, po czym klepnął w ramię kierowcę. – Zatrzymaj.

Auto stanęło gwałtownie przy krawężniku.

– Jedna jedyna prośba. – Inspektor mówił, wyglądając na ulicę przez szybę po swojej stronie. Dużo bardziej absorbował go teraz widok przechodzącej blondynki w mini i sztucznym krótkim futerku niż pokiereszowana twarz Waldka. – Nie myśl.

Waldemar jeszcze przez moment patrzył na Zielińskiego i zastanawiał się, czy bardziej nienawidzi jego czy siebie. W końcu otworzył drzwi i wysiadł bez słowa.

Joanną na przemian miało przerażenie i wściekłość. Po rozmowie z wychowawczynią Piotrka pojechała prosto na komisariat, na którym poinformowano ją, że Waldemar został zwolniony bez postawienia zarzutów, bo taki nadszedł prikaz z góry. Kto był ową górą, nikt w komisariacie na Wilczej nie mógł albo nie chciał jej powiedzieć. Joanna poprosiła Zielińskiego o pilne spotkanie, a jadąc do niego, odebrała telefon od znajomej z laboratorium kryminalistycznego w Rzeszowie. Tydzień temu przekazała jej próbkę białego proszku, który znalazła w szufladzie biurka Kaszowskiego. W Rzeszowie, gdzie pracowała jej przyjaciółka jeszcze z czasów studiów, miała szansę uzyskać wyniki wyłącznie do swojej wiadomości. Zgodnie z jej przypuszczeniami biały proszek okazał się kokainą, ale – co dosyć ją zaskoczyło – była to kokaina o przeszło pięćdziesięcioprocentowej czystości. Równie interesujące okazały się domieszki, na które w tym wypadku nie składały się kreda i proszek dentystyczny, ale metamfetamina i kodeina. Słowem była to prawdopodobnie najmocniejsza kokaina, jaką kiedykolwiek widział polski rynek.

Zieliński przyjął Joannę uprzejmiej niż zwykle. Na początku spotkania, co nie zdarzało się właściwie nigdy, zaproponował jej kawę, której Joanna odmówiła.

– Na razie próbujemy się zorientować, dlaczego on w ogóle został zwolniony z tej komendy. Osobiście podejrzewam, że jest wykorzystywany przez którąś ze służb, może przez wojskowych, może przez ABW. Jeśli tak jest rzeczywiście, to trudno będzie nam coś z tego wyklarować, ale nie ustajemy w wysiłkach.

Gdy mówił, Joanna przyglądała się jego ustom. Właściwie nie słuchała całej tej mowy-trawy, którą wylewał na nią od kilku minut. Myślała raczej o tym, że tak naprawdę, żeby ocenić, czy ktoś kłamie, nie potrzeba do tego angażować złożonej elektroniki, nie trzeba badać, czy się poci, czy

powiększają mu się źrenice, nie trzeba wchodzić w głąb fal mózgowych. Wystarczy po prostu wnikliwie obserwować jego usta. Jeśli do złudzenia przypominają wijące się robaki, to obserwowany kłamie. Takie to proste.

– A jak tam Kaszowski? – Zieliński chyba się zorientował, że Joanna go nie słucha, ale nie miało to dla niego większego znaczenia. Powiedział, co miał powiedzieć, a czy ona mu wierzy, czy śledzi jego tok myślenia, było mu obojętne.

– Dobrze. – Odpowiedź Joanny była chłodna i trochę celowo bezsensowna.

– Wiem, że zaangażowała się pani w jakieś bieżące dochodzenie.

– Pracuję na jego zaufanie.

– A on prawdopodobnie na pani.

– On prawdopodobnie ma to gdzieś.

Joanna zupełnie nie odczuwała potrzeby dostosowywania się do potrzeb Zielińskiego, miała je dziś w głębokim poważaniu. Inspektor to zauważył i choć nie przejął się przesadnie, poczuł się jednak w obowiązku przypomnieć jej choćby pro forma, kto gdzie stoi i o co w tym wszystkim chodzi.

– Tak, proszę tylko pamiętać, że najważniejsze jest w tym wszystkim, żebyśmy to my mieli do pani pełne zaufanie. – Zieliński wykonał jedno ze swoich klasycznych dramaturgicznych zawieszek, które na Joannie nie robiły już żadnego wrażenia. – Czy pani mnie rozumie?

– Czy pan mnie straszy?

Odpowiedź nadeszła tak szybko, jakby była przygotowana zawczasu. Może zresztą była, bo w końcu wszystko, co do tej pory robił Zieliński, stanowiło próbę zastraszenia, więc Joanna miała wiele czasu na to, żeby się przygotować. Teraz pomyślała, że właściwie może nawet trudno mieć mu to za złe, Zieliński jest w końcu nieodrodnym dzieckiem zamierchłej epoki, w której wszystkie relacje budowano na strachu. Taka była widać wtedy moda, choć na przykład jego rówieśnik Kaszowski, który też łapał się jeszcze na tamte czasy, nie straszył. Jego główny instrument do obsługi świata

stanowił dla odmiany cynizm.

– Broń Boże. – I jeszcze ten Bóg w tym wszystkim! Mentalność obywateli tego kraju jest nim wręcz przesiąknięta, i to nawet takich obywateli jak ten zapiekły, wojujący ateista. – Ja przedstawiam pani tylko realia. Kiedy mówię o nas, to nie mówię przecież o sobie, tylko o instytucji. Instytucji, dla której pani pracuje i która niejako przy okazji stwarza dla pani pewne, powiedzmy, pracownicze gwarancje, ochrania panią. Jeśli pani zawiedzie instytucję, to ja, choćbym nie wiem, jak chciał, nie będę w stanie nic zrobić.

– Orwell oczywiście. – Joanna powiedziała to cicho i raczej do siebie.

– Słucham?

– Nic, nic, powiedziałam, że oczywiście. Czyli mówi pan, że mnie ochraniacie? – Teraz Joanna uśmiechnęła się ironicznie.

– Tak, a tamto to był incydent, który więcej się nie powtórzy.

– O ile nie zawiodę instytucji.

– Tak to działa. – Zieliński skończył część umoralniającą wykładu, teraz mógł wrócić do konkretów. Podsunął Joannie teczkę, która do tej pory leżała przed nim. – To jest ta lista kontaktów Kaszowskiego, o której mówiłem. Chciałbym, żeby pani ją zweryfikowała. Proszę się przyjrzeć tym ludziom i spróbować dojść, co tak naprawdę łączy z nimi komisarza.

Joanna otworzyła teczkę. W środku znalazła dwie karty osobowe i dwa zdjęcia mężczyzn, którzy wyglądali na oprychów.

– Tylko dwóch? – zdziwiła się.

– Tym łatwiej powinno pani pójść.

Kiedy tylko Joanna dotarła do gabinetu i usiadła z zamiarem odpoczęcia po męczących przygodach mijającego dnia, nieomal natychmiast w drzwiach pojawił się podekscytowany aspirant Czerwiński.

– Dobrze, że pani już jest.

– Może to pana zaskoczy, ale też się cieszę.

– Nie ma jak w domu? – Młody się uśmiechnął, ale szybko spoważniał, bo przyszło mu do głowy, że może przypadkiem posunął się w spoufaleniu

o krok za daleko.

– Bez przesady – odpowiedziała Joanna mało sympatycznie, potwierdzając tym samym jego obawy. Na szczęście zaraz się rozpogodziła: – Ale w robocie też może być przyjemnie.

– No właśnie, ja w tej sprawie, to znaczy w sprawie roboty. Pojawiły się nowe okoliczności. Za godzinę mają przywieźć z Tatarów tego kuternogę i tę gosposię, z którą pani rozmawiała, i jest prośba, żeby pani z nią jeszcze raz...

– Jakie okoliczności?

– Na sekcji okazało się, że ksiądz ma całe poharatane plecy, jakby go wychłostali czy cholera wie co.

– A kim jest ten kuternoga? Udało się coś ustalić?

– To jakiś tamtejszy bezdomny, mieszka w opuszczonej ruderze pod lasem.

– Może to jest ten „on”...

– Ten od spowiedzi?

Joanna kiwnęła głową.

– Dobrze. Jestem do dyspozycji – powiedziała.

Młody ruszył do drzwi, a Joanna pomyślała, że nie da rady tego wszystkiego nieść dłużej wyłącznie na własnych barkach.

– Panie Jacku...?

Czerwiński zatrzymał się skwapliwie, bo każdy kontakt z tą kobietą z jakiegoś powodu, którego na razie nie był w stanie dokładnie nazwać, sprawiał mu przyjemność.

– Pytał mnie pan wcześniej o mężczyznę z centrum handlowego. – Młody pokiwał głową, robiło się zadziwiająco ciekawie. – Mam prośbę, tylko to naprawdę musi zostać między nami. Da radę?

– Oczywiście – wypalił Jacek bez namysłu, odrobinę zniechęcając Joannę. Za daleko już jednak zabrnęła.

– Wczoraj na komisariat na Wilczą przywieźli właśnie tego człowieka. Zatrzymali go po awanturze w szkole, kiedy próbował porwać mojego syna.

Miał przy sobie broń, i to bez zezwolenia, bo jest na warunkowym. Może uda się panu dowiedzieć, dlaczego został prawie natychmiast zwolniony do domu? Kto się za nim wstawił?

Jacek był wniebowzięty. Po pierwsze, dostał właśnie odpowiedzialne zadanie wymagające sporego kunsztu detektywistycznego, a po drugie, i może ważniejsze, zadanie to powierzyła mu kobieta, która z każdą chwilą podobała mu się coraz bardziej.

– Spróbuję... to znaczy, mówiąc szczerze, już udało mi się trochę o nim dowiedzieć, wiem na przykład, że musi współpracować z którąś z agencji wywiadowczych, bo numery jego auta nie figurują w żadnym rejestrze.

Joanna nie zdziwiła się przesadnie. Domyślała się, że ten przyglądający się jej przy każdej możliwej okazji młodzieniec zaczął się kręcić wokół jej spraw. Budujące było to, że najbardziej zafrapowała go sprawa, która zagrażała jej bezpieczeństwu.

– To jest jakiś bardzo dziwny koleś.

Joanna nie chciała na obecnym etapie zdradzać, że wie dokładnie, kim jest ten koleś i jak bardzo jest dziwny, kiwnęła więc tylko głową, potwierdzając swoje zainteresowanie.

– Nie wiem na razie, jak się nazywa, ale wkrótce się dowiem.

– Ja wiem, jak on się nazywa, panie Jacku.

– Tak? – Jacek poczuł, że gdyby Joanna bardziej mu zaufała, mogłaby mu zaoszczędzić sporo wysiłku i czasu, dzieląc się swoją wiedzą, ale postanowił nie naciskać. Jeśli będzie chciała, jeśli uzna, że może mu już w pełni zaufać, wtedy powie więcej.

– Tak... – Joanna swoim uśmiechem dała znać, że może jeszcze nie nastąpi to teraz, ale chwila, kiedy bardziej się przed nim otworzy, nie jest odległa. – Zaraz do was dołączę.

Joanna weszła do pokoju przesłuchań razem z panią Łucją. Zależało jej, żeby od początku zniwelować wrażenie, że kobieta jest o cokolwiek podejrzana i teraz będzie przesłuchiwana jedynie po to, żeby przyznać się do winy.

Doświadczenie zawodowe podpowiadało jej, że jeśli Łucja się do niej zrazi, albo choćby nawet do samego miejsca, w którym się właśnie znalazła, to zamknie się w sobie i nic nie zdołają z niej wyciągnąć. Łucja rozejrzała się po szarych ścianach sali z małym zakratowanym okienkiem pod sufitem. Również żarówka osadzona w oprawce nad ich głowami zamknięta była ze względów bezpieczeństwa w małej zakratowanej osłonce, a stół i krzesła przykręcono do podłogi.

– Pani Łucjo, przepraszam za to mało przyjazne otoczenie, ale tu przynajmniej nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Kobieta skinęła głową, ale widać było, że argument o prywatności tego miejsca jej nie przekonał. Jakby na potwierdzenie swojej nieufności zerknęła w kierunku lustra fenickiego.

– Tam nikogo w tej chwili nie ma. Jesteśmy tu naprawdę same. Jeśli chce pani sprawdzić, możemy przejść do pomieszczenia obok.

Łucja pokręciła głową i usiadła na jednym z dwóch krzesel. Joanna usiadła naprzeciwko kobiety, następnie położyła na stoliku teczkę, w której miała zdjęcia z sekcji księdza, i już zaczęła rozwiązywać tasiemkę, którą teczka była związana, gdy się zawahała.

– Pani Łucjo, mam tutaj zdjęcia, ale myślę, że pani akurat powinnam oszczędzić drastycznych obrazów. – Przez chwilę czekała na reakcję ze strony kobiety. Jedynym, czego się doczekała, był bardzo krótki kontakt wzrokowy. Ale nawet ten krótki kontakt i lęk obecny w spojrzeniu gospośki utwierdził ją w przekonaniu, że rzeczywiście lepiej oszczędzić pani Łucji dodatkowych wrażeń.

– Opowiem pani własnymi słowami. W czasie sekcji księdza...

– Janusza – wtrąciła niespodziewanie Łucja. Joannie przemknęło przez głowę, że ten wtręt mógł oznaczać, iż Łucja pozostawała z księdzem w bliższych relacjach, że pracowała nie tyle u księdza, co u Janusza z całą ewentualną konsekwencją tej różnicy.

– Tak, w czasie sekcji u księdza Janusza lekarze stwierdzili obrażenia, które wskazują na to, że ksiądz prawdopodobnie był bity... być może został wychłostany. Czy domyśla się pani, kto mógł się tego dopuścić?

Kilka pokoi dalej Kaszowski prowadził inne przesłuchanie, w przeciwieństwie do Joanny nie okazując ani odrobiny empatii. Kulawy mężczyzna, któremu udało się wcześniej kilkakrotnie zbiec, w końcu został namierzony przez Rachonia, i teraz siedział na krześle przy stoliku. Ustawiona pod określonym kątem żarówka oślepiła go tak, by nie mógł się zorientować, gdzie znajduje się w danym momencie Kaszowski krążący wokół niego jak lew wokół antylopy. Nagle na biurku wylądowało zdjęcie, na którym widać było zbliżenie pleców księdza. Mężczyzna odskoczył w przestרחu.

– Wiesz, co to jest?

Przesłuchiwany zamarł. Nie był w stanie zebrać myśli, nie wiedział, co ma powiedzieć, od czego zacząć, i dlatego, choć ogromnie chciał już wszystko z siebie wyrzucić, uporczywie milczał.

– To są plecy twojego proboszcza. – Kaszowski pochylił się nagle nad mężczyzną, tak że na moment przesłonił rażące go w oczy światło lampy. – Co mu zrobiłeś?!

Kulawy pokręcił głową, co nie stanowiło odpowiedzi na żadne z pytań Kaszowskiego i rozeźliło go jeszcze bardziej.

Gospoia tymczasem wciąż siedziała naprzeciw Joanny, jej wzrok zawisł gdzieś w przestrzeni. Kontakt, który wcześniej prawie udało się nawiązać, zdawał się teraz na powrót zanikać.

– Pani Łucjo, nie chodzi o to, żeby pani czuła się wystraszona. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale wydaje mi się, że naprawdę byłoby lepiej, gdyby mi pani cokolwiek powiedziała.

Łucja zaczęła się kiwać miarowo na krześle, jakby oprócz innych psychicznych traum miała też chorobę sierocą. Joanna powoli godziła się już z tym, że przynajmniej dziś i w tych okolicznościach nie uda jej się nic z kobiety wydobyć, kiedy nagle stało się coś dziwnego. Łucja sięgnęła ręką do dekoltu i zaczęła powoli odpinać guziki swojej białej bluzki. Gdy wreszcie rozpięła ostatni z nich, zsunęła bluzkę z ramion, ukazując

oniemiałej Joannie nagie piersi. Następnie odłożyła bluzkę na stół, wstała i powoli się odwróciła. Całe jej plecy pokrywały blizny na przemian z niezagojonymi jeszcze do końca nacięciami pochodzącymi od pejcza, nahaja czy bicza. Joanna na moment zamarła, kiedy zaś odzyskała zdolność racjonalnego myślenia, wstała, podniosła ze stołu bluzkę, podeszła do kobiety i okryła jej chude ramiona. Wtedy Łucja obróciła się z powrotem do niej, patrzyła chwilę, a z jej oczu popłynęły nieme łzy.

– Umyłam podłogę, bo tam taka plama się zrobiła, jak przyszłam rano, była ta plama i to nie mogło tak być, żeby ksiądz i ta plama...

Teraz Łucja zaczęła szlochać, Joanna podeszła do niej i przytuliła ją najmocniej, jak się dało. Chwilę stały w bezruchu.

– Mój Boże, pani Łucjo, co tam się w ogóle stało?

Gosposia po chwili przestała płakać, włożyła bluzkę i zapięła ją bardzo pieczołowicie, następnie usiadła z powrotem na krześle. Joanna wiedziała, że kobieta przynajmniej na razie nic więcej już jej nie powie.

U kuternogi inicjatywę przejął Jacek. W pokoju za lustrem fenickim zdążyła się już zebrać spora widownia. Do obecnych Sobeckiego, Talaka i Marka po chwili dołączyła też Joanna. Po drugiej stronie szyby Młody czuł dużą odpowiedzialność, a dodatkowo przeczuwał, że przygląda mu się kobieta, od której z każdą chwilą coraz trudniej było mu oderwać myśli.

– Panie Nowak... – Jacek zgasił żarówkę rażącą kuternogę w oczy i usiadł naprzeciw niego. – Tak się pan nazywa?

Mężczyzna nie potwierdził, ale widać było, że wyłączenie światła przyniosło mu sporą ulgę.

– Nieważne, jak się pan nazywa. Ważne, że musi pan zacząć mówić. W innym wypadku wróci tamten kolega, a on ma wrzody i jest bardzo nerwowy.

W pomieszczeniu za szybą Joanna spojrzała na Kaszowskiego i uśmiechnęła się delikatnie.

– Poza tym musi pan mówić, bo jak gosposia powie nam zbyt wiele, to

może już być za późno. Rozumie mnie pan?

Joanna, nie pytając nikogo o zgodę, pochyliła się nad interkomem i nacisnęła guzik.

– Panie aspirancie, niech pan poprosi pana Nowaka, żeby zdjął koszulę.

Zanim Jacek zdążył cokolwiek powiedzieć, mężczyzna, nie wstając nawet z krzesła, rozpiął flanelową koszulę w kratę i zsunął ją z ramion. Młody obszedł go od tyłu i wtedy zobaczył, że plecy mężczyzny pokrywało tak wiele szram, że właściwie składały się one na jedną wielką bliznę. Aspirant Czerwiński z wrażenia aż odwrócił głowę, po czym zerknął w stronę lustra fenickiego i skinął głową.

Kaszowski nie musiał się zbyt długo zastanawiać.

– Wracamy do Tatarów.

Kiedy kolumna samochodów policyjnych, w której skład wchodziło volvo komisarza, volkswagen transporter laboratorium kryminalistycznego z charakterystyczną ikoną mikroskopu na burcie i oznakowana toyota terenowa Rachonia, wjeżdżała do wsi, musiała na moment zjechać na bok, żeby na wąskim leśnym dukcie przepuścić czarnego passata z przyciemnianymi szybami. Czerwiński popatrzył zdziwiony na komisarza, w tym momencie nie było jednak czasu na kontrolę drogową. Najważniejsze było teraz, by jak najszybciej dotrzeć do wsi i dowiedzieć się, co się tam wydarzyło.

Na plebanii od razu dało się zauważyć, że ktoś tu był przed nimi. Nie dostrzegli wprawdzie wyraźnych śladów włamania, ale dla kogoś, kto odwiedził to miejsce wcześniej, a do tego miał zmysł śledczego, zmiany były widoczne gołym okiem.

– Szkoda, że nie zaplombowaliśmy – skomentował Młody.

– I tak by zerwali, jezuici nie przejmują się takimi drobiazgami.

– Jezuici?

– Masz coś do pisania?

Kaszowski wszedł do sypialni księdza Janusza, w której wszystko

wydawało się jakby delikatnie wytrącone z harmonii. Nawet materac znajdował się niby na miejscu, ale narzuta ułożona była niestarannie, a przecież gosposia Łucja nigdy nie ułożyłaby niestarannie narzuty. Młody wyjął z kieszeni komórkę.

– WE trzy sześć pięć osiem dziewięć. – Kaszowski przeglądał rzeczy w szufladach machinalnie i bez przekonania, że cokolwiek w nich znajdzie.

– Co to za numer?

– Rejestracja samochodu, który mijaliśmy przy wjeździe do wsi. – Kaszowski upewnił się, czy wywarł odpowiednie wrażenie na Młodym. – Sprawdź jak najszybciej. Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju. – Tutaj to nawet jak coś było, to już raczej tego nie ma. Za duży ruch się zrobił.

– Jeszcze mediów brakuje. Tylko nie byłoby za bardzo jak wywiadów zrobić, bo sami głuchoniemi. – Do dyskusji włączyła się krążąca również po mieszkaniu doktor Batke.

– Do telewizji na pewno by się odblokowali. – Młody rzucił żart, który nawet u Kaszowskiego wywołał chwilowy grymas uśmiechu.

W tym momencie do sypialni wpadł zdyszany aspirant Rachoń.

– Chodźcie, panowie, chyba coś mamy.

Na tyłach domu Rachoń i towarzyszący mu policjant z powiatowej znaleźli fragment niedawno odświeżonego muru. Mundurowy zdążył już zbić fragment tynku i wydobyć kilkanaście cegieł.

– Zdziwiło nas, że jest inny kolor, poza tym ktoś pokrył ścianę gipsem zamiast tynkiem i jak wysychało, to zaczęło pękać.

Rachoń chciał, zdaje się, błysnąć przed Kaszowskim zmysłem detektywistycznym i pokryć w ten sposób wcześniejszą indolencję. Komisarz jednak za bardzo go nie słuchał, wyciągnął rękę do mundurowego, który podał mu latarkę, i wsadził głowę między cegły.

– Panowie, a czy my mamy w ogóle jakieś papiery na te wszystkie działania tutaj?

Rachoń, dotknięty brakiem jakiegokolwiek reakcji ze strony kolegów z Warszawy, stał się nagle bardziej formalny. Młody usłyszał skrzypnięcie

otwieranej furtki i zobaczył Sobeckiego.

– Już mamy. – Wskazał Rachoniowi zbliżającego się prokuratora.

Tymczasem Kaszowski wyciągnął głowę z otworu, zerknął na Młodego i podał mu latarkę.

– Grubo. Można by tu chyba jakiś film grozy nakręcić.

Kiedy policjanci zburzyli pozostałą część zbudowanej prawdopodobnie na szybko przed kilkoma dniami ściany, do wnętrza dziwnej krypty w pierwszej kolejności weszli technicy z Basią Batke na czele. Dopiero po kilku minutach, gdy zakończono zbieranie śladów, do piwnicy weszli Kaszowski z Młodym i Joanna, która przyjechała na miejsce tym razem z prokuratorem Sobeckim. To, co zobaczyli w środku, przekroczyło ich najśmielsze oczekiwania.

Krypta dzieliła się na dwa pomieszczenia. W pierwszym pod ścianami stało kilka ławek. Z okuć w murze zwisały łańcuchy zakończone dwiema parami klamer służących prawdopodobnie do jednoczesnego zakuwania rąk i nóg. Wzdłuż ściany stał regał, na którego półkach zgromadzono pejcze i dziwne wianki wykonane z kolczastych gałęzi jeżyn. Zarówno na pejczach, jak i na owych namiastkach koron cierniowych widać było wyraźnie ślady zakrzepłej krwi. Kolejne pomieszczenie, do którego prowadził wąski, nisko sklepiony otwór, przedstawiało się jeszcze dziwniej i jeszcze dramatyczniej. Długie i wąskie, na ścianie w głębi miało specyficzny ołtarz, na który oprócz tradycyjnego kamiennego stołu ofiarnego składały się ustawione w rzędach czaszki zwierząt i symbole raczej satanistycznej niż chrześcijańskiej proveniencji. Była tu wyryta w kamieniu głowa kozła, odwrócony krzyż i hakenkreuz. Cały ołtarz zalewała mieszanka stearyny z dziesiątków świec, które wypełniały każdy fragment wolnej przestrzeni, i jakiejś czerwonej substancji, która na myśl przywodziła krew.

– Jeśli ta krew jest ludzka, to trup musiał się tu ścielić gęsto – powiedział Kaszowski do Basi.

– Nic nie mów. – Basia, choć w swojej karierze widziała już niejedno, nie mogła się otrząsnąć.

Wśród porozkładanych wokoło różnych przedmiotów, biblii, brewiarzy

i jakichś ksiąg okultystycznych uwagę Kaszowskiego zwrócił oprawny w skórę wolumin, w którym funkcję zakładki pełniło gęsie pióro. Komisarz włożył gumowe rękawiczki i zerknął pytająco na Basię.

– Sprawdzaliśmy, na tym akurat nie ma odcisków.

Kaszowski otworzył księgę, która okazała się gęsto zapisanym notesem. Przerzucił kilka stron i zagłębił się w lekturze. Im dłużej zaś czytał zapiski, tym bardziej był zdruzgotany ich treścią. Od strony ołtarza podszedł do niego Rachoń.

– Chyba tego miejsca szukaliśmy, co? – Aspirant najwyraźniej znów domagał się uznania.

– Chyba tak. Po powrocie do Warszawy zgłoszę komu trzeba pański trudny do przecenienia wkład w rozwiązanie tej sprawy.

Rachoń, który nie wyczuł ironii w głosie Kaszowskiego, wreszcie był usatysfakcjonowany. Tymczasem od strony wejścia do wąskiego pomieszczenia nadszedł Młody. On też był pod wrażeniem tego, co tu zastali, i to do tego stopnia, że idąc w kierunku Kaszowskiego, potknął się o jedną z ustawionych gęsto wąskich ławek i omal nie runął na podłogę.

– Ja pierdołę, gdzie my jesteśmy? – Powiódł wzrokiem po ścianach ozdobionych dziwnymi symbolami.

– W kaplicy.

– Jakiej kaplicy?

– Kaplicy księdza psychopaty. – Kaszowski czerpał teraz wiedzę również z notatnika, który czytał, świecąc sobie latarką.

– Sprawdziłem te numery.

Kaszowski oderwał się od lektury, bo pełna dramatyzmu przerwa, którą postanowił wprowadzić Jacek, trwała już trochę zbyt długo. Okazało się jednak, że Młody tak zapatrzył się na rysunki diabła i różnych symboli, którymi pokryte były ściany, że na moment zapomniał, o czym zaczął mówić.

– Sprawdził pan i co?

– Sprawdziłem – Młody wrócił do świata ludzi – i okazuje się, że

samochód jest zarejestrowany na kurię metropolitalną.

– Czy mnie to w ogóle dziwi? Zadzwoń do nich, niech kogoś przyślą, tylko nie jakiegoś ministranta, a kogoś, kto wie przynajmniej, co to była święta inkwizycja.

– Tutaj?

– Nie, tutaj już byli. Niech podjadą do komendy. Na razie zaprosź nieformalnie. Jak będą mieli problem, to powiedz, że wezwiemy ich oficjalnie i przy okazji zawiadomimy media.

Kaszowski uśmiechnął się i wrócił do lektury notatek sporządzonych najprawdopodobniej ręką księdza Janusza. Młody zerknął na wyświetlacz komórki, skonstatował, że w krypcie nie ma zasięgu, i ruszył do wyjścia.

– I zimnego doktora trzeba wezwać – dodał Kaszowski, wracając do lektury notatu. – Tu wszystko jest opisane. Trzeba będzie zrobić wykopki za wsią w zagajniku.

Młody wyszedł, a do Kaszowskiego podszedł prokurator Sobecki. On też wydawał się zafascynowany oglądanym miejscem.

– Ty, Marek, a my tu nie profanujemy czegoś przypadkiem?

– A okultyzm da się w ogóle sprofanować, Wiciu?

Sobecki wzruszył ramionami, podszedł do zalanego stearyną dziwnego ołtarza i zaczął obwąchiwać krwawe zacieki.

– Uważaj, bo się zarazisz wziewnie.

– Za późno – odrzekł Sobecki z ironicznym uśmiechem, ale oderwał się od czynności organoleptycznych i więcej do nich nie powrócił.

Tym razem wychowawczyni odprowadziła Piotrka pod same drzwi i puściła go dopiero, gdy od strony ulicy na teren szkoły wszedł siwy mężczyzna w eleganckiej tweedowej marynarce. Chłopiec rzucił się biegiem w kierunku dziadka, a kiedy wpadł na niego z rozpędem, ten skupił wszystkie siły i uniósł ukochanego wnuka ponad głowę. Wychowawczyni uśmiechnęła się i pomachała do nich, po czym wróciła do środka. Kiedy dziadek stawiał Piotrka z powrotem na ziemi, chłopiec zauważył, że pod marynarką w podczepianej pod pachą skórzanego kaburze jest broń. Nie podzielił się

jednak od razu swoim spostrzeżeniem i dopiero kiedy uszli kilka metrów, zadał podchwytliwe pytanie.

- Blachę też masz?
- Też? – zdziwił się dziadek.
- Też. – Piotrek uśmiechnął się szelmowsko.
- Tak, odznakę też mam.
- Pokaż.

Dziadek sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i z pietyzmem, który nie umknął uwadze wnuka, wyciągnął lśniąca odznakę policyjną z numerem służbowym. Piotrek przez chwilę ważył blachę w dłoni.

- Męskie są chyba cięższe, mamy jest lekka jak piórko.

Dziadek się roześmiał, rozbawiło go to, jakimi kanałami biegnie dziecięca logika.

- Pewnie tak.

Piotrek oddał odznakę dziadkowi, a ten schował ją z powrotem do kieszeni. Przez jakiś czas szli, nie odzywając się, a każdy myślał o tym drugim.

- Nie kazali ci oddać, jak odchodziłeś?
- Kazali.
- I co?
- I nie oddałem.

Piotrek pokiwał głową i pomyślał, że wprawdzie tata jest w jakiejś dalekiej podróży i nie do końca wiadomo, kiedy wróci, z czego czasem nabijali się koledzy, ale za to żaden z nich nie miał i nigdy mieć już nie będzie dziadka, który nie oddał lśniącej odznaki, kiedy mu kazali, i który pod pachą nosił skórzaną kaburę, a w niej coś, czego koledzy nigdy nawet na żywo nie zobaczą na oczy. Chłopiec podniósł głowę, spojrzął dziadkowi w oczy i się uśmiechnął.

W pokoju przesłuchań dostawiono dwa krzesła, żeby mogli się w niej

pomieścić oprócz Młodego i Kaszowskiego dwaj mężczyźni w koloratkach. Obaj byli stosunkowo młodzi i raczej przystojni. Jeden miał na sobie dobrze skrojony szary garnitur i koszulę w podobnym kolorze, a drugi, już na pierwszy rzut oka mniej ważny od tamtego, miał na sobie po prostu sutannę.

Marek

Patrzyłem wtedy na tego klechę i wiedziałem, że jeśli natychmiast nie wyjdę, to go zabiję. Wyjdę teraz zapalić, wrócę za trzy minuty, bo szybko będę palił, bo jestem bardzo zdenerwowany, jak wrócę, to chcę tylko usłyszeć, o której będzie msza pogrzebowa. Jeśli jeszcze słowo mi powiesz o tym, że moja żona za mało chodziła do kościoła albo że moja córka nie była na rocznicy komunii, albo w ogóle jeśli jeszcze słowem skomentujesz cokolwiek po tym, jak wrócę, to urwę ci łeb. Rozumiesz, księżę proboszczu? Teraz weź te pieniądze, otwórz ten swój zasrany kalendarz i wybierz dogodną dla mnie datę i godzinę. Policję wezwiesz? Ja jestem policja i musisz sobie wyobrazić, że cię lubię, bo jak przyjadą moi koledzy, to będą cię lubili znacznie mniej. Idę palić, masz trzy minuty, a potem powiesz piękne kazanie, bo to były piękne kobiety. Rozumiesz?

Kaszowski nigdy nie przepadał za sługami Kościoła. Zdarzały się od tego pewne wyjątki, ale nic nie wskazywało na to, żeby któryś z tych dwóch ładnych młodzieńców miał się do tej kategorii zaliczyć, tym bardziej że obaj, gdy tylko weszli na komisariat, demonstrowali swoją wyniosłość.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale wydaje mi się, że prowadzimy dochodzenie w tej samej sprawie. – Kaszowski urwał, dając w ten sposób duchownym czas na to, by go poprawili, wiedział jednak doskonale, że żadna korekta nie nastąpi. – Traf chciał, że my jako pierwsi znaleźliśmy to, czego szukali przed nami panowie czy też wasi wysłannicy. Nie wnikiem, choć mógłbym, bo przecież mieliśmy włamanie na zabezpieczone policyjnymi taśmami miejsce popełnienia wcześniejszego przestępstwa.

Komisarz znów zrobił pauzę, tym bardziej że nie był już pewien, jakie są

wytyczne przekazane przez kurię siedzącym przed nim apollom. Wszystko wskazywało jednak na to, że główna dyrektywa nakazywała jak najdłużej zachować milczenie. Komisarz tak naprawdę lubił tego typu sytuacje, miał bowiem wielki dar prowokowania nawet największych stoików, do których ci dwaj chłopcy z całą pewnością nie należeli, gdyż byli na to zbyt młodzi. Kaszowski ruchem głowy wskazał leżące na stoliku między nimi foliowe torby z dowodami pozyskanymi w trakcie przeszukania w krypcie. Były tu pejczyce, łańcuchy z kajdanami, stroiki z gałęzi akacji i jeżyn, długie dziesięciocentymetrowe gwoździe stolarskie. Tamci spojrzeli też na stos foliowych toreb. Ten bardziej elegancki kiwnął głową i się uśmiechnął, próbując w ten sposób wyrazić okraszony lekkim szyderstwem podziw dla dokonań policji. Komisarz w reakcji na to z torby, którą trzymał pod stołem, wyciągnął oprawny w skóry notes i położył go obok pozostałych przedmiotów.

– A najcenniejszym naszym znaleziskiem jest ten oto notes księdza Janusza, w którym duchowny był łaskaw z ogromną pieczołowitością zapisywać całą kronikę wypadków. – Kaszowski się uśmiechnął. – Nie da się ukryć, że były to wypadki w przeważającej mierze... Jak to się określa w waszym języku? Nieobyczajne?

Komisarz spojrział na Młodego, który wydawał się tylko na to czekać.

– Najpierw ksiądz nakazał trochę dłuższe posty, potem zaczął zmieniać modlitwy, odebrał mieszkańcom wszelkie materiały pisane, również Pismo Święte... Kazał spalić wszystkie obrazy. Chodziło o to, żeby czcić czystego Ducha... No i sekta się zrobiła. Ludzie zaczęli się bać współodpowiedzialności za te wszystkie biczowania, ofiary rytualne, pochówki pod lasem. Wiedzą panowie, kiedy jest się w takiej grupie, powstaje więź i potem trudno się wyłamać. Błędne koło.

Młody popatrzył na swoich rówieśników w koloratkach. Nie było w jego stosunku do nich żadnej wrogości. On od najmłodszych lat chował się raczej poza środowiskiem kościelnym, więc do księży miał stosunek równie obojętny, jak do hydraulików czy pracowników pogotowia ratunkowego. Teraz inicjatywę przejął jednak znów Kaszowski.

– Jeśli chodzi o samego księdza, mam taką hipotezę, że działając przynajmniej początkowo prawdopodobnie w dobrej wierze, tak się zapętlił i wyrządził w efekcie tyle zła, że w końcu... po prostu tego nie udźwignął.

Ważniejszy z mniej ważnym pokiwali głowami. Najwyraźniej wnioskowanie komisarza przynajmniej na razie przebiegało po właściwej z ich punktu widzenia linii. Kaszowski jednak daleki był jeszcze od wniosków końcowych.

– I właściwie w tym wszystkim zastanawia nas tylko jedno...

Komisarz tak naprawdę był po prostu wściekły, a jako że za wszelką cenę chciał jak najdłużej uniknąć wypowiedzenia opinii pod wpływem emocji, przekazał Młodemu możliwość sformułowania puenty.

– Właśnie, zastanawia nas, jak to w ogóle było możliwe? Tym bardziej że taka sytuacja, jak wynika z notatek księdza, trwała w Tatarach latami.

Ważniejszy w mig zrozumiał, że w tym momencie nie da się już nic nie mówić. Pokiwał głową.

– Cóż, docierały do nas sygnały, że w funkcjonowaniu tamtejszej parafii – głos księdza wikariusza był bardzo wysoki, a to nie przydawało mu autorytetu – pojawiły się pewne nieprawidłowości...

– Co?! – Kaszowski zareagował tak gwałtownie, że Młody od razu się zorientował, że lada moment dojdzie do eksplozji.

– ...od jakiegoś czasu. – Dokończył nieco ciszej elegant w szarym garniturze. Wiele wskazywało na to, że choć nie zna Kaszowskiego, to i tak zorientował się, że ten nie jest zadowolony z uzyskanej odpowiedzi.

Żyły na czole komisarza nabrzmiały. Młody zastanawiał się już tymczasem jedynie nad tym, jak ograniczyć miazdzące skutki tego, co za chwilę nastąpi jako absolutnie nieuniknione.

– W zagajniku za wsią znaleźliśmy mogiły ludzi, którzy nie spełnili chorych wymogów jakiegoś psychopaty i nie mogli być pochowani w poświęconej ziemi! – Kaszowski nie był już w stanie mówić spokojnie, ale starał się być jeszcze rzeczowy. – Zwłoki żony pewnego kuternogi leżą tam od pięciu lat. Kobieta umarła, bo wasz ksiądz nie pozwolił wezwać lekarza,

kiedy w czwartym miesiącu ciąży zaczęła rodzić!

Kaszowski patrzył na duchownych i nagle ten ważniejszy, prawdopodobnie w efekcie jakiegoś tiku nerwowego, zrobił coś, czego za nic nie powinien był robić. Wzruszył ramionami. Kaszowski wstał i przechylił się przez stół.

– Więc jakie, kurwa, sygnały?! Od jakiegoś, kurwa, czasu...?!

Choć pokój był urządzony tak, by tłumić głośniejsze dźwięki, po grzmiących słowach komisarza dopiero po dłuższej chwili na powrót zapanowała cisza. Teraz była to cisza absolutna, a księża musieli odbyć długą drogę od przerażenia wywołanego krzykiem Kaszowskiego, przez próbę objęcia myślą sytuacji, aż po wnioski finalne. Ważniejszy wstał z krzesła z obrażoną miną i zamiarem opuszczenia sali. Niestety wtedy nadeszła kolejna fala dźwiękowa.

– Siadać!!!

Ważniejszy, czyli wikariusz księdza biskupa piastujący stanowisko dosyć znaczące w hierarchii kurii stołecznej, usiadł, zanim zdołał się całkiem podnieść. Jego asystent w czarnej sutannie nie zaczął jeszcze wstawać, dzięki czemu nie musiał siadać z powrotem. Przez chwilę trwało milczenie. Młody zorientował się, że Kaszowski przynajmniej na razie nie będzie skory do dalszych wypowiedzi, i jeszcze raz przejął inicjatywę.

– Gdyby panowie zechcieli może jakieś szczegóły...

Wikariusz wahał się przez chwilę, ale chyba w końcu do niego dotarło, że aby stąd wyjść, będzie musiał wykazać się jednak jakąś koncyliacyjnością.

– Osiem lat temu ksiądz Janusz został obłożony interdyktem zabraniającym mu odprawiania jakichkolwiek obrzędów. Jego poglądy rozeszły się z oficjalną doktryną Kościoła.

– No to macie kwity, że się zachowaliście. Tylko co on robił w takim razie w tej parafii jeszcze trzy dni temu? – Kaszowski nie odpuszczał.

– Nie mieliśmy zastępstwa, on prosił, mówił, że chciałby tam jeszcze pomieszkać, nie miał dokąd pójść... – Ni stąd, ni zowąd do rozmowy włączył się po raz pierwszy ksiądz w sutannie.

– Więc poszedł do diabła? – Kaszowski nie mógł sobie podarować.

– Panie komisarzu...

Komisarz zauważył, że w głosie tego w sutannie daje się wyczuć pewną specyficzną ewangelizacyjną miękkość, której prawdopodobnie uczono go latami najpierw w seminarium, a potem u jezuitów. Już chciał się do tego odnieść, ale na szczęście ubiegł go Młody.

– Chcemy, żeby kuria zajęła się teraz tymi ludźmi, skołowanymi mieszkańcami Tatarów. Musicie ich wyciągnąć z tego, w co wpędził ich ten...

– Młody szukał właściwego słowa, ale szybko zdał sobie sprawę, że jeśli go zaraz nie znajdzie, to ubiegnie go Kaszowski, a wtedy będzie jeszcze gorzej. Dokończył więc pospiesznie: – ten człowiek.

– Ale proszę nam wierzyć...

– Tu, proszę księdza, wiara nie ma nic do rzeczy. Jeśli natychmiast się tym nie zajmiecie – Młody wskazał na górę foliowych toreb – to wszystko trafi do mediów.

Wikariusz przez chwilę miał minę, jakby ważył w głowie coś ważnego, ale Kaszowski wiedział, że elegant tak naprawdę nic nie waży, bo nie ma czego położyć na drugiej szalce.

– Dobrze. Tak się stanie.

– Amen. – Komisarz bardzo lubił stawiać kropkę nad i.

Joanna miała właśnie zajrzeć do teczek, którą dostała od Zielińskiego i której do tej pory nie miała czasu przejrzeć, kiedy usłyszała pukanie. Podniosła głowę i w drzwiach gabinetu zobaczyła uśmiechniętego od ucha do ucha aspiranta Czerwińskiego.

– Można?

– Bardzo proszę. – Kątem oka upewniła się, czy teczka jest zamknięta.

– Ja w sprawie tego porywacza dzieci.

Joanna kiwnęła głową. Od ich ostatniej rozmowy emocje dotyczące Waldemara zdecydowanie opadły i teraz żałowała, że w chwili słabości poprosiła Młodego o pomoc. Z drugiej strony tylko dzięki temu mogła przed

chwilą zobaczyć jego uroczy uśmiech.

– Sprawdziłem na Wilczej. – Młody był wyraźnie zadowolony z siebie. – Mam tam kolegę, byliśmy razem na prawie. Znam już też nazwisko tego człowieka. Okazuje się, że on ma dosyć zapapraną przeszłość.

Joanna pokiwała głową. Kto lepiej od niej wiedział, jak bardzo zapapraną przeszłość ma mężczyzna, z którym straciła cztery cenne lata swojego życia?

– Co dosyć zastanawiające, facet ma mimo to pozwolenie na broń, a w sprawie jego zwolnienia były naciski od jakiejś szycy z ministerstwa. Na razie nie wiem, od kogo konkretnie, kolega też nie wie, ale dowiemy się i...

– Panie Jacku... – Joanna postanowiła przerwać, zanim będzie za późno.

– Tak?

– Niech pan to zostawi.

– Dlaczego?

– Bo to jest bardzo niebezpieczny człowiek, jego otoczenie też jest niebezpieczne, a ja nie chciałabym, żeby panu coś się stało...

W tym momencie Joanna poczuła, że powiedziała o jedno słowo za dużo. Tak się zdarza, gdy postawi się ten jeden krok, który nagle zawiśnie w powietrzu, bo okaże się, że pod nogami skończył się właśnie grunt. Często dzieje się tak mimowolnie, poza świadomością, poza kontrolą, bo kiedy słowa pojawiają się w tak długich, wypowiedzianych w takim tempie seriach, trudno o pełną kontrolę. Tak naprawdę właśnie dzięki temu życie może przechodzić w kolejne kręgi, zamiast obracać się wiecznie wokół własnej osi, co prawdopodobnie miałyby miejsce, gdyby ziemię zamieszkiwał tylko Adam. Jacek podszedł bliżej do Joanny, a ona się nie cofnęła.

– ...To znaczy, żeby w ogóle coś... – Joanna próbowała się ratować, ale ratunku już nie było, tym bardziej że Jacek właściwie tylko na to czekał.

– Zaryzykuję.

– Czemu?

– Bo mi się nie podoba... – Jacek nie mógł sobie przypomnieć, co właściwie mu się nie podoba, za to dużo łatwiej było mu przywołać

konstrukcję pozytywną, choćby nawet miała się ona okazać nie do końca adekwatna do tematu prowadzonej rozmowy. – Bo pani mi się podoba.

Gdy zrobił kolejny krok w jej stronę, stali już tak blisko siebie, że ich ciała nieomal się stykały. Joanna nadal się nie cofnęła.

Joanna

Co do tego, że zbiegi okoliczności zachodzą, nikt nie ma wątpliwości. Różnice zdań, i to natury zasadniczej, pojawiają się w momencie, kiedy przychodzi do określenia ich przyczyny. Traktując rzecz w największym skrócie: jedni uważają, że zbiegi okoliczności są przypadkowe, inni dla odmiany twierdzą, iż przypadek nie istnieje. Wszystko to zaś można przełożyć na skrót jeszcze większy, według którego wyznawcy pierwszej teorii są niewierzący, natomiast członkowie drugiej grupy obdarzeni są, jak sami lubią twierdzić, łaską wiary. Joanna całe życie błąkała się gdzieś na pograniczu obu tych ludzkich gatunków. Z jednej strony była człowiekiem oświeconym, odebrała bardzo racjonalne wykształcenie, jej praca wymagała niezwyklej trzeźwości w myśleniu, większość czasu spędzała na rozkładaniu materii na części pierwsze, na szukaniu racjonalnych psychologicznych przesłanek i korelacji przyczynowo-skutkowych. Słowem, w realność zanurzona była po uszy, a może nawet jeszcze głębiej. Z drugiej strony, wychowanie, a szczególnie silnie utrwalony matczyzny przekaz zawierał remedium na to coś, co niektórzy nazywali egzystencjalną pustką, inni metafizyczną czarną dziurą, a jeszcze inni lękiem przed niebytem. Tym remedium była wiara albo przynajmniej przecucie, nadzieja, że światem rządzi porządek, który wykracza daleko poza nasze rozumienie i zdolność interpretacji rzeczywistości. Ten drugi obszar pojmowania, a właściwie niepojmowania w cichej nadziei na to właśnie, że pojąć się i tak nie da, uruchamiał się w Joannie w momentach intensywnych emocji. Traf chciał, że właśnie teraz, po sytuacji z Jackiem Czerwińskim, Joanna weszła w obszar takiego postrzegania. Właśnie teraz wyłączyła jej się racjonalność postrzegania, właśnie teraz świat stał się zbiorem rządzonych niewidzialną ręką zbiegów okoliczności. Może gdyby tak się nie stało na samym początku,

to, co się miało zdarzyć za chwilę, Joanna potraktowałaby nie jako przypadek, ale jako rzecz przygotowaną i przeprowadzoną ręką ludzką, a nie boską.

Kiedy wsiadła do samochodu, wyjechała z parkingu i przejechała kilkadziesiąt metrów, zauważyła zaparkowane w bocznej uliczce volvo Kaszowskiego. Przy samochodzie stał komisarz i dziwnie wyglądający, krótko ostrzyżony mężczyzna w skórzanej kurtce. Mężczyzna podawał Kaszowskiemu jakieś zawiniątko, komisarz rewanzował się innym, znacznie mniejszym, zapakowanym w białą kopertę formatu A5. Joanna zwolniła, ale żeby nie zwrócić na siebie uwagi mężczyzn, nie zatrzymała się, tylko przejechała dalej. Twarz tamtego od razu wydała jej się znajoma, ale przez kolejne kilka skrzyżowań mimo nadludzkiego wysiłku woli nie mogła sobie przypomnieć, gdzie i kiedy już ją widziała. Dopiero kiedy stanęła na światłach i zerknęła na leżącą na siedzeniu obok teczkę, którą dostała od Zielińskiego i do której na razie zajrzała tylko przelotnie, olśniło ją. Rozwiązała tasiemki i rozłożyła zdjęcia i przyczepione do nich spinaczami krótkie opisy. Po chwili znalazła to, czego szukała. Była to wykonana teleobiektywem gdzieś z ukrycia fotografia krótko ostrzyżonego mężczyzny w skórzanej kurtce. Tego samego, którego przed momentem zobaczyła w towarzystwie Kaszowskiego. Mężczyzna nazywał się Zbigniew Rościcki, alias „Łańcuch”, miał trzydzieści osiem lat, z których dwanaście spędził w zakładach penitencjarnych, ostatnio był członkiem młodego Pruszkowa, karany za wymuszenia rozbójnicze, rozboje, haracze i handel narkotykami. W kontekście podejrzeń, które wobec Kaszowskiego miał Zieliński, w kontekście narkotyków znalezionych przez Joannę w szufladzie biurka komisarza, przypadkowo, jak sądziła i miała jeszcze długo sądzić, zaobserwowana przez nią przed chwilą transakcja zdecydowanie jawiła się jako związana z tą ostatnią formą aktywności „Łańcucha”. Obrazek zaczynał się powoli wypełniać kształtami, a Joanna, którą powinno było to ucieszyć, posmutniała.

Kaszowski rzadko robił zakupy, stołował się raczej poza domem, kuchnia służyła mu najwyżej za pijalnię porannej kawy, tak jak reszta mieszkania

służyła mu najwyżej za pokój hotelowy. Tego dnia sytuacja była wyjątkowa, w domu czekała na niego Basia, której jakiś czas temu postanowił przekazać drugi komplet kluczy, czego zresztą natychmiast pożałował, zwłaszcza że Basia kolejny raz prosiła go, żeby po drodze zajrzał do sklepu i przyniósł wiktuały, których listę przesyłała mu każdorazowo esemesem. Za pierwszym razem kilka lat wcześniej tego nie zrobiła i Marek przyniósł całkiem sporo rzeczy, z których właściwie żadna nie pokrywała się z tym, co było jej potrzebne. Kiedy Kaszowski wysiadł z samochodu, zdołał w końcu zebrać wszystkie siaty z tylnego siedzenia i próbował wykombinować, jak ma teraz zamknąć drzwi od auta, w sukurs przyszedł mu mężczyzna w czarnym garniturze, golfie i eleganckich butach typu oksford. Szczególnie buty zwróciły uwagę Kaszowskiego, bo kiedy mężczyzna się pojawił, komisarz usiłował właśnie podnieść z ziemi kluczyki, nie używając do tego rąk, które miał zajęte wpijającymi się w skórę do kości białymi foliowymi torbami eko. Swoją drogą, jak foliowe torby mogą być eko? Owszem, różni je od tych nie-eko to, że rozpadają się natychmiast i przeważnie rzeczy wypadają z nich na trotuar w najmniej spodziewanych momentach, ale przecież nadal są plastikowe.

– Dzień dobry, panie komisarzu. – Mężczyzna miał piękne zęby i starannie przystrzyżone włosy. – Może ja pomogę?

Kaszowski był tak wnerwiony tym, że ma siaty i że na górze ktoś jest w jego mieszkaniu, i że siaty są ekologiczne i za moment się rozpadną, i że wpijają mu się w ręce, i że właściwie nie ma pojęcia, po co to wszystko sobie robi, skoro w zasadzie bez tego było doskonale, że nie miał nawet siły zdziwić się obecnością czarnego mężczyzny w czarnych oksfordach.

– Pan potrzyma.

Pan potrzymał przekazane mu z jednej ręki torby, Kaszowski schylił się po kluczyki, zatrzasnął drzwi, przekręcił kluczyk i wyciągnął rękę, żeby odebrać zakupy.

– A kim pan jest? – Teraz przyszła dopiero pora, żeby zainteresować się przypadkowym pojawieniem się czarnego mężczyzny, które nie mogło przecież być przypadkowe.

– Jestem kierowcą i chciałbym na moment zaprosić pana do nas.

– Do was? – Kaszowski obejrzał się na passata z przyciemnianymi tylnymi szybami, który wyglądał, jakby dziesięć minut wcześniej stał jeszcze w salonie fabrycznym. – Nie, dziękuję. Ale zapraszam w każdej chwili was do mnie, do pracy oczywiście, w godzinach urzędowania. Panowie trafią, już byli.

– Obawiam się, panie komisarzu, że w tym składzie nie będziemy mogli się pojawić... bardzo proszę. – Kierowca, który był też zapewne ochroniarzem, uśmiechnął się delikatnie i przechylił lekko głowę. – Bez pana nie mam tam po co wracać.

Kaszowskiego zaintrygował zwłaszcza „ten skład”. Dlatego z siatkami w rękach zbliżył się do samochodu. Z przedniego siedzenia wysiadł wówczas znany mu już wikariusz, który starając się nie wchodzić z komisarzem w kontakt wzrokowy, podszedł do tylnych drzwi i je otworzył. Kaszowski nachylił się lekko i wtedy ujrzał wyglądające na niego z mroku tylnej kanapy przenikliwe oczy księdza biskupa. Znał Jego Ekszelencję od wielu lat. Kiedyś prowadził sprawę o zabójstwo, do którego doszło w jednym ze stołecznych kościołów, pomagał też kurii w zbieraniu dokumentów, które zostały w archiwach MSW po zabójstwie księdza Jerzego Popiełuszki. Panowie odbyli przy okazji wiele poszerzających światopogląd rozmów i lubili się nawet, oczywiście na tyle, na ile policjant mógł się lubić z purpuratem i vice versa.

– Jakże mi miło widzieć Waszą Ekszelencję w dobrym zdrowiu. – Kaszowski z ulgą przekazał siaty wikariuszowi, teraz jemu będą się wbijały do kości w dłonie, i usiadł na tylnej kanapie eleganckiego passata. – Czyżbyśmy zatrzęśli Kościołem w posadach?

– Zatrzęśli w posadach może nie, ale potrząsnęli.

Ksiądz biskup, który od zawsze był mistrzem myślowej syntezy, teraz podał Kaszowskiemu dłoń z pierścieniem. Komisarz zerknął i z przyjemnością skonstatował, że pierścień jest cynowy. Kościół w zmianach, zmiany w Kościele. Ucisnął delikatnie dłoń hierarchy i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Poświęci mi pan, panie komisarzu, pięć minut swojego cennego czasu?

Biskup spojrział znacząco na majaczącą za przyciemnioną szybą samochodu postać wikarego z naręczem toreb.

– Nie mam odwagi odmówić.

Biskup, który znany był z tego, że w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów po fachu ma spory dystans do spraw służbowych, zaśmiał się krótko, ale serdecznie.

– Przede wszystkim chciałbym panu podziękować w imieniu swoim i właściwie, tak chyba mogę powiedzieć, całego Kościoła.

– Nie wiem za co wprawdzie, księżę biskupie, ale i tak czuję się zaszczycony i oczywiście cała przyjemność po mojej stronie.

– Za to, że dał nam pan szansę naprawić błąd i pomóc tym ludziom.

– Błąd? – Kaszowski uśmiechnął się odrobinę ironicznie, a Jego Ekscelencja postanowił owej ironii nie zauważyć.

– Do parafii zostali już skierowani misjonarze, najlepsi, jakich mamy. Na razie trzech, jeśli zaistnieje potrzeba, dołączą inni. Kiedy zakończą się czynności śledcze, pochowamy też ludzi, którzy nie zostali wcześniej pochowani z należnym szacunkiem... Pochowamy ich w poświęconej ziemi, na cmentarzu, przy kościele, jak Bóg przykazał.

Kaszowski po raz nie wiedzieć który w życiu zadał sobie pytanie, dlaczego właściwie najwyższe kręgi Kościoła nie składają się z ludzi takich jak ten? Dlaczego ksiądz biskup stanowi właściwie wyjątek potwierdzający regułę, podług której im ktoś ważniejszy w Kościele, szczególnie polskim Kościele, tym mniej mądry.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

Kaszowski doskonale wiedział, że musi być jakaś sprawa, przecież Jego Ekscelencja nie fatygowałaby się taki kawał tylko po to, żeby złożyć mu relację z podjętych przez kurię działań.

– Ksiądz Janusz na kilka dni przed śmiercią spowiadał się u mnie. W ramach pokuty nakazałem mu wtedy, żeby pojawił się u pana, jest pan jednym z niewielu znanych mi policjantów i jedynym, któremu w miarę

ufam, i żeby przekazał panu to, co przekazał mi w ramach spowiedzi. Taki fortel.

Kaszowski pokiwał głową, fortel wydał mu się bardzo przebiegły. Ksiądz biskup spojrzął za okno.

– Bo widzi pan, chodzi o to, że jego też musimy pochować i ja muszę wiedzieć, czy on... czy był u pana przed śmiercią, czy odbył pokutę?

Biskup skierował spojrzenie swych przenikliwych oczu z powrotem na komisarza. Kaszowski wahał się przez moment, nie chciał skłamać, mimo sporego dystansu, jaki miał do spraw wiary, nie był w stanie okłamać tego człowieka o tak przenikliwym spojrzeniu, a z drugiej strony nie czuł się na tyle mocny, żeby odebrać człowiekowi szansę pochówku w poświęconej ziemi. Zwłaszcza że jego zdaniem ksiądz Janusz, choć może nie do końca wprost, to jednak w jakimś sensie dopełnił pokuty, był przecież u nich tamtego wieczora i opowiadał o strasznych rzeczach, a że nie był w stanie zrobić do końca tego, co mu zalecono... Cóż, przeczytawszy jego pamiętnik, komisarz specjalnie mu się nie dziwił.

– Powiedzmy: pośrednio. – Kaszowski znalazł w końcu złoty środek.

– To dobrze.

Ksiądz biskup, zdaje się, podzielał światopogląd Kaszowskiego. Z całą pewnością nie był to w każdym razie kościelny jastrząb. Zapewne należał do niezbyt dużej wśród hierarchów grupy, która przykazanie o miłości bliźniego uważała za element absolutnie priorytetowy w ewangelicznym przekazie.

– Tylko czy to, że ksiądz Janusz targnął się na swoje życie, i tak go przypadkiem nie dyskwalifikuje? – Kaszowski jednak przede wszystkim był do bólu logicznym i konsekwentnym policjantem. – Samobójca w poświęconej ziemi?

– Oczywiście, ma pan rację, taki czyn byłby dyskwalifikujący. – Biskup znów popatrzył za okno. – Tylko że ksiądz, jak pan to nazwał, „targnął się”, powiedzmy, pośrednio.

Kaszowski, który normalnie myślał bardzo szybko, teraz na chwilę poczuł zamęt w głowie i dopiero po kilku sekundach zdołał rozmieścić otrzymaną

informację w świecie znanych mu realiów tej konkretnej sprawy.

– To znaczy...? A skąd, jeśli można wiedzieć, Jego Ekscelencja o tym wie?

– Nie można. Artykuł sto siedemdziesiąt osiem kodeksu karnego. Tajemnica spowiedzi. Dosyć mroczna tym razem.

Jego Ekscelencja się uśmiechnął, ale nie był to uśmiech radosnej satysfakcji, a raczej mrocznego żalu, i wtedy Kaszowski zdał sobie sprawę, że nigdy, za żadne skarby nie chciałby być niczym spowiednikiem.

Ksiądz oddychał szybko i nierówno, na jego ogorzałej twarzy pojawiły się krople potu. Chciał przetrzeć czoło, ale zdawał sobie sprawę, że musiałby to zrobić rękawem od sutanny, a to przecież nawet w takich okolicznościach się nie godzi. W pewnym momencie wstrzymał oddech i rozejrzał się chwilę wokół siebie, tak jakby w tłumie otaczających ludzi próbował znaleźć kogoś, kto zmieni bieg wydarzeń, kto pomoże mu zacząć wszystko jeszcze raz i od początku. Tylko czy wtedy sprawy mogłyby się potoczyć inaczej? Przecież tak naprawdę to było jedyne wyjście, musiał tak zrobić, każda inna postawa byłaby kompromisem, a on nigdy nie szedł na kompromis, zawsze starał się wszystko prowadzić dokładnie po linii wytyczonej przez kodeks moralny, przynajmniej tak jak sam go pojmował. Przesunął językiem po spierzchniętych wargach, pomyślał, że chce mu się pić, chciał przez moment nawet poprosić, żeby Łucja podała mu wody, ale zreflektował się, że przecież to nie miałoby już w tym momencie sensu. Po co miałby pić wodę, skoro jego organizm nic już i tak z nią nie robi. Wtedy spojrzał jeszcze raz w dół, na tych, którzy stali dokoła, jego wzrok napotkał spojrzenie człowieka, któremu wyrządził najwięcej krzywd. Wytrzymał jeszcze moment pod ciężarem jego wyrzutu, po czym kiwnął głową.

Kuternoga oparł się na chwilę na swojej chorej nodze, a drugą, tą sprawną, wykopał stołek spod nóg księdza, który już nigdy nie miał napić się wody.

MIŁOŚĆ

Przypadki. Wertując teczki w archiwach komendy w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby jej zrozumieć to, czego tak naprawdę nie chciała zrozumieć, czyli powód wzajemnej zależności pomiędzy Kaszowskim a przestępcą, w którego towarzystwie widziała go kilka dni wcześniej, Joanna po raz kolejny zastanawiała się nad rolą i znaczeniem przypadku w życiu. Z materiałów, które dostała od Zielińskiego, wynikało, że znajomość Kaszowskiego z Łańcuchem rozpoczęła się przy okazji sprawy, którą komisarz prowadził kilka lat wcześniej. Wedle sugestii Zielińskiego zakończyła się ona dla Łańcucha nadspodziewanie korzystnie. Zbigniew Rościcki alias Łańcuch trafił wprawdzie za kraty, ale zdaniem inspektora na zdecydowanie zbyt krótko. Teczki tej sprawy częściowo wbrew sobie szukała w tej chwili właśnie Joanna. W końcu ją znalazła. Na okładce widniał numer sprawy zgodny z tym, który wynotowała z akt sądowych. Otworzyła teczkę, rozłożyła ją na innych ustawionych na sztorc w wysuwanej szufladzie i zaczęła przeglądać. Na początek jej uwagę zwrócił fakt, że ta, w przeciwieństwie do innych teczek spraw prowadzonych przez Kaszowskiego, jest znacząco grubsza i sprawia wrażenie rzetelnie uporządkowanej.

– A piękna pani komisarz znów w świecie teczek? – Słyszając głos Młodego w pustym pomieszczeniu piwnicznego archiwum, Joanna na chwilę kompletnie zdrętwiała, a następnie zabrała się do pospiesznego upychania znalezionej teczki w miejscu, z którego przed chwilą ją wyciągnęła. Nie miała na to wiele czasu, bo czuła, że Młody szybko się zbliża. W końcu zdołała wcisnąć teczkę między inne, spomiędzy których wyciągnęła na chybił trafił jakąś podobną. W tym momencie poczuła na włosach ciepły oddech aspiranta Czerwińskiego, sekundę później jego uda dotknęły jej.

– Co począć? – Joanna odwróciła się do Młodego z uśmiechem i wyjętą na szybko przypadkową teczką w rękę. – Dzień dobry, panie aspirancie.

– Umorzona. – Młody przejął od niej teczkę, zerkając na okładkę.

– Mój ulubiony rodzaj. – Joanna się uśmiechnęła i pomyślała, że jednak zupełnie nie żałuje tego, co zdarzyło się między nimi ostatniej nocy.

Jacek otworzył teczkę, przejrzał pierwsze kilka stron z raportami pisanymi własną ręką i uśmiechnął się na wspomnienie tego, ile nerwów kosztowało go sporządzenie tych pierwszych raportów w życiu.

– Zaczynałem wtedy pracę. Talak od razu rzucił mnie na głęboką wodę, trafiłem do Marka. Jeździłem z nim trochę, sporządzałem raporty. Dość dobrze pamiętam, mieliśmy przez chwilę podejrzenie o udział osób trzecich, ale w końcu nie znalazły się żadne dowody ani przesłanki i umorzyliliśmy.

– Umorzyliliście? – Joanna trochę niepotrzebnie wybiła Jacka z chwilowego poczucia ważności. Zaraz zrobiło jej się głupio.

– No, Sobacki umorzył. – Jacek na szczęście nie wyczuł delikatnej ironii w jej pytaniu, zbyt był zajęty próbą przypomnienia sobie okoliczności sprawy. – Brak stwierdzonych znamion przestępstwa.

– Brak znamion? A skąd podejrzenie? – Joanna, żeby być konsekwentna, brnęła w szczegóły sprawy, która tak naprawdę znalazła się w jej rękach wraz z przypadkowo wyciągniętą teczką pół minuty wcześniej.

Młody tymczasem w swojej naiwności był przekonany, że Joanna wydobyła tę właśnie sprawę ze względu na jej szczególny charakter. Naiwność Jacka nie wynikała jednak z braku inteligencji, a raczej z faktu, że był młody i prostolinijny, przyjmował życie bez tych wszystkich meandrów, które z wiekiem przyćmiewają kolory, odbierają przyjemność i w rezultacie czynią człowieka gnuśnym i starym. Joanna pomyślała, że zazdrości mu tego podejścia, a potem przyszło jej też do głowy, że jeśli nie będzie tego podejścia Jacka analizować, tylko weźmie z niego przykład, może z czasem zdoła wrócić choć na jakiś czas do owej krainy pierwszego zauroczenia i fascynacji życiem, może zdoła się zakochać. Nie była wiele starsza od niego, pięć lat, co to jest w tym wieku; jednak przez zgromadzoną ilość przykrych i skomplikowanych życiowych doświadczeń chwilami czuła się tak, jakby była matką tego dwudziestopięcioletka.

– Opowiedz – poprosiła szczerze. Wierzyła, że to, co usłyszy, choćby

przeczyło faktom, będzie przynajmniej jego prawdą, prawdą subiektywną. A czy istnieje swoją drogą w ogóle jakaś inna?

Młodszy o kilka lat Kaszowski z Jackiem siedzieli w urządzonym bardzo nowocześnie, tyle że w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, gabinecie dyrektora ośrodka opieki społecznej. Na okrągłym szklanym stoliku osadzonym w obręczy z grubej niklowanej stali wciąż w pewnym sensie atrakcyjna sekretarka z trwałą ondulacją na tlenionych włosach postawiła właśnie trzy szklanki w metalowych koszyczkach. Mniej więcej czterdziestoletni dyrektor w szarej wełnianej domieszkowanej sztucznym tworzywem marynarce i w kwadratowych okularach patrzył za okno. Ławki w otaczającym ośrodek parku okupowało kilku staruszków. Na placu położonym w centralnej części, przy betonowym stole z szachownicą mimo chłodu dwóch siwych panów próbowało rozegrać partię szachów. Wokół nich zebrała się grupka kibicujących seniorów i senierek.

– Eden to to nie jest. Bogiem a prawdą wydaje mi się, że wielu starszych ludzi dopiero tutaj tak naprawdę orientuje się, jak bardzo są starzy, jeśli wiedzą panowie, o co mi chodzi. Zdarzają się depresje... – Dyrektor wrzucił kostkę cukru do swojej szklanki w koszyczku, zamieszał. Wyraźnie nie czuł presji czasu. Kaszowski pomyślał, że tutaj rzeczywiście byłoby to zgoła bez sensu.

– A pan Zygmunt? – Młody był zbyt młody na to, żeby wytrzymać długie momenty czasoprzestrzennych zawiesznień.

– Pan Zygmunt? – Dyrektor trwał w swojej refleksji, a cała jego uwaga przekierowała się teraz na czynność mieszania herbaty.

– A pan Zygmunt miał depresję? – Młody uporczywie przyspieszał bieg zdarzeń.

– O nie, pan Zygmunt absolutnie! To był chyba nasz najbardziej żywotny pacjent... wulkan witalności, ten człowiek kochał życie, brał je garściami, jakby nie przymierzając, był w pańskim wieku. – Dyrektor uśmiechnął się do Jacka, po czym wypił łyk herbaty, starając się nie poparzyć sobie ust.

– Panie dyrektorze, dlaczego właściwie zawiadomił pan policję? – Do

rozmowy po raz pierwszy włączył się Kaszowski.

Konkretne i bezpośrednie pytanie wyrwało dyrektora z miłego błogostanu, który wynikał z połączenia wspomnień, refleksji i przesłodzonej o dobre trzy łyżeczki niezbyt mocnej herbaty.

– Umarł człowiek. – Dyrektor po raz pierwszy odpowiedział rzeczowo, a zarazem trochę nieprzyjemnie.

– To, z całym szacunkiem, trochę za mało. – Teraz Kaszowski popatrzył za okno. – Szczególnie w takim miejscu jak to.

– No tak, oczywiście, ma pan rację. – Logiczne rozumowanie komisarza przypomniało dyrektorowi o realiach. – Zawiadomiłem panów, ponieważ pan Zygmunt, chociaż był bardzo chory... to paradoksalnie był też w sensie ogólnej kondycji raczej jeszcze dość zdrowy, serce miał silne, lekarz, który się nim opiekował, potwierdzi... – Dyrektor się zamyślił, jakby próbował sobie wyobrazić, że lekarz, o którym mówi, miałby potwierdzić to, co on właśnie powiedział. – Powinien potwierdzić, chociaż z nim to akurat nie wiadomo. W każdym razie chodzi o to, że pomimo choroby akurat śmierć przyszła trochę znikąd. Nie wiem, czy wyrażam się jasno? – Dyrektor spojrzał na nich pytająco.

Niestety, nie wyrażał się jasno, co Kaszowski i Czerwiński zdawali się sugerować swoim milczeniem. W końcu komisarz postanowił pomóc dyrektorowi.

– Panie dyrektorze, jeśli ma pan jakieś podejrzenia, hipotezy, żeby móc je zweryfikować, musimy je najpierw poznać.

Mężczyzna wahał się przez chwilę, kilkakrotnie spojrzał za okno, wypił znów łyk herbaty, ale teraz zrobił to jakby łapczywiej, bardziej nerwowo. Kaszowski, a w ślad za nim Jacek, również sięgnęli do swoich szklanek z herbatą. W ten sposób rozmowa mogła przejść do kolejnego etapu, zacząć się w pewnym sensie od nowa. Dyrektor rozejrzał się po pokoju i mocno ściszył głos:

– Po pierwsze, jak dla mnie, to pan Zygmunt w ogóle nie powinien był się tu znaleźć. Człowiek w pełni sił, mogący właściwie wszystko wokół siebie zrobić, w pełni sprawny zarówno fizycznie, jak i umysłowo. No, ale

miewamy tu też i takich. Wtedy przeważnie nie chodzi o to, żeby się nimi opiekować, lecz o to, żeby zwolnili miejsce, cóż, taka jest, a przynajmniej bywa, nasza smutna rzeczywistość. – Kaszowski pokiwał głową, bo rozumiał, o czym mówi dyrektor, Jacek pokiwał, choć to, o czym mówił dyrektor, dla niego było jeszcze kompletną abstrakcją. – Natomiast jak pan Zygmunt już zachorował, to wedle wszelkich wskazań powinien trafić albo z powrotem do domu, albo do hospicjum. Tak naprawdę pacjentów terminalnych właściwie nie powinienem tutaj w ogóle przetrzymywać. No, ale rodzina z jakiegoś powodu bardzo nie chciała go stąd zabierać, on zresztą też nie chciał stąd iść, ale był bardzo, jak to się mówi, ugodowy, więc nie wiem do końca, czy nie chciał iść, czy może chciał być miły dla rodziny. W każdym razie rodzina opłacała dodatkową opiekę, lekarza, pielęgniarkę, potem już sami tu z nim też siedzieli, podawali mu te leki. No i właśnie, on umarł w dwa tygodnie po tym, jak mu zaczęli te leki... jak weszły te najmocniejsze opioidy, a wedle onkologów miał rokowania na jeszcze przynajmniej pół roku życia.

Kaszowski spojrzał na Jacka. Wyglądało na to, że obaj myślą to samo. Trwało to wprawdzie jakiś czas, ale w końcu dyrektor powiedział im to, od czego tak naprawdę powinien był zacząć i pewnie by zaczął, gdyby nie fakt, że tutaj czas biegł zupełnie innym rytmem. Komisarz raz jeszcze zerknął w kierunku betonowego stolika z szachownicą, na którym, odkąd tu weszli, żaden z pionów nie zmienił swojej pozycji, i pomyślał, że tutaj ludzie grupowym wysiłkiem woli być może próbowali wręcz upływ czasu zatrzymać. Jeśli tak, to rzeczywiście pośpiech, z jakim pan Zygmunt zabrał się z tego świata, wydawał się nie konweniować z obowiązującymi tu trendami.

Joanna szła z Młodym przez otwartą przestrzeń biurową, w której swoje stanowiska oprócz Jacka miało jeszcze kilkunastu pracowników różnych wydziałów i pionów. Niestety, im bardziej oboje starali się zatuszować fakt, że idą razem, tym większą uwagę innych obecnych fakt ten zdawał się zwracać. Siedząca przy biurku w rogu sali podkomisarz Monika Malisz, która obserwowała jednocześnie ich przejście i reakcję innych, uśmiechnęła

się do swoich skojarzeń. Nie był to uśmiech złośliwy, choć niechybnie musiała w tym momencie przypomnieć sobie, jak sama przechadzała się po otwartej przestrzeni biurowej w towarzystwie komisarza Kaszowskiego. Jedyna różnica polegała na tym, że wtedy zgromadzeni w pomieszczeniu koledzy, prawdopodobnie ze strachu przed Kaszowskim, swoje spostrzeżenia w większym stopniu zachowywali dla siebie. Teraz spojrzenia wszystkich podążały za przechodzącymi, jak spojrzenia piłkarskich kibiców podążają za wykopaną przez bramkarza, lecącą przez całą długość boiska piłką. Tamta dwójka opuściła wreszcie jej pole widzenia, tak jak piłka w końcu opuszcza boisko, i Monika wróciła do swoich zajęć, a Joanna z Jackiem dotarli do drzwi gabinetu z najlepszym kombem kserograficznym w całym wydziale.

– Może wejdiesz? Na kawę, herbatę? – Joanna czuła się teraz trochę jak wtedy, kiedy miała piętnaście lat i do domu odprowadził ją pewien kolega, z którym wcześniej całowała się za garażami i który desperacko próbował wyhodować na twarzy początki zarostu.

– Służbowo? – Jacek czuł się trochę jak ten kolega, choć o jego istnieniu nie mógł mieć przecież pojęcia.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się z wdziękiem Joanna.

Weszli. Komisarz włączyła czajnik elektryczny i z nonszalancją zasiadła za swoim biurkiem, wskazując Młodemu miejsce na fotelu po przeciwnej stronie.

– No i co? Przesłuchaliście tę rodzinę? – zapytała.

Czerwiński patrzył na nią zaskoczony.

– Miało być służbowo. – Joanna rozbroiła go uśmiechem.

– Kogoś tam Kaszowski przesłuchiwał, nie pamiętam już tak dokładnie, ale nie wiem, czy w tym w ogóle warto dłużyć, tam naprawdę nie było przesłanek.

Joanna kiwnęła głową, choć widać było, że im bardziej Jacek próbuje ją przekonać o braku przesłanek, tym bardziej ją ta przypadkowo wyjęta z szuflady sprawa zaczyna absorbować. Czajnik zabulgotał i po chwili rozległo się charakterystyczne kliknięcie.

- To co, kawa czy herbata, panie Jacku?
- Kawa, jeśli można, herbaty nie pijam.
- I wiem już więcej. – Joanna wstała i podeszła do szafki, na której miała rozstawioną swoją minikuchnię.
- Więcej? – Jacek śledził ją wzrokiem.
- Wolisz szybsze i mocniejsze wrażenia od długo rozwijających się sytuacji kontemplacyjnych, jesteś pewnie trochę w gorącej wodzie kąpany, czasem najpierw działasz, a potem wążysz skutki. – Joanna wsypała dwie łyżeczki rozpuszczalnej do jednej filiżanki, do drugiej wrzuciła kilka zwiniętych listków zielonej herbaty. Zalała kawę, z herbatą czekała najwyraźniej, aż woda nieco ostygnie.
- I to wszystko na tej podstawie, że wybrałem kawę, a nie herbatę?
- Nie, bardziej na podstawie tego, co się wydarzyło w ciągu ostatnich godzin.

Kiedy Joanna dojechała pod adres, który Zieliński wyznaczył jej na miejsce kolejnego spotkania, jej oczom ukazała się nieczynna od wielu lat, opuszczona i zrujnowana mleczarnia. Komisarz zatrzymała samochód, wyciągnęła z kieszeni telefon i upewniła się, czy adres w esemesie zgadza się z adresem widniejącym na porzewiałej, niebieskiej tabliczce powieszonyj przy bramie wjazdowej. Adres się zgadzał, a bramy nie było, gdyż prawdopodobnie już przed laty ktoś ją ukradł i w całości albo w kawałkach wywiózł na złom. Komisarz powoli wjechała na teren zakładu, którego budynki straszyły oknami częściowo powybijanymi, a częściowo zamurowanymi prawdopodobnie po to, by pustostanów nie zasiedlili okoliczni bohaterowie bajek o tysiącu i jednej butelce. Joanna zatrzymała samochód na środku placu, który niegdyś musiał stanowić epicentrum zakładowych wydarzeń. Stała tam nieoglądana od dziesiątków lat dziwna postmodernistyczna rzeźba składająca się z geometrycznych kształtów. Joanna pomyślała, że rzeźba właściwie też jest wykonana ze stali, i to prawdopodobnie ze stali jakiejś wyższej jakości, a jednak nikt jej stąd nie

wyciął, nikt nie rozkawałkował i nie wywiózł na złom. Czyżby sztuka podlegała innym prawom, czyżby roztaczała magię, która chroni ją przed prawdopodobnie słabo artystycznie obytyimi złomiarzami? Chwilę później, dokładnie w momencie, kiedy do Joanny dotarło, iż nie ma pojęcia, co dalej ze sobą zrobić, telefon w jej kieszeni obwieścił nadejście wiadomości tekstowej. „Zapraszam do budynku C. Proszę wyłączyć telefon i wyjąć baterię. Z.” Joanna trochę się wystraszyła. Nie tyle zagrożeniem, które generowała obecna sytuacja, bo tutaj czuła się właściwie jak ryba w wodzie, a wręcz zauważyła mrowienie ekscytacji, ile raczej tym, jak obecna sytuacja może się rozwinąć. Miała syna, dla którego była jedyną opoką, zabawa w tajne działania z pogranicza wywiadu nie rokowała najlepiej i choć samo wejście w mrok rzeczywiście było ekscytujące, to myśl o tym, co może być po drugiej stronie tego mroku, nieco ją odstręczała. Kiedy stanęła w końcu przed Zielińskim na piętrze, ponad wielkim powycinanym miejscami za pomocą spawarki stalowym kotłem, musiała wyglądać jak jeden wielki znak zapytania, bo inspektor od razu przystąpił do wyjaśnień.

– Poprosiłem panią o spotkanie poza biurem, bo uznałem, że tak będzie bezpieczniej. – Zerknął na Joannę i od razu zrozumiał, że zaczął jednak nie najlepiej. – To znaczy bezpieczniej dla wyniku powierzonej pani sprawy, nie dla pani, bo pani nie jest w żaden sposób zagrożona.

– Podśłuchują pana? – Bezceremonialność pytania zaskoczyła nawet ją samą.

– Nie sądzę – odrzekł Zieliński po namyśle. – Ale jak to mówią, strzeżonego... Chciałbym w każdym razie, żebyśmy od tej pory oprócz naszych spotkań biurowych, w których będziemy omawiali postępy dotyczące badania przez panią kolejnych spraw, spotykali się też poza firmą.

Zieliński nie dokończył wprowadzić ani nie wyjaśnił, co mieliby omawiać na spotkaniach poza firmą, ale tego Joanna już domyśliła się sama.

– Widziałam komisarza Kaszowskiego w towarzystwie Rościckiego.

– Zbigniew Rościcki alias Łańcuch... Może to przełamanie pani sceptycyzm wobec naszych poczynań. – Zieliński powiedział to minimalnie głośniej, niż miał w zwyczaju.

– Nasze poczynania nie budziły we mnie sceptycyzmu. – Joannę zastanowiły słowa Zielińskiego. Niestety, coraz więcej przesłanek wskazywało na to, że jego wiedza pochodziła nie tylko z jej raportów. W komendzie musiał być ktoś jeszcze.

– Na wypadek gdyby pani nie wiedziała, Rościcki został aresztowany w czasie akcji przejęcia narkotyków zorganizowanej przez Kaszowskiego.

– Mówi pan o kradzieży z magazynów policyjnych? – Joanna wolała sprawiać wrażenie nie do końca zorientowanej w sprawie.

– Nie, nie. Narkotyki, które zostały ukradzione z depozytu, wcześniej trafiły do niego w wyniku akcji przeprowadzonej przez CBŚ. Na prośbę komendanta głównego akcją dowodził Kaszowski, który wtedy jeszcze miał lepszą prasę.

– Komendanta Rowińskiego? – Choć Joanny nie było wtedy w kraju, wiele słyszała o kontrowersjach związanych z odwołaniem poprzedniego szefa policji.

– Właśnie. Na temat osoby komendanta nie będziemy rozmawiać, tak czy owak w efekcie dość sprawnie przeprowadzonej akcji zatrzymany został między innymi Rościcki, niestety zgromadzony przez Kaszowskiego materiał dowodowy w sprawie okazał się niewystarczający, były też uchybienia proceduralne. W końcu Łańcuch wyszedł na wolność po kilku miesiącach, choć powinien zostać pod celą na długie lata.

– Kaszowski przejął narkotyki, za słabo aresztował Łańcucha, następnie ukradł narkotyki z depozytu z pomocą tego ostatniego? – Joanna nie była w stanie ukryć powątpiewania.

– Wydaje się to pani niemożliwe? – Teraz inspektor mówił znów bardzo cicho, Joanna odniosła wręcz wrażenie, że syczy.

– Wszystko jest możliwe, panie inspektorze, pewnie to kwestia motywacji. – Joanna starała się wybrnąć.

– Pół tony czystej kokainy po pięćset za gram w detalu? – Zieliński od dziecka uwielbiał rachować.

– Dwieście pięćdziesiąt milionów złotych. – Joanna zawsze była dobra

w rachowaniu.

– Czy to w pani opinii wystarczająca motywacja?

– O ile ktoś nie jest wierzący lub po prostu uczciwy, to może ulec pokusie.

To ostatnie zdanie nie spodobało się Zielińskiemu, Joanna wiedziała, że mu się nie spodoba, ale wiedziała też z doświadczenia, że ludzie tacy jak on na dłuższą metę nie lubią tych, którzy wyłącznie kiwają głowami.

– Chciałaby pani poznać etymologię ksywki Łańcucha? – Zieliński najwyraźniej wolał pozostawić Joannę w stanie podwyższonego napięcia.

– Niekoniecznie.

– Odprowadzi mnie pani kawałek? – Inspektor zerknął na zegarek, po czym ruszył w kierunku schodów, nie czekając na jej odpowiedź.

Wszędzie pod nogami wały się fragmenty tynku, szmaty, gdzieś tam też cegły i oczywiście butelki. Czy jest w tym kraju jakieś miejsce, w którym nie leżą puste buteleczki po wódce? Joanna zastanawiała się już nad tym parokrotnie i zawsze próbowała zrozumieć, dlaczego właśnie najczęściej są to te, a nie inne buteleczki. Dwieście gramów wódki w drodze do roboty i w drodze do domu, w parku, za garażami, w środku leśnej gęstwiny. Jak to możliwe, że ktoś przeszedł kawał lasu, po czym wyciągnął z kieszeni buteleczkę wódki, wypił zawartość, a opakowanie rzucił w ściólkę? Tutaj oczywiście z racji ogólnej postindustrialnej dezolacji natłok buteleczek, a także butelek i butli po wszelkiego rodzaju napojach wysokowych był pewnie bardziej zrozumiały.

– A dlaczego właściwie wzięła się pani akurat do sprawy tego domu opieki? – Głos Zielińskiego wyrwał ją z chwilowego zamyślenia.

– Właściwie przez przypadek, ale jak już się powiedziało „a”, to teraz trzeba powiedzieć „b”, muszę ją kawałek pociągnąć, pro forma, potem albo coś znajdę, albo zostawię.

– Dobrze, chociaż umawialiśmy się chyba, że sprawy do prześledzenia będzie pani dostawała od nas, a nie wybierała na własną rękę.

– Tak, dlatego od razu zadzwoniłam.

– Dobrze. Przy okazji... – Zieliński szykował się do dołożenia do historii

„przy okazji” czegoś, co od początku trzymał w zanadrzu. – Udało nam się ustalić, kto stoi za Waldemarem. Nie mogę pani tego ujawnić, zresztą to nie ma większego znaczenia, ale mogę w każdym razie obiecać, że więcej nie będzie się naprzykrzał ani pani, ani małemu.

Joanna poczuła się nagle jak pionek na szachownicy, który ktoś najpierw przestawił pięć razy pomiędzy polami, żeby na koniec powiedzieć po prostu „szach-mat”.

Marek nie lubił tu przyjeżdżać, z tej prostej przyczyny, że faktu ich śmierci tak naprawdę do tej pory przez te wszystkie lata nie przyjął do wiadomości. Basia z tego właśnie powodu do przyjazdu tutaj namawiała go przez ostatnie kilka tygodni. Robiła to przez wzgląd na siebie, bo związek z mężczyzną żyjącym w otoczeniu osób, których od kilkudziesięciu lat nie ma na świecie, niestety z każdą chwilą stawał się dla niej coraz trudniejszy. Robiła to jednak także przez wzgląd na niego. Widziała co dzień, jak ciężko mu funkcjonować, jak wielu elementów rzeczywistości musi wciąż unikać, żeby nie zderzać się z oczywistą prawdą.

Cmentarz jak zwykle przed Świętem Zmarłych wyglądał niczym mieszkanie przed Bożym Narodzeniem. Do tego kiedy podjechali na parking, nad ich głowami otworzył się bezkresny błękit chłodnego nieboskłonu. Kaszowski wyłączył silnik i zastygł.

– No. – Basia się spodziewała, że bez dodatkowego dopingu Marek nie osiągnie celu, dlatego między innymi w ogóle tu z nim przyjechała, choć sama nie przepadała za cmentarzami.

– No co? – Kaszowski najwyraźniej próbował kupić sobie jeszcze choć trochę czasu.

– No chodź. – Basia spróbowała otworzyć drzwi od swojej strony, żeby rozpocząć procedurę wysiadania, ale przypomniała sobie, że pasażer może z tego auta wysiąść jedynie pod warunkiem, że ktoś mu z drugiej strony pomoże. W drzwiach urwała się linka od wewnętrznej klamki. – Wypuść mnie stąd.

Marek na szczęście zinterpretował to polecenie jako sygnał do działania

oddzielony od kontekstu sytuacji, otworzył swoje drzwi, obszedł samochód i pomógł jej wysiąść.

Do pogrzebu Agnieszki i Ewy grobu rodzinnego Kaszowskich w ogóle nie było. Dopiero pod przymusem tamtych okoliczności Marek wykupił miejsce, zbudował pomnik i zrobił wszystkie te rzeczy, o których zrobieniu natychmiast później zapomniał. Po drodze mijali kwatery żołnierzy kampanii wrześniowej, powstańców styczniowych, powstańców warszawskich i wszystkich tych najróżniejszych martyrologii, bez których ojczyzna i jej obywatele tracili sens i rację istnienia. Teraz wszystko to było pięknie posprzątane i udekorowane w związku z nadchodzącym Świętem Zmarłych, które było, jest i będzie jednym z najważniejszych polskich świąt narodowych.

– Pamiętasz sprawę z zakładu opieki społecznej? – Marek spróbował wyskoczyć mentalnie z otaczających ich zniczy, a przede wszystkim choć na chwilę uciec od świadomości tego, po co tu tak naprawdę przyszli.

– Trudno byłoby zapomnieć. – Basia pomyślała, że choć Marek najwyraźniej próbuje uciekać, to akurat sprawa, o której mówił, nie leżała daleko od tematu ich wizyty na cmentarzu.

– Nie jestem pewien, co nasza pani BSW może wyciągnąć z akt. Nie pamiętam, jakie były wyniki autopsji. – Marek spojrział na starszą kobietę, która usiłowała odpalić znicz od znicza. Ponieważ wiało, a płomyk znajdował się w głębi szklanego słoika, nie bardzo jej to wychodziło.

– Niepełne. – Basia też zauważyła wysiłki zgarbionej staruszki, sięgnęła do kieszeni i podała Kaszowskiemu zapalnik.

Ten podszedł do staruszki, wyjął zapalnik z pudełka.

– Pomogę pani.

Kobieta spojrzała na niego z niepewnym uśmiechem, znicz wciąż trzymała w rękę, jakby wdzięczna za to, że chce jej pomóc, a jednocześnie z jakiegoś powodu niechętna do przyjęcia tej pomocy. Nagle Kaszowski uprzytomnił sobie, o co chodzi. Nie można kogoś wyręczać w zapalaniu ognia na grobie najbliższej osoby. Komisarz podał staruszce pudełko zapalników. Ona je wzięła i drżącymi dłońmi podpaliła zatopiony w stearynie knot. Teraz była

szczęśliwa.

– Dziękuję.

Kaszowski oddał pudełko Basi, ruszyli dalej.

– Ale morfina była w wynikach autopsji? – Kaszowski wrócił do porzuconej na moment rozmowy – No to zaraz się znowu zacznie.

Komisarz zatrzymał się między dwiema alejkami, zajrzał w głąb jednej, potem w głąb drugiej, ruszył i wszedł między mogiły. Po kilku krokach stanął przed najbardziej w okolicy zapuszczonym granitowym pomnikiem. Na płycie leżały liście w różnych fazach rozkładu, co świadczyło o tym, iż nie pochodziły wyłącznie z ostatniej jesieni, były tu też gałęzie i całe mnóstwo pustych szkieł po zniczach, które ktoś dostawiał, nie likwidując poprzednich. Na zakurzonej do granic widzialności płycie wyryte były dwa imiona i jedno nazwisko, jego nazwisko.

– Byłeś tu już kiedyś? – Basia nie mogła uwierzyć w to, co widzi.

Marek kiwnął głową i co było niezwykle rzadkim zjawiskiem w jego przypadku, zrobiło mu się bardzo głupio. Basia na szczęście doskonale wiedziała, że Marek nie przychodził tu nie dlatego, że nie był zdolny do miłości, a raczej dlatego, że nie był w stanie się z tej miłości wyzwolić. Dla samego Kaszowskiego stojącego teraz po kolana w błotnistej mazi wyglądającej jak wyspa pogardy na ocenie empatii rozlewającym się między wyszorowanymi grobami nie stanowiło to jednak najmniejszego usprawiedliwienia.

Tym razem widok Joanny idącej, a właściwie szarżującej w jego stronę z teczką w ręku nie przywołał w Młodym fali rozrzewniających wspomnień. Już z daleka widać było, że stan ich relacji uległ właśnie z jakiegoś nieznanego mu na razie powodu gwałtownemu pogorszeniu.

– Nie było przesłanek?! – Pytanie zostało zadane w tonie retorycznym, a Jacek nie od razu zrozumiał nawet, o co chodzi.

Joanna położyła przed nim teczkę otwartą na stronie, która w nagłówku miała napisane „Wyniki autopsji”, po czym wygładziła dłonią kartkę, jakby

złośliwie uznała, że trzeba mu ułatwić lekturę.

– „Zawartość morfiny dwukrotnie przekraczająca dopuszczalną dawkę” – odczytała na tyle głośno, że za pokrytymi tkaniną przepierzeniami zamarły wszelkie prace.

Jacek pochylił się nad kartką, szukał przez chwilę odpowiedniego miejsca, w końcu dokończył cytat.

– „...była jednak niewystarczająca do tego, by doprowadzić do zgonu”. – Jacek podniósł spojrzenie, przeświadczony, że udało mu się odrobić straty.

– Panie Jacku! – Reakcja Joanny pozbawiła go złudzeń.

– Panie Jacku? – Aż takiej odmiany w relacjach się nie spodziewał. – Znów będziemy sobie panować?

Joanna była zła w dwójnasób. Po pierwsze, wydawało jej się, że z aspirantem Czerwińskim nawiązała łączność nie tylko na poziomie profanum, a wiele wskazywało na to, że Jacek postrzegał to jednak zupełnie inaczej, po drugie zaś, miała w tych konkretnych okolicznościach cichą nadzieję, że choć w tej jednej sprawie nie będzie miała się do czego przyczepić. Wszystko wskazywało na to, że się myliła.

– Gdzie jest Kaszowski? – zapytała.

– U siebie? – Młody wzruszył ramionami.

On też był zły, i to, podobnie jak Joanna, przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, on również cieszył się tym, że udało im się nawiązać łączność, a teraz wszystko, przynajmniej z jej punktu widzenia, mogło rzeczywiście wskazywać na to, że ją wystawił. Po drugie, nie podobała mu się jego rola sprowadzona do bycia wiernym akolitą komisarza Kaszowskiego. Tak naprawdę sprawa domu społecznego była jego pierwszą tutaj i choć dość dobrze pamiętał wrażenia i emocje, które towarzyszyły mu w czasie dochodzenia, to akurat jeśli chodzi o stronę policyjno-dochodzeniową, nie stawiał przy jej rozwiązaniu właściwie żadnych pytań. Po prostu uznał wtedy, że skoro sprawa została umorzona, to widocznie nie było przesłanek do tego, by ją kontynuować. Ogólnie cała ta sytuacja bardzo popsukała mu nastrój, a co gorsza, wszystkie te rozważania był zmuszony prowadzić już

sam ze sobą, bo pani komisarz oddaliła się bez słowa.

Joanna wparowała tymczasem do gabinetu Kaszowskiego, który zajęty był akurat oglądaniem po raz enty swojej ulubionej szóstej serii *Doktora House'a*. Jej wejście było tym razem na tyle gwałtowne i spektakularne, że komisarz wcisnął spację na klawiaturze i Hugh Laurie zamarł w pół słowa.

– Czyli już? – Kaszowski wyprowadził atak wyprzedzający.

– Co już?! – Joanna, choć od razu zła na siebie, znów weszła w idiotyczną wymianę półpytań.

– Już pani znalazła notatkę o morfinie. – Kaszowski zerknął znacząco na trzymaną przez komisarz Majewską teczkę. – I już znów wszystko będzie po staremu.

– Tak.

– Ja nie pytałem, ja stwierdziłem.

– Jak pan mógł to zlekceważyć? Przecież to jest kluczowa poszlaka w sprawie. – Joanna miała dosyć ciągłej gry w sarkastyczną odmianę zabawy w chowanego, chciała konkretów.

– To nie jest żadna poszlaka, pani komisarz. – Kaszowski zaczął nagle bardzo spokojnie i całkiem poważnie. – W warunkach szpitalnych on sam miałby dozownik, który uwalniałby morfinę i gwarantuję pani, że wtedy poziom narkotyku we krwi byłby jeszcze wyższy.

– Mówi pan z autopsji. – Joanna szybko zdała sobie sprawę, że może posunęła się o krok za daleko, acz wyraz twarzy Kaszowskiego pozostał niezmienny. – Na jakiej podstawie wysnuł pan takie wnioski?

– Na podstawie konsultacji z lekarzami specjalizującymi się w medycynie bólu. – Kaszowski zauważył, że Joannie zrobiło się trochę głupio, ale ambicja nie pozwalała mu tego wykorzystać, poza tym tak naprawdę w tej sprawie nie miał sobie zupełnie nic do zarzucenia. – Gdyby była pani nieco mniej porywcza... Wyniki tych konsultacji zostały dołączone do akt podręcznych, które trzyma pani w ręku.

– Tylko że tu nie było żadnych dozowników. – Joanna nie dawała za wygraną. – Dozownikiem był ktoś, jakaś osoba. Ustalił pan może, kim była

ta osoba?

– Nie, przy jego łóżku zmieniali się bliscy, był też lekarz i pielęgniarka, każda z tych osób była na tyle empatyczna, że prawdopodobnie próbowała mu pomóc, zmniejszając ból. Ta morfina mogła go w najgorszym, a właściwie trafniej byłoby powiedzieć: w najlepszym razie pozbawić na moment świadomości, co w jego stanie było darem niebios, ale z całą pewnością go nie zabiła. – Kaszowski spojrzał Joannie w oczy. – Więc co za różnica, kto podał mu więcej morfiny, niż było napisane w tabelce?

– Co za różnica? – Joanna udawała, że triumfuje, tak naprawdę zaś znów miała świadomość, że w gruncie rzeczy Kaszowski ma rację. – No tak, czego innego mogłam się po panu spodziewać? Człowiek o elastycznej moralności. Rozumiem, że nic więcej pan nie ustalił?

Kaszowski nie czuł się urażony, ale był już trochę znużony bezcelowością tej rozmowy, więc udał, że passus Joanny o relatywizmie jego moralności go dotknął, i więcej się nie odezwał. Przycisnął tylko spację na klawiaturze i House mógł wreszcie dokończyć zdanie. Joanna wyszła, udając obrażoną, choć pod spodem lekko się wystraszyła, że w końcu trochę tym razem wbrew swojej intencji dotknęła Kaszowskiego. Chwilę po jej wyjściu Marek zorientował się, że nie jest się w stanie skupić na toczącej się przed jego oczami narracji. W głowie uruchomiła się inna, jego własna narracja wspomnień.

Tamtego wieczora mieli iść do kina, ale kiedy Marek spóźniony o kilka minut przyszedł po Basię do laboratorium, ona wciąż była w swoim kitlu i wydawała się na tyle pochłonięta pracą, że nic nie wskazywało na to, by rychło miała go zdjąć. Kaszowski podszedł do niej od tyłu, podniósł rękę, którą zamierzał dotknąć jej włosów, ale zawahał się i po chwili było za późno.

– Mam wyniki autopsji pana Bakalarczyka. – Wbrew temu, co wydawało się Markowi, Basia czuła jego obecność od momentu, kiedy przekroczył próg laboratorium, a może nawet jeszcze chwilę wcześniej.

– Czyjej? – Cofnął rękę, był trochę zły na siebie, że nie doprowadził gestu

do końca, kiedy był na to czas.

– Zygmunta Bakalarczyka. – Basi wyraźnie nie spodobała się nonszalancja połączona z nutką lekkiego rozdrażnienia, którą usłyszała w głosie Marka. – Staruszka z domu opieki.

– A, no i? – Marek miał pewną cechę charakterystyczną dla samca typu alfa, polegającą na tym, że nigdy nie wycofywał się z żadnej drogi, nawet wobec oczywistych przesłanek świadczących o tym, że droga ta zawiedzie go w najlepszym razie donikąd. Teraz obraną ścieżką była nonszalancja.

Basia знаła tę cechę aż nadto dobrze, przez jakiś czas próbowała z nią walczyć, później dała za wygraną, ale nigdy nie udało jej się tej cechy polubić ani nawet oswoić w sobie negatywnego do niej stosunku. Teraz ruszyła do wieszaka z ubraniami, wprawnym ruchem zdjęła kitel z ramion, przerzuciła płaszcz przez rękę i podeszła do wyłącznika światła.

– I ktoś go zabił. – Basia uwielbiała obserwować, jak na kamiennej masce jego nonszalancji pojawiały się delikatnie spękania. – Idziesz czy będziesz tu nocował?

Kiedy szli mrocznym już o tej porze i pustym korytarzem w kierunku klatki schodowej, Basia, cały czas uśmiechając się w myślach do siebie, czekała na pytanie, które Marek w końcu musiał zadać, choć tak bardzo starał się tego nie zrobić.

– Jak go zabił?

– Żebyś się mógł zainteresować panem Bakalarczykiem, ktoś go musiał zabić? – Basia postanowiła trochę się z nim podroczyć.

– Pracuję w Wydziale Zabójstw i Terroru Kryminalnego, pamiętasz? – Marek wszedł na drogę pojednania.

– W podstawowych badaniach wyszła mi zawyżona morfina. – Basia postanowiła stopniować napięcie.

– Ktoś podał? – Marek nie był już nonszalancki.

– Tak, ale to akurat nic szczególnego, w takich przypadkach ludzie z reguły mają powyżej normy, bo boli ich powyżej normy. – Basia zawiesiła głos i przez chwilę próbowała umknąć od wyobrażenia sobie tego, o czym

przed chwilą powiedziała. – W każdym razie coś mnie tknęło, bo we krwi miał też podwyższony poziom potasu. To niby również normalne, bo po zgonie do krwi uwalnia się dużo tego pierwiastka.

Doszli do klatki schodowej prowadzącej w dół do wyjścia, Marek otworzył i przytrzymał przeszkłone drzwi. Na klatce było ciemno, prawdopodobnie przepaliła się oświetlająca piętro jarzeniówka. Basia przez chwilę się wahała, Marek ruszył przodem i podał jej rękę, żeby w swoich wysokich obcasach nie potknęła się w ciemności. Wyszli na parking komendy, wsiedli do samochodu Marka, przez cały czas nie kontynuowali wątku, ale puenta wisiała w powietrzu. Ona czekała, żeby ją wypowiedzieć, on, żeby ją usłyszeć. Marek włączył silnik.

– Tylko że to był inny potas, inna budowa cząsteczkowa, potas pochodzący z chlorku potasu, a nie potas wytwarzany przez organizm. – Basia upewniła się, czy to, co mówi, jest dla Marka zrozumiałe. – Ujmując rzecz skrótowo, najprawdopodobniej ktoś najpierw uspił go morfiną, a potem zabił zastrzykiem z chlorku potasu.

– Sobiecki zna te wyniki? – Marek ruszył z parkingu.

– Nie, ale czeka.

– To daj mu na razie tylko te podstawowe, bez potasu. – Marek bał się spojrzeć na Basię, wiedział, że znów prosi ją o coś, o co nie powinien. – Tylko od razu trzeba będzie dołożyć jakąś opinię biegłego na temat tej zawyżonej morfiny, że w takich przypadkach to jest normalne.

Wykorzystując fakt, że wyjeżdżając z parkingu, musiał spojrzeć w prawo, zerknął na Basię. Zgodnie z oczekiwaniami doktor Batke nie była zachwycona jego prośbą.

– Później się uzupełni resztę, jakby co. – Marek próbował rozładować sytuację.

– Jakby co – powtórzyła jak echo fragment zdania, który nie wiadomo co właściwie miał oznaczać.

Młody otworzył okno wychodzące na parking na tyłach budynku. Chwilę

wcześniej zauważył, jak Joanna dziarskim krokiem przechodziła obok jego biurka, kompletnie nie zwracając na niego uwagi. Zastanawiał się chwilę, czy powinien unieść się dumą, bo przecież tak naprawdę nie czuł się w najmniejszym stopniu niczemu winien, ale w końcu zdecydował, że będzie wielkoduszny. Może dlatego, że jednak jakiś fuzel zakłócił nieskalaną biel jego sumienia, a może dlatego, że Joanna interesowała go na tyle, że roztrząsanie kwestii, kto w tej sytuacji miał, a kto nie miał racji, wolał odłożyć na później.

– Pani komisarz!!! – zawołał.

Joanna zatrzymała się na moment, spojrzała w jego stronę, ale już po chwili ruszyła dalej w stronę zaparkowanej pod płotem swojej prywatnej hondy crv. Młody zamknął okno i ruszył biegiem na klatkę. Zanim dotarł na parking, Joanna zdążyła już ruszyć. Zwolnił i podszedł do przejeżdżającego samochodu. Joanna zatrzymała auto i uchyliła okno. Ona też, choć jeszcze nieco bardziej od niego przekonana o swojej racji, była najwyraźniej skłonna do podjęcia kompromisowych rozwiązań.

– Jedziesz tam? – spytał.

– Dziwne? – Joanna zachowywała zaczepny ton.

– Nie. – Nie skłamał. Fakt, że Joanna tam jedzie, rzeczywiście wcale go nie dziwił. – Mogę dołączyć?

Pokręciła głową i czekała na rozwój wydarzeń.

– Kiedy ty chciałaś jechać ze mną do księdza, to było okej, a kiedy ja...

– Ja chciałam się zabrać, żeby pomóc, a ty wręcz przeciwnie. – Joannie ta różnica naprawdę wydawała się oczywista.

– Czyli ja zawsze dobrze, inni zawsze źle. – Jacek spróbował obnażyć brak logiki w jej rozumowaniu.

– No jakoś tak wychodzi. – Joanna operowała w zupełnie innej, własnej logice, która była prawdziwsza, spójniejsza, bardziej konsekwentna. Na szczęście jednak Joanna miała też do spójności tej logiki stosunek dosyć swobodny, więc uśmiechnęła się delikatnie, co Młody natychmiast wykorzystał.

– Mogę? – Jacek ruchem głowy wskazał miejsce pasażera.

– Kazał ci mnie doglądać? – Jeszcze zanim skończyła wypowiadać to pytanie, wiedziała już, że nie ma pojęcia, po co zadała je tym tonem.

Jacek zareagował tak, jak musiał, czyli bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę wejścia do budynku.

– No dobrze, przepraszam, plotę bez sensu. – Teraz była na siebie naprawdę zła.

Nie zatrzymał się od razu.

– No chodź. – W jej tonie pojawiła się prośba. – Ja nawet przecież nie wiem, gdzie to jest.

Dziadek

Piotrek tak naprawdę nie rozumiał do końca całej tej mowy półsłówek i porozumiewawczych grymasów, które w jego obecności mama wymieniała z panią Elą, kiedy pojawiał się temat dziadka. Z jednej strony miał świadomość, że dziadek niekiedy znika na jakiś czas, a gdy się później pojawia, jest nieco zmieniony na twarzy i jakby taki bardziej niepewny. Wiedział też, że wiąże się to w jakiś sposób z alkoholem, który na tym etapie życia nie kojarzył mu się właściwie z niczym, może oprócz dziwnych panów, którzy zalegali czasami na ławkach pod ich domem. Dziadek jednak przecież nigdy nigdzie nie zalegał, więc Piotrek nie rozumiał ani półsłówek, ani też tego, że często mama przez długi czas nie chciała z dziadkiem rozmawiać i unikała z nim kontaktu. On zawsze chciał z dziadkiem rozmawiać i nigdy nie unikał z nim kontaktu. Z tego i oczywiście z tysiąca innych powodów dziadek kochał Piotrka nad życie.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, byli właśnie w połowie rozgrywania dziesiątej już z rzędu tego dnia partii karcianej wojny. Dziadek wstał od stolika, zanim jednak ruszył do drzwi, rzucił na Piotrka spojrzenie swych stalowoszarych oczu.

– Tylko nie oszukuj.

– Dziadku! – Piotrek uśmiechnął się nieco szelmowsko, więc kiedy dziadek doszedł do drzwi od pokoju, obrócił się jeszcze nagle dość gwałtownie i pogroził mu żartobliwie palcem.

Do drzwi wejściowych prowadził wąski i mroczny korytarzyk obwieszony dodatkowo z jednej strony ubraniami, a z drugiej obstawiony butami. Kiedy rozbawiony jeszcze sytuacją z Piotrkim dziadek doszedł w końcu do tych drzwi, otworzył je od razu, i to ze sporym rozmachem. Po tym jednak, jak zobaczył przed sobą przesłoniętego częściowo trzymanym w rękach wielkim bukietem tulipanów Waldemara, wyraz jego twarzy w ułamku sekundy zmienił się nie do poznania.

– Dzień dobry panu. – Mężczyźni znali się od lat. Kiedyś ojciec Joanny po prostu za Waldemarem nie przepadał, teraz go nie znosił, a Waldemar doskonale o tym wiedział. – Czy zastałem Joannę?

Przez chwilę trwało milczenie, w czasie którego dziadek zastanawiał się, czy walnąć Waldemara od razu, a Waldemar zastanawiał się, co zrobi, kiedy nadciągnie cios.

– Nigdy tu nie przychodź. – Dziadek zmiarkował, że ze względu na Piotrka nie powinien pod żadnym pozorem doprowadzić do sytuacji, której potem nie będzie mu potrafił wyjaśnić.

– Bo co? – Waldemar był zły, bo spodziewał się odbyć prawdopodobnie średnio miłą, ale jednak rozmowę z kobietą, a skończyło się na rozmowie bardzo niemiłej, i to z jej starym ojcem.

– Bo cię zastrzelę. – To zdanie stary ojciec wypowiedział z prostotą i pewnością, która najwyraźniej przekonała Waldemara, bo nie powiedział już nic więcej, tylko odwrócił się i niespiesznym krokiem ruszył na schody.

Dziadek stał jeszcze chwilę pod drzwiami, odzyskując równowagę zachwianą wizytą człowieka, który doprowadził kiedyś jego córkę na skraj rozpacz, wreszcie przetarł twarz dłońmi i wrócił do salonu.

– Oczywiście oszukiwałeś. – Dziadek teraz uśmiechał się nieco inaczej niż parę minut temu. Piotrek, który był dzieckiem bardzo bystrym, zauważył tę niewielką różnicę, ale nie odniósł się do niej, bo jego bystrość polegała też i na tym, że wiedział, kiedy nie należy zbyt dążyć. Pokręcił głową.

Dziadek usiadł naprzeciw, podniósł kartę ze swojej części talii i położył ją na stole. Była to dziesiątka pik, którą Piotrek zbił czerwoną królową kier.

– A kto to był? – zapytał, bo przyszło mu do głowy, że brak tego pytania wyda się dziadkowi podejrzany.

– Komiwojażer. – Dziadek wyciągnął króla i uśmiechnął się przekonany, że teraz nic już mu nie może zagrozić. Jakież było jego zaskoczenie, kiedy Piotrek odkrył asa pik.

– Komi kto?

– Pan od kablówki. – Dziadek wyłożył szóstkę trefl, którą Piotrek zbił ósemką. – I teraz już jestem pewien, że oszukiwałeś.

Dom opieki społecznej znajdował się w Milanówku, przy czym administracja, stołówka i sale do zajęć dziennych mieściły się w starej przedwojennej, dawno nieremontowanej willi, natomiast na część mieszkalną przeznaczono wybudowany na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pawilon, który przypominał nieco budowane w tym samym okresie szkoły tysiąclatki, powstające wtedy jak grzyby po deszczu dla uczczenia tysiąclecia polskiej państwowości. Joanna i Jacek weszli do obszernego holu, w którym przed wojną prawdopodobnie jakaś pani hrabina przyjmowała zaproszonych na popołudniową herbatkę gości. Kiedy tylko przekroczyli próg holu, nieomal od razu podszedł do nich pan z wąsem i w czarnym moro z naszywką „Security”. Joanna przez moment spróbowała wyświetlić sobie w głowie koncepcję, na której mógł oprzeć się właściciel firmy reprezentowanej przez ochroniarza, kiedy tworzył widniejącą na naszywce nazwę firmy, ale rychło odpuściła sobie te usiłowania.

– Państwo do kogo? – ochroniarz ewidentnie starał się być bardziej stanowczy, niż wynikało to z jego charakteru.

– Do dyrektora Koźmińskiego. – Młody na szczęście już zawczasu przypomniał sobie nazwisko dyrektora, z którym się spotykali, gdy przyjeżdżał tu z Kaszowskim.

– Oj, to dwa lata wstecz musieliby państwo się cofnąć. – Ochroniarz

błysnął poczuciem humoru. – Już tu nie pracuje.

– W takim razie do obecnego dyrektora. – Joanna obserwowała przyglądających im się starych ludzi.

– A w jakiej sprawie? – Ochroniarz chyba nie czuł się przesadnie dobrze w powierzonych roli, ale znał procedury i starał się je sumiennie realizować.

Jacek, który też już zdążył zauważyć, że z różnych stron pojawiało się coraz więcej starszych, bardzo zaciekawionych ich przybyciem ludzi, wyjął odznakę i pokazał ją ochroniarzowi, nie wdając się w dalsze wyjaśnienia. Stosunek ochroniarza do nich zmienił się diametralnie. Wynikało to jednak raczej z poczucia pewnej organizacyjnej współprzynależności niż z lęku czy przesadnego szacunku do organów ścigania.

– Rozumiem, oczywiście. – Uśmiechnął się porozumiewawczo. – Proszę momentik poczekać. – Wszedł za kontuar mieszczącego się w rogu holu ochroniarskiego kantorka, podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer.

Tymczasem Joanna i Jacek rozglądali się z narastającym poczuciem wyobcowania. Z wiodących na piętro schodów, z korytarza prowadzącego najprawdopodobniej do stołówki, z drzwi wychodzących na mieszczącą się na tyłach willi werandę przyglądało im się już w tej chwili łącznie kilkanaście osób.

– Jesteśmy jacyś dziwni? – spytała cicho Joanna, nie patrząc nawet na Jacka.

– Tak. – Kiwnął głową. – Jesteśmy młodzi.

Ochroniarz skończył już tymczasem rozmowę i wrócił do nich.

– Niestety, pana dyrektora dziś nie ma, ale może państwa przyjąć pani wicedyrektor. – Upewnił się, czy będą zainteresowani takim rozwiązaniem. – Pani Wilgus odpowiada za personel medyczny.

Młody spojrzał na Joannę i skinął głową.

– To proszę za mną w takim razie.

Cała trójka ruszyła korytarzem prowadzącym w stronę jadalni. Grupa starszków, którzy przyglądali im się z tej strony, rozstąpiła się, by ich przepuścić, a Joanna poczuła się trochę, jakby została wpuszczona do

wnętrza dziwnego świata, z którego trudno będzie jej się później wydostać.

– A pan tu od dawna? – Jacek zdecydował się po chwili przełamać ciężące trochę milczenie.

– Od początku. – Ochroniarz się zastanowił. – To znaczy od początku, jak pracuję zawodowo. Na kotłowni zaczynałem. Teraz to już centralne tu mamy.

– A pamięta pan może Zygmunta Bakalarczyka, był tu kiedyś... – Joanna nie zdążyła dokończyć.

– Oczywiście. – Ochroniarz się uśmiechnął. – Pana Zygmunta wszyscy tu pamiętają, chociaż nawet długo nie był, ale żywe srebro, jak to się mówi. Ja się zresztą domyśliłem, że państwo jeszcze w tamtej sprawie.

– Tak, a skąd? – zainteresowała się Joanna.

– Bo tu nic innego się nigdy nie wydarzyło, żeby policja była.

Cała trójka minęła w tym momencie jeden z niewielu mieszczących się w części willowej pokoi pensjonariuszy; przez uchylone drzwi widać było stojącą tyłem do nich wpatrzoną w coś za oknem starszą, siwą jak gołąbek kobietę. W padającym przez okno świetle wyglądała na tyle zjawiskowo, że Joanna zatrzymała się na moment, by na nią popatrzeć.

– To nasza pani Leokadia – powiedział ochroniarz nagle zupełnie innym, jakby cieplejszym tonem. – Legenda tego domu, jest tu chyba nawet dłużej, niż ja pracuję.

Joanna popatrzyła jeszcze chwilę na kobietę, po czym ruszyła, a wraz z nią panowie.

– Pewnie też znała pana Zygmunta. – Jacek podjął główny wątek.

– O tak, była bardzo z nim związana, ogromnie przeżyła jego śmierć, mnie się nawet czasem wydaje, że wciąż ją przeżywa. – Ochroniarz uchylił wygłuszane drzwi, obok których wisiała tabliczka z lakoniczną informacją „Dyrektor”. – A swoją drogą mówili, że sprawa już zamknięta.

– W zasadzie zamknięta, tak tylko chcemy się upewnić, czy wszystko przeprowadzono jak należy. – Joanna zerknęła na ochroniarza. – A co pan myśli o tej sprawie?

– Ja nie jestem tu od myślenia, ale moim zdaniem jak zamknięta, to po co

otwierać?

Joanna pokiwała głową i jako pierwsza weszła do sekretariatu dyrektora.

Kiedy chwilę później oboje usiedli przed zażywną, na oko trzydziestoletnią panią dyrektor, Młody przeżył déjà vu. W gabinecie, w którym ponad dwa lata wcześniej był z Kaszowskim, nic się nie zmieniło. Jackowi wydawało się nawet, iż wniesione w tym momencie przez tę samą co wtedy sekretarkę szklanki z herbatą w koszyczkach zostały ustawione w tej samej geometrycznej sekwencji.

– Wydaje mi się, że pan był już u nas. – Pani dyrektor zagadnęła tak, jakby siedziała mu w głowie. – Z takim drugim, lekko siwiejącym panem był pan jeszcze u dyrektora Koźmińskiego. Tamten drugi pan, przepraszam, może nie powinnam, ale taki mało sympatyczny nam się wtedy wydał. A co państwa do nas tym razem sprowadza?

Młody kiwnął głową, a Joanna uśmiechnęła się do swoich myśli. Jakież to zaskakujące, że ktoś w zupełnie innym miejscu, inaczej też do Kaszowskiego ustosunkowany, a właściwie tak naprawdę zupełnie nieustosunkowany, odbierał go dokładnie tak samo jak ona.

– Tak, to by się zgadzało. – Joanna nie mogła się powstrzymać od tej ironicznej konstatacji. – Ja się nazywam Joanna Majewska, jestem komisarzem policji, a sprowadza nas sprawa śmierci pana Zygmunta Bakalarczyka.

– A tak. – Pani dyrektor próbowała sobie przypomnieć sprawę. – To już będą ze trzy lata. No właśnie i panowie chyba wtedy w tej sprawie właśnie do Koźmińskiego przychodzili. A co tam teraz z tym, coś nowego się okazało?

Słuchając pani dyrektor, Joanna zastanawiała się, czy jej próby przypomnienia sobie sprawy i dosyć lekki do niej stosunek świadczyły o tym, że kobieta miała nieszczególnie wysublimowany stosunek do spraw ważnych, czy o tym, że śmierć w takim miejscu stanowiła raczej codzienność, czy może o tym, i taka koncepcja z jej punktu widzenia była najbardziej warta rozpatrzenia, że pani dyrektor udawała jedynie lekki stosunek do czegoś, co tak naprawdę błahą sprawą wcale dla niej nie było.

– Właściwie nic się nie okazało... – mówiąc to, Joanna przyglądała się

reakcji pani dyrektor – ...jeszcze, ale są, powiedzmy, pewne informacje, które wymagają doprecyzowania. Poprzedni dyrektor twierdził na przykład, że być może rodzina...

– Że rodzina go zabiła? – Pani dyrektor wciąła się raptownie i jakby trochę nie do końca adekwatnie.

– Może nie aż tak dosłownie. – Młody włączył się do rozmowy. W końcu to on, a nie Joanna był świadkiem delikatnych supozycji, które czynił w swoim czasie dyrektor.

– Świętej pamięci pan dyrektor Koźmiński to był wspaniały człowiek, ale może przez to, że starej daty, pamiętał jeszcze okupację, potem komunę, wie pani, może przez to był trochę zbyt podejrzliwy. – Pani dyrektor z każdą chwilą zaskakiwała Joannę, która miała poważny problem z przyporządkowaniem jej do którejś z kategorii stworzonych we własnej głowie na potrzeby pracy policyjnej. Z jednej strony wydawała się niezbyt rozgarnięta, a chwilę później znów stawiała trafne i psychologicznie pogłębione diagnozy.

– Podejrzliwy zupełnie jak ja. – Joanna się uśmiechnęła. – I to bez okupacji i bez komuny.

– No tak, ale pani jest policjantką – zauważyła pani dyrektor, próbując usprawiedliwić Joannę, choć nie było to potrzebne. – Może zresztą dyrektor minął się trochę z powołaniem. W każdym razie mogą państwo w każdej chwili oczywiście porozmawiać z rodziną, chociaż to już ten pan mało sympatyczny chyba tam chodził?

Pani dyrektor zerknęła na Jacka, szukając u niego potwierdzenia. Młody kiwnął głową, w tym samym momencie Joanna spojrzała na niego, z trudem hamując złość. Znów wychodziła na amatorkę, bo po raz kolejny nie wiedziała o czymś, o czym powinna była wiedzieć od początku. Nie wiedziała, bo nie było o tym nic w aktach i nikt, ze szczególnym wskazaniem na Jacka, jej o tym nie powiedział.

– Mogę też państwu dać namiar na lekarza, który zna przypadek i nadal zresztą u nas pracuje na pół etatu. – Pani dyrektor zorientowała się prawdopodobnie, że sytuacja raptownie się napięła, i próbowała jakoś pomóc

ją rozładować. – Może też pani Leokadia coś powie. Oni byli bardzo związani. Tylko że ona już teraz też raczej bliżej niż dalej, jeśli wiedzą państwo, co mam na myśli. A ja byłam też wtedy szefową personelu medycznego, ale nie pamiętam nic niepokojącego w tej sprawie. Zresztą wtedy mnie panowie ostro wymagłowali.

Pani dyrektor spojrzała na Młodego z pewną dozą kokieterii, a on, myśląc już tylko o czekających go po wyjściu z gabinetu ciężkich chwilach, kiwnął głową trochę bezwiednie.

Ojciec nie mógł sobie za nic przypomnieć, czy Joanna prosiła, żeby więcej z Piotrkim wychodził, czy – wręcz przeciwnie – nalegała, żeby zrezygnowali ze spacerów. Teraz siedział na ławce z gazetą w ręku, a Piotrek huśtał się na huśtawce kilka kroków od niego. Obok Piotrka huśtał się Wojtek, do niedawna wróg Piotrka numer jeden, z którym jednak od pamiętnych wydarzeń w szkole połączyła go silna więź koleżeńska, dobrze rokująca na przyszłość. Na razie chłopcy bujali się obok siebie, przy czym Piotrek siedział, bo tak nauczyła go mama, a dziadek zawsze pilnował jej przykazań, jego kolega zaś stał.

– Dawaj, wstawaj, jest o wiele fajniej – namawiał Wojtek. Robił to jednak na tyle cicho, żeby nie usłyszał go siedzący nieopodal przysłonięty czytaną gazetą dziadek.

Piotrek też zerknął w stronę dziadka. Nie zdecydował się od razu.

– No spróbuj, na chwilę. – Wojtek nie odpuszczał.

W końcu Piotrek najpierw zatrzymał huśtawkę, następnie bardzo powoli i niepewnie wstał, wreszcie zaczął się bujać na stojąco, naśladując ruchy Wojtka. Rzeczywiście warto było spróbować, wrażenia były zupełnie inne, Piotrek czuł się, jakby szybował w powietrzu, gdzieś wysoko ponad ziemią. W pewnym momencie przymknął oczy, a chwilę później stracił równowagę.

Joanna i Młody szli w milczeniu korytarzem, Młody czekał na nadejście ataku, ale Joanna była tak wściekła, że nie chciało jej się go nawet przeprowadzić. W końcu on postanowił przekłuć balon.

– Od tej rodziny niczego się nie dowiedzieliśmy – zaczął. – To znaczy Kaszu rozmawiał, ale nic z tego właściwie nie wynikło.

Joanna już chciała dać upust swojej wściekłości, ale w tym momencie znaleźli się znów przy na wpół otwartych drzwiach do pokoju pani Leokadii. Teraz kobieta siedziała na złożonej wersalce, za którą wisiała na ścianie słomiana makatka z poprzyczepianymi pocztówkami. Obok niej na tej samej wersalce siedziała ubrana w stylonowy granatowy fartuch salowa, która cierpliwie usiłowała nakarmić starszą panią zupą. Efekty tego karmienia były mierne, pani Leokadia najwyraźniej nie była zainteresowana jedzeniem, myślami krążyła gdzieś daleko, być może w świecie wspomnień z pocztówek za jej plecami. Joanna zatrzymała się na chwilę w otwartych drzwiach i wtedy nagle pani Leokadia podniosła wzrok, spojrzała na nią i się uśmiechnęła. Joanna zaskoczona weszła do niewielkiego pokoju, stanęła w pewnej odległości od staruszki i też się uśmiechnęła. Kiedy patrzyła na tę kobietę, odniosła wrażenie, że kojarzy się jej z kimś, kto budzi w niej bardzo ciepłe wspomnienia.

– Usiądź, córeczko. – Pani Leokadia nie patrzyła już teraz na policjantkę, ale nie mogło być żadnych wątpliwości, że mówiła właśnie do niej.

Joanna usiadła na wytartym fotelu stojącym naprzeciwko wersalki. Młody stał w drzwiach, obserwował sytuację i nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

– Proszę się nie przejmować, wszystkie tu jesteśmy córkami pani Leokadii – objaśniła salowa i podjęła cierpliwą próbę z kolejną łyżką zupy. Próba zakończyła się fiaskiem. Tym razem salowa pokręciła głową, odstawiła miskę z zupą z utkwioną w niej łyżką na stoliku obok.

– Idę, może sama potem pani zje, pani Leokadio. – Salowa wstała i ruszyła do drzwi, a staruszka pokiwała głową, żeby salowej nie było przykro.

– I mąż też niech sobie usiądzie. – Pani Leokadia spojrzała na Jacka na tyle przenikliwym spojrzeniem, że po plecach przebiegł mu delikatny dreszcz.

– To nie jest mój mąż, pani Leokadio. – Joanna próbowała uchwycić nić porozumienia, którą właśnie dostrzegła.

– Na razie nie jest. – Wyglądało na to, że komunikacja została nawiązana, bo teraz staruszka patrzyła na policjantkę zupełnie przytomnym wzrokiem.

Joanna wciąż nie mogła sobie przypomnieć, z kim kojarzy jej się pani Leokadia, jej spojrzenie, kształt dłoni, pomarszczona skóra na twarzy, wszystko to wydawało jej się znajome, a może po prostu budziło uczucie tak intensywnej ufności, że osoba postrzegająca świat racjonalnie, tak jak Joanna, potrafiła sobie to wrażenie wytłumaczyć tylko tym, że wcześniej znała już kogoś podobnego, kto budził właśnie takie zaufanie.

– Piękny pierścionek. – Pierścionek rzeczywiście wydał jej się bardzo ładny, ale sama Joanna zdziwiła się bezpośredniością wyrażonej konstatacji, nie mówiąc o Młodym, który wciąż nie rozumiał rozgrywającej się przed nim sceny.

Jedyną osobą, która wydawała się zupełnie niczym niezdziwiona, była staruszka.

– Pani Leokadio, pani, zdaje się, znała dość blisko pana Zygmunta Bakalarczyka, który był pensjonariuszem tego domu? – Joanna postanowiła wykorzystać moment i przejść do tematu, który frapował ją najbardziej.

Starsza pani zamyśliła się, co wyglądało trochę tak, jakby próbowała sobie przypomnieć, o kogo pyta ją Joanna. Tak naprawdę jednak nie musiała sobie nic przypominać, wahała się tylko, czy chce sobie to przypominać. W końcu zerknęła na pierścionek i podjęła decyzję.

– Och, jaki to był przystojny młodzieniec. – Leokadia spojrzała na Joannę oczami, w których wcześniejsze ciepło zmieniło się w żar. – Nie widziała pani takiego chyba nigdy, a w tym fraku na balu to już można było zupełnie zwariować – urwała.

Joanna spojrzała na Młodego, a on lekko się uśmiechnął. Od kilku chwil odnosił wrażenie, że pobyt w tym pokoju, oprócz tego, że niesie za sobą jakiś emocjonalny ładunek, którego źródła nie był w stanie zlokalizować, to do rozwiązania rozwiązanej już zresztą w jego mniemaniu od dawna sprawy wiele wniesć nie może.

– No i sfiksowałam. – Głos pani Leokadii stał się nagle o wiele silniejszy, nieco nawet dramatyczny. – To było zaraz... w trzydziestym dziewiątym matura, czyli pewnie jakoś zimą trzydziestego ósmego.

Joanna pokiwała głową, wciąż czuła się tu dobrze, ale podobnie jak Młody nabrała przekonania, że żadnych wartościowych informacji w sprawie nie uda im się pozyskać. Pani Leokadia spojrzała na pierścionek raz jeszcze.

– A ten pierścionek, co się pani tak podoba, to od niego.

W torebce Joanny cicho zabręczał telefon, Joanna zajrzała i zobaczyła wyświetlający się napis „ojciec”. Wyciszyła dzwonek i spojrzała na staruszkę.

– Rozumiem, pani Leokadio, teraz musimy już jechać, ale na pewno jeszcze panią odwiedzimy w najbliższym czasie. – Joanna wstała trochę zła na siebie, bo kłamała, a nie lubiła tego robić. – I proszę zjeść zupę, bo za chwilę zupełnie wystygnie.

– Zjem, zjem. Jeśli macie odwiedzić, to szybko, bo ja niedługo będę się zbierać, ale oczywiście to tylko, jakbyście naprawdę potrzebowali.

Pani Leokadia uśmiechnęła się raz jeszcze, pogłębiając zakłopotanie Joanny, która poczuła się, jakby starsza pani czytała w jej myślach.

– Szybko, oczywiście. – Joannie znów było wstyd. – Do zobaczenia, pani Leokadio.

– Uważaj na tego swojego. Ci przystojni jakoś potem zawsze tak znikają.

– Będę uważała. – Joanna ruszyła do drzwi. Młody, którego dotyczyła ta ostatnia uwaga, też wstał i skłonił się delikatnie.

– A jak masz na imię, córeczko? – spytała jeszcze pani Leokadia.

– Joanna.

Szli korytarzem. Ona miała problem z ustawieniem sobie świata po tej krótkiej, dziwnej i mało owocnej z punktu widzenia dochodzenia wizycie. On szybko zwietrzył w tym swoją szansę. Joanna wyglądała na zabsorbowaną panią Leokadią, więc a nuż zapomniała o powodzie swojej wcześniejszej złości.

– Pani Leokadia chyba za bardzo nam nie pomoże – zagaił, sondując sytuację.

– Chyba nie, zostaje nam lekarz i ta rodzina. – Joanna jednak sobie przypomniała. – Którą odwiedziliście z Kaszowskim, o czym mi nie

powiedziałaś i o czym nie ma nic w aktach.

W torebce znów zabrzączał telefon, Joanna go wyjęła, teraz mogła już odebrać, chociaż wcale nie miała na to szczególnej ochoty.

– Tak, tato? – Wyraz jej twarzy w ciągu kilku sekund zmienił się tak bardzo, że Młody od razu wiedział, że musiało stać się coś naprawdę poważnego.

Ojciec dzwonił ze szpitala. Gdy tylko skończył połączenie z Joanną, ruszył truchtem za prowadzonymi przez szpitalnych sanitariuszy noszami na kółkach. Na noszach leżał nieprzytomny Piotrek, jego głowa była szczelnie obandażowana, a na bandażu w okolicach prawego oka z każdą chwilą powiększała się plama złowieszczej czerwieni.

Joanna była tak zdenerwowana, że o prowadzeniu auta nie mogło być mowy. Na szczęście Młody od razu zaproponował jej zamianę. W szpitalu znaleźli się pół godziny później. Jacek chciał zostać, ale widać było, że jego obecność, czyjakolwiek zresztą, działałaby na nią jeszcze bardziej deprymująco. Na szczęście Jacek okazał się na tyle emocjonalnie inteligentny, że w mig odczytał jej zakłopotanie. Umówili się, że pojedzie jej samochodem do komendy i kiedy tylko będzie potrzebowała, wróci po nią i po Piotrka.

Joanna weszła do holu na izbie przyjęć i od razu się zorientowała, że o ile Piotrek najprawdopodobniej szybko wydobrzeje po wypadku, o tyle siedzący teraz w kącie z twarzą ukrytą w dłoniach ojciec będzie dochodził do siebie znacznie dłużej. Wytrąciło ją to z równowagi, bo znów wyglądało na to, że będzie miała do holowania nie jedno, a dwoje dzieci, przy czym temu starszemu będzie musiała długo i z uporem udowadniać, że w tym, co się stało, nie było jego winy. Zupełnie nie miała na to teraz ochoty.

– No cześć, tato. – Spróbowała się uśmiechnąć.

Ojciec podniósł głowę, był zaskoczony, albo zaskoczenie udawał, usiłując się nim zasłonić. Z tym się Joannie kojarzył alkohol – człowiek cofał się w rozwoju emocjonalnym. Dopóki żyła mama, ojciec z wszystkimi swoimi

wadami był mężczyzną odpowiedzialnym, może nawet zbyt odpowiedzialnym, i z całą pewnością dojrzałym, kiedy jednak mama odeszła, a on zaczął w szybkim tempie wpadać do butelki, z roku na rok wydawał się córce coraz bardziej infantylny.

– Wiem od lekarza, że nic złego się nie stało. – Joanna rozpoczęła realizację swojej misji.

– Dzwoniłaś? – Tym razem ojciec chyba naprawdę był zaskoczony, może sam zbyt się bał dowiadywać o cokolwiek, czekał więc tu jak na wyrok.

– Dzwoniłam, robią jeszcze jakieś rutynowe badania, ma pęknięty łuk brwiowy, już jest zszyty, podejrzewają lekkie wstrząśnienie mózgu, ale raczej zabierzemy go dziś do domu.

– Bogu dzięki. – Ojciec nagle się rozplakał.

Joanna pomyślała, że przecież nigdy nie był wierzący, wprowadzie takie powiedzonka funkcjonowały w języku polskim bez względu na stosunek mówiącego do wiary, ale ojciec akurat nigdy wcześniej do Boga się nie odwoływał. Może się modlił, zanim przyszła. Joannie zrobiło się go żal, co ją rozzłościło, bo już wcześniej wiedziała, że tak to się skończy.

– Jak to się stało? – zapytała po chwili.

– Huśtał się, ja czytałem gazetę, nagle usłyszałem krzyk i był na ziemi.

– Huśtał się na siedząco? – Joanna zaczęła dociekać, bo miała to we krwi, wiedziała jednak, że w tej chwili nie miało to tak naprawdę żadnego znaczenia.

– Chyba tak, jak siadał, mówiłem mu...

Od strony drzwi wahadłowych przeszklonych mleczną szybą wyszedł lekarz o dziobatej twarzy, w zielonych spodniach i białym kitlu. Rozejrzał się po siedzących w holu zakurzonych od wielogodzinnego czekania ludziach i ruszył prosto w kierunku Joanny i jej ojca.

– Państwo Majewscy? – zwrócił się bardziej do ojca.

– Tak – odpowiedziała Joanna.

– A, to pani dzwoniła. – Lekarz rozgryzł kontekst albo poznał ją po głosie. Ona w każdym razie go poznała i pomyślała, że głos zapowiadał kogoś

wizualnie atrakcyjniejszego. Kiwnęła głową.

– No, to tak jak mówiłem, wszystko dobrze. – Lekarz zawiesił głos, a Joanna się przestraszyła, bo to zawieszenie zwiastowało jakieś „ale”. – Ale jednak zdecydowaliśmy się zatrzymać Piotrka na obserwację. Myślę, że jedna doba wystarczy.

– Będę mogła przy nim zostać? – Joannie ulżyło, bo obawiała się jakiegoś gorszego komunikatu.

– Tak, myślę, że nie powinno być problemu.

Ojciec, który nie odezwał się ani słowem, teraz nagle wstał, zabrał z ławki kaszkiet i ruszył w stronę wyjścia.

– Tato, gdzie idziesz?

Mężczyzna już się nie odwrócił, a ona od razu zrozumiała, że teraz przez dwa tygodnie tata będzie się pochylał nad swoją małością.

Piotrka wypuszczono do domu już następnego ranka. Wszystkie wyniki miał prawidłowe, nie pojawiły się też zawroty głowy ani mdłości, więc wstrząśnienie mózgu wykluczono. Joanna odwiozła go do domu, zostawiła w rękach pani Eli i pojechała prosto do pracy. Wiedziała, że jeśli po nieprzespanej nocy choćby zdejmie w domu palto, nie mówiąc już o butach, to dzień w pracy będzie stracony. Wszyscy w komendzie wiedzieli o wypadku, Talak dzwonił do niej od samego rana, był wyraźnie zaniepokojony, a ona nie bez przyjemności skonstatowała, że jego zainteresowanie jest szczerze i bezinteresowne. Może nie tylko aspirant Czerwiński, ale też inni zaczęli ją powoli akceptować. Kiedy poczuła, że jej na tym zależy, w pierwszej chwili pomyślała, że to przejaw braku profesjonalizmu, bo przecież nie można lubić kogoś, kogo się kontroluje, ale po chwili dotarło do niej, że tak naprawdę ona nie tylko ich kontroluje, lecz to kontrolowanie nie jest już nawet najważniejsze. Po półgodzinie, kiedy znalazła się w końcu za swoim biurkiem, nastąpiło jednak to, co nieuniknione, i Joannę opadła kompletna atrofia woli do zrobienia czegokolwiek. Taką właśnie, wciąż w płaszczu, z torebką w ręku, tępo wpatrującą się w ekran komputera, zastał Jacek.

– Można? – spytał od drzwi, trzymając w rękach dwa kubki kawy.

– Jasne. – Spojrzała na kubek z kawą jak na kielich świętego Graala. – Przyszedłeś mnie zbawić?

– Zimno ci? – Jacek podszedł do biurka, postawił kawę przed Joanną i popatrzył na jej zapięty pod szyję płaszcz.

– A, nie, jakoś tak, nie mogę wystartować... – Uśmiechnęła się i pomyślała, że przyście tutaj było jednak dobrą decyzją.

– Nie dziwię się. Jak mały?

– Dobrze. Guz i szwy na łuku brwiowym. – Joanna wypila łyk kawy. – Podejrzewali wstrząśnienie mózgu, ale puścili nas rano do domu. Zostawiłam go z opiekunką.

– A ojciec? – Choć Joanna niewiele Jackowi na ten temat mówiła, on się pewnych rzeczy domyślał.

Nie miała siły o tym rozmawiać, pokręciła więc tylko głową.

– Tak już jest z nami, facetami. – Młody postanowił jakoś zmiękczyć sytuację. – Syn dziecko, ojciec też dziecko. Zdarza się, że jeszcze mąż dziecko.

– Tak, tylko akurat pierwszy raz od wielu lat coś się zaczęło zmieniać, jakby spokojniejszy się zrobił, bardziej skupiony, mądrzejszy, cholera wie...

– Joanna próbowała zebrać myśli. – Kontakt z Piotrkim fajny nawiązał. Czemu to tak musi trzymać?

– Bo jest mocne. – Młody usiadł okrakiem na krześle, ujął kubek w dłoń. – Mój ojciec nie pije jakieś pięć lat. Wcześniej pił dwadzieścia, a potem dziesięć jeszcze walczył. Detoksy, odwyki, terapie, AA, ciągle wracało... Jak miałem osiemnaście lat, dostałem sepsy. Było chyba słabo. Tydzień tańczyłem między światami, a on przy mnie dzień i noc. Jak tylko odzyskałem przytomność, poszedł w cug, miesiąc picia dzień w dzień, noc w noc. Ledwie z tego uszedł z życiem.

Młody się zadumał, wypił kolejny łyk kawy. Joanna przyglądała mu się i pomyślała, że ten kraj jest zdziesiątkowany przez alkohol może nawet bardziej, niż dziesiątkowały go wszystkie historyczne hekatombi.

– I potem już nic nie wypił – podjął Młody. – Pięć lat. Nigdy nie wiadomo,

ale wydaje mi się, że już nie wypije.

Joanna wzięła do ręki kubek, dopiero teraz, napojona już trochę kawą, zaczęła dostrzegać niuanse rzeczywistości. Na kubku, który trzymała w ręku, widniał przekreślony flamastrem napis „I love Marek”. Przez moment zawahała się, czy pić, po czym uśmiechnęła się do Młodego i wypila większy jeszcze niż poprzednio łyk z kubka Kaszowskiego.

– No dobrze. – Młody przejął inicjatywę. – Chodź, pojedziemy pogadać z doktorkiem.

– A ta rodzina pana Zygmunta? – Joanna spojrzała na Młodego, ściągnięciem brwi przekazując komunikat, że wcale nie zapomniała mu wczorajszego niedopatrzenia.

– Jak było z Kaszowskim i z rodziną, opowiem ci po drodze. Jeśli uznasz, że trzeba ich odwiedzić, to pojedziemy. – Młody aż sam się zdziwił, jak bardzo zależy mu na zaufaniu pani komisarz.

Joanna pokiwała głową, wydawała się nieomal udobruchana.

Jacek i Kaszowski musieli przejść od samochodu dobre kilkadziesiąt metrów przez błoto zmieszane z rozpuszczonym wapnem. Marek zastanawiał się, dlaczego w tym kraju musi to wyglądać tak dołująco. Dlaczego wszystkie budowy muszą zawsze w tak agresywny sposób atakować otoczenie swoją brzydotą i bałaganem? Czy była to kwestia mentalności społecznej, czy może uwarunkowań klimatycznych? Czy gdyby rocznie spadało na tę ziemię mniej lepkiej wilgoci, wyglądałoby to inaczej? Na budowie krzątało się kilku robotników, którzy swoim wyglądem idealnie zlewali się z otoczeniem. Określenie „krzątało się” było w tym wszystkim kluczowe, bo działania podejmowane przez mężczyzn o twarzach czerwonych i opuchniętych, w brudnych, podartych ubraniach, przypominały trochę mantrę beznadziei. Mantra owa przejawiała się na przykład tym, że jeden z mężczyzn przewiózł najpierw taczkę z workiem cementu z miejsca A w miejsce B, by już po chwili jego kolega mógł przewieźć ją z powrotem w miejsce A. Marek z Młodym ruszyli w kierunku człowieka stojącego przy betoniarce, który choć też wyglądał na zmęczonego brakiem sensu i higieny życiowej, to

jednocześnie jego fizis zdradzała, że może być nieco bardziej rozgarnięty od pozostałych.

– Dobry! – huknął Kaszowski, próbując przekrzyczeć chrzęst mielącej otaczającą ich brzydotę betoniarki.

– Bry. – Mężczyzna przy betoniarce zerknął na nich z obojętnością nieadresowaną do nich konkretnie; najprawdopodobniej z podobną obojętnością obserwowałby wybuch bomby wodorowej.

– Szukamy pana... – Kaszowski zerknął na Młodego.

– Zenona Mirosławskiego – dokończył Młody, który nie musiał nawet zaglądać do notesu, bo do pierwszego wyjazdu w teren ze swoim przełożonym przygotował się perfekcyjnie.

– Za domem powinien być. – Mężczyzna skierował wzrok na szarą magmę przewalającą się z kleistym łoskotem w bębnie betoniarki. – Szlichtę leją.

– Dawno budujecie? – Z przyczyn dla Młodego niezrozumiałych Kaszowski podjął próbę dalszej konwersacji z mężczyzną na stałe połączonym z szarą breją.

– Chyba ze dwa lata będą. – Mężczyzna o dziwo nieco się ożywił. – Ale przestoje byli, chyba pęgi brakło czy coś, dopiero tydzień temu ruszyliśmy fest.

– Czego brakło? – Kaszowski znał większość środowiskowych narzeczy, ale ze słowem „pęga” nie było mu dane do tej pory się zetknąć.

– No pęgi, sosu, sałaty... gotówki nie mieli.

Komisarz pokiwał głową, ta informacja zarówno jemu, jak i Młodemu wydała się interesująca. Już chciał podjąć dalsze zgłębianie tematu finansowania budowy, gdy zza domu wyszedł postawny mężczyzna w pikowanej kurtce, eleganckich wełnianych spodniach w kant i brązowych butach typu oksford. Mężczyzna stąpał po zbroczonej błotno-betonową breją ziemi, jakby się nad nią unosił. Kaszowski spojrział na swoje, mocno już uwalane półbuty, potem na błyszczące oksfordy mężczyzny.

– Dzień dobry – powitał ich tamten bez cienia życzliwości. – O co chodzi?

– Dobry – Kaszowski z trudem oderwał wzrok od butów mężczyzny. –

Komisarz Marek Kaszowski, Komenda Stołeczna. Chcielibyśmy z panem chwilę porozmawiać.

Mężczyzna z człowieka po prostu niesympatycznego stał się człowiekiem bardzo niesympatycznym i spieszącym się.

– O czym?

– O pańskim teściu. – Kaszowski już teraz nie patrzył na buty, lecz na twarz pana Zenona.

Pan Zenon, który prawdopodobnie już wcześniej domyślał się, o czym będą chcieli z nim rozmawiać policjanci, dzięki poprzedniej odzywce zyskał na czasie, przegrupował siły i teraz przystąpił do kontrataku.

– A skąd ja wiem, że panowie są w ogóle z policji?

Kaszowski sięgnął do kieszeni, w której jak zwykle nie znalazł odznaki, ale za to Młody znalazł swoją bez problemu.

– A czy to jest jakieś oficjalne przesłuchanie, bo ja nie bardzo mam w tej chwili czas dla panów. – Pan Zenon spieszył się coraz bardziej. – Jeśli rozmowa ze mną jest konieczna, to proszę mnie wezwać oficjalnie.

Kaszowski znów zerknął na dziurkowane oksfordy pana Zenona.

– Oczywiście – uśmiechnął się. – W takim razie wezwiemy pana oficjalnie. Prawdopodobnie wezwiemy pana wiele razy.

Pan Zenon chciał jeszcze chyba coś powiedzieć, ale zrezygnował, bo musiałby już mówić do pleców odchodzących policjantów.

Gabinet doktora Nowaka, który z ośrodkiem opieki współpracował od dwudziestu pięciu lat, czyli właściwie od zarania swojej kariery, mieścił się na piętrze tej samej willi, co gabinet dyrektora ośrodka i pokój pani Leokadii. W placówce doktor Nowak pracował jedynie na ćwierć etatu i przyjmował po cztery godziny co drugi dzień. Na szczęście kiedy zjawili się Joanna z Jackiem, okazało się, że trafili właśnie na ów co drugi dzień, a doktor, choć zaczął dopiero za pół godziny, był już na miejscu. We wnętrzu gabinetu wisiały plakaty reklamujące specyfiki powstrzymujące upływ czasu oraz plansza anatomiczna człowieka, która Joannie wydawała się w tym miejscu

nieadekwatna, być może dlatego, że na rysunku było ciało prężne i młode, a osób o takim wyglądzie zbyt wiele tu nie było.

– Czyli sugeruje pan – Joanna od kilku minut bezskutecznie próbowała sprowokować Nowaka, żeby następnie przyłapać go na jakiejś nieściskości albo kłamstwie. Do owej prowokacji używała niestety chwilami niezbyt wyszukanej demagogii – że nadmiar morfiny w organizmie człowieka jest bez znaczenia?

– Nic nie sugeruję. – Doktor Nowak był już najwyraźniej zmęczony tłumaczeniem oczywistości. – W przypadkach bólu patologicznego, a z takim właśnie mieliśmy do czynienia, morfinę podaje się aż do momentu, w którym uśmierzy ból.

– Czyli można wiadro wlać? – Joanna nie rezygnowała ze swojej taktyki.

– Była pani kiedyś świadkiem rakowej agonii? – Nowak był już bliski tego, do czego próbowała go doprowadzić pani komisarz.

– On nie był w agonii.

– Był. – Nowak postanowił ograniczyć rozmowę ze swej strony do absolutnego minimum. – Przy raku agonია potrafi trwać tygodniami.

– A przypadki cudownego ozdrowienia?

– Nie z takiego stanu, tam już nie było ani jednego zdrowego organu.

– I dlatego go pan zabił? – Młody włączył się nagle i niespodziewanie, zależało mu na tym, żeby przeciąć tę do tej pory jałową dyskusję. Może też trochę chciał się przypodobać Joannie.

Nowak spojrzał na niego tak, że przez moment nie było wiadomo, co zdarzy się za chwilę.

– Nie mam takich jaj – odpowiedział wolno i ciszej niż wcześniej. – A pan ma?

Młody wzruszył ramionami.

– Pan może i nie ma – podjęła Joanna – ale myślę, co więcej jestem przekonana, że wie pan, kto w tym wypadku miał.

Doktor Nowak nic nie odpowiedział, ale wytrzymał spojrzenie policjantki.

– Tylko że nie chce pan go zdradzić – Joanna postanowiła przejść do fazy zastraszania – bo dobrze pan wie, że za współpracę przy eutanazji można stracić prawo wykonywania zawodu, i to dożywotnio.

– A pożywotnio? – Teraz to Nowak zmierzył policjantkę spojrzeniem.

– A tym to ja się już nie zajmuję.

– I całe szczęście. – Jednak ostatnie zdanie w tej wymianie należało do doktora Nowaka; był starszy, zajmował się ludzkim cierpieniem, a przede wszystkim wiele razy w życiu widział umieranie. W tych konkurencjach Joanna nie mogła się z nim równać.

Jacek odwiózł Joannę pod dom. Zgodziła się na to bez problemu, bo po pierwsze, była zmęczona, a po drugie, powoli zaczynały się w ich relacji wykształcać pewne role. Pierwszą, która przypadła w udziale Jackowi, była rola kierowcy, co do reszty trwały jeszcze między nimi niewerbalne pertraktacje. Po drodze komisarz Majewska myślała trochę o tym, kim jest dla niej ten młodszy o kilka lat, interesujący chłopak. Przelotnym romanssem, przygodą, którą miło będzie już wkrótce wspominać czy może czymś więcej, czymś na dłużej? Na razie powzięła mocne postanowienie, żeby nie wymyślać, czy Jacek jest jej przeznaczony na krótko czy na długo, tylko poczekać i spróbować się tego dowiedzieć od życia. Tak naprawdę nie było dla niej w tej chwili rzeczy bardziej przerażającej od choćby wyobrażenia, że jej oczekiwania znów zostaną niespełnione. Po przeżyciach z Waldemarem nie potrzebowała gwałtownych zrywów emocji, nie potrzebowała romantycznych uniesień; jedyne, co było dla niej teraz ważne, to równowaga i poczucie bezpieczeństwa, spokój i cisza. Jeśli do tego była szansa na pojawienie się odrobiny namiętności, to tym lepiej, ale z całą pewnością Joanna nie zaryzykowałaby dla owej namiętności nawet kawałka twardego gruntu, na którym teraz stała, a obok niej stał na nim Piotrek. Młody zaparkował auto, wyłączył silnik i spojrzał na nią.

– A może tam naprawdę nic się nie wydarzyło? – Jacek zaryzykował, ale od razu zaczął się wycofywać rakiem. – To znaczy może umarł naturalnie?

– O ile przed wizytą u doktora Nowaka miałam jeszcze cień wątpliwości –

Joanna wróciła na ziemię – to teraz nie mam już żadnej. Jutro poproszę Sobeckiego o wznowienie śledztwa, a doktora zaproszę oficjalnie na przesłuchanie. Kaszowski tego nie zrobił, a ktoś to zrobić musi.

– Zabiorę samochód. – Jacek wiedział, że przynajmniej w tym momencie nie ma sensu drażnić tej sprawy. – Rano podjadę po ciebie w drodze do komendy, dobrze?

Joanna kiwnęła głową, otworzyła drzwi, ale kiedy już miała wysiąść, obróciła się do Jacka i tym samym jej koncepcja o trzymaniu dystansu i o twardym gruncie pod nogami obróciła się wniwecz.

– Może wejdiesz na kawę? – Teraz to ona pożałowała, ale już nie tego, że pakuje się w coś, do czego nie miała stuprocentowego przekonania, tylko raczej tego, że pytanie zadała w sposób, jak jej się teraz zdawało, zbyt natarczywy. – Albo nie wiem... na herbatę może?

Jacek się uśmiechnął, co jeszcze bardziej skomplikowało jej sytuację.

– Mogę ci też kanapkę zrobić. – Joanna brnęła.

– Poproszę kawę, herbatę i kanapkę? – Jacek wreszcie rozładował sytuację.
– A mały? Nie zdziwi się?

– Nie. – Joanna pokręciła głową. – Ucieszy się. On uwielbia policjantów, taka genetyczna przypadłość. Z czym te kanapki?

– Z jajkiem?

– Z pasztetową ci zrobię.

– A co to takiego? – Młody był jednak bardzo młody.

– No właśnie. – Joanna szła już w kierunku domu.

Weszła do mieszkania jako pierwsza, Młody tuż za nią. Mimo zasadniczo dość swobodnego stosunku do życia czuł się teraz nieco spięty.

– Piotrek! – zawołała Joanna w głąb mieszkania. – Pani Elu?!

Pierwszy pojawił się chłopiec, który wypadł z pokoju i już miał się rzucić mamie na szyję, gdy przyhamował na widok Jacka. Pani Ela wyszła z kuchni kilka sekund później. Ona też przez moment była odrobinę zaskoczona, ale szybko swoją reakcję skwitowała króciutkim i ledwie widocznym

uśmiechem.

– Cześć, synku. – Joanna się przywitała i rozpoczęła prezentację. – To jest mój kolega z pracy, pan Jacek.

– Cześć, mów mi po prostu Jacek. – Młody wyciągnął rękę do Piotrka.

Chłopiec przez moment się zawahał, zerknął na mamę, potem obejrzał się na panią Elę, w końcu ruszył w kierunku gościa. Kiedy jednak już miał podać mu rękę, zmienił nagle zamiar i delikatnym ruchem odsunął połą jego marynarki. Pod nią zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć, czyli wiszącego w skórzanej kaburze glocka.

– Piotrek! – skarciła go Joanna. – No co to za pomysły, naprawdę?

Panowie uścisnęli sobie dłonie, a konkretnie dłoń Piotrka na moment zniknęła we wnętrzu cztery razy większej dłoni Jacka.

Chwilę później zza pleców chłopca wyszła pani Ela, która korzystając z przydługich powitań, przyjrzała się Jackowi nieco wnikliwiej, po czym podała mu rękę.

– Elżbieta Piotrowska.

– Jacek Czerwiński, bardzo mi miło. – Młodemu przez moment przemknęło przez myśl, iż być może pani Ela należy do kategorii wiekowej, której przedstawicielki należy całować w rękę, ale na swoje szczęście tego nie zrobił, bo pani Ela nie znosiła należeć do tej kategorii wiekowej. Zerknęła właśnie na Joannę w oczekiwaniu na szczegóły. Z Joanną była związana właściwie od narodzin Piotrka, uzurpowała sobie trochę rolę opiekunki tego domu, może chwilami próbowała zastępować Joannie jej przedwcześnie zmarłą mamę, a Piotrkowi babcię. Joanna była tego wszystkiego świadoma i akceptowała to, a niekiedy nawet było jej z tym po prostu dobrze.

– Pan Jacek jest moim współpracownikiem, pomaga mi przy rozwiązywaniu spraw – wyjaśniła, ale nagle spojrzała na Młodego i zorientowała się, że chyba odrobinę się zagalopowała. – To znaczy pan Jacek tak naprawdę jest współpracownikiem komisarza Kaszowskiego, mnie pomaga tylko po godzinach.

Komisarz Kaszowski ubrany w garnitur siedział przy stole w kuchni. Jedyne światłem docierającym do pogrążonego w ciemnościach nocy pomieszczenia był poblask lampki ze stolika w sypialni. Przed Kaszowskim stała szklanka wypełniona do połowy czarną w tym świetle, a właściwie w jego braku, whisky. Wziął szklankę do ręki, zakręcił zawartością, powąchał i wypił, starając się nie skrzywić, gdyż prawdziwy mężczyzna, nawet gdy jest sam w ciemnej kuchni, nie krzywi się, pijąc whisky. W tym momencie komisarz usłyszał szcęk kluczy w zamku. Po chwili drzwi się otworzyły.

– Marek... – Basia miała głos głęboki, dość niski jak na kobietę, a przez to niewątpliwie interesujący. – Jesteś tu czy cię wcięło?

Zapaliła światło w korytarzu, jasność dotarła do kuchni, Kaszowski zmrużył oczy. Choć siedział plecami do wejścia, był pewien, że skoro Basia zamilkła, to znaczy, że właśnie na niego patrzy. Czekał na świst klingi tnącej powietrze.

– No i co, panie Marku? – Basia była w zbyt dobrym nastroju, żeby zajmować się teraz ścinaniem głowy swojemu bohaterowi. – Nie najlepiej to wygląda, co?

Kaszowski zdał sobie nagle sprawę, że jakkolwiek cokolwiek wygląda, to z całą pewnością nie wypada mu siedzieć do Basi plecami, i gwałtownie się odwrócił. Światło uderzyło go w oczy ze zdwojoną siłą, zmrużył powieki. Kiedy je otworzył, zobaczył przed sobą podświetloną od tyłu piękną kobietę ubraną w małą czarną, idealnie podkreślającą jej ponętne kształty.

– Nie, dlaczego? – Marek nie wierzył w ani jedno słowo, które wypowiadał. – Wszystko w jak najlepszym porządku, raczej.

– Raczej. – Basia powtórzyła jak echo jedyne słowo, które w miarę trafnie odzwierciedlało sytuację. – Raczej musisz się ogarnąć, bo to prowadzi donikąd. I doskonale o tym wiesz.

– Ale w czym mam się właściwie ogarniać? – Marek zastanowił się przez moment nad konstrukcją zdania, zabawa z językową poprawnością była jego jedyną w tej chwili drogą ucieczki. – Z czym w sensie?

– Ze sobą. – Basia popatrzyła na zawaaloną brudnymi naczyniami kuchnię,

na butelkę i kilka innych stojących pod zlewem. – Cierpisz. Tylko czasem mam wrażenie, że się w tym za bardzo rozsmakowałeś. Zgadza się?

Pytanie było tak bezpośrednie i tak bardzo trafiło w sedno, że Marek kompletnie nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

– Jeśli cierpisz w związku z nimi – Basia dostała wiatru w żagle – to skup się na nich, zajmij się nimi, przeżyj to z nimi.

– Ich już nie ma! – Kaszowski nieco zbyt dramatycznie podjął wyzwanie logicznej wymiany zdań, w której w zaistniałych okolicznościach nie miał najmniejszych szans.

– Oczywiście, że są. – Basia się rozpędzała, zerknęła teraz na wiszącą na ścianie pustą ramkę po zdjęciu. – Myślisz, że jak wydłubałeś zdjęcia z tych cholernych ramek, nie chodzisz na cmentarz, grób się wali, to one zniknęły z twojego życia?

– Znikną, jak będą chciały – odparł bardziej dlatego, że teraz była jego kolej, niż dlatego, że rzeczywiście miał coś do powiedzenia.

– Marek... – W głosie Basi zabrzmiała prośba połączona z niezgodą. – Przecież ty nie jesteś debilem. Wiesz doskonale, że nie znikną dopóty, dopóki im na to nie pozwolisz. Tak naprawdę one już ledwie dają radę, są już na ostatnich nogach, tak je zmęczył mozół obsługiwanie twojego nieszczęścia.

Kaszowski nie do końca rozumiał, co mówi do niego Basia, druga z kolei butelka whisky przeważnie odbiera zdolność do długotrwałej koncentracji na jednym temacie. Nie do końca rozumiał, co mówi, ale czuł wyraźnie, że padły jakieś ważne słowa.

– Zajmij się tą sprawą z ośrodkiem pomocy społecznej. – Widząc, że Marek odlatuje, Basia postanowiła przejść do spraw bardziej naglących. – Pani komisarz chodzi koło tego coraz bliżej, zaraz będziesz miał problemy. Zrób coś z tym, bo siedzimy w tym oboje, ja nawet trochę bardziej, choć na twoją prośbę.

Teraz Kaszowskiemu zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie. Chciał zareagować jakąś deklaracją, ale Basia, bogata doświadczeniem, wiedziała,

że jeśli padnie deklaracja, to raczej nie będzie szans na jej zrealizowanie, i dlatego wyszła, nim Marek zdążył otworzyć usta. Chwilę później trzasnęły nieco zbyt głośno drzwi prowadzące na klatkę.

– Mieliśmy iść razem do teatru. – Kaszowski wypowiedział w pustkę zaplanowaną wcześniej kwestię, następnie dolał sobie do szklanki i wypił. Po chwili wstał, podszedł do zlewu i wylał do niego pozostałą zawartość butelki.

Pani Ela poszła do domu dobrą godzinę temu, ale Joannie zajęło jeszcze kolejne trzy kwadranse zapędzenie syna do łóżka. Teraz zresztą, kiedy siedzieli już tylko we dwoje z Jackiem w salonie, ona nadal nie była przekonana, czy Piotrek rzeczywiście zamknął oczy w swoim pokoju za ścianą. Dlatego też, by nie kusić losu i nie doprowadzić do sytuacji, w której coś mogłoby wymknąć się spod kontroli, wyciągnęła z szafy album ze swoimi zdjęciami rodzinnymi. Zrobiła to również dlatego, że po prostu chciała pokazać Jackowi swoją rodzinę, a głównie swoją mamę, o której myślała zawsze dużo, a teraz w związku z panią Leokadią myślała o niej jeszcze więcej. Jacek natomiast czuł, że scenografia tych zdjęć wprowadzi go głębiej w życie Joanny, i naprawdę całkiem mu się to podobało.

– Moja mama z Piotrkim w wózku na spacerze. – Joanna uśmiechnęła się uśmiechem trochę nieobecnym, bo zagubionym gdzieś daleko w świecie ulotnej chwili wspomnienia.

– Pamięta ją? – zapytał po chwili.

– Za mały był. – Joanna pokręciła głową, pytanie przywróciło ją do teraźniejszości, w której nie było już mamy. By znów cofnąć się w czasie, przewróciła kilka stron wstecz. – O, tu miała chyba mniej więcej tyle, co ja teraz.

– Piękna. – Jacek nie patrzył już na zdjęcie, tylko na Joannę, którą lekko tym speszył. – I podobna.

– Podobno. – Joanna odważyła się spojrzeć Jackowi w oczy. – Wszystko się posypało, wszystkiego muszę zawsze pilnować sama i mam takie poczucie, że wtedy nie dopilnowałam, że gdybym bardziej... – Ukryła twarz w dłoniach.

Jacek otoczył ją ramieniem, po chwili dotknął jej włosów, spojrzał na spierzchnięte usta. Zanim pomyślał, że chciałby dotknąć ich swoimi, już to zrobił, potem wypadki potoczyły się bardzo szybko, ubrania, kanapa i rozpaczliwa próba dotarcia na sam koniec, tam gdzie wszelka śmierć na мгновение oka przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Marek nie wypił już poprzedniego wieczora ani grama, ale wcześniej wypił na tyle dużo, że teraz, chociaż dochodziło południe, wciąż nie bardzo potrafił się w czymkolwiek odnaleźć. Sobecki wparował bez pukania, co nie zwiastowało niczego dobrego, bo w normalnych warunkach coś takiego było nie do pomyślenia. Krótkie spojrzenie na jego potargane włosy i rozbiegane spojrzenie potwierdziło obawy.

– Sprawa sto trzydzieści dwa z trzynastego roku?! – wyrecytował z prędkością dźwięku, po czym usiadł zdyszany na krześle po drugiej stronie biurka.

– Pewnie była, skoro tak twierdzisz. – Kaszowski starał się nie dopuścić do eskalacji, której w obecnym stanie mógłby nie przetrwać.

– To jest skopana sprawa. – Sobecki z wojowniczego stał się refleksyjny, tak jakby przygotowywał się do podsumowania swojej kariery.

– Tak? – Marek próbował wpleść w swój ton choć odrobinę nadziei. – Dlaczego?

– Bo ją skopałeś.

– A możesz przytoczyć jakieś fakty, bo mam raczej pamięć do historii niż do cyfr? – Marek zaryzykował odrobinę ironii; miał nadzieję, że w ten sposób wspólnie uda im się uzyskać jakiś dystans do źródła niepokoju Sobeckiego.

W tym momencie w drzwiach gabinetu komisarza stanął inspektor Talak, który sprawiał wrażenie, jakby podobnie jak Marek nie do końca był wprowadzony w istotę zamieszania i zjawił się tutaj tylko dlatego, że poprosił go o to rozdygotany prokurator.

– Można? – zapytał.

– Trzeba! – Sobecki odzyskał bojowe nastawienie.

Widząc prokuratora w takim stanie, naczelnik na wszelki wypadek zamknął za sobą drzwi od gabinetu.

– No dobra, bez nerwów. – Podobnie jak Marek i w normalnych warunkach również Sobecki najbardziej na świecie nie lubił histerycznej nerwowości. – Co mamy?

– Co mamy?! – Sobecki nie odpuszczał. – Mamy przedawkowanie morfiny u pensjonariusza opieki społecznej zamiecione pod wykładzinę u pana komisarza.

Cała trójka odruchowo zerknęła na podłogę, ponieważ żaden z nich tak naprawdę nie wiedział, czy rzeczywiście jest tu wykładzina. Okazało się, że owszem, pod ich stopami rozpościerała się szara, krótkowłosa materia z tworzywa sztucznego.

– Panowie, nie udawajmy kretynów przed sobą, dobrze?! – Marek postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. – Wszyscy pamiętamy ten przypadek, człowiek umierał na raka i umarł na raka, i tylko gdzieś ktoś po drodze podawał mu więcej morfiny, niż napisane jest w książkach medycznych. A podawał mu dlatego, że jak ktoś ma rakowe bóle przebijające, to książki można sobie w dupę wsadzić.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, Sobecki przegrupowywał siły.

– Umorzenie jest za słabo uzasadnione – podjął teraz już spokojnie.

– Jak to za słabo? – Marek tymczasem wyraźnie wszedł już na obroty. – Przecież mamy opinię niezależnego eksperta od medycyny bólu.

– Niezależnego eksperta znajomego Basi? – skwitował Sobecki.

– Lekarze często się znają między sobą. – Marek robił się naprawdę zły. – Poza tym to ty umorzyłeś chyba, nie?

– Umorzyłem. – Sobecki znów posmutniał. – I teraz ta harpia nas wywali kołami do góry na tej sprawie, a ja jeszcze będę jej musiał w tym pomagać. Już wystąpiła o wznowienie, chce przesłuchiwać zięcia, lekarza, chce powiadomić Naczelną Izbę Lekarską. Jak ona to rozdlubie, to nas żywcem zgrillują.

Nikt już nic nie powiedział. Marek pomyślał, że właśnie prysła nadzieja na to, żeby cały dzień przebiedować, tępo wpatrując się w monitor. Po chwili wstał, wziął swój prochowiec i wyszedł z pokoju. Talak spojrzął na Sobeckiego i się uśmiechnął, on też czuł się w pewnym sensie odpowiedzialny za to, żeby Witek się nie denerwował.

Joanna nadeszła od strony oczka wodnego, a nie jak się spodziewał Kaszowski, od wejścia na górze, przy którym mogła najbliżej zostawić samochód. Marek, siedzący na ławce w swoim nieodłącznym brązowym prochowcu typu oil skin, który dostał od kuzyna z Australii mniej więcej trzydzieści lat temu, zastanawiał się, nie po raz pierwszy już zresztą, w jaki sposób w tak urokliwej i tak bardzo delikatnej kobiecej postaci nagromadziło się tyle uporczywości i dociekliwości. Do tej pory cechy te wydawały mu się domeną mężczyzn, i to najczęściej mężczyzn, którzy przekroczyli już jakiś czas temu smugę cienia, mężczyzn takich jak na przykład on. Z oddali dochodziły nieczytelne krzyki bawiących się dzieci. Joanna podeszła do ławki, na której siedział Marek, chwilę przyglądali się sobie w milczeniu, po czym usiadła w pewnym oddaleniu.

– Ja nie gryzę. – Kaszowski uśmiechnął się może po raz pierwszy z sympatią. – Za stary jestem.

– Kto by pomyślał. – W głosie Joanny było coś ironicznego, ale też, o dziwo, Kaszowski, który nie był zasadniczo człowiekiem czytającym sygnały ze świata z przesadnym optymizmem, wyczuł w nim coś na kształt lekkiego uznania.

– Dziękuję, że pani przyszła. – Naprawdę był wdzięczny.

– Proszę. – Joanna czujnie badała grunt pod nogami. – Aczkolwiek nie wiem, po co ta aranżacja, pracujemy przez ścianę.

– Ściany potrafią... – Kaszowski przez moment szukał słowa – przytłaczać.

Joanna pokiwała głową i spojrzała w kierunku dwóch łabędzi, które sprawiały wrażenie, jakby wyszły popływać razem na łódkach. Zastanowiło ją, czy są parą.

– On nie umarł od przedawkowania morfiny – zaczął Kaszowski to, co

musiał zacząć.

– To już mi pan mówił. – Joanna zwątpiła, czy przyjdzie tu cokolwiek da. – Może nie dlatego umarł, ale przedawkowanie było i zamierzam to wyjaśnić. Tym razem do końca.

Spojrzała na Kaszowskiego, a on znów zaczął się zastanawiać, skąd wzięły się w niej takie pokłady zasadniczości i bezwzględności. Wiedział, że jedyne, co mu w tej sytuacji pozostało, to odnaleźć w niej w końcu kobietę i tej kobiecie powiedzieć to, co powiedzieć zamierzał, czyli prawdę.

– Do końca się nie da, pani Joanno – podjął. – Ale powiem pani coś, do czego sama pani nie dojdzie. Nie dojdzie pani nie dlatego, że ma pani za mały potencjał, bo niestety ma pani ogromny.

– Proszę mnie nie brać pod włos – przerwała mu Joanna i po raz pierwszy zauważyła, że choć było to bardzo skrętnie ukryte pod grubą warstwą oschłości i męskiego szowinizmu, to Kaszowski miał w sobie sporo ciepła i delikatnego wdzięku.

– Nie dojdzie pani – komisarz kontynuował tak, jakby w ogóle nie dosłyszał ostatniej uwagi, był w transie i co nie zdarzało mu się zbyt często, właśnie przestał dostrzegać zewnętrzne uwarunkowania sytuacji i jej wymogi. – Po pierwsze, dlatego że upłynęło dużo czasu, a po drugie, trochę jeszcze nie bardzo umie pani rozmawiać z ludźmi.

Joanna chciała się odciąć, ale szybko się zorientowała, że nawet jeśli to zrobi, Kaszowski i tak nie zwróci teraz uwagi na jej słowa. Zrezygnowała.

– Bezpośrednią przyczyną śmierci pana Zygmunta Bakalarczyka – Kaszowski zebrał siły – było wstrzyknięcie mu dożylnie roztworu chlorku potasu.

Zamilkł, na jego twarzy nie pojawiło się właściwie nic, ale głęboko w duchu odetchnął. Joanna przez chwilę nie wiedziała, jak ma zareagować.

– Dlaczego pan mi to mówi? – Naprawdę nie miała pojęcia, dlaczego z jego ust usłyszała właśnie to, co usłyszała.

– Tak do końca to nie wiem. – Kaszowski się zamyślił. – Może przyszło mi do głowy, że w tej sprawie nie ma miejsca na niedopowiedzenia, że tylko

goła prawda może pomóc pani to zrozumieć.

– Jest pan świadom, że będę musiała to zaprotokołować? – Joannie, która nagle poczuła się zagrożona nieszablonowością sytuacji, przyszło do głowy, że musi natychmiast wszystko sprowadzić do poziomu procedur, tylko tak będzie się mogła uratować. Ale coś jej mówiło, że i tak jest już za późno, dlatego kolejne zdanie wypowiedziała kompletnie bez przekonania: – Będzie pan musiał zeznawać.

– Jeśli będzie pani musiała – Kaszowski nie patrzył na nią – to będę musiał.

– Proszę w ten sposób ze mną nie pogrywać. – Joanna broniła się trochę bez przekonania.

Przez moment oboje milczeli, z oddali wciąż dochodził szczebiot dziecięcych głosów, łabędzie spacerowały, po drugiej stronie oczka w promieniach zachodzącego słońca stary mężczyzna karmił z ręki gołębie.

– Czy miała pani okazję poznać panią Leokadię? – podjął Kaszowski, jakby to, co powiedział jej przed momentem, nie miało w ogóle żadnego znaczenia.

– Miałam – kiwnęła głową. – Demencja, rzeczywistość nałożona na wspomnienia i na odwrót. Chce mi pan ją sprzedać jako świadka?

– Nie. – Mężczyzna po drugiej stronie wody rozsypał już wszystkie okruchy, schował pieczołowicie do kieszeni steraną wielokrotnym użyciem plastikową torbę i ruszył w mrok między drzewami. – Mówiłem pani, że najpierw musi pani nauczyć się słuchać ludzi. Pani Leokadia nie ma demencji, nic jej się na nic nie nakłada.

– No skąd! – Joanna prychnęła. – Oczywiście, że nie, a z Zygmuntem pani Leokadia tańczyła na balu maturalnym.

– Czyli pani słyszy, ale nie słucha. – Życzliwy uśmiech, w którym mimo najszczerzej niechęci Joanna nie była teraz w stanie dopatrzeć się cienia protekcjonalności, nie zniknął z jego twarzy. – Tak było. Tańczyli na balu w maju trzydziestego dziewiątego roku. Poznali się w Milanówku w trzydziestym szóstym, ona chodziła do liceum Sienkiewicza, on do

Zamojskiego, żadnej koedukacji. Wiem to, bo sprawdziłem. Maturę zdawali w tym samym czasie, potem w powstaniu byli w jednym oddziale na Mokotowie. Miał być ślub, ale księdzu granat urwał rękę.

– Po co mi pan to opowiada? – Joanna próbowała się bronić teraz już zupełnie rozpaczliwie.

– Po powstaniu w drodze do Pruszkowa gdzieś się pogubili. – Kaszowski nic nie mogło zatrzymać. – Ona trafiła do obozu, on uciekł z transportu, wyjechał z Polski. Po wojnie wrócił, szukał jej przez długich dwadzieścia lat, wreszcie zaczął sobie układać życie, z kimś się ożenił. A ona czekała na niego o trzydzieści lat dłużej. W końcu się doczekała.

Dopiero teraz Kaszowski się zatrzymał, po chwili spojrzał na Joannę tak, jakby zobaczył ją tu po raz pierwszy. Dzień się kończył, wokół nich powoli ubywało światła, a ona nic już nie powiedziała.

Kiedy w holu przedwojennej willi zjawiał się postawny osiemdziesięcioletni mężczyzna z głową siwą jak u gołębia w towarzystwie swojego zięcia Zenona Mirosławskiego, wokół zapanowało ożywienie podobne do tego, jakie swoim przyjazdem trzy lata później wywołali Joanna z aspirantem Czerwińskim. Z wolna z korytarzy i pomieszczeń wokoło zaczęli napływać starszycy, dla których każde otwarcie drzwi do ich świata stanowiło wielkie wydarzenie. Zenon odstawił walizki i ruszył na poszukiwanie kogoś z personelu administracyjnego ośrodka, pan Zygmunt w eleganckim pięćdziesięcioletnim garniturze pamiętającym jeszcze czasy głębokiego Gomułki i w nie mniej eleganckim i starszym jeszcze prawdopodobnie płaszczu rozglądał się wokoło. Do góry jednak nie patrzył, a to właśnie na górze u szczytu schodów pojawiła się teraz piękna kobieta, która patrzyła na niego i nie mogła uwierzyć własnym oczom. Kobieta ruszyła powoli w dół. Szła krokiem tak uroczystym, a od jej postaci bił taki blask, że spojrzenia większości zebranych zamiast na nowo przybyłych powoli skierowały się na nią. Z jednego z pokoi wyszedł Zenon, który trzymał w rękach jakieś papiery, pan Zygmunt skierował swoją uwagę na niego i może dlatego wciąż nie czuł zbliżającego się światła. Poczul je dopiero, kiedy pani Leokadia stanęła obok

niego, a wszystkie spojrzenia, nie wyłączając Zenona, który zamarł z papierami w ręku, skierowały się na nią. Sygnał dotarł nagle i uderzył w Zygmunta wszystkimi możliwymi kanałami empirii. Staruszek jednocześnie usłyszał, poczuł zapach i ciepło, w końcu powoli się obrócił i wtedy zobaczył. Stali chwilę, a razem z nimi stał cały wszechświat. Gdyby zjawiał się tam wtedy postronny obserwator, odniósłby zapewne wrażenie, że trafił w jakiś czasoprzestrzenny werteks. Tyle tylko, że w tej sytuacji nikt nie mógł znaleźć się jako postronny obserwator, wszyscy i wszystko było jej czynnym, znieruchomiłym uczestnikiem.

– Lesia. – Zygmunt wypowiedział słowo, które było na początku.

Ona dotknęła jego twarzy, potem włosów, potem ujęła jego dłoń w swoje.

– Zygmunt, gdzie byłeś?

Kobieta

Dla Joanny, która od wielu lat musiała odgrywać w rodzinie prawie na stałe dwie role, była kobietą, a jednocześnie dźwigała na barkach odpowiedzialność za tak wiele, że musiała też być mężczyzną, płacz stał się czymś nieadekwatnym. Dlatego teraz, żeby ukryć wzruszenie również przed samą sobą, spoglądała na korony drzew, w których ptaki odbywały swoje ostatnie przedsenne rozmowy.

– Umierał pół roku. – W głosie Kaszowskiego brzmiała nuta rezygnacji. – Dopóki się dało, starali się o tym nie myśleć. Potem przyszedł ból nie do zniesienia, odleżyny, przykry zapach, kompletna niedołężność. Nawet pani nie wie, jakie to straszne, żadne z nas tego nie wie. Prosił ją o to osiem razy. A ona jest bardzo głęboko wierzącym człowiekiem.

Joanna wstała nagle i nie mówiąc ani słowa, ruszyła w kierunku, z którego nadeszła pół godziny wcześniej. Kaszowski patrzył za nią i nie miał pojęcia, co się teraz wydarzy. W pewnym momencie zobaczył, jak pani komisarz wyjęła coś z kieszeni, w oddali dał się słyszeć zwiłokrotniony grzmot nadchodzącej burzy, spadły pierwsze krople deszczu. Joanna wyłączyła

nagrywanie w cyfrowym dyktafonie.

Na parkingu przed komendą lało już jak z cebra. Kiedy komisarz wybiegła z teczką w rękę, od strony swojego samochodu zbliżał się Jacek. Joanna go nie widziała, bo nic w tej chwili nie widziała, w rękę kurczowo trzymała teczkę z podręcznymi aktami sprawy 132/2013. Młody przyspieszył, żeby zdążyć, zanim Joanna wsiądzie do samochodu.

– Joanna! – krzyknął, żeby przebić się przez szum lejącej się z nieba wody.
– Co się stało?!

Spojrzała w jego stronę, ale nic nie odpowiedziała. Nie mogłaby w tym momencie, poza tym nawet nie miała ochoty próbować. Wsiadła do samochodu, po trzech sekundach ruszyła do wyjazdu. Jacek stał w strugach deszczu, nic nie rozumiejąc, sekundy później pojawił się za nim też zmoczony od stóp do głów Kaszowski. Kiedy tylko Młody na niego spojrzał, zrozumiał, że on też nic mu nie będzie w stanie wyjaśnić. Chwilę później odpalił swój samochód; choć nie rozumiał wiele z tego, co się wydarzyło, wiedział, co musi teraz zrobić i gdzie pojechać. Kaszowski odprowadził jeszcze wzrokiem jego auto i dopiero wtedy, przemoczony do suchej nitki, ruszył w kierunku wejścia do komendy.

Kiedy Joanna zlaną wodą weszła do holu ośrodka, od razu wiedziała, że się spóźniła. Z kantorka wyszedł do niej ochroniarz.

– Czekala na panią. Prawie pani zdążyła, zresztą może jeszcze gdzieś tu jest – powiedział z uśmiechem i rozejrzał się dokoła.

Joanna ruszyła korytarzem w kierunku pokoju, w którym była ostatnio z Jackiem i w którym nie zrozumiała słów starszej pani. Drzwi podobnie jak wtedy były uchylone. Pani Leokadia tym razem nie siedziała, a leżała na łóżku, ale wciąż się do niej uśmiechała. Joanna weszła i jak najciszej przysiadła na stołku obok łóżka.

– Pani ma na imię Joanna, prawda? – Policjantka obróciła się gwałtownie i zobaczyła przed sobą niską, zasuszoną staruszkę.

Kobieta wysunęła przed siebie dłoń maleńką i pomarszczoną jak bibuła.

Leżał na niej pierścionek z czerwonym oczkiem.

– Prosiła, żeby pani oddać, gdyby pani nie zdążyła. – Patrzyła na Joannę swoimi młodymi niebieskimi oczami.

Joanna wstała, wzięła pierścionek, chwilę jeszcze popatrzyła na staruszkę, po czym wybiegła, potrącając po drodze wchodzącego akurat do pokoju doktora Nowaka. Lekarz spojrział na staruszkę, a potem odwrócił się i jakiś czas ze smutkiem patrzył za oddalającą się biegiem policjantką.

Na podjeździe z ładnie przyciętymi klombami wciąż lało. Joanna wypadła z holu prosto w strugi deszczu, przebiegła jeszcze kilka metrów, po czym stanęła. Papiery i dyktafon rzuciła w błoto pod nogami, jej ciałem wstrząsnął gwałtowny szloch.

Młody podszedł do niej i bez słowa przytulił ją do siebie bardzo mocno.

– Moja mama umierała cztery miesiące... – Joanna wyrzucała słowa, jakby próbowała wykrztusić z siebie ogromną kulę cierpienia. – Nic nie mogliśmy zrobić... nic nie mogliśmy... ani ojciec, ani ja, ani nikt... nic.

Stała objęta ramionami Jacka, a deszcz pomagał wypłakać wszystko. W zaciśniętej dłoni Joanna trzymała pierścionek z czerwonym oczkiem.

Po deszczu, kiedy w końcu wyjdzie słońce, cmentarze parują ciszą i spokojem. Przy nagrobku krzątało się dwóch mężczyzn. Jednym z nich był ubrany w uwalany zaprawą granatowy kombinezon murarz. Drugi, starszy od niego, ubrany w dżinsy i bluzę od dresu, pełnił funkcję pomocnika i podawał murarzowi kolejne cegły. Na odstawionej teraz na bok granitowej płycie nagrobnej widniał napis: „Agnieszka i Ewa Kaszowskie”, a cegły murarzowi podawał Marek.

Delikatna, pomarszczona dłoń kobiety z pierścionkiem z czerwonym oczkiem przykrywała większą, nie mniej pomarszczoną dłoń mężczyzny. Po chwili pani Leokadia wyjęła swoją dłoń spod martwej już dłoni pana Zygmunta, odłożyła małą strzykawkę na stolik nocny, drugą dłoń przyłożyła do jego powiek i tak trwając, wyjrzała przez okno. W oddali na końcu wszechświata słońce podniosło się nad horyzont, oświetlając jej piękną

twarz. Z jej oczu płynęły nieme łzy rozpaczy niemożliwej do opisania w ludzkim języku.

||

RACHUNKI

Kiedy podkomisarz Monika Malisz przyjechała na miejsce, byli tu już wszyscy, począwszy od Walendziaka i jego antyterrorystów, skończywszy na naczelniku Talaku i prokuratorze Sobeckim. Leśna polana w Puszczy Kampinoskiej, którą przestępcy wybrali sobie na punkt wymiany, należała do miejsc trudnych do obstawienia, ale ponieważ od dawna było wiadomo, że tutaj właśnie ma do niej dojść, akcję zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach. Wszystkie detale obmyślił i przygotował Kaszowski w porozumieniu z Walendziakiem z AT, przygotowania nadzorował także Talak, a pod kątem prawnym konsultował je Sobecki. Podkomisarz Malisz właściwie nie bardzo wiedziała, jaką rolę ma do odegrania. Jeszcze dzień wcześniej akcją miał dowodzić Kaszowski i dopiero poprzedniego wieczora już z domu wezwał ją do siebie naczelnik i poprosił, żeby przejęła, jak się wyraził, formalne dowodzenie akcją, ponieważ okazało się, że Kaszowski nie może nią dowodzić ze względów bezpieczeństwa. Na pytanie, czyje bezpieczeństwo miałyby być zagrożone, gdyby akcją dowodził Kaszowski, naczelnik odpowiedział nieco enigmatycznie, że przede wszystkim zagrożone byłoby bezpieczeństwo akcji jako takiej, a co za tym idzie, osób biorących w niej udział po stronie policji.

Kiedy tylko Monika zjawiła się na miejscu, Talak zaprosił ją do samochodu dowodzenia, który stał ukryty w stodole obejścia oddalonego o kilka kilometrów od miejsca faktycznej akcji. Tam jeszcze raz szczegółowo zapoznał ją z kolejnymi punktami planu akcji, po czym pożegnał się i odjechał do Warszawy. Monika poczuła się nieco zagubiona, bo po pierwsze, została w sprawę wrzucona w ostatniej chwili i odnosiła wrażenie, że pełni w niej funkcję słupa, po drugie, nękał ją jakiś dziwny niepokój związany z faktem, że ze sprawy w ostatniej chwili wycofany został Kaszowski, a teraz, na godzinę przed rozpoczęciem akcji, z terenu wycofał się też naczelnik Talak. Jedynym gwarantem, że cała historia nie jest jakąś

kompletną fikcją albo że w trakcie operacji nie wystąpią dziwne okoliczności, była osoba prokuratora Sobeckiego, który należał do nierozłącznego triumwiratu przyjaciół i ani Talak, ani Kaszowski z całą pewnością nie wystawiliby go do wiatru. W samej akcji jeszcze jedna rzecz budziła niepokój podkomisarz Malisz. Nie po raz pierwszy wprawdzie, ale zdarzało się to do tej pory niezwykle rzadko i zawsze otoczone było nimbem tajemniczości, do akcji ze względu na szczególną trudność w jej przeprowadzaniu doproszeni zostali żołnierze z doborowej jednostki GROM. Grupa z GROM-u podlegała wprawdzie formalnie Walendziakowi, poza tym brało w niej udział również kilkunastu jego ludzi, ale GROM to wojsko, i to szczególnego rodzaju wojsko, które nagle mogło uznać zwierzchność swojego dowódcy nad Walendziakiem, a wtedy sprawy potoczyłyby się pewnie w jakimś zupełnie nieprzewidzianym kierunku. Ogólnie nie zajmowałyby to wszystko przesadnie Moniki, gdyby nie fakt, że Walendziak podlegał właśnie jej, bo tak nakazywały wewnętrzne procedury policyjne. Ujmując rzecz krótko, Monika musiała wydać rozkaz, a nie była do końca pewna, jakie to przyniesie konsekwencje.

Na kwadrans przed planowanym początkiem akcji agenci z terenu śledzący ciężarówkę od chwili przekroczenia granicy Polski poinformowali, że pojazd zjechał z trasy warszawskiej i że mniej więcej za dziesięć minut zjawi się u celu. Nikt nie wiedział, skąd pojawią się ci, którzy mieli być odbiorcami towaru, nikt też nie wiedział, kim owi odbiorcy mają być, bo cała akcja przeprowadzana była głównie po to, żeby ich właśnie zdemaskować i ująć na gorącym uczynku. Antyterrorysty Walendziaka wspierani przez komandosów z GROM-u leżeli poukrywani w lesie wokół polany. W promieniu pięciu kilometrów od niej nie było ani jednego samochodu policyjnego i ani jednego mundurowego policjanta. Od momentu, kiedy śledzona ciężarówka zjechała z asfaltu na leśny dukt, Monika oglądała razem z Walendziakiem całą sytuację z kamer nadających obraz do ich wozu dowodzenia ukrytego w pobliskiej stodole, która musiała też chyba wcześniej pełnić funkcję obory, bo panujący w niej fetor był ciężki do zniesienia.

– Myślisz, że ubrania przesiąkną tym smrodem? – zagaiła Monika.

– Myślę, że może tak być – odpowiedział Walendziak, nie odrywając wzroku od ekranów rozmieszczonych jak w małym wozie transmisyjnym telewizji na ścianie przed nimi. – Ciekawe, gdzie są tamci? On chyba nie będzie tym tirem sterczał w lesie do nocy.

W tym momencie w leżącej przed nimi krótkofalówce coś zaskrzeczało.

– Zero jeden do czternaście zgłoś się.

Walendziak zerknął pytająco na Joannę, a gdy ta kiwnęła głową, sięgnął po radiostację.

– Zero jeden. Mów.

– Do lasu od strony Izabelina wjechały trzy furgonetki, są jakieś trzy minuty od punktu.

– Zrozumiałem, bez odbioru. – Walendziak uśmiechnął się do swoich myśli. – Wygląda na to, że jednak balanga się odbędzie.

Trzy minuty później na polanę, na której stał już tir, a jego kierowca ze spokojem palił papierosa, wjechały trzy furgony i wysiedli z nich mężczyźni o twarzach wyrażających niechęć do świata. Monika spojrzała na Walendziaka i czerpiąc namiastkę przyjemności z faktu, że on wpatruje się w jej usta jak cielę w obraz, powiedziała:

– Zaczynajmy, zanim się zwiną.

Walendziak uśmiechnął się do niej po raz pierwszy, ale nie sprawiło jej to żadnej przyjemności, bo nie uśmiechał się do niej mężczyzna, tylko tymczasowy podwładny.

Akcja trwała dokładnie czterdzieści osiem sekund. Najpierw ku totalnemu zaskoczeniu obecnych na polanie pretendentów do miana najkrótszej szyi w Europie z głębi lasu przez megafon odezwał się głos, który poinformował ich lojalnie, że są otoczeni i że jakikolwiek opór z ich strony źle się skończy. Następnie kilku niedowiarków postanowiło jednak ów opór stawić. Trwał on bardzo krótko i już po chwili ranne osiłki zniechęciły pozostałych kolegów do wstępowania na tę samą drogę. W końcu po upływie owych czterdziestu kilku sekund na polanę wyszli żołnierze i antyterrorysty, którzy ze swoim kamuflażem wyglądali bardziej jak fragmenty leśnej ściółki niż jak stróże

prawa. Monika uścisnęła dłoń niezwykle zadowolonemu z siebie Walendziakowi i zerknęła na obraz z kamery wciąż monitorującej miejsce zajścia. Jakież było jej zdumienie, gdy na ekranie ujrzała nie kogo innego, a ubranego w nieodłączny prochowiec Kaszowskiego.

– A co on tu robi? – Wskazała na ekran.

– Nie mam pojęcia. – Walendziak był zdziwiony nie mniej od niej. – Miało go nie być.

Dwa tygodnie po tym, jak ojciec Joanny wyszedł wzburzony ze szpitalnej izby przyjęć, na jej komórkę zadzwonił doktor Wilecki, lekarz dyżurny z oddziału F szpitala psychiatrycznego na Sobieskiego. Kiedy zobaczyła na wyświetlaczu znajomy numer, w pierwszym odruchu odetchnęła z ulgą, ale już po chwili, gdy do głosu doszła racjonalność, ulga zamieniła się w złość.

Dotarła na oddział kilka godzin później. Tak naprawdę jakaś siła gnała ją tam natychmiast po telefonie od doktora Wileckiego, ale Joanna się powstrzymała, wiedząc, że współuzależnienie, którego ponad wszelką wątpliwość była ofiarą, niszczy jej życie i że jeśli nie podejmie z nim walki, to może jej w efekcie to życie zupełnie zmarnować. Stała teraz za szybą, za którą znajdowała się oddziałowa sala obserwacyjna. Oprócz ojca leżało na niej jeszcze dwóch mężczyzn przypiętych do łóżek skórzanymi pasami. Tamci jednak spali, a ojciec wpatrywał się z wyraźnym lękiem w coś na suficie, a dodatkowo nieprzerwanie mówił. Tego, co mówił do wyimaginowanego interlokutora, Joanna zza szyby nie słyszała.

– To potrwa jeszcze pewnie jakąś dobę. – Doktor Wilecki był przystojnym, lekko szpakowatym psychiatrą, który, jak na psychiatrę przystało, nie sprawiał na Joannie wrażenia szczególnie stabilnego psychicznie, ale może przez to właśnie wydawał się jej intrygujący. – Potem pewnie z dwie doby będzie ciurkiem spał. Później zadzwonię do pani, będzie można już z nim w miarę normalnie porozmawiać.

– Tylko o czym? – Joanna bardziej pomyślała, niż powiedziała, ale Wilecki i tak usłyszał i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Chwilę stali oboje, ona zastanawiała się, co musiałyby się zdarzyć, żeby to

przestało się już zdarzać, on zastanawiał się, czy do obiadu wziąć lorafen czy klonazepam.

– Co on widzi? – Joanna wpatrywała się w punkt na suficie, w którym ulokowało się coś, co zdawało się przerażać ojca.

– Nie mam pojęcia, ale zawsze istnieje szansa, że jest to coś tak potwornego, że odechce mu się do tego wracać. – Wilecki odniósł się do sedna problemu Joanny nie dlatego, że tak doskonale ją rozpracował, tylko dlatego, że ten sam problem mieli wszyscy, którzy przyglądali się zza tej szyby swoim bliskim.

– To się potem pamięta? – Joanna nie wierzyła w uzdrawiające działanie delirycznych mar, ale była trochę ciekawa.

– Przeważnie tak. – Wilecki ucieszył się, sądząc, że obudził w Joannie nadzieję. Był lekarzem z powołania, lubił dawać nadzieję, bo doskonale wiedział, że każde uzdrowienie zaczyna się od nadziei. – Delirium tremens to moim zdaniem rodzaj samoobrony umysłu, taki jakby krzyk skierowany przez jedną półkulę mózgową do drugiej. Przerażony krzyk do samego siebie.

Kiedy Młody wszedł do gabinetu Kaszowskiego, ten zajęty był właśnie sprawdzaniem miejsc w zakopiańskich pensjonatach. Od momentu gdy dwa tygodnie wcześniej przy okazji powrotu do sprawy z domu opieki społecznej dotarło do niego w końcu, że o ile swoje życie może marnować, o tyle życia kobiety, która jest mu bliska, marnować już mu nie wolno, zaczął powoli modyfikować podejście do spraw tego świata. Oprócz wyremontowania pomnika na Cmentarzu Bródnowskim, na czym zależało Basi, ale co w zasadzie raczej jej nie dotyczyło, podobnie jak fakt przywrócenia fotografii żony i córki do niektórych ramek w domu i w biurze, co też Basie w jakimś sensie uspokajało, ale było tak naprawdę wyłącznie jego sprawą, Kaszowski zdecydował, że muszą wreszcie pojechać w góry i pospacerować, co obiecywał pani doktor od ponad pięciu lat i co nawet już kiedyś prawie zrealizowali. Wszystkie te działania powodowały też, że w ramach nie do końca zrozumiałych dla samego komisarza skutków ubocznych, bywał on

teraz znacznie częściej w dobrym, choć oczywiście wciąż sarkastycznym nastroju. W takim też, ku swemu zaskoczeniu, zastał go w tym momencie Młody.

– Przyszedłeś w końcu trochę побыć też ze mną, synu marnotrawny? – Pytanie tak bardzo odbiegało od standardowych zagajeń Kaszowskiego, że Młodego na moment zamuroowało.

– Trochę – odparł po chwili. Nie czuł się gotowy na obcowanie z takim nowym obliczem szefa, przynajmniej na razie.

– To bardzo dobrze. – Kaszowskiemu uśmiech nie zniknął z twarzy, co tym bardziej deprimowało Jacka, który zaczął już podejrzewać, że komisarz znajduje się pod wpływem środków zmieniających świadomość. – Masz coś nowego?

Młody usiadł i przez chwilę musiał sobie przypominać, po co tak naprawdę w ogóle przyszedł.

– Tak – zaczął mało treściwie. – Facet, który kręcił się za Joanną i którego już dwa razy widziałem w towarzystwie Zielińskiego, nazywa się Waldemar Miernik. Jeszcze trzy miesiące temu kiblował we Wronkach. Teoretycznie zostały mu dwa lata do ubiegania się o warunkowe, a teraz nie dość że łązi, to jeszcze jest właściwie nietykalny.

– Za co?

– Co za co?

– Za co siedział we Wronkach? – Kaszowski był dziś cierpliwy.

– No właśnie to jest w tym wszystkim najlepsze. – Jacek wyraźnie się zapalił. – Faceta posadzili, bo pracował w firmie i brał w łapę, poza tym miał jakieś zawiasy z niebieskiej linii za znęcanie się i straszenie konkubiny bronią służbową. Posadziło go BSW, być może sam Zieliński, a teraz wygląda na to, że gość jest jego przydupasem.

– To akurat kompletnie mnie nie dziwi. Takie wyciągnięcie pomocnej dłoni do kogoś, kto pierdzi pod celą, buduje dozgonną lojalność. Zieliński zawsze był w tym dobry. – Kaszowski od razu się zorientował, że powiedział o jedno zdanie za dużo. Niestety było za późno.

– Pan go zna? – Jackowi po raz pierwszy w czasie tej rozmowy udało się skoncentrować.

– Kogo? – Kaszowski próbował się ratować. – Tego Miernika?

– Nie, Zielińskiego. – Aż tak łatwo Młodego nie można było ograć. – Czy zna pan Zielińskiego?

– Na tyle to każdy go zna. – Kaszowski kombinował jak koń pod górę. – Przynajmniej każdy z mojego przedziału wiekowego. Możesz poczytać w internecie, jak przebiegała kariera inspektora Andrzeja Zielińskiego. Jeśli do tego umiesz trochę czytać między wierszami, od razu będziesz o nim wiedział tyle co ja.

Długa i zawiła przemowa nie przekonała Jacka, ale był już na tyle obyty z komisarzem, że wiedział, kiedy należy przestać drążyć.

– No, w każdym razie ten Miernik na żadnej liście płac u nich nie figuruje. – Młody wrócił do tematu jakby nigdy nic, ale Kaszowski i tak zrozumiał, że kiedyś, i to lepiej wcześniej niż później, będzie musiał mu opowiedzieć trochę więcej o sobie i o Zielińskim.

– Jeszcze tego by brakowało, aż takimi kretynami nie są. Drąż, a coś na pewno wydrążysz – zakończył puentą, która miała za zadanie podkreślić, że to od dociekliwości Młodego, a nie od jego domniemyanych starych znajomości zależą dalsze losy tej sprawy.

Joanna na zakupy chodziła przeważnie do sklepu osiedlowego, który był placówką sieciową, ale przynajmniej sprawiał wrażenie, że nią nie jest, a jego dodatkową zaletą była niewielka odległość od domu. W weekendy, na co zawsze czekał Piotrek, jeździli na większe zakupy do jednego z wielkomiejskich centrów handlowych. Na co dzień Joanna unikała jednak wizyt w tego typu miejscach, które kojarzyły jej się z wulkanami w czasie ich największej aktywności, przy czym rolę lawy odgrywały tu wylewające się na nią ze wszystkich stron, najczęściej najzupełniej nikomu do niczego niepotrzebne dobra. Na wulkany chodzili zatem tylko w weekendy, a w dni powszednie dwie siatki dóbr koniecznych do całodziennego utrzymania ich przy życiu Joanna przynosiła ze sklepu osiedlowego.

– Jak tam nasze sprawy, pani Joanno? – Zieliński wybrał modulację głosu w wariancie miły cynik.

Joanna co prawda się przestraszyła, ale zanim odwróciła się do niego twarzą, zdołała zamaskować wszelkie symptomy paniki.

– Raczej dobrze – odpowiedziała absolutnie spokojnie, jakby jego obecność zupełnie jej nie zaskoczyła.

– No to się cieszę. – Zieliński udawał, że zupełnie nie zdziwił go brak jej zdziwienia. – Tamten człowiek, mam nadzieję, przestał się narzucać.

– Przestał. – Joanna naprawdę nie miała ochoty na dłuższe pogawędki z szefem, poza tym bardzo źle wpływały na nią coraz częściej przez niego podejmowane próby osaczenia jej.

– No i tak być powinno. – Zieliński odtrąbił sukces swojej tajnej operacji zapewnienia ochrony Joannie. – A jak zakończyła się sprawa z dziadkami?

Kątem oka dostrzegła, że kilka kroków za nimi stoi mężczyzna o płaskiej twarzy, krótkiej szyi i w okularach przeciwsłonecznych zamiast oczu. Pomyślała, że do tej pory nie widywała Zielińskiego w towarzystwie ochrony, co mogło oznaczać, iż walka klas uległa ponownemu zaostreniu.

– Właściwie nijak. – Nie zamierzała wprowadzać szefa w psychologiczne meandry tamtej sprawy, które ani go nie interesowały, ani też prawdopodobnie ze swoją wrażliwością kamienia Zieliński i tak nie miałyby szans się w nie wgryźć. – Umarła kobieta, która jako jedyna mogła wnieść coś jeszcze do sprawy.

– Mówiłem pani, że to będzie strata czasu – przypomniał inspektor z samozadowoleniem. – Przejdziemy się kawałek?

Joanna nie odpowiedziała, on ruszył, więc ona podążyła za nim.

– Co do Kaszowskiego... – Zieliński przeszedł wreszcie do meritum, co ucieszyło Joannę, bo w siatkach miała mrożonki, a w domu głodnego Piotrka.

– Wiemy, że nie brał udziału w samej akcji przejęcia w Kampinosie narkotyków, które później trafiły do depozytu. Nie brał udziału w akcji, choć wcześniej długo ją przygotowywał.

– Nie wiedziałam, że narkotyki, które później zginęły z depozytu, zostały

przejęte w wyniku jego akcji. – Joanna była naprawdę zaskoczona informacją rzuconą przez Zielińskiego jakby mimochodem.

– Że w wyniku jego akcji to może za dużo powiedziane, nad tym pracował cały zespół pod kierunkiem Talaka. – Zieliński trochę deprecjonował Kaszowskiego, a trochę przy okazji tłumaczył się przed Joanną, że wcześniej nie przekazał jej dość rudymen tarnej informacji. – W każdym razie nie byłoby w tym nic szczególnie interesującego, gdyby nie fakt, że kiedy trafiły do depozytu, już nie były do końca czyste. Ktoś gdzieś po drodze zawinął z nich przynajmniej kilkadziesiąt kilogramów. Kaszowski w czasie akcji był urlopowany, przebywał, zdaje się, ze swoją panią doktor na wczasach w Zakopanem. Proszę sprawdzić, czy rzeczywiście tak było, i jeśli tak, to jak długo tam przebywał, kiedy dokładnie pojechał i kiedy wrócił do Warszawy.

– Oczywiście. – Joanna nie wnikała w temat. Po pierwsze, ta nowa wiadomość musiała jej się ułożyć w głowie, a po drugie, chciała przede wszystkim dotrzeć do domu, tym bardziej że oprócz mrożonek i głodnego Piotrka miała na dziś zaplanowaną wizytę z Piotrkiem u swojego ojca, który po wyjściu z oddziału detoksykacyjnego zgodził się w końcu po raz pierwszy w życiu na przeniesienie prosto na odwyk w tym samym szpitalu.

Wieczory robiły się coraz dłuższe. Siedząc na ławce obok ubranego w szlafrok ojca, Joanna zastanawiała się teraz nad tym, jak różnie emocjonalnie skonstruowani muszą być ludzie mieszkający tutaj, gdzie przez pół roku chłodu i szarugi czekało się na nadejście tego drugiego pół roku, w którym życie znów dawało obietnicę nieśmiertelności, od tych, którzy mieli tę obietnicę nieśmiertelności daną przez cały rok, bo mieszkali na przykład tam, gdzie roczna amplituda temperatur była tożsama z amplitudą dzienną i wynosiła od dwudziestu pięciu stopni w nocy do trzydziestu pięciu stopni w dzień. Podobno tylko tam nie ma wschodów i zachodów słońca, po prostu zawsze o szóstej nagle robi się dzień, a o osiemnastej noc. To akurat trochę zniechęca, szczególnie kiedy siedzi się właśnie od pół godziny na ławce skąpanej w przepięknym świetle zachodzącego słońca. Cóż, coś za coś, jak zawsze w życiu i jak ze wszystkim. Tutaj za siermięgę pluchy i pajdę

szarych chmur nad głową dostaje się później ferie zapachów i półgodzinne wschody i zachody.

Tymczasem nieopodal, ponad ich głowami, Piotrek walczył z latawcem. Uwielbiał tę zabawę, a Joanna uwielbiała przyglądać się jego radości. Siedzieli na ławce w przyszpitalnym parku, wokół snuli się ludzie w piżamach, dresach i szlafrokach, słychać było fragmenty ich rozmów, szum samochodów z oddalonej o kilkaset metrów ulicy i przedwieczorne wzmoczenie ptasich treli. Wiatr powiewał tak delikatnie, że prawie niewyczuwalnie.

– Gania z tym latawcem, a potem nagle go puszcza. – Uśmiechnęła się, patrząc na kolorowego ptaka nad głową. – Już trzy w ten sposób straciliśmy.

– Rozumiem go. – Ojciec, zamiast na latawiec, patrzył na Piotrka. – Czasem szkoda nie puścić, kiedy tak bardzo chce odlecieć.

Joanna spuściła wzrok. Przez chwilę milczeli, on myślał o niej, a ona o nim.

– Tato, on by ci tego nigdy nie wybaczył, gdybyś nas teraz zostawił. – Joanna powiedziała znów coś, czego wcześniej nie przemyślała, na szczęście wciąż jeszcze takie sytuacje jej się zdarzały. – Ja też nie, ani mama.

– Mama i tak mi już nie wybaczy.

– Już dawno ci wybaczyła. – Teraz Joanna patrzyła na ojca, on to czuł, ale nie miał odwagi na nią spojrzeć. Przez chwilę siedzieli w ciszy, w końcu ona zdecydowała się zmienić temat. – Dowiedziałam się dziś, że Kaszowski brał udział w przejęciu tych narkotyków, które później skradziono z depozytu, podobno to organizował, a potem nagle zniknął.

– Rozmawiałś już na temat Kaszowskiego z panem Jackiem? – Ojciec podszedł do tematu od innej strony.

– Boję się tej rozmowy. – Córka wróciła do oglądania kolorowego ptaka nad głową. – Nie chcę igrać z jego lojalnością, a poza tym...

– A poza tym nie chcesz dowiedzieć się czegoś złego o komisarzu. – Ojciec się uśmiechnął, wreszcie był na gruncie doskonale sobie znanym, a dodatkowo niedotyczącym jego, tylko jej. – Ciężki zawód sobie wybrałaś.

- Ty mi wybrałeś. – Joanna postanowiła trochę się z ojcem podroczyć.
- Ja za wszelką cenę próbowałem cię przed nim uchronić – odparł z udawanym oburzeniem.
- No właśnie mówię. – Uśmiechnęła się.
- I bądź tu mądry.
- Jesteś mądry, tato. – Joanna spojrzała na latawiec, potem na Piotrka, w końcu na ojca. – Tylko już nam więcej tego nie rób.

Kaszowski stał na końcu korytarza na ostatnim piętrze piętnastopiętrowca na osiedlu za Żelazną Bramą. Przed nim rozciągała się panorama centrum Warszawy, wśród wielu szklanych, niekoniecznie urodziwych i z całą pewnością nieharmonizujących nawzajem ze sobą wieżowców na pierwszym planie wyróżniał się jeden z ogromnym tarasem na dachu. Już gołym okiem można było dostrzec, że na owym tarasie przy szklanym ogrodzeniu stoi dwóch mężczyzn. Kiedy Kaszowski przyłożył do oczu lornetkę, w jednym ze stojących od razu rozpoznał inspektora Zielińskiego. Drugi stał dłuższą chwilę plecami do niego, a gdy w końcu się obrócił, okazał się eleganckim, mniej więcej pięćdziesięcioletnim wysportowanym i zadbanym mężczyzną o miłej powierzchowności i oczach mordercy.

Zieliński dolał do kieliszków martini i wrzucił po jednej oliwce, a następnie podszedł z nimi do niebieskookiego eleganta ze społecznego awansu, Bernarda Kuzięby.

– Chyba naszej pani komisarz szczęśliwie minął okres pierwszego zauroczenia Kaszowskim. – Zieliński podał kieliszek, w którym oliwka bezgłośnie obijała się o ścianki z cieniutkiego szkła.

– Wie, że kupuje koks od Łańcucha? – Bernard upił maleńki łyk orzeźwiającego napoju. Bawiła go trochę świadomość, że oto pije sobie maleńkie łyki, które w miarę upływu godzin będą coraz większe, a potem łyki zmienią się w najczystsza dostępną na rynku kokainę i wtedy zadzwoni po dziewczyny.

– Wie, że kupuje, wie też, że przechowuje go w szufladach w służbowym

biurku. – Zieliński lubił się chwalić swoją nadwiedzą.

– A co na to twoja góra? – Bernard znów zamoczył usta w mocno wytrawnym trunku.

– Spokojnie. – Zieliński nie był spokojny. – Jak zbieramy na niego więcej kwitów, to ruszę z tym do naczelstwa, dostanę zielone światło na szerszą inwigilację, potem pójdzie z górki.

– Myślisz, że ta twoja panna FBI jest pewna? – Kuzięba z powodu pewnych własnych doświadczeń z przeszłości nie lubił kobiet i zupełnie im nie ufał.

– Myślę, że tak. – Inspektor tu akurat nie miał najmniejszych obaw. Teraz to on wypił nieco większy łyk martini, język dotknął cierpkiej skórki oliwki. – Ona nie jest w tym wszystkim specjalnie ważna, ale na wszelki wypadek opracowujemy z Waldkiem plan B.

– Ładny widok. – Bernard wydawał się ukontentowany.

– Ładny. – Zieliński pokiwał głową. – A przede wszystkim my widzimy, a nas nie widzą.

Stojący na ostatnim piętrze piętnastopiętrowca Kaszowski odjął lornetkę od oczu, uśmiechnął się do siebie i ruszył w kierunku oblesnej windy, z której wysiedli akurat młodzi mężczyźni udający, że do kogoś przyjechali. Kaszowski doskonale wiedział, że młodzi tak naprawdę przyjechali tu wciągnąć po kresce najtańszej z możliwych mieszanek brudnej amfetaminy z proszkiem do prania, ale w tym momencie, po pierwsze, nie miał czasu się tym zająć, a po drugie, od zawsze uważał, że nie ci chłopcy są problemem, bo oni sami mają raczej problem, znacznie poważniejszym wyzwaniem są dwaj panowie, którzy pogryzają teraz oliwki, stojąc nieopodal na tarasie drapacza chmur.

Odkąd spożywanie alkoholu przeszło u Kaszowskiego z fazy notorycznej do sporadycznej, miejsce tego trunku w pewnym sensie zajęła kawa. Ilości brunatnej cieczy wypijane przezeń codziennie można by liczyć w litrach, nie jak u normalnego obywatela – w filiżankach. Kaszowski wiedział, że nie jest to przesadnie zdrowe, a co gorsza, tak naprawdę nic do jego życia nie wnosi,

ale godził się na tę swoistą kompulsję, bo z dwojga była jednak mniej społecznie i zdrowotnie uciążliwa od poprzedniej. W związku z tym kiedy komisarz wszedł do komendy, swoje pierwsze kroki skierował do niewielkiej kuchenki na piętrze. Tam czekał już na niego Młody.

– Dzień dobry, panie aspirancie. – Kaszowski uśmiechnął się od ucha do ucha i przyjął kawę, który przygotował mu Czerwiński. – Ale to nie jest mój kubek.

Młody wzruszył ramionami i przeszedł do sprawy, która go nurtowała.

– Zieliński jest tam od dwóch lat. – Młody wypił łyk kawy ze swojego kubka. – Awans czysto polityczny, dużo dziwnych znajomych.

– Na przykład niejaki Bernard Kuzięba. – Kaszowski pokiwał głową, widać było jednak, że wciąż jakby bardziej intryguje go sprawa kubka, którego nie widział w pobliżu. – Niech pan sprawdzi, kto zacz.

– Nie muszę sprawdzać, wiem kto to jest Kuzięba. – Młody lekko się zapalił. – Baron paliwowy wyjęty spod prawa, z niejasnych przyczyn nigdy nieskazany, chociaż wielokrotnie sądzony.

Kaszowski znów się uśmiechnął. On sam wiedział o Kuziębie jeszcze sporo innych ciekawych rzeczy, ale uważał, że nie nadszedł właściwy moment wtajemniczenia Młodego w tę wiedzę.

– Tylko że to jest Biuro Spraw Wewnętrznych Policji, to nie powinno tak być. – Młody nie mógł zrozumieć, a Kaszowski przez moment spróbował sobie przypomnieć, czy i ewentualnie kiedy miał w sobie taką zapalczywość do uczciwości i naiwną wiarę w to, że coś nie powinno być tak, jak jest.

– Oczywiście, że nie powinno. – Może i kiedyś taką zapalczywość miał, ale teraz pokrywały ją potężne złogi wiedzy życiowej i czegoś, co jedni nazywali cynizmem, a inni realizmem. – Ale jest. BSW to idealne miejsce dla ludzi takich jak Zieliński, kontrola nad wszystkim, a nad tym już żadnej kontroli.

Milczeli przez chwilę, Młody konfrontował się z realnością świata, a Kaszowski z samym sobą.

– A pani komisarz? Jak ona się w tym wszystkim umiejscawia? Czyim jest

plecakiem?

– Nie jest niczym plecakiem. – Młody lekko się obruszył, co spodobało się Kaszowskiemu; tak naprawdę liczył, że aspirant się obruszy, miał wręcz nadzieję, że tak się stanie, i się nie zawiódł. – Raczej jest ich wizytówką taką spoza układu. Zawsze chyba dobrze mieć w pobliżu kogoś z wykształceniem, językami, doświadczeniem. Poza tym Joanna ma uczciwość wypisaną na twarzy, dzięki temu idealnie legitymizuje te ich wszystkie lewe kombinacje.

Kaszowski przez chwilę milczał, psychologiczno-socjologiczna analiza Młodego zrobiła na nim spore wrażenie.

– A ten cały Waldemar? – spytał. – Jak on ma się do Majewskiej?

Młody na chwilę się zafrasował, widać było od razu, że ten temat jest dla niego najmniej jasny i najbardziej niepokojący.

– Tak – odrzekł. – Tam chyba coś jest. Tylko na razie nie wiem co.

– To niech pan spyta. – Kaszowski znów wrócił do roli prowokatora.

– Sam niech pan spyta – odburknął Młody.

Kaszowski dopiero teraz w głębi sali ogólnej, na którą rozciągał się widok z kuchni, wypatrzył swój kubek. Podszedł do biurka Moniki Malisz, zajętej akurat rozmową przez telefon, zabrał kubek, wrócił do kuchni, wylał zawartość do zlewu, przepłukał kubek i przelał do niego kawę, którą wcześniej zrobił mu Młody. W tym momencie Monika skończyła rozmowę i sięgnęła przez plecy po kubek z kawą, ale już go tam nie znalazła. Aspirant Czerwiński przyglądał się całej tej sytuacji z wyraźnym rozbawieniem.

– No dobrze. – Kaszowski wreszcie mógł w pełni zaangażować się w rozmowę. – Ja zajmę się powiazaniami Waldemara z panią Joanną, a pan niech przyjrzy się dokładniej mafijnym znajomym Zielińskiego. Może tak być?

Młody kiwnął głową.

Emerytowany kapitan policji Roman Majewski powoli oswajał się z faktem swojej obecności na odwyku alkoholowym. Program codziennych zajęć był na tyle absorbujący, że nie starczało czasu na zastanawianie się nad swoją

mizerią, chyba że akurat temat zadanej pracy zmuszał do tego, by się z nią zmierzyć. Nawet wtedy jednak na sprawy można było patrzeć z pewnego dystansu, który osiągało się tutaj głównie dzięki temu, że jakkolwiek okropna byłaby własna historia, to historie innych i tak bywały w pewnych przynajmniej aspektach okropniejsze. Po raz pierwszy w życiu ojciec Joanny z ciekawością odkrywał zalety wspólnoty, a fakt, iż była to w tym wypadku wspólnota ludzi pokonanych przez własne słabości, o dziwo jedynie przydawał sprawie jakości. Roman zabierał się właśnie do napisania pracy najtrudniejszej, na którą dostał znacznie więcej czasu niż na wszystkie poprzednie, ale i tak bał się, że ogrom własnego piciorysu może go przytłoczyć tak bardzo, że nie będzie się w stanie spod niego wydobyć.

– Dzień dobry, panie kapitanie. – Od strony okolonej kwitnącymi jabłoniemi bramy, w kierunku ławki, na której z pustą na razie kartką zeszytu w kratkę siedział ojciec Joanny, zmierzał nie kto inny, jak komisarz Kaszowski.

– Własnym oczom nie wierzę. – Kapitan Majewski wstał z ławki tak gwałtownie, że zeszyt jeszcze bez piciorysu zsunął się na ziemię. – Pierwszy kryminalny Trzeciej RP odwiedził mnie na odwyku? A może to jakiś przypadek?

– Żaden przypadek. – Kaszowski schylił się, podniósł z ziemi zeszyt, podał go Romanowi i się uśmiechnął. – I żaden pierwszy.

– A co? – Majewski zdziwił się z wdziękiem. – Przyjęli jakichś nowych geniuszy?

– Gorzej. – Kaszowski nie ustępował szarmanckością. – Przyjęli nowe geniuszki.

– Miód na uszy ojca. – Majewski przejął zeszyt z rąk komisarza. – Jeszcze z takich ust. Proszę spocząć.

Usiedli.

– A co właściwie pana do mnie sprowadza, panie komisarzu? – Majewski spojrział na Kaszowskiego z sympatią i zaciekawieniem.

– Córka. – Kaszowski znany był z tego, że nie owijał w bawełnę nawet

wtedy, gdy może byłoby to wskazane.

– Panie komisarzu... – Majewski się uśmiechnął. – Mimo lat alkoholowego drenażu tego akurat się domyśliłem. A coś konkretniej?

– Nie chcę, żeby powstało wrażenie u pana, a tym bardziej u pani Joanny – Kaszowski nie owijał w bawełnę, ale wychował się w świecie, w którym autorytety i kindersztuba miały znaczenie – że próbuję załatwić coś za czyimiś plecami.

– Nie powstanie – uciał Majewski. – Proszę do rzeczy.

– Dziękuję. – Komisarz Kaszowski zrobił krótką pauzę. – Pani komisarz... Jest jakiś mężczyzna, mam wrażenie, że pani Joanna jest uwikłana w jakąś sprawę natury osobistej, przynajmniej po części i...

– Owszem. – Ojciec Joanny tym razem nie tyle przerwał Kaszowskiemu, co pomógł mu nie kończyć zdania, którego ten najwyraźniej i tak nie umiał zakończyć. – Jest, ale nic więcej panu nie powiem, nie czuję się do tego upoważniony.

– Oczywiście, panie kapitanie. – Kaszowski tak naprawdę nie oczekiwał, że ojciec Joanny powie mu coś więcej, byłby nawet zdziwiony, gdyby tak się stało. Zresztą nie po to tak naprawdę tutaj przyszedł. – Rozumiem. Ale ja coś powiem, bo może nie jest pan do końca świadomy, może też pani komisarz nie jest do końca świadoma, że ten człowiek, pan Miernik powiązany jest z jej przełożonym z BSW.

Ojciec Joanny pokiwał głową, a wyraz jego twarzy pozostał tak pokerowy, że Kaszowski nie miał pojęcia, czy wiedza, którą właśnie mu przekazał, jest dla niego nowa i czy ma znaczenie. Tego, że jednak ma, komisarz domyślił się dopiero na podstawie nerwowych ruchów rąk, gdy spokojny dotąd Roman zaczął szukać czegoś po kieszeniach. Kaszowski wyciągnął papierosa i poczęstował kapitana. Od strony budynku pojawił się tymczasem młodzieniec o twarzy niedawno ocalonej przed niechybną zgubą.

– Panie kapitanie. – Młodzieniec uśmiechał się od ucha do ucha. – Kolacja.

Ojciec Joanny pokiwał głową w stronę młodzieńca i wstał z ławki. Kaszowski zrobił to samo.

– Komu w drogę, temu czas. – Ojciec Joanny wyciągnął rękę. – Dziękuję, panie komisarzu.

– Za? – Kaszowski nie krył zdziwienia.

– Za odwiedziny i w ogóle.

Panowie uścisnęli sobie dłonie, a komisarz pomyślał, że nawet jeśli nie uda się rozpoznać człowieka, patrząc mu w oczy, to uściśnięcie dłoni rozwiewa wszelkie wątpliwości. Jeśli po wyciągnięciu ręki ktoś wsuwa ci w dłoń ciepłą, wilgotną, obślizgłą rybę, to od razu wiadomo, że z kimś takim relacja jest stratą czasu, jeśli zaś po podaniu sobie rąk przez chwilę zastanawiasz się, czy jeszcze w ogóle masz dłoń, to wtedy możesz być pewien, że właśnie spotkałeś kogoś, z kim spotkać się było warto. Niedysyjszy kapitan Milicji Obywatelskiej, później wyśmieniony komisarz wydziału kryminalnego policji zniknął w drzwiach betonowego baraku, a Kaszowski wciąż przyglądał się swojej sprasowanej dłoni.

Po kolacji, która w ośrodku była zawsze jednym z kluczowych wydarzeń dnia, przystojna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia terapeutka Ania poprosiła kapitana Majewskiego na rozmowę. Tego typu spotkania z terapeutami przeważnie odbywały się w ciągu dnia, jednak zdarzały się odstępstwa, które w przypadku pani Ani i ojca Joanny zaczynały znamionować regułę. Słońce zaszło mnie więcej pół godziny wcześniej i teraz dzień opowiadał swoją skróconą historię w języku zapachów, które krążyły wokół nich z wyjątkową intensywnością.

– Piotruś urodził się właściwie dzięki Zosi – zaczął kapitan po długim namyśle. – To ona ubłagała Joannę, żeby nie usuwała ciąży, która tak naprawdę była skutkiem gwałtu. Joasia nie potrafiła zranić matki, no i teraz mamy tego zucha, którego oboje kochamy ponad życie, pewnie kochamy go też dlatego, że ma w sobie tak dużo z babci.

Chwilę szli, terapeutka Ania nic nie mówiła, terapeuci zresztą w ogóle rzadko cokolwiek mówią, taki już widać ich los.

– Ona uratowała życie Piotrkowi, nam dała szczęście, a ja... – Majewski zatrzymał się na chwilę, bo to, co miał teraz do powiedzenia, było dla niego

bardzo trudne. – A ja jej to szczęście odbierałem, i w końcu swoim chlaniem ją zabiłem. Tak to niestety widzę.

Roman ruszył dalej, terapeutka stała jeszcze chwilę, po czym ruszyła w ślad za nim.

– Ja, ja, ja – powiedziała wyraźnie ześlona. – Właśnie na tym polega problem z wami wszystkimi. Tak naprawdę to, co się wydarza, przeważnie nie ma dla was większego znaczenia, najważniejsze jest to, jaki mieliście w tym udział, jak to się do was odnosi, jak was określa. Przez to nie macie za bardzo jak doświadczyć czegokolwiek, przeżyć, zmierzyć się z jakąś sprawą, z życiem.

Majewski spojrział na nią zaskoczony. Po pierwsze, nie spodziewał się akurat takiego komentarza, po drugie, w żadnej chyba jeszcze rozmowie, a sporo ich już z Anią przeprowadził przez trzy tygodnie swego pobytu, nie zdarzyło mu się, żeby w jednym ciągu pani doktor powiedziała tak wiele.

– W zasadzie masz rację. – Wcale nie zamierzała na tym poprzestać. – Poza tym, że nie odebrałaś życia swojej żonie. Nie my dajemy życie i oprócz ekstremalnych sytuacji nie my je odbieramy, i ty, i ja jesteśmy za mali na to, żeby mieć wpływ na coś takiego. Jest jakaś siła większa od nas samych i nie ma znaczenia, czy nazwiemy ją Bogiem, opatrnością, losem czy ewolucją. Oboje byliście chorzy, nikt nikomu nie mógł pomóc.

– Ale ja żyję. – Roman nie odpuszczał.

– A mogło się stać odwrotnie. – Ania po raz pierwszy w czasie tej rozmowy spojrziała na Romana. – Nie miałeś na to żadnego wpływu. Im szybciej uda ci się to zrozumieć i z tym pogodzić, tym lepiej dla ciebie, dla Joanny i dla Piotrusia.

Tym razem może po raz pierwszy w życiu Roman utracił nagle chęć, żeby sprawę wyświecić do końca, i przede wszystkim chęć, żeby zamknąć dyskusję swoim ostatnim zdaniem. Nic już nie powiedział, szli jeszcze kawałek w mroku, aż w końcu terapeutka Ania uśmiechnęła się na tyle delikatnie, że Roman nie mógł tego zobaczyć, mógł to jedynie poczuć.

Kolejnego ranka Joanna zjawiła się w komendzie nieco wcześniej niż zwykle. Zależało jej na tym, by jak najszybciej usiąść do pracy i przejrzeć dostępne akta ze sprawy przejęcia narkotyków sprzed mniej więcej roku, a poza tym chciała zobaczyć się z Jackiem. Miał dzisiaj imieniny i Joanna przygotowała dla niego drobiazg w postaci wody toaletowej, którą lubiła i którą chciała czuć na jego skórze. W sali ogólnej biura, w której pośród wielu innych stało też biurko aspiranta Czerwińskiego, nie było o tej porze nikogo. Joanna podeszła do biurka, wyciągnęła zapakowany w złotą folię prezent i usiadła na krześle Jacka, zastanawiając się, gdzie go podrzucić. Na rogu biurka leżała półotwarta teczka, z której wystawało zdjęcie. Joanna trochę mimowolnie wyciągnęła fotografię, następnie otworzyła teczkę i przejrzała pozostałe. Minutę później wstała od biurka i odeszła, nie zostawiając na nim pudełeczka w złotej folii. Na fotografiach, w teczce, która leżała teraz dokładnie w tym samym miejscu, z którego Joanna ją wzięła, widniała ona, inspektor Zieliński i Waldemar. Wszystkie zdjęcia wykonano teleobiektywem, wszystkie zrobił ktoś z ukrycia.

Jacek, który wiedział, że ma imieniny, ale przez myśl nawet mu nie przeszło, że może o tym wiedzieć także Joanna, od razu po przyjeździe do pracy skierował swoje kroki do jej gabinetu, bo tak robił już od wielu dni, bo między innymi w tym celu od jakiegoś czasu przychodził do pracy. Kiedy wszedł do jej pokoju, Joanna nawet nie podniosła głowy znad papierów.

– Dzień dobry – zagaił pełen wiary w piękno świata.

– Cześć. – Odpowiedź Joanny zabrzmiała jak potarcie styropianem o szkło.

– Coś nie tak? – Z Jacka uszło trochę pary. – Zły dzień?

– Nie. – Joanna podniosła głowę znad papierów. – Masz coś, bo robota mnie goni?

– Oj, bardzo zły dzień. O co chodzi?

Joanna nie odpowiedziała, a Jacek nie zamierzał spędzić w drzwiach całego dnia, odwrócił się więc i ruszył do wyjścia. Dopiero wtedy Joanna się odezwała.

– Śledzisz mnie – stwierdziła bardziej, niż zapytała.

Jacek się cofnął, stanął przed jej biurkiem, a te kilkanaście sekund starał się wykorzystać na to, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, na jakiej podstawie Joanna doszła do tego skądinąd właściwego wniosku.

– Śledzisz też inspektora Biura Spraw Wewnętrznych, śledzisz Waldemara – Joanna punktowała, a Jacek już wiedział, skąd pochodzi jej wiedza.

– Jest jakiś typ... – Jacek zebrał się w sobie i postanowił postawić na szczerość, nie miał zresztą za bardzo innego wyjścia. – Są jakieś typy, które ci zagrażają. Chcę wiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

– Nie wierzę w piekło, a to nie jest ciekawość.

– Tylko co?

– Nie wiem, może troska. – Jacek w końcu odważył się spojrzeć jej w oczy, ale ich nie zobaczył, bo Joanna wpatrywała się w papiery na biurku.

– Troszczysz się o mnie za moimi plecami. – Znów stwierdziła, zamiast pytać.

Jacek popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym wyszedł z pokoju, a Joanna zerknęła do stojącej na fotelu obok półotwartej torebki, w której wciąż leżało pudełko w złotym opakowaniu.

Urodziny Piotrka zbliżały się wielkimi krokami. Co roku za organizację z tej okazji jakiejś wymyślnej atrakcji odpowiedzialny był ojciec Joanny. Tym razem Roman, z przyczyn niezależnych, choć ważnych dla niego, Joanny i Piotrusia, którzy bardzo mu kibicowali na nowej drodze życia, nie mógł zająć się przygotowaniem obchodów, ale podsunął Joannie pomysł na to, co mogłoby stanowić ich główną atrakcję. Do klubu ze ścianką wspinaczkową wybierali się już od tygodnia. Joanna trochę się przed tym wzbraniała, ale nadszedł moment, żeby doprowadzić rzecz do końca. Klub znajdował się na warszawskiej Woli i był wyjątkowy o tyle, że to tutaj znajdowała się najwyższa i najtrudniejsza ze ścianek w całym mieście. Kiedy weszli do sali, Joanna przeraziła się na sam widok ludzi dyndających na linach kilkanaście

metrów nad ziemią. Od dziecka zmagala się z bardzo silnym lękiem wysokości.

– Jesteś pewien? – Jej pytanie było retoryczne i bardziej miało na celu zyskanie na czasie.

Piotrek potwierdził skinieniem głowy.

– Dobrze. – Joanna rozejrzała się po sali. – Zaczekaj chwilę.

Już miała ruszyć w stronę stojącego przy ścianie młodego mężczyzny w koszulce z nadrukiem firmowym, kiedy nagle Piotrek złapał ją za rękaw kurtki.

– Mamo?

– Tak, synku? – Spojrzała na Piotrka, który stał teraz ze wzrokiem utkwionym w głąb korytarza prowadzącego do sali.

– Czy to nie jest ten pan, którego tak nie lubisz? – Piotrek wyglądał bardziej na zaciekawionego niż wystraszonego.

To był ten pan, którego Joanna tak nie lubiła. W głębi korytarza, w półmroku jarzeniowego światła, w swoich nieodłącznych przyciemnianych okularach stał Waldemar Miernik.

– Poczekaj chwilę. – Joanna ruszyła w stronę Waldemara.

Piotrek przyglądał się ich rozmowie z bezpiecznej odległości, do jego uszu docierały tylko fragmenty, ale nawet one wystarczyły, by rozwiać obawy.

– Przyszedłem cię przeprosić – mówił mężczyzna w przyciemnianych okularach. – Za tamto z Piotrkiem, wtedy, w szkole...

Joanna słuchała, ale przede wszystkim zastanawiała się, jaki tak naprawdę cel ma wizyta Waldemara w tym miejscu.

– Nie chodź więcej za nami – odpowiedziała i zerknęła na Piotrka, który szybko udał, że nie patrzy w ich stronę. – Rozumiesz?

Waldemar pokiwał głową, chciał jeszcze coś dodać, ale Joanna odwróciła się i odeszła. Kiedy dołączyła do Piotrka, ten wpatrywał się już wytrwale w dziewczynę, która wykonywała na ścianie obok niespotykane akrobacje.

– Co chciał? – spytał rzeczowo.

– Porozmawiać – odparła Joanna i ruszyła w stronę stojącego w rogu sali instruktora w koszulce z nadrukiem. Nie miała ochoty zagłębiać się w wyjaśnianie tego, co zaszło.

– Przecież ty nigdy z nim nie rozmawiasz. – Chłopiec nie ustępował.

Joanna się zatrzymała i spojrzała na syna, a on nie pytał o nic więcej, tym bardziej że instruktor zauważył ich już wreszcie i ruszył w ich stronę.

W sali konferencyjnej było siwo od dymu. Chociaż z obecnej tu trójki mężczyzn palił tylko jeden, to pozostała dwójka z racji piastowania niższych stanowisk w resorcie nie śmiała oponować. Przed momentem Zieliński skończył referować sytuację, jego bezpośrednia przełożona, szefowa Biura Spraw Wewnętrznych Policji, przystojna, mniej więcej pięćdziesięcioletnia szatynka o krótkich, po męsku ostrzyżonych włosach, nadinspektor Ewa Zaręba pokiwała głową na potwierdzenie jego słów. Palący piątego z rzędu papierosa, zniszczony życiem, chronicznym nadmiarem odpowiedzialności i używkami młodszy od pozostałej dwójki, ale wyglądający na starszego wiceminister spraw wewnętrznych Kownacki namyślił się chwilę.

– Mam nadzieję, że są państwo świadomi tego, czym nam to grozi? – zaczął. – Jeśli sprawa dotrze do mediów, a z każdą chwilą taki scenariusz staje się coraz bardziej realny, to wszyscy jak tu siedzimy stracimy pracę, i oby tylko to... Prawie pół tony kokainy o wartości rynkowej...

Kownacki spojrzał na Zielińskiego w oczekiwaniu na uzupełnienie merytorycznych danych.

– Około stu pięćdziesięciu milionów złotych. – Zieliński znał liczby. – W detalu w każdym razie.

Kownacki pokiwał głową, przez moment przemknęło mu przez myśl, co mógłby zrobić ze swoim życiem, gdyby w jego ręce trafiła taka kwota. Dokładnie nie był sobie w stanie tego teraz wyobrazić, ale wiedział na pewno, że uciekłby jak najdalej od tego wszystkiego, od odpowiedzialności, od spotkań z niekompetentnymi i często mało inteligentnymi ludźmi, a w rezultacie może nawet od fajek. Zaciągnął się.

– No więc sto pięćdziesiąt milionów złotych zginęło z policyjnego

depozytu. – Kownacki popatrzył na swoich podkomendnych. – To jest absolutnie niewyobrażalne.

Przez chwilę trwało milczenie, a cała trójka próbowała się oswoić ze wspomnianą niewyobrażalnością tego, co zaszło.

– Nie chcę zbyt wiele obiecywać, panie ministrze – nadinspektor Zaręba uznała, że nadszedł czas na jej wypowiedź – ale wydaje mi się, że jesteśmy już w tej chwili naprawdę blisko grupy, która stała za tą... – chciała powiedzieć „kradzieżą”, ale zorientowała się w porę, że to słowo nie oddawałoby w odpowiedni sposób niewyobrażalności – ...za tym zdarzeniem.

Zarówno ona, jak i Kownacki spojrzeli na Zielińskiego nieomal równocześnie.

– Jakie są realne szanse na odzyskanie tych narkotyków? – Minister przypomniał sobie, że za dwadzieścia minut powinien być na spotkaniu w hotelu Ibis z pewną kobietą, która nie znosiła, kiedy się spóźniał, a on nie znosił, kiedy ona czegoś nie znosiła.

– Trudno w tym momencie wyrokować. – Zieliński zaczął od zdania, które nic nie oznaczało, ale zabezpieczało go przed podjęciem jakiegokolwiek konkretnego zobowiązania. – Do podmiany musiało jednak dojść pomiędzy rutynową kontrolą pół roku temu, kiedy to narkotyki były jeszcze narkotykami, a dodatkową kontrolą, do której doszło przed samym spalaniem narkotyków trzy miesiące temu. Kontrola przed spalaniem ujawniła, że narkotyki zostały zamienione na talk.

Kownacki spojrział na zegarek, zgasił papierosa i zaczął nerwowo stukać zapalniczką o blat pokrytego laminatem okrągłego stołu. Jak na razie inspektor nie powiedział nic, czego minister nie wiedziałby wcześniej, a czas płynął nieubłaganie.

– Jeśli narkotyki są wciąż na terenie Polski – Zieliński przeszedł wreszcie do rzeczy – a nie mamy podstaw przypuszczać, że zostały wywiezione, to wprowadzenie na rynek tak ogromnej ilości musi potrwać kilka miesięcy... monitorujemy rynek detaliczny i narkotyki o takiej jak tamte specyfikacji na razie na rynku się nie pojawiły. Reasumując, myślę, że większość z nich jest jeszcze do odzyskania.

Kownacki był trochę zły, bo nie pytał o to, czy narkotyki są do odzyskania, tylko o to, jakie są na ich odzyskanie realne szanse, ale spieszył się już teraz tak bardzo, że nie miał cierpliwości, by zgłębiać ten temat. Jednocześnie wydawało mu się, że Zieliński zbudował całą tę nieco zbyt złożoną dramaturgię po to, żeby przeprowadzić w tej rozmowie coś jeszcze. I się nie pomylił.

– Żeby sprawę przyspieszyć i żeby zwiększyć nasze szanse – Zieliński zerknął na swoją krótko ostrzyżoną szefową i przeszedł do rzeczy – będę potrzebował pewnych dodatkowych... prerogatyw.

– To jest sprawa absolutnie priorytetowa. – Kownacki chciał już wyjść. – Dla mnie, dla nas, dla resortu, myślę, że nawet dla autorytetu państwa. Ufam tylko, że wykorzysta pan te prerogatywy w sposób przemyślany.

Zieliński pokiwał głową i uśmiechnął się porozumiewawczo. Minister wstał.

– Wszystkie zapotrzebowania proszę kierować do mnie za pośrednictwem pani Ewy. – Minister wyciągnął rękę najpierw do Zaręby, następnie do Zielińskiego; myślami był już w hotelowym pokoju, w którym za chwilę ściągną z księżniczką warszawskich salonów po dwie kreski i odlecą w kierunku ogrodu niewyobrażalnych ziemskich rozkoszy. – Będę podpisywał najszybciej, jak się da.

Kiedy tylko minister opuścił salę konferencyjną, Zieliński podszedł, otworzył okno i wciągnął do płuc świeże powietrze. Po chwili dołączyła do niego pani nadinspektor, ich spojrzenia się spotkały.

Spotkanie Zielińskiego z Kuziębą w ruinach opustoszałej mleczarni inspektor zaplanował już znacznie wcześniej, ale teraz dodatkowo miał Bernardowi do przekazania dobre wieści.

– Dostałem zgodę na podsłuchy – zaczął Zieliński, kiedy tylko znaleźli się we wnętrzu hali, gdzie nikt nie miał szansy ich podsłuchać. – Będziemy go monitorowali dwadzieścia cztery na dobę.

– Teraz tylko trzeba go wrzucić na lewe sanki. Dostałem cynk od mojego celnika z Gdyni – Kuzięba miał dla Zielińskiego nie mniej obiecujące

informacje. – Statek z towarem dla mafii z Petersburga dopłynął już do Hamburga. W porcie wszyscy celnicy są opłaceni przez Ruskich, na pewno to puszcza.

– Możemy zacząć rozgrywać Kaszowskiego. – Zieliński nie miał cienia wątpliwości, że Marek, który od miesiący kupował od Łańcucha najczystszy towar na rynku, wejdzie w sprawę bez mrugnięcia okiem. – Uruchamiam Łańcucha, ty szukaj swoich chłopaków i jedziemy.

– Myślisz, że nasz komisarczyk w to wejdzie?

– Jak w masło – odrzekł Zieliński z uśmiechem. – Znasz kogoś, kto by się nie schylił po kilkaset milionów?

Kuzięba pokręcił wprawdzie głową, ale przynajmniej na razie wcale nie podzielał silnego przekonania Zielińskiego, że Kaszowski schylił się po kilkaset milionów.

Piętnaście minut, które dzieliły Zielińskiego od kolejnego spotkania w tym samym entourage'u, inspektor spędził na wyobrażaniu sobie, jak poprowadzi pierwsze przesłuchanie Kaszowskiego zaraz po tym, kiedy zostanie on zatrzymany na gorącym uczynku w czasie próby nielegalnego przejęcia transportu z dwiema tonami czystej kolumbijskiej kokainy. Wyobrażanie sobie tego momentu Zieliński miał już doskonale przećwiczone, ponieważ o jego nadejściu marzył od ponad dwudziestu lat. Marzył o nim od momentu, kiedy porucznik Marek Kaszowski spowodował na szczęście jedynie chwilowe, ale jednak załamanie jego błyskotliwej kariery w strukturach Komendy Głównej Policji.

Joanna pojawiła się w mleczarni z kilkuminutowym opóźnieniem. Wiedziała, że Zieliński bardzo nie lubił tego typu sytuacji, ale jakaś tajemnicza siła przekory sprawiała, że nigdy nie udawało jej się spóźnień uniknąć. Inspektor stał przy otworze okiennym, z którego lokalni eksploratorzy zdołali wyrwać nawet stolarkę spożytkowaną później na opał.

– Znów spóźniona. – Zieliński nie odwrócił się do Joanny, w jego tonie pobrzmiwała ta sama co zwykle niezbyt sroga nagana. – Pani spóźniona, a tymczasem będziemy musieli przyspieszyć.

– Doskonale, na jakim odcinku? – Joanna podeszła bliżej, ale nie na tyle blisko, żeby wejść w strefę bezpośredniego kontaktu z szefem.

– Ach, ten pani sarkazm. – Zieliński był dziś w wyjątkowo dobrej formie.
– Przyspieszamy na odcinku Kaszowskiego oczywiście. Jeszcze nieoficjalnie, ale dostałem już wszystkie prerogatywy niezbędne do prowadzenia wzmożonej inwigilacji.

– Miałam wrażenie, że już prowadziliśmy wzmożoną inwigilację.

– Do tej pory prowadziliśmy zwyczajną inwigilację. Od teraz podsłuchy będą wszędzie: w domu, w aucie, w necie i w ubikacji, teraz usłyszymy nawet jego myśli.

Joanna po raz pierwszy odniosła niejasne wrażenie, że w niechęci Zielińskiego do Kaszowskiego, oprócz zwykłego braku sympatii, którą zresztą inspektor nie darzył nikogo, jest jeszcze jakiś element dodatkowy, bardziej osobisty. Kiedy mówił teraz o Kaszowskim, wydawało jej się nawet, że po raz pierwszy uruchomiły się w nim jakieś emocje, choćby i negatywne.

– Może to panią trochę zdziwi – ciągnął inspektor – ale chciałbym teraz poprosić, żeby pani dla odmiany z nim współpracowała. Jeśli zaistnieje potrzeba, proszę go nawet odciążyć od bieżących spraw, w czymś mu pomóc.

– Myśli pan, że nie zaskoczy go taka zmiana w moim zachowaniu? – Joanna sama była w tej chwili zaskoczona.

– Niekoniecznie. – Zieliński uśmiechnął się do niej porozumiewawczo. – Przecież już wcześniej zdarzała wam się owocna współpraca. Nie ukrywam, że wtedy niespecjalnie mi się to podobało, ale teraz może się to okazać przydatne.

Joanna uśmiechnęła się do własnych myśli, a on od razu to wychwytał.

– Dobrze – przyznał. – Miała pani rację. Rzeczywiście to była lepsza strategia, w końcu po coś kończyła pani te wszystkie szkoły. Będę miał do pani jeszcze jedną, kto wie, czy nie najważniejszą prośbę... – zawiesił głos, a Joanna pomyślała, że co jak co, ale kiedy sprawa wchodzi na pułap osobistych prośb, to wymyka się trochę z ram profesjonalizmu, a tego akurat najbardziej w tej relacji chciała uniknąć. – Nie przypuszczam, ale chciałbym,

żeby się pani upewniła, czy Kaszowski czegoś nie przeczuwa, czy nie pogrywa z nami?

– A jak pańskim zdaniem mogłabym się upewnić? – Joanna miała dosyć tego spotkania. Przyszło jej właśnie do głowy, że tak naprawdę w tej chwili kontynuuje je z pobudek zupełnie innych niż dotychczasowe. Niby nadal chodziło o uczciwość i oczyszczenie policji z elementu kryminalnego, ale powoli docierało do niej, że owa uczciwość i element kryminalny mogą się lokować w zupełnie innym obszarze, niż jej się pierwotnie wydawało.

– Proszę mu się po prostu przyglądać. – Zieliński zaczął niewinnie, ale od razu można było wyczuć, że jego intencje sięgają znacznie dalej. – Kaszowski pozostaje w bliskich relacjach z aspirantem Czerwińskim, darzą się zaufaniem. No a pani z aspirantem, to znaczy z panem Jackiem, o ile mi wiadomo...

Joanna poczuła się nagle zagubiona. Wiedziała już ponad wszelką wątpliwość, gdzie należy szukać elementu kryminalnego, nie wiedziała natomiast, gdzie uda jej się w pajęczynie wszystkich tych zależności odnaleźć uczciwość. Uśmiechnęła się do Zielińskiego, a ten nawet się nie zorientował, że właśnie zyskał w jej osobie bardzo przebiegłego wroga.

Relacja Kaszowskiego z Łańcuchem była szczególnej natury. Panowie znali się od lat, Kaszowski już parokrotnie zamykał Łańcucha za grubsze i cieńsze przestępstwa, tak się jednak zawsze składało, że Łańcuch po odsiedzeniu krótkich wyroków albo jedynie okresów w areszcie śledczym wychodził na wolność. Nie było w tym żadnej zasługi Kaszowskiego, co więcej, owa nieudolność wymiaru sprawiedliwości, spisująca niejako na straty wysiłki policjantów, doprowadzała go do szewskiej pasji. Teraz jednak komisarz postanowił wykorzystać ów zbieg okoliczności, co przyszło mu o tyle łatwo, że bandyta z jakiegoś powodu uważał, iż owe szybkie wyjścia na wolność zawdzięcza właśnie jemu. Wiele czasu w życiu Kaszowski spędził na walce z takimi nieporozumieniami, tego jednak nie zamierzał w ogóle prostować. Łańcuch czuł się wobec niego zobowiązany, a odkąd po raz pierwszy kilka tygodni wcześniej Kaszowski odszukał go i poprosił o sprzedaż kilku

działek koks, bandyta uznał, że wszedł z komisarzem w jakiś szczególny rodzaj komitywy. Na obecnym etapie niczego więcej Kaszowski nie potrzebował.

Tym razem spotkali się na terenie położonego zaledwie dwie ulice od komendy parku rekreacyjnego. Kobiety jeździły z wózkami, biegacze biegali, dzieci ganiały za piłką, a oni dokonywali kolejnej transakcji detalicznej.

– Ile dzisiaj? – Łańcuch odruchowo się rozejrzył, choć wiedział, że w tych okolicznościach nie ma się czego obawiać.

– Dwie. – Kaszowski sięgnął do kieszeni, w której miał przygotowane pieniądze.

– Może więcej od razu. – Łańcuch też sięgnął, ale zawahał się na moment. – Co się tak będziemy ciągle spotykać.

– A co, nie lubisz się spotykać z psem? – Kaszowski uśmiechnął się drwiąco. – Dwie daj.

Łańcuch pogrzebał w kieszeni, w której wymacał dwie małe foliowe torebki, następnie wyciągnął dłoń zaciśniętą w pięść, zbliżył ją do wyciągniętej dłoni komisarza. Torebki zmieniły właściciela, a Kaszowski drugą ręką podał Łańcuchowi pieniądze.

– Bardzo lubię się spotykać z psem, z życzliwym psem. – Bandyta przez chwilę przyglądał się policjantowi, jakby ważył decyzję, czy podjąć wątek, który zamierzał właśnie podjąć. – Jest sprawa do rozegrania.

– Zawsze są jakieś sprawy do rozegrania. – Kaszowski schował rękę z plastikowymi torebkami do kieszeni, w środku wymacał dwie zbite grudki. – Jaka sprawa?

– Gruba. – Łańcuch posuwał się małymi krokami. – Wiem o dużym rzucie, który będzie szedł z portu w Gdyni. Pomyślałem, że można by przejąć oficjalnie, a potem trochę z tego urwać, zanim trafi do depozytu. Już chyba to ćwicyłeś, nie?

Kaszowski się ucieszył z tego, że w światku przestępczym najwyraźniej przyjęto za pewnik fakt, iż to właśnie on odprowadził część kokainy po tym, jak przejęła ją grupa dowodzona przez Monikę. Kiedy niby miał to zrobić,

nie przychodziło mu do głowy. Ale jak w większości teorii spiskowych, z których często rodziły się wielkie legendy, szczegóły nie miały przesadnego znaczenia. Marek się uśmiechnął, co mogło oznaczać, że nie przeczy. W świecie, w który właśnie wchodził, zbyt bezpośrednie i jednoznaczne wypowiedzi były źle przyjmowane. Policjant z blisko trzydziestoletnim stażem na szczęście to wiedział.

– Ile tego ma być? – Marek postanowił brnąć dalej w coś, nad czym wciąż sprawował kontrolę, a w każdym razie taką miał nadzieję.

– Dwie tony. To ma iść na rynki rozwijające się.

– Ruscy? – Kaszowski grał w grę, której reguły sam ustanowił.

Łańcuch kiwnął głową. Tak bardzo obawiał się konsekwencji zderzenia z przestępczą reprezentacją Kraju Rad, że przynajmniej w tej chwili wolał nie otwierać ust.

– Pomyślmy. – Komisarz miał świadomość, że zbyt szybkie podjęcie decyzji w sprawie tak poważnej może go zdemaskować.

– Tylko albo wchodzisz ze mną, albo zostaw. – Bandyta nagle zrobił się nerwowy.

– Bo?

– Bo jak wejdiesz po swojemu, to ci nie pomogę. – Łańcuch miał wytyczne i starał się je teraz wypełnić jak najlepiej.

– Straszysz mnie?

– Sam się boję. – Łańcuch bał się wielu rzeczy, Ruscy stanowili tylko jedną pozycję na długiej liście, tak naprawdę znacznie większe niebezpieczeństwo zagrażało mu ze strony swoich, wobec których miał zobowiązania. Niewywiązanie się z nich nie wchodziło w grę.

Prosto ze spotkania z Łańcuchem, z ciepłą jeszcze kokainą w kieszeni, Kaszowski udał się do Talaka, który zorientował się już jakiś czas temu, że jego przyjaciel prowadzi na boku jakąś nie do końca jasną z punktu widzenia prawnego i najprawdopodobniej mocno niebezpieczną operację. Kiedy Marek wszedł do gabinetu, naczelnik pił właśnie czwartą kawę tego dnia, a ryby w akwarium były przekarmione.

– Marek, nie wiem co, ale wiem, że coś jest. – Talak zaczął mało konkretnie, bo mało konkretna była jego wiedza w sprawie. – Nie możesz dłużej z tym chodzić bokami. Trzeba to zalegalizować.

– Oni kręcą bata, Heniu. – Kaszowski wiedział, o czym będą rozmawiali, więc przyszedł przygotowany. – Nie tylko na mnie, ale na nas wszystkich. Jak to zalegalizujesz, to oni będą o tym wiedzieli w ciągu dwudziestu minut i będzie posprzątane.

– Pani Joanna nie musi być o tym informowana. – Talak starał się znaleźć złoty środek, ale nie do końca rozumiał skalę problemu.

– Pani Joanna to tylko wierzchołek góry lodowej. To jest oficjalny przedstawiciel BSW do spraw odwracania naszej uwagi. Ona nie jest problemem, a nawet jeśli, to najmniej uciążliwym.

– No to nikt nie będzie wiedział, Majewską utrzymamy poza obiegiem. – Talak się ucieszył w swej naiwności. – Puścimy tylko sprawę do Sobeckiego, a on na pewno nie wyprowadzi jej poza wydział.

– Pani Joanna, moim zdaniem, nie jest tutaj jedyną wtyką BSW. – Kaszowski dość brutalnie rozwiął złudzenia szefa.

– Nie jedyną? – Teraz Talak poczuł się trochę zagubiony. – Czyli kto jeszcze?

– Jakbym wiedział, to nie mielibyśmy problemu. Heniu, czy ja kiedykolwiek zawiodłem twoje zaufanie?

– Wielokrotnie. – Talak się uśmiechnął.

– No właśnie. I dlatego musisz mi dać jeszcze jedną szansę.

– Muszę? – Talak nie znosił czegokolwiek musieć, zresztą Kaszowski rozumiał to doskonale, w tym akurat byli identyczni. – Masz dwa tygodnie na te swoje podchody, potem puszczam to oficjalnie.

– Trzy tygodnie. – Komisarz wstał i wyszedł, zanim naczelnik zdążył odpowiedzieć.

Po dotarciu do wydziałowej kuchenki Marek zrobił sobie kawę i podążył z nią do gabinetu, gdzie czekał już na niego aspirant Czerwiński. Młody siedział na krześle w rogu i bawił się piłką tenisową.

– Co jest? – Kaszowski wyjątkowo nie lubił, kiedy ktoś wchodził do gabinetu pod jego nieobecność.

– Nie wiem, i to jest właśnie najgorsze – zaczął Młody nieśmiało.

– Skąd nie wiesz? – Kaszowski zapytał bardziej pro forma, bo doskonale się orientował, że obecność Młodego tutaj jest po prostu kolejnym przejawem niepokoju Talaka.

– Naczelnik prosił, żebym pana wspomógł, w czymkolwiek będzie trzeba.

– Nie ma w czym. – Kaszowski nigdy się za bardzo nie przejmował tym, czy w jego zachowaniu występuje logiczna konsekwencja, kiedy jednak zobaczył szczerze zawiedzione oblicze Młodego, trochę się zmitygował. – Może później.

Młody równie szczerze, jak przed chwilą się zmartwił, teraz się ucieszył.

– No dobra. – Kaszowskiemu wyczerpał się najwyraźniej dzienny limit dobroci dla współpracowników. – A teraz leć, mam tu kilka spraw.

Młody mógłby się właściwie w takiej sytuacji obrazić, gdyby nie to, że takie sytuacje zdarzały się już wcześniej dziesiątki razy, a poza tym nigdy nie był przesadnie obrażalski.

Joannie udało się wreszcie położyć Piotrka, mogła przebrać się w dres i zasiąść do odłożonej od tygodni lektury Machiavellego. Książkę czytała dawniej zmuszona obliżem szkolnej lektury, kilka dni temu postanowiła do niej wrócić w nadziei na to, że w jej treści zdoła znaleźć klucze do sytuacji, z którą musiała się obecnie mierzyć. Kiedy doszła do ostatniego zdania na pierwszej stronie *Księcia*: „A jeżeli Wasza Wysokość ze szczytu swej wielkości zwróci niekiedy oczy na niziny, spostrzeże, jak niezasłużenie znoszę ciężkie i nieustanne prześladowanie losu”^[1], uśmiechnęła się do swoich myśli i w tym momencie usłyszała pukanie do drzwi.

W wizjerze zobaczyła twarz Waldemara; najpierw zdrętwiała, po chwili wróciła do pokoju, wzięła kaburę z bronią i wtedy dopiero uchyliła drzwi na szerokość kilku centymetrów.

– Czego chcesz? – Jedną ręką przytrzymała drzwi, w drugiej,

niewidocznej dla Waldemara, trzymała glocka.

– Mogę wejść? – Waldemar wiedział, że wejście nie wchodzi w grę, droczył się jedynie z Joanną. Na jego twarzy pojawił się przekorny uśmiech.

– Nie możesz.

– Szykują się na Kaszowskiego. – Waldemar przeszedł do rzeczy.

– Od trzech miesięcy. – Joanna nie wydawała się oszołomiona tą informacją. – Coś poza tym?

– Tak. – Teraz Waldemar mówił spokojnie, patrząc Joannie w oczy. – Jak się omskniesz, to polecisz razem z nim. Tylko że on do pierdła, a ty do piachu. Za dużo wiesz.

– Jak ja do piachu – Joanna nadal nie sprawiała wrażenia przejętej rewelacjami – to ty gdzie?

– Głębiej. – Waldemar znów się uśmiechnął, tym razem jednak w uśmiechu nie było cynicznej ironii, tym razem był on podszyty smutkiem.

Joanna patrzyła na niego i przez chwilę mignęło jej w pamięci uczucie, które nosiła w sercu lata temu, kiedy ten mężczyzna był jej bliski. Nie powiedziała już nic więcej, tylko zamknęła drzwi. Waldemar został po tamtej stronie. Po tej krótkiej i bardzo dziwnej rozmowie Joanna nie wróciła już do lektury *Księcia*. Wbrew dobrze udawanemu lekceważeniu, które z powodzeniem zaprezentowała przed chwilą, informacje Waldemara, a bardziej nawet sam fakt jego pojawienia się wywarły na niej bardzo silne wrażenie. Jak się miało okazać za chwilę, nie były to też, niestety, ostatnie wrażenia tego wieczora.

Traf chciał, że gdy Waldemar zszedł po schodach i znalazł się przy wyjściu z klatki, wchodził do niej akurat aspirant Czerwiński. Mijając się w wąskiej przestrzeni, spojrzeli na siebie czujnie, ale prawdopodobnie do niczego by nie doszło, gdyby nie dziwna psychopatyczna nieco przypadłość Waldemara, która w każdej niemal życiowej sytuacji kazała mu szukać zaczepki. Gdyby go o to zapytać post factum, a może nawet gdyby dać mu do rozważenia tego typu hipotetyczną sytuację, prawdopodobnie Waldemar obrałby inne rozwiązanie. Niestety, w praktyce potrzeba prowokacji była

silniejsza od niego.

– Zmiana warty – rzucił ćwierć sekundy po tym, kiedy się minęli.

Jacek, który dla odmiany był w zasadzie człowiekiem raczej zrównoważonym i nieszukającym w każdej sytuacji okazji do rozładowania napięcia, wobec takiego wyzwania nie miał wyjścia. Z drugiej strony stwierdzenie, że Jacek nie skorzystał z tej szansy z odrobiną skwapliwości, też nie byłoby do końca zgodne z prawdą. W każdym razie usłyszawszy wypowiedzianą półgębkiem kwestię, Jacek odwrócił się niespiesznie, złapał oddalającego się Waldemara za włosy i wyrzwał jego twarzą o skrzynki pocztowe. Rozgorzała walka, która po chwili przeniosła się na zewnątrz, bo w ciasnocie klatki schodowej żaden z panów nie mógł pokazać pełni swoich możliwości. Początkowo wyraźną przewagę w walce uzyskał Jacek, z czasem szala zaczęła się przechylać na stronę starszego trochę i jednak bardziej doświadczonego Waldemara, który dodatkowo niezwykle sprawnie posługiwał się kopnięciami. Kiedy wszystko wskazywało już na to, że w tej konkretnej sytuacji to on zdoła udowodnić swoją samczą supremację, Jacek zablokował kolaniem jedno z kolejnych wyprowadzonych przez niego kopnięć. Uderzenie piszczelem w kolano nie należy do rzeczy przyjemnych i o ile nie skończy się po prostu otwartym złamaniem, to w najlepszym wypadku wywołuje trudny do opisanego ból. Waldemar skrzywił się i przygiął na moment, a ten moment wystarczył Jackowi do przeprowadzenia akcji kończącej walkę. Kiedy Waldemar ledwie trzymał się już na nogach, a jego twarz przypominała krwisty befsztyk, Jacek złapał go za poły kurtki, przeszedł z nim kilka kroków i głową wbił w boczną szybę bmw, które może należało do Waldemara, a może było jedynie jego wozem służbowym. W aucie włączył się alarm, Jacek przetarł krew, bo i jemu zalewała oczy, i ruszył w stronę klatki, z której wytoczyli się kilkadziesiąt sekund wcześniej.

Joanna tymczasem cały czas siedziała w mroku kuchni i zastanawiała się, co właściwie powinna zrobić i czy przypadkiem nie byłoby najrozsądniejsze w tej sytuacji nie robić nic, albo wręcz robić jeszcze mniej niż nic, czyli wypisać się w tym momencie z wszelkiej dalszej działalności przy tej sprawie, a może wręcz w ogóle przy wszystkich sprawach kryminalnych.

Kiedy usłyszała walenie do drzwi, wzdrygnęła się i po raz kolejny tego wieczora ujęła w rękę zimną kolbę leżącego teraz przed nią na kuchennym stole glocka. Tym razem jednak, gdy zerknęła przez wizjer, nie uchyliła drzwi, tylko otworzyła je od razu na oścież i bez słowa pomogła wejść do mieszkania Jackowi, który przez obite oczy i krew spływającą z łuku brwiowego nie bardzo widział cokolwiek przed sobą.

Joanna przeprowadziła go najpierw do łazienki, gdzie przemyła mu rany, rozcięty łuk brwiowy pokleiła plastrem. Następnie, wciąż nie zamieniając z nim ani słowa, zabrała go do kuchni, gdzie z lodu zawiniętego w gazę i ręczniki przygotowała okłady. Jacek przez cały czas pozostawał bierny, przyglądał się wszystkiemu z ufnością, właściwie cieszyło go, że sprawy potoczyły się w ten sposób. Gdyby nie to, kto wie, czy w ogóle udałoby mu się wejść do jej mieszkania, a tak był tutaj, ona zaś, opatrując mu rany, z każdą chwilą zdawała się zapominać, że wcześniej zawiódł jej zaufanie.

– Chcesz herbaty? – zapytała, stojąc już przy kuchence.

Zamiast odpowiedzieć, podszedł do niej i otoczył ją ramionami. Opierała się trochę, ale gdy próbując wyzwolić się z jego uścisku, dostrzegła na jego twarzy grymas bólu, przestała. Jacek wykorzystał moment, obrócił ją twarzą do siebie i pocałował, najpierw delikatnie, potem coraz gwałtowniej. Po chwili wziął ją na ręce i przeniósł do salonu. Kiedy pomagała mu ściągać koszulę, też w pewnym momencie pomyślała, że może w gruncie rzeczy dobrze się stało, tak jak się stało, a kiedy w nią wszedł, nie miała już co do tego żadnych wątpliwości. Kochali się krótko, ale niezwykle intensywnie, być może obojgiem zawładnęła radość z faktu pokonania przeszkody, która o mały włos nie zniszczyła ich relacji.

Rankiem następnego dnia samochód wyjątkowo prowadziła Joanna, Jacek upierał się chwilę, żeby usiąść za kierownicą, ale ponieważ pół twarzy miał zabandażowane prawie całkowicie, to Joanna postawiła na swoim. Pomimo obrażeń, widocznych teraz jeszcze bardziej niż poprzedniego wieczora, i pomimo zajęcia pozycji pasażera czuł się zrelaksowany. Joanna też była w raczej dobrej formie, ale skoro jechali razem do pracy, to w pewnym

momencie przełączyła się na tryb po części służbowy.

– A czym właściwie teraz zajmuje się Kaszowski? – zapytała i od razu trochę się wystraszyła, czy nie zaburzy tym pytaniem harmonii, którą udało im się właśnie osiągnąć.

– Prowadzi sprawę. – Jacek nie sprawiał wrażenia urażonego.

– Jaką sprawę?

– Bo ja wiem... – Spojrzał na nią jedynym dostępnym chwilowo okiem. – Teraz pracuję z tobą, nie z nim. A po co ci to?

Ostatnie pytanie, choć rzucone w tonie podobnym do poprzednich, bez jakiegokolwiek podejrzliwości, poruszało jednak cienką strunę, która za moment mogła odezwać się fałszywym dźwiękiem. Joanna poczuła, że nadszedł moment, w którym trzeba się określić bardziej zdecydowanie.

– Wydaje mi się, że mogłabym pomóc. – Nie odrywała wzroku od drogi przed sobą.

Jacek popatrzył na nią czujnie, a po chwili pokiwał głową z satysfakcją, bo dotarło do niego, że właśnie w tym momencie w osobie komisarz Majewskiej zyskali w końcu zadeklarowanego sprzymierzeńca.

Dwudziestoletnie volvo Kaszowskiego na tle nowego czarnego mustanga Łańcucha prezentowało się lekko absurdalnie. Komisarz wyłączył silnik, który pomimo przekręcenia kluczyka działał jeszcze przez dobre pięć sekund w trybie samozapłonu. Łańcuch, który w swoim aucie palił papierosa przy opuszczonej szybie, zauważył to i skomentował ironicznym uśmiechem. Kaszowski wysiadł, przeszedł przed emblematem konia na masce czarnego samochodu i wsiadł do niego od strony pasażera. Już miał się odezwać, kiedy tamten powstrzymał go, wskazując na leżący na podszybiu rozłożony na części własny telefon komórkowy. Kaszowski kiwnął głową, wyjął swój z kieszeni, wyciągnął z niego baterię i położył wszystko obok aparatu Łańcucha. Dopiero teraz bandyta sięgnął na tylne siedzenie po granatową tekturową teczkę na gumkę. Otwierał ją z taką pieczołowitą dokładnością, że Kaszowskiemu przemknęło przez głowę, iż zamiast zajmować się handlem narkotykami, rozbojami, wymuszeniami, może też zabójstwami, Łańcuch

mógłby być na przykład księgowym albo filatelistą.

– Wieś Osuchy – zaczął tamten. – Powiat olsztyński. Tu są współrzędne, plan i zdjęcia. Na razie gospodarstwo stoi puste, kupili je na słupa, pewnie już dochodziło tam do jakichś transakcji, a może tylko na ten jeden strzał, nie wiem, nie ma znaczenia.

Kaszowski wziął w rękę teczkę, przejrzał pobieżnie zawartość.

– Skąd wiesz, że tam ma dojść do tej wymiany? – zapytał, doskonale znając odpowiedź.

– Celnik, o którym ci mówiłem, nadał mi policjantów z Wybrzeża, którzy mają to osłaniać od portu do tego miejsca. – Łańcuch był dumny ze swojej wiedzy.

– Nieźle się przygotowałeś. – Kaszowski przyjrzał mu się trochę podejrzliwie. – Działamy we dwóch czy jest nas więcej do tego interesu?

– Działamy we dwóch. Koszty potem odliczę.

Kaszowski pokiwał głową, na moment zapadło milczenie.

– Będzie tylko mała zmiana – zaczął.

– Jaka? – Łańcuch nie lubił zmian, dlatego pytanie zadał bez cienia entuzjazmu.

– Nie będzie żadnej akcji policji – w głosie komisarza zabrzmiała stanowczość. – Zbierania okruchów. Wchodzimy po całość.

Łańcuch, choć wyraźnie zaskoczony, po chwili się uśmiechnął.

– Nie przejemy tego – odrzekł po dłuższym namyśle.

– Tym akurat bym się nie przejmował.

W tej samej sali konferencyjnej, w której wcześniej doszło do spotkania Zielińskiego z szefową i ministrem Kownackim, teraz oprócz tamtej trójki znajdowało się jeszcze trzech panów w eleganckich garniturach oraz Joanna. Zieliński siedział przy swoim laptopie, z którego wypuszczał kolejne nagranie. Zupełnie nietypowo dla siebie, wyglądał teraz na osobę głęboko zaangażowaną w wykonywane czynności.

– Dobrze. – Zabrzmiał z głośników laptopa zakłócony szumami

i przetworzony głos Łańcucha. – Muszę się chwilę zastanowić, ale w sumie czemu nie?

– No właśnie, czemu nie? – odpowiedź Kaszowskiego była zakłócona nieco bardziej, z czego można się było domyślić, że miał dalej do mikrofonu.

– Kiedy to ma dojechać?

– Między osiemnastym a dwudziestym – odparł Łańcuch trochę niepewnie.

– Precyzyjniej. Nie mogę zniknąć z roboty na dłużej niż dwa dni.

– To weź urlop – zaśmiał się Łańcuch. – Jak już to złapiemy, w ogóle nie będziesz musiał tam wracać.

Minister Kownacki zapalił papierosa, a Joanna, która nie znosiła dymu, a w dodatku mniej od pozostałych obecnych obawiała się ministra Kownackiego, wstała i otworzyła okno.

– Nie wymyślaj mi życia, tylko się dowiedz, kiedy dokładnie to ma tam dojechać. Spotykamy się tutaj za trzy dni, żadnych mejli, telefonów, kontaktów.

– Się wie. – W głosie Łańcucha dało się wyczuć, że bandyta czuł się w tej sytuacji coraz bardziej jak ryba w wodzie.

W tym momencie nagranie się urwało, Zieliński zamknął wieko laptopa i rozejrzał się po zebranych.

– A gdzie był mikrofon? – zainteresował się Kownacki.

– Na początku rozmowy panowie rozpięli komórki. – Zieliński się ożywił, tak jakby właśnie tego pytania się spodziewał. – Tam obaj mają zainstalowane pluskwy, które oczywiście przy braku zasilania przestają działać. Na szczęście w samochodzie tego bandyty mamy też zainstalowane inne mikrofony.

Kownacki pokiwał głową, po czym zaciągnął się i spojrzał na siedzącą przy drugim końcu stołu Joannę.

– A pani co uważa? – zwrócił się do niej z uśmiechem. – O ile dobrze rozumiem, pani jest jakby najbliższej sprawy w tej chwili.

– Co uważam? – Joanna zawahała się przez moment. Mogła teraz

zdyskredytować całą akcję, ale choć nie była do końca pewna, to przeszło jej przez myśl, że Kaszowski wcale by tego nie chciał, a jeśliby tego chciał, to tym gorzej dla niego. – Uważam, że jesteśmy na właściwej drodze.

– No to kontynuujmy. – Kownacki zdusił papierosa w popielniczce specjalnie dla niego przyniesionej z domu przez szefową BSW, wstał, a wraz z nim wstało trzech panów w garniturach, którzy nie wiadomo nawet, kim byli.

Tego wieczora ojciec Joanny ukończył pierwszy etap swojego leczenia, które z jakiegoś powodu lubił nazywać kuracją. Różnica między etapem pierwszym a drugim polegała głównie na tym, że pierwszy odbywał się w trybie zamkniętym, w kompletnej izolacji od świata, natomiast na kolejne trzy tygodnie pacjenci mieli na wieczór wracać do domu, żeby następnego dnia zjawiać się w ośrodku z samego rana. Z założenia dzięki takiemu rozwiązaniu powoli oswajali się z koniecznością opuszczenia po sześciu tygodniach inkubatora terapeutycznego. Tutaj czuli się dobrze i bezpiecznie, bo otoczeni byli osobami, które miały na sumieniu podobne, a często jeszcze większe przewiny. Teraz chodziło o to, żeby mogli powoli wrócić do normalnego życia i funkcjonowania w świecie pełnym butelek z wódką i powodów do tego, by po nie sięgnąć. Ojciec już kilka dni wcześniej zadzwonił do Joanny z nieśmiałym pytaniem, czy tego wieczora będzie mógł przyjść prosto do niej, żeby przynajmniej przez pierwsze godziny nie konfrontować się sam na sam ze swoimi upiorami. Joanna zgodziła się bez wahania i teraz siedzieli w salonie naprzeciwko siebie, on trzeźwiejszy niż kiedykolwiek, ona szczęśliwa, że udało się dotrzeć już choćby do tego miejsca. Komisarz rozlała im do szklanek świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, ojciec wypił łączywie kilka łyków.

– Byłem przekonany, że sok pomarańczowy ma zupełnie inny smak. – Uśmiechnął się.

– Myślę, że wiele smaków będzie cię teraz zaskakiwać. – Joanna też sięgnęła po szklanke; nie była w tak dobrej formie jak tata. – Na przykład smak życia.

– Coś cię gnębi. – Roman nawet po wódce potrafił być przenikliwy, bez niej był przenikliwy jeszcze bardziej.

– Mam kłopot z Kaszowskim – odpowiedziała po chwili.

– Bo to taki kłopotliwy typ jest raczej. – Roman wciąż próbował rozładować atmosferę, ale powoli się orientował, że tym razem się nie da. – Mów.

– Moi przełożeni podejrzewają go o grube rzeczy. – Joanna popatrzyła na ojca przepraszająco. – Więcej nie mogę powiedzieć.

– Domyślam się. – Roman uśmiechnął się ku uldze córki. – A kłopot?

– Kłopot taki, że mają dosyć mocne przesłanki. – Joanna przez chwilę się namyślała. – I nie wiem, naprawdę nie wiem, pogubiłam się. A muszę się jakoś określić, pójść w którąś stronę.

– A wolałabyś pójść za nim? – Ojciec ujął dłoń córki w swoją.

Joanna nie odpowiedziała, nie musiała, ojciec i tak wiedział swoje.

– Też bym wolał.

Jazdy samochodem z Kaszowskim żaden pasażer nie uznałby za szczególną atrakcję, a wynikało to głównie z faktu, iż nie była ona też atrakcją dla samego komisarza. Dawniej Marek uwielbiał jeździć samochodem, przy czym absolutne zwieńczenie kultu motoryzacji, którego był wyznawcą, stanowił kupiony w 1992 roku ford granada z uturbionym silnikiem 2,3 w układzie V6. O wyjątkowości tego samochodu decydowała też data produkcji. Rok 1985 był ostatnim rokiem produkcji tych aut, a dodatkowo w tym roku przysłała na świat ukochana Ewa. Kaszowski w zaprzyjaźnionym warsztacie, w którym swoje auta przygotowywał do rajdów między innymi Marian Bublewicz, dokonał przeróbek w układzie wydechowym i utwardził zawieszenie. Jeździł nim jak szalony. Po tamtym zimowym dniu przez jedenaście lat nie wsiadł w ogóle za kierownicę, zresztą przez owe jedenaście lat nie wsiadł też właściwie do życia, więc o prowadzeniu nie mogło być mowy. W końcu jakiś czas po tym, jak z wolna zaczął wracać do żywych, kupił volvo, którym jeździł, a właściwie turlał się do dzisiaj. Teraz właśnie

już trzecią godzinę turlał się z nim do oddalonej dwieście kilometrów od Warszawy mazurskiej wsi aspirant Czerwiński. Kiedy wreszcie dojechali do szutrowej drogi przecinającej morenowy pagórek, a Kaszowski zatrzymał auto i wyłączył silnik, Młody był wykończony tak, jakby przejechali trzy etapy rajdu Paryż–Dakar bez przerwy. Wysiedli bez słowa. Komisarz wyjął z bagażnika lornetkę, którą najpierw sam przytknął do oczu, lustrując znajdujące się poniżej zabudowania opuszczonego ponemieckiego gospodarstwa, następnie, wciąż bez słowa, podał lornetkę Młodemu. Ten przez chwilę też bacznie przyglądał się okolicy.

– Czemu akurat tu? – zapytał, oddając lornetkę.

– A czemu nie? – Kaszowski też był zmęczony podróżą, którą im zafundował.

Czerwiński wzruszył ramionami.

– No w każdym razie teraz już wiesz, co się kroi. – Kaszowski spojrzał na Jacka badawczo. – I co? Nadal chcesz w to wejść?

Młody, chociaż ufał przełożonemu znacznie bardziej, niż znająca go słabo i często od nie najlepszej strony Joanna, to teraz też wcale nie był do końca pewien, co tak naprawdę kombinuje. Ale wahanie już przerobił i zostawił za sobą jakiś czas temu.

– Tak. – Wiedział, że pryncypał lubił proste i rzeczowe odpowiedzi.

Kaszowski pokiwał głową i bez słowa ruszył w dół w kierunku zabudowań, które przed chwilą oglądali z wysokości pagórka.

Cztery godziny później wymęczony do granic możliwości Jacek siedział przy małym stole w gabinecie Talaka i wraz z nim czekał na Kaszowskiego, który miał dołączyć za moment. Przez jakiś czas żaden się nie odzywał. Talak myślał o tym, że wprawdzie z jednej strony wprowadzenie Młodego do działań z Kaszowskim da mu zręby poczucia, że cokolwiek kontroluje, z drugiej zaś miał świadomość, że na liście osób, wobec których Czerwiński zachowa w razie czego lojalność, Kaszowski wyprzedza go przynajmniej o dwie pozycje. Naczelnik nie był tylko pewien, czy na owej liście wyżej w tej chwili plasuje się komisarz, czy pani Joanna, ale to nie miało większego

znaczenia.

– No i jak? – zaczął Talak, bo milczenie trwało już nieco zbyt długo. – Wtajemniczył pana w tę sprawę z BSW?

– Dość ogólnie – odrzekł Młody w sposób jak najbezpieczniejszy i jak najmniej mówiący. Wiedział, że kolejne pytanie nie da mu już takiego pola manewru, ale w tym momencie na jego szczęście do gabinetu wszedł Marek.

– O, jesteś, Mareczku – ucieszył się Talak. – No jak sprawa z BSW, możemy już działać oficjalnie?

– Nie. – Marek w przeciwieństwie do Młodego nie czuł na sobie przesadnego przymusu lawirowania. – Ale jak widzisz, do swoich działań włączyłem pana Jacka, który będzie cię o wszystkim na bieżąco informował.

– O wszystkim?

– O wszystkim – Kaszowski uśmiechnął się rozbijając – o czym powinienś wiedzieć.

– O wszystkim wszystkim. – Tym razem naczelnik nie zamierzał się poddać.

Kaszowski zorientował się, że jego pozycja negocjacyjna uległa silnemu nadwątleniu i po krótkim namyśle kiwnął głową.

– Za dwa tygodnie informujemy Sobeckiego i zakładamy oficjalną teczkę sprawy. – Naczelnik odsapnął jak po przebyciu długiej drogi nieświadom, jak wiele kompromisów czeka go jeszcze w tej sprawie i jak wiele dzieli ich jeszcze od celu.

Miejsce, które Zieliński wybrał na spotkania z Kuziębą, oprócz pięknego widoku na panoramę Warszawy miało jeszcze taką zaletę, że było ściśle tajną prywatną dziuplą samego inspektora, o której istnieniu wiedzieli właściwie tylko oni dwaj. Biuro na czterdziestym pięttrze szklanego wieżowca wynajęte było na fikcyjne nazwisko i opłacane wyłącznie gotówką, którą Zieliński, a ściślej jego kierowca wrzucał bezpośrednio do skrzynki pocztowej pod wskazanym adresem. Kierowca rzecz jasna nie miał zielonego pojęcia, w czym bierze udział. Sam zresztą najemca był osobą tak ukrytą pod stosem

fikcyjnych tożsamości, że dojście do tego, kim jest, naprawdę graniczyło z niemożliwością. Procedura spotkań również została przez Zielińskiego opracowana z dużą ostrożnością: zarówno jego, jak i Kuziębę kierowcy przywozili do knajp znajdujących się w pobliżu, następnie panowie opuszczali lokale tylnym wyjściem i dopiero wtedy, już na piechotę udawali się do sekretnego biura z widokiem. Po spotkaniu obaj wracali do knajp, a stamtąd po upływie odpowiedniego czasu wychodzili z powrotem do swoich służbowych aut. Dzięki temu nikt, nie wyłączając teoretycznie zaufanych kierowców, nie miał pojęcia, co się działo przez czas od wejścia do wyjścia z knajpy. Nie wiedział tego nikt z wyjątkiem osoby, która przede wszystkim nie powinna o tym wiedzieć, czyli z wyjątkiem komisarza Marka Kaszowskiego.

Zieliński na dzisiejsze spotkanie zaproponował veuve cliquot, bo, po pierwsze, nasza go ochota na bąbelki, a po drugie, sprawa przebiegała tak idealnie według jego planu, że nie mógł sobie odmówić przyjemności uczczenia tego faktu. Bernard Kuzięba, choć też lubił bąbelki, nie podzielał w pełni hurraoptymizmu Zielińskiego.

– Jaką mamy gwarancję, że ten pański komisarz czegoś nam nie odwali? – Kuzięba zaczął podkopywać pewność siebie Zielińskiego, która pomijając inne względy, lekko go po prostu drażniła.

– Stuprocentowej pewności nigdy nie ma. – Inspektor nie wydawał się zbity z tropu. – Ale obserwujemy go na tyle uważnie, że jeśli zechce nam coś odwalić, dowiemy się o tym odpowiednio wcześniej. Pracuję już w tym zawodzie kilkadziesiąt lat, znam się trochę na tym, znam też, jak pan wie, samego Kaszowskiego i jestem przekonany, że jeśli ktoś już raz się utyłł, a co do tego, że to on doprowadził narkotyki tuż po akcji przejęcia, nie mamy wątpliwości, to utyłł się też ponownie. Poza tym, jak pan wie, trochę nie mamy wyjścia, musimy go w to usmarować, bo oprócz narkotyków, które przejmujemy, ja muszę mieć też kozła ofiarnego, którego rzucę na pożarcie urzędnikom. Szef Kownackiego musi dostać tego, kto ukradł narkotyki z depozytu, zrobiliśmy to my, sprawa się wysypała przez kontrolę, teraz muszę znaleźć dla nas jakieś zastępstwo. Kaszowski jest idealnym

kandydatem do tego, żeby wybawić nas z opresji.

– Żeby pana wybawić z opresji – skorygował Kuzięba chłodnym tonem. – Inaczej straci pan intratną posiadłość i pewnie wolność.

– A pan intratny kontakt. – Zieliński odciął się szybko i równie mało sympatycznie. Przez moment między panami iskrzyło wyraźną niechęcią.

– Ile z tego, co przejmujemy, będzie musiało trafić z powrotem do depozytu? – Kuzięba był przede wszystkim cynicznym pragmatykiem, dlatego w tym momencie instynkt biznesmena nakazał mu odpuścić i przejść do konkretów.

– Jakieś czterysta kilo. – Zieliński skwapliwie wykorzystał możliwość przywrócenia dyskusji na właściwe tory. – Czyli z tych dwóch ton dla nas zostanie jakaś tona sześćset. Cała sprawa ma jeszcze tę dodatkową zaletę, że kartel z Ruskimi będzie miał tylko jeden trop i będzie nim Kaszowski. Nie sądzę, żeby długo pożył w areszcie, do którego go posadzę.

Zieliński rozsiadł się wygodnie w leżaku wystawionym na taras przynależący do biura, podniósł butelkę z pomarańczową naklejką. Chciał w pierwszej kolejności dolać rozmówcy, ale ten pokręcił głową.

– A co z badaniami laboratoryjnymi? – Kuzięba mnożył wątpliwości. – Przecież towar, który wróci do depozytu, będzie zupełnie inny niż ten, który pan z niego wyprowadził.

– Który wyprowadziliśmy. – Zieliński tym razem miał już naprawdę dość dziwnych werbalnych kombinacji, które zaczął uprawiać Kuzięba. – Laboratorium to, panie Bernardzie, ja.

Mężczyzna pokiwał głową i po chwili podstawił jednak swój kieliszek, a Zieliński dolał do niego resztkę z butelki. Pianka podniosła się niebezpiecznie szybko w górę, Kuzięba chciał odstawić kieliszek, żeby alkohol nie zalał mu zwieńczonego bursztynową spinką mankietu białej koszuli, ale pianka zatrzymała się dokładnie tam, gdzie powinna, i po chwili zaczęła opadać.

– Intratny kontakt. – Zieliński odniósł się do swojej wcześniejszej wypowiedzi.

– A co z dziewczyną? – Kuzięba tym razem był już nieco mniej zaczepny.

– Z komisarz Majewską? – Zieliński uśmiechnął się z niezmienną pewnością siebie. – Odwaliła trochę roboty, przeszkadzając Kaszowskiemu, patrząc mu na ręce. Teraz przyda się też w tej ostatniej fazie. Odciągnie jego uwagę, poobserwuje, poza tym jest jeszcze ten jej facet, Czerwiński. Kaszowski współpracuje z nim bardzo ściśle. Z tego też coś jeszcze wyciągniemy za jej pośrednictwem.

– Nie wystawi? – Bernard wyraźnie zmienił ton z zaczepnego na zaciekawiony

– Nie sądzę. – Kuzięba dostrzegł w oczach Zielińskiego figlarność rozbawionego czymś psychopaty. – W końcu ma dziecko. Ale oczywiście jej działania też monitorujemy. Wszystko jest potrójnie zabezpieczone, panie Bernardzie. Wydaje mi się, że najwyższy czas, abyśmy zaczęli sobie trochę bardziej ufać.

Zieliński podniósł kieliszek, a Bernard stuknął w niego swoim.

Chwilę później z zaparkowanej pod domem Kaszowskiego furgonetki z napisem Usługi Internetowe „Connection” wysiadło dwóch mężczyzn w granatowych kombinezonach ze srebrnymi walizeczkami narzędziowymi w rękach. Trzeci, w garniturze i przyciemnianych okularach, dołączył do nich przy furtce prowadzącej do zapuszczonego ogródka wokół niewielkiej, nie mniej zapuszczonej przedwojennej żoliborskiej willi. Panowie sprawiali wrażenie, jakby spieszyli się na umówioną wizytę i tylko ten w garniturze przed wejściem do ogródka rozejrzał się jeszcze przez mgnienie oka, upewniając się, czy przypadkiem nikt ich nie obserwuje. Kiedy uznał, że są bezpieczni, wszedł i delikatnie zamknął za sobą furtkę. Koledzy w granatowych kombinezonach dłubali już tymczasem wytrychem przy starym i niezbyt skomplikowanym zamku w drzwiach wejściowych. Mężczyzna w garniturze, którego Zieliński wyznaczył do bezpośredniego nadzorowania działań techników, lustrując ulicę przez swoje przyciemnione okulary, zauważył wprawdzie zaparkowane tyłem do willi w prostopadłej uliczce stare bmw serii trzy z przyciemnianymi tylnymi szybami, ale nie

zauważył, że w owym bmw za kierownicą siedzi aspirant Czerwiński, który przygląda mu się przez boczne lusterko, jednocześnie skubiąc pestki słonecznika. Kiedy tylko technicy sforsowali zamek, Młody odłożył słonecznik, przekręcił kluczyk w stacyjce i odjechał.

Po wejściu do mieszkania obaj technicy włożyli lateksowe rękawiczki i rozeszli się po pokojach. Tymczasem mężczyzna w garniturze nie wiedział za bardzo, co ma ze sobą począć, sterczał więc na środku salonu i starał się sprawiać wrażenie, że wciąż nadzoruje całość operacji. Jeden z techników w kilkanaście sekund rozmontował oprawkę lampy stojącej w salonie, drugi to samo zrobił z gniazdkiem w sypialni. Ten w garniturze podszedł do działającego przy sypialnianym kontakcie.

– Jak to skończycie – odezwał się stanowczym tonem – to jeszcze łazienka i garderoba i szef mówił, żeby w każdym pomieszczeniu zdublować. – Jego nieco zbyt wysoki dyszkant wyraźnie nie licował z umięśnioną budową ciała i przyciemnianymi okularami, których nie zdjął, choć w mieszkaniu panował mrok.

Ten w kombinezonie pracował w fachu od lat i wiele już widział karier, które się rozwinęły, a jeszcze więcej takich, które się nie rozwinęły. Pomyślał sobie, że ów dyszkant może stanąć temu w garniturze na drodze do sukcesu, i to nawet jeśli jest on dobrze ustosunkowany.

– Raz, raz, dwa. – Z salonu dał się słyszeć głos drugiego w kombinezonie, który testował działanie mikrofonu.

Mężczyzna w garniturze przeszedł do salonu i spojrzał na ekran rozstawionego tam laptopa; na wykresie fali dźwiękowej widać było trzy wyraźnie wybicia.

– Powiedz coś – zwrócił się do garniturowca technik z salonu. – Przynajmniej się na coś przydasz.

– Raz, dwa, trzy... – Garniturowiec zaczął test dopiero po chwili przerwy, jakby chciał wywrzeć wrażenie, że robi to z własnej woli, a nie na polecenie technika, który w hierarchii służbowej zajmował przecież pozycję znacznie niższą od niego.

– Bedzie. – Technik kiwnął głową, całkowicie ignorując kwestię tego, kto

jak się ma do kogo i w jakiej hierarchii.

W gabinecie Talaka był teraz sam Kaszowski, Młody nie zdążył jeszcze wrócić sprzed jego domu, ale zdążył przekazać mu informację, na którą ten czekał. Porozumiewali się za pośrednictwem telefonów komórkowych, ale po pierwsze, już mniej więcej od tygodnia co kilka godzin wymieniali karty SIM, a po drugie, obaj od jakiegoś czasu korzystali z aplikacji Signal, która zmniejsza nieomal do zera możliwość podsłuchiwania rozmów za pośrednictwem operatora telefonii komórkowej. Talak zjawił się po chwili i od razu przeszedł do rzeczy.

– No co tam ze sprawą BSW, mamy coś nowego?

Kaszowski najpierw zdrętwiał, a po chwili jedną ręką zatoczył koło, wskazując w ten sposób wnętrze gabinetu, a palec drugiej przytknął do ust.

– Chyba trochę przesadzasz, Mareczku. – Talak nie mógł uwierzyć w poczynioną sugestię.

– Chyba nie. – Komisarz wstał, wskazał drzwi od gabinetu, po czym sam wyszedł przez nie bez słowa.

Naczelnik ruszył za nim po chwili, kręcąc głową z niedowierzaniem. Odkąd pracował w policji, czyli już przeszło ćwierć wieku, nie zdarzyła mu się podobna sytuacja. Wcześniej, w organach ścigania PRL owszem, takie rzeczy były nagminne, ale teraz coś podobnego nie bardzo chciało mu się zmieścić w głowie.

Kaszowski poprowadził szefa do swojego gabinetu, który mieścił się za główną salą operacyjną. Zastali tam technika Marcina kręcącego się między regałami ze specjalnym urządzeniem w rękach. Kaszowski skinął głową, technik wziął stojące przy biurku krzesło, wszedł na nie i przystawił czujnik urządzenia do oprawki wiszącej pod sufitem lampy. Talak podszedł do urządzenia, zerknął na diody, w miarę zbliżania czujnika do oprawki na urządzeniu zapalało się ich coraz więcej, w końcu pojawiła się jedna, ale za to czerwona i pulsująca. Mężczyźni wyszli z gabinetu.

– Przeięli. – Naczelnik był wyraźnie wzburzony. – Trzeba to natychmiast zdjąć. Powiadomiam właściwe służby.

– Po co? – Kaszowski zachowywał zadziwiający spokój. – Przecież wyłgają się byle czym. To samo mam już teraz w domu i w samochodzie. Ale wiedząc o tym, mam też nad nimi sporą przewagę.

– I co? Będziesz tak siedział w tych podsłuchach?

– Już się kiedyś nasiedziałem. – Kaszowski uśmiechnął się do przełożonego, a ten uśmiech zdawał się przywoływać całą ich wieloletnią zażyłość. – I co, ubył mi? Damy radę, Heniu.

Talakowi najwyraźniej nie było do śmiechu, miał, zdaje się, jeszcze sporo pytań w tej sprawie.

– Panie Marcinie, pan sprawdzi gabinet szefa – zwrócił się Kaszowski do technika.

– Możesz mi powiedzieć, Marek, o co w tym wszystkim chodzi? – Talak zaczął, kiedy tylko Marcin trochę się oddalił. – O ukreślenie naszego wydziału i znalezienie kilku wakatów dla znajomych?

– To też. – Kaszowski skinął głową. – Przy okazji.

Odpowiedź nie usatysfakcjonowała naczelnika, który z każdą chwilą czuł się coraz mniej pewnie, a takiego samopoczucia nie lubił najbardziej.

– Pamiętasz sprawę przejęcia narkotyków? – zapytał retorycznie komisarz. – Jakies dwa miesiące temu te narkotyki ktoś przed spalaniem zamienił na talk. Liczyli chyba na to, że nie będzie kontroli.

– Ale była?

Kaszowski pokiwał głową i się uśmiechnął.

– Ty nasłałeś? – Talak nie mógł w to uwierzyć.

Kaszowski tym razem nie odpowiedział, ale też już nie musiał.

– Skąd wiedziałeś, że podprowadzą? – Talak dowiadywał się właśnie rzeczy, które trochę go przerastały.

– Nie wiedziałem, że podprowadzą. Ale wiedziałem, że podprowadzili. A skąd? Najpierw miałem swoje źródło informacji, potem ten towar zaczął się pojawiać na rynku, więc nie miałem już wątpliwości.

– Sprawdziłeś mieszankę?

– Tak. – Kaszowski nie przepadał za składaniem wyjaśnień, ale wiedział, że teraz nie ma wyjścia. – Skład tego przejętego towaru miałem, bo Basia go badała po naszym przejęciu, potem kupiłem co nieco z rynku i skład okazał się ten sam, badanie znów robiła Basia, więc margines błędu zminimalizowany nieomal do zera.

– Dobra. – Talak powoli wiązał wszystkie wątki. – Rozumiem, że za tym podprowadzeniem stoją właśnie chłopaki z BSW, którzy po ustaleniach kontroli wpadli w panikę.

– Nie tyle chłopaki, ile Zieliński, może jeszcze ktoś mniej ważny.

– Tylko po jaką cholere w takim razie Zieliński chce ciebie? – Zwoje mózgowe naczelnika były bliskie przepalenia. – Chce nas w to wrobić?

– Po pierwsze, to my przejmowaliśmy te narkotyki, to była nasza akcja, więc logicznie rzecz biorąc, jesteśmy najbliżej, po drugie, ja się wtedy wycofałem, bo miałem ogon, więc wydaję mu się idealnym kandydatem. – Kaszowski wprawdzie skończył, ale widać było, że ma coś jeszcze w zanadrzu.

– A po trzecie? – Talak nie mógł tego nie wychwycić.

– A po trzecie – Kaszowski znów się zawahał – opowiem ci następnym razem.

Talak popatrzył na przyjaciela trochę spode łba, ale uznał, że naciskanie nie ma w tej chwili sensu, mogłoby natomiast zepsuć ich stosunki, a tego nie chciał.

– Najważniejsze jest teraz coś innego. – Kaszowski przeszedł do bieżących konkretów. – Kim jest, ile wie i co o tym wszystkim sądzi nasza pani komisarz, i kto oprócz niej w naszym wydziale pracuje dla Zielińskiego?

– A czemu uważasz, że ktoś taki istnieje? – spytał coraz bardziej zagubiony Talak.

– Bo jak słusznie zauważył Młody – Kaszowski zaczynał już powoli odpływać myślami w inne rejestry – pani Joanna jest raczej tylko fasadą legitymizującą ich lewe działania.

– Co sugerowałoby, że...

– Komisarz Majewska jest osobą z gruntu uczciwą – dokończył Kaszowski, po czym ruszył w stronę wyjścia z komendy.

Chwilę po tym, jak wszedł do swojego volva, na parking przed budynkiem wjechało z lekkim bocznym uślizgiem bmw Młodego. Kaszowski odczekał, aż kolega wysiadzie z auta, po czym przywołał go gestem do swojego, wskazał miejsce pasażera i zakręcił dłonią przed twarzą, co miało oznaczać, że nadszedł czas, by ponawiali trochę bzdur.

– Mamy przesunięcie o dwa tygodnie – zaczął zaraz po tym, jak Młody wszedł i zatrzasnął drzwi. – Chcę to zorganizować tak, żebyśmy nie zniknęli z roboty na dłużej niż jeden, góra dwa dni.

Młody, który nie do końca wiedział, jak się zachowywać w tej sytuacji, pokiwał głową i pozostawił inicjatywę w rękach Kaszowskiego.

– Zresztą przydałoby się, żebyśmy nie zniknęli jednocześnie – kontynuował komisarz. – Czyli jeden zostaje tutaj, a drugi jedzie z nimi i jest na miejscu w czasie akcji. Trzeba będzie jeszcze z Heniem pogadać.

– Chce go pan też wciągnąć w sprawę? – Młody w końcu odważył się wejść w konwencję i po minie Kaszowskiego zorientował się, że poszło mu nie najgorzej.

– Z Heniem jeszcze nie wiem, zastanowimy się... Bardziej martwi mnie pani Joanna.

– Spokojnie, pani komisarz niczego się nie domyśli.

– Dobra, idziemy. – Kaszowski złapał za klamkę i otworzył drzwi. – Mamy jeszcze kupę roboty.

Wysiedli. Komisarz trzasnął drzwiami, które odbiły z powrotem i dopiero przycisnięcie kolanem i przekręcenie kluczyka w zamku pozwoliło zamknąć je przynajmniej z grubsza. Odeszli kilka kroków, Młody już chciał się odezwać, ale Kaszowski pokręcił delikatnie głową i dopiero kiedy schowali się pod wykuszem muru, pod którym nie byli widoczni z żadnej strony, kiwnął głową na znak, że mogą bezpiecznie rozmawiać.

– Myśli pan, że oni to w ogóle kupią? – spytał Jacek sceptycznie.

– Czas pokaże. – Kaszowski upewnił się, czy z jego telefonu wyciągnięta

jest bateria. – Ale właściwie czemu mieliby nie kupić? Zainstalowali podsłuchy, to teraz muszą ich słuchać, nie? Sprzęt musi im się amortyzować.

– Pański znajomy Łańcuch lata dla niejakiego Kuzięby. – Młody nie bez dumy podzielił się swoją świeżo nabytą wiedzą.

– Wiem. – Kaszowski się uśmiechnął. – Bernard Kuzięba, po godzinach bliski znajomy szefa pani Joanny.

– Nie tylko po godzinach. – Młody, którego zdeprymowało trochę to, że Kaszowski znów był o krok przed nim, za wszelką cenę chciał jednak czymś zabłysnąć. – Spotykają się regularnie w ciągu dnia, czasem nawet kilka razy dziennie.

Kaszowski nie chciał już więcej deprymować Młodego, więc pokiwał głową, próbując sprawić wrażenie człowieka, który właśnie dowiedział się czegoś nowego. Nie do końca zresztą udawał, bo choć wiedział o koligacji Zielińskiego z Kuziębą, to fakt jej zintensyfikowania w ostatnim okresie był dla niego pewną nowością.

– No i tu właśnie nasze kółko się zamyka. – Kaszowski popatrzył przez chwilę Młodemu prosto w oczy. – W trudnej sytuacji się trochę znalazłeś, co? Między mną a panią komisarz, między młotem a kowadłem?

– Może wbrew pozorom nie jest aż tak źle. – Młody uśmiechnął się trochę tajemniczo. – Może nie ma już tak naprawdę kowadła?

– Czyżby? – Kaszowski spojrzał na Jacka z ciekawością, a kiedy ten nic już nie powiedział, uśmiechnął się delikatnie.

Młody od dobrych kilku minut siedział w gabinecie Joanny i próbował zrozumieć, co tym razem jest powodem jej chłodnego nastawienia. Na pytania o samopoczucie, o ojca i o Piotrka uzyskiwał jedynie zdawkowe, enigmatyczne odpowiedzi. W końcu postanowił uderzyć bardziej bezpośrednio.

– Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. – Ta odpowiedź Joanny była tak samo zimna i obojętna jak wszystkie poprzednie.

Jacek, który tym razem nie miał sobie najzupełniej nic do zarzucenia, wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Po co się pakujesz w tę sprawę z Kaszowskim? – wybuchła Joanna i spojrzenie od razu skierowała w okno, jakby próbowała udać, że pytanie zadał ktoś zupełnie inny, ktoś, z kim ona właściwie nie ma nic wspólnego.

Młody wrócił na fotel, usiadł i popatrzył na nią. Po chwili łączność została przywrócona.

– Bo jestem policjantem?

– Wiesz, że to może wyjść poza kompetencje policji? – Znow uciekła spojrzeniem w okno.

Młody wstał z fotela, teraz jednak zamiast udać się do drzwi, podszedł do Joanny tak blisko, że poczuła przez bluzkę ciepło jego skóry, następnie pochylił się nisko nad nią i wyszeptał do jej ucha jedno słowo:

– Wiem.

Joanna aż się wzdrygnęła, ale nie była pewna, czy wywołał to ton jego głosu, czy fakt, że ustami dotknął delikatnie płatka jej ucha, czy może informacja, w której był ładunek jakiejś bezapelacyjnej nieodwołalności. Cokolwiek to jednak było, Joanna podniosła wzrok na Jacka i pokiwała głową. Od tego momentu stała się częścią jakiejś sprawy, do której nie miała stuprocentowego przekonania. Stała się sojusznikiem czegoś, co tak naprawdę trochę ją przerażało.

Waldemar szedł do Zielińskiego bardzo zdenerwowany. Od czasu gdy zaważył sprawę z Piotrkim, szef wzywał go raczej rzadko, a polecenia wydawał mu poprzez tajne współdzielone konto mejlowe. W związku z tym nie był do końca pewien, jak potoczą się losy tego spotkania, tym bardziej że gdzieś z tyłu głowy nie dawał mu spokoju lęk, że Zieliński dowiedział się o jego wizycie u Joanny. Zapewne nie ona sama była źródłem informacji, ale nie miał pewności, czy na przykład w jej mieszkaniu nie zainstalowano też podsłuchów. Z jednej strony był więc pełen obaw, z drugiej towarzyszyła mu ekscytacja i ciekawość. Co tym razem wydarzy się w jaskini lwa? Kiedy wszedł do gabinetu, Zieliński od razu go wyczuł – czytał go nawet nie jak

otwartą księgę, ale jak wałący po oczach nagłówek w jakimś brukowcu.

– A co pan taki jakiś wycofany dzisiaj, panie Waldemarze? – Inspektor uwielbiał sobie dworować z ludzi, więcej nawet, żył w przekonaniu, że dopiero kiedy porządnie kogoś ośmieszy i upokorzy, to relacja z taką osobą zostanie ustawiona w sposób prawidłowy. – Jakbym nie tego samego człowieka widział w ogóle... Pan się tak nie boi, proszę spocząć, może cygarko?

Sięgnął do szuflady po pudełko cygar, którego nigdy przesadnie nie eksponował, żeby nie zostało to przez kogoś przypadkiem odczytane tak, jak powinno zostać odczytane, czyli że Zieliński jest bardziej mafiosem niż człowiekiem ścigającym mafiosów. Waldemar usiadł i po krótkim wahaniu sięgnął do pudełka, choć cygar w zasadzie nie lubił. Inspektor natychmiast podsunął mu gilotynkę do obcinania końcówek, po czym kliknął nią nagle szybko o milimetry od palca Waldemara. Ten jednak nijak na to nie zareagował.

– Czyli lekko wycofany, ale na szczęście psychomotoryka w normie – skwitował Zieliński.

– Na szczęście. – Waldemar kiwnął głową i z przyjemnością zapalił cygaro, którego nie lubił.

– Panie Waldku – podjął po chwili Zieliński. – Wielki dzień nastał dla pana... Wraca pan, można powiedzieć, na stare śmieci. Proszę bardzo czujnie i wnikliwie obserwować, jak zachowuje się pani Joanna. Przy okazji może uda się panu czegoś dowiedzieć o Czerwińskim, może też coś o samym *capo di tutti*.

– *Capo di tutti*? – Choć Waldemar wiedział doskonale, o kim mówi inspektor, z jakiegoś powodu chciał usłyszeć konkret.

– Mam na myśli Kaszowskiego. – Zieliński był wyraźnie zmęczony niskim ilorazem inteligencji Waldemara; niski iloraz u podwładnych miał oczywiście swoje bezwzględne zalety, ale bywał utrudnieniem w komunikacji. – Tylko tym razem ma pan być niewidoczny... zupełnie niewidoczny.

Znów uśmiechnął się z sarkazmem, a Waldemar pomyślał, że fakt, iż szef traktuje go jak opóźnionego w rozwoju, daje mu w pewnym sensie sporą nad

nim przewagę.

Joanna po raz pierwszy od dosyć dawna musiała wracać do domu metrem. Samochód trafił na przegląd, w trakcie którego okazało się, że przyszedł czas na wymianę paska czegoś, czego nazwy nie była w stanie zapamiętać, zresztą nie czuła szczególnej potrzeby, żeby ją pamiętać. Na stacji Politechnika kłębił się tłum, a ona nie po raz pierwszy w życiu myślała, że tak naprawdę, skoro nie musi w tym tłumie kłębić się każdego ranka i każdego popołudnia, jest wielką szczęściarą. Kiedy na peron wjechał pociąg, tłum zafalował i w formie półpłynnej zaczął się przemieszczać ku wlotom do wagonów. Joanna zastanawiała się przez chwilę, czy nie zrezygnować z podróży metrem, nie wyjść z peronu i nie przesiąść się do mniej przytłaczającej komunikacji naziemnej. Od tak dawna już jednak korzystała wyłącznie z samochodu, że w zasadzie nie miała pojęcia, w co wsiąść i gdzie się później przesiąść, by dotrzeć do domu. Biorąc pod uwagę wszystkie za i przeciw oraz fakt, że płynąca masa i tak zabrała ją już ze sobą i wydobyć się z niej graniczyło teraz z cudem, zdecydowała się poddać i wpłynąć do wagonu. Przy samych drzwiach poczuła nagle z tyłu szarpnięcie, a gdy się odwróciła, ujrzała tuż przed sobą twarz Waldemara.

– Uważaj! – Co było trochę dla niego nietypowe, nie miał przyciemnianych okularów, a na jego obliczu nie gościł beznamiętny uśmiech. – Obserwujemy cię. Cały czas.

W tym momencie fala przemieszczającego się tłumy porwała ją z jeszcze większą siłą i Joanna znalazła się w wagonie, a Waldemar zniknął równie nagle, jak się pojawił.

Przez kolejne kilka stacji Joanna zastanawiała się, dlaczego użył pierwszej osoby liczby mnogiej, dlaczego ujawnił przed nią fakt, iż on też należy do grupy, która ją obserwuje. Żadna sensowna odpowiedź nie przyszła jej do głowy, a kiedy dotarła do domu, Piotrek, tata i pani Ela zaabsorbowali ją na tyle innymi pytaniami, że tamto skutecznie wypchnęli z jej głowy.

Spotkania Bernarda i Zielińskiego nabrały ostatnio zadziwiającej

regularności. Miejsce, w którym obaj panowie czuli się doskonale, czyli biuro nie wiadomo czego, wynajęte od nie wiadomo kogo nie wiadomo komu, się nie zmieniało, godziny owszem, ale spotkanie popołudniowo-wieczorne odbywało się nieomal co dzień. Tym razem do stałego grona dwóch uczestników dołączył trzeci, a był nim Łańcuch. Zieliński siedział rozparty w białym skórzanym fotelu ustawionym na tarasie pod szklanym daszkiem, na kolanach miał laptopa, z którego odtwarzał rozmówcom fragment nagrania. Był to ten sam fragment, który już wcześniej, gdy słuchał go sam, wydał mu się nieco niepokojący.

– No co tam ze sprawą BSW, mamy coś nowego? – z laptopa dobiegł przytłumiony głos naczelnika Talaka. Po tym zdaniu na kilkanaście sekund zapanowało milczenie, po którym znów dał się słyszeć głos Talaka: – Chyba trochę przesadzasz, Mareczku.

– Chyba nie – padła natychmiast jeszcze bardziej przytłumiona odpowiedź Kaszowskiego.

Zieliński zamknął wieko laptopa i popatrzył na pozostałych dwóch mężczyzn.

– Mówiłem ci – pierwszy odezwał się elegancki Bernard – że komisarz może nam jeszcze coś wykręcić.

– Albo nam coś wykręca – Zieliński nie wydawał się przesadnie zdenerwowany – albo do tanga zaprosił też pryncypała. Oni się znają jak łyse konie, przy akcji przejęcia, kiedy Kaszowski był teoretycznie urlopowany, ale zjawiał się na miejscu w kluczowym momencie, pieczę nad wszystkim sprawował Talak, więc...

– A jak to sprawdzisz? – Bernard przerwał nieco przydługą wywód Zielińskiego.

– Trochę Waldemarem, trochę panią komisarz. – Zieliński wskazał na laptopa. – No i będziemy dalej słuchać, w końcu musi coś wyjść.

– A jak nie wyjdzie? – Bernard nie podzielał optymizmu Zielińskiego. Teraz spojrzął na Łańcucha: – A pan co uważa? Tak pan tylko tu siedzi, nic pan nie mówi.

– Uważam... – Łańcuch skupił się z wyraźnym wysiłkiem. – Myślę, że jest okej.

– No to mnie pan uspokoił. – Bernard popatrzył jeszcze chwilę na Łańcucha, po czym pokręcił głową, dopił szkocką ze szklanki z rżniętego kryształu, wstał i wszedł do wnętrza biura.

Kaszowski miał fantazję. Jacek wiedział o tym, znali się już w końcu od ponad trzech lat, ale to, co komisarz zaproponował tym razem, przerosło najśmielsze oczekiwania Młodego. Spotkali się na jednym z wolskich placów niedaleko miejsca, w którym przed wojną i w czasie okupacji mieścił się największy warszawski bazar zwany Kercelakiem. Teraz na jego miejscu rozciągał się przepastny i – co było nieco zadziwiające, zważywszy na jego umiejscowienie w samym centrum miasta – pusty, wciąż niezabudowany plac porośnięty trawą. Przez kilkadziesiąt lat pojawiały się tu naprzemiennie cyrki i wesołe miasteczka. Teraz okolicę zajęły barakowozy oblepione antenami satelitarnymi i obwieszane suszącą się bielizną. Na plac zawitał czesko-międzynarodowy lunapark, w którym jedną z głównych atrakcji stanowił miniaturowy rollercoaster z wagonikami wielkości filiżanek do herbaty. Na przejażdżkę takim właśnie wagonikiem na tym właśnie rollercoasterze Kaszowski postanowił zaprosić dziś Młodego. W szaleństwie tego pomysłu kryła się pewna przebiegłość. Przede wszystkim, i taka była wersja oficjalna przedstawiona przez komisarza, nie istniało jeszcze na świecie urządzenie wystarczająco technologicznie zaawansowane, żeby umożliwiło podsłuchanie rozmowy odbywanej w pędzącej z potwornym jazgotem czeskiej filiżance do herbaty. Drugą mniej oficjalną przyczyną była wiedza komisarza o tym, że aspirant Czerwiński nie znosi tego typu przedsięwzięć, ponieważ ma lęk wysokości, a do tego od dziecka kłopotów przysparza mu znajdujący się gdzieś w samym środku głowy błędnik.

– Ja mam od dziecka chorobę lokomocyjną. – Młody zdawał sobie sprawę, że Kaszowski wie doskonale o tej jego przypadłości, a jednak próbował rozpaczliwie się bronić.

– Pora przełamać. Komórkę zostawiłeś w samochodzie?

Młody kiwnął głową. Nadzieja na ocalenie z każdą chwilą bezpowrotnie go opuszczała.

– Ale dlaczego tu? – Młody szukał choćby zrębów racjonalności w postępowaniu szefa.

– Bo jest fajowo, głośno. – Komisarz zerknął znacząco na stojącą po drugiej stronie ulicy furgonetkę. – I szybko się przemieszcza.

Wsiedli. Kaszowski odczekał chwilę, aż wagonik nabrał prędkości, i rozmowę rozpoczął dopiero, kiedy znajdowali się głowami w dół na opadającym łuku stalowych szyn.

– No dobra, możemy gadać!!! – krzyknął, a Młodemu było już wszystko jedno. – Śledzą każdy nasz krok, więc musimy dobrać jeszcze kogoś, kto będzie miał większą swobodę ruchu.

Kaszowski zerknął na Młodego, który był bladozielony na twarzy, miał zamknięte oczy, prawdopodobnie w ogóle go nie słyszał i nie miał w tym momencie literalnie żadnej swobody ruchu.

– I dzięki temu będzie mógł śledzić ich!!! – Kaszowski rozmawiał właściwie sam ze sobą, ale starał się przewrotnie utrzymywać konwencję wymiany myśli i wspólnych konsultacji. – Kogo proponujesz?!

Młody nikogo nie zaproponował, jedyne, nad czym teraz się zastanawiał, to czy dożyje końca tej eskapady.

– Myślałem albo o Monice – ciągnął komisarz, gdy wagonik ponownie się obrócił, a Młody otworzył na moment oczy – albo o naszym Marcinie!

Jacek pokiwał głową, większe zaangażowanie z jego strony nie było chwilowo możliwe, wagonik zbliżał się do łuku, po którym znów miało go obrócić do góry dnem. Młody zamknął oczy i zacisnął usta.

– Potem przyszło mi do głowy, że z Moniką za dużo zaszłości – ciągnął Kaszowski jakby nigdy nic. – A poza tym Marcin ma większe pojęcie o technikaliach, więc chyba jego będziemy musieli wziąć. No i jeszcze musimy z Heniem ten cyrk zrobić potem!!!

Kaszowski skończył, wagonik zatrzymał się z przeraźliwym skrzypnięciem, Młody otworzył oczy i usta, przez moment wahał się, czy

puścić pawia, czy nie.

– Zgadzasz się? – Kaszowski uśmiechnął się do Młodego z sympatią, a ten pokiwał głową. Chciał umrzeć.

W furgonetce po drugiej stronie ulicy technik w granatowym kombinezonie zdjął słuchawki z uszu.

– Masz coś? – zapytał go ten w garniturze.

– Tak. – Kiwnął głową ten w granatowym. – Zderzenie pięciu pociągów na moście. Chcesz posłuchać?

Technik z szyderczym uśmiechem na ustach przekazał słuchawki. Ten w garniturze pokręcił głową i wściekły sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów.

– Tu się nie pali. – Technik odłożył słuchawki na blat z płyty paździerzowej.

Garniturowiec nerwowo sięgnął do klamki od drzwi przesuwnych.

– I stąd się nie wysiada w czasie prowadzenia działań operacyjnych. – Technik uśmiechnął się pod nosem, a ten w garniturze zamarł w niemej wściekłości.

Od razu po naradzie w wesołym miasteczku Kaszowski podjechał z wciąż jeszcze dochodzącym do siebie Młodym na parking komendy, na którym czekał już na nich umówiony wcześniej naczelnik. Henio wsiadł na tylne siedzenie. Nietrudno było się zorientować, że teatrzyk, który mieli teraz zaimprovizować, nie budził jego entuzjazmu, bo też po prostu nie mieścił się najzupełniej w jego zawodowym emploi.

– Za dzień, dwa poznam cię z Łańcuchem – zwrócił się Kaszowski do Młodego. – Pojedziemy na miejsce we trzech, omówimy szczegóły, zadzierzgnięcie.

– Dobra. – Młody starał się mówić normalnie, ale jednocześnie trochę wyraźniej niż normalnie, co w połączeniu z wciąż dręczącymi go zawrotami głowy dawało efekt mowy dość specyficznej.

– Możemy na ciebie liczyć, Heniu? – Teraz Kaszowski odwrócił się częściowo do siedzącego na tylnym siedzeniu szefa i gestem zachęcił go do mówienia.

– Możecie. – Naczelnik był zły, ale misję realizował poprawnie. – Ale jak coś pójdzie nie tak, to głowy nie podłożę.

– I nikt nie będzie tego od ciebie wymagał – odrzekł komisarz z uśmiechem. – Jaka dola, Heniu?

Heniu nie odpowiedział od razu, zrobił natomiast do Kaszowskiego minę, która miała oznaczać, że przesadził. Komisarz złożył dłonie w błagalnym geście, co było tak obce jego naturze, że Heniu prawie wybuchnął śmiechem.

– Dziesięć procent od uzysku – wydusił w końcu.

Kaszowski odczekał chwilę, udając, że się zastanawia.

– Będzie dziesięć procent – wyrzucił z siebie, jakby właśnie podjął trudną, ale ważną decyzję.

– No i bomba – wybuchł nagle Młody, a tamci popatrzyli na niego jak na raroga.

Tym razem Zieliński na miejsce spotkania zaproponował Joannie Łazienki Królewskie. Pogoda była piękna, wieczór się zbliżał, a jako że o tej porze roku wieczór zbliżał się długo, barwa światła była oszałamiająca. W amfiteatrze odbywał się akurat jakiś spektakl, więc w jego okolicach było trochę głośniejszy, co z punktu widzenia Zielińskiego sprzyjało ich rozmowie na wypadek, gdyby ktoś zamierzał ich podsłuchiwać, czego zresztą inspektor nie przewidywał. Ich rozmowa trwała już chwilę, Joanna wydawała się tym razem bardziej zaangażowana, a Zieliński był właściwie w pełni zadowolony.

– Wciąż próbuję się przebić przez jego inercję, ale to jest kompletnie niemożliwe. – Joanna sprawiała wrażenie mocno podenerwowanej. – Chwilami, szczerze mówiąc, tracę nadzieję.

– Rozumiem panią doskonale. – Zieliński był wyrozumiały. – Ale proszę teraz też za mocno go nie dociskać. Myślę, ba, jestem przekonany, że już niedługo będziemy mogli go ściągnąć za wszystkie te jego „dobre uczynki”.

Zieliński wykonał palcami ilustrujący cudzysłów gest, którego Joanna szczerze nienawidziła.

– Należałoby mu się, naprawdę. – Uśmiechnęła się do Zielińskiego z nadzieją. – A jak się układa „tamta sprawa”?

Teraz i ona wykonała gest, którego nie znosiła.

– Po naszej myśli. – Zieliński uznał, że okraszona spokojnym, pewnym uśmiechem lapidarność podziąła na Joannę tonizująco.

Szli chwilę, ochroniarz Zielińskiego podązał jakieś dziesięć metrów za nimi, a Joanna zastanawiała się, czy ta odległość też jest ujęta w jakichś wytycznych. Doskonale wiedziała, że wszystko, co powiedzieli sobie do tej pory, stanowiło jedynie upozorowaną uwerturę do jakichś bardziej znaczących treści. W innym wypadku całe to spotkanie towarzyskie byłoby stratą czasu, a Zieliński raczej czasu nie zwykł tracić.

– A czy aspirant Czerwiński wspominał coś może...? – Zieliński wreszcie przeszedł do rzeczy. – Wiem, że nie powinienem wchodzić w pani życie osobiste z butami, ale sama pani rozumie. Pan Jacek może sporo wiedzieć.

– Rozumiem, oczywiście – odrzekła Joanna z pokorą, choć zdawała sobie sprawę, że nadmierna uległość może przez w miarę inteligentnego Zielińskiego zostać odczytana jako sygnał, że coś jest nie tak, a nie tak było już w tym momencie w zasadzie wszystko. – Może i coś wie, ale nie wspominał. To znaczy ja czuję, widzę, że coś jest nie tak, ale on nic nie mówi, a też nie chcę go zbyt naciskać.

– Oczywiście, pani Joanno. Proszę nie naciskać. To pani musi zdecydować, jak daleko można się posunąć.

Znów przeszli kilka kroków.

– A czy on się w coś pakuje? – zapytała Joanna z dobrze udawanym niepokojem.

– Może trochę. – Zieliński uśmiechnął się ciepło, co kompletnie nie licowało z jego charakterem. – No ale działa, jak to się mówi, w zależności służbowej, wykonuje polecenia, więc... – zawiesił teatralnie głos i zerknął na panią komisarz, a ona pomyślała, że już naprawdę ma dosyć jego

niewybrednych manipulacji. Ponadto wciąż gdzieś z tyłu głowy czuła niepokój, wciąż nie miała stuprocentowej pewności, czy aby na pewno to, w czym bierze udział Jacek, a przede wszystkim to, co organizuje Kaszowski, jest zgodne z prawem, czy przyświeca temu idea sprawiedliwości, a jeśli tak, to czy nie jest to idea sprawiedliwości tak zrelatywizowana przez komisarza na własny użytek, że obiektywnie już sprawiedliwością niebędąca. Ujmując rzecz prościej: to, że Zieliński nie jest kryształowy, nie gwarantowało wcale, że kryształowy jest Kaszowski.

– W każdym razie nawet jeśli aspirant Czerwiński wszedł czy wchodzi w kolizję z prawem – Zieliński kontynuował lekko przyciszonym, miękkim głosem – to choćby ze względu na panią wyciągnemy go potem z tego.

Joanna uśmiechnęła się z wdzięcznością i choć wdzięczna nie była, to ten komunikat trochę ją uspokoił. Nawet w wypadku niepowodzenia akcji Jacek będzie raczej ofiarą tej sytuacji niż jej sprawcą czy równoprawnym uczestnikiem.

– Mamy w zasadzie wszystko pod kontrolą. – Zieliński przeszedł do podsumowania. – Ale gdyby zauważyła pani coś niepokojącego w zachowaniu Kaszowskiego czy pana Jacka, to oczywiście proszę mnie na bieżąco informować.

– Oczywiście. – Joanna kiwnęła głową, tymczasem Zieliński zaczął nerwowo szukać czegoś po kieszeniach; w końcu znalazł i wyjął kartkę papieru.

– Tutaj jest wykaz numerów telefonów, pod które ma pani dzwonić w poszczególne dni. – Zieliński podał jej kartkę i kopertę z kartami prepaid. – I proszę też codziennie wymieniać karty.

Joanna odebrała kartkę i kopertę i w ostatniej chwili przypomniała sobie, że powinna się zdziwić.

– Musimy zachowywać środki ostrożności. – Zieliński przytrzymał dłoń Joanny w swojej. – Jak to mówią: licho nie śpi, mamy do czynienia ze zorganizowaną grupą przestępczą, która dodatkowo, jak wiemy, ma swoje osadzenie w policji. Oni, pani Joanno, też dysponują środkami technicznymi.

– Rozumiem. – Joanna delikatnie wysunęła swoją dłoń z nieco zbyt

delikatnej, odrobinę za cieplej i lekko wilgotnej dłoni Zielińskiego.

Traf chciał, że w trzydziestoletnim volvie Kaszowskiego ukrećcia się półoś, a jako że samochodów z tego rocznika nie było już nawet na złomowiskach, część trzeba było sprowadzić z jakichś dawno omszałych szwedzkich magazynów znajdujących się gdzieś pod kołem biegunowym. Kaszowski bardzo nad tym ubolewał, bo nie znosił jeździć innymi samochodami, a najgorsze, co mogło mu się przytrafić, to jazda z kimś za kółkiem, tym razem zaś miały się wydarzyć obie te rzeczy naraz. Do wsi Osuchy ku ogromnej radości Młodego pojechali teraz jego beemką, i to on, a nie Kaszowski, usiadł za kierownicą. Dzięki temu na miejsce dotarli po dwóch, a nie jak poprzednim razem po czterech godzinach. Łańcuch dojechał pół godziny później, wściekły, bo jego zawieszony pięć centymetrów nad ziemią mustang miał problem z przejeżdżaniem nawet „śpiących policjantów”, a na polnej drodze, która wiodła do wsi, auto trzy razy zawisło na podłużnicach. Kiedy więc w końcu stanęli wszyscy na pagórku, z którego rozciągał się widok na całą okolicę, a przede wszystkim na opuszczone obejście, z całej trójki wściekły nie był jedynie Młody.

– Pan Jacek – zaczął Kaszowski, który wciąż jeszcze żałował ukrećconej półosi – przed akcją i w trakcie akcji będzie się zajmował logistyką i jeśli coś by poszło nie tak...

– A co może pójść nie tak? – odpowiedział pytaniem Łańcuch, który wciąż jeszcze wisiał na podłużnicach.

Kaszowski zmierzył go wzrokiem, ponieważ nie znosił, kiedy ktoś mu przerywał, a jeszcze bardziej nie znosił, kiedy ktoś mu przerywał po tym, jak odbył dwugodzinną podróż, w czasie której osiem razy żegnał się z życiem.

– Wszystko – odrzekł i czekał na reakcję ze strony bandyty, która na szczęście dla tego ostatniego nie nastąpiła. – Wiesz już, ilu ludzi od nich będzie?

– Dokładnie nie da się przewidzieć – odrzekł Łańcuch po chwili. – Pewnie nie więcej niż czterech plus kierowca tira, ale on się nie liczy. No więc będzie góra pięciu, tyle że to pewnie wszystko jacyś psychole po Afganistanie

i Czeczeniu.

Kaszowski podszedł do samochodu Jacka, wyciągnął z niego torbę, a z torby złożoną mapę sztabową w skali 1:10 000. Jacek z Łańcuchem tę chwilę przerwy w programie wykorzystali na to, żeby lustrować się nawzajem mało przyjemnymi spojrzeniami. Kaszowski rozłożył mapę na masce bmw i nie bacząc na to, czy jest słuchany, zaczął referować:

– Wejdziemy na teren obejścia z trzech stron. – Obrócił sztabówkę, żeby jej kierunki lepiej odpowiadały rzeczywistym kierunkom świata, po czym wyprostował się i ręką wskazał punkty odniesienia w realu. – Dodatkowo tu, gdzie jesteśmy, i na tym drugim wzniesieniu będzie dwóch ze snajperką.

Kaszowski spojrzał na Łańcucha.

– Załatwiłeś?

– Mam dragunowa dla siebie. – Łańcuch kiwnął głową. – I pistolety maszynowe z podglądem snajperskim jakby co.

– To nawet lepiej – ucieszył się Kaszowski. – Jak się zacznie rozróżba, to snajperka mogłaby nie starczyć. Musimy dokładnie wiedzieć, jaka będzie broń, pan Jacek zadba o amunicję, tu nie może być żadnej wtopy.

Łańcuch kiwnął głową i raz jeszcze spojrzał w stronę Młodego, który nie podobał mu się z wzajemnością. „Z drugiej strony – pomyślał – to nie ma być spotkanie kółka wzajemnej adoracji”.

Poza tym z doświadczenia wiedział, że często ci, którzy nie są wylewni, kiedy przychodzi co do czego, okazują się najbardziej niezawodni.

W drodze powrotnej Młody jechał już znacznie wolniej, bo Kaszowski zapowiedział, że jeśli przekroczy sto czterdzieści na godzinę, to on poprowadzi, a już od dawna nie jeździł autem z ręczną skrzynią biegów. Perspektywa wielogodzinnej podróży i zatartej skrzyni zrobiły swoje i tym razem trasa do Warszawy zajęła im trzy godziny. Przez cały czas panowie nie zamienili prawie ani słowa, tylko mniej więcej w połowie Kaszowski zapytał, czy celnik załatwił już ciężarówkę, na co Młody odpowiedział kiwnięciem głowy. Żaden z nich nie był gadatliwy, ale też szczęśliwie żadnemu z nich podróż w ciszy przesadnie nie przeszkadzała.

Spotkali się następnego dnia o świcie. Naczelnik, którym wciąż targały potężne wątpliwości, spóźnił się kilka minut. Kiedy otworzył stalowe drzwi prowadzące na dach wieżowca komendy, prosto w oczy zaświeciło mu wschodzące słońce. Jacek i Kaszowski stali przy barierce i pili kawę, komisarz od razu wyciągnął do szefa rękę dłonią do góry. Tego gestu naczelnik nie zrozumiał, bo był starszej daty i nie przychodziło mu do głowy, że to, co nosi w kieszeni i co służy mu do komunikacji, wykorzystywane jest też do prowadzenia inwigilacji. Jacek wyciągnął z kieszeni część swojego, rozłożonego już zawczasu telefonu, i dopiero teraz Talak zrozumiał. Podał komórkę komisarzowi, a on wprawnym ruchem otworzył klapkę i wyjął baterię. Następnie Młody uruchomił stojące na wysypanym szutrem dachu niewielkie urządzenie, które naczelnik widział wcześniej w rękach Marcina, i czujnikiem przytwierdzonym do urządzenia objechał Talaka ze wszystkich stron, jednocześnie wpatrując się w diody na panelu urządzenia. Po kilkunastu sekundach kiwnął głową.

– Wpadliście w paranoję z tymi podsłuchami. – Talak wreszcie mógł coś powiedzieć.

– Myślę, że mamy jakiś tydzień, góra dziesięć dni do akcji. – Kaszowski nie miał siły wdawać się w wyjaśnianie, z czego wynika ich paranoja z podsłuchami, więc przeszedł od razu do rzeczy.

– No to zawiadamiam CBS i ABW.

– Heniu. – Kaszowski pokręcił głową. – Jak to teraz zrobisz, to leżymy.

– Może. Ale jak tego nie zrobię, to pójdę pracować na parking strzeżony, a mam rok do emerytury.

– Ich plan jest taki – tłumaczył spokojnie Kaszowski – że po tym jak zwiniemy narkotyki, oni zwijają nas z narkotykami, czterysta kilo wraca do depozytu, który wcześniej okradli, resztę zgarniają, a ja i Czerwiński idziemy siedzieć.

– Ale przecież tam nie ma żadnych narkotyków? – Naczelnik wciąż nie bardzo rozumiał.

– Nie ma i dlatego musimy to doprowadzić do końca. Na razie nic im nie zrobisz. – Kaszowski nie odpuszczał.

– Możesz mnie trochę lepiej przez to wszystko przeprowadzić? – Talak wydawał się coraz bardziej zagubiony. – Tak krok po kroku.

– Krok po kroku. – Kaszowski zebrał się w sobie. – Według ich planu, jak wejdziemy, ma się zjawić Zieliński i wtedy zwiną mnie czy raczej nas. Cała ta banda, którą mi skompletował Łańcuch, to są albo zaufani pracownicy BSW, albo jakieś byłe lewe psy. Narkotyki, które według tego, co im się wydaje, mają przyjechać w tirze z Gdyni, najpierw chcą podzielić, odłożyć to, co im potrzebne do załatwienia dziury w depozycie, resztę wywieźć i wtedy dopiero wezwać CBS, ABW, media i wszystkich świętych.

– Skąd to wszystko wiesz? – Talak był wyraźnie pod wrażeniem.

– Po pierwsze, go znam, a schematy nieuczciwości są zawsze podobne, a po drugie – Kaszowski się uśmiechnął – na swoje nieszczęście oni nie mają aż takiej podsłuchowej paranoi jak my.

– No dobrze. – Talak powoli trawił zalew informacji. – A jak wy to zamierzacie rozegrać?

– Potrzebujemy kogoś zaufanego od antyterrorystów. Kogoś totalnie zaufanego.

Talak poczuł się uspokojony, bo jeśli Marek chciał do akcji angażować ludzi z brygady AT, to z całą pewnością zamierzał przynajmniej z grubsza trzymać się granic prawa. Gdyby coś chciał przeprowadzić wyłącznie na własną rękę, to wedle jego norm byłoby to zapewne w pełni uczciwe, ale jego normy czasami odbiegały od norm ogólnie przyjętych. Jeśli w akcji miał wziąć udział ktoś z zewnątrz, i do tego miał to być ktoś zaufany, czyli uczciwy, to żadna odbiegająca norma Marka nie mogła mieć w tym wypadku zastosowania. To, co Kaszowski zamierzał przeprowadzić, musiało być czyste w sposób bezwzględny i pozadyskusyjny.

– Walendziak? – to nazwisko przyszło Talakowi do głowy jako pierwsze.

Marek przez chwilę się namyślał, w końcu pokiwał głową. Z komisarzem Walendziakiem znali się od dwudziestu lat i nigdy Marek nie miał co do niego żadnych wątpliwości.

– Okej. Pogadasz z nim?

– Pogadam. – Talak wreszcie czuł się nie tylko jak bierny uczestnik jakiejś ustawki Kaszowskiego, czuł, że zaczyna brać w coś udział, a jako rasowy policjant lubił to uczucie najbardziej.

– Tutaj mam dla pana karty telefoniczne i telefon. – Młody wyjął z plecaka zawiniątko. – Proszę do kontaktów z nami używać tylko tego, kartę wymieniać jak najczęściej, najlepiej po każdej rozmowie, no i nie dzwonić ze swojego gabinetu, z auta ani z domu.

– Żartujesz chyba, młody człowieku. – Talak spojrzał na Młodego z mieszaniną urazy i niedowierzania. – Sugerujesz, że żonę też mi podsłuchują?

– Nie możemy tego wykluczyć, Heniu. – Kaszowski wyręczył Młodego. – Niestety, nie możemy, ale to jeszcze tylko kilka dni.

– Dodatkowo tutaj – Młody z plecaka wyjął zapisaną kartkę w kratkę wyrwaną z jakiegoś notesu – ma pan zapisane swoje nowe konto mejlowe, login i hasło do niego, a także nasze konta mejlowe. Do kontaktu z nami proszę używać tylko tych adresów.

– Przecież ja się w tym wszystkim kompletnie pogubię. – Talak był coraz bardziej zszokowany tym, co się wokół niego działo.

– Da pan radę – uspokajał Młody. – I proszę pamiętać, że oni są jak UB, tylko technologicznie sto lat później.

– A co ty, synku, możesz wiedzieć o UB? – Talak spojrzał na Młodego z politowaniem.

– Opowiadałem mu. – Do rozmowy znów na chwilę włączył się Kaszowski. – Heniu, jest sto lat później i gra z punktu widzenia Zielińskiego idzie o sto pięćdziesiąt milionów, a nie o talon na malucha.

– Oni grają o sto pięćdziesiąt milionów, a my?

– Czy ja wiem? – Kaszowski ruszył w stronę stalowych drzwi prowadzących na schody przeciwpożarowe. – Może jesteśmy wierzący.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, Joanna w pierwszym odruchu nie wiedzieć czemu pomyślała, że to znowu Waldemar, który nie dość, że

zdecydowanie ostatnio zwiększył częstotliwość swoich najść, to jeszcze za każdym razem dostarczał jakieś nowe, coraz mniej czytelne komunikaty. Kiedy szła już znów z bronią w rękę do drzwi, przyszło jej jeszcze do głowy, że być może to ojciec, który poczuł się gorzej, a może samotność go przerosła. Zajrzała w judasza. Najbardziej zaskoczyło ją to, że pojawienia się Jacka zupełnie nie brała pod uwagę, a ze wszystkich rozpatrywanych możliwości ta była najbardziej optymistyczna i zarazem najprawdopodobniejsza. Schowała broń z tyłu za pasek spodni i otworzyła drzwi.

– Cześć. Z bronią do mnie? – Jacek uśmiechnął się na jej widok.

– Skąd wiesz, że z bronią?

– Kiedy ją masz przy sobie, od razu zmienia ci się wyraz twarzy. – Przez chwilę wyglądał jej reakcji, a gdy w końcu zobaczył zdziwienie, dokończył:
– Słyszałem, jak blokowałaś zamek.

Stali chwilę, ona cieszyła się, że przyszedł, ale miała dziwną potrzebę, żeby trochę się z nim podroczyć.

– Mogę wejść? – Młody lekko się wyciągnął, jakby chciał zobaczyć, co dzieje się za jej plecami.

– Tak samopas? – Joannie ta złośliwość trochę się wymknęła, ale skoro tak, to musiała już przyjąć jej konsekwencje.

– Samopas. – Młody próbował przełknąć jej sarkazm w sposób niezauważony, ale nie do końca mu się to udało. – Źle?

– Dla mnie bomba. – Teraz już po prostu chciała, żeby wszedł. – Chodź.

Ruszyła w głąb mieszkania, Jacek przyglądał się jej sylwetce opiętej elastycznymi spodniami do fitnessu. Dopiero kiedy Joanna skręciła do salonu i zniknęła za rogiem, zamknął drzwi, zdjął kurtkę i ruszył w ślad za nią.

Joanna naląła im po kieliszku wina, sama usiadła na sofie, podkulając nogi pod siebie. Jacek miał ogromną ochotę usiąść obok niej, ale na razie nie miał odwagi, więc zajął fotel obok. Przez chwilę milczeli. On sączyła wino i wreszcie czuła się naprawdę bezpieczna, on zastanawiał się, czy istnieje jakiś prosty sposób na to, żeby znaleźć się bliżej niej.

– Jak Piotrek? – Młody zaczął tam, gdzie wydawało mu się najbezpieczniej.

Joanna pokiwała głową, co miało oznaczać, że dobrze, a jednocześnie miało też oznaczać, że z pomocą Piotrka nie uda się Młodemu wywinąć od rozmowy na poważniejszy i znacznie bardziej nurtujący ich oboje temat.

– No i co, powiesz mi w końcu, co tam knujecie z Kaszowskim? – spytała Joanna, a jednocześnie ku zaskoczeniu Młodego przyłożyła palec do ust.

– Nic nie knujemy – skłamał.

– Jak nic...? – pokręciła głową z powątpiewaniem, ale jednocześnie zaczęła się rozglądać wokoło.

Po chwili odstawiła kieliszek na stolik, wstała i zaczęła chodzić po pokoju w poszukiwaniu nie wiadomo czego. Na stoliku pod telewizorem znalazła flamastry Piotrka, z okiennego parapetu zabrała jakieś stare rachunki. Nie usiadła z powrotem na sofie, tylko kucnęła przy szklanym stoliku. Młody cały czas przyglądał się jej z rosnącym zaskoczeniem.

– Ciągle gdzieś znikacie, jakieś rozmowy... – Joanna ciągnęła wątek, ale jej myśli i działania skupione były teraz na czymś zupełnie innym.

Na odwrocie rachunku telefonicznego najciszej, jak się dało, napisała kilka słów, następnie podsunęła kartkę przed oczy Młodego. Widniało na niej jedno zdanie, „Szyj coś”. Kiedy Jacek je odczytał, podniósł głowę i napotkał badawcze spojrzenie Joanny, od której dzieliło go teraz kilka centymetrów. Kiwnął głową, nie odrywając wzroku od jej oczu. Joanna pokazała mu gestem, żeby zaczął coś mówić. Ponieważ on wreszcie pojął, o co chodzi, zastanowił się moment, i podjął temat.

– Jest sprawa – słowa, które wypowiadał, brzmiały kompletnie nieprzekonująco, ale oboje wiedzieli, że gra toczyła się już w tym momencie w zupełnie innym miejscu. – Jakieś podejrzenie, naczelnik zalecił, żeby na razie po cichu działać.

– Aż tak po cichu – Joanna mówiła, a jednocześnie na kartce pisała kolejne zdanie – że nawet mi nie możesz powiedzieć?

Młody zerknął na kartkę, na której teraz jakby mocniej i większymi

literami Joanna napisała: „Zieliński jest bandytą”.

– Niestety, na razie nie mogę – odpowiedział, jednocześnie zaś kiwnięciem głowy potwierdził, że zgadza się z jej hipotezą z kartki.

– A kiedy będziesz mógł? – Joanna pisała ostatnie zdanie.

– Za jakiś tydzień. Może za dwa, ale to nic specjalnie ciekawego, dotyczy jakiegoś celebryty, narkotyki czy coś takiego, jedyne co, to dopóki nie zbierzemy dowodów, sprawa nie może wyjść, bo tabloidy to złapią i będzie po balu...

Młody zerknął na kartkę, potem na Joannę, uśmiechnął się, po chwili dotknął jej włosów, a ona usiadła mu na kolanach. Kiedy zaczęli się całować, kartka spadła na podłogę. Na kartce Joanna już bez dbałości o kaligrafię napisała dwa słowa: „Kochaj mnie”.

Fakt, iż panowie po raz pierwszy od tygodni spotkali się poza terenem swojego ulubionego tarasu, podyktowany był rosnącym napięciem wywołanym zbliżającą się operacją. Tym razem na miejsce spotkania Zieliński wybrał Lasek Bielański, a konkretnie fragment otwartej przestrzeni, polankę w samym centrum tegoż. Pomimo że Zieliński był organizatorem spotkania, pojawił się na nim jako ostatni. Bernard Kuzięba i Łańcuch zaczęli się już nawet lekko niepokoić, kiedy od strony mających w tle betonowych przeseł Wisłostrady zobaczyli nadchodzącego inspektora. Po krótkim powitaniu Zieliński od razu przeszedł do rzeczy, pierwsze pytanie kierując do Łańcucha.

– Jakie wrażenia po ostatnim spotkaniu z Kaszowskim i Czerwińskim?

– Raczej dobre. – Bandyta zastanowił się chwilę. – Oczywiście mogą coś pozorować, ale jeśli to robią, to bardzo dobrze.

– Raczej nie pozorują. – Zieliński zareagował uśmiechem, najwyraźniej czuł, że ma w zanadrzu argument z gatunku nie do obalenia.

Tamci, a szczególnie Kuzięba, który swój sceptycyzm i pesymizm pojmował jako rodzaj misji, zamarli w oczekiwaniu na to, co przygotował dla nich tym razem Zieliński. On tymczasem wyjął niespiesznie z kieszeni

minitabiet, włączył jakiś program i odpalił odtwarzanie.

– Możemy na ciebie liczyć, Heniu? – Jakość nagrania była teraz lepsza niż poprzednim razem.

– Możecie. – Głos Talaka, choć najwyraźniej nieco bardziej oddalonego od mikrofonu, też utrwalił się w doskonałej jakości. – Ale jak coś pójdzie nie tak, to głowy nie podłożę.

Zieliński zerknął na Kuziębę, ten, czując na sobie wzrok inspektora, pokiwał głową z zadowoleniem. Nagranie rzeczywiście rozwiewało powoli wszelkie wątpliwości.

– I nikt nie będzie tego od ciebie wymagał – ciągnął Kaszowski. – Jaka dola, Heniu?

– Dziesięć procent od uzysku. – Głos Talaka odezwał się dopiero po chwili.

Cisza w głośniku tabletu przedłużała się nieco; Zieliński uspokoił pozostałych, że to jeszcze nie koniec nagrania.

– Będzie dziesięć procent. – Usłyszeli w końcu Kaszowskiego.

– No i bomba – zaskrzeczał w głośniku głos Młodego.

Zieliński wyłączył i schował tablet. Popatrzył na pozostałą dwójkę. Zarówno Łańcuch, którego samopoczucie nie miało znaczenia, jak i Kuzięba, którego samopoczucie miało zasadnicze znaczenie, wydawali się w pełni ukontentowani.

– Mówiłem, że... – zaczął Zieliński zadowolony.

Na dachu wieżowca komendy, na osłonie jednego z wylotów wentylacyjnych siedzieli teraz Młody i Kaszowski, naprzeciwko nich stał technik Marcin z ogromnych rozmiarów laptopem w rękach. Wszyscy słuchali nagrania przygotowanego przez Marcina.

– ...w porę wyjdzie z naczelnikiem. – Głos Zielińskiego został nieco zakłócony szumem wiatru.

– Wiało. – Marcin próbował się usprawiedliwiać, ale Kaszowski uciszył go gestem.

– Lepiej późno niż wcale. – Usłyszeli charakterystycznie chrapliwy głos Kuzięby. – Mamy dwa dni do akcji.

– Element napięcia pomoże nam zachować czujność – cieszył się Zieliński.
– To co? Możemy zaczynać?

– Możemy. – W głosie Kuzięby brzmiała spokojna pewność, choć jak zwykle nie było w nim przesadnego entuzjazmu. – Nareszcie mu się pan odegra, co, panie inspektorze?

– To akurat ma znaczenie drugorzędne, ale wątek osobisty dodatkowo motywuje...

Usłyszeli jeszcze kliknięcie, po którym zapadła cisza. Marcin spojrzał na Kaszowskiego przepaszająco.

– Musiałem przerwać nagranie, bo jacyś ludzie zaczęli mi się dziwnie przyglądać... Ale myślę, że może to wystarczy i...

– Wystarczy – przerwał mu Kaszowski i spojrzał na Młodego. – To co, poszły konie po betonie?

– Wątek osobisty? – Młody spojrzał na Kaszowskiego pytająco.

KOKAINA

Wnętrze leżącego do góry nogami samochodu było kompletnie zgniecione, dach wpadł tak głęboko, że wcisnął kierowcę w głąb siedzenia. Przez chwilę w aucie nic się nie poruszało, dopiero po kilku sekundach mężczyzna za kierownicą odzyskał przytomność i próbował się zorientować, gdzie jest i co się stało. Płynąca gdzieś znad czoła krew zalewała mu twarz, oczy i usta. Owym mężczyzną był młodszy o dwadzieścia kilka lat Kaszowski, który teraz spróbował się poruszyć, ale z jednej strony blokowały go wgniecione drzwi, a z drugiej nienaturalnie przekrzywione ciało kobiety. Marek spojrzał na kobietę i wtedy bardzo powoli dotarło do niego, gdzie jest i co się stało.

– Agnieszka? – powiedział.

Ze strony kobiety nie nadeszła jednak żadna odpowiedź, Marek zerknął w lusterko. Na tylnym siedzeniu zobaczył ośmioletnią dziewczynkę, która miała otwarte oczy; patrzyła na niego, ale zdawała się go nie widzieć.

– Ewunia... – powiedział do oczu widocznych w lusterku.

Dziewczynka też nie odpowiedziała. Kaszowski raz jeszcze spojrzał na kobietę, spróbował obrócić ją do siebie. Miała zamknięte oczy, wyglądała, jakby spała, jego palce zostawiały na jej twarzy krwawe ślady. Kaszowski spojrzał na swoje dłonie, następnie w lusterko na wciąż otwarte i wciąż nic niewidzące oczy dziewczynki. I wtedy się obudził i zobaczył sufit, po którym przesuwaly się światła przejeżdżających gdzieś ulicą samochodów. Jego wzrok powędrował za świetlnymi pasami, aż trafił na twarz śpiącej obok Basi. Po chwili wstał i poszedł się napić wody. Kiedy zerknął na zegarek, była druga. Tym razem udało mu się spać prawie półtorej godziny. Wiedział, że więcej już tej nocy nie zaśnie.

W nieoznakowanym samochodzie, który pożyczili od technika Marcina, ponieważ okazał się jedynym wozem niewyposażonym jeszcze przez ludzi Zielińskiego w aparaturę podsłuchową, siedzieli Joanna i Młody. Ona była za

kierownicą, a on na tylnej kanapie majstrował z uporem przy jakimś urządzeniu. W pewnej odległości od nich po drugiej stronie ulicy zatrzymał się czarny dwudrzwiowy mercedes SEL, z którego po chwili wysiadł Bernard Kuzięba. Ubrany jak zwykle w elegancki garnitur, rozejrzył się wokoło, po czym przeszedł kilka kroków i wsiadł do granatowej skody superb, służbowego samochodu inspektora Zielińskiego. Kiedy tylko zamknął za sobą drzwi, Jacek uchylił tylną przyciemnianą szybę i przez wąską szparę wycelował w kierunku skody długi mikrofon kierunkowy. Gdy go włączył, z głośnika komputera dobiegły suche, głośne trzaski i niestety nic poza tym. Joanna spojrzała w lusterko z delikatnym wyrzutem.

– No co? – Jacek próbował się bronić, choć tak naprawdę nie był niczemu winny. – Podpiąłem tak, jak mówił...

– A czemu go tu w ogóle nie ma z nami? – Joanna nie kryła zdenerwowania.

– Bo został dzień do akcji i Kaszowski wziął go do czegoś innego? – Młody też był nerwowy. – Zresztą skąd mam wiedzieć? Ja jestem tutaj i tyle wiem.

– I ja – dodała Joanna. – I ja tu jestem.

Komisarz obserwowała skodę zaparkowaną sto metrów od nich i myślała o tym, że pierwszy raz w życiu uczestniczy w czymś tak dziwnym i ryzykownym, w czymś, co nie miało żadnego osadzenia w dokumentach, w czymś, czego nikt jej nie zlecił, a co jednocześnie wydawało jej się jak najbardziej uzasadnione. Stale nie dawała jej spokoju myśl, że jeśli w którymś momencie się pomyliła, jeśli okaże się, że zaufała nie temu, komu trzeba, to nie tylko jej kariera będzie skończona, ale też na szwank zostanie wystawione dobro jej dziecka, dla którego stanowiła jedyną w zasadzie ostoję. Przez myśl przeszło jej pytanie, czy się boi. Nie zdążyła sobie na nie odpowiedzieć, bo właśnie otworzyły się drzwi skody i wysiadł z niej Kuzięba.

– I co robimy? – Joanna spojrzała pytająco na Jacka.

– Ty za nim – Młody odłożył mikrofon na siedzenie i zamknął laptopa – a ja za Zielińskim, jak się ruszy. Daj kluczyki.

– Mam jechać twoim? – Joanna sięgnęła po kluczyki do kieszeni marynarki i podała je Jackowi.

– Tak, nie będziemy teraz tracić czasu na przesiadki. – Otworzył drzwi. – Na razie.

Joanna nie odpowiedziała, zbyt zaabsorbowana przyglądaniem się dalszemu rozwojowi wypadków. Bernard wszedł z powrotem do swojego mercedesa, odpalił i po chwili ruszył gwałtownie. Joanna zerknęła w lusterko, w którym zdążyła zobaczyć, jak Jacek wsiada do jej samochodu, po czym uruchomiła silnik bmw, który zagadał niskimi basami.

– Idealne auto do tajniackiej roboty. – Joanna pokręciła głową i ruszyła za oddalającym się mercedesem, starając się cały czas delikatnie dodawać gazu, bo każde mocniejsze wciśnięcie pedału przyciągało uwagę wszystkich przechodniów wokoło.

Kaszowski siedział w nieodłącznym, choć teraz przynajmniej rozpiętym prochowcu przy stoliku w kawiarnianym ogródku, Łańcuch zajmował krzesło obok. Obaj ze względu na okulary przeciwsłoneczne wyglądali bardzo podobnie i bardzo podejrzanie. Łańcuch czuł się wyraźnie skrępowany, pijąc kawę w towarzystwie policjanta z wydziału zabójstw. Kaszowskiemu wprawdzie nie zależało w tym momencie szczególnie na ukrywaniu faktu spotykania się z Łańcuchem, ale bandyta nie miał i nie mógł mieć o tym pojęcia. Komisarz czytał gazetę i wydawał się raczej rozluźniony, Łańcuch palił trzeciego z kolei papierosa i nerwowo bawił się zapalniczką. W pewnym momencie z zapalniczki wyskoczyło wypchnięte sprężynką kółko do pocierania o kamień wraz z samą sprężynką.

– Co cię tak rzuca? – Kaszowski nie spojrzał nawet na Łańcucha, ale sprężynka z zapalniczki spadła mu na czytaną właśnie kolumnę w „Wyborczej”.

– Miał być dwadzieścia minut temu... – Łańcuch sięgnął po kolejnego papierosa, ale dotarło do niego, że i tak nie będzie go miał już czym przypalić, więc schowa z powrotem do paczki.

– Poczekamy jeszcze dziesięć i spadamy. – Kaszowski nie wydawał się

przejęty.

– Musimy się z nim spotkać. – Łańcuch rozejrzał się nerwowo wokoło.

– Po pierwsze, nie musimy. – Komisarz podniósł głowę znad gazety; lektura i tak przestała już być możliwa. – A po drugie, dlaczego musimy?

– Bo on dostarcza ludzi. – Łańcuch musiał się skupić, żeby przypomnieć sobie, dlaczego muszą, a raczej żeby wymyślić jakiś dobry powód dla Kaszowskiego, bo tak naprawdę musieli, gdyż tak zażyczył sobie Kuzięba, który chciał przed akcją skonfrontować się z Kaszowskim bezpośrednio. – Bo on tak chciał.

– To, że on chce, nie oznacza, że ja muszę. – Kaszowski wrócił do lektury.
– Asertywność, musisz poćwiczyć tę umiejętność.

– Ty chyba nie wiesz, kto to jest. – Łańcucha zaczynała już denerwować dezynwoltura Kaszowskiego.

– Nie wiem i za bardzo mnie to nie obchodzi, szczerze mówiąc – skwitował Kaszowski.

Łańcuch miał jeszcze wyraźnie chęć na dalszą dyskusję, ale w tym momencie zauważył nadchodzącego Bernarda Kuziębę.

– Idzie. – Wstał, by się przywitać.

– Czyli zdążył. – Kaszowski złożył gazetę i spojrzał w stronę, w którą spoglądał Łańcuch.

Kuzięba zbliżył się do stolika, przy którym stał Łańcuch i siedział Kaszowski.

– Dzień dobry, panowie. – Bernard patrzył wyłącznie na Kaszowskiego, choć Łańcuch stał przed nim z wyciągniętą na powitanie dłonią.

Joanna obserwowała scenkę z daleka – mogła ocenić mowę ciała uczestników, ale nie słyszała, niestety, o czym rozmawiają. Rozmowa trwała zresztą zaledwie kilkanaście sekund i wedle jej oceny przebiegła w miłej, a może nawet nieco zbyt miłej atmosferze. Następnie Kaszowski wstał od stolika, podał rękę obu panom i się oddalił. Joanna chwilę jeszcze stała, przyglądając się tamtym dwóm, ale najbardziej nurtowało ją pytanie o to,

czego dotyczyła rozmowa, która właśnie się odbyła. Pogodziła się już z tym, że Kaszowski poza wszelkimi procedurami próbuje rozprawić się z jej szefem, który i dla niej był postacią raczej mroczną, natomiast jego miłe spotkanie z wyjętym spod prawa mafiosem generowało więcej pytań, niż dawało odpowiedzi.

Kiedy Kaszowski wsiadł do samochodu po drugiej stronie ulicy, Kuźięba się uśmiechnął.

– Miły człowiek ten twój komisarz. – Podał ogień nerwowo przeszukującemu kieszenie Łącuchowi. – Zastrzelisz go, jak będzie po wszystkim.

Łącuch przypalił papierosa, zaciągnął się i kiwnął głową.

Niestety, treści tej rozmowy Joanna również nie usłyszała, dlatego po powrocie do biura cały czas szarpały ją wątpliwości. Jacek dotarł tu przed nią i teraz czekał na informacje, siedząc przy jej biurku i pijąc kolejną kawę.

– Coś ciekawego u pana Bernarda? – Podsunął drugi kubek z kawą Joannie, kiedy ta zdjęła kurtkę i usiadła za biurkiem.

– Raczej nie – skłamała i w obawie, że jeśli okrasi to stwierdzenie choćby chwilą milczenia, to wzbudzi podejrzenia Młodego, szybko zaczęła mówić dalej: – Pokręcił się trochę po mieście, wpadł na giełdę, po paru minutach wyszedł, potem pojechał do domu w Konstancinie. A Zieliński?

– Prosto do siedziby twojej macierzystej firmy. – Młody się uśmiechnął. Wbrew nadziejom Joanny zauważył jakiś rodzaj nieszczerości w jej najpierw zdawkowej, a potem nagle potocznej wypowiedzi, ale nie chciał tego na razie drążyć.

Joanna zdała sobie sprawę, że gdyby ich rozmowa trafiła dzięki podsłuchowi na biurko Zielińskiego, obróciłaby w niwecz całą operację, i nerwowo rozejrzała się po ścianach.

– Tu jest czysto. – Młody w mig pojął jej obawy. – Marcin rano sprawdzał, podsłuchy są u Kaszowskiego w domu, w gabinecie, w samochodzie, do tego jeszcze u naczelnika, u mnie i u ciebie w domu, ale tu nie ma, cały czas

monitorujemy.

Joanna pokiwała głową. Skoro Młody tak szybko dostrzegł jej niepokój, niestety, zapewne wcześniej wyczuł, kiedy skłamała na temat Bernarda. Sytuacja zaczynała ją nieco przytłaczać.

– Kaszowski wie, że ja wiem? – Joanna zapytała w nadziei na choćby częściowe odkłamanie sytuacji.

– Jeszcze nie. – Młody patrzył na nią ze spokojem i chyba z wyrozumiałością. – Ale nie będę tego ukrywał. Lecę i nie przejmuj się tak. Spróbuj bardziej zaufać, inaczej zwariujesz.

Uśmiechnął się i wyszedł z gabinetu, zostawiając Joannę z lekko przetrąconym poczuciem własnej wartości, które zresztą rzadko kiedy miała dobrze spozycjonowane. Po chwili namysłu przesunęła palcem po gładziku na klawiaturze, ekran rozbłysnął zdjęciem uśmiechniętego Piotrka na ścianie wspinaczkowej. Joanna odpaliła przeglądarkę i w okienko wyszukiwarki wpisała Marka Kaszowskiego, a zaraz obok Bernarda Kuziębę. Po ośmiu tysięcznych sekundy uzyskała sporą liczbę propozycji, ale żadna z nich nie wskazywała na to, żeby panowie mieli kiedykolwiek cokolwiek ze sobą wspólnego. Łączyło ich to, że jeden był bandytą, a drugi policjantem i w związku z tym pojawiali się gdzieś na tych samych stronach czy to dzienników ogólnopolskich, czy portali internetowych, ale nigdzie nie łączyła ich ta sama historia, nigdy Kaszowski nie ścigał Kuzięby bezpośrednio, nigdy też nie był nawet podejrzany o posiadanie z nim jakichkolwiek kontaktów. Joanna nie potraktowała tego jako wyroczeni, ale jednak odetchnęła z pewną ulgą. Już miała zamknąć przeglądarkę, kiedy przyszło jej do głowy sprawdzić jeszcze jedno połączenie: Kaszowskiego i Zielińskiego. Przy zastosowaniu takiej kombinacji wyników było znacznie więcej, bo kilkanaście tysięcy. To jednak również nie było szczególnie niepokojące, bo obaj panowie od wielu lat pracowali przynajmniej teoretycznie w tej samej instytucji. Tym razem pojawiło się jednak również kilka artykułów, w których panów dzieliło zaledwie kilka zdań redaktorskiego tekstu, ale splot najbardziej zastanawiający Joanna znalazła dopiero na drugiej stronie wyników podsunętych przez wyszukiwarkę.

Owym splotem było zdjęcie archiwalne rocznika Szkoły Oficerskiej Milicji Obywatelskiej w Szczytnie. Na zdjęciu stali obok siebie w niebieskich mundurach młodszy o prawie trzydzieści lat porucznik Andrzej Zieliński i porucznik Marek Kaszowski. Joanna przeczytała opis pod zdjęciem i dowiedziała się, że zdjęcie zrobiono 30.05.1987 roku. Stronę zapisała do zakładek, zdjęcie skopiowała do folderu na pulpicie i zamknęła przeglądarkę. Po chwili sięgnęła do szuflady, z której spod stosu innych rzeczy wyjęła teczkę otrzymaną jakiś czas temu od Zielińskiego. W środku znajdowała się kartoteka Łańcucha i kilku innych osób, na które nigdy się nie natknęła, pod zdjęciami zaś analiza laboratoryjna dotycząca czystości narkotyku zabezpieczonego po akcji przejęcia rok wcześniej. Z analizy wynikało, że czystość kokainy wynosiła między 85 a 90% i że pozostałe substancje znalezione w próbce stanowiła kodeina i metamfetamina. Joanna schowała teczkę tym razem głębiej, zamknęła szufladę i na moment popadła w zadumę. Z jednej strony wiedziała, że jej wciąż nominalny zwierzchnik, inspektor Zieliński, jest przestępcą, z drugiej nie wiedziała, czy przestępcą nie jest przypadkiem również Kaszowski, a jeśli on, to być może także Młody. Joanna poczuła się nagle bardzo samotna.

Basia nigdy nie wypytywała Marka o rzeczy, o których on sam jej nie opowiadał. On w ramach rewanzu też unikał wchodzenia w sfery, w które Basia go nie zapraszała. Taki niepisany, a właściwie nawet niewypowiedziany zawarli przed laty układ i w zasadzie do tej pory obojgu on odpowiadał. Może Markowi odpowiadał odrobinę bardziej, bo w jego przypadku zainteresowanie się sprawami dotyczącymi innej osoby wiązało się z podjęciem sporego wysiłku, ale Basi takie ustawienie sytuacji też nie nastroczało większych problemów. Ostatnio jednak zaczęła się poważnie niepokoić. Marek nie tylko przestał jej mówić cokolwiek, ale też ciągle gdzieś znikał i wykręcał się od spotkań. Raz czy drugi zdecydowała się zapytać o powód jego fizycznej i mentalnej nieobecności, ale Marek odpowiadał zdawkowo, niczego nie wyjaśniając. Kiedy więc tego ranka zjawiała się u niej komisarz Majewska, Basia inaczej niż do tej pory przywitała jej wizytę z żywym zainteresowaniem. Rozmawiały chwilę na

temat ostatniej sprawy dotyczącej tajemniczej śmierci w domu opieki, którą starała się rozwikłać Joanna i której rozwikłanie wstrząsnęło nią do trzewi. Przy okazji ku obopólnemu zdumieniu okazało się, że światopogląd i wrażliwość obu pań nie różnią się aż tak bardzo. Teraz zaś, choć żadna głośno tego nie powiedziała, połączył je podobny niepokój, Basi o Marka i Joanny o Jacka. W końcu pani komisarz zeszła na temat, który nurtował ją najbardziej.

– Przeglądałam akta pewnej sprawy i chciałam zapytać...

– Przejęcie narkotyków z rąk mafii, rok temu? – Basia w zasadzie nie musiała się upewniać. – Młody Pruszków.

– Tak. – Choć Joanna nie miała wątpliwości co do zdolności asocjacyjnych i intuicji Basi, to i tak nieco się zdziwiła. – Chciałam zapytać, kto dostarczył wtedy te narkotyki do badania?

– Któryś z uczestników akcji... – Basia udała, że próbuje sobie przypomnieć.

– A Kaszowski? Był przy tym?

Basia zastanowiła się chwilę. Oczywiście pamiętała, tylko nie wiedziała, na ile powinna dopuścić Joannę do tej informacji. W ciągu kilku sekund pani doktor musiała rozważyć wszystkie za i przeciw, musiała postanowić, na ile jej własny niepokój o Marka jest uzasadniony, i przede wszystkim na ile może zaufać komisarz Majewskiej. W końcu pokiwała głową.

– Ale przecież on nie brał udziału w tej akcji – powiedziała Joanna zaskoczona.

– W samej akcji nie, ale... – Basia znów na moment się zawahała. – Ale potem wrócił, był przy zabezpieczaniu śladów.

Joanna trochę się pogubiła. Wiedziała już wcześniej, że przy okazji tamtego zdarzenia rozegrało się coś dziwnego, ale nie wiedziała, czym owa dziwność była spowodowana.

– A właściwie dlaczego on nie wziął udziału w samej akcji? Przecież przygotowywał ją kilka miesięcy i raptem wziął urlop? Mieliście wtedy, zdaje się, być razem w Zakopanem.

– Mieliśmy. – Do Basi dotarło w tym momencie, że jeśli zależy jej na zaufaniu Joanny, a zaczynała ją postrzegać jako osobę, która może w odpowiednim momencie przechylić szalę na właściwą stronę, to musi na owo zaufanie rzeczywiście sobie zasłużyć. – Ale Marek w końcu nie dojechał. O ile wiem, chociaż na pewno nie wiem wszystkiego, bo na temat Marka nikt nie wie wszystkiego, chodziło o to, że przy okazji tamtej sytuacji ktoś składał mu niedwuznaczne propozycje.

– Jakie? – Joanna zorientowała się, że być może wreszcie uda jej się czegoś dowiedzieć.

– Nie wiem dokładnie. – Basia patrzyła teraz Joannie w oczy. – Nielegalne w każdym razie.

– A kto składał? – Joanna wytrzymała spojrzenie.

– Tego zdaje się nigdy nie udało się ustalić.

– Nawet Kaszowskiemu? – Joanna uśmiechnęła się z niedowierzaniem, ale nie było w tym uśmiechu ironii czy sarkazmu, a raczej próba zbudowania wspólnego stanowiska w sprawie.

– O to już musi pani jego zapytać. – Basia też się uśmiechnęła. – Nie siedzę mu w głowie, tak naprawdę nigdy nawet nie udało mi się zbliżyć do tego, co on ma w głowie.

– Chyba rozumiem, tylko że mnie nie uda się wejść mu w głowę tym bardziej. Ale co było dalej? Dlaczego on tak szybko wrócił?

– Marek chciał iść za sprawą do końca, ale Talak się obawiał... – Teraz Basia rzeczywiście musiała już sięgnąć w odmęty pamięci i odtworzyć bieg wypadków. – W każdym razie chyba w końcu wspólnie ustalili, że na sam moment przejścia Marek wycofa się z gry. Dzięki temu ci, którzy czynili mu te propozycje, przy okazji byli przekonani, że policja bez niego nic nie przeprowadzi. Uspili z Talakiem w ten sposób trochę ich czujność. Tylko że Marek cały czas bał się, że pod jego nieobecność wydarzy się coś złego.

– I trochę się wydarzyło. – Joanna zerknęła na rozstawione w rogu laboratoryjnego blatu probówki. – Wnioskując choćby z pani analiz, i tak część z tych narkotyków została wyprowadzona. Czyste nie były.

– Nie były. Ale mogły takie już przyplłynąć, później było jeszcze sporo ogniów, celnicy, transport, chłopaki z mafii, dużo ludzi poszło siedzieć, nikt się nie przyznał do wyprowadzenia, ale to nic nie znaczy.

– To prawda. – Joanna próbowała ułożyć sobie w głowie jakieś choćby zręby sensu. – A swoją drogą, zatrzymali wtedy też niejakiego Łańcucha. Czemu on już po kilku miesiącach był znowu na wolności?

– Nie znam dokładnego przebiegu sprawy. – Basia odeszła na chwilę na bok, żeby wyłączyć wirówkę separatora. – Ale zdaje się, że obrońca Łańcucha wiedział wtedy na tyle dużo, że uprzedzał wszystkie kroki Sobeckiego, w końcu wykazał jakąś niespójność czy uchybienie i Łańcucha musieli puścić.

– A kto dowodził wtedy samą akcją pod nieobecność Kaszowskiego? – Joanna wciąż próbowała zbudować sobie jak najszerszy obraz sytuacji.

– Talak. To znaczy na pewno on nadzorował. – Basia się zamyśliła. – A na miejscu była chyba Monika, to znaczy komisarz Malisz.

– Dziękuję, pani doktor. – Joanna nie musiała udawać wdzięczności, Basia rozjaśniła jej przynajmniej kilka spraw.

– Proszę. – Basia miała wrażenie, że nawiązała się między nimi nic zaufania, ale też pewnej sympatii opartej na wspólnocie interesów i na zbieżności charakterów. – A tamte narkotyki, prawie pół tony kokainy, trafiły jednak wtedy do depozytu i zostały spalone, więc wszystko przynajmniej dobrze się skończyło.

– Niestety nie, pani doktor. – Joanna pokręciła głową. – Tamte narkotyki w końcu nie zostały spalone.

Basia była bardzo zaskoczona, bo właśnie dowiedziała się od Joanny czegoś, o czym do tej pory nie miała pojęcia.

Z zadaszonego przejazdu zwieńczonego wielkim napisem Bałtycki Port Kontenerowy Gdynia wyjechał tir z pomarańczowym kontenerem na naczepie. Chwilę po tym, jak zamknął się za nim szlaban, z mieszczącego się nieopodal parkingu wyjechał czarny mercedes terenowy i ruszył niespiesznie

za tirem. W tym momencie siedzący w ustawionym między ciężarówkami zielonym opłu vectrze Łańcuch odłożył trzymanego w rękę smartfona i z kieszeni skórzanej kurtki wyjął inny telefon owinięty kartką papieru przyciśniętą zieloną gumką recepturką. Zdjął gumkę, wypakował telefon z zapisanej kartki, wystukał numer i przyłożył aparat do ucha.

Betonowy schron na poligonie miejskim używanym przez antyterrorystów zaproponował komisarz Walendziak. Dla Kaszowskiego, który nie przepadał za ciemnymi, zamkniętymi pomieszczeniami, nie było to wymarzone miejsce, ale zgodził się, bo nie mieli już czasu do stracenia. Miejsce było specyficzne. Na środku sporych rozmiarów betonowej sali, o ścianach poszatkowanych śladami kul z karabinów maszynowych, stał niewielkich rozmiarów drewniany okrągły stolik, na którym ktoś umieścił lampkę diodową oświetlającą leżącą na stoliku mapę oraz stojących wokół niego pięciu ludzi. Owa piątka policjantów stanowiła ściśle grono uczestników akcji wymierzonej w instytucję, której statutowym celem był nadzór nad policją, a składali się na nią: komisarz Kaszowski, młodszy aspirant Czerwiński, technik Marcin, naczelnik Talak i zarośnięty brodac, dowódca plutonu antyterrorystów, komisarz Marian Walendziak. Zebraniu przewodniczył Kaszowski i to on mówił teraz do zebranych.

– Za kilka godzin transport dotrze na miejsce. Akcję chcemy przeprowadzić jutro nad ranem.

– Chciałbym, żeby AT uczestniczyło w akcji od samego początku – przypomniał stanowczo Talak.

– AT będzie uczestniczyło od początku. – Kaszowski pokiwał głową uspokajająco. – Ale ujawni się dopiero po tym, jak na miejscu pojawi się Zieliński.

– Skąd masz pewność, że się pojawi? – spytał inspektor nerwowo.

– Mam, Heniu. Nie pytaj mnie skąd, ale mam.

– Czyli rozumiem – wtrącił się Walendziak – że początkowo będzie pan działał sam?

– Tak – odpowiedział Kaszowski szybko, pragnąc przejść do kolejnych

zagadnień i uniknąć przy okazji pytań Talaka o poziom bezpieczeństwa operacji, który z całą pewnością nie wypełniał nawet najmniej restrykcyjnych norm dotyczących bezpieczeństwa. – Ale chciałbym, żeby pan Jacek był z wami, żeby to on zdecydował, kiedy macie wkroczyć.

Walendziak spojrział na Młodego. Najwyraźniej nie bardzo podobało mu się takie ustawienie służbowej hierarchii, już miał coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Marek, może nie ciągnijmy tego? – Talak podjął jeszcze jedną próbę przerwania czegoś, co skądinąd słusznie uznawał za zbyt niebezpieczne. – Na Zielińskiego wystarczy już to, co mamy z podsłuchów.

– Heniu... – Kaszowski nie był jednak tym razem skłonny do ustępstw. – Poprzednim razem odstawieś mnie od akcji w ostatniej chwili i co? Zostaliśmy w efekcie właściwie z samymi narkotykami, które i tak potem wyprowadzili z depozytu, i z jakimiś płótkami jak Łańcuch, które też później wyprowadzili, i koleżka po trzech miesiącach znów stoi na ulicy z torbami koksu. Nawiasem mówiąc, torbami tego samego koksu, który trafił do depozytu, a potem z niego znikł. A jeszcze do tego jak smród po gaciach snują się za nami jakieś dziwne podejrzenia, że to my ochrzciliśmy narkotyki. Wiesz doskonale, że Zieliński z samych podsłuchów się wymiksuje, powie, że prowokację robił albo jakiś inny smut będzie cisnął... A jak go trafimy na miejscu z kolegami od Kuzięby, to już się z tego nie wywinie.

Kaszowski skończył tę jedną z najdłuższych wypowiedzi w swoim życiu, tamci popatrzyli na niego zaskoczeni. Przez chwilę nikt nic nie mówił.

– A jeśli zginą ludzie? – Talak jeszcze raz odbił piłeczkę, ale widać było, że robi to już raczej w odruchu bezwarunkowym i chce tylko jednego: żeby Kaszowski przekonał go do końca.

– Nikt nie zginie, Heniu. – Kaszowski patrzył teraz Talakowi prosto w oczy, wiedział, że ma już właściwie jego zgodę, chodziło tylko o ostatnie dociśnięcie. – Nie będzie ani kiedy, ani jak.

Marek zerknął na Czerwińskiego, ten odczytał to jako znak, że ma się włączyć do rozmowy.

– My wyposażamy naszą grupę w amunicję. – Młody, mówiąc, zerkał na

Marka, jakby upewniał się, czy porusza właściwą kwestię. – W wersji oficjalnej, dla nich, chodzi o to, że musimy mieć pewność co do jej jakości, a tak naprawdę to będą specjalnie przygotowane naboje z usuniętymi spłonkami.

– A ty? – Talak zwrócił się znów do Marka. – Będziesz tam właściwie sam, przynajmniej do pewnego momentu.

– Dam radę. – Kaszowski się uśmiechnął. – Całe życie mam do czynienia z bandytami i dość często jestem wtedy sam.

Talak kiwnął głową, komisarz uznał tym samym, że wszystko zostało ustalone i pochylił się nad mapą.

– Puszczę to – okazało się jednak, że Talak przygotował jeszcze niespodziankę – dopiero jak mi dasz potwierdzenie, że on tam będzie na sto procent.

– Heniu... – Kaszowski nie miał już więcej argumentów.

– Potwierdzenie.

Po spotkaniu z Basią Joannie bardzo zależało na tym, żeby porozmawiać z Jackiem. Szukając go po całej komendzie, przy okazji zorientowała się, że na miejscu nie ma też Kaszowskiego i naczelnika Talaka. O ile w przypadku tego pierwszego nie było to dziwne, o tyle nieobecność naczelnika stanowiła rzadkość. Jeszcze większą rzadkość zaś stanowiło to, że jego sekretarka nie miała zielonego pojęcia, gdzie podziewa się jej szef tego ranka. Żaden z nieobecnych nie odbierał telefonu, co więcej, pod wszystkimi trzema numerami od razu zgłaszał się komunikat o niedostępności abonentów. Joanna po kwadransie poszukiwań uznała, że nie pozostaje jej nic innego, jak udać się do swojego gabinetu i tam czekać, aż wreszcie panowie się znajdą, prawdopodobnie wszyscy naraz, bo co do tego, że są gdzieś we trzech, Joanna nie miała wątpliwości. W drodze do gabinetu weszła do kuchenki po kawę. Traf chciał, że zastała tam podgrzewającą sobie akurat poranne płatki Monikę. Od czasu sprawy tajemniczego zabójstwa oficera wywiadu i nie mniej tajemniczego zamknięcia dochodzenia przez Kaszowskiego panie miały kontakty raczej sporadyczne. Lubiły się nawet, ale ich wzajemna

sympatia nigdy nie popchnęła ich do tego, żeby nawiązać relację bardziej osobistej natury.

– Hej. – Joanna podeszła do szafki z kubkami. – Jak tam?

– Dobrze w zasadzie. – Mikrofalówka charakterystycznym brzdąknięciem oznajmiła koniec pracy i Monika otworzyła drzwiczki. – Roboty nie za wiele i jakoś tak pusto. Mam wrażenie, jakby coś się działo, a mnie zapomnieli zabrać.

– Mnie też chyba zapomnieli. – Joanna podstawiała kubek pod automat z kawą, wrzuciła monetę, z wnętrza maszyny dobiegły charakterystyczne chrobotania.

– Czasem się zastanawiam, czy to w ogóle nie jest jednak jakaś męska robota. – Monika z lekkim wstrętem włożyła do ust czubatą łyżeczkę gorącej masy zrobionej z przemielonej płyty wiórowej. Płatki jadała zdecydowanie przez wzgląd na swoją figurę, nie zaś z powodu niepowtarzalności ich walorów smakowych.

Kawa skończyła wlewać się do kubka podstawionego przez Joannę, chwilę później na wyświetlaczu pojawił się napis „Kawa gotowa”.

– À propos męskich spraw. – Joanna wzięła kubek i podeszła z nim do Moniki. – Przeglądam akurat akta sprawy przejęcia narkotyków. To było...

– Wiem, kiedy to było. – Monika naprawdę nie znosiła jeść tej mazi, nie znosiła jej tym bardziej, że pomimo długich miesięcy gastronomicznej katorgi w jej życiu nie następowała właściwie żadna zmiana, a za brak owej zmiany winiła jednoznacznie swoją otyłość, której zresztą nie było. – Nawet tym zawiadywałam przez kilka dni.

– No właśnie, to też wyczytałam. – Joanna upiła łyk kawy i starała się teraz nie patrzeć na podkomisarz. – A co tam się właściwie zdarzyło i czemu w końcu bez Kaszowskiego, to była przecież chyba jego sprawa...?

– Za bardzo się rzucał. – Monika odstawiła miskę na blat w nadziei, że może po ostygnięciu breja stanie się bardziej jadalna. – Talak chyba mu nie ufał, odesłał go na urlop, a my weszliśmy.

– I? – Joanna zapytała dopiero po chwili, kiedy zorientowała się, że

Monika nie zamierza kontynuować przerwane go wątku.

– I co? – podkomisarz Malisz była zła, głównie chodziło jej o płatki z wiórów paździerzowych i o brak zmiany w życiu, i o samotność, ale dopytywanie Joanny też nie nastrojało jej dziś najlepiej. – Aresztowaliśmy paru gości i przejęliśmy prawie pół tony białego proszku.

– Czterysta dwadzieścia sześć kilo. – Joanna zorientowała się, że nie trafiła na najlepszy moment dnia, a może nawet życia Moniki. – Podobno to nie było za czyste, swoją drogą, przynajmniej kiedy trafiło do depozytu.

– Widzę, że się wczytałaś w te akta tym razem. – Monika w końcu się uśmiechnęła. – Podobno było nie za czyste, to prawda. Nie miałam na to za bardzo wpływu.

Joanna pokiwała głową, zerknęła na miskę z mazią.

– Spróbuj z żurawiną, jest tak kwaśne, że od razu połykasz i szybciej masz z głowy. – Uśmiechnęła się i ruszyła w stronę wyjścia z kuchni.

– Do depozytu narkotyki odwoził już nasz ulubiony komisarz – rzuciła jeszcze Monika.

– Wiem. – Joanna już się nie odwróciła. – Niestety, wiem.

To ostatecznie zdanie wypowiedziała już bardziej do siebie niż do Moniki, która i tak prawdopodobnie nie zrozumiałaby złożoności jego znaczenia.

Spotkania z ojcem stały się w ostatnim czasie nieodłącznym elementem dnia Joanny. W zasadzie ich głównym beneficjentem i przy okazji osobą, która o nie zabiegała, był ojciec, ale Joanna szybko się zorientowała, że owe terapeutyczne seanse również na nią działają kojąco. Ojciec powoli i z mozolem, przynoszącym jednak widoczne efekty, z dnia na dzień coraz bardziej wchodził w rolę, której wcześniej nie podjął należycie, albo może nawet i podjął, ale lata temu z niej zrezygnował. Tą rolą była rola ojca w pełnym tego słowa znaczeniu, czyli rola człowieka, któremu można się powierzyć w opiekę, miast – jak było do tej pory – opiekę nad nim sprawować. Majewscy spotykali się w różnych miejscach, często je zmieniając, co spowodowane było tym, iż oboje instynktownie czuli, że ich

największym wrogiem może stać się rutyna. Teraz głównie Joanna, ale przy okazji też i ojciec łamali sztamę, a właściwie nie pozwalali jej w ogóle zaistnieć. Dzięki temu ich spotkania były budujące i każde kolejne wносиło w ich życie coś nowego. Można by powiedzieć, że wreszcie po latach gnuśnej siermięgi oboje zaczęli żyć pełnią życia.

– Z tatusiem pod rękę? – Roman kroczył powoli i dostojnie. – Na spacer po parku? Tego jeszcze nie przerabialiśmy.

– Jeszcze wielu rzeczy nie przerabialiśmy, na szczęście. – Joanna obserwowała korony drzew ponad ich głowami. – Chciałam o czymś pogadać, tato.

– W domu nie mogliśmy? – Ojciec odrobinę się droczył.

– Nie mogliśmy, bo odkrywamy nowe lądy. – Joanna zwolniła kroku i spojrzała ojcu w oczy. – A poza tym nie mogliśmy, bo w domu nas słuchają.

– Aż tak źle? – Roman przystanął.

– Gorzej. – Joanna pociągnęła ojca dalej. – Kaszowski zna się z Zielińskim ze studiów.

Roman przez chwilę trawił otrzymane informacje. Bardziej niepokoiła go ta dotycząca podsłuchów. Wiedział co prawda, że Joanna wszystko, co robi, robi w imię uczciwości, ale martwił się o nią. Był starym rutyniarzem, który doskonale wiedział, że jeśli są podsłuchy, to ktoś, kto je zakładał, musiał dostać na to kwity, jeśli zaś je dostał, to oznaczało, że prowadził sprawę. Po kilkudziesięciu latach pracy w organach ścigania kapitan Majewski jak mało kto wiedział, że prawo niekoniecznie jest sprawiedliwe, ale zawsze kiedy wchodzi ze sprawiedliwością w konflikt, to go wygrywa.

– To samo pokolenie, za dużo tych uczelni dla psów wtedy nie było. – Roman skupił się na sprawie, która nurtowała go znacznie mniej. – A z drugiej strony policjantów tak starych jak oni zbyt wielu nie przetrwało do teraz w firmie.

– A ci, którzy przetrwali... – Joanna była bliska poczynienia zbyt daleko idącej sugestii.

– Przesadzasz, Joasiu. – Ojciec przerwał jej zdecydowanie, i to karcącym tonem.

– Przy okazji tamtej akcji przejęcia narkotyków ktoś je domieszkował, czyli nazywając rzecz po imieniu, po prostu ukradł przynajmniej kilkadziesiąt kilogramów.

– Mówiłaś, że go przy tym nie było. – Ojciec trwał przy swoim.

– Przy samej akcji go nie było. Ale potem już był, to on dostarczał próbki do laboratorium.

– Jeśli on ukradł, to do doktor Batke mógł akurat dostarczyć czyste. – Ojciec na szczęście był mistrzem logicznego rozumowania. – Nie uważasz?

– Może mógł. – Joanna pokiwała głową. W sumie najbardziej zależało jej na tym, by ojciec ją przekonał. – Ale jest jeszcze jedna sprawa.

Szli przez chwilę w milczeniu, ona zbierała się z przekazaniem kolejnej trudnej dla niej informacji, ojciec zbierał się do odparcia kolejnego ataku, który Joanna przeprowadzała sama na siebie.

– Sprawa nazywa się Bernard Kuzięba – wypowiedziała to nazwisko, jakby rzucała jakieś tajemne zaklęcie.

– Baron paliwowy bez wyroku. – Roman wyraźnie się strapił.

– Wychodzi na to, że nie tylko paliwowy. Przy okazji partner biznesowy Zielińskiego.

Doszli właśnie do znajdującej się w pobliżu wejścia do parku ruchomej budki z lodami.

– No to rzeczywiście wyższe progi bandyterki. – Roman popatrzył na budkę, następnie na córkę. – Mogę cię zaprosić?

– Tato – Joanna nie dała się wybić z rytmu rozmowy – Kaszowski się z nim spotyka.

Roman się zasepił. Chociaż ich ścieżki zawodowe nie krzyżowały się zbyt często i kiedy Kaszowski wchodził do policyjnego establishmentu, kapitanowi Majewskiemu dawno już minął okres największych wzlotów, to na podstawie zasłyszanych informacji i rozmów z kolegami po fachu kapitan widział w nim policjanta rzetelnego i uczciwego, choć nierzadko łamiącego

procedury. Informacja, którą właśnie otrzymał, zdecydowanie psuła ten obraz. Z drugiej strony Roman nie chciał, żeby Joanna w takim momencie wyczuła wątpliwości, które właśnie go dopadły.

– No to już sam nie wiem. – Uśmiechnął się, próbując w ten sposób chociaż częściowo umniejszyć znaczenie otrzymanej informacji, natomiast całą swoją uwagę przekierował na lody, które stały się ostatnio jednym z jego ulubionych substytutów alkoholu. – Jeśli to wszystko jest prowokacją, to *chapeau bas!* Tak czy siak, komisarz Kaszowski wyraźnie idzie na całość.

– Co radzisz? – Joanna naprawdę potrzebowała teraz wsparcia.

– Żebyś przyglądała się temu z bezpiecznej odległości. – Roman spojrzał na córkę i szybko się zorientował, że oczekuje od niego czegoś więcej. – Spróbuj się rozeznać w rozmowie z Zielińskim. Tylko uważaj, bo lód, po którym stąpasz, robi się coraz cieńszy.

– Skoro o lodach mowa... – Joanna się uśmiechnęła i spojrzała w kierunku budki kuszącej napisem „lody naturalne”. – Możesz mnie zaprosić.

W pustym mieszkaniu na warszawskiej Pradze zebrali się ośmiu mężczyzn. Oprócz Kaszowskiego, Młodego i Łańcucha, który zaproponował ten lokal, znajdowało się tu jeszcze pięciu rosłych facetów o twarzach, które nie wyrażały nic. Na długim stole stanowiącym jedyny element wyposażenia wnętrza leżał teraz przed nimi arsenał, za pomocą którego można by prawdopodobnie przeprowadzić zamach stanu w niewielkich rozmiarów środkowoafrykańskim państwie. Zgodnie z zapowiedzią Łańcucha było tu sześć pistoletów maszynowych PM-63 rak, osiem pistoletów beretta 92F, dodatkowo leżały przed nimi granaty hukowe, dymne i wiele innych rekwizytów stworzonych do robienia krzywdy ludziom. Właśnie przed momentem doszło do krótkiej prezentacji wszystkich wszystkim, dzięki czemu Kaszowski i Młody poznali w kolejności alfabetycznej Jelenia, Komandosa, Mariana, który z całą pewnością nie miał na imię Marian, oraz Papugę, który z całą pewnością nie był prawnikiem, a także Strupa, który miał twarz gładką jak pupa niemowlęcia. Scharakteryzować każdego z wymienionych byłoby o tyle trudno, że wszyscy wyglądali podobnie, byli

duzi, umięśnieni, łysi, a ich w wielu przypadkach noszące ślady przebytych walk twarze nie wyrażały żadnych emocji. Kaszowski rozłożył na stole mapę, tę samą, której wcześniej używał do omawiania sytuacji z Talakiem i Walendziakiem, i przystąpił do wprowadzenia zebranych w arkana akcji.

– Z góry sytuację będzie kontrolował Łańcuch i Jeleń. – Komisarz zlustrował twarze stojących. – Reszta będzie operowała ze mną na dole. Musimy wykorzystać element zaskoczenia, dlatego zaczniemy o świcie. Wejdziemy w dwóch grupach, jedna do domu, druga od razu do stodoły, w której prawdopodobnie będą składowane narkotyki do przeładunku.

Kaszowski przerwał na moment, bo zależało mu na tym, żeby ta porcja informacji dobrze rozlokowała się w umysłach właścicieli twarzy bez wyrazu. Kiedy dwóch z nich kiwnęło głowami, komisarz uznał, że zebrał niezbędne minimum zainteresowania i może kontynuować.

– Teraz dwie sprawy zasadnicze. – Kaszowski znów zawiesił głos. – Strzelamy wyłącznie w ostateczności, najpierw ogarniamy sytuację, potem towar.

Kaszowski skończył i spojrzał na Młodego, oddając mu w ten sposób głos. Czerwiński przełknął ślinę tak szybko, że dostrzegł to na szczęście jedynie komisarz, po czym pochylił się nad stołem, na którym leżał rozłożony arsenał.

– No dobrze. Co mamy? Raki z podglądem. Rozumiem, że wszyscy potrafią się tym bawić? – Jacek zaczął mało lotnym żartem.

Kiedy spojrzał na zebranych, stwierdził, że zareagował tylko Papuga, który zaśmiał się krótko i nieco psychotycznie. Pozostali nie uznali za stosowne odpowiadać na tak oczywiste pytanie. Jacek, żeby ratować swój autorytet, zerknął na Łańcucha.

– To wystarczy? – Wziął do ręki raka, przeładował i zerknął w lunetę celowniczą. – Z tej odległości?

– Dla nich tak. – Łańcuch wskazał głową na siedzących. – Dla siebie, na odległość będę miał jeszcze dragunowa.

– Beretty są, jak rozumiem, nieznaczone?

– Ta broń w ogóle nie została wyprodukowana. – Łańcuch uśmiechnął się z dumą. – Została skradziona przed wprowadzeniem do ewidencji.

– Okej. – Kaszowski chciał już kończyć tę konfrontację. – Pan Jacek dostarczy nieistniejącą, bo dawno w papierach zutylizowaną amunicję do wszystkich tych zabawek. Dmuchamy na zimne, bo tak jak mówiłem, mam nadzieję, że uda się w ogóle tego wszystkiego nie użyć. Rozumiem, że wszyscy wiedzą, co i jak. Spotykamy się tutaj za dwa dni i stąd ruszamy.

Tym razem Kaszowski spoglądał na mężczyzn tak długo, aż każdy po kolei skinął głową.

Kolejne spotkanie z Zielińskim odbyło się na wyraźne i stanowcze życzenie Joanny. Gdyby jednak nie to, że skusiła go obietnicą przekazania nowych ważnych informacji, prawdopodobnie sama jej stanowczość na nic by się zdała. Na miejsce spotkania Zieliński znów wyznaczył ruiny mleczarni, i to mimo że Joanna dla oszczędzenia mu czasu chciała przyjechać wprost do biura. Tym razem pogoda nie dopisała, więc oboje musieli najpierw w strugach deszczu przejść przez rozlane wszędzie rdzawe kałuże, co szczególnie eleganckiemu Zielińskiemu w eleganckich mokasynach było wyraźnie nie w smak. Kiedy wreszcie dotarli do zrujnowanego budynku administracji, który chronił przed deszczem tylko umownie, bo jego dach został częściowo rozebrany i już najpewniej gdzieś spalony, Zieliński przez chwilę starał się otrzeć swoje eleganckie buty z błota, a Joanna cierpliwie czekała.

– Mam nadzieję, pani Joanno, że mi pani to wynagrodzi. – Zieliński zażartował, nie do końca żartując.

– Udało mi się ustalić pewne nowe fakty związane z przejęciem tamtych narkotyków...

– Proszę mówić. – Zieliński zainteresował się na tyle, że przestał przynajmniej chwilowo oglądać czubki swoich ubłoconych butów.

– Kaszowski był wtedy w Zakopanem tylko kilka godzin. – Joanna doskonale zdawała sobie sprawę, że nie mówi inspektorowi nic, o czym ten by nie wiedział. – Już nad ranem zaraz po akcji dotarł na miejsce. To on

przekazywał próbki do laboratorium, osobiście.

– To jest bardzo ważna informacja. – Zieliński wydawał się tak bardzo zainteresowany, że Joanna prawie uwierzyła w jego niewiedzę. – Proszę napisać szczegółową notatkę, ale na razie jedynie do mojej wiadomości.

– Oczywiście. – Nadal bezbłędnie udawała zaangażowanie. – A jak przygotowania do prowokacji?

Po tym pytaniu Zieliński przez moment przyglądał się podwładnej z zaciekawieniem, dopiero po chwili odpowiedział spokojnym głosem:

– Bez zarzutu, wszystko przebiega zgodnie z planem. Ale w tej sprawie proszę zachować szczególną dyskrecję.

Joanna uśmiechnęła się porozumiewawczo, co miało oznaczać, iż dokładnie wie, jakiej rangi sprawę omawiają. Zieliński odebrał to z zadowoleniem, po czym nieświadom tego, co jeszcze go czeka, wrócił do oglądania swoich ufajdanych butów za tysiąc czterysta złotych.

– Byliście panowie z Kaszowskim w tym samym czasie w Szczytnie. – Joanna wypaliła i przyczaiła się, żeby nic nie uрониć z reakcji przełożonego.

Zieliński był jednak zbyt cwany na to, żeby tę reakcję w pełni ujawnić, dlatego odczekał chwilę do momentu, kiedy ślady emocji zniknęły z jego twarzy, i dopiero wtedy podniósł głowę, by zerknąć na Joannę.

– Nie przypominam sobie... A skąd taki pomysł?

– Z internetu.

– A po co pani wyszukiwała takie informacje, pani Joanno? – Zieliński uśmiechał się jeszcze bardziej nienaturalnie niż zwykle.

– Nie wyszukiwałam takich informacji. – Joanna zaakcentowała słowo „takich”, bo chciała Zielińskiego przekonać, że na omawianą wiedzę natknęła się przypadkowo. – Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o samym Kaszowskim, trafiłam na stronę szkoły w Szczytnie, tam zobaczyłam panów na jednym zdjęciu, czysty przypadek.

– Czysty paradoks. – Zieliński próbował się ratować, a jednocześnie myślał o tym, że Kuzięba jednak mógł mieć rację.

– Tak. – Joanna wiedziała, że i tak jest już spalona w oczach Zielińskiego,

i w związku z tym postanowiła docisnąć jeszcze trochę mocniej. – A jaki związek z Kaszowskim i tą sprawą ma niejaki Bernard Kuzięba?

– Kuzięba, Kuzięba... – Zieliński zastanawiał się już teraz jedynie nad tym, ile może wiedzieć ta zbyt uczciwa i zbyt jednak inteligentna pani komisarz po Quantico. – Ten od przekrętów paliwowych?

– Chyba ten. – Joanna poczuła, że przynajmniej w tym momencie zyskała pewną przewagę, nie miała też jednak złudzeń, że to przewaga wyłącznie moralna. – A są jacyś inni?

– Pani Joanno! – Zieliński nie wytrzymał. – Ten sarkazm jest w tych okolicznościach naprawdę zbędny.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się po raz ostatni. – Jeśli tylko dowiem się czegoś więcej o Kaszowskim, to natychmiast przekażę. Do widzenia, panie inspektorze.

Zieliński nic nie odpowiedział, pokiwał tylko głową. Joanna ruszyła w kierunku wyjścia z budynku, po drodze musiała minąć rozbitą muszlę klozetową. Już za progiem, pod rozbitym daszkiem, z którego lała jej się na głowę deszczówka, odwróciła się raz jeszcze do inspektora.

– Czyli nie znaliście się z Kaszowskim? – Jej uśmiech nie pozostawiał żadnych wątpliwości.

– A pani znała wszystkie koleżanki z uczelni? – Zieliński wiedział, że broni przegranej sprawy, z drugiej strony dotarło do niego, że w tych okolicznościach jego ewentualna znajomość z Kaszowskim działa głównie na niekorzyść tego drugiego.

– Oczywiście, że nie.

Joanna ruszyła w kierunku auta. Najbardziej nurtowało ją teraz jedno pytanie. Jak zdoła zabezpieczyć Piotrka?

Kiedy samochód Joanny opuścił zawałone gruzem i śmieciami podwórce mleczarni, Zieliński wciąż stał we wnętrzu klatki schodowej, w której przed chwilą skończyli rozmawiać. Czekał na kogoś jeszcze, a przy okazji zastanawiał się, jakie kroki powinien przedsięwziąć, żeby zabezpieczyć się

przed ewentualną woltą swojej zbyt uczciwej i jednocześnie nadmiernie inteligentnej podwładnej.

– Widziałem się z tym twoim komisarczykiem. – Głos Bernarda odbił się echem po pustym wnętrzu klatki schodowej.

Zieliński obrócił się gwałtownie, przestraszony.

– A ty skąd się wzięłeś? – zapytał, kiedy udało mu się opanować zdenerwowanie.

– Z tyłu, inspektorze, z tyłu. Wiedziałem, że wcześniej masz się spotkać z tą swoją Pallas Ateną, więc podjechałem od tyłu.

– I jak z Kaszowskim? – Zieliński nawiązał do spotkania Kuzięby, bo zależało mu teraz przede wszystkim, żeby pokazać, iż sytuację ma pod kontrolą i nagłe pojawienie się mafiosa nie poruszyło jego stalowych nerwów.

– Jak? – Bernard się uśmiechnął. – Chyba dobrze, zapalony do sprawy, zawodowiec. Po spotkaniu dałem Łańcuchowi oficjalne zlecenie na niego.

– Mam inny problem. – Zieliński mógł wreszcie przejść do wiadomości mniej budujących. – Wydaje mi się, że nasza pani komisarz zaczyna nam się trochę biesić, wymyka się spod kontroli.

– Od początku ci mówiłem, że ona jest zbyt uczciwa. – Bernard nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. – Na szczęście uczciwość też się daje odpowiednio regulować... jest na to kilka sposobów. Kaszowskiego wzięliśmy na chciwość, ją weźmiemy strachem.

Zieliński pokiwał głową. Oczywiście nie potrzebował Bernarda do tego, żeby wpaść na takie rozwiązanie. Tyle tylko, że jak do tej pory wszystko wskazywało na to, że sam strach to na Joannę za mało. Oczywiście strach można było stopniować, ale z doświadczenia wiedział, iż jeśli ktoś nie jest tchórzem, to trudno go złamać, nawet eskalując naciski.

– Towar już w każdym razie lada moment dojedzie na miejsce. – Zieliński zmienił temat. – Przejmujemy za dwa dni.

– Nie boisz się, że oni to od razu rozparcelują i się rozjadą?

– Nie. To jest za dobra dziupla, żeby ją mieli od razu opuścić. Tam będą to

dzielić, porcjować i tak dalej. Zajmie im to minimum pięć dni.

– A co potem? W sensie po tym, jak przejmujemy?

Naczelnikowi Talakowi ze słuchawkami w uszach nie było do twarzy. Siedząc za biurkiem z telefonem, który wręczył mu przed chwilą Kaszowski, i z białymi kablami dyndającymi mu z uszu, wyglądał cokolwiek dziwnie i dziwnie też najwyraźniej się czuł. Naprzeciw niego siedział komisarz i przyglądał się z zainteresowaniem jego reakcjom. W uszach Talaka rozbrzmiewał tymczasem dalszy ciąg rozmowy Kuzięby i Zielińskiego.

– Najpierw ogarniemy Kaszowskiego, potem dragi, jak podzielimy towar, zawiniemy to, co jest górką dla nas, i przygotujemy wszystko, żeby dobrze wyglądało, następnie ktoś zadzwoni z anonimową informacją do komendy w Olsztynie. Mam tam swoich ludzi. Zajadą na miejsce, ogarną, wezwą nas – przez chwilę w słuchawkach słychać było śmiech Zielińskiego – potem szybko się zrobi przeciek do mediów, tam też już będziemy mieli kogoś pod parą. A potem? Potem dwie skóry z barana, medal od ministra i kasy, że się nie da przejeść.

– Wszystko da się przejeść. A co z chłopakami, którzy będą z Kaszowskim? – zainteresował się Bernard.

– Ze dwóch się wystawi. Gdzie drwa robią... – w nagraniu pojawiła się pauza, która prawdopodobnie oznaczała, że Zieliński wykonał jakąś minę podkreślającą zabawność tego skojarzenia. – Chłopcy trochę posiedzą, jak przycichnie, to się ich wyciągnie, jakoś im się to wynagrodzi. No a reszta niestety umknie z obławy. Nie można mieć wszystkiego, panie ministrze Kownacki.

Z miny szefa Kaszowski zorientował się, że nagranie dobiegło końca. Talak z ulgą wyciągnął słuchawki z uszu, podał je razem z telefonem komisarzowi, chwilę mu się przyglądał. Nadeszła trudna chwila. Naczelnik z jednej strony musiał się wywiązać z danego słowa, a z drugiej wiedział, że jego decyzja uruchomi łańcuch zdarzeń, które będą ryzykowne szczególnie dla tego, wobec kogo zobowiązał się danym słowem właśnie, a kto przy okazji był jego największym przyjacielem. Na szczęście przyjaciel, który

podszedł w tym momencie cicho do drzwi, następnie otworzył je i głośno zamknął, w porę przyszedł mu w sukurs.

– Cześć, Heniu. – Kaszowski usiadł na krześle z takim impetem, że aż pod nim skrzypnęło. – Chciałbym wziąć dwa dni urlopu, na jutro i na pojutrze.

– A co cię tak nagle przypiliło? – Henio przystąpił do gry i na szczęście na chwilę zapomniał, jaka naprawdę jest jej stawka.

– Mamy z Basią małą rocznicę. Może nad morze wyskoczymy.

– Wypełnij kwity. – Talak nie był idealnie naturalny, ale z drugiej strony z punktu widzenia tamtych był przecież też częścią spisku, więc jego nienaturalność mogła się dobrze wpisywać w ogólną koncepcję. – Przynieś, to ci podpiszę.

Kaszowski podał nagle Talakowi rękę przez stół, tamten uścisnął mu dłoń, po czym przypomniał sobie, z czym niestety wiąże się ta wymiana gestów, i odrobinę posmutniał.

Joanna poprosiła Jacka o spotkanie w parku w pobliżu swojego domu. Prowadzenie w mieszkaniu jakichkolwiek ważnych rozmów z oczywistych względów nie wchodziło w grę. W parku panowały takie ciemności, że młodzi prawie nie widzieli swoich twarzy. Dawniej to miejsce oświetlały latarnie, ale jakiś czas temu ktoś, zdaje się, ukradł kable, a może jakieś części z transformatora, i od kilku miesięcy ten wielkomięski rezerwuar zieleni na noc zapadał się w mroczny niebyt. Chcąc nawiązać choćby namiastkę kontaktu, Jacek złapał Joannę za rękę, ona nie protestowała, a nawet dało jej to chwilowe poczucie bezpieczeństwa.

– Kiedy? – zadała pytanie w mrok.

– Jeszcze nie wiem dokładnie, ale lada dzień. – Jacek wydawał się bardzo spokojny.

– Zieliński będzie mnie chyba próbował jakoś ustawić. – Joanna przeszła do meritum. – A jedyny sposób to dobrać się do Piotrka.

– Czemu myślisz, że będzie cię próbował ustawić? – zdziwił się Jacek.

– Bo zorientował się, że wiem, i nie jest pewien, co z tą wiedzą zrobię,

a nie może sobie teraz pozwolić na jakiegokolwiek niewiadome. – W głosie Joanny nie było cienia wątpliwości. – Muszę go zabezpieczyć.

– Może się do was wprowadzę? – zaproponował Jacek.

– Po pierwsze, teraz nagle to byłoby dziwne, po drugie, za chwilę będzie się działo, a wtedy i tak nie będziesz siedział w domu z Piotrkim.

– Ojciec?

– Chyba tak, tylko on, może pod pozorem, że ma jakieś pogorszenie, nie chce być sam czy coś... – Joanna podłapała pomysł głównie dlatego, że sama wpadła na niego już wcześniej. – Ale kiedy to ma być?

– Za dwa dni. – Jacek wiedział, że nie czas już ani miejsce na to, żeby wypuszczać zasłony dymne. – W nocy z pojutra na popojutrze.

– Dobrze. – Joanna trochę się ucieszyła, bo wcześniej wydawało jej się, że to wszystko może potrwać jeszcze dłużej. – A dziś możesz z nami zostać?

– Dziś mogę z wami zostać bez problemu. – Odpowiedź Jacka nadeszła z mroku, a Joannie wydawało się, że usłyszała ją, jeszcze zanim skończyła zadawać pytanie.

Technik Marcin miał wiele uzdolnień, ale akurat kierowanie samochodem się do nich nie zaliczało. Odkąd od pół godziny jeździł za skodą superb Zielińskiego, już dwa razy prawie ją zgubił, a raz nieomal spowodował wypadek. Gdyby do niego doszło, kierowca skody z całą pewnością zauważyłby, że powinien się przyjrzeć autu, które od jakiegoś czasu co rusz pojawia mu się w którymś z lusterek. Do wypadku jednak nie doszło, a chwilę później skoda Zielińskiego zaparkowała przy krawężniku kilkadziesiąt metrów przed jadącym w fiacie dupło Marcinem. Technik zatrzymał swój samochód zaraz potem po drugiej stronie ulicy i wyciągnął z tylnego siedzenia mikrofon kierunkowy. Niestety, gdy po chwili udało mu się go odpowiednio ustawić i skalibrować, pomiędzy nim a skodą Zielińskiego pojawił się autobus, który, jak się okazało, miał tutaj pętlę. Traf chciał, że właśnie w tym momencie, kiedy Marcin likwidował swoje stanowisko, żeby szybko przejechać w inne miejsce, do samochodu Zielińskiego wsiadł Waldemar.

Waldemar z uśmiechem na ustach wyciągnął dłoń w geście powitalnym. Zieliński nie miał jednak w tym momencie czasu ani ochoty na jakiegokolwiek kurtuazje, a tym bardziej na wylewną serdeczność.

– Nie wiem, czego się mam teraz po niej spodziewać. – Zieliński był wyjątkowo rzeczowy. – Na wszelki wypadek porwiesz małego.

Waldemar nie spodziewał się chyba takiego dictum, bo w pierwszej chwili w ogóle nie zareagował, a w drugiej było już za późno, bo znów mówił Zieliński.

– Tylko mi tego nie zawal. – W wyrazie twarzy inspektora pojawiło się coś wyjątkowo paskudnego. – Nic innego na nią nie mamy.

Waldemar zrezygnował w ogóle z mówienia, pokiwał tylko głową. Robota, którą właśnie otrzymał, z wielu względów była dla niego bardzo trudna. Przez moment wahał się nawet, czy nie odmówić, ale wtedy przyszło mu do głowy, że koszty odmowy byłyby zbyt wysokie, i to nie tylko dla niego.

Przez długie lata komisarz Marek Kaszowski całkowicie wyzbył się uczucia strachu. Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że po doznanej stracie życia przestało mieć dla niego jakiegokolwiek sens. Początkowo, kiedy miał jeszcze trochę siły, bardzo chciał umrzeć. Niestety, a może na szczęście, jeśli spojrzeć z dzisiejszej perspektywy, nie potrafił sobie odebrać życia w jednorazowym samobójczym akcie, więc podjął mozolną drogę dookoła. W ciągu kilku miesięcy rozpił się tak, że gdyby nie Talak, który zawlókł go w ostatnim momencie na oddział psychiatryczny, prawdopodobnie w końcu osiągnąłby cel w postaci samounicestwienia. Droga dookoła, czyli za pośrednictwem alkoholu, miała tę zaletę, że mózg nie musiał podjąć świadomej i konkretnej decyzji o autodestrukcji, lecz przebiegała ona w zwolnionym tempie, które pomagało oszukać świadomość, i tak zresztą rzadko uczestniczącą w całym procesie. Po pierwszym okresie, w którym Marek próbował umrzeć, nastąpił kolejny, znacznie dłuższy, kiedy wszystko stało mu się absolutnie obojętne. Potem, gdy Talak wyciągnął go z zakładu,

w którym wcześniej go umieścił, gdy zaczął pracować i poznał Basię, jego obojętność zaczęła się ograniczać już tylko do własnego istnienia. Teraz zaś, dziś, tuż przed akcją, poczuł nagle, że również owo istnienie na powrót nabrało dla niego znaczenia. Po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat komisarz Marek Kaszowski poczuł coś na kształt lęku.

Z Jackiem początkowo mieli się spotkać gdzieś poza terenem komendy, Kaszowskiemu przyszło nawet do głowy, żeby raz jeszcze zabrać aspiranta do wesołego miasteczka, ale w końcu zrezygnował. Sprawa, o której chciał z nim porozmawiać tym razem, była zbyt ważna i zbyt osobistej natury. Spotkali się ostatecznie na dachu komendy, co było odrobinę niefortunne, bo lało akurat jak z cebra.

– Masz może papierosy? – Kaszowski zaczął od pytania zaskakującego bezsensownością, podświadomie przygotowując w ten sposób Jacka na mało standardowy przebieg rozmowy.

Gdzieś ponad ich głowami ryk turbin podchodzącego do lądowania odrzutowca przełamał jednostajny szum deszczu. Samolot było słychać, ale nie było go widać, bo chmury wisiały zbyt nisko.

– Ja nie palę – odparł Młody zaskoczony.

– No właśnie, ja w zasadzie też nie. – Kaszowski nie wiedząc czemu nagle przypomniał sobie, że bardzo dawno nie leciał samolotem. – Ładnie tu.

Młody rozejrzał się po ruderach znajdujących się pod nimi, teraz tonących dodatkowo w strugach spadającej z nieba szarości. Nie był pewien, czy z Kaszowskim dzieje się coś dziwnego, czy po prostu znów oplata go siatką swojego nieodłącznego sarkazmu.

– Chciałbym, żebyś też tam był – Kaszowski sprawiał wrażenie, jakby sam był zdziwiony tym, co powiedział.

– Też chciałbym tam być. Ale oni wiedzą, że mam nadzorować stąd, więc...

– Więc będziesz się musiał jakoś wymknąć. – W tonie Kaszowskiego zabrzmiała apodyktyczna determinacja.

– Dlaczego? – Młody wyraził tym pytaniem całe narastające w nim od

początku tej dziwnej rozmowy zdumienie.

– Bo ci ufam – odpowiedział komisarz po chwili namysłu.

– Miło mi – odparł spontanicznie Młody i od razu dotarło do niego, że nie była to najlepsza z możliwych odpowiedzi.

– Nie chodzi o to, żeby było miło – Kaszowski skarcił go lekko wzrokiem – tylko żeby się udało.

Młody pokiwał głową, po fiasku ostatniej wypowiedzi nie chciał ryzykować. Stali chwilę w milczeniu. Teraz obaj już żalowali, że żaden nie ma papierosów.

– Walendziak jest świetny i ma świetnych chłopaków. – Komisarz zaczął teraz z zupełnie innego pułapu, był rzeczowy i bardzo konkretny, mówił szybko. – Tylko że oni lubią działać, a tam będzie chodziło o to, żeby przynajmniej na początku nie działać. Jak im puszczą nerwy, to znowu skończymy z niczym. Chciałbym, żebyś to ty podjął decyzję, kiedy mają działać.

Kaszowski skończył. Obaj doskonale wiedzieli, że nie tylko o to chodzi.

– A kiedy mają działać? – Młody kontynuował jednak rozpoczęty wątek.

– Jak się pojawi Zieliński. – Kaszowski zerknął w stronę parkingu na dole, na który podjechał właśnie radiowóz na sygnale. – Jeśli chodzi o chronologię, to myślę, że najpierw mnie zwiną, a potem on wyskoczy skądś jak królik z kapelusza.

– A jeśli pojawi się jednak oficjalnie ze świtą z BSW... albo z jakimś ministrem? – Młodemu przyszło nagle do głowy, że to Zieliński ich wysteruje.

– Nie pojawi się oficjalnie, żeby skrócić ponad tonę narkotyków. A nawet gdyby, to nic nie będzie, ja pewnie stracę robotę i nic poza tym.

Młody wydawał się przekonany przynajmniej na tyle, żeby przejść do kolejnego etapu. Kaszowski jednak wcale jeszcze nie zamknął etapu poprzedniego.

– I jeszcze jedno... Gdyby coś wynikło, dokumenty znajdziesz pod wykładziną w moim samochodzie.

– Gdyby co wynikło? – Młody zapytał nie dlatego, że nie wiedział, o czym mówi Kaszowski, lecz dlatego, że bardzo go to zaniepokoiło.

Tamten tylko się uśmiechnął, po czym nagle ni stąd, ni zowąd wyciągnął rękę do aspiranta.

– A tak w ogóle to Marek jestem. – Z jego twarzy nie schodził uśmiech.

– Jacek. – Zaskoczony Młody odwzajemnił gest.

– Przecież wiem. – Odpowiedź przyszła szybko i towarzyszył jej nagle dziwnie poważny wyraz twarzy komisarza.

Jacek przez moment nie wiedział, o co chodzi, dopiero po chwili Kaszowski krótko się zaśmiał, po czym puścił dłoń Młodego i ruszył do stalowych drzwi prowadzących na klatkę schodową wewnątrz budynku. Deszcz tymczasem zelżał i z ulewnego przekształcił się w podobną do wodnej mgiełki mżawkę.

– Marek! – krzyknął Młody za oddalającym się kolegą.

Komisarz się odwrócił, a na jego twarzy odmalowało się pewne zdziwienie.

– Tak od razu?

– Weź może kamizelkę.

– A w życiu! – Kaszowski odwrócił się, kręcąc głową. – Nawet nie wiem, jak to się wkłada.

Szczęśliwie Joanna nie musiała ojca ani specjalnie namawiać, ani specjalnie mu tłumaczyć, dlaczego tak bardzo jej zależy, żeby zabrał Piotrka na kilka dni z Warszawy. Roman przejął się swoją misją na tyle, że nawet córce nie chciał początkowo zdradzić, dokąd pojedą, i powiedział jej to dopiero na kwadrans przed odjazdem. Okazało się, że panowie wybierali się na Mazury na działkę przyjaciela Romana, również emerytowanego policjanta, który zadekował się kilka lat wcześniej na lato w domu niedaleko Rucianego, po czym nigdy już nie wrócił do Warszawy.

Piotrek siedział na tylnym siedzeniu toyoty dziadka i spoglądał na nich przez uchylone okno. Na uszach miał słuchawki, które doskonale odcinały go

od dźwiękowej rzeczywistości. Tak się przynajmniej wydawało Romanowi i Joannie.

– A może jednak lepiej by było, gdyby został tu z tobą. – Ojca w ostatniej chwili dopadły wątpliwości.

– Nie, tato, najważniejsze, żeby go tu nie było i żeby był pod dobrą opieką. – Joanna za to miała niezłomną pewność. – Przynajmniej przez kilka dni, tu może się zrobić gorąco... za gorąco.

– A tobie nie będzie za gorąco, mamó? – Głos Piotrka dobiegł zza pleców.

Joanna odwróciła się zaskoczona i zła na siebie. Zależało jej nie tylko na tym, żeby uchronić małego przed zagrożeniem, ale też robiła w życiu wszystko, żeby nie musiał ocierać się o sprawy, które go przerastały. Widząc jednak powagę i skupienie na jego twarzy, zdała sobie nagle sprawę, że gdzieś jakby między jednym oddechem a drugim jej mały synek zaczął przeistaczać się w większego już nieco syna.

– Nie, ja jestem bardziej odporna na zmiany temperatur. – Podeszła do samochodu, włożyła rękę przez szparę w oknie i zmierzwiła Piotrkowi włosy. – Mój mały detektywie. No dobra, jedźcie, gdzie macie jechać, ja muszę do roboty, będziemy w kontakcie.

Kiedy podeszła do ojca, role się odwróciły, teraz to ona była większą już nieco córką.

– Uważaj. – Roman ściszył głos. – Nie pakuj się tam, gdzie dadzą radę bez ciebie.

Wsiadł do samochodu, odpalił silnik i ruszył. Joanna stała chwilę, po czym weszła do klatki schodowej. Gdyby została jeszcze kilka sekund dłużej, zauważyłaby, że chwilę później za samochodem Romana ruszył zielony van z zamaskowanymi tylnymi szybami.

Po półgodzinie Joanna była w komendzie. Już kiedy tam jechała, a tak naprawdę nawet od kilku dni przeczuwała, że ten dzień będzie jednym z ważniejszych w jej karierze policjantki. Nie pojmowała wprawdzie przesłanek tego przeczucia, ale wiedziała, że tak właśnie będzie.

Zamiast jak zwykle pójść od razu do siebie, tym razem Joanna zajrzała do sali ogólnej i kiedy z ulgą skonstatowała, że Jacek siedzi przy swoim biurku, podeszła bliżej.

– To dzisiaj? – zapytała bez namysłu.

Jacek podniósł głowę, wyraźnie zdeprymowany jej pytaniem. Rozejrzał się najpierw wokoło, następnie wstał, wciąż nic nie mówiąc, złapał ją pod ramię i wyprowadził z sali. Kiedy znaleźli się w holu, z którego w lewo wiodły drzwi do męskiej toalety, a w prawo do damskiej, spojrzał na nią pytająco. Joanna wskazała drzwi od męskiej i się uśmiechnęła. Z drzwi naprzeciwko wyszła akurat Monika i popatrzyła na nich z nieskrywaną zazdrością. W toalecie Jacek najpierw ustawił Joannę, której cała ta sytuacja coraz bardziej się podobała, pod ścianą między umywalkami, a sam sprawdził po kolei wszystkie kabiny. Joanna tymczasem z dużym zainteresowaniem przyglądała się pisuarom. Spośród pięciu trzy były zapakowane w czarne foliowe torby okryte sznurkiem.

– To jest jednak bardzo dziwne, powiem ci – odniosła się do pisuarów.

– Może. – Młody powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem. – Przyzwyczaiłem się. Co ty robisz?!

– Próbuję się czegoś dowiedzieć. – Joanna wciąż patrzyła na pisuary jak zaczarowana i Młody nie był pewien, czego właściwie dotyczył jej ostatni komentarz.

– Pod mikrofonami? – Młody dla pewności wskazał ręką drzwi prowadzące na korytarz.

– Mówiłeś, że tam nie ma.

– Wczoraj nie było, dzisiaj już mogą być – odparł ze złością.

– Skąd wiesz, że on jest czysty? – Joanna przeszła do tego, co nurtowało ją w tej chwili najbardziej.

– Bo go znam?

– A ja znam fakty. Byli z Zielińskim na jednej uczelni, znają się od przeszło ćwierć wieku...

Wpatrywała się w Jacka w nadziei, że już ta informacja potrząśnie nim

wystarczająco mocno, nic jednak na to nie wskazywało.

– Kaszowski organizował akcję, przy której zniknęło kilka kilo narkotyków – teraz Joanna już nie zamierzała się zatrzymywać – potem te same narkotyki zniknęły z depozytu w całości...

– Nie wiadomo nawet, kiedy te kilogramy zniknęły. – Jacek wydawało się dobrze przygotowany merytorycznie. – A depozyt? Od kilku miesięcy ten bandzior wmawiał ci, że to Kaszowski je ukradł, i w końcu mu uwierzyłaś.

– W końcu przestałam mu wierzyć.

– To doskonale. I...? – Jacek zawiesił głos w oczekiwaniu na puentę, którą Joanna zapewne trzymała w zanadrzu.

– Kiedy śledziłam Kuziębę... – Było jej głupio, że nie podzieliła się tym odkryciem z Jackiem już wtedy. – Oni się spotkali.

– Kto?

– Kuzięba i Kaszowski. Wiedziałaś, że się spotykają?

Jacek nic nie odpowiadał. Ta informacja wytrąciła go trochę z równowagi.

– Nie. Ale teraz będę musiał z tym jakoś żyć.

Joanna właściwie od razu zaczęła żałować, że powiedziała Jackowi to, co powiedziała, bo tak naprawdę teraz ta informacja niewiele już mogła zmienić, a mogła za to podkopać jego zaufanie do Kaszowskiego.

– Kiedy to się ma wydarzyć? – spytała, zła na siebie.

– Nad ranem.

– A gdzie?

O ile wcześniej Młody może i byłby skłonny sprzeniewierzyć się poleceniom Kaszowskiego i podzielić się z Joanną tą informacją, teraz nic już nie mogło go do tego zmusić. Joanna też to wiedziała i była zła na siebie w dwójnasób.

– Dlaczego? – cisnęła bez nadziei na sukces.

– Bo tam może być ciężko. – Jacek spojrzał na nią już teraz bez chłodu sprzed chwili. – A ty masz synka.

Zobaczyła światełko w tunelu i chciała jeszcze spróbować, ale w tym

momencie do toalety wszedł technik Marcin, który spieszył się tak bardzo, że natychmiast chciał wyjść.

– Dawaj, dawaj – ośmielił go Jacek. – I tak już kończyliśmy.

– Kończyliście? – upewnił się Marcin, który starał się nawet nie patrzeć teraz w ich stronę. – A. To okej.

Oni ruszyli do wyjścia, a Marcin do pisuaru. Kiedy się mijali, zerknął na nich, Joanna się uśmiechnęła, a on natychmiast uciekł wzrokiem. Marcin cichaczem trochę podkochał się w Joannie, ale podkochał się też w Monice i jeszcze wielu innych koleżankach z komendy. Ogólnie był klasycznym przykładem introwertycznego specjalisty od komputerów, któremu całkiem nierzadko rzeczywistość wirtualna nakładała się przynajmniej w pewnych obszarach na tę rzeczywistą. Kobiety znajdowały się gdzieś na granicy pomiędzy tymi dwiema rzeczywistościami i tylko wyjątkowa w swej wrażliwości przedstawicielka płci przeciwnej miała szansę kiedyś przeciągnąć Marcina na stronę realnej empirii.

Łańcuch zjawił się na tarasie biurowca kilka minut przed czasem. Normalnie nie miał takiego zwyczaju, raczej zdarzało mu się spóźniać, ale dziś był tak spięty i podenerwowany, że już od rana nie mógł sobie znaleźć miejsca. Cyniczny i chłodny w obyciu Zieliński w normalnych warunkach go raczej deprymował, ale dziś, o dziwo, ten chłodny i zapewne częściowo wystudiowany spokój wpłynął na niego kojąco. Panowie rozmawiali już chwilę, spotkanie miało się ku końcowi. Zieliński mimo wczesnej pory popijał koniak, grzejąc kieliszek w dłoni, i palił cygaro. Łańcucha nie poczęstował ani jednym, ani drugim, co tamtemu w zasadzie nie przeszkadzało, bo nie gustował ani we VSOP, ani w czarnym tytoniu.

– No dobra – zaczął Zieliński tonem podsumowującym. – Wszystko masz przygotowane?

– Tak. – Łańcuch wyjął papierosa ze zmiętolonej paczki. – Do dragunowa robię swoją amunicję, pewniejszą, większy ładunek prochowy, celność...

– Nie nudź. – Zieliński pyknął cygaro, powąchał parujący z kieliszka alkohol i dodał polubownie: – Ważne, żeby działało.

– Będzie działało. – Łańcuch zaciągnął się papierosem i pomyślał, że po tej akcji będzie musiał koniecznie wyzwolić się spod wpływu tego człowieka

W tym samym czasie w całkiem nieodległym rejonie miasta, ale w zgoła innych warunkach po parkowych alejkach Ogrodu Botanicznego z lodami w rękach spacerowali Marek Kaszowski i Basia Batke. Co ciekawe, bodaj po raz pierwszy od początku ich kilkuletniej znajomości inicjatorem takiej formy wspólnej aktywności był komisarz. Basia doskonale wiedziała, że kroi się jakaś poważna i niestandardowa akcja, ale zgodnie z przyjętym rytuałem ich relacji nie dopytywała ani Marka, ani tym bardziej nikogo z jego otoczenia o jakiegokolwiek szczegóły. Kiedy zjedli lody, Kaszowski wytarł ręce w chusteczkę i wyciągnął w stronę Basi otwartą dłoń.

– Daj telefon. – Bardziej zażądał, niż poprosił.

Doktor Batke pogmerała chwilę w torebce, w końcu spomiędzy szminek, pudrów, kluczy, kluczyków i dziesiątków innych rzeczy, których przeznaczenia nikt nie znał, wyciągnęła komórkę i podała ją Markowi. Ten jednym ruchem otworzył tylną klapkę i wyciągnął z aparatu baterię, po czym wszystkie części schował do drugiej kieszeni prochowca.

– Nie bój się, potem ci złożę. – Uśmiechnął się, widząc nieme zaskoczenie na twarzy Basi. – Prowadzimy operację. Tajną operację.

– No co ty? – Wstęp Marka trochę Basię rozbawił, ale po chwili spoważniała. – Kiedy?

– Dziś w nocy. – Marek też już się nie uśmiechał. – Działam pod przykrywką, sam na sam z pięcioma bandziorami.

– Jak długo? – Basia nie chciała już ukrywać niepokoju. – Jak długo będziesz sam?

– Kilka godzin, potem dołączą nasi. – Marek zastanawiał się, czym mógłby rozbroić jej strach. – Poza tym oni będą z pistoletami na wodę.

Basia popatrzyła na niego pytająco.

– Amunicja bez spłonek. – Kaszowski się uśmiechnął, próbując nadać swoim słowom dodatkowej pewności. – My dostarczamy.

– Myślisz, że tacy chłopcy nie będą mieć swojej gdzieś w zanadrzu? – Basia nie wydawała się ani trochę uspokojona.

Przeszli kilka kroków w milczeniu. Ona myślała o tym, że po raz pierwszy od wielu lat czuje taki niepokój o inną osobę, on po raz pierwszy od wielu lat czuł, że choćby ze względu na nią bardzo nie chciałby, żeby stało się coś złego.

– Już nad ranem powinno być po wszystkim. – Kaszowski dokończył myśli ich obojga.

Stanęli. Chwilę wpatrywali się w siebie, po czym Marek przyciągnął Basię delikatnym, ale stanowczym ruchem. Nie opierała się, czuła jego, a on czuł ją. Ich usta zetknęły się w delikatnym pocałunku.

– Może kamizelkę chociaż byś włożył. – Podesunęła, choć wiedziała, że w tej kwestii raczej nie ma na co liczyć.

Marek pokręcił głową i pocałował ją raz jeszcze.

Piętnaście minut później, kiedy rozstawali się na parkingu przy Myśliwieckiej, wszystko odbywało się już właściwie bez słów. On odprowadził ją do samochodu, po czym ruszył w kierunku swojego. Ona przyglądała się jego przygarbionym plecóm i nagle dotarło do niej, że może złamać tę dziwną, mroczną siłę fatum, która zdawała się powoli przejmować kontrolę nad sytuacją.

– Komisarzu!!! – wypaliła nagle, choć umówili się, że nie będą już więcej rozmawiać.

Marek się odwrócił i wbrew jej oczekiwaniu wcale nie był zły, czekał.

– A gdzie nad morze?! – Basia nie była teraz smutna ani sztucznie wesoła, była normalna, ale była też z niej jakaś wielka siła przekonania, że jej będzie na wierzchu.

– Do Jastrzębiej? – Marek zobaczył w jej spojrzeniu tę siłę i przekonanie, i było to dla niego bardzo ważne.

Ona pokiwała głową po chwili markowanego namysłu. W Jastrzębiej byli ze sobą kiedyś po raz pierwszy. Kiedyś, ale kiedy to było? Ile lat? Pani doktor przez moment próbowała sobie przypomnieć, ale po chwili uznała, że

to właściwie bez znaczenia, większe znaczenie miało teraz to, że będą tam znowu.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Taka myśl towarzyszyła Młodemu, gdy wykladał na stół kolejne magazynki z amunicją, jednocześnie odnotowując mało życzliwe spojrzenia mężczyzn stojących wokoło. Na zbiórkę w mieszkaniu Łańcucha, które, jak sprawdzili już tydzień temu z Kaszowskim, tak naprawdę zarejestrowane było na jedną z kochanek Kuzięby, wszyscy stawili się o czasie i wszyscy mieli dokładnie taki sam wyraz twarzy jak wtedy, gdy spotkali się tu po raz pierwszy. Patrząc na nich, Młody zastanawiał się przez moment, czy oni w ogóle zdają sobie sprawę z tego, w czym biorą udział, czy może przez lata doświadczeń w skrajnie napiętych sytuacjach wyrobili sobie swoistą umiejętność bycia wyłącznie tu i teraz, bez pamiętania do tyłu i wybiegania do przodu. Z drugiej strony wszyscy oni potrafili z całą pewnością realizować nawet mocno skomplikowane plany. Może więc funkcjonowała tu swoista dychotomia, gdzieś z tyłu głowy była całość obrazka, ale do świadomości przedostawało się jedynie to, co w danym momencie niezbędne. Tak czy owak, Jacek uważał to za fascynujące, a jeszcze bardziej fascynowało go, że identycznie zachowywał się i wyglądał Kaszowski. Może zresztą on sam wykładający teraz całe to żelastwo z toreb też wyglądał podobnie, skoro nikt właściwie nie zwracał na niego uwagi.

– Do każdego raka macie po cztery magazynki. – Młody skończył wykladać i przeszedł do omówienia. – Plus to, co już jest zapięte na broni. Dalej dla każdego jest krótka beretta i tu też po pięć magazynków.

– Jakby się zakotłowało, to może nie starczyć. – Łańcuch jako jedyny zdradzał zdenerwowanie.

– Nic się nie zakotłuje. – Kaszowski natomiast mówił wolno i bardzo stanowczo. – Jak wjedziemy, będą tak zamuleni, że nie zdążą się połapać, co i jak.

– Wiemy już, że jest ich sześciu. – Młody zerknął na Łańcucha, który potwierdził jego słowa skinieniem głowy. – Narkotyki mają już

przeładowane z tira do dostawczaków, jak ich ogarniecie, to wsiadacie do dostawczaków i ustalonymi drogami przemieszczacie się do wsi Malinki. Wszyscy byli, wszyscy wiedzą?

Młody zerknął na zebranych, kilku pokiwało głowami, reszta oszczędzała siły.

– Tam czekają już nasze samochody – kontynuował. – Przeładowujecie, w lesie, w ustalonym miejscu palimy tamte furgonetki, a naszymi przemieszczacie się do dziupli w Zielonce. Pytania?

– A jak coś pójdzie nie tak? – Do rozmowy włączył się nagle Jeleń, który do tej pory sprawiał wrażenie, jakby drzemał, stojąc.

– Nic nie pójdzie nie tak, jak coś pójdzie inaczej, to tutaj – Kaszowski wskazał miejsce na mapie oddalone kilka kilometrów od zakreślonej w kółku wsi Osuchy – jest punkt zborny. Tylko żeby mi ktoś nie przywłókł ogona.

– No, to by było chyba na tyle. – Młody przeszedł do podsumowania. – Jutro rano, jak rozumiem, wszyscy będziemy raczej zamożni.

Ta ostatnia wypowiedziana na uśmiechu kwestia Młodego przeleciała przez obecnych na przestrzał może właśnie dlatego, że jutro dla ludzi planujących nie dalej niż trzy oddechy do przodu stanowiło kompletną abstrakcję.

Po odprawie Młody podał rękę po kolei wszystkim zbirom tylko po to, żeby móc na końcu ścisnąć nieco mocniej rękę Kaszowskiemu. Mężczyźni przez niezauważalny ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Potem zaczęli pakować broń do przygotowanych zawczasu toreb przeznaczonych zasadniczo do podróży zamorskich, a Młody oddalił się w ich przekonaniu do swoich obowiązków.

Tak naprawdę nie pojechał jednak do swoich obowiązków, tylko do Joanny. Samochód zaparkował przy wjeździe na osiedle, skąd do jej bloku miał jeszcze co najmniej dwieście metrów. Odległość tę pokonał prawie biegiem, zatrzymał się dopiero za samochodami stojącymi na wewnętrznym parkingu osiedlowym. Zgodnie z jego oczekiwaniami pod blokiem w zaparkowanym aucie siedziało dwóch mężczyzn, którzy dusili się w kłębach tytoniowego dymu, bo z bliżej nieokreślonego powodu żadnemu

z nich nie przyszło do głowy, żeby uchylić szybę. Jacek obszedł blok od drugiej strony i za pomocą piorunochronu dostał się do okna od klatki na półpiętrze.

Kiedy Joanna zobaczyła przez wizjer, że pod drzwiami stoi aspirant Czerwiński, najpierw poszła do łazienki, odkręciła wodę w wannie i w umywalce, następnie zostawiła drzwi od łazienki otwarte i dopiero wtedy bardzo cicho otworzyła drzwi na klatkę. Od razu pociągnęła go w stronę łazienki i zamknęła drzwi.

– Jesteśmy sami? – Jacek szeptał, choć dźwięk lejącej się wody całkowicie zagłuszał w tej chwili ich rozmowę.

Joanna skinęła głową.

– Piotrek? – Choć Młody domyślał się, że Joanna wyekspediowała syna, przyjechał tu głównie dlatego, żeby się upewnić, czy chłopiec jest bezpieczny. – Pojechali?

– Gdzie to będzie? – Joanna raz jeszcze kiwnęła głową i ponowiła pytanie, które zadała już wcześniej.

– Wykąpię się. – Młody był nieugięty. – Nie wiem dlaczego, ale mam cholerną potrzebę, żeby się wykapać.

– Dam ci ręcznik. – Joanna się uśmiechnęła.

Młody podał jej kurtkę, a ona ją odniosła i po chwili wróciła do łazienki. Przez chwilę przyglądała się jego umięśnionemu ciału. On stał i nie sprawiał wrażenia skrępowanego.

– A jak wrócę? – W pytaniu Jacka była ładnie opakowana propozycja.

– Wróc. – Joanna kiwnęła głową i wyszła z łazienki.

Kiedy się kąpał, wyjęła jego telefon i pod baterię włożyła płaski guziczek, który – wykorzystując słabość, jaką miał do niej technik Marcin – wydębiła kilka godzin wcześniej wraz z instrukcją obsługi autorskiego programu, służącego do śledzenia satelitarnego małych guziczków zamontowanych pod bateriami telefonów.

Jacek opuścił blok tą samą drogą, którą wcześniej się do niego dostał. Tym razem nie wracał już jednak do swojego samochodu, tylko wszedł do auta,

którym prawie pod samo okno od klatki podjechał nie kto inny, jak technik Marcin. Joanna obserwowała z okna jego ewakuację, żeby wykorzystać tę drogę mniej więcej pół godziny później. Panowie umyślni spędzili tymczasem pod blokiem całą noc kompletnie nieświadomi tego, jak wiele się wydarzyło w czasie, kiedy oni wypalili zaledwie jedną paczkę papierosów na spółkę.

Ciemny van wyładowany ludźmi i sprzętem znajdował się mniej więcej w połowie drogi między Warszawą a wsią Osuchy. We wnętrzu panował półmrok rozświetlany chwilami przez nadjeżdżające z przeciwka samochody i cisza przerywana tylko przez wzmagające się momentami chrapanie jednego z pasażerów. Siedzący na tylnej kanapie Kaszowski zerknął na zegarek w telefonie. Dochodziła druga w nocy.

– Daleko jeszcze? – spytał Łańcucha.

– Pół godziny, góra czterdzieści pięć minut – odpowiedział natychmiast bandzior znad kierownicy.

– A co ty taki nerwowy dzisiaj?

– E tam, nerwowy od razu... Jest akcja, to trochę inaczej się funkcjonuje.

– Czy ja wiem... – Kaszowski zerknął na śpiącego obok niego Papugę. – Koledzy raczej śpią.

– Chcesz, żebym zasnął?

Kaszowski zaśmiał się krótko i wrócił do rozmyślań. Myślał o Agnieszce i Ewie, bo dotarło do niego właśnie chwilę wcześniej, że jedzie do wsi Osuchy dokończyć coś, co rozpoczął dwadzieścia kilka lat temu i co przerwała mu ich tragiczna śmierć. Zdziwiło go nawet trochę, że wcześniej o tym nie pomyślał, dopiero teraz, jadąc z posępnymi zbirami przez mroki nocy, uświadomił sobie, że niedługo zamknie pewien rozdział w swoim życiu. Nagle samochód gwałtownie zahamował, Kaszowski spojrzął przez przednią szybę i zobaczył majestatycznie krocącego środkiem szosy ogromnego łośia. Zwierz przeszedł na drugą stronę, a sekundę później oni, ślizgając się na zablokowanych kołach, przecięli to samo miejsce.

– Co to było?! – Łańcuch zatrzymał samochód na poboczu. – Omen?!

– Nie, łoś – odezwał się siedzący obok Papuga, którego incydent wyrwał z głębokiego snu.

– To na pewno miało coś znaczyć. – Łańcuch upierał się przy swoim.

– Jaki ty uduchowiony jesteś – rzucił jeszcze Papuga i złożył się z powrotem do snu. – Jedź, bo się spóźnisz.

Łańcuch odstał kilkanaście sekund, ciężko oddychając, w końcu ruszył. Kaszowski popatrzył na śpiących.

– No dobrze, panowie! – zaczął. – Wstajemy.

Z tyłu dały się słyszeć pomruki niezadowolenia.

– Wszyscy mnie słyszą?! – zapytał retorycznie Kaszowski. – Powtarzam po kolei. Do rozwidlenia idziemy razem, potem się rozchodzimy. Jak wszyscy dotrą na swoje pozycje, zgłaszacie gotowość. Ruszacie tylko na mój rozkaz, grupa ze mną wchodzi do stodoły, druga do domu, Łańcuch z Jeleniem idą na górkę. Jak opanujemy sytuację, wyjdę przed stodołę i dam znać, pakujemy to, czego oni nie spakowali do aut. Jak skończymy, Łańcuch z Jeleniem schodzą z pozycji i spadamy.

Kaszowski umilkł. Siedzący obok niego Papuga wciąż drzemał. Komisarz szturchnął go łokciem w bok.

– No co? – spytał bandzior sennie.

– Powtórzysz?

– Mogę. – Z mroku auta spoglądały na Kaszowskiego zacięte ciemne oczy.

– Ale po co?

Przed ogromnym ekranem LCD drzemał w fotelu mężczyzna w siatkowym podkoszulku, w wieku trudnym do określenia. Opuchniętą twarz miał ogorzałą od słońca, ostrego powietrza i wódki. Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, mężczyzna przebudził się nieomal natychmiast. Przez chwilę próbował zrozumieć, co się dzieje. Do połowy wypita butelka i serial dudniący z ogromnego telewizora pomogły mu po kilku sekundach osadzić się w czasie i przestrzeni.

– Zośka, ktoś pukał?! – powiedział ni to do siebie, ni to do odbiornika.

Pukanie do drzwi powtórzyło się, tym razem było jednak zdecydowanie silniejsze. Gdy mężczyzna uniósł się na rękach, dotarło do niego, że wstać mógłby jedynie za pomocą nadludzkiego wysiłku woli.

– Słyszę chyba, nie? – Z głębi domu odezwał się niemłody żeński głos.

Kobieta podeszła do drzwi, przez chwilę nasłuchiwała.

– Chodź no, ty otwórz. – Podeszła do mężczyzny. Z sieni do salonu było zaledwie kilka kroków. – Idź no, pukają.

– Kto?

Kobieta popatrzyła na niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Pukanie przeszło w łomot.

– No idź, no żeż. – Kobieta złapała mężczyznę za ramię, żeby pomóc mu się podnieść z zabarżonego fotela.

– Zostaw! – Chłop strząsnął jej rękę, po czym zrobił to, do czego musiał użyć nadludzkiego wysiłku woli: wstał.

Kiedy z siekierą, którą znalazł po drodze, podszedł do drzwi i je uchylił, zobaczył przed sobą mężczyznę bez twarzy i bez ciała. Ubrany w czarne moro i czarną kominiarkę komisarz Walendziak w ciemności nocy był widoczny wyłącznie jako oczy i ich obramowanie. Dodatkowo Walendziak był wyższy od mężczyzny o jakieś trzydzieści centymetrów, przez co owe oczy z obramowaniem znajdowały się wysoko ponad jego zadartą głowę. Mężczyzna zobaczył zjawę, ale nie przejął się tym przesadnie. Widział już w życiu, szczególnie w momentach po odstawieniu alkoholu, rzeczy znacznie bardziej przerażające.

– Co jest?! – zapytał rutynowo.

– Nic – odpowiedziały oczy, po czym komisarz podniósł dłoń i przyłożył palec do miejsca poniżej poziomu oczu. – Tylko ciiii...

Mężczyzna w podkoszulku, wełnianych spodniach i w gumofilcach, których przeważnie nie zdejmował na noc, kiwnął głową; nie miał w zwyczaju prowadzić polemik ze zjawami. Walendziak odepchnął go lekko w bok i wszedł do wnętrza chaty, za nim zaś sześć czarnych zjaw w hełmach

z dziwnymi lunetami przyczepionymi od góry oraz z krótką bronią palną w dłoniach osłoniętych także czarnymi rękawiczkami. Mężczyźni ruszyli w głąb chaty, jeden z nich zawadził o jakieś stojące w salonie wiadro, zrobiło się na moment trochę głośniej. Żona mężczyzny, która na koszulę nocną zdążyła już włożyć podomkę, przyglądała się czarnym z niedowierzaniem i z kompletnym brakiem pomysłu na to, o co właściwie może chodzić.

– Musimy kilka godzin u państwa posiedzieć. – Walendziak podwinął przód czarnej kominiarki. – Mamy papiery.

– Ale jak posiedzieć? – Przyglądając się przystojnej twarzy ogromnego mężczyzny pokrytej dwudniowym zarostem, kobieta pomyślała, że może jednak jej życie mogło się kiedyś potoczyć nieco inaczej. – Jakie papiery? A wy to kto?

Walendziak spojrzął na telewizor – w przebiegu serialu emitowanego w tym momencie akcja wyraźnie się zdynamiczowała i na ekranie pojawili się mężczyźni ubrani podobnie jak oni, kobieta też zerknęła w stronę ekranu, ale niestety to, co zobaczyła tam, w połączeniu z tym, co widziała tu, nie wystarczyło. Walendziak spokojnie wskazał na plecy jednego ze swoich podwładnych, który stał najbliżej niego. Widniał na nich duży biały napis: „Policja”.

– Policja... – powiedział Walendziak, a po chwili rozbudował jeszcze swoją wypowiedź. – Jesteśmy z policji. Komisarz Marian Walendziak.

Szarmancko ucałował dłoń wciąż oniemiałej pod naporem wydarzeń, a bardziej jeszcze jego prezencji kobiety.

W zupełnie innym miejscu w tym samym dokładnie momencie siedząca w pogrążonej w ciemności kuchni swojego mieszkania Basia Batke zerknęła na zegarek; było w pół do trzeciej nad ranem. Pani doktor wstała od stołu, podeszła do kontuaru i włączyła czajnik. Myślała o Marku i nagle opanowało ją dziwne przekonanie, że nawet gdyby zachciało jej się spać, to nie może sobie na to pozwolić, musi czuwać do momentu, aż zadzwoni telefon. Kiedy wystawiała z szafki słoik z kawą, przemknęło jej wprawdzie przez głowę, że zachowuje się i myśli najzupełniej irracjonalnie, ale z drugiej strony – jakie

to miało w tej chwili znaczenie.

Samochód, którym podróżował Kaszowski z Łańcuchem i chłopakami od Kuzięby, zatrzymał się na pokrytej rosą leśnej polanie. Jako pierwszy ze środka wysiadł Kaszowski. Rozejrzał się, czerni nieba nad lasem zaczynała wypełniać się od dołu granatem. Świtało. Kaszowski odwrócił się w stronę samochodu, z którego powoli wysiadali objuczeni żelastwem mroczni faceci. Nagle komisarz dostrzegł coś kątem oka i szybko obrócił się w stronę oświetlonej snopami wciąż palących się w samochodzie halogenów łąki. W oddali zobaczył kobietę i trzymającą się kurczowo jej ręki na oko ośmioletnią dziewczynkę. Na chwilę zamarł w bezruchu, kobiety stały i patrzyły na niego, a on patrzył na nie.

– Coś nie tak, komisarzu? – zaniepokoił się Łańcuch.

– Nic. – Kaszowski obrócił się w stronę furgonetki. – Wyłącz już te cholerne światła!

– Wpół do trzeciej. – Łańcuch podzielił się cenną informacją.

– Ruszamy. – Kaszowski poszedł przodem drogą wiodącą w głąb lasu.

Tamci powoli podążyli za nim, stawkę zamykał Łańcuch ze swoim długim prawie na metr karabinem snajperskim dragunowem.

W wiejskiej chacie, w której rozlokowała się część zasadnicza drużyny antyterrorystów Walendziaka, niewiele się zmieniło. Chłop wrócił na swój fotel i zapadł w przerywaną gwałtownymi chrapnięciami alkoholową drzemkę. Stojąca przed nim butelka była już teraz pusta, a jej zawartość krążyła w krwiobiegu, zapewniając mu przynajmniej na kolejne kilka godzin spokojny sen. Część antyterrorystów w podwiniętych na czoło kominiarkach siedziała na dostępnych tu meblach, inni spoczęli na podłodze, podpierając się plecami o ściany. Żona chłopaka krążyła między nimi, proponując herbatę. Przy oknie ciemnej izby, w której dla bezpieczeństwa wcześniej Walendziak nakazał wyłączyć też telewizor, ukryty za firaną stał jeden z antyterrorystów i lustrował teren przez lunetę noktowizora.

– No i co? – Walendziak stanął za jego plecami.

– Na razie nikogo. – Obserwator odsunął na chwilę lunetę od oka.

Walendziak podszedł do okna i przycisnął nadajnik w przyczepionej do kamizelki krótkofalówce.

– Jedyńka, zgłoś gotowość – powiedział cicho.

– Jedyńka, jest gotowość – odezwał się po chwili lekko zakłócony głos z radia.

– Dwójka?

– Gotowi. – Teraz odpowiedź nadeszła jeszcze szybciej.

Kaszowski doszedł do rozwidlenia drogi. Stał tu krzyż, na którym wisiał Chrystus. Komisarz przystanął i popatrzył na krzyż pół sekundy dłużej, niż zrobiłby to kiedy indziej. Z tyłu jeden za drugim dołączyli doń kolejni członkowie grupy. Powoli dniało. Komisarz mógł już teraz rozróżnić poszczególne twarze. Poznał ich z wyjątkiem Łańcucha zaledwie kilka dni temu i teraz złapał się na tym, że właściwie wszystkich ich na swój sposób polubił. Zrobiło mu się trochę głupio, poczuł nawet rodzaj żalu.

– Wszyscy wiedzą, co robić? – zapytał, kiedy do grupy dołączył zamykający pochód Łańcuch.

Kilku pokiwało głowami.

– Rozchodzimy się na pozycje. Za dwadzieścia minut rozjaśni się na tyle, że będziemy mogli zaczynać. Czekacie na mój sygnał i ruszamy z koksem.

– Po koks! – Łańcuch wbił z żartem, który nikogo nie rozbawił.

Kaszowski bezwiednie pokiwał głową. Myślami był w innym momencie tej historii. Stał po raz nie wiedzieć który w swoim życiu przy leżącej na dachu granadzie, z której buchała para i dym. Było ciemniej nawet niż teraz, więc znów nie mógł w swoim wspomnieniu dojrzeć, jakiego koloru jest samochód. Kiedy otrzepał się ze wspomnienia, znajdowali się już kilkanaście metrów dalej, pomiędzy drzewami majaczyły pobielane budynki obejścia. Chwilę później grupa rozdzieliła się bez słowa na dwie mniejsze. Łańcuch z Jeleniem ruszyli na nieodległe wzniesienie, Kaszowski z resztą w głąb obejścia.

W chacie, w której sytuacja pozostawała bez zmian, obserwator dokładnie w tym samym momencie zauważył wyłaniające się spomiędzy drzew postaci.

– Są! – zgłosił, nie zaprzestając obserwacji.

Walendziak podszedł do okna; było już na tyle jasno, że zamiast noktowizora przyłożył do oczu lornetkę. Kiedy zobaczył szóstkę ludzi z Kaszowskim na czele, nacisnął znów guzik radia.

– Uwaga, wchodzą – powiedział. – Uwaga wchodzą. Bez odbioru. Czekać na rozkaz.

W tym momencie ktoś cicho zapukał do drzwi za jego plecami. Walendziak obrócił się do stojącego za nim zwalistego antyterrorysty, który jak na komendę ruszył do wejścia. Po chwili obok Walendziaka stał zdyszany Młody, dalej w głębi domu obok kuchni ulokował się technik Marcin, który wyglądał na tle czarnych gigantów z AT, jakby był członkiem jakiegoś innego plemienia, przedstawicielem innej rasy.

– I jak? – zapytał Czerwiński nerwowo.

– Dobrze. – Walendziak podał mu lornetkę. – Właśnie się pojawili.

– A Zieliński? – Młody zobaczył w okularach lornetki idącego przodem Kaszowskiego.

– Na razie oprócz tych podchodzących – odezwał się obserwator – nie mam nikogo w polu widzenia.

Łańcuch przycupnął przy kępie krzaków na wzgórzu. W dole widział podchodzących z jednej strony Kaszowskiego z Papugą i Komandosem, z drugiej Strupa z pozostałymi. Zostało mu niewiele czasu, więc szybkim ruchem ściągnął magazynek z dragunowa, jeden po drugim wypchnął z niego naboje i włożył je do kieszeni kurtki. Z drugiej kieszeni wyciągnął naboje podobne, a jednak różniące się nieco od tamtych kolorem łusek i pocisków, te ostatnie miały też nieco bardziej wyoblone czubki. Łańcuch włożył je do magazynka i zapiął go z powrotem na karabin. Teraz dopiero rozstawił trójnóg, zamontował na nim broń, sam ułożył się w pozycji strzeleckiej i spojrzał przez lunetę na to, co działo się w dole.

Tymczasem Kaszowski z Papugą i Komandosem zatrzymali się kilkanaście metrów od wejścia do stodoły. Druga grupa zbliżała się już do zamykającego podwórze od przeciwnej strony budynku mieszkalnego.

– Jestem na pozycji. – W uchu Kaszowskiego odezwał się głos Łańcucha.

Grupa pod stodołą zajęła też już swoje pozycje i Strup zgłosił gotowość uniesieniem ręki. Kaszowski odczekał jeszcze chwilę.

– No dobra. – Obejrzał się na stojących za nim Papugę i Komandosa, przycisnął nadajnik radia i jednocześnie podniósł rękę w górę. – Ruszamy.

Jego ręka opadła w dół, Strup ze swoimi zaczął powoli zbliżać się do wejścia, on sam ruszył po kilku sekundach, Papuga i Komandos podążyli za nim.

W izbie z chłopem i jego żoną wszyscy byli już na powrót w pełnej gotowości, Młody i Walendziak sytuację obserwowali przez lornetki.

– Ruszyli – odezwał się dowódca antyterrorystów.

– Broń tylko w ostateczności, działają jak najciszej, potem zostają na miejscach i czekają na mój rozkaz – mówił Młody szybko.

Walendziak kiwnął głową.

– Przekaż. – Jacek przerwał lustrowanie sytuacji przez lornetkę i spojrzał na Walendziaka.

Ten łypnął na niego i bez przekonania złapał krótkofalówkę.

– Bez strzelania, cicho i potem czekacie na rozkaz – podyktował.

Kaszowski z Papugą i Komandosem podeszli pod drzwi domu. Papuga spojrzał pytająco na komisarza, ten rozejrzał się raz jeszcze, po czym kiwnął głową. Papuga rozpędził się i potężnym kopnięciem wywalił drzwi. Cała trójka wpadła do środka. W pierwszej z brzegu izbie nie było nikogo, ani niczego, na podłodze wały się tylko jakieś butelki i szmaty. Papuga spojrzał zaniepokojony na Kaszowskiego, coś najwyraźniej go tknęło, bo już chciał się obrócić i wyskoczyć z budynku, ale nie zdążył, bo w tym momencie

z dwóch pozostałych izb wypadło czterech ubranych na czarno antyterrorystów. Pierwszy z nich uderzył Papugę kolbą karabinu prosto w twarz, pozbawiając go tym samym przytomności. W tym momencie Komandos obrócił się, nacisnął spust raka i usłyszał tylko ciche kliknięcie, po którym ku jego zaskoczeniu nic się nie wydarzyło. Tymczasem, korzystając z jego dezorientacji opadło go dwóch czarnych, z których jeden natychmiast przykrył mu dłonią usta, a drugi kopniakiem pod kolana powalił go na ziemię, następnie obaj docisnęli go twarzą do podłogi. Kiedy jeden z nich wsadził w usta leżących na podłodze szmaty, a drugi plastikowymi zaciskami spętał ręce i nogi, akcja w budynku mieszkalnym dobiegła końca. Po chwili Kaszowski ujął w rękę radio, którego używał do komunikacji z bandytami.

– Sytuacja pod kontrolą, za chwilę wychodzę – zważywszy na okoliczności, komisarz wydawał się niezwykle spokojny.

– Zrozumiałem – odezwał się głos Łańcucha.

Komisarz odczekał chwilę. Miał świadomość, że nadszedł najbardziej newralgiczny moment operacji. Na razie, choć wszystko przebiegało według planu, tak naprawdę nie mieli jeszcze nic, bo złapanie tych kilku płotek od Kuzięby i zwiniecie Łańcucha było jedynie ubocznym zyskiem całej operacji, której celem głównym był Zieliński.

– Zgłoś im, że wszystko gra – zwrócił się Kaszowski do jednego z antyterrorystów.

– U nas posprzątane. – Mężczyzna w czerni zasapał do radia.

– Dwójka też już zamiotła – odpowiedział im z radia głos Walendziaka. –
Czekamy.

Kaszowski wyciągnął rękę po radio.

– Pojawił się? – rzucił w eter komisarz.

– Na razie nie. – Po drugiej stronie usłyszeli teraz Czerwińskiego. –
Chociaż...

Przez pełną napięcia chwilę nic się nie działo.

– Podjechał samochód. – W radiu ponownie odezwał się głos Młodego.

Kaszowski podszedł z boku do okna. Na podwórzu powoli wtoczyła się

czarna skoda superb, po chwili otworzyły się tylne drzwi i wysiadł Zieliński.

– Wychodzę – powiedział Kaszowski do radia, którego używał do komunikowania się z Łańcuchem i pozostałymi, przy czym wszyscy z wyjątkiem właśnie Łańcucha i Jelenia leżeli już teraz rozplaszczeni i skuci na ziemi obok niego i w stodole po drugiej stronie obejścia.

– Uwaga, komisarz będzie wychodził – zakomunikował to samo antyterrorysta Młodemu i Walendziakowi.

Kaszowski uchylił delikatnie drzwi i wyszedł przed dom. Zieliński stał na porośniętym trawą podwórku obejścia, rozglądał się wokoło. Kiedy sekundę później zauważył nadchodzącego Kaszowskiego, uśmiechnął się. Od momentu gdy Łańcuch zgodnie z umową zadzwonił do niego półtorej minuty wcześniej, żeby zameldować, że akcja dobiega końca, Zieliński cały czas trzymał go na linii. Nie miał wprawdzie w ręku telefonu, bo to mogłoby zaalarmować idącego w jego stronę Kaszowskiego, ale miał za to wetkniętą w ucho małą słuchawkę z równie małym mikrofonem. Kiedy zbliżali się do siebie, Kaszowski też się uśmiechnął, bo w tym momencie wydało mu się, że pomimo wszystkich złych przeczuć jednak cała akcja zakończy się sukcesem. Wydawało mu się tak do momentu, kiedy zobaczył delikatny ruch warg Zielińskiego.

– Wal. – Choć wargi inspektora ledwie drgnęły, rozkaz zabrzmiał wyraziście.

Znajdujący się w odległości stu pięćdziesięciu metrów od nich Łańcuch już od kilkunastu sekund trzymał Kaszowskiego na celowniku swojej lunety i teraz po prostu nacisnął spust.

Kiedy wszyscy usłyszeli huk wystrzału, komisarz Marek Kaszowski leciał już odrzucony potężną siłą pocisku, który trafił go prosto w pierś. Wreszcie huk wybrzmiał i przez moment nic się nie działo, tylko Zieliński powiedział do słuchawki, już nie starając się nie ruszać ustami.

– Popraw.

Łańcuch złożył się do kolejnego strzału. Teraz krzyżyk celownika rozciął głowę Kaszowskiego na równe cztery ćwiartki. W tym momencie zdarzyło jednak się coś bardzo dziwnego. Łańcuch nie nacisnął wprawdzie spustu, ale

usłyszał huk wystrzału, a karabin wyleciał mu z rąk. Kiedy z przestrzelonym przedramieniem obrócił się na plecy, próbując jednocześnie sięgnąć po przytroczoną do paska berettę, zobaczył przed sobą w odległości trzech metrów mierzącą do niego ze służbowego glocka komisarz Joannę Majewską.

– Nie próbuj. – Twarz Joanny wydawała się wyjątkowo łagodna. – Bo cię pierdolnę na tamten świat!

Łańcuch nie spróbował. Tymczasem na dole zapanował chaos. Zieliński, który w pół sekundy zorientował się, że coś jest nie tak, wskoczył do swojej skody. Zanim jeszcze zdążył zamknąć drzwi, kierowca na pełnym gazie tyłem wybił dziurę w ogrodzeniu, obrócił auto i zniknął gdzieś wśród wznieconych tumanów kurzu.

Marek powoli odpływał. Czuł jeszcze, jak gdzieś w środku, a może na wierzchu rozlewa się w nim gorąca ciecz, a im bardziej to czuł, tym bardziej wszystko mu obojętniało i tym bardziej odpływał gdzieś zupełnie daleko. W pewnym momencie z oddali dobiegł go jeszcze znajomy głos Młodego i Marek uznał, że zanim odpłynie w nieznany świat gorącej cieczy, otworzy jeszcze na chwilę oczy.

– Macie go? – zapytał wiszącą nad nim twarz. – Macie skurwiela?

– Zaraz będziemy mieli. – Młody chyba krzyczał, i to zdecydowanie za głośno. – Marek, trzymaj się... Musisz...

Marek jednak już nic nie musiał ani nie miał się też czego trzymać i po chwili wpadł w otchłań mroku.

Młodszy o ćwierć wieku Marek stał przy dymiącym się samochodzie, teraz już jednak samochód był za jego plecami, a on wpatrywał się w coś, co leżało u jego stóp. W jego głowie kotłowało się mnóstwo idiotycznych myśli, zastanawiał się na przykład, czy dobrze je ułożył, a sekundę później zachodził w głowę, w którym konkretnie momencie auto straciło przyczepność, albo dlaczego, kiedy je wyciągał, w aucie ciągle coś grało, albo co ma teraz w ogóle zrobić, czy jest jakaś możliwość, żeby coś zmienić w sytuacji, która zaistniała, a może mógłby jakoś do nich dołączyć...

– Co tu się stało? – Lekarz w brudnym białym fartuchu stał na skarpie, z której niedawno spadli i patrzył na niego oczami pozbawionymi wyrazu. – Pan uczestniczył? Pan wyciągnął ofiary? Jaki jest stan? Proszę pana, czy pan mnie słyszy...?

Marek nic już nie słyszał, obrócił się i wtedy zobaczył je znów na łące na tle lasu wyciętego z nieba, na którym pojawiły się pierwsze krople granatu. Jego dwie ukochane kobiety patrzyły na niego jeszcze chwilę, po czym obróciły się i ruszyły przed siebie, wtedy Marek uśmiechnął się i ruszył w ślad za nimi.

PARADOKS

Trudno to sobie wyobrazić z perspektywy dzisiejszych realiów, ale wtedy, w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, kiedy nie było jeszcze telefonów komórkowych, a nawet o telefony stacjonarne wcale nie było łatwo, dotarcie nawet do policjanta, wówczas zwanego jeszcze milicjantem, z ważną i pilną informacją zajmowało często długie godziny.

– Kiedy? – zadał Marek pytanie eskortującemu go funkcjonariuszowi.

– Stwierdziliśmy jakieś trzy godziny temu. – Otyły klawisz ledwie nadał za dziarskim trzydziestoletnim porucznikiem MO. – Ostatni obchód był jakąś godzinę wcześniej, więc...

Minęli kolejną służbę prowadzącą na oddział dla szczególnie niebezpiecznych przestępców. Wtedy nie nosił jeszcze takiej formalnej nazwy, ale akurat ten oddział więzienia na Rakowieckiej, na którym kilka lat wcześniej z kryminalami siedzieli często w tych samych celach opozycjoniści, od lat przeznaczony był dla takich właśnie przestępców. Po kilku krokach zasapany klawisz zwolnił jeszcze bardziej, w końcu stanął w miejscu, w którym nie było żadnej celi ani żadnego innego pracownika służby więziennej. Kaszowski obejrzał się za siebie i już chciał po raz kolejny tego dnia zbesztać klawisza za obżarstwo, opilstwo i opieszałość, kiedy zorientował się, że ten próbuje przywołać go bliżej do siebie. Komisarz podszedł, zapalił dwa papierosy naraz, jednego podał zziąjanemu klawiszowi.

– Nie wiem, czy powinienem mówić. – Klawisz zaczął, zważywszy na okoliczności, odrobinę bez sensu.

Kaszowski popatrzył na niego i się zaciągnął.

– U niego był rano ten pana kolega z jakimś drugim też niemundurowym, pół godziny po ich wizycie robiliśmy właśnie ten obchód i wtedy... – Klawisz urwał.

– Zieliński? – Kaszowski dopytał, choć nie musiał.

– Nie wiem, jak się nazywa. – Klawisz pociągnął jeszcze jednego głębokiego macha i skipował niedopałek na podłodze. – Ten, co tu zawsze z panem przychodził, też porucznik chyba.

Kaszowski kiwnął głową.

– Tu się nie pali – rzucił klawisz, sam zgasił papierosa pod butem i nagle pełen werwy ruszył dalej przed siebie.

Wyszli na korytarz, na którego całej długości ciągnęły się rzędy obdrapanych drzwi do cel. Jedna cela, na samym końcu, była otwarta, przy wejściu do niej stał kolejny funkcjonariusz. Następne kilkanaście sekund, nim dotarli do otwartego pomieszczenia, Kaszowskiemu zeszło na rewizji swojego stosunku do człowieka, którego do tej pory darzył zaufaniem i przyjaźnią, który bywał gościem w jego domu i u którego w domu on bywał gościem, człowieka, z którym wypił morze gorzały i pozbawił wolności bardzo wielu często groźnych i bezwzględnych przestępców. Tym człowiekiem był porucznik Andrzej Zieliński. Kiedy weszli do celi, na podłodze wciąż z fragmentem odciętego sznura na szyi, twarzą do góry leżał siny martwy mężczyzna, który przyglądał im się jakby z mieszaniną wyrzutu i ciekawości. Kaszowski tymczasem nie miał już przyjaciela.

– Nic nie ruszaliśmy – odezwał się ten, który pilnował wejścia. – Tylko go odcięliśmy i próbowaliśmy masować, ale bez sensu. Zimny był już na amen.

Kaszowski obejrzał się na funkcjonariusza, który go tu przyprowadził. W jego oczach wyczytał prośbę, by nie poruszać tematu, o którym mówili przed chwilą. Marek nie zamierzał tego robić. Rozejrzał się jeszcze wokoło, po czym odwrócił się i wyszedł, zostawiając za sobą zaskoczonych klawiszy.

Najpierw z oddali zaczęły do niego dochodzić odgłosy pikania. Odgłosy wplotły się trochę bez sensu w treść snu, który natychmiast zapomniał, bo powoli przed oczy zaczęła wdzierać się jasność. Początkowo była to jasność po prostu, potem pojawiły się nieostre kształty, wreszcie lampa jarzeniowa obudowana w aluminiowe odbłyśniki, jakieś plamy, sufit. Zakasłał, trochę jak dziecko, które wyszło przed momentem z łona matki, po chwili nad głową zobaczył twarz Basi. Uśmiechała się, a właściwie prawie płakała.

– Jesteś. – Usłyszał jej głos.

Fragmenty, które widział, będąc jeszcze po tamtej stronie, zaczynały powoli blaknąć i tracić swoją senną logikę. Przez moment Marek nie wiedział jeszcze za bardzo, o co chodzi i jak ma interpretować owo dziwnie radosne „jesteś”. Oczywiście, że jest, a czemu miałoby go nie być? W końcu sobie przypomniał.

– Długo mnie nie było? – spytał.

– Jakieś piętnaście godzin. – Młody oderwał się od ściany, o którą opierał się od dobrych dwóch godzin, i zerknął na zegarek. – Kula zatrzymała się na ostatniej warstwie, masz połamane dwa żebra, był wylew wewnętrzny, włożyłeś kamizelkę, dzięki temu...

– Macie go? – Kaszowski powoli odtwarzał całą przyczynowo-skutkowość ostatnich wydarzeń.

– Nie – odparł Młody po chwili, tym razem jednak w jego głosie nie było wcześniejszego entuzjazmu.

– Jak nie? – Kaszowski spróbował się podnieść niesiony gniewem, ale gniew nie wystarczył i komisarz opadł ze stęknieniem na szpitalne łóżko.

– Jego samochód z kierowcą zatrzymali pod Warszawą. – Młody relacjonował teraz rzeczowym tonem, próbując zatuszować zażenowanie. – Kierowca twierdził, że szef wysiadł, ale nie umiał, czytaj: nie chciał powiedzieć, gdzie dokładnie. Został zatrzymany, może z czasem coś więcej sobie przypomni. Przypuszczamy, że musiała z Zielińskim współpracować lokalna policja, bo blokadę zarządziliśmy natychmiast, a nic nie dała. W każdym razie myślę, że to teraz kwestia godzin i...

– Przed panią to nie da się za bardzo schować – przerwał Kaszowski.

Młody obejrzał się w stronę drzwi, bo gdzieś tam zaczepił się wzrok Marka. W wejściu stała uśmiechnięta Joanna z włosami rozjaśnionymi światłem wpadającym przez okno na szpitalnym korytarzu.

– Ta pani, Marku, uratowała ci życie – oznajmił Młody z satysfakcją, która zaskoczyła nawet jego samego. – Gdyby nie ona, to Łańcuch...

– Wiedziałem... – Marek patrzył na Joannę z dużym skupieniem, w końcu

się uśmiechnął. – Wiedziałem, że się pani w końcu na coś przyda, pani komisarz.

Joanna pokiwała głową, dotarło do niej właśnie, że bardzo tego człowieka lubi. W tym momencie zabrzączał gdzieś telefon. Dopiero po kolejnych dwóch dzwonek zorientowała się, że to jej komórka, ale jeszcze przez dobrą chwilę nie mogła jej zlokalizować. Obecna również na sali pielęgniarka oddziałowa, sprawdzająca właśnie odczyty z aparatury, do której podłączony był Kaszowski, spojrzała na nią z wyrzutem. Joanna wyszła na korytarz.

– List gończy zaraz wychodzi w Polskę, jak będzie trzeba, to się puści też europejski. – Młody się zatrzymał, bo dotarło do niego, że rozpościeranie takiej perspektywy nie jest zbyt dobrym pomysłem. – Ale mamy namierzoną większość miejsc, w których mógł się zadekować. Myślę, że to kwestia dni, może nawet godzin, i będziemy go mieli.

– Oby... – Kaszowski chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tym momencie do sali wróciła Joanna, a jej widok sugerował jednoznacznie, że coś się stało. Była blada, ręką przytrzymała się futryny.

– Co się stało? – Młody uprzedził Kaszowskiego.

Nie odpowiedziała od razu, przez chwilę szukała słów, sił, jakby próbowała ułożyć sobie w głowie w logiczną całość to, co przed chwilą usłyszała przez telefon.

– On... – zaczęła. – On ma Piotrka.

– Co?! – krzyknął Młody. – Przecież...

– Porwał Piotrka. – Dopiero teraz Joanna jakby przebiła się przez ścianę własnej dezorientacji. – Zieliński porwał mi Piotrka i ojca...

Wyszła z sali, Młody ruszył za nią, Kaszowski zamknął oczy. Zdał sobie sprawę, że czas jego pobytu w szpitalu właśnie się zakończył.

Joanna stanęła przy oknie, Młody był tuż za nią, ale bał się na razie cokolwiek powiedzieć. Ona tymczasem myślała z każdą chwilą coraz szybciej i coraz konkretniej, w końcu spojrzała na wyświetlacz trzymanego

wciąż kurczowo w ręku aparatu, weszła w książkę telefoniczną, wybrała kontakt, wcisnęła guzik. Głos po drugiej stronie odezwał się po pierwszym sygnale, tak jakby tylko na to czekał.

– Porwałś mi syna! – Joanna nie panowała nad emocjami. – Ty cholerny bydlaku, porwałś mi syna!!!

Rozłączyła się.

Waldemar przez kilka sekund nie ruszał ze świąteł, choć włączyło się już zielone. Był zaskoczony, ponieważ to, co przed chwilą usłyszał, nie było prawdą. Nie tylko nie porwał Piotrka, ale co więcej, nie miał nawet pojęcia o tym, że chłopaka porwano. Owszem, przez jakiś czas śledził z polecenia Zielińskiego auto, którym podróżowali Piotrek z ojcem Joanny, ale później został odwołany, a z rozmowy z Zielińskim nie odniósł też wrażenia, że ktoś ma go zastąpić.

Pilnie zwołana przez Talaka narada rozpoczęła się dwie godziny po telefonie Zielińskiego do Joanny. Tyle czasu potrzeba było, żeby wszystkich zebrać i żeby Marcin mógł przeprowadzić choćby wstępne działania namierzające. W gabinecie oprócz technika, który stał się teraz centralną postacią wydarzenia, był oczywiście sam Talak, prokurator Sobecki, Młody, Joanna i komisarz Walendziak. Ten ostatni od czasu akcji we wsi Osuchy właściwie nie opuszczał komendy i ich wydziału. Wszyscy zajęli miejsca, a Talak udzielił głosu Marcinowi.

– To ja może zacznę od tego, że telefon, przez który Zieliński kontaktował się z panią komisarz... – tu Marcin zerknął na Joannę, ale szybko uciekł spojrzeniem, bo wrażliwość i empatia uniemożliwiały mu obserwowanie jej w stanie, w jakim się znajdowała – ...to jego telefon służbowy i trzeba by poprowadzić sprawę oficjalnymi kanałami. – Technik popatrzył na Sobeckiego. – Najprościej byłoby bezpośrednio przez BSW.

– Zaraz wystąpię. – Sobecki kiwnął głową. – Ale to na pewno chwilę potrwa.

– Mamy jakiś inny trop? – spytał zdenerwowany naczelnik.

– Nie wystąpi pan – odezwała się Joanna nagle i niespodziewanie dla wszystkich.

– Słucham? – Talak nie krył zdziwienia.

– Jeśli pan prokurator wystąpi, jeśli sprawa wyjdzie gdzieś poza ten gabinet – komisarz mówiła, nie patrząc na nikogo – to on zabije mi syna i ojca.

W gabinecie zapanowała konsternacja. Z jednej strony nikt nie chciał się odzywać, bo sytuacja była bardzo napięta, z drugiej takie dictum chwilowo wiązało im ręce.

– Nie możemy tej sprawy trzymać w tajemnicy w nieskończoność, pani Joanno – odezwał się Talak po chwili.

– Nie potrzebujemy nieskończoności – odrzekł Młody, a wszyscy, nie wyłączając Joanny, skierowali na niego wzrok.

– Ile? – Talak rozpoczął negocjacje.

– Dwa dni. Podciągniemy to wszystko jeszcze pod tamtą akcją na wsi.

– Macie czterdzieści osiem godzin. – Talak nie patrzył na Majewską, nie miał odwagi. – Potem, pani Joanno, będę musiał dopilnować wdrożenia normalnych procedur operacyjnych.

– Wiem. – Pokiwała głową.

W tym momencie szklane drzwi do gabinetu otworzyły się z nieco zbyt dużym impetem i stanął w nich obandażowany, podparty na kuli Kaszowski. Za nim stała Basia z wymownym wyrazem twarzy.

– Mareczku... – Siedzący w swoim nieodłącznym kusym, szarym płaszczu, z nieodłączną foliową torbą na kolanach Sobecki nie wydawał się szczególnie zaskoczony. – Chyba troszkę przesadziłeś.

– Co robimy?! – Kaszowski nie podzielał zdania przyjaciela. – Wydaje mi się, że czas nie działa na naszą korzyść.

Joanna spojrzała na niego i gdzieś w głębi serca poczuła się bezpieczniej, nagle nabrała nadziei, że sprawa dobrze się skończy. Długą drogę przebyła komisarz Majewska od dnia, kiedy po raz pierwszy znalazła się twarzą w twarz z tym nieokrzesanym, szorstkim mężczyzną. Teraz, po tych kilku

miesiącach wiedziała już, że jeszcze nigdy nie pomyliła się tak bardzo przy wstępnej ocenie drugiego człowieka.

Przesłuchanie Łańcucha było pierwszym tak poważnym zadaniem w kilkuletniej karierze policyjnej aspiranta Jacka Czerwińskiego. Szczęśliwie się złożyło, że od chwili gdy się dowiedział, że przypadnie mu ono w udziale, do chwili gdy wszedł do pokoju przesłuchań, upłynęło nie więcej niż pięć oddechów. Początkowo myślał, że zajmie się tym znacznie bardziej doświadczony Talak, potem, gdy pojawił się Kaszowski, oczywiste wydawało się, że to on zmierzy się z bandytą, ale dość szybko doszli wspólnie do wniosku, że tak się nie stanie, bo wtedy straciliby ważną kartę przetargową, a mianowicie pewność Łańcucha, że zanim został ujęty, zdążył zastrzelić policjanta. Takie zaś przekonanie u bandyty, który trafił w ręce policji i mniej więcej zna reguły gry, jest nie do przecenienia.

Młody wziął dwa głębsze oddechy i wszedł do pokoju. Przez lustro fenickie z pomieszczenia obok jego poczynaniom przyglądał się bezpośredni przełożony, który był dla Jacka osobą niezwykle ważną, oraz nie mniej dlań ważna, choć z nieco innych względów, kobieta. Młody wiedział, że los dziecka tej kobiety w dużej mierze zależy w tej chwili od niego.

– Chcę adwokata – zaczął Łańcuch, gdy tylko Jacek zamknął za sobą drzwi.

Aspirant Czerwiński usiadł na krześle naprzeciwko aresztanta, popatrzył na niego i ze spokojem pokręcił głową.

– Jestem zatrzymany – Łańcuch nie bardzo zrozumiał ten gest – i mam prawo do adwokata.

– Nie jesteś zatrzymany. – Młody mówił bardzo spokojnie i rzeczowo. – Więc niepotrzebny ci adwokat.

– Mogę wyjść? – Łańcuch był coraz bardziej dezorientowany, co próbował pokryć lekceważącym uśmiechem.

– Nie. Nie jesteś zatrzymany z tej przyczyny, że po prostu w ogóle cię tu nie ma, nigdy cię tu nie było.

Łańcuch próbował na szybko przeanalizować nadchodzące informacje. Najwyraźniej miał z tym na razie problem.

– Zabiłeś policjanta. – Młody wstał, podszedł do Łańcucha i pochylił się nad nim nisko. – I teraz jesteś wśród policjantów. Umiesz to połączyć w całość, matole?

– Myślałem, że to bandyta. – Łańcuch spróbował być zabawny.

– Ale ci się popierdoliło – wycedził Jacek. – I teraz masz dwa wyjścia, bardzo prostą alternatywę: albo nam pomożesz znaleźć tego, kto kazał ci to zrobić, albo zginiesz wczoraj przy próbie zatrzymania we wsi Osuchy.

Młody odszedł kawalek od krzesła, na którym siedział Łańcuch, popatrzył na niego chwilę, po czym wrócił, schylił się do niego raz jeszcze i krzyknął mu do ucha z taką siłą, że w pomieszczeniu obok zacharczały głośniki.

– Zrozumiałeś mnie, chuju?!

Łańcuch zerknął na Młodego, a na jego twarzy zobaczył coś, co upewniło go, że policjant nie blefuje. Po raz ostatni w życiu wystraszył się tak bardzo, kiedy pijany do obłędu ojciec ruszył na niego z kuchennym nożem o ostrzu dłuższym od jego ręki.

W ciemnym pomieszczeniu po drugiej stronie szyby Kaszowski zerknął na Joannę. Była w szoku, nie miała do tej pory pojęcia, że w tym młodym chłopaku, w którego towarzystwie od kilku tygodni lubiła przebywać, gdzieś pod spodem drzemie coś takiego.

– Właśnie go złamał. – Kaszowski ruszył w stronę drzwi. – Dla pani go złamał. Chodźmy, musi mieć komfort pracy.

Wyszli na korytarz w milczeniu. W głowie Joanny pojawiło się pytanie, czy ostatnie wydarzenia usprawiedliwiają to, co Młody robi w tej chwili za ścianą z Łańcuchem, ale dość szybko przestała się nad tym zastanawiać.

– A gdzie są teraz te narkotyki? – zapytała w końcu, próbując ułożyć sobie w głowie sens wydarzeń.

– Nie było żadnych narkotyków. – Kaszowski chyba po raz pierwszy odpowiedział na jakieś jej pytanie z taką szczerością.

– Jak to: nie było?

– Wsadziliśmy ich na lewe sanki. – Kaszowski mówił teraz wolno, tak jakby tłumaczył sprawę kilkuletniemu dziecku. – Miałem ustawionego celnika, który był mi coś winien, on był głównym źródłem informacji dla Kuzięby i Zielińskiego. Potem wzięliśmy kilku co gorzej wyglądających chłopaków od Walendziaka, wynajęliśmy tira... działka w Osuchach należy do pewnego biznesmena, który nie mógł nam odmówić. Wszystko miało ręce i nogi.

Joanna przez chwilę nic nie mówiła, analizowała informacje, próbując zestawić je z faktami, których była świadkiem.

– Czyli narkotyki w pańskiej szufladzie, kontakty z Łańcuchem, spotkania z Kuziębą... – Joanna nie mogła uwierzyć. – To wszystko... To wszystko to był blef?

– Jakoś tak by wychodziło. – Komisarz uśmiechnął się delikatnie, w gruncie rzeczy podobało mu się niedowierzanie, z jakim patrzyła na niego młodsza pani komisarz.

– Wiedział pan od początku, że to Zieliński stał za kradzieżą narkotyków z depozytu? – Joanna zaczynała w końcu powoli składać klocki układanki.

– Przyjąłem takie założenie.

Joanna popatrzyła na Kaszowskiego. Właśnie przyszło jej do głowy coś, co kompletnie jej się nie spodobało.

– Czyli ja też byłam elementem układanki? – zapytała wprost.

Kaszowski nie odpowiedział od razu. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jaką rolę tak naprawdę w tym wszystkim odegrała komisarz Majewska.

– Nie, pani Joanno, pani była graczem. – Kaszowski urwał znów na chwilę. – Na początku jakiś czas nie byłem tylko pewien, czy uczciwym graczem, ale dość szybko wątpliwości mnie opuściły.

– Tylko dlaczego wcześniej nic nie zrobiłam? – Joanna przypominała sobie, z jakiego powodu stoją teraz pod zamkniętymi drzwiami pokoju przesłuchań, i w oczach stanęły jej łzy.

Kaszowski najpierw ujął jej dłoń w swoją, po chwili zrobił coś, czego nikt, nie wyłączając jego samego, nie mógł się po nim spodziewać, a mianowicie

otoczył ją ramieniem i przytulił.

– Jakby pani zrobiła wcześniej, to on wcześniej porwałby pani syna. – Komisarz czuł, jak ciałem Joanny wstrząsają spazmy płaczu, po chwili odsunął ją od siebie delikatnie i spojrzał jej w oczy. – Chcę, żeby pani wiedziała, że nie ma takiej możliwości, żeby cokolwiek im się stało. Trzydzieści lat to robię... I w końcu to ja się na coś przydam.

W tym momencie drzwi od pokoju przesłuchań się otworzyły.

– Dał, co miał. – Młody pokazał kartkę z zapisanym numerem telefonu. – Numer, pod który dzwonił do Kuzięby. Z Zielińskim kontaktował się zawsze za jego pośrednictwem.

– Coś już mamy. – Kaszowski delikatnie przekazał roztrzęsioną Joannę w jego ręce, od Młodego przejął kartkę. – Zresocjalizowałeś go trochę?

– Trochę bardziej. – Młody był już skupiony na Joannie.

Miejscem, w którym koncentrowały się główne działania operacyjne grupy, stał się teraz pokój technika Marcina, znajdujący się w podziemiach w skrzydle zajmowanym przez wydział do walki z cyberprzestępczością. Na barkach introwertycznego informatyka spoczywał w tej chwili ogrom odpowiedzialności, z którym radził on sobie nad podziw dobrze. W pomieszczeniu za jego plecami prawie przez cały czas pozostawał ktoś od Talaka. Na dzielonych ekranach rozstawionych na kilku połączonych biurkach cały czas przesuwwały się rzędy cyfr – to program przeszukujący sieć telefoniczną analizował bezustannie miliony połączeń z ostatnich kilku dni. Jako że Joanna z Młodym stała od dobrych kilku chwil, wpatrując się w hipnotyzujące słupki cyfr, Marcin zdecydował się w końcu przedstawić podsumowanie swoich dotychczasowych ustaleń.

– Numer, który podaliście, jest odłączony od sieci od kilku dni, podobnie zresztą jak wszystkie numery, z którymi łączył się wcześniej. Przypuszczam, że wymieniali karty SIM co kilka godzin, aparaty raz na dwa, trzy dni, żeby uniemożliwić ustalenie numerów IMEI. Teraz próbuję znaleźć jakieś powtarzające się miejsca logowań tego numeru z wcześniejszego okresu, jeśli...

– Marcin! – Młody przerwał koledze, bo przeczuwał, że w innym wypadku ten potok słów może się nigdy nie skończyć. – Ile to potrwa?

– Nie wiem, trudno powiedzieć. Kilka dni?

– Nie mamy kilku dni. – Do rozmowy włączyła się Joanna, która wcześniej wpatrywała się w zielonkawe słupki z podświadomą nadzieją, że uda jej się wypatrzeć jakąś powtarzającą się sekwencję, jakąś kombinację, którą Marcin następnie zinterpretuje. – Mamy góra kilkadziesiąt godzin.

– Jak tylko coś znajdę, dam znać. – Marcin kiwnął głową, wciąż jednak bał się obrócić i spojrzeć w oczy pani komisarz.

Joanna wyjęła z kieszeni telefon, weszła w ostatnio wybierane i dalej w szczegóły połączenia z Waldkiem, pokazała numer Marcinowi.

– Sprawdź jeszcze ten.

– Czyj to? – zainteresował się Młody.

– Waldka. – Joanna nie bardzo miała siłę tłumaczyć. – Waldemara.

– Mówiłaś, że zaczął się ostatnio inaczej zachowywać – drażzył Młody.

– Może mu kazali. – Joanna robiła się zniecierpliwiona. – Nie wiem, może blefował, a może nie ma z tym nic wspólnego... Nie mam pojęcia, ale łapię się czegokolwiek.

Jacek pokiwał głową, a Marcin w tym czasie wrzucił już spisany numer do swojej maszynki do mielenia danych.

Piwnica była mroczna i wilgotna, bo dom stał na podmokłym terenie. Ojciec Joanny z braku innych zajęć, próbując określić ich lokalizację, doszedł do wniosku, że prawdopodobnie w pobliżu znajduje się jakiś zbiornik wodny. Kiedy byli mniej więcej sto kilometrów od Warszawy, gdzieś w okolicach Ostrowi Mazowieckiej w środku lasu zatrzymał ich umundurowany patrol policji. Patrol był prawdopodobnie prawdziwy, bo trudno byłoby bandytom posunąć się do tego, żeby ukraść najpierw oznakowaną kię, a potem przemieścić się z nią w sposób niezauważony i użyć jej do przeprowadzenia tej jednej akcji. Mundury nie stanowiły już takiego problemu, podobnie jak policyjne blachy, których okazania zażądał Roman. Wszystko wydawało się

legalne, może policjanci dostali zgłoszenie od wyższych czynników, że należy ich zatrzymać, a potem przekazali ich tylko w ręce innych policjantów, którzy przyjechali ciemnym vanem i wylegitymowali się jako funkcjonariusze BSW. Wszystko to nie miało zresztą w tej chwili większego znaczenia. Odkąd ci z BSW przywieźli ich tutaj, akcja przetrzymywania bez przedstawienia jakichkolwiek zarzutów mężczyzny i jego nieletniego wnuka w jakiejś piwnicy, w jakimś domu nad jeziorem nie dawała się już z całą pewnością uzasadnić w żaden sposób zgodny z literą prawa. Roman zastanawiał się tylko, jak wielu policjantów współpracujących z Zielińskim ma świadomość, że to, co robią, może ich kiedyś zaprowadzić za kratki, a może ich nie zaprowadzi, bo nikt nigdy im niczego nie udowodni, a ciała gdzieś znikną. Tę ostatnią myśl kapitan Majewski odgonił natychmiast, gdy się pojawiła. Teraz stał przy zakratowanym okienku i próbował gorączkowo opracować jakikolwiek plan, który mógłby ich stąd wydostać. Tymczasem wnuczek siedział na przykrytej kocem drewnianej pryczy i przyglądał mu się z dołu, zastanawiając się też nad czymś usilnie.

– Dziadku... – Zdecydował się w końcu podzielić nurtującym go problemem.

– Tak? – Roman odwrócił się od okienka, głos chłopca wyrwał go z zamyślenia. – Co tam, rycerzu?

– Uda nam się? – Pytanie Piotrka trafiło niestety w sedno jego trosk, a poza tym uświadomiło mu, jak wiele z grozy sytuacji dociera do dziecięcej świadomości.

– Oczywiście, że nam się uda. – Żeby zwiększyć do maksimum siłę przekonywania, przynajmniej na chwilę na wszelki wypadek sam uwierzył w to, co mówi. – Mama nas wyciągnie.

– Niedługo?

– Lada moment. – Roman podszedł do pryczy, usiadł obok wnuka i pogładził go po głowie. – Szybciej, niż myślimy.

Kaszowski i Młody siedzieli w gabinecie tego pierwszego i od dobrej półgodziny nie zamienili ani słowa. Starając się nie tracić zimnej krwi,

czekali na sygnał od Marcina. Nie tylko oni zresztą czekali na ten sygnał, czekał cały wydział, przede wszystkim czekała Joanna, która teraz pojechała na chwilę do domu, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. Wiele wskazywało na to, że najbliższej nocy żadne z nich raczej nie zmruży oka. Młody od momentu, kiedy Joanna powiedziała mu o Kuziębie, nosił się z zamiarem zadania Kaszowskiemu kilku pytań natury zasadniczej. Wciąż jednak nie nadarzył się odpowiedni moment, trochę też nie miał na to odwagi, a przede wszystkim nie do końca chciał, żeby akurat teraz wyszły jakieś niejasności.

– Cały czas mnie tylko zastanawia, co Zieliński chce tym osiągnąć – zaczął, choćby po to, żeby przerwać przedłużające się milczenie. – Przecież wie, że jest skończony.

– Chce się zerwać i nas blokuje, żeby zyskać na czasie. – Kaszowski sam nie był przesadnie przekonany co do prawdziwości takiej hipotezy. – Zresztą kto go tam wie.

Na chwilę znów zapadło milczenie, ale tym razem Jacek nie był już w stanie dusić w sobie dłużej pytania, które go męczyło.

– Może ty? – zapytał lekko prowokacyjnie.

Marek podniósł głowę znad biurka, domyślał się, o czym zaraz będzie, ale udął, że się nie domyśla, czekał.

– Pracowaliście razem, zdaje się. Nawet kilka lat. – Młody ruszył do frontalnego ataku.

– Skąd wiesz? – Kaszowski wiedział doskonale, że te informacje nie są szczególnie trudno dostępne.

– Najpierw te wasze wspólne studia... – Jacek jednak dał się zepchnąć do defensywy. – Trochę poszukałem, popytałem.

Kaszowski pokiwał głową. Nie miał tak naprawdę Jackowi tego za złe, i tak uważał, że chłopak długo zbierał się z postawieniem tych pytań. On zrobiłby to już dawno.

– Pracowaliśmy.

– Zrobiłeś mu coś?

– Za mało – skonstatował Kaszowski.

W tym momencie zadzwoniła komórka Jacka.

– Tak? – Na twarzy aspiranta pojawiło się wyraźne ożywienie. – Dobra, zaraz jesteśmy...

Młody schował komórkę z powrotem do kieszeni, spojrzał na Kaszowskiego.

– To Marcin – przekazał podekscytowany. – Telefon Kuzięby zalogował się do sieci. Wygląda na to, że gość jest w jakimś burdelu w Wilanowie.

Samochód Joanny zatrzymał się kilkadziesiąt metrów od bramy prowadzącej do wymalowanej jak lodziarnia willi. Chwilę później po drugiej stronie ulicy nieco dalej zaparkował granatowy van z zamaskowanymi oknami w tylnej części i z przyciemnianymi bocznymi szybami w części przedniej. Z tylnego siedzenia samochodu Joanny wysiadł Kaszowski, wyciągnął kulę, podparł się na niej i kiwnął głową w kierunku vana. Niewidoczny przez odbijające się w przedniej szybie korony drzew kierowca mignął długimi światłami. Komisarz podparł się na kuli i pokuśtykał do willi.

Siedząca na miejscu pasażera we własnym samochodzie Joanna popatrzyła na Młodego. Oddalający się powoli w stronę willi Kaszowski nie wydawał jej się w tej chwili najlepszym człowiekiem do prowadzenia działań operacyjnych.

– A czemu właściwie on tam poszedł? – spytała. – Z tą kulą i w ogóle?

– Bo ma większe doświadczenie. – Młody się uśmiechnął. – Na tym odcinku na pewno.

Joanna spojrzała na Jacka z lekko ironicznym powątpiewaniem.

– No co? – Jacek udał, że się broni. – Wysługa lat.

Joanna pokiwała głową i pierwszy raz od trzydziestu godzin delikatnie się uśmiechnęła.

Przed samymi drzwiami wejściowymi do „lodziarni” stał ogromny mężczyzna ubrany całkowicie na czarno, co w połączeniu z barwną scenografią i palącym słońcem dawało efekt nieco komicznie absurdalny.

W miarę jak Kaszowski, kuśtykając, zbliżał się do niego, wielkolud wydawał się coraz bardziej zdziwiony, przy czym wobec charakterystycznego dlań minimalizmu ekspresji zdziwienie owo przejawiało się wyłącznie delikatnymi przekrzywieniami niewielkiej głowy osadzonej na solidnej, krótkiej szyi. Kiedy komisarz doszedł do schodów prowadzących do góry, mężczyzna podjął decyzję o uniemożliwieniu mu dalszego postępu i wykonał pół kroku w bok, całkowicie tarasując ogromem swego ciała przestrzeń między dwiema barierkami. Kaszowski przystanął, podparł się na kuli i z kieszeni prochowca wyciągnął blachę policyjną. Tamten zawahał się jeszcze przez moment.

– Nie świruj – poradził Kaszowski.

Wielkolud odsunął się na bok, wtedy komisarz z drugiej kieszeni prochowca wyjął zmięte zdjęcie Kuzięby. Ogromny przyjrzał się fotografii i po chwili namysłu potwierdził skinieniem głowy.

– Teraz jest? – uściślił Kaszowski.

Mężczyzna zaprzeczył, również ruchem głowy. Komisarzowi przyszło na myśl, że być może zbyt duże skupienie na rozbudowie masy mięśniowej spowodowało u wielkoluda zanik umiejętności mówienia. W związku z tym, wykorzystując najlepszy dostępny w tej sytuacji kanał kontaktowy, sam też kiwnął głową i ruszył, kuśtykając, po schodkach do drzwi wejściowych.

W holu przybytku panował półmrok. To, że nie było tu kompletnie ciemno, wewnątrz zawdzięczało jedynie podczepionej do sufitu wątpliwej urody lampie z czerwonym abażurem. Kaszowskiego od razu po wejściu naszło pytanie, dlaczego właściwie w tych miejscach zawsze musi panować półmrok. Czyżby znikome oświetlenie miało przysparzać miejscu ekscytującej aury tajemniczości czy może chodziło o coś znacznie bardziej archetypicznego, o podświadome skojarzenie braku światła z nicością, w niektórych kulturach identyfikowaną jednoznacznie ze złem. A może tak naprawdę powód był znacznie bardziej prozaiczny, może siedzące na ogromnych rozmiarów skórzanej sofie półnagie panie w gruncie rzeczy nie były szczególnie urodziwe, co przy skąpym oświetleniu dawało się łatwiej ukryć. Z zamyślenia wyrwał Kaszowskiego głos dochodzący gdzieś z góry

i z za pleców.

– Dzień dobry panu – starsza nieco od siedzących na kanapie, ale też nieco atrakcyjniejsza kobieta przemówiła do gościa z za znajdującej się na piętrze drewnianej balustrady.

– Dobry wieczór... – Kaszowski zadarł głowę – ...pani.

Pani, nie spiesząc się przesadnie, zeszła po schodach, ciągnąc za sobą długi ogon peniuaru.

– Pan chyba pierwszy raz u nas? – Uśmiechnęła się, co uczyniło ją jeszcze trochę bardziej interesującą, po czym zerknęła znacząco w stronę sofy. – Ma pan już coś upatrzonego czy będziemy wybierać?

– Chciałbym z panią porozmawiać. – Kaszowski był pod wrażeniem. – Jeśli pani pozwoli.

– Ze mną? – Kobieta zdziwiła się nieco kokieteryjnie. – Oczywiście, że pozwolę.

– Tak... – Kaszowski wydawał się wręcz odrobinę onieśmielony. – Na osobności?

– Oczywiście, że na osobności. – Kobieta dotarła już do Kaszowskiego i natychmiast bezpardonowo wkroczyła w jego strefę bezpieczeństwa. – Chociaż mamy w ofercie różne opcje.

– Na razie poproszę pakiet podstawowy. – Komisarz powoli odzyskiwał rezon.

W niewielkich rozmiarów buduarowym pokoiku, do którego skierowała Kaszowskiego przystojna kobieta w długim peniuarze, stało raczej niewiele mebli. Oprócz przydatnego tu zapewne łóżka, był jeszcze fotel, jedno krzesło i rodzaj biureczka czy może sekretarzyka, którego przeznaczenie wydało się komisarzowi bardzo tajemnicze. Czyżby klientów nachodziła czasami ochota na napisanie listu albo na przeczytanie książki? Cóż jeszcze można robić, korzystając z sekretarzyka? Może niektórzy stawiali na nim swoje laptopy i prowadzili stąd fejsbukową aktywność? Komisarzowi nie dane było jednak dłużej się nad tym zastanawiać, bo w tym momencie do pomieszczenia weszła ta, z którą miał rozmawiać.

– Proszę chwilę poczekać... – Kobieta uśmiechnęła się i ruszyła w kierunku drzwi prowadzących zapewne do łazienki. – Zaraz do pana wracam.

– Proszę się nie fatygować. – Kaszowski nie był do końca zadowolony z tego, że musiał to powiedzieć.

Pani zatrzymała się zdziwiona przy wejściu do łazienki.

– To nie będzie potrzebne. – Kaszowski wskazał na krzesło stojące przy sekretarzyku. – Ja nie w tej sprawie. Proszę na chwilę usiąść.

Zaniepokojona trochę takim rozwojem sytuacji kobieta jednak nie zdecydowała się usiąść. Wtedy Marek wyciągnął z kieszeni odznakę.

– Komisarz Marek Kaszowski, Wydział Zabójstw i Terroru Kryminalnego. – Jeszcze raz wskazał na krzesło. – Nalegam.

Dopiero teraz usiadła, zastanawiając się, czy w ostatnim czasie zdarzyło się coś, co mogłoby ściągnąć tutaj policję kryminalną, a w szczególności wydział zabójstw. Nic takiego nie przychodziło jej do głowy, więc uśmiechnęła się w miarę uspokojona, oczekując dalszego ciągu.

– Jednym z państwa klientów bywa – Kaszowski przeszedł do rzeczy – niejaki Bernard Kuźmiba.

– Przykro mi – kobiecie wcale nie było przykro i dlatego uśmiechnęła się wciąż swobodnie – ale nie znamy klientów z nazwiska.

– Oczywiście, że państwo nie znają. – Kaszowski był przygotowany na taki obrót spraw. – To jednak akurat jest osoba publiczna, człowiek znany ze swojej kryminalnej przeszłości, więc jego obecność nie mogła umknąć pani uwadze.

– Może nie mogła, ale umknęła – odpowiedziała kobieta o wiele mniej sympatycznie. Wyglądało na to, że nie zamierza przeciągać rozmowy. – Czy mogę coś jeszcze dla pana zrobić?

Kaszowski chwilę się namyślał, po czym wyciągnął z kieszeni płaszcz radiotelefon i położył go na sekretarzyku, który nie wiadomo do czego służył.

– Szanowna pani, jeśli naciśnę ten guzik – wskazał na czerwony przycisk znajdujący się z boku aparatu – to w ciągu kilkunastu sekund wpadnie tu

czereada brutalnych mężczyzn ubranych w czarne kominiarki, będzie krzyk, płacz, klienci z gołymi dupami rzućeni na podłogę, słowem zrobi się tu burdel, przepraszam za określenie.

Przerwał, żeby zaczerpnąć oddechu i zaobserwować reakcję gospodyni. Kobieta wyglądała na lekko poruszoną, ale daleko jej było do ustąpienia.

– W konsekwencji firma straci klientów, a potem ją zamkniemy. – Kaszowski spojrzał na nią z prawie szczerym współczuciem. – Pani zaś straci pracę.

Teraz szefowa była już na dechach, ale wciąż miała nadzieję, że jeszcze zdoła się z nich podnieść. Kaszowski zmierzył ją wzrokiem.

– A nowej może pani już, niestety, nie znaleźć. – Skrzywił się lekko, bo sam nie lubił być aż tak brutalny, szczególnie wobec płci pięknej.

Kobieta po tym ciosie nie miała prawa się już podnieść, zerknęła tylko na Kaszowskiego, a w jej spojrzeniu była czysta nienawiść.

– Czy Kuzięba jest tu w tej chwili? – zapytał komisarz po pauzie.

Kobieta pokręciła głową.

– A z którą z dziewczyn się spotyka?

– Z różnymi. – Nawet na niego nie patrzyła.

– Z którą ostatnio?

Joanna i Młody siedzieli w samochodzie wpatrzni w leżący na podszybiu taki sam radiotelefon, jaki przed momentem Kaszowski demonstrował burdelmami. Ona cały czas próbowała dojść do tego, co zrobiła nie tak, czego nie dopilnowała, co można było poprowadzić inaczej, żeby uchronić Piotrka przed tym, co się stało. Skoro te rozmyślenia nie doprowadziły jej do żadnych konstruktywnych wniosków, spróbowała wyobrazić sobie, gdzie synek jest, czy dziadek jest z nim, czy ich rozdzielili. Żeby się nie rozpaść na kawałki, powtarzała sobie przez cały czas jak mantrę, że na pewno obaj są cali i zdrowi. Młody zerkał na nią chwilami, denerwując się, że nic więcej w tej chwili nie jest w stanie zrobić, żeby jej pomóc.

– Ciągle zapominam cię zapytać... – Jacek zaczął od czegokolwiek, bo

miał wrażenie, że Joanna odpływa w swoich rozmyślaniach zbyt daleko.

Wyrwana z zamyślenia spojrzała na niego tak, jakby nie dosłyszała jego słów.

– Skąd się właściwie tam wzięłaś? Przy tym całym Łańcuchu.

– Z twojej komórki. – Ruchem głowy wskazała leżący przy dźwigni zmiany biegów telefon.

Jacek ściągnął brwi, wziął telefon do ręki i zaczął mu się przyglądać.

– Marcin dał mi czipa lokalizującego po GPS-ie i program do obsługi. – W głosie Joanny zabrzmiała teraz odrobina skruchy. – Jechałam z laptopem włączonym na siedzeniu obok.

– Śledzisz mnie? – Młody spróbował wypowiedzieć tę kwestię w podobny sposób, w jaki Joanna jakiś czas temu wypowiedziała identyczną do niego.

– Już nie. – Uśmiechnęła się lekko.

– Szkoda. – Jacek rozluźnił atmosferę na tyle, na ile było to teraz możliwe.

W piwnicy powoli robiło się coraz mroczniej. Nie było tu żarówki, więc lada moment, po zapadnięciu nocy miało się zrobić zupełnie ciemno. Roman przysiadł na twardej pryczy obok, jak mu się zdawało, Piotrka i zaczął się zastanawiać, co zrobić, żeby zniwelować lęki małego, które z całą pewnością przybiorą na sile z nadejściem nocy. Nagle usłyszał szcęk zsuwy w drzwiach i po chwili w poświacie żarówki zawieszanej w piwnicznym korytarzu stanął przed nim niezmiennie uśmiechnięty Zieliński. Inspektor, odziany w dres, był nieco spocony, co prawdopodobnie oznaczało, że właśnie zakończył zajęcia z zakresu dbałości o kondycję fizyczną i teraz przyniósł im jakąś zupę w dwóch plastikowych miskach. Mężczyzna wszedł do środka i postawił miski na pryczy po drugiej stronie piwnicznej jamy.

– I co dalej? – zagaił Roman.

– Z czym? – Zieliński uśmiechnął się jeszcze szerzej, choć wydawało się to już raczej niemożliwe.

– Z nami. – Roman się nie uśmiechnął.

– Będzie siurpryza.

– Przecież to nie może trwać w nieskończoność.

– I nie będzie. Chyba że jesteś wierzący.

Zieliński wyszedł z piwnicy, Roman usłyszał szcęk zamykanej zasuwki, a po chwili pytanie, które go zmroziło.

– Dziadku, jesteś wierzący?

W oddalonym o kilkadziesiąt kilometrów od piwnicy wilanowskim przybytku rozkoszy ziemskich też robiło się już ciemno, ale siedząca naprzeciw Kaszowskiego na oko dwudziestoletnia dziewczyna o wdzięcznym imieniu Rozalia, którego z całą pewnością nie otrzymała na chrzcie, wciąż nie zapalała światła. Komisarz trzymał w ręku drogiego smartfona w futerale z Kaczorem Donaldem i zastanawiał się, dlaczego niektórzy bandyci są tak zidiociali.

– Mówisz, że go tu zostawił?

Rozalia pokiwała głową.

– I dzisiaj to ty go włączyłaś? – Kaszowski odtwarzał raz jeszcze to, co już sobie powiedzieli.

– Leżał kilka dni. – Rozalia próbowała się usprawiedliwić. – Kupiłam ładowarkę, kartę i włączyłam, co się miał tak marnować, ładny jest.

Kaszowski raz jeszcze spojrzał na disnejowsko-odpustowe etui i pokiwał głową.

– Kiedy tu był ostatni raz?

– Chyba ze trzy dni temu – odpowiedziała Rozalia po głębokim namyśle.

– Co ile przychodzi? – Kaszowski powoli tracił nadzieję, że ten trop gdzieś go doprowadzi.

– Różnie, grafiku nie mamy. – Rozalia spróbowała zażartować, ale szybko zrezygnowała.

– Jak się pojawi – Kaszowski wyjął z kieszeni kartkę, ze stolika wziął długopis z misiem, zapisał szereg cyfr – dasz znać.

Podał jej kartkę, po czym wstał i ruszył w stronę drzwi. Rozalia pokiwała głową, wyraźnie coś ją w tym mężczyźnie intrygowało, znała wielu

policjantów i wielu bandytów, zasadniczo jedni różnili się od drugich niewiele. Ten policjant, którego nigdy wcześniej tu nie widziała, wydawał jej się inny.

– Co zrobił? – zapytała, kiedy Kaszowski miał już zamknąć drzwi z tamtej strony.

– Porwał dziecko – odparł komisarz. – Dziewięcioletniego chłopca.

Patrzyła na niego, a on wciąż nie zamykał drzwi, jeszcze kilka sekund nikogo nie zbawi, ona zaś miała ładną, może tylko trochę zbyt dziecinną buzię.

– Czasem jeździłam też do niego, do jakiejś dziwnej willi, chyba tam nie mieszkał na co dzień – dodała dziewczyna.

Marek pomyślał, że na szczęście Rozalia ma ładną buzię, po czym uśmiechnął się do niej ze szczerą wdzięcznością.

W zaparkowanym pod lasem samochodzie komisarz Majewskiej był już znów prawie komplet. Za kierownicą siedział Młody, na fotelu obok niego Joanna, a na tylnej kanapie w pozycji półleżącej tłoczył się Kaszowski ze swoją kulą. Obok ich wozu stał ten sam granatowy van bez szyb, który wcześniej towarzyszył im w Wilanowie. Teraz jednak drzwi boczne vana były otwarte, a w środku oprócz kierowcy nie było nikogo.

Po chwili martwej ciszy leżąca na podszybiu radiostacja najpierw cicho zaskrzeczała, po czym dobiegł z niej zakłócony nieco głos Walendziaka.

– Mamy go. – Joanna popatrzyła z nadzieją na Młodego. – Poza nim w domu czysto. Wychodzimy.

Joanna pokiwała głową, bo choć łudziła się, że może będzie inaczej, to jednak na zdrowy rozsądek wiedziała, że Zieliński nie ukryłby się tutaj z porwanymi – Kuzięba, jak praktyka pokazała, był zdecydowanie zbyt łatwo namierzalny. Po chwili drzwi wejściowe willi otworzyły się gwałtownie. Najpierw wyszedł ze środka Walendziak. Rozejrzał się czujnie dokoła, po czym dał znak swoim ludziom. Po kilku sekundach z domu wyszła grupa pięciu antyterrorystów, z których dwóch prowadziło nakrytego naciągniętą na

głową elegancką tweedową marynarką Kuziębę, a pozostali rozglądali się czujnie wokoło z bronią gotową do strzału. Kiedy tamci dwaj doprowadzili go do vana, cała grupa wtoczyła się do środka i Walendziak zasunął boczne drzwi. W tym momencie w kieszeni Jacka zadzwonił telefon. Zarówno Joanna, jak i siedzący za nimi Kaszowski popatrzyli na niego z nadzieją. Młody zerknął na ekran, na którym wyświetlał się numer telefonu Marcina.

– Mów! – Jacek zaczął rozmowę bez zbędnych wstępów. – Nie ma? Nic? – Spojrzał na Joannę i pokręcił głową. – Dobra – rzucił jeszcze do słuchawki. – Jakbyś coś miał, dzwoń od razu.

Odłożył telefon na udającą drewno plastikową półeczkę między siedzeniami.

– Ten drugi numer. – Jacek nie patrzył na Joannę. – Ten Waldka, też przepadł jak kamień w wodę. Ostatnie odebrane połączenie jest od ciebie, potem chyba musiał go wyrzucić.

Joanna pokiwała głową. Nurtowała ją jedna natrętna myśl. Jak dużo jeszcze rzeczy pójdzie nie tak, zanim znajdą jakiś trop? Jej synek został porwany dwie doby temu, dwie doby stresu ponad wytrzymałość małego dziecka. Joanna błogosławiła tylko fakt, iż jest z nim dziadek. O ile oczywiście był.

W pokoju za lustrem fenickim stali wszyscy zainteresowani: Joanna i Jacek, Sobecki, Talak i oczywiście Kaszowski. Cztery osoby stały przed szybą i przyglądały się siedzącemu w pokoju obok mężczyźnie w worku na głowie. Z głośników dochodziło jego dyszenie, które z każdą chwilą stawało się coraz bardziej astmatyczne. Nikt się nie ruszał, wszyscy wiedzieli, że Kaszowski wybierze właściwy moment; to było jego przesłuchanie. W pewnej chwili komisarz bez słowa obrócił się i zniknął za drzwiami, żeby po kilku sekundach pojawić się na scenie dramatu po drugiej stronie szyby.

Bernard mimo worka na głowie od razu się zorientował, że ktoś wszedł do pomieszczenia, i odruchowo obrócił głowę w stronę drzwi.

– Zdejmijcie mi to – wysapał.

Kaszowski usiadł naprzeciw niego, rozłożył przed sobą teczkę ze

zdjęciami, wyciągnął z niej mały cyfrowy odtwarzacz.

– Możesz mi to zdjąć?!

– Później. – Kaszowski zupełnie się nie spieszył, choć tak naprawdę spieszył się bardzo. – Jak będziesz grzeczny.

Sapanie przeszło teraz w nieco nazbyt teatralnie brzmiące charczenie.

– Ja nie mogę! – Bernard wsuwał słowa między kolejne charknięcia. – Ja mam astmę i klaustrofobię, zaraz zwariuję.

– Przesadzasz. – Kaszowski nie lubił źle granego teatru. – Gdzie Zieliński, gdzie dzieciak?

– O czym ty mówisz? – Bernard na jakiś czas przestał charczeć, bo miał zbyt długą kwestię do wypowiedzenia. – A kto ty jesteś w ogóle, śmieciu? Nie znam żadnego Zielińskiego. Nieźle za to wszyscy bekniecie. – Rozcharczał się na dobre.

Kaszowski wystawił rejestrator dźwięku na środek stolika, wcisnął przycisk z trójkącikiem, z małego głośnika dobiegły jakieś szurania, po chwili najpierw z pewnego oddalenia, a następnie już całkiem blisko dał się słyszeć głos Zielińskiego.

– Mam inny problem. Wydaje mi się, że nasza pani komisarz zaczyna nam się trochę biesić, wymyka się spod kontroli.

– Od początku ci mówiłem, że ona jest zbyt uczciwa. Na szczęście uczciwość też się daje odpowiednio regulować... jest na to kilka sposobów. Kaszowskiego wzięliśmy na chciwość, ją weźmiemy strachem. – Głos Kuzięby brzmiał wyraźniej niż głos Zielińskiego.

Kaszowski wyłączył rejestrator. Charczenie z worka jakby nieco ucichło, Bernard próbował, zdaje się, nie zwracać teraz na siebie uwagi.

– Rozmawiasz z facetem, a nie wiesz, jak on się nazywa? – zdziwił się komisarz.

– Dopadnę cię, Kaszowski. – Teraz Bernard rozpoznał głos komisarza, może zresztą rozpoznał go już wcześniej, ale teraz postanowił się z tym ujawnić. – To jest bezprawne zatrzymanie, odpowiesz za to i ty, i reszta twojej załogi.

Końcówkę zdania Bernard wypowiedział głośniej, próbując w ten sposób zaapelować do instynktu samozachowawczego obserwatorów, z których obecności zdawał sobie sprawę. Doskonale wiedział, że żadna racjonalność nie jest w stanie przekabacić samego komisarza, ale łudził się, że jego współpracownicy są mniej pokręcani. Kaszowski bardzo nie lubił takich cwaniackich zagrywek, w związku z tym wstał i obszedł Kuziębę od tyłu. Ten tymczasem prawdopodobnie w ramach nasłuchiwania, z której strony ma się spodziewać ataku, kompletnie wyciszył swoje wcześniejsze dramatyczne charczenie. Kiedy komisarz znajdował się tuż za jego plecami, pochylił się nad nim i dwoma palcami przez tkaninę worka ścisnął Kuziębie nos. Charczenie wróciło ze zdwojoną siłą.

– Przyjdę cię odwiedzić w mamrze, tłuku – mówił komisarz wprost do ucha bandziora. – Takich nagrań jak to mamy długie godziny, a za każdą z tych godzin dostaniesz piąta.

– Straszysz mnie? – wycharczał Kuzięba.

Kaszowski puścił jego nos, ale mówił wciąż do ucha.

– Nie, baranie, organizuję ci promocję. – Kaszowski się wyprostował i ruszył z powrotem na swoje miejsce. – Dyszka z wyroku za informację, gdzie jest chłopiec, szybko odpowiesz, skończy się na piątce, posiedzisz trzy... Jak się będziesz ociągał, to prokurator doklepie ci współudział, pokiwasz najmniej dychę i będzie po życiu, Beniu. A ja od siebie dorzucę ci jeszcze nockę w tym worku na łbie. To jak?

Przez chwilę nic się nie działo. Bernard na przemian dyszał i charczał, Kaszowski spakował tymczasem rejestrator z powrotem do teczki i zaczął się przygotowywać do opuszczenia pokoju.

– Nie wiem, gdzie jest chłopak – przemówił w końcu Kuzięba. – Nie wiem nawet, jaki chłopak. Zielińskiego nie widziałem od czterech dni.

– No to masz przesrane, Bernardzie. – Kaszowski wstał, zaskrzypiało krzesło.

– Mam mejla. – Mafioso najwyraźniej rozpoczął negocjacje.

– Ja też i co z tego? – Komisarz przeszedł kilka kroków w kierunku drzwi.

– Mam jego mejla. – Bernardowi wcale nie było do żartów.

– Mów. – Kaszowski nie przejawiał specjalnej ekscytacji, ale stanął przy drzwiach.

– Kapitan-mała-pronet-kom. – Bernard wydukał adres i ucichł zrezygnowany.

Kaszowski popatrzył na niego, po czym otworzył drzwi.

– A worek? – Kuźięba odżył nagle, w jego głosie pojawiła się nuta rozpaczy.

– Zaraz, nie pali się. – Ostatnie zdanie Kaszowskiego dobiegło do niego już z korytarza.

Mafioso opuścił głowę. Oto ziściły się wszystkie jego najczarniejsze lęki. Tym razem prawdopodobnie nie miał już najmniejszych szans na to, co udawało mu się przez wszystkie te lata do tej pory, czyli na wywiniecie się od odpowiedzialności karnej. Był na siebie wściekły, bo wszystko to stało się dlatego, że zadziałał wbrew własnym instynktom. Nigdy mu się nie podobała relacja z Zielińskim. Nie lubił tego faceta, który jawił mu się jako jeszcze wredniejszy od niego, a o to nie było łatwo. Do tego Zieliński był jednak policjantem, choć lewym, a Bernard policji nie znosił jak mało czego w życiu. Wszystko wskazywało na to, że przez najbliższe kilka lat nie spędzi wakacji na swoim jachcie, pływając z pięknymi, choć niekoniecznie mądrymi kobietami wśród greckich wysp. Kiedy zaś już w końcu odzyska taką możliwość, to prawdopodobnie po jachcie i niezbyt mądrych syrenach nie zostanie już ani ślad. „Kurwa, się wpierdoliłem” – pomyślał i zacharczał bardziej już sobie a muzom.

Była noc. W dziale walki z cyberprzestępczością nikt nie walczył dziś z cyberprzestępcami, ponieważ wszyscy zatrudnieni tu informatycy pracowali nad tym, żeby ustalić, z jakiego miejsca na ziemi wysyłano mejle pochodzące z adresu podanego przez Kuźiębę. Oprócz sześciu chudych introwertyków w okularach i najchudszego z nich, najbardziej socjopatycznego Marcina na sali prawie na stałe siedziała Joanna z Jackiem, a co pewien czas zjawiał się tu też Kaszowski. Teraz komisarz zajmował

krzesło pod ścianą i co chwila zapadał w drzemkę. Głowa opadała mu na kulę, na której się wspierał, i wtedy budził się, nie wiedząc, gdzie jest. Na ekranach toczyły się jakieś zupełnie niezrozumiałe dla osoby postronnej matriksowe wojny cyfrowych mrówek. W pewnym momencie na jednym z monitorów wyszukiwanie się zatrzymało. Stojący między ekranami Marcin zerknął w tamtą stronę. Joanna natychmiast wyrwała się z letargu.

– I co? – zapytała z nadzieją w głosie.

– Jest dobrze. – Marcin, nie odrywając wzroku od ekranu, podszedł do klawiatury i zaczął coś wpisywać. – Ale to jeszcze chwilę potrwa. W mejlu do niego wysłałem robaka. Na razie obleciał świat dwa razy, zanim doszedł. Ktoś się dobrze przygotował do zajęć...

Marcin dopiero teraz spojrzał na Joannę i widząc jej niepokój, szybko dokończył zdanie.

– Damy radę, jeszcze góra kilka godzin i będzie.

Joanna zerknęła na zegarek. Z wyznaczonego przez Talaka czasu zostało im nieco ponad dwanaście godzin. Do pomieszczenia wszedł Młody z czterema kubkami, trzy rozstawił na najbliższym blacie, z jednego zaczął pić jako pierwszy, po czym rozejrzał się po wszystkich obecnych.

– Więcej nie dałem rady – wyjaśnił przepaszająco. – Kto pierwszy, ten lepszy.

Po kubki podeszło kilku informatyków i Kaszowski, który zdążył się rozbudzić.

– A pani to może powinna iść na chwilę odpocząć. – Komisarz spojrzał zaspanym wzrokiem na wyraźnie zmęczoną Joannę. – Jak się zacznie, przyda się dobra forma.

– Nie. – Pokręciła głową. – Ale wyjdę się na chwilę przewietrzyć przed budynek.

– Zawsze coś. – Kaszowski pokiwał głową i wyjął kubek z ręki kolegi.

Joanna wyszła z pomieszczenia. Oni siedli na krzesłach pod ścianą. Jacek odczekał kilka łyków, po czym odebrał komisarzowi kubek, nie budząc tym jego entuzjazmu.

– No to co było z Zielińskim? – Jacek był zbyt zmęczony, żeby się krygować.

– Co było? Pracowaliśmy razem kilka lat, aż... – Kaszowski był natomiast zbyt zmęczony, żeby dać mu odpór.

– Aż? – Młody zapytał teraz już bardziej z automatu niż z ciekawości.

Kaszowski namyślał się przez chwilę, w końcu zaczął.

Na zewnątrz była noc, gdzieś w oddali za oknami migały światła mijanych domów. Poloneza caro prowadził Kaszowski, obok na siedzeniu pasażera drzemał porucznik Andrzej Zieliński.

– Zabiłeś go – rzucił Kaszowski jakby od niechcienia.

– Przesadzasz, Kaszu – odpowiedział Zieliński, nie otwierając nawet oczu, a na jego ustach pojawił się ów trudny do podrobienia drwiący uśmieszek.

Kaszowski zahamował gwałtownie i zjechał na pobocze. Za oknami było czarne nic. Przez chwilę nikt nic nie mówił, ale Zieliński otworzył oczy i z jego twarzy przynajmniej na moment zniknął trudny do zniesienia grymas.

– Przesadzam. – Kaszowski pokiwał głową. – A ty wypierdalaj, z tego samochodu i z policji... Jak zostaniesz, to ci nie odpuszczę.

Zieliński przez chwilę najwyraźniej nie mógł uwierzyć w taki obrót sprawy, a gdy jednak się zorientował, że to nie był żart i że dalsza dyskusja nie ma sensu, uśmiechnął się znowu, po czym otworzył drzwi i wysiadł z ociąganiem. Kaszowski ruszył z piskiem opon, zanim porucznik Zieliński zdążył postawić obie nogi na ziemi.

Opowieść Kaszowskiego przerwał triumfalny okrzyk.

– Mam!!!

Marcin podbiegł do nich z kartką w ręku.

– Ten ciul ma internet na karcie od operatora telefonii komórkowej, pewnie laptop albo inny tablet. – Marcin był naprawdę szczęśliwy. – Kwadrans i będę miał lokalizację.

Kaszowski ku zaskoczeniu wszystkich wyciągnął rękę do Marcina, ten

zdezorientowany dopiero po chwili odwzajemnił gest. Uścisk dłoni komisarza był naprawdę silny.

W gabinecie Talaka byli już teraz wszyscy. Jako ostatni na miejsce dotarł Sobecki, który wprawdzie mieszkał najbliżej, ale nie należał do najbardziej energicznych. Kiedy prokurator zamknął za sobą drzwi od gabinetu i usiadł między Kaszowskim a Młodym, Marcin stanął przy białym ekranie, na który uprzednio wyświetlił zdjęcie satelitarne, i od razu zabrał się do referowania.

– Od operatora sieci szybko, bo po znajomości – informatyk zerknął na Sobeckiego, ten udał, że tego nie usłyszał, a może nie usłyszał rzeczywiście – dostałem kilkanaście ostatnich logowań z tej karty, wszystkie z tego rejonu.

Marcin laserem zatoczył kółko w rejonie, w którym pomiędzy zielenią lasów a bielą pól widoczne było kila domostw.

– Wskazanie nie jest idealnie precyzyjne, bo tam w okolicy są tylko dwa maszty przekaźnikowe, a idealnie można określać pozycję przy trzech, ale to musi nam na razie wystarczyć, bo...

– Wystarczy. – Młody wciął się trochę zbyt gwałtownie. – Sprawdziliśmy już wszystkie te domy.

Teraz Młody podszedł do wyświetlonego zdjęcia, po drodze odebrał jeszcze zbitemu z tropu Marcinowi jego laser. Czerwony punkt zatrzymał się na jednym z widocznych z lotu ptaka obejść.

– Ten – Marcin obejrzał się w kierunku słuchających – jest wynajmowany na jakąś lewą firmę, w pozostałych mieszkają rodziny z dziećmi. Na miejsce wprowadzimy najpierw obserwację. Jak wywiadowcy zbiorą niezbędne informacje, będziemy mogli wejść.

Joannę ten właśnie element całej rozgrywki przerażał najbardziej. Wiele razy zdarzało jej się „wchodzić”, widziała też w życiu mnóstwo materiałów z „wejść”, które przeważnie się udawały, a czasami udawały się nieco mniej. Jacek zauważył, że trzęsą jej się ręce.

– Wejdziemy dopiero, gdy się upewnimy, ilu ich tam jest i jaki dokładnie mamy rozkład pomieszczeń. – Młody mówił teraz przede wszystkim do

Joanny.

– A gdzie są zakładnicy? – Sobecki rzucił pytanie najważniejsze, ale niezbyt fortunnie je sformułował, więc szybko się poprawił: – To znaczy chłopiec i dziadek?

– Tego też na razie jeszcze nie wiemy. – Jacek starał się mówić spokojnie i rzeczowo. – Ale użyjemy kamer termowizyjnych, pomogą nam określić, gdzie kto jest.

Walendziak spojrział na Joannę i nagle odezwał się jakby zupełnie poza protokołem.

– Pani komisarz... – Poczekał, aż na niego spojrzała. – Nie zrobimy nic, co zagrazi komukolwiek, w najgorszym razie go puścimy, niech spierdala, później się go dorwie, ale pani dziecku nic się dzisiaj nie stanie. Rozumie mnie pani?

Joanna pokiwała głową.

Zmierzchało. W piwnicy domu, który przed kilkoma godzinami w gabinecie Talaka policjanci oglądali sfotografowany przez googlowego satelitę z wysokości siedmiuset kilometrów, dziadek czuwał, siedząc w nogach pryczy, na której spał wnuczek. Kiedy w pewnym momencie za oknem dostrzegł jakiś cień, przyszło mu do głowy, że policja namierzyła budynek i właśnie zaczyna się akcja. Z doświadczenia wiedział jednak, że takich akcji nigdy nie robi się w pojedynkę. Kto zatem skradał się pod dziupłę Zielińskiego? Jeśli ktoś z jego współpracowników, to skradanie się nie miało sensu, jeśli policjant, to nie szedłby w pojedynkę. Kapitan Majewski wstał z pryczy i podszedł do okienka, nic jednak ani nikogo już po tamtej stronie nie dostrzegł. Czyżby mu się zdawało? Nigdy do tej pory, może oprócz epizodów poalkoholowych zatruć, nie zdarzyło mu się mieć przywidzeń.

Joanna zjawiała się w punkcie dowodzenia, czyli przy vanie antyterrorystów jako pierwsza. Nie było tu jeszcze ani Talaka, ani Kaszowskiego z Jackiem. Z miejsca, w którym zaparkowany został samochód antyterrorystów, kryjówka Zielińskiego nie była widoczna. Kiedy jednak Joanna podeszła do

otwartych bocznych drzwi, na ekranach zobaczyła wszystko jak na dłoni, tyle tylko, że w intensywnie sztucznych zielonych barwach, w których obraz podawały kamery noktowizyjne. Tylko jeden obrazek różnił się od pozostałych, był tęczo wielobarwny, a postacie ludzkie mieniły się purpurowo. Ten obraz pochodził dla odmiany z zainstalowanej gdzieś w lesie kamery termowizyjnej. Na ekranie dwa purpurowe ludziki, z których jeden, mniejszy leżał i pozostawał nieruchomy, znajdowały się jakby poniżej bryły domu. Na pierwszym piętrze, również w pozycji horyzontalnej, znajdowała się jeszcze jedna purpurowo-zielonkawa postać. Uwaga Joanny skupiła się jednak głównie na nieruchomej, małej, leżącej postaci na dole, na jej widok odetchnęła z ulgą. W samym vanie przed ekranami na jednym z ustawionych tu foteli siedział z papierosem w ustach Walendziak, który powitał Joannę niemal niewidocznym skinieniem głowy.

– Jest z nimi w domu szczęśliwie tylko jedna osoba. – Uniósł się na fotelu i końcówką długopisu wskazał na leżącą na piętrze nieruchomą figurkę. – W tej chwili ogląda telewizję. Pani syn i tata, jak pani widzi, są sami, ale przy domu pojawiła się jeszcze jakaś postać.

Teraz Walendziak przeniósł swoją uwagę na jeden z ekranów z kamer noktowizyjnych obserwujących otoczenie budynku.

– Mężczyzna. – Walendziak wskazał na sylwetkę kryjącą się wśród drzew. – Nie wiemy, kto to jest, ale nie sprawia wrażenia, jakby był tu z nadania osoby przetrzymującej zakładników.

– Można to zbliżyć? – spytała Joanna.

Walendziak wziął do ręki mikrofon leżącego na pulpicie radiotelefonu.

– Jedyńka, daj bliżej na tego typka – polecił, nie odrywając wzroku od ekranu.

Po chwili obraz się powiększył. Twarz na ekranie stała się teraz znacznie wyraźniejsza.

– Właściwie, jak tylko zjawi się reszta, można by wchodzić. – Walendziak dalej referował sytuację. – Tylko nie wiemy...

– To Waldek – przerwała Joanna. Mężczyznę poznała od razu, ale

początkowo nie chciało jej się wierzyć, że widzi właśnie jego.

Komisarz spojrział na nią pytająco.

– Waldemar Miernik. – Joanna patrzyła teraz znów na podgląd termowizyjny, ponieważ w piwnicy postać większa zbliżyła się do mniejszej i przysiadła. – Współpracownik Zielińskiego.

– Niebezpieczny?

– Tak, raczej tak – odpowiedziała Joanna bez namysłu. – To kiedy będziecie wchodzić?

– Pewnie gdy tylko pojawi się Kaszowski. On ma dowodzić. – Walendziak zerknął na zegarek. – Myślę, że będą lada moment.

Chociaż jechali jego samochodem, tym razem Kaszowski nawet przez moment nie wahał się przed przekazaniem kierownicy w ręce Jacka. Po pierwsze, był obolały i prowadzenie stanowiłoby dla niego w tej chwili ogromny wysiłek, a po drugie, musieli dojechać na miejsce bezpiecznie i przede wszystkim jak najszybciej, a do tego Jacek nadawał się znacznie lepiej. Od dwudziestu minut w kabinie nie padło ani słowo, ich twarze z rzadka oświeślały z zewnątrz latarnie.

– A co było potem? – Jacek odezwał się ni stąd, ni zowąd.

– Po czym? – Kaszowski myślami był gdzieś daleko i skojarzenie pytania z czymś, o czym rozmawiali znacznie wcześniej, wykraczało chwilowo poza jego możliwości.

– Po tym, jak go wyrzuciłeś z samochodu i z policji.

– To aż takie ważne? – Kaszowski doskonale wiedział, że to ważne, ale postanowił się trochę podroczyć.

– Tak, to bardzo dla mnie ważne. – Pomimo prędkości sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, z którą się przemieszczali, Jacek oderwał na chwilę wzrok od drogi i spojrział na Kaszowskiego.

Ten pokiwał głową.

W gabinecie majora Sobienia późnopeerelowski wystrój przykryty został

częściowo elementami wczesnokapitalistyczno-chińskimi. Na biurku stały sztuczne kwiaty, obok dyplomów w szklanej gablocie ktoś umieścił radiomagnetofon kasetowy, od góry na głowę zdawał się walić podwieszony nieco zbyt nisko sufit w wydziobane wzorki udające nie wiadomo co, może kamień. W suficie tym projektant na domiar złego postanowił umieścić o wiele za dużo otworów na lampki halogenowe, które włączone powodowały, że światło dzienne mieszało się z barwą zielonkawą, powodując koszmary dla oczu wielobarwny mętnik. Ów jaśniejący bezład rozpraszał się teraz dodatkowo w ogromnej ilości dymu tytoniowego. Za wielkim zwalistym biurkiem rodem z lat pięćdziesiątych siedział człowiek o cerze przypominającej podwieszony zbyt nisko dziobaty sufit. Naprzeciw niego stał młodszy o ćwierć wieku komisarz Kaszowski z wąsem i w przyciemnianych okularach kryjących oprócz oczu także sporą część twarzy. Milcząca scenka, w której mężczyzna w mundurze policyjnym z twarzą jak podwieszany sufit siedział i palił, a Kaszowski stał i czekał, trwała już chwilę. Pałący wydawał się dość z tego powodu ukontentowany. W końcu zgasił peta w wielkiej popielniczce pełnej wcześniej zgaszonych petów i spojrzał na porucznika.

– No więc rozumiecie, Kaszowski – zaczął kończyć to, co wcześniej przerwał, zawieszając podwładnego w chmurach dymu – porucznik Zieliński poprosił o zwolnienie... Nie bardzo mi się to podoba, bo cenię go jako milicjanta, i mam szczerą, rozumiecie, Kaszowski, nadzieję, że on do nas wkrótce wróci.

Mężczyzna zawiesił głos, wyraźnie oczekując jakiegoś komentarza. Major Sobień lubił Zielińskiego i wysoko go cenił jako podwładnego elastyczniejszego i zdecydowanie bardziej przewidywalnego od Kaszowskiego. Zaistniała sytuacja nie odpowiadała mu tym bardziej, że miał przeczucia graniczące z pewnością, że w decyzji Zielińskiego Kaszowski miał swój udział. Nie wiedział tylko dokładnie jaki, a bardzo chciał się tego dowiedzieć.

– Tak jest, panie majorze – odpowiedział porucznik dosyć ogólnikowo.

– Tak jest – Sobień się zamyślił. – A nie wiecie przypadkiem, Kaszowski,

czemu on tak, rozumiecie, nagle postanowił od nas odejść?

Zamiast udzielać kolejnej ogólnej odpowiedzi, porucznik pokręcił jedynie głową.

– No, to na razie zostajecie poruczniku sami na gospodarce, jak to się mówi – Sobień odpuścił chwilowo dalsze drażnienie sprawy. – Rozumiecie?

– Rozumiem, panie majorze – odrzekł Kaszowski, choć wiedział, że major słowa „rozumiecie” używał wyłącznie w charakterze ozdobnika.

Sobień sprawiał wrażenie człowieka, który nie ma pojęcia, co mianowicie rozumie Kaszowski i po co mu o tym mówi. Major czekał teraz już tylko na to, żeby porucznik opuścił jego gabinet, bo dopiero wtedy mógł sięgnąć do kredensu po butelkę, nalać sobie z niej odrobinę cieczy, która po chwili pomagała mu zrozumieć absolutnie wszystko. Kolejną niewątpliwą przewagą Zielińskiego nad Kaszowskim było to, że w wypadku tego pierwszego major nie musiałby czekać, aż zostanie sam.

Prokurator Sobecki dopełnił wszystkich formalności, rozmawiał z sędzią Walińskim, z którym znali się od dwudziestu lat, sędzia ustnie udzielił zgody na przeszukanie i zatrzymanie, do którego miało dojść za chwilę w dziupli Zielińskiego. Taka zgoda, choćby ustna, szczególnie od człowieka, który z twarzy nie miał w zwyczaju robić cholewy, uspokoiła nieco Sobeckiego, a przede wszystkim Talaka, który dotrzymał zobowiązania i nie zawiadomił o akcji nikogo, ale bardzo się tym stresował. Teraz Sobeckiemu pozostawało już tylko iść do domu i czekać tam na dalszy rozwój wypadków. Prawie cała reszta wydziału była już albo na miejscu, albo w drodze na miejsce akcji. Prawie cała, jak się okazało, bo kiedy prokurator zmierzał do windy, natknął się na idącą w tę samą stronę podkomisarz Monikę Malisz.

– A co tu tak pusto? – zagadła, żeby przerwać milczenie, tym bardziej że zaraz oboje mieli spędzić kilkadziesiąt sekund w najbardziej idiotycznym miejscu na ziemi, jakim była jest i będzie winda. – Gdzie są wszyscy?

– Pojechali. – Sobecki ogólnie nie był przesadnie rozmownym człowiekiem, a jeśli chodziło o kontakty z kobietami, sytuacja jeszcze bardziej się komplikowała.

– Dokąd? – Monika wcisnęła guzik windy, bo zorientowała się właśnie, że Sobecki, który stał tu już od dobrej minuty, jeszcze tego nie zrobił.

– Namierzyli tę dziuplę, w której Zieliński... – Sobecki nie był pewien, na ile Monika jest wprowadzona w sprawę. – Ten szef Majewskiej z BSW...

– Wiem, kto to jest Zieliński, panie prokuratorze. – Monika uśmiechnęła się z lekkim politowaniem.

– Tak, oczywiście, że pani wie. – Sobecki pokiwał głową lekko zdołowany, bo zdał sobie sprawę, że znów nie okazał się mistrzem w grze skojarzeń. – No więc namierzyli tę dziuplę, w której się zadekował.

Monika pokiwała głową, nie wyglądała na osobę specjalnie podekscytowaną tą wiadomością. Gong właśnie obwieścił przybycie windy. Drzwi się otworzyły i Sobecki chciał przepuścić panią Monikę szarmancko, ale ona sobie przypomniała, że zostawiła komórkę na biurku. Nie pierwszy już raz musiałaby wracać po nią z domu.

– Nie, przepraszam. – Monika cofnęła się już z progu kabiny. – Zapomniałam telefonu.

– Poczekać? – Sobecki zablokował drzwi od windy nogą.

Monika popatrzyła na niego nieco zdziwiona.

– W sensie tutaj, z windą, czy windę przytrzymać? – Sobecki kompletnie się pogubił. – Czy pani zaraz przyjdzie?

– Nie, nie, proszę jechać. Już sama zjadę, za chwilę. – Monika też się trochę pogubiła, co zaskoczyło ją samą.

Andrzej Zieliński siedział w dresie rozparty na kanapie i oglądał telewizję na pięćdziesięciocalowym ekranie. Lada moment spodziewał się informacji o tym, że dokumenty, na które czekał, są już gotowe. Plan był zasadniczo prosty: podrobione dokumenty na nazwisko człowieka, który miał czystą kartotekę, następnie wyjazd do Niemiec. Stamtąd, gdzie nie dotarł jeszcze z całą pewnością wystawiony przed kilkoma godzinami europejski nakaz aresztowania, a nawet jeśli, to na zupełnie inne dane, a żaden urzędnik na granicy nie skojarzyłby jego twarzy, Zieliński zamierzał już samolotem

opuścić strefę Schengen i na początek udać się do Brazylii, a później, jeśli zaistnieje taka potrzeba, gdzieś jeszcze dalej. Wszystko to stanowiło pewną życiową niewygodę, ale pieniądze, które w tak zwanym międzyczasie udało się inspektorowi zarobić na różnych, przeważnie lewych interesach, czyli po prostu ukraść, pozwalały mu teraz na udanie się na wakacje, które trwać mogły choćby i do końca życia. Kiedy Zieliński zastanawiał się właśnie, gdzie byłoby najlepiej osiąść na następne kilka lat, w kieszeni spodni od dresu zabrzączał telefon. Inspektor wyjął aparat, spojrzął na ekran i zobaczył na nim numer inny niż ten, który spodziewał się zobaczyć.

– Co jest? – Kurtuazja nigdy nie była mocną stroną Zielińskiego.

Przez chwilę słuchał informacji przekazywanych mu z drugiej strony.

– O kurwa! – Zerwał się na równe nogi. – Kiedy?!

Słuchając jeszcze rozmówcy, zgasił lampkę stojącą na stoliku obok kanapy, następnie pilotem wyłączył telewizor. W pokoju zrobiło się ciemno jak w grobie. Zieliński zakończył połączenie, jednym ruchem wyciągnął z telefonu baterię i kartę SIM, którą przełamał, po czym szybkim krokiem ruszył do schodów prowadzących w dół. Kiedy odryglowywał drzwi do piwnicy, w drugim ręku trzymał już glocka. Chwilę wcześniej zdążył wyłączyć światło na piwnicznym korytarzu.

– Wyłazić! – rzucił w całkowitych ciemnościach.

Roman, który w tych okolicznościach spodziewał się najgorszego, osłonił Piotrka i sam ruszył do przodu. W mroku, który rozpraszała teraz jedynie poświata nieba wpadająca przez piwniczne okienko, Zieliński zdołał jednak dosięgnąć małego i pociągnąć go w swoją stronę. Roman rzucił się do przodu, ale w tym momencie otrzymał silne uderzenie kolbą pistoletu w twarz i padł na plecy. W totalnych ciemnościach nikt za bardzo nie wiedział, co się dzieje. Najbardziej zaś przerażony sytuacją był Piotrek, który walczył w tej chwili przede wszystkim o to, żeby się nie rozsypać.

Przy vanie antyterrorystów byli już teraz wszyscy. Pomimo obecności na miejscu Talaka, to Kaszowski otrzymał prerogatywy do dowodzenia akcją. W eterze kolejne grupy zgłaszały gotowość, z informacji przekazanych przed

chwilą wynikało, że tajemniczy mężczyzna, który wcześniej kręcił się wokół budynku, w końcu wszedł do środka. Kaszowski spojrzał na Joannę.

– Tylko uważajcie – poprosiła.

– Ostrożnie, najpierw dół, dopiero jak zabezpieczycie zakładników, góra, i uważajcie na tego, co wszedł. – Walendziak przerwał na chwilę swoją przemowę do radiotelefonu, spojrzał na Kaszowskiego, ten kiwnął głową. – No dobra panowie, zaczynamy. Atak, atak, atak!!!

W tym momencie ku zaskoczeniu wszystkich obecnych w kieszeni Kaszowskiego zadzwonił telefon. Komisarz sięgnął, zerknął na wyświetlacz, odebrał i oniemiał.

– Zabieraj czarnych, bo odstrzelę chłopaka! – Głos Zielińskiego mimo upływu dwudziestu pięciu lat właściwie się nie zmienił.

Kaszowski podniósł rękę w górę i gestem zamykanej pięści pokazał Walendziakowi, żeby wstrzymał akcję. Ten złapał mikrofon radiotelefonu.

– Wódz do wszystkich – powiedział bardzo wyraźnie. – Wstrzymać akcję, powtarzam: wstrzymać akcję.

Osoby zgromadzone wokół Kaszowskiego zamarły w oczekiwaniu, pod Joanną ugięły się nogi.

– Czego chcesz? – Kaszowski czuł się tak, jakby wrócił prosto do rozmowy sprzed ćwierćwiecza.

– Żebyś zniknął. – Zieliński nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego.

– Długo tak zamierzasz? – Kaszowski przeszedł do negocjacji.

– Aż mi się znudzi. – Niestety, Zieliński negocjować nie chciał. – Spierdalajcie stąd, bo pani komisarz nigdy nie zobaczy bachora żywego.

Inspektor przerwał połączenie, a Kaszowski napotkał pytające spojrzenie Joanny, na które nie potrafił odpowiedzieć.

– Wie, że wchodzimy – powiedział do Walendziaka.

– Ale skąd? – Ten nie mógł uwierzyć. – Chłopaków nie mógł zobaczyć.

– Nie wiem. – Zrezygnowany Kaszowski wzruszył ramionami. – Wycofaj ich!

Zieliński wyprowadził już tymczasem Piotrka i zakrwawionego kapitana Majewskiego na parter budynku i zatrzymał się w takim miejscu, żeby być poza zasięgiem okien. Starał się teraz myśleć szybko, realia zmieniły się nieoczekiwanie, ale szczęśliwie miał zakładników, którzy jeszcze przed chwilą wydawali mu się niepotrzebnym ciężarem, a teraz byli gwarantem, że nikt, przynajmniej na razie, nic mu nie zrobi. Głos, który usłyszał dwie sekundy później, zaskoczył go tak bardzo, że nie był nawet przez moment pewien, czy pochodzi z tej czy może z jakiejś zupełnie innej rzeczywistości.

– Szefie! – Głos Waldka był ostatnią rzeczą, której Zieliński mógł się teraz spodziewać.

Kiedy się obrócił zobaczył nadciągającą pięść, która ćwierć sekundy później ugodziła go centralnie w twarz. Niestety, padając już na ziemię, Zieliński w odruchu bezwarunkowym nacisnął spust. Huk wystrzału dotarł do Waldka ułamek sekundy po tym, jak poczuł silne uderzenie w dół brzucha. Ból przyszedł sekundę później, po kolejnej zrobiło się czarno i dopiero wtedy Miernik padł na podłogę. Zieliński zaczął się podnosić, ale w tym momencie, ku swemu totalnemu zaskoczeniu otrzymał kolejny, znacznie tym razem silniejszy cios najpierw w podbrzusze, następnie w okolicę skroni, wreszcie podbródkowy, który poderwał go w górę i rzucił na przeciwległą ścianę. Roman słynął z tego, że potrafił dwoma ciosami powalić największych. Było to wprawdzie mniej więcej czterdzieści lat temu, ale takich rzeczy się nie traci, szczególnie w dramatycznych okolicznościach. Kapitan Majewski rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu broni, która wcześniej wypadła z dłoni Zielińskiego i odleciała gdzieś w bliżej nieokreślonym kierunku. Wtedy usłyszał dźwięk odciąganego kurka spustowego, obrócił się i ujrzał siedzącego na podłodze obok zakrwawionego Waldemara Piotrka, który mierzył z ledwie mieszczącego mu się w dwóch małych dłoniach wielkiego glocka do leżącego i mamrocącego coś pod nosem Zielińskiego.

Na chwilę czas się zatrzymał i w tym zawieszeniu na piętro wbiegli czarni mężczyźni w goglach noktowizyjnych, kominiarkach i z bronią gotową do

strzału. Piotrek delikatnie przekazał pistolet Romanowi, a on odłożył go na podłogę i podniósł ręce. Po chwili wnuk zrobił to samo. Antyterrorysty oniemieli.

Po jednej stronie szpitalnego korytarza na ławeczce pod zielonkawą lamperią siedziała Joanna, po drugiej, wpatrując się w drzwi prowadzące na blok operacyjny, siedział Piotrek. Po chwili na korytarz z dwoma papierowymi kubkami wszedł Jacek, podał kawę Joannie, usiadł obok. Przez kolejne sekundy nie padło żadne słowo. Młody zastanawiał się, czemu właściwie tu są. Joanna myślała nad tym, jak mu to wytłumaczyć.

– Ciekawe, dlaczego zmienił stronę... – zaczął Jacek.

Joanna popatrzyła na siedzącego naprzeciwko Piotrka. To, co miała do powiedzenia, było w zasadzie proste, ale zarazem na tyle skomplikowane, że nawet dla niej od zawsze trudne do pojęcia.

– To jego ojciec – wyrzuciła wreszcie.

– Co?!

– Poznałam go, jak miałam osiemnaście lat. – Joanna nie miała na razie odwagi spojrzeć Jackowi w oczy. – Przychodził do taty. Ojciec był wtedy guru, szczególnie dla młodych policjantów.

Wypiła łyk kawy, zdumiony Jacek przyglądał się na zmianę jej i siedzącemu po drugiej stronie korytarza Piotrkowi.

– Byłam siksą. – Joanna ciągnęła opowieść. – Też zapatrzoną w ojca, policjanta, a Waldek świetnie się zapowiadał, przystojny, szarmancki, dowcipny, no i trochę starszy. Byliśmy ze sobą trzy lata, pod koniec nie był już ani dowcipny, ani szarmancki.

Posmutniała.

– Poznałem go w tym drugim wariantcie. – Jacek dorzucił coś głównie po to, żeby pokazać, że jest i słucha.

– Tak. – Joanna pokiwała głową. – W końcu w ogóle przestał się pojawiać, chyba na szczęście, i wtedy się okazało, że jestem w ciąży.

Znów przerwała, popatrzyła na Piotrka i ściszyła głos.

– Gdyby nie mama... – W jej oczach pojawił się na moment uśmiech, po czym po raz pierwszy od początku tej rozmowy odważyła się spojrzeć na Jacka. – Oprócz mamy nigdy nikomu o tym nie mówiłam, ojciec może się domyślał, nie wiem.

– Zieliński? – Jacek wszystko nagle zobaczył inaczej.

– Zieliński... – Joanna powtórzyła jak echo. – Na pewno wiedział, że kiedyś byliśmy razem i że rozstaliśmy się w konflikcie, wiedział, że Waldek był wcześniej brutalny. Na tym jechał, ale o Piotru nie sędzę, żeby wiedział, sam Waldek też nie wiedział, może przeczuwał jakimś szóstym zmysłem, ale nigdy mnie o to nie zapytał. Zresztą nie było za bardzo okazji.

– A Piotrek? – Teraz to Jacek ściszył głos.

– Piotrek przez te wszystkie lata tylko raz zapytał... czy tata jest policjantem. Waldek akurat wtedy siedział za te swoje wałki.

– I co mu powiedziałaś?

– Że tata jest policjantem. – Joanna starała się przywołać tamtą rozmowę z pamięci. – Tylko że mu się różne rzeczy w życiu pomieszały. Obiecałam, że jak się wyprostują, to go pozna...

Piotrek wciąż nie odrywał oczu od wahadłowych drzwi prowadzących na blok. Teraz na moment tylko zerknął na Joannę, ale raczej nie dlatego, że coś usłyszał, bo usłyszeć nie mógł.

– I właśnie go poznał. – Joannie bardzo delikatnie zadrżał podbródek, ale szybko pokryła to uśmiechem. – Chodź do nas, synku!

To ostatnie zdanie skierowała do Piotrka, ale pokręcił tylko głową. Czuwał na posterunku.

Jako pierwszy do sali przesłuchań wszedł prokurator Sobecki, który odstawił swoją foliową torbę na podłogę, skajową brązową teczkę położył sobie na kolanach, otworzył zamek na szyfr, którego nie pamiętał, i wyjął plik dokumentów, które ułożył na biurku pomiędzy sobą a przyglądającym się całej tej operacji z lekceważącym zaciekawieniem Zielińskim. Po chwili do pomieszczenia wszedł Kaszowski. Inspektor jego też obrzucił

protekcjonalnym spojrzeniem, a na twarz wypełził mu słynny uśmiech nie do podrobienia.

– O tym też cię poinformował twój kret? – Kaszowski odstawił pod ścianę kulę, na której wciąż jeszcze się podpierał, i z niejakim trudem usiadł na krześle obok Sobeckiego, zajętego porządkowaniem dokumentów w teczce.

– O czym?

– Że żyję, pomimo że mnie zabiłeś.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Zieliński nie zmieniał wyrazu twarzy. Wiedział, że teraz najważniejsze są słowa, których zresztą mógł w ogóle nie wypowiadać, bo przysługiwało mu takie prawo, ale miał najwyraźniej chęć trochę się jednak z nimi zabawić.

– Wiesz. – Kaszowski również mógł właściwie się nie wypowiadać, ale za nic nie potrafił sobie odmówić rozmowy po latach. – Zatrudniłeś u mnie panią Joannę, która będzie teraz świadkiem w sprawie, naszym świadkiem. Przysłużyła ci się, co?

Na to Zieliński nie odpowiedział, bo prawda była taka, że akurat sprawę Joanny traktował jako osobistą porażkę. Kaszowski to wiedział i trafił bardzo celnie.

– Naprawdę myślałeś, że mogłem w to wejść? – Komisarz poruszył nieco bardziej osobistą nutę.

– Nadal tak myślę. – Zieliński szybko wrócił do formy.

– Każdego wedle własnej miary? – Kaszowski naprawdę próbował zrozumieć, jakim torem przez te wszystkie miesiące biegło rozumowanie dawnego kolegi. Z drugiej strony nie łudził się, że uda mu się to kiedykolwiek ustalić.

– Każdego wedle miary sensu.

– Widać różne są sensory.

– Pozornie. – Zieliński uśmiechnął się jakby trochę inaczej, może po raz pierwszy odrobinę bardziej szczerze. – Pozornie, Kaszu.

Milczenie, które zapadło, panowie wykorzystali na to, by poprzyglądać się sobie, każdy ze swojej planety, z pozycji swojego światopoglądu. Kaszowski

zastanawiał się, jak to w ogóle było możliwe, że wtedy przed laty pracowali razem, mieli te same cele, rozumieli się, spędzali razem czas, odwiedzali swoje rodziny. Jakim cudem? Ciszę postanowił w końcu przerwać Sobecki. Zerknął na leżącą przed nim kartkę.

– Usiłowanie zabójstwa policjanta, usiłowanie zabójstwa Waldemara M., kradzież czterystu dwudziestu kilogramów kokainy z depozytu policyjnego, handel narkotykami, kierowanie zorganizowaną grupą przestępczą, wykorzystywanie pełnionej funkcji publicznej do prowadzenia działalności przestępczej, korupcja na wielką skalę... – Sobecki wyrecytował zarzuty całkowicie beznamiętnym głosem i zamilkł.

– Na ile byś się za to wszystko posadził, Zielu? – spytał Kaszowski.

– Dowody? – Zieliński zerknął na Sobeckiego.

– Są – odpowiedział prokurator.

– Świadczenie?

Sobecki tym razem kiwnął już jedynie głową. Zieliński kalkulował chwilę, jakby obliczał całki.

– Dwadzieścia lat? – To pytanie skierował do Kaszowskiego.

– Bez możliwości ubiegania się o warunkowe przez lat piętnaście – skwitował Sobecki.

Zieliński na chwilę jakby posmutniał, ale to nie perspektywa długoletniej odsiadki go przygnębiała, a raczej podłość świata, którą skonstatował wiele lat wcześniej, i choć czerpał z niej wymierne profity i stał się idealnie wpasowanym trybikiem w machinerii zła, to jednak gdzieś pod spodem wciąż miewał ową potrzebę czegoś lepszego, innego, bardziej sprawiedliwego. Może ta potrzeba przed laty uczyniła ich przyjaźń z Kaszowskim przez jakiś czas w ogóle możliwą.

– Mogłoby tak być... – Zieliński zaczął refleksyjnie. – Mogłoby, ale będzie zupełnie inaczej?

– Tak sądzisz? – Komisarz wszedł w ironiczną konwencję rozmowy, którą inspektor w tej chwili właśnie na moment porzucił.

Z pokoju za lustrem fenickim ich rozmowie przysłuchiwał się cały zespół

Talaka. Był sam naczelnik, była Joanna i Jacek, była Monika i nawet technik Marcin. Wszyscy słuchali w skupieniu głosów dochodzących z głośnika podwieszonoego pod sufitem dźwiękoszczelnego pomieszczenia.

– Ja nie sądzę, Kaszu – odrzekł Zieliński. – Ja to wiem. Widzisz, tobie się wydaje, że ujarzmiłeś potwora, łeb urwałeś hydrze, a to tak naprawdę z całym szacunkiem dla mojej osoby, to paluszek jest zaledwie, paznokietek ułamałeś.

– Zawsze coś. – Kaszowski starał się nie okazać, że strzał Zielińskiego był celny.

– Masz małe ambicje, zawsze tak było. Dla ciebie to jest coś, ale twoi zwierzchnicy, kiedy dowiedzą się, co mogę im powiedzieć, kiedy dotrze do nich, jak wielka jest góra lodowa, której zaledwie wierzchołek stanowią, to będą to zażerać garściami, a ja resztę życia spędzę w godziwych warunkach, gdzieś, gdzie ty ze swoim sensem będziesz mi mógł skoczyć. Wiem tyle, że twoja głowa nie byłaby tego w stanie nawet pomieścić. Interpol razem z CIA będą do mnie przyjeżdżać na seminaria, Kaszu.

– Nie sądzę, żeby kariera wykładowcy była spełnieniem twoich marzeń, Zielu.

– Nikt nigdy mnie nie skaże, dowody znikną, a pani Joanna ze swoimi zeznaniami przyda się psu na budę. – Zieliński spojrział na Kaszowskiego jakby z żalem.

Przez chwilę w pokoju przesłuchań i w pomieszczeniu obok trwała martwa cisza.

– Chyba znowu będziesz mi musiał odpuścić. – Zieliński postawił kropkę.

– Skąd się biorą takie śmiecie jak ty? – Kaszowskiemu po raz pierwszy podczas tej rozmowy puściły nerwy, co mogło świadczyć o tym, że w tej wymianie zdań poniósł jednak porażkę.

– Z sensu, Kaszu, z sensu. – Zieliński znów miał na twarzy swój niepowtarzalny uśmiech.

W celi aresztu na Białołęce panował półmrok. Pod sufitem w zakratowanym

kloszu paliła się słaba żarówka, którą lokator celi zdołał częściowo przysłonić upchniętym między kratki podkoszulkiem. Na pryczy obrócony twarzą do ściany spał inspektor Andrzej Zieliński. W pewnym momencie rozległo się ciche szczęknięcie odryglowywanego zamka, do wnętrza weszło trzech mężczyzn, dwóch z nich miało na sobie charakterystyczne pomarańczowe drelichy, które stygmatyzowały ich jako niebezpiecznych przestępców, trzeci ubrany był w niebieskawe moro; był klawiszem i to on dowodził operacją. Klawisz wziął do ręki stołek i ustawił go na środku celi, po czym przejął od jednego z pomarańczowych drelichów strzykawkę. Cała trójka stanęła nad pryczą Zielińskiego, po chwili klawisz kiwnął głową. Większy z więźniów złapał Zielińskiego wpół, mniejszy przycisnął mu rękę do ust, po czym obaj obrócili go twarzą do klawisza i unieruchomili. Mężczyzna w niebieskawym moro pochylił się nad inspektorem, złapał go za nos, wprowadził igłę strzykawki jak najdalej się dało w przegrodę nosową, i wcisnął tłoczek. Zawartość strzykawki powoli weszła w krwiobiegi Zielińskiego. Inspektor najpierw stracił czucie w górnej części ciała, potem dotarło do niego, że nie ma już kontroli także nad nogami, po kolejnych kilkunastu sekundach przestały funkcjonować mięśnie gładkie klatki piersiowej i inspektor zaczął się dusić. Pavulon osiągnął optymalne stężenie we krwi. Wtedy dwójka w pomarańczowych drelichach podźwignęła bezwładne ciało duszącego się w męczarniach Zielińskiego, klawisz zawiązał linę, którą wyciągnął spod kurtki, na okratowanym kloszu od lampy, następnie pętlę liny założył na szyję inspektora, we trzech postawili go na stołku, wciąż przytrzymując. Klawisz spojrzał na twarz Zielińskiego, jego utkwione w nim spojrzenie nie należało do rzeczy przyjemnych, ale nie takie już spojrzenia w swojej karierze musiał zapamiętać funkcjonariusz służby więziennej. Klawisz kiwnął głową. Dwaj w pomarańczowych drelichach puścili bezwładne ciało, a on dla formalności wykopał stołek spod obwiśniętych nóg półżywego inspektora. Było to działanie humanitarne o tyle, że dzięki niemu Zieliński przestał się dusić, gdyż skonał. Cała trójka zabrała się zaś do metodycznego i ostrożnego przeszukania celi.

Na parkingu pod komendą Kaszowski przekręcił kluczyk w stacyjce,

odezwało się radio, po chwili z mozołem zaczęła się też rozpędzać dmuchawa. Komisarz przetarł dłonią twarz zmoczoną deszczem, włączył wycieraczki, światła, w końcu powoli ruszył. Kiedy zbliżał się do szlabanu, przed maską rozciągniętą w smugach wody zobaczył sylwetkę kobiety. Wcisnął hamulec, który zadziałał z minimalnym opóźnieniem. Sylwetka przemieściła się do drzwi i Kaszowski rozpoznał w niej komisarz Majewską, która właśnie podjęła bezskuteczną próbę otwarcia drzwi od zewnątrz. Linka od klamki urwała się na tyle dawno, że nigdy już prawdopodobnie nie zostanie na powrót zamontowana. Kaszowski sięgnął przez siedzenie pasażera i otworzył drzwi od środka. Joanna chwilę stała, czekając na zaproszenie, które nie nadeszło, więc w końcu zaprosiła się sama i przemoknięta do suchej nitki usiadła na siedzeniu obok Kaszowskiego i zatrzasnęła drzwi. Zrobiło się znacznie ciszej niż przed momentem, kiedy stała jeszcze w strugach ogłuszającej ulewy.

– Dzwonili z Białoleki – zaczęła, kiedy tylko uspokoił jej się oddech. – Zieliński powiesił się w celi.

Kaszowski zamarł. Przez jego głowę w kilka sekund przetoczyło się tyle myśli, że kiedy wreszcie odzyskał jako taką równowagę, nie wiedział, od czego zacząć. Jego stosunek do Zielińskiego był bardzo ambiwalentny, ale komisarz na pewno nie chciał, żeby tak to się skończyło. Takie wyjście z sytuacji nie było żadnym wyjściem, taki koniec nie był końcem, był jakimś zerwaniem, i to w najbardziej idiotycznym miejscu i momencie. Przez chwilę trwało milczenie przerywane tylko przesuwaną się po szybie wycieraczką.

– Dwadzieścia pięć lat temu Zieliński powiesił w celi człowieka, który zbyt dużo wiedział. – Kaszowski mówił bardziej do siebie niż do Joanny. – Wtedy nie doszedłem, na czyje zlecenie...

Joanna czekała chwilę na dokończenie zdania.

– A teraz? – spytała w końcu. – Teraz dojdziemy, na czyje zlecenie?

– My? – Kaszowski przez moment patrzył na Joannę z dobrze udawanym zdziwieniem, w końcu się uśmiechnął. – Dojdziemy, pani komisarz, dojdziemy.

Wrzucił bieg i nie pytając nawet Joanny, czy zamierza mu towarzyszyć

w drodze do aresztu śledczego na Białolece, powoli ruszył w kierunku szlabanu.

Deszcz zacinał z każdą chwilą coraz mocniej. Dwudrzwiowy seat ibiza, prywatne auto Moniki Malisz, stało zaparkowane przy krawężniku pograżonej w ciemności drogi. Silnik Diesla dudnił miarowo. Monika siedziała za kierownicą, zerkając co chwila w lusterko. Z tyłu za nią widać było kontury oświetlonych z góry silnymi jupiterami budynków więziennych. Po chwili w poświacie zamajaczyła postać, po kilkunastu sekundach drzwi od strony pasażera otworzyły się i do seata wsiadł klawisz, który nie miał już teraz na sobie niebieskawego moro, tylko dzinsy i ciemną, zmoczoną deszczem kurtkę. Bijąca odeń intensywna woń wódki, choć trudna dla Moniki do wytrzymania, była jej w pewnym sensie na rękę.

– Ale leje. – Klawisz skomentował aurę głównie po to, żeby zagaić rozmowę, na której zagajenie nie miał innego pomysłu.

Monika zerknęła na niego i wyciągnęła rękę. Dopiero w tym momencie klawisz jakby przypomniał sobie, co jest zasadniczym celem ich spotkania.

– A tak, oczywiście. – Uśmiechnął się, ukazując wyraźne braki w uzębieniu. Woń wódki z jego ust przypominała zapach taniego spryskiwacza do szyb w wersji zimowej. – Mieliśmy awarię zasilania, monitoring wysiadł.

Klawisz uśmiechnął się wrednie i podał Monice pendrive'a. Ona pokiwała głową, sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyciągnęła z niej pękata kopertę. Mężczyzna zajrzał do środka, omiół wzrokiem wielobanknotową zawartość.

– Nigdy się nie widzieliśmy. – Monika zerknęła we wsteczne lusterko i podała rękę mężczyźnie.

– Oczywiście.

– Do widzenia. – Monika raz jeszcze spojrzała w lusterko, po czym sięgnęła przez siedzenie boczne i otworzyła klawiszowi drzwi, żeby w ten sposób skłonić go do opuszczenia ibizy w tym dokładnie momencie.

Mężczyzna spojrział na nią, po czym wysiadł, zatrzasnął drzwi, zrobił krok do przodu i wtedy zerknął w prawą stronę, z której w tej właśnie chwili uderzył w niego wielotonowy nieoświetlony monolit ciężarówki marki Scania. Pozbawiona numerów rejestracyjnych ciężarówka zahamowała dopiero kilkadziesiąt metrów dalej, wtedy wysiadł z niej mężczyzna, który podszedł do leżących szczątków, odszukał pękatą kopertę, po czym podszedł z nią do ibizy, otworzył drzwi i wrzucił na siedzenie. Następnie mężczyzna spokojnym krokiem wrócił do scanii, a podkomisarz Malisz wybrała numer telefonu. Po chwili, po drugiej stronie usłyszała znajomy głos człowieka, którego nigdy nie widziała na oczy.

– Załatwione – powiedziała do słuchawki, przerwała połączenie i spojrzała na leżącą na siedzeniu ubłoconą i częściowo rozerwaną kopertę pełną banknotów.

Kiedy Kaszowski wszedł do celi, przeżył swoiste *déjà vu*. Na podłodze z odciętym sznurem na szyi leżał posiniąły na twarzy Zieliński. Układ celi też był zbliżony, podobnie jak zbliżone były układy wszystkich pojedynczych cel w Polsce, a może i na świecie. Za plecami Kaszowskiego stał dyrektor więzienia.

– Niestety, nie mamy obrazu z monitoringu – mówił dyrektor, a Kaszowski prawie go nie słuchał. – Była jakaś awaria w serwerowni, może jest jakiś backup, właśnie sprawdzają.

– Nie ma backupu, mogą nie sprawdzać. – Kaszowski nie odwrócił się nawet do dyrektora, pochylił się natomiast nad zwłokami i obejrzał pobieżnie dłonie, nadgarstki i stopy. – Musimy go jak najszybciej dostarczyć na autopsję. Za kilka godzin nie będzie śladu po pavulonie.

– Po jakim pavulonie, co pan sugeruje? – Dyrektor nie chciał przyjąć do wiadomości oczywistej prawdy wynikającej z jednoczesnego zaistnienia dwóch okoliczności, czyli powieszenia się więźnia i awarii serwerów, która usprawiedliwiała brak obrazu z monitoringu.

– Nic nie sugeruję, panie dyrektorze. – Kaszowski dopiero teraz odwrócił się do mężczyzny przodem. – Więzień został powieszony, ale to akurat, jak

rozumiem, jest chyba dosyć oczywiste.

Dyrektor nie zdążył odpowiedzieć, bo Kaszowski ruszył bez słowa do drzwi, po drodze minął dwóch klawiszy, którzy unikali jego spojrzenia, przy samym wejściu stała zdenerwowana Joanna. Ją też komisarz minął i z ulgą wyszedł na więzienny korytarz. W celi przez chwilę zrobiło mu się duszno, przytłoczył go ogrom złej energii, która nagromadziła się między czterema ścianami tego niewielkiego pomieszczenia. Teraz, na korytarzu, wyciągnął papierosa.

– Kaszowski. – Usłyszał za sobą niski męski głos. – Kopsnij szluga.

Komisarz odwrócił się i zobaczył rękę wysuniętą spomiędzy krat. Podeszedł w tym kierunku, wyciągnął z paczki papierosa i położył go na dłoni.

– On nie żyje? – Głos zza kraty wydawał się spokojny.

– Nie żyje. – Komisarz kiwnął głową i podał ogień mężczyźnie, którego twarz była co do centymetra pokryta tatuażami.

Więzień zapalił, zaciągnął się, spojrzął na komisarza i po chwili podał mu maleńką kostkę papieru. Kaszowski rozejrzał się w poszukiwaniu kamery monitoringu, który teraz na pewno działał już bez zarzutu. Następnie zastawił ciałem celę od strony obiektywu, odebrał kosteczkę papieru i powoli ją rozwinął. Na karteczce bardzo drobnym drukiem skreślone było kilka zdań:

„Kaszku, jeśli to czytasz, to znaczy, że ja już nie żyję, co zresztą kompletnie mnie nie dziwi, bo nie było najmniejszych szans na to, żebym przeżył. Wiesz o tym doskonale, więc nie wiń się za moją śmierć, nawet gdyby przyszło Ci do głowy coś tak niedorzecznego. W zaistniałych okolicznościach winien Ci jestem jednak, Kaszku, pewną, jak miemam, bardzo ważną dla Ciebie informację. Otóż wtedy w Tatrach w wypadku, w którym zginęła Agnieszka i Ewa, miałeś zginąć Ty, a nie one. Chcę, żebyś wiedział, że nie przyłożyłem do tego ręki, a dowiedziałem się o tym dopiero wiele lat później. Chciałem Cię zabić, ale skoro żyjesz, to uważam, że powinienes o tym wiedzieć. Pozdrawiam z zaświatów. Zielu”.

Kaszowski zwinął karteczkę z dużą pieczołowitością, następnie schował ją do małej kieszonki w dżinsach. Więzień, patrząc na niego, nic więcej nie miał odwagi już powiedzieć. Komisarz odwrócił się i ruszył w stronę

schodów wiodących do wyjścia z oddziału dla niebezpiecznych przestępców. Po kilku krokach, kiedy mijał czekającą na niego Joannę, zatrzymał się nagle, spojrzał na nią, a ona zobaczyła człowieka tak zupełnie innego, że zdjęło ją przerażenie.

– Ciemnozielona – powiedział do niej, zupełnie jej nie widząc. – Granada była ciemnozielona.

Komisarz Marek Kaszowski ruszył dalej, a Joanna jeszcze przez chwilę stała, patrząc na jego zgarbione plecy, które drżały, a może tylko tak jej się zdawało.

PRZYPISY

[1] Przeł. Czesław Nanke.